

Gee Darien

Uśmiech Madeline



Dedykuję Mary Embry z miłością

Nic nie rozpada się, nie przemija. Rzeczy trwają, połączone ze sobą cienkimi liniami, a nasze życie przechodzi w pokolenia utkane z zachowanych obrazów i słów.

Lucille Clifton

Nie pamiętamy dni, pamiętamy chwile. Wartość życia tkwi we wspomnieniach, które ulatują.

Cesare Pavese

Rozdział 1

Koza była pomysłem Connie.

- Niezbyt mi się to podoba - mówi Madeline Davis, marszcząc brwi. Ponieważ ma już siedemdziesiąt pięć lat, pragnie ułatwić sobie życie, a nie utrudniać. Prowadzi jednak herbaciarnię, a to coś, czym w dzisiejszych czasach zwykle nie zajmują się ludzie w jej wieku. Jest bardzo zajęta, to prawda, ale każdego wieczoru kładzie się spać szczęśliwa i zadowolona, z sercem pełnym wrażeń. A od roku towarzyszy jej Connie, menedżerka herbaciarni, niespodziewany dar niebios z nastroszonymi czarnymi włosami, która jest również jej przyjaciółką i współlokatorką.

Teraz Connie spogląda na nią ze łzami w oczach i Madeline czuje, że zaczyna się wahać. Connie jeszcze nigdy o nic jej nie prosiła. Widząc, że dziewczyna za chwilę wybuchnie płaczem, Madeline całkiem traci głowę.

- Cóż... Może na kilka dni, zanim znajdziesz jej

bardziej odpowiedni dom - zgadza się niechętnie. Przygląda się, jak koza obwąchuje po kolei ogrodowe rośliny, po czym zabiera się do skubania nasturcji.

- Och! - Connie ociera oczy i biegnie w kierunku zwierzęcia. Wymachuje rękoma nad rabatką, usiłując odpędzić zwierzę od kwiatów, koza jednak całkowicie ją ignoruje.

Madeline dobrze wie, co będzie dalej. Widzi, jak Connie bezskutecznie szarpie za prowizoryczną obrozę na szyi kozy - postrzępiony sznurek z przegryzioną końcówką. Nie ulega wątpliwości, że zwierzę do kogoś należy. Całe szczęście. Muszą tylko dowiedzieć się, kto to jest.

- Będę w kuchni! - woła do Connie, która usiłuje zaciągnąć kożę w ocienione miejsce pod orzechem włoskim.

- Dzięki, Madeline - odpowiada Connie, siląc się na promienny uśmiech. - Obiecuję, że nie będzie z nią żadnego kłopotu.

- Hm. Chyba właśnie zjada moje Double Delight. Connie odwraca się przerażona.

- Nie! Tylko nie róże! Niedobra koza! Madeline potrząsa głową i wchodzi tylnymi drzwiami do kuchni.

Wraz z nią dostało się do środka światło poranka. Szeroki strumień słonecznego blasku pada na farmerski stół zajmujący centralną część kuchni. Ciepłe bochenki Chleba Przyjaźni Amiszów, babeczki i kruche angielskie bułeczki stygną na metalowych stojakach. W piekarniku pieką się dwa placki quiche z rukolą

i bekonem. Kuchnia jest gościnna i pełna aromatów; Madeline wie, że ma to wyjątkowy wpływ na jej klientów - uspokaja ich i relaksuje. Odwiedzają herbaciarnię z tego właśnie powodu - zachęteni perspektywą smacznego jedzenia i serdecznym uśmiechem właścicielki. W zależności od nastroju, w jakim w danej chwili znajduje się Madeline, czeka ich dodatkowo miłe słowo, a nawet żart lub dwa.

Jeśli dopisze im szczęście, mogą liczyć na jeszcze więcej, na przykład na improwizowany koncert Hannah Wang, młodej wiolonczelistki mieszkającej obecnie w Avalon, która koncertowała z Filharmonikami Nowojorskimi. Jest też Bettie Shelton ze swoim przenośnym biznesem w postaci albumów i rozmaitych materiałów do scrapbookingu. Udając, że wpadła jedynie po to, by zamówić dzbanek herbaty Darjeeling, ostentacyjnie rozkłada swój towar na sąsiednim stoliku. Gdy Bettie odwiedza herbaciarnię, nawet najmniej utalentowany artystycznie mieszkaniec Avalon lub niczego niepodważający turysta nie wyjdzie stamtąd bez paczki wzorzystego papieru i naprędce dobranych ozdób. Madeline dobrze pamięta zdarzenie sprzed miesiąca, gdy w jej lokalu jadło właśnie lunch kilku mężczyzn. Pochyleni nisko nad stołem, rozmawiali szeptem, a z ich mowy ciała można było bez trudu wywnioskować, że nie życzą sobie, by im przeszkadzano. Bettie wcale to jednak nie zniechęciło. Podeszła do nich i w niespełną minutę zarzuciła ich stół kolorowymi wstążkami i lśniącymi cekinami. Dwóch mężczyzn kupiło zestawy dla początkujących. Gdy wręczali Bettie pieniądze,

na ich twarzach malowało się oszołomienie. Bettie opuściła herbaciarnię równie szybko, jak się w niej pojawiła, i podczas gdy wszyscy usiłowali zrozumieć, co zdarzyło się przed chwilą, Madeline z cichym chichotem sprzątała naczynia z jej stolika.

Nagle rozlega się dźwięk niewielkiego mosiężnego dzwonka wiszącego nad drzwiami. Dwie kobiety wchodzi do środka, uśmiechają się do Madeline i zajmują stolik przy oknie. Madeline wie, że już wkrótce herbaciarnia będzie pełna roześmianych, żywo dyskutujących gości.

Z dużej zabytkowej szafy, stanowiącej ozdobę salonu, wyjmuje kilka puszek mieszanki herbaty rumiankowej i rooibos. Nie pamięta, co było najpierw - odkrywanie wspaniałych rzeczy na wyprzedażach garażowych i w sklepach ze starociami, a następnie zastanawianie się nad ich przeznaczeniem, czy też może pragnienie sprzedawania własnych herbacianych mieszanek i chęć ich artystycznego eksponowania. To niewinne hobby, które pomagało jej zapełnić czas w pierwszych miesiącach funkcjonowania herbaciarni, gdy odwiedzało ją jeszcze niewielu gości, zaczęło jednak żyć własnym życiem. Connie nalega, żeby otworzyły sklep internetowy, ale Madeline czuje, że byłoby to już za wiele. Choć żyje w ciągłym pośpiechu i napięciu, udaje jej się zachować idealną równowagę, nie chce tego zmieniać.

Connie w kuchni przy zlewie energicznie myje ręce.

- Serena uciekła na podwórko sąsiadów, ale jest już z powrotem - mówi na widok wchodzącej Madeline,

a na jej twarzy maluje się wyraźne poczucie winy.

- Ona, hm, tak jakby zjadła kilka główek sałaty z ich ogródka.

Madeline unosi brew.

- Tak jakby?

Connie wydaje z siebie wymuszone kasznięcie.

- No cóż, zjadła je, ale potem wszystko zwymiotowała. - Wyciera ręce w ścierkę do naczyń, unikając wzroku Madeline. - Zadzwoń później do weterynarza, żeby zapytać, czym ją karmić. Może ma delikatny żołądek.

Madeline nie jest pewna, co bardziej ją martwi - to, że Connie nadała kozie imię, czy fakt, że Serena dobrała się do warzywnego ogródka Waltera Lassitera. Podczas gdy jego żonie, Dolores, w najmniejszym stopniu nie przeszkadzają odwiedzający tłumnie herbaciarnię goście, on tylko wypatruje, do czego by się przyczepić. Madeline obawia się, że zabłąkana koza może doprowadzić go do kresu wytrzymałości.

- Jestem pewna, że żołądkowi Sereny nic nie jest

- oświadczają, wręczając Connie herbatę. - Możesz to zapakować?

Dora Ponce przygotowuje koszyk z prezentami na aukcję Klubu Rotariańskiego. Obiecałam jej, że się dołożymy.

- Jasne. - Connie wkłada fartuch przez głowę. - Wezmę ten piękny papier, który wypatrzyłam w ubiegłym tygodniu na targu. Ruth Pavord wyprzedaje swój cały zapas, zamierza teraz robić budki dla ptaków. - Connie chce jeszcze coś dodać, ale w salonie rozlega się nagle głośny krzyk, a następnie charakterystyczny odgłos tłuczonej porcelany.

- Ratunku! - woła jedna z kobiet. - Tu jest jakiś potwór!

Connie biegnie do salonu. Madeline słyszy jej surowy, karcący głos, po czym jeszcze jeden rozpaczliwy krzyk i brzęk kolejnego porcelanowego naczynia uderzającego o podłogę.

Dla postronnych osób Avalon może sprawiać wrażenie nudnego i bezbarwnego nadrzecznego miasteczka, ale Madeline wie, że wcale tak nie jest. Z pogodnym westchnieniem sięga po miotłę oraz szufelkę, po czym kieruje się do salonu.

Isabel chwytą młotek i wbija tablicę z napisem NA SPRZEDAŻ w trawnik przed swoim domem. Ziemia jest twarda i oporna, wysuszona nadmiernym upałem, tak charakterystycznym dla stanu Illinois - właśnie nastał kolejny długi, gorący sierpień i słońce najwyraźniej nie zamierza odpuszczać. Może powinna była najpierw podlać trawnik. Może powinna była poprosić o pomoc za drobną opłatą to rude dziecko z sąsiedztwa. Może - zamiast próbować zrobić to samodzielnie, jak tyle innych spraw w ostatnim czasie - powinna była zadzwonić do agenta nieruchomości z prośbą, by oficjalnie wystawił jej dom na sprzedaż.

Ale nie chce czekać na czyjeś telefony, nie chce, by ktoś szukał dla niej miejsca w swoim grafiku lub targował się z nią o pieniądze. Nie ma ochoty rozglądać się za węzem ogrodowym... gdzie on może być?

Stuk, stuk, stuk... Tabliczka chwieje się i drży.

Poprzedniego dnia, po siódmej wieczorem, gdy zapadał już zmierzch, a w telewizji szedł właśnie *Człowiek z MA.KSa*, Isabel, przemierzająca samotnie ulice miasteczka, wstąpiła na chwilę do sklepu z artykułami gospodarczymi, żeby kupić płyn do prania. I wtedy je zobaczyła, tuż przy wejściu, końcówkę serii. Piętnaście puszek farby ustawionych we wznoszącą się wysoko piramidę.

Pomyślała o swoim domu, o piecu i kuchennym stole, o lodówce i o szorstkich płóciennych ścierkach. O meblach w salonie, o segmencie w sypialni, o poobijanym stole z wiśniowego drzewa w holu. Przypomniała sobie również przybrudzone ściany, sufity i drzwi. Swego czasu marzyła, że będą mieszkać w tym domu zawsze, że w nim wychowają dzieci i w nim się zestarzeją. Musiała porzucić swoje marzenia. Co zatem jeszcze robi w Avalon?

- Wezmę wszystkie - oznajmiła sprzedawcy, wręczając mu studolarowy banknot. - I jeszcze kilka pędzli.

Nie chciała kupować folii malarskiej, szpachli ani terpentyny. Zbyt dużo zachodu. Tylko farba, postanowiła. I wtedy zobaczyła tabliczkę z powyginanymi rogami, opartą smętnie o worki z organicznym środkiem spulchniającym glebę: NA SPRZEDAŻ. Ją też kupiła.

Isabel robi krok w tył, żeby ocenić swoją pracę. Tablica stoi krzywo, ale łatwo ją dostrzec z ulicy. Sąsiedzi będą zaintrygowani, może nawet zdenerwowani sprzedażą domu. W Avalon ludzie osiedlają się na stałe, żyją tu od pokoleń całe rodziny. Isabel sprowadziła się

do tego miasteczka po ślubie. Bill urodził się tutaj i wychował. I zginął w wypadku niecałe cztery lata temu.

Z domu obok dobiega odgłos rozsuwanych zasłon. To sąsiadka, Bettie Shelton, miejscowa specjalistka od sensacji. Isabel wie, że między innymi Bettie rozpowszechniała informacje o odejściu Billa oraz - dwa miesiące później - o jego śmierci, gdy nieprawidłowo skręcił w jednokierunkową ulicę. Garnki z zapiekankami wyrastały na jej werandzie jak grzyby po deszczu.

- Isabel! - woła Bettie z wnętrza domu. Nie zdążyła jeszcze zdjąć papilotów ze swoich srebrzystonie-bieskich włosów. Przez chwilę mocuje się z oknem, po czym poprzestaje na głośnym stukaniu w szybę. Na jej twarzy maluje się oburzenie. - Co ty wyprawiasz, do diaska?

Isabel uderza młotkiem w tablicę. ; - Isabel?! Słyszysz mnie?! Isabel udaje, że strzepuje z tablicy pyłek kurzu. -ISABEL!

- Oczywiście, że cię słyszę! Kto by cię nie słyszał?! - krzyczy Isabel doprowadzona do ostateczności. Widzi, że z domu naprzeciwko wychodzi Peggy Lively w puszystym różowym szlafroku. - Słyszysz ją, prawda, Peggy?

Peggy przez chwilę patrzy na Isabel oraz na młotek w jej dłoni, a następnie przenosi wzrok na pustą ulicę. Nagłym ruchem porywa poranną gazetę ze swojego podjazdu i szybko wchodzi do domu, zatraskując za sobą drzwi. Słysząc szcęk przesuwanego zamka.

Isabel posyła Bettie gniewne spojrzenie, po czym ostatni raz uderza młotkiem w tablicę. Odwraca się i idzie do domu, czując na plecach wzrok wścibskiej sąsiadki.

W salonie czekają na nią puszki farby rozstawione niczym labirynt. Isabel waha się, ogarnia ją nagła niepewność. Postawienie przed domem tabliczki NA SPRZEDAŻ nie było niczym trudnym - wiedziała, że w każdej chwili może ją usunąć, nie niesie to żadnych konsekwencji, niczym przelotny kaprys. Ale malowanie to coś innego. Gdy już rozpocznie, nie będzie odwrotu.

Sięga po stojącą najbliżej puszkę i śrubokrętem podważa wieczko. Wpatruje się w jasną zawartość, która działa na nią uspokajająco. Odcień - Biały Szept. Kilka razy miesza farbę. Ostry zapach sprawia, że zaczyna ją kręcić w nosie.

Pierwszy ślad farby na ścianie jest nierówny, rozmazany, drugi - nie lepszy, ale ich zachęcający blask jaskrawo kontrastuje z przygnębiającą szarością, która od lat gościła w tym domu. Isabel ponownie zanurza pędzel w puszcze, obraca go tak długo, aż włosie staje się ciężkie od farby, po czym unosi rękę i próbuje jeszcze raz. Teraz na ścianie pojawia się gruba warstwa bieli, gładka i regularna. Isabel jeszcze śmielszym gestem nakłada kolejną.

Praca idzie nadspodziewanie szybko, już wkrótce ściana jest gotowa. Jej biel jest jak puste, niczego nie zdadzające spojrzenie. Isabel zbliża do niej twarz, szukając słów przeszłości, ale nie dostrzega nic

poza swoim własnym cieniem. Uderza czubkiem nosa w wilgotną ścianę. A potem przypomina sobie inne białe ściany.

„Nie było tak źle, prawda?”

„Nie, panie doktorze, nie było”.

Oczywiście zadał jej to pytanie, gdy pozostawała jeszcze pod wpływem morfiny, oszołomiona, spokojna, chętna do rozmowy. Bill siedział przy niej, zaskoczony i smutny. Była to ich ostatnia szansa. Nie zamierzali już więcej próbować. Odtąd każdej kolejnej nocy Bill zapewniał Isabel, że nie ma to żadnego znaczenia. Jej poduszka robiła się mokra od łez, on zaś powtarzał, że będzie im dobrze we dwojkę. Przyciskał do ust koniuszki jej palców i delikatnie je całował, każdy po kolei. Obiecywał.

Upłynęło jednak kilka lat i Bill odszedł, zapominając o swojej obietnicy. Twierdzili, że to ich nie zmieni, ale stało się inaczej i choć nie potrafili nawet nazwać tego, co utracili, nie umieli powrócić do dawnego życia. Isabel nie była szczęśliwa, ale też nie mogła uznać się za nieszczęśliwą. Można powiedzieć, że wiodła życie znośne. Wciąż kochała Billa i wiedziała, że on również ją kocha, jednocześnie zaś czuła, że między nimi pojawiła się przepaść, z każdym dniem oddalając ich coraz bardziej od siebie. Gdyby musiała, mogłaby przeżyć w ten sposób całe swoje życie; mogliby nadal pokojowo współzysztować w tej samej przestrzeni, darząc się nawzajem uprzejmym szacunkiem. Nie był to żaden ideał, ale nie pragnęła niczego więcej. Bill jednak najwyraźniej był innego zdania.

Na czym polega fenomen dentystów i!ch asystentek? Isabel zmuszona jest żyć z tym wstydlwym stereotypem. Mój mąż zostawił mnie dla swojej asystentki, kobiety młodszej ode mnie o dziesięć lat. Sądziła wówczas, że nie może wydarzyć się już nic gorszego, że nic nie zrani jej bardziej niż odejście Billa. Myliła się.

Nie była przygotowana na wiadomość o dziecku. Otworzyła kopertę bez zastanowienia. Myślała, że to kondolencje spóźnione o kilka miesięcy. Wyjęła twardą, sztywną kartkę i zobaczyła pulchnego bobasa. Miał charakterystyczne jasnoniebieskie oczy Billa i jego odstające uszy.

Tak więc teraz, w dojrzałym wieku trzydziestu ośmiu lat, Isabel Kidd jest sama. Nie ma męża, nie ma dzieci. Pozostała jej tylko nudna praca w dziale obsługi klienta firmy produkującej tekturę falistą, oddalonej od Avalon o czterdzieści pięć minut jazdy. I jeszcze pewna suma z alimentów Billa. Jego udziały w spółce stomatologicznej przejął Randall Strombauer, człowiek, któremu Isabel nigdy nie poświęcała szczególnej uwagi. Podejrzewa teraz, że właśnie on zatrudnił w ich gabinecie asystentkę, chcąc mieć ją tylko dla siebie. Randall był samotny, podczas gdy Bill od dwunastu lat wiódł spokojne życie u boku żony. Otwarte boisko z Randallem w charakterze jedyne go zawodnika. Wiadomo jednak, że starannie planowane przez nas sytuacje często lubią przybierać niespodziewany obrót.

Przy świeżo pomalowanej ścianie pozostałe wyglądają szaro i niechlujnie, jak nudni, anemiczni sąsiedzi. Isabel myśli sobie, że dla większego kontrastu

mogłaby właściwie na tym poprzestać, ale żal jej tych brzydkich ścian. One też zasługują na nowy początek. W końcu wszystkie były tylko niewinnymi świadkami jej przegranego życia.

Tym razem zacznie inaczej - nie musi nakładać farby metodycznie, warstwa przy warstwie. To w końcu jej dom i jej ściany. Może z nimi zrobić, co jej się żywnie podoba.

Isabel zanurza pędzel w puszcze z farbą i pracuje dalej.

Yvonne Täte ostatni raz sprawdza adres i wsuwa kawałek papieru do kieszeni. Widzi przed sobą skromny parterowy dom otoczony płotem z białych palików. Wzdłuż ulicy rosną platany. Yvonne otwiera furtkę i idzie ścieżką do drzwi wejściowych. W oczy rzuca się jej trawnik wielkości znaczka pocztowego oraz ogród, w którym tańczą motyle. Na parapetach stoją doniczki z kwiatami geranium i niecierpka, pyszniącymi się letnim bogactwem kolorów. Uroczy dom.

Yvonne naciska dzwonek i czeka. Ze środka dobiegają ją głosy. To mężczyzna i kobieta, kłócą się. W następnej sekundzie ktoś otwiera drzwi.

- W czym mogę pani pomóc? - pyta kobieta pod trzydziestkę, młoda i ładna. Za nią stoi mąż, mniej więcej w tym samym wieku.

- Nazywam się Yvonne Täte. Firma Usługi Hydrauliczne Täte. Państwo dzwonili do mnie w związku z jakimś kłopotem.

Para wpatruje się w nią bez słowa. Zona usiłuje sprawdzić, czy za Yvonne nie stoi ktoś jeszcze, będący

zapewne „prawdziwy” hydraulikiem, podczas gdy mąż przygląda się dziewczynie z ustami otwartymi ze zdziwienia.

- To właśnie ja - oznajmia im spokojnie Yvonne. Doskonale zdaje sobie sprawę, że w niczym nie przypomina hydraulika. Jest szczupła i wysportowana, jasne włosy spięta w koński ogon. Ma na sobie podkoszulek, dżinsy oraz specjalne buty robocze, a w ręce trzyma skrzynkę z narzędziami, ale nawet w takim ubraniu i bez grama makijażu na twarzy często mylona jest z modelką. - Godzinę temu rozmawialiśmy przez telefon - przypomina młodej kobiecie i wyciąga z kieszeni kawałek papieru. - Megan i Billy Newman, prawda?

Megan Newman spogląda na nią z niedowierzaniem.

- Tak, ale myślałam, że jest pani sekretarką.

- Jestem sekretarką. Jestem również księgową, kierowniczką sprzedaży i oczywiście hydraulikiem. Człowiek-orkiestra. - Yvonne rzuca okiem na zegarek. - Pokażą mi państwo, co się stało?

Megan nie wygląda na przekonaną, ale Billy natychmiast usuwa się na bok i zaprasza Yvonne do środka. Żona spogląda na niego gniewnie.

- Od jak dawna się pani tym zajmuje? - pyta ze sceptyczną miną.

- Od dziesięciu lat, ale w Avalon mieszkam dopiero pół roku. Posiadam licencję w trzech stanach i ani razu nie miałam reklamacji. - Yvonne widzi miodowe podłogi z twardego drewna, zasłony z kraciastej bawełny, sofę z narzutą oraz małą dwuosobową kanapę. Tu

i ówdzie stoją świeże kwiaty w szklanych wazonach i wszędzie można dostrzec ślubne fotografie. - A więc co się stało? - pyta ponownie.

Megan i Billy wymieniają spojrzenia.

- Najlepiej będzie, jak sama pani zobaczy - mówi Billy.

Yvonne idzie za nimi do łazienki. Wchodząc do środka, chichocze cicho, ale szybko się opanowuje.

- Och - mówi. - No tak.

W wannie piętzą się garnki i patelnie.

- To tylko chwilowo, dopóki nie odkryjemy, co stało się w kuchni - mówi pospiesznie Megan. - Później tam panią zaprowadzimy. W łazience problem mamy z tym.

Umywalka jest nowa, z dwoma staromodnymi kranami. Na jednym widnieje napis CIEPŁA, na drugim

- ZIMNA. Megan odkręca kurek po lewej stronie, ale zimna woda zaczyna płynąć z kranu po prawej. A z ciepłą jest odwrotnie.

- Myślałem, że zainstalowałem wszystko poprawnie. - Billy drapie się po głowie. - Najwyraźniej coś pokręciłem.

Yvonne wskazuje rury pod umywalką.

- Chciałby pan też pewnie zainstalować zawory zaporowe.

- Zamierzałem zrobić to w następnej kolejności

- mówi bez przekonania Billy.

- Tłumaczyłam mu, że do instalacji elektrycznej i wodno-kanalizacyjnej powinniśmy zawołać specjalistów, ale nie, on musiał zrobić to sam. - Megan rzuca

mężowi surowe spojrzenie. - A to jeszcze nie wszystko. Chodźmy. - Daje znak Yvonne, by poszła za nią do kuchni.

Gdy Megan otwiera drzwi szafki pod zlewozmywakiem, Yvonne widzi przedziwną płataninę rur oraz przeciętą na pół plastikową butelkę po mleku, przymocowaną do syfonu za pomocą plastikowych zapinek oraz taśmy klejącej.

- Zlew tak bardzo przecieka, że w ogóle nie możemy go używać - mówi Megan. - Billy sklecił to urządzenie, żeby łapać wodę, ale jest jej tak dużo, że daliśmy sobie z tym spokój. Myśleliśmy, że to chwilowy problem, lecz tak jest już od niemal trzech tygodni. Dłużej tego nie zniosę!

- Nie jest tak źle... - zaczyna Billy.

- Zmywamy naczynia w wannie, Billy! To wszystko tłumaczy.

- Ach, drobnostka - uspokaja ją Yvonne i odwraca się do Billy'ego. - Nawiasem mówiąc, dlaczego nie postawił pan pod zlewem wiadra?

Billy otwiera usta, chcąc jej odpowiedzieć, i znowu zaczyna drapać się po głowie.

- Tak, to brzmi sensowniej. - Jest wyraźnie zmieszany.

Yvonne uśmiecha się szeroko.

- Powinam sobie z tym wszystkim dzisiaj poradzić - oznajmia. Gdy podaje cenę za usługę, Megan z zapalem kiwa głową.

- Zgoda. Proszę zacząć od razu.

- Myślałem, że zapłacimy więcej - mówi zdziwiony

Billy. - Inna firma, do której dzwoniliśmy, policzyła nam niemal dwa razy tyle.

Yvonne wzrusza ramionami. Nie zaprzęta sobie głowy konkurencją. Zawsze była zdania, że pracy wystarczy dla każdego.

- Kiedy skończę, przekażę państwu szczegółową listę wykonanych prac.

Nucąc coś wesoło pod nosem, Megan podchodzi do lodówki i wyjmuje z niej dzbanek mrożonej herbaty. Nalewa trzy pełne szklanki.

- Będę w ogrodzie. - Przed wyjściem rzuca mężowi znaczące spojrzenie.

Yvonne otwiera skrzynkę z narzędziami. Billy wsuwa ręce w kieszenie, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

- Jest na mnie wściekła. Muszę być idiotą, skoro sam naprawiam rury.

- Wcale nie - zapewnia go Yvonne. - Świetnie, że pan próbował, Billy.

To dla niej nic nowego. Często zmuszona jest naprawiać szkody wyrządzone przez majsterkowiczów. Choć całym sercem popiera ludzi, którzy pragną nauczyć się dbać o swój własny dom i wykonywać proste prace instalacyjno-naprawcze, uważa, że w takim wypadku powinni najpierw porządnie odrobić zadanie domowe, czyli nie ograniczać się jedynie do obejrzenia na YouTube trzyminutowego filmu poświęconego uszczelnianiu wanny silikonem.

- Jestem pewna, że w końcu zrobiłby pan to dobrze - mówi uprzejmie.

Billy uśmiecha się z wdzięcznością i spogląda tęsknie w kierunku Megan, która siedzi oparta wygodnie na leżaku, osłaniając dłońmi oczy od słońca.

- Proszę iść do żony - zachęca go Yvonne. - Po prostu bardzo zależy jej na tym, żeby w państwa domu wszystko świetnie funkcjonowało. Pobrali się państwo mniej więcej przed rokiem?

Billy spogląda na nią zaskoczony.

- Jedenaście miesięcy temu. Skąd pani wie?

Yvonne wzrusza niebale ramionami, przetrząsając wnętrze skrzynki z narzędziami w poszukiwaniu klucza nastawnego. Nie mówi tego głośno, ale ma wrażenie, że Megan wije sobie gniazdko. I że na jej zachowanie mają wpływ hormony. Widziała to już wcześniej u swoich klientek. Nie jest pewna, czy Billy o tym wie, a nawet czy sama Megan jest tego świadoma, ale postawiłaby ostatnie pieniądze na to, że młoda kobieta jest w ciąży.

- Chce, żeby państwa dom ładnie wyglądał - mówi. - Proszę iść z nią posiedzieć.

Billy uśmiecha się szeroko i długimi susami biegnie do żony. Yvonne też się uśmiecha.

Nie nudzi się w tej pracy, to pewne. Widziała już wszystko - mężczyzn, którzy usiłowali zjednać ją sobie czułymi słówkami, agresywnie się targowali lub posuwali się do gróźb, żeby tylko zapłacić mniej. Nie zdoła zliczyć, ile razy proponowali jej randkę; wśród nich znalazła się nawet jedna kobieta. Zna wszystkie dowcipy o szczególnie rzucającej się w oczy części ciała hydraulika, czyli o rowku między pośladkami,

a od czasu do czasu spotyka się z pytaniem, czy nosi stringi. Na szczęście nie zdarza się to często. Jej klienci są w większości sympatycznymi, przyzwoitymi ludźmi i choć na widok kobiety hydraulika nie potrafią ukryć zaskoczenia, okazują jej dużo życzliwości. Między innymi dlatego kocha to, co robi.

Praca ta przypomina jej również, że rzeczywistość nie zawsze jest taka, jak się wydaje. Zrozumiała to jednak nie wcześniej niż przed dziesięcioma laty, kiedy postanowiła wziąć swój los w swoje ręce.

Zapłaciła za to sporą cenę. Bywają dni, gdy czuje się szczególnie samotna lub bardzo tęskni za domem. W jej serce wkrada się wówczas pokusa, by podnieść słuchawkę telefonu, wsiąść do samolotu, poszukać informacji, których nie powinna znać. Choć czasem jest jej bardzo ciężko, wie, że nie może zejść z obranej drogi. W przeciwnym razie ból stanie się nieznośny.

Spogląda przez okno i widzi Billy'ego, który siedzi na leżaku obok żony i coś do niej mówi. Megan śmieje się, on zaś pochyla się, żeby ją pocałować.

To bardzo wzruszający widok, ale Yvonne musi odwrócić wzrok. Zabiera się z powrotem do pracy.

Rozdział 2

Proszę bardzo. - Barman zamaszyście kładzie na kontuarze foliową reklamówkę pełną kapsli od butelek. Ponieważ nie jest niczym związana, jej zawartość omal nie wysypuje się na ladę; słysząc metaliczny dźwięk przesypujących się kapsli. - Uwaga!

- Mam! - Ava chwytając reklamówkę w ostatniej chwili. Dostrzega kilka interesujących kapsli - na przykład granatowy z żółtym gwiazdowym motywem albo czerwony, na którym widnieją białe drukowane litery. Niektóre są lekko wygięte, ale to nic nie szkodzi - chce wypróbować kilka nowych technik, więc idealnie będą się nadawały.

- Świetny refleks - mówi barman, uśmiechając się szeroko. Nazywa się Colin. Zdejmuje fartuch i rzuca go na stertę brudnych ręczników.

- Zawdzięczam to mojemu synowi - odpowiada Ava, potrząsając reklamówką i oceniając jej ciężar. Na pewno jest tu ze dwieście kapsli, może nawet

więcej. - Wprawiłam się przy łapaniu spadających kubków z soczkami.

- Naprawdę? - Colin szybko mierzy ją wzrokiem. Ava śmieje się głośno, wiedząc, że ostatnimi czasy, niedbała i roztrzepana, sprawia wrażenie nastolatki.

- To ile lat ma ten twój syn? - On ma dwóch synów w szkole średniej.

- Cztery, ale wygląda na dwadzieścia. - Ava sięga po portfel. - A ja mam dwadzieścia osiem, ale wyglądam na pięćdziesiąt.

- Rozumiem. - Colin niespodziewanie oblewa się rumieńcem. - Nie, oczywiście nie wyglądasz na pięćdziesiąt. Nie wyglądasz nawet na dwadzieścia osiem...

- Krzywi się i potrząsa głową. - Przepraszam, źle to ująłem. Chciałem tylko powiedzieć, że wiem, jak to jest, kiedy wszystko leci człowiekowi z rąk.

- W porządku. - Ava się uśmiecha. - Dzięki za kapsle. Ile ci jestem winna?

Colin unosi ręce.

- Na koszt firmy. To mój ostatni dzień.

- Twój ostatni dzień?

- Wylali mnie. Tak jak kilka innych osób. „Odświeżają” restaurację. - Colin wskazuje ławy i stoliki wokół nich. Są puste, choć pora lunchu minęła dopiero godzinę temu. - Redukują wszystko do minimum, dopóki interes nie odbije się od dna. Ale nic się właściwie nie stało, bo znalazłem nową pracę w Avalon Grill. Jutro zaczynam.

- W Avalon Grill?

- Tak. Porozmawiam z szefem, na pewno nie będzie

miał nic przeciwko temu, żebym zbierał dla ciebie kapsle. Będziesz musiała po nie przyjeżdżać. To piętnaście minut od Barrett.

- Tak, wiem. - Ava przypomina sobie sałatkę z gruszek i sera pleśniowego, którą zawsze jadła na lunch, i z głodu zaczyna burczeć jej w brzuchu. - Pracowałam kiedyś w Avalon.

Colin pisze coś na kawałku papieru i podsuwa go Avie.

- To mój numer telefonu. Zadzwoń za kilka tygodni, a powiem ci, co mam. Zresztą dzwoń, kiedy chcesz. - Patrzy jej prosto w oczy o sekundę dłużej niż zazwyczaj, po czym zmieszany odwraca wzrok.

Ava nie pamięta dokładnie wszystkich szczegółów z życia prywatnego Colina, ale wie, że jest rozwodnikiem bądź pozostaje w separacji. W obu wypadkach to dla niej nie do zaakceptowania - nie ma zamiaru komplikować sobie życia. Docenia pomoc, jaką otrzymała od niego w ciągu kilku ostatnich lat - nie wspominając już o odkładaniu dla niej kapsli i pobieraniu za nie symbolicznej opłaty - ale w tej konkretnej chwili nie oczekuje od Colina niczego więcej; nawet sobie tego nie wyobraża.

- Dziękuję - mówi - lecz nie chcę sprawiać ci kłopotu.

- To żaden problem... - zaczyna Colin, ale Ava potrząsa stanowczo głową. Niezgrabnym ruchem wsuwa kawałek papieru z numerem telefonu do portmonetki i wyciąga rękę. - Cóż, powodzenia, Colin.

Ma wrażenie, że chciałby jeszcze coś powiedzieć, jednak poprzestaje na uścisku dłoni. Policzki wciąż jeszcze ma zarumienione.

- Tobie też życzę powodzenia, Ava.

Dziewczyna wsiada do samochodu, robi długi wydech i szturcha reklamówkę z kapslami. Smutno jej, że nie będzie już widywać tego sympatycznego człowieka, i męczy ją myśl, że będzie musiała znaleźć sobie w Barrett innego dostawcę kapsli. Wie, że Colin specjalnie się stara, by ich nie zginać. Widziała, jak podkłada pod otwieracz miękką szmatkę, żeby nie zarysować powierzchni kapsla. Wygląda to całkiem naturalnie i większość klientów nawet nie dostrzega, że barman zadaje sobie dodatkowy trud, lecz Ava o tym wie.

Mruga powiekami, starając się powstrzymać łzy. Była głupia, że pozwoliła sobie na zaangażowanie emocjonalne, nawet w tak minimalnym stopniu. Ale Colin jest jedną z nielicznych osób, z którymi może porozmawiać, a poza tym to bardzo przyzwoity człowiek, co bardzo się liczy.

Mimo to powinna była zachować rozwagę.

Uruchamia dzipa. Silnik zapala z wyraźnym trudem. To znak, że samochód się psuje lub przynajmniej wymaga uwagi. Może powodem jest nowa pompa paliwa, rozrusznik, słaby akumulator, kto wie.

- Proszę - szepcze cicho. Silnik zaczyna pracować i w serce Avy wstępuje nadzieja, że wszystko będzie dobrze.

Silnik prychnie i gaśnie.

Frances Latham spogląda na niewielką czarno-białą fotografię. Burza czarnych włosów, pulchne policzki, bystre ciemne oczy wpatrujące się prosto w nią.

- Śliczna - wzdycha Frances.

Przesyłka przyszła poprzedniego dnia. Reed wiedział, że jest w drodze, ponieważ członkowie ich grupy zaczęli informować się nawzajem w internecie, że na swoje zgłoszenia już dostali odpowiedzi. Zamieszczanym na tablicach fotografiom towarzyszyły wirtualne pozdrowienia. Wszyscy zalogowali się na forum niemal w tej samej chwili - kilka dni po tym, jak ich formularz adopcyjny został zaakceptowany przez chiński rząd.

Ci, którzy zmuszeni byli jeszcze czekać, czuli zazdrość i narastający niepokój. Po początkowym okresie euforii Frances zaczęła płakać, nie będąc w stanie zapanować nad emocjami. Dlaczego nie otrzymali jeszcze odpowiedzi? A jeśli coś poszło źle? Reed ją uspokajał, że wszystko skończy się pomyślnie, ale skąd mógł to wiedzieć? Skąd ktokolwiek z nich mógł to wiedzieć? W końcu zadzwonili do agencji adopcyjnej, gdzie zapewniono, że tak, przesyłki już nadchodzą i rodzina Lathamów powinna otrzymać swoje dokumenty przed końcem tygodnia.

A potem pod ich dom podjechała furgonetka z logo firmy UPS i wysiadł z niej Jamie Linde z przesyłką w ręce. Z wyrazu jego twarzy Frances mogła wyczytać, że wie, co przywiózł. Uściski i łzy w ogóle go nie zaskoczyły, zaproponował nawet, że sfotografuje Frances z ciężką, płaską kopertą w dłoni. Frances poprosiła jednak o to Noaha, swojego pięcioletniego syna, gdyż chciała, by Jamie również znalazł się na zdjęciu. Wydrukowała je następnego dnia i napisała na odwrocie: „Ja i nasz bocian, Jamie Linde”.

Reed natychmiast wrócił do domu i wspólnie otworzyli kopertę. Gdy zobaczyli zdjęcie przypięte spinaczem do pliku dokumentów, do oczu Reeda napłynęły łzy, a Frances wyszeptała, z trudem łapiąc oddech:

- Jest śliczna!

Reed skinął głową i otarł oczy.

Wciąż jeszcze muszą czekać, ale teraz przynajmniej już wszystko wiedzą. Wiedzą, że właśnie ta dziewczynka uczyni ich rodzinę pełną. Frances zamyka oczy, w których znów czuje gorące łzy radości. Wykonali kilka kopii fotografii, więc Reed może teraz zabrać jedną do pracy. Chłopcy również dopominali się o zdjęcia dla siebie. Odbitki można zauważyć także na drzwiach lodówki, na lustrach w łazience, w domowym biurze, na szybie samochodu. Dwie kolejne Frances oprawiła w ramki i wysłała swoim rodzicom oraz matce Reeda.

Ale tę jedną, oryginalną, tę, która nadeszła z Chin, zrobioną przez kogoś, kto patrzył tej dziewczynce w oczy, Frances trzyma w dłoniach.

Mei Ling. Nasza córka.

Frances i Reed zastanawiali się nad każdym szczegółem, przyklejali żółte karteczki do dokumentów, które należało wysłać pracownikom agencji do przetłumaczenia, i zapisywali w specjalnym notesie wszystkie pytania i wątpliwości, jakie przychodziły im do głowy. Najważniejsze jednak jest to, że są coraz bliżej chwili, gdy przywiozą Mei Ling do domu.

Dzwoni telefon i Frances zrywa się, żeby go odebrać.

- Halo? - pyta bez tchu.

- Cześć, kochanie. - To Reed. Frances się uśmiecha.

Słyszysz, że mąż jest zmęczony, ale szczęśliwy. - Jak mija dzień?

- Dobrze. Wspaniale. Idealnie. Czy musisz pytać?

Reed śmieje się głośno swoim niskim barytonem, który przywołuje Frances na myśl jego ojca. Tak bardzo by chciała, żeby starszy pan jeszcze żył; żeby poznał tę małą dziewczynkę, która już wkrótce zostałaby jego wnuczką.

- Dzwonię z propozycją, byśmy z chłopcami coś zjedli na mieście. Miałabyś spokój z gotowaniem.

- Właśnie kończę przyrządzać sos marinara. Z kłópsikami. Dziś mamy wieczór ze spaghetti, jak w każdy wtorek, nie pamiętasz? - Frances wpatruje się rozmarzonym wzrokiem w zdjęcie Mei Ling i nagle coś sobie przypomina. - Poczekaj. Znowy wybierasz się w delegację, prawda? Dokąd? Kiedy?

- Do Arizony. Na tydzień. Pojutrze wylatuję. -Reed...

- Wiem, Fran, ale nic na to nie poradzę. Poza tym wydaje mi się, że im więcej zrobię teraz, tym łatwiej będzie mi wziąć urlop i pojechać razem z tobą do Chin po Mei Ling.

Frances wkłada z powrotem fotografię Mei Ling do koperty z woskowanym papieru.

- Chciałabym już wiedzieć, kiedy to nastąpi.

- Ja też.

Nie znają jeszcze żadnych szczegółów, ale wiadomo, że skoro zostali uznani za prawnych opiekunów Mei Ling, powinni spodziewać się oficjalnego zaproszenia do Chin za sześć do dwunastu miesięcy. Powinni być przygotowani na każdą ewentualność i choć muszą pokonać jeszcze kilka przeszkód, najgorsze mają już za sobą.

- Więc jak? Obiad w domu czy na mieście? - pyta Reed. - Zaraz muszę kończyć. Jeszcze tylko jedno spotkanie i mogę się zbierać.

- Chodźmy do restauracji - mówi Frances. Przechowa sos w lodówce do następnego dnia. A dziś nie będzie musiała zmywać naczyń. - Czy agencja wspominała coś o karcie zdrowia?

- Jeszcze nie. Dziś rano wysłałem im e-maila, ale nie odpisali. Nie chciałem dzwonić i naprzykrzać się im jeszcze bardziej.

Frances wyłącza kuchenkę.

- Zadzwoń do nich przed wyjściem z biura - mówi Reed. - Do zobaczenia.

- Cześć.

Do kuchni wkracza dumnie Noah. Ostatnio lubi w ten sposób zwracać na siebie uwagę. Reed twierdzi, że chłopiec bardzo przypomina mu Jasona, jego młodszego brata, nadmiernie pewnego siebie i pragnącego zawsze znajdować się w centrum uwagi. Najwyraźniej jednak taki sposób bycia wychodzi Jasonowi na dobre, który mieszka w luksusowym apartamencie w Los Angeles i udziela porad prawnych gwiazdom rozrywki.

- Mamo, Brady nie pozwala mi bawić się samolotem. Moim samolotem, tym, który dostałem na Gwiazdkę. - Noah zaplata ramiona na piersi i robi zagniewaną minę.

Frances odkłada na bok paczki spaghetti.

- Nie możesz dać mu czegoś innego do zabawy? Jego wóz strażacki? - Zaczyna sprzątać ze stołu, przygotowując go na poranne śniadanie.

- Nienawidzi tego wozu strażackiego. CEce samolot, ale on jest mój. Zaraz go walnę.

- Noah! - Frances marszczy brwi. - W naszej rodzinie się nie bijemy. Zrozumiano?

Chłopak wcale nie jest speszony.

- W takim razie zamknę go w szafie.

Frances cieszy się, że nikt obcy - a zwłaszcza żaden pracownik agencji adopcyjnej, który przeprowadzał u nich wywiad rodzinny - nie jest świadkiem tej rozmowy.

- Jesteś już dużym chłopcem. Znajdź sobie coś innego do zabawy.

- Mamo! - fuka Noah, ale w końcu odwraca się i tupiąc głośno, wraca do swojego pokoju. Frances nasłuchuje, czy nie dobiegnie stamtąd zaraz głośny krzyk Brady'ego, ale nic się nie dzieje. Za kilka minut trzeba będzie odebrać Nicka z domu przyjaciela, więc i tak powinni już przestać się bawić.

Gdy sos stygnie w specjalnym pojemniku, a wszystkie naczynia są już umyte i odłożone na swoje miejsce, Frances chwytą kluczyki i woła chłopców.

- Jedziemy po Nicka. Wsiadajcie do samochodu! Ponieważ nikt jej nie odpowiada, idzie do pokoju

synów. Pewnego dnia dom, w którym mieszkają, okaże się dla nich za mały, ale na razie Frances bardzo go lubi i uważa, że jest przytulny. Jej synowie dzielą ze sobą pokój i cieszy ją myśl, że w nocy śpią tuż obok siebie. Jest jedynaczką, zawsze marzyła o bracie lub siostrze, pragnęła mieć rodzeństwo, z którym mogłaby mieszkać w jednym pokoju i wspólnie dorastać. Może właśnie

dlatego ma wrażenie, że miejsce Mei Ling jest w ich domu. Chłopcy mają siebie nawzajem, tak jak Reed ma Jasona, ale Frances wie, że obecność małej dziewczynki będzie dla nich ogromną zmianą, i to na lepsze. Reed droczy się z nią, że zależy jej tylko na różowych sukienkach z falbankami i fantazyjnych kokardkach do włosów, lecz oboje wiedzą, że chodzi o coś ważniejszego - o łagodność, którą wnosi do domu dziewczynka. Ten słodki aniołek jest odwiecznym marzeniem Frances, sekretną nadzieją, która towarzyszy jej od chwili ślubu z Reedem. Chciała mieć córeczkę i za każdym razem niezmiernie się dziwiła, gdy na świat przychodził chłopiec. Kochała synów, to oczywiste, ale na coś czekała, za czymś tęskniła. Teraz nareszcie może odetchnąć. Córka, której tak pragnęła, wkrótce pojawi się w jej życiu.

Frances wchodzi do pokoju synów i robi gwałtowny wdech. Chłopcy stoją nad szczątkami samolotu, który Noah właśnie roztrzaskuje plastikowym kijem bejsbo-łlowym. Kawałki zabawki rozpryskują się na wszystkie strony. Brady śmieje się serdecznie.

- Noah! W tej chwili przestań! - Frances rzuca się naprzód, a Noah po raz kolejny zamierza się kijem.

- Nie mogę, mamu. Katastrofa lotnicza.

- Katastrofa! - powtarza zachwycony Brady, trzylatek, klaszcząc w ręce na widok kawałków plastiku fruujących po całym pokoju. - Bum!

- Bum! - ryczy Noah i wymierza zabawce kolejny cios. W tym samym momencie Frances wyciąga rękę, by chwycić plastikowy kij. Czuje silne uderzenie w stopę i zatacza się na łóżko.

- Och! Przepraszam, mamó. Frances usiłuje się opanować, potrząsa stopą. Boli,

ale wie, że nic nie jest złamane.

- Myślałam, że podoba się wam ta zabawka. - Chwyta plastikowy kij w chwili, gdy syn szykuje się do kolejnego uderzenia.

- E tam - mówi Noah, wzruszając ramionami. - Już nam przeszło, jasne, Brady?

- Jasne! - Brady się rozpromienia. Nabiera pełne namiętności plastikowych odłamków i wyrzuca je w powietrze, zanim Frances udaje się go powstrzymać.

- Koniec! Chłopcy, do samochodu, już! - Frances popycha dzieci do wyjścia. - A kiedy wrócimy, posprzątasz to wszystko. - Patrzy srogo na Noaha.

- To był pomysł Brady'ego - protestuje Noah. - Jemu każ posprzątać.

- Brady ma trzy lata. - Frances wskazuje w kierunku garażu. -
IDZIEMY.

Noah wychodzi ciężkim krokiem z pokoju. Brady depta mu po piętach. Frances przygląda się zniszczonej zabawce. Kocha synów, ale takie zachowanie, zapewne typowe dla chłopców, doprowadza ją do ostateczności. Dostrzega oprawioną w ramkę fotografię Mei Ling stojącą na komodzie i czuje, że znów mięknie jej serce. Natychmiast odzyskuje równowagę; świadomość, iż przyszło jej żyć w domu pełnym agresywnych osobników płci męskiej, przestaje jej przeszkadzać.

- Ty i ja - mówi, rozcierając obolałą stopę. Delikatnie dotyka ramki zdjęcia. - Popołudniowe przyjęcia, eleganckie stroje. Pokażemy chłopakom, jak to się robi.

Rozdział 3

Connie zerka na kuchenny zegar, szybko zdejmuje fartuch i myje ręce. Za kilka minut ich dzień oficjalnie się rozpocznie, a ona zrobiła dotąd tylko tyle, ile mogła, czyli niewiele.

Cicho biegnie na górę do swojego pokoju. Zanim Madeline kupiła herbaciarnię, mieścił się tu pensjonat. Pokój Connie to mały apartament z przestrzenią mieszkalną oraz funkcjonalną prywatną łazienką. Koszty korzystania z łazienki są wliczone w czynsz i jest to sytuacja o wiele korzystniejsza niż w pralni, gdzie przez niemal pięć lat pracowała oraz wynajmowała pokój. Okno mieści się w niewielkiej wnęcie, gdzie dziewczyna siada skulona każdego ranka, żeby napisać coś w dzienniku. Niekiedy wychodzi na mały balkon, gdzie stoją krzesła z kutego żelaza, i spogląda na podwórze z odnowionymi ogródkami i ławkami.

Teraz klęczy na podłodze i podnosi ozdobną falbankę zwisającą z ramy łóżka. Sięga pod nią głęboko,

aż w końcu jej palce zaciskają się na uchwycie starej, zniszczonej walizki. Wyciąga ją spod łóżka i przyciska guziki po obu stronach rączki. Zamki odskakują z trzaskiem.

W nozdrza uderza ją znajomy zatęchły zapach kulek na mole i czasu. Walizka jest niemal pusta, gdyż Connie przeniosła ubrania do szafy oraz do zabytkowej komody, a pozostałe jej rzeczy również znalazły miejsce w pokoju, który zaczęła już nazywać swoim. Została tu tylko plastikowa teczka, popękana na zgięciach i zabezpieczona grubą gumką. Connie ściąga gumkę, która boleśnie uderza ją w rękę. Nie zwracając uwagi na piekący nadgarstek, otwiera teczkę i wyjmuje kilka fotografii.

Connie w wieku lat czterech, Connie w wieku lat ośmiu. Connie na jarmarku stanowym z niebieską watą cukrową przyklejoną do włosów. Connie sprzedająca ciasteczka skautek. Connie z ojcem na basenie. Siedzi mu na ramionach i szeroko się uśmiecha, a po twarzy spływa jej woda. Miała wtedy dziesięć lat. Rok później ojciec zmarł na atak serca. Osunął się twarzą na biurko, a atrament z jego wiecznego pióra rozmazał się na papierze. Zostało już tylko jedno zdjęcie. Connie w wieku trzynastu lat, w zoo. Obok niej z jednej strony stoi stadko kóz burskich, z drugiej - matka.

Connie dotyka fotografii, muska końcami palców stadko kóz i twarz matki. Usiłuje doszukać się w niej najdrobniejszej choćby podpowiedzi, odzwierciedlenia tego, o czym matka wówczas myślała. Obie mają na sobie bermudy i sandały, koszulki na ramiączkach

i szerokie daszki przeciwsłoneczne, uśmiechają się do aparatu. Connie nie miała pojęcia, co wkrótce się wydarzy, zaledwie kilka dni po ich powrocie z zoo. To ona pierwsza znalazła puste buteleczki po środkach nasennych. Przypadkowe przedawkowanie, tak jej powiedziano.

Wędrowała od jednej rodziny zastępczej do drugiej. W żadnej nie znalazła krzywdy, ale nie można też powiedzieć, że było jej dobrze. Członkowie pierwszej rodziny przeważnie ją ignorowali. Prawdopodobnie zostałyby tam dłużej, gdyby nie aresztowano ich za rozsyłanie fałszywych listów o wygranej na loterii. Jej przybrany ojciec numer dwa był nałogowym palaczem, czego dziewczynka nie mogła znieść. Kładła się na podłodze i przyciskała ręce do szyi, udając, że się dusi. „Zabierz stąd to cholerne dziecko!” - krzyczał mężczyzna do żony. Connie była u nich bardzo krótko. Następną rodziną miała własne dzieci, które odnosiły się do niej z pogardą, ale Connie szybko przestała się tym przejmować. Nie znali jej, nie mieli pojęcia, co dzieje się w jej sercu. Gdy ukończyła rok szkolny z wyróżnieniem, okrzyknęli ją kujonem i dziwaczką.

W wieku niespełna szesnastu lat dowiedziała się, że jeśli udowodni przed sądem swoją całkowitą niezależność finansową, zostanie - jeszcze przed ukończeniem osiemnastego roku życia - oficjalnie uznana za osobę samodzielną. Znalazła dorywczą pracę oraz tani pokój nad restauracją Pizza Snack. Dość łatwo godziła to ze szkołą i gdy jej przybrana rodzina oznajmiła, że zamierza się przeprowadzić, sędzia - po przejrzeniu

grubego pliku papierów dokumentujących adopcyjną tułaczkę Connie, zapoznaniu się z entuzjastycznymi opiniami jej nauczycieli oraz uwzględnieniu faktu, że dziewczyna nie posiada żadnych żyjących krewnych - podjął decyzję. Jeden podpis i była wolna.

Connie wkłada zdjęcia z powrotem do teczki, którą opasuje gumką. Nie pokazywała jeszcze tych fotografii nikomu, nawet Madeline. Może pewnego dnia to zrobi, ale na razie czuje, że tak jest najbezpieczniej; ten mały sekret przypomina jej, kim jest i że kiedyś, dawno temu, miała rodzinę. Kiedyś, dawno temu, była kochana.

- Connie! - woła Madeline z dołu schodów. - Koza znów się rozbrykała!

Dziewczyna wsuwa walizkę pod łóżko i wzdycha głęboko. Ponieważ Serena zaczęła pustoszyć ogródek Madeline, otoczyły go prowizorycznym płotem. Od tego momentu rozzłoszczona koza nie przestaje meczeć, uprzykrzając życie wszystkim w okolicy.

Madeline nalega, żeby Connie odszukała właścicieli Sereny, ale dziewczyna nie może się na to zdobyć. Choć Madeline jest dla niej bardzo dobra i często prowadzi z nią długie rozmowy, ma również swoje prywatne życie poza herbaciarnią, ma przyjaciół i krewnych. Connie ma tylko siebie, Madeline i teraz jeszcze Serenę. Chciałaby jeszcze trochę się nią nacieszyć, to wszystko. Poza tym nic nie dzieje się bez przyczyny. Serena przegryzła sznurek, prawda? Kto wie, jacy byli jej poprzedni właściciele. Nie może odesłać Sereny do domu bez upewnienia się, że oddaje ją w dobre ręce.

Madeline puka do drzwi.

- Jesteś tutaj?
 - Tak. - Connie otwiera drzwi, odgarniając z twarzy kosmyk włosów.
 - Serena znów dostała się do ogrodu Waltera Lassitera. Mam wrażenie, że nasz sąsiad zaraz uruchomi wąż ogrodowy.
 - Och! - Connie przemyka obok niej i zbiega ze schodów. - Zamierzałam dziś wieczorem wzmocnić ogrodzenie. Zrobię to teraz.
 - Trzeba wkrótce wstawić do piekarnika tarty warzywne - przypomina jej Madeline.
 - Tarty! Oczywiście! - krzyczy Connie przez ramię, omal się nie przewracając. - Już się robi!
- Wybiega tylnymi drzwiami na podwórze i widzi, jak Walter wygraża Serenie węzem ogrodowym, krzycząc przy tym:
- To cię oduczy niszczenia moich petunii! Strumień rozprysniętej wody ląduje na grzbiecie
- Sereny. Przestraszona koza odskakuje na bok, usiłując uniknąć kolejnego prysznica. Bezskutecznie. Walter polewa ją jeszcze raz. Connie przypatruje się temu ze zgrozą, nie wiedząc, co robić. Madeline wychodzi na podwórze i staje obok niej.
- Nagle Connie dostrzega niebezpieczny błysk w oczach Sereny.
- Sereno, nie! - krzyczy, ale jest już za późno. Opuściwszy nisko głowę, koza szarżuje prosto na Waltera Lassitera. Sąsiad ciska na ziemię wąż i ucieka.
 - Dolores! Na pomoc!

Gdy już tylko kilka kroków dzieli gó' od tylnych drzwi domu, Serena bodzie go w siedzenie. Mężczyzna traci równowagę i ląduje w krzakach bzu.

- O Boże! - mówi cicho Madeline, kładąc sobie dłoń na ustach, by stłumić śmiech. - Bardzo źle się stało.

Serena podbiega do nich truchcikiem, wyraźnie dumna z siebie, i kieruje się w stronę ogrodzonej części posiadłości. Popycha głową bramę i wślizguje się do środka.

Walter Lassiter dźwiga się na nogi, otrzepując spodnie.

- Dzwonię po służby zoologiczne! - krzyczy do Madeline i Connie, po czym znika za drzwiami. Dolores stoi na stopniach z bezradnym wyrazem twarzy i przeprasza ramionami.

Serena spokojnie przeżuwa trawę w swojej zagrodzie, nieświadoma powagi sytuacji.

- Włóżę tarty do piekarnika - mówi Connie. Madeline kiwa z aprobatą głową i obie wchodzą do domu.

Max macha Avie przed nosem kartką papieru i szarpie ją za postrzępiony skraj spódnicy.

- Mamusiu, patrz!

- Poczekaj, Max. - Ava wyciska kolejną cytrynę do miski z wodą i energicznie miesza całość. Kapsle cicho uderzają jeden o drugi. Zostawi je tam na noc, żeby pozbyć się rdzy, a rano miękką szczoteczką wyczyści ząbki każdego z nich wodą z mydlinami. Pomaluje je następnie warstwą bezbarwnego lakieru i gdy już wyschną, będzie mogła zacząć nad nimi pracować.

Max zaczepia ją znowu.

- Narysowałem czech ludzi. Ciebie, mnie i tatusia.

- Trzech - poprawia go automatycznie Ava, wyrzucając wyciśnięte cytryny. - A właściwie troje. Trz-trz--trz. Trzech.

- Czech - powtarza z zapalem Max. - Cz-cz-cz. Czech.

Ava wzdycha. Ma nadzieję, że Max z tego wyrośnie i będzie mówił wyraźnie. n Wyciera ręce i odwraca się do syna.

- Dobrze, pokaż mi.

Max uśmiecha się promiennie i podsuwa jej rysunek. Na pewno widnieją na nim trzy postacie. Nie wiadomo jednak, gdzie mają kończyny. Ava widzi tylko okrągłe plamy z kropkami, mającymi oznaczać nos i oczy, oraz krzywe usta, znacznie różniące się rozmiarami.

- Och, Max, ślicznie narysowałeś. - Ava całuje synka w czubek głowy spoconej po całym dniu w przedszkolu. Ponieważ uczęszcza on tam dopiero drugi tydzień, Avie wciąż jeszcze zdarza się zapomnieć o konieczności kąpania go i kładzenia spać o regularnej porze. Nigdy dotąd nie przywiązywała do tej kwestii szczególnej wagi, ale teraz nie chce, by rano czuł się zmęczony. Lub głodny, co oznacza, że musi również pomyśleć zawnazu o śniadaniu.

Opłata za przedszkole jest sporym obciążeniem dla jej domowego budżetu, lecz nie była w stanie już dłużej tak funkcjonować - dwadzieścia cztery godziny na dobę bez chwili przerwy i bez żadnego wsparcia. Choć

przedszkole zaoferowało jej pomoc finansową, którą przyjęła z wdzięcznością, czesne wciąż stanowi dla niej największy wydatek, nie licząc czynszu za mieszkanie. W ubiegłym tygodniu Max płakał każdego ranka (tak samo zresztą jak Ava, której wilgotniały oczy, gdy tylko traciła z oczu budynek przedszkola), ale teraz widocznie przyrzekł sobie, że będzie dzielny, a może po prostu to polubił. Początkowo Ava czuła się oszołomiona ciszą panującą w ich niewielkim domu i nie miała pojęcia, czym się zająć. Siedziała nieruchomo przez kilka godzin, mając w głowie całkowitą pustkę, a lista ważnych rzeczy do zrobienia, którą od dawna układała sobie w myślach, rozpływała się w powietrzu jak dym. W tym tygodniu wszystko wróciło do normy. Pracuje w domu, czyli przepisuje dokumenty, i choć nieźle na tym zarabia, zlecenia są nieregularne i nie otrzymuje żadnych dodatków. Ponieważ nie może wrócić do swojego dawnego zajęcia, ma nadzieję, że zarobi nieco na biżuterii, ale jednocześnie wie, że będzie to raczej niewielka suma. Nie, teraz, gdy Max chodzi do przedszkola, ona musi znaleźć pracę na pełen etat.

- Zapraszam do wanny - mówi, przyczepiając rysunek magnesem do drzwi lodówki. Max nadyma z dumą policzki i Avę zalewa fala miłości do syna. Za grubymi szklami okularów błyszczą jego duże niebieskie oczy. Ich kolor przypomina Avie kogoś również kochanego, i czuje w sercu dojmujący ból.

Max pędzi do łazienki co sił w chudych nóżkach, usiłując po drodze zdjąć koszulę. Ava modli się w duchu, żeby nie wpadł na ścianę. Nie wpada.

- Bąbelki? - błaga chłopiec, wyskakując ze spodni.

- Nie dzisiaj... - zaczyna Ava. Kąpiel z bąbelkami zarezerwowana jest na specjalne okazje, a nie na przedszkolną codzienność, tak mu tłumaczyła. Prawdziwym powodem są oczywiście pieniądze. Życie nie jest tanie. Max cierpi na łagodną egzemę i nie może jeść tanich produktów ze sklepowych półek. Ale tak ładnie, tak wyraźnie po raz pierwszy w życiu wymówił słowo „bąbelki”... - Zgoda - mówi Ava. - Niech będą bąbelki. - Biegnie do łazienki i łaskocze synka po gołym brzuchu. Max wybucha głośnym, dźwięcznym, radosnym śmiechem.

Isabel leży na plecach na środku salonu, wpatrując się w sufit. Wciąż jeszcze czuje zapach świeżej farby, ale wcale się tym nie przejmuje - wręcz przeciwnie, to dowód, że w jej życiu zaszła zmiana. Ściany są tak nieskazitelnie czyste, że nie ma ochoty niczego na nich wieszać. Żadnych kalendarzy, fotografii, rysunków, niczego. To specyficzne uczucie pustki sprawia jej wyraźną przyjemność. Właściwie powinna również pozbyć się mebli, lamp stojących. Opróżnić cały pokój. Zacząć od zera.

Spłata palce i kładzie dłonie na piersi. Przynajmniej raz jej myśli nie krążą wokół Billa ani tej złodziejki mężów, ale koncentrują się na świeżo pomalowanych ścianach. Czas teraźniejszy powoli zastępuje przeszłość. Co powinna jeszcze zrobić? Wziąć się do zewnętrznych ścian? Umyć osłonięte siatką okna? Tyle możliwości. Isabel widzi, że na tle białej bluzki oraz bawełnianych

szortów z białymi zakładkami - nawiasem' mówiąc, są to jedyne czyste rzeczy, które znalazła w szafie - jej skóra wygląda niezwykle blado. Od lat się nie opalała.

Czysta biel, myśli. Tak ją nazywał Bill. Mówił to z ciepłem i czułością - była taka jasna i delikatna, spokojna, bezkonfliktowa. Ona jednak nie lubiła tego określenia, bo sugerowało, że jest nudna. Bezbarwna. Gdy porzucił ją dla Avy, była to pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy. Dla Avy, z jej jaskrawymi sukienkami i pomalowanymi paznokciami u stóp. Dla wyrazistej, kolorowej dziewczyny, w porównaniu z którą ona sprawiała wrażenie kobiety niewidocznej na tle ścian.

Słyszy, że ktoś wchodzi po schodach na jej werandę. Jedna z desek trzeszczy i pęka. Isabel siada, nasłuchując. Ktoś mówi coś cicho, po czym puka do drzwi.

- Isabel? Wiem, że tam jesteś. Otwórz.

Bettie Shelton. Żadna niespodzianka. Może to być tylko ona lub świadkowie Jehowy. Reszta sąsiadów już dawno przestała interesować się Isabel.

- Wybiłam stopą dziurę w twoich zbutwiałych schodach - mówi Bettie zza drzwi. - Mogłam cała w nią wpaść! Nie zamierzam podawać cię do sądu, ale musisz poprosić kogoś, żeby to naprawił.

Tak, to by naprawił Bill. Tuż przed swoim odejściem przez cały weekend zajmował się - na prośbę Isabel - pracami domowymi. Czyścił rynny i mył okna specjalną myjką ciśnieniową, a następnie zaczął kosić trawnik. W pewnym momencie, całkiem niespodziewanie, przestał. Po prostu przestał. Isabel była

właśnie w kuchni, czyściła piekarnik, gdy nagle stanął w drzwiach i oznajmił jej, że odchodzi.

Sprawiał wrażenie człowieka, który szczerze żałuje swojego postępowania. Kochał Isabel, ale kochał też Avę, która była w ciąży. Był tak przygnębiony, że Isabel niemal zrobiło się go żal. Niemal. Spakował się bardzo szybko, jakby dokładnie wiedział, co chce zabrać, a co zostawić. Postawił kosiarkę pod klonem. Stała tam przez tydzień, aż zlitowała się nad nią Bettie Shelton i wtoczyła ją do garażu. Dom jest w fatalnym stanie i Isabel o tym wie - przestała dbać o wszystko. Nie jest to wyłącznie kwestia pieniędzy, ale również czasu oraz energii niezbędnej do tego, by spojrzeć gospodarskim okiem i zdecydować o naprawie bądź wymianie pewnych rzeczy. Isabel nie ma na to siły. Przez ostatnie cztery lata radziła sobie bez remontu, więc może będzie w stanie funkcjonować tak przez kilka następnych?

Może uda jej się sprzedać dom. Nikt jeszcze nie dzwonił w tej sprawie, nikt nie zająknął się nawet na ten temat, ale wystarczy przecież jeden nabywca, prawda? Może zamieni dom na apartament, czysty i funkcjonalny, bez rynien, o których ciągle trzeba myśleć, bez butwiejącej werandy. Może w ogóle wyprowadzi się z Avalon i rozpocznie nowe życie gdzie indziej. To jest myśl. W końcu nic jej tutaj nie trzyma.

- Isabel! - Bettie puka w okno. - Widzę, że leżysz na podłodze. Otworzysz te drzwi czy nie?

Isabel wstrzymuje oddech. Nie rusza się.

- Isabel!

Ach, żeby Bettie nagle zniknęła w Czarodziejski sposób!

- Wiem, gdzie trzymasz zapasowy klucz. - Bettie zagląda do środka przez boczne okno.

Do diabła! Isabel dźwiga się z podłogi, siada.

- Otwarte!

Klamka przekręca się i Bettie wchodzi do środka. Ma na sobie szlafrok i klapki, jej srebrnoniebieskie włosy nastroszyły się pod wpływem gorąca. Na widok Isabel marszczy brwi i rozgląda się dookoła.

- Malowałaś?

Isabel zmusza się do kiwnięcia głową. Nigdy szczególnie nie przepadała za Bettie, która wydaje jej się

- osobie tak spokojnej - nieco zbyt zwariowana.

- Ha, pomalowałaś ściany na biało. Wszystkie.

- Bettie robi wielkie oczy, gdy Isabel wstaje z podłogi. - I pasujesz do nich.

- Odnawiam dom - mówi Isabel w nadziei, że sąsiadka odczepi się od niej. - Przygotowuję go dla nowych właścicieli.

Bettie posyła jej nieprzyjemne spojrzenie.

- Sprzedałaś go?

Isabel odwraca głowę, kuląc się pod jej wzrokiem.

- Jeszcze nie, ale sprzedam.

- Lepiej napraw ten dziurawy stopień. O mało się nie zabiłam.

Co za pech! - chciałaby powiedzieć Isabel, ale powstrzymuje się i pyta:

- Potrzebujesz czegoś? Jajek? Mąki? Wiesz, gdzie wszystko trzymam. Weź sobie. - Macha ręką w kierunku

kuchni. W ubiegłym roku, kiedy wszyscy mieszkańcy miasteczka piekli Chleb Przyjaźni Amiszów, Bettie co chwila składała jej niezapowiedziane wizyty, pożyczając w dużych ilościach rozmaite produkty. Isabel, zaprzątnięta swoimi problemami, nie zwracała na to początkowo uwagi, aż pewnego dnia skonstatowała, że jej pojemnik z mąką jest pusty, mały słoiczek z wanilią stoi do góry dnem, podłogę zalegają kryształki cukru, a zapas dużych woreczków strunowych kurczy się w alarmującym tempie. Dopiero gdy Bettie zaczęła narzekać, że nie może znaleźć u niej cynamonu, Isabel wszystkiego się domyśliła.

Bettie rozgląda się po salonie ze sceptyczną miną.

- Chciałam zaprosić cię na nasze jutrzejsze spotkanie. Drugi czwartek miesiąca. Doświadczenie nie jest konieczne.

Isabel niechętnie wstaje z podłogi.

- Doświadczenie w czym?

- W scrapbookingu, czyli tworzeniu i dekorowaniu albumów ze zdjęciami i pamiątkami rodzinnymi. - Bettie prostuje się na swoją pełną wysokość metr pięćdziesiąt. - Gdybyś nie wiedziała, jestem przewodniczącą i założycielką Klubu Miłośniczek Albumów w Avalon.

Isabel wie o tym, tak samo jak pół miasta - Bettie nie pozwoli im o sobie zapomnieć. Podczas każdego spotkania ich ulica jest niemal zablokowana przez samochody.

- Dziękuję, ale mam inne plany.

- Jakie plany? Nie masz żadnych planów. Nigdy

nie opuszczasz tego domu. Obserwuję cię. - Bettie podnosi dwa palce do oczu, a następnie wskazuje nimi na Isabel. - Nigdzie nie chodzisz.

- Nieprawda. Chodzę do pracy, a w ubiegłym tygodniu kupiłam farbę. - Isabel wpatruje się z uwagą w leżący na podłodze dywan. Ile on ma lat? Kupili go razem z Billem - był to jeden z ich pierwszych nabytków po ślubie. Ma swoją historię, o której Isabel nie chce pamiętać. Zaczyna popychać kanapę w stronę ściany, o mało nie miażdżąc Bettie palców u stóp.

Bettie marszczy brwi, mierząc Isabel podejrzliwym wzrokiem.

- Jestem nawet skłonna zwolnić cię ze składki członkowskiej za pierwsze trzydzieści dni. Wynosi piętnaście dolarów i obejmuje zestaw tematyczny na ten miesiąc. Ale broń Boże nie mów nikomu, że robię coś takiego. To może wyglądać na protekcję. - Odskakuje na bok, widząc, że Isabel przesuwa pod ścianę stolik do kawy.

- Tak jak mówiłam, mam swoje plany. - Pozbywszy się mebli, Isabel kuca na podłodze i usiłuje zwinąć dywan, długi i szeroki, zbyt ciężki i nieporęczny dla jednej osoby. Zaczyna od środka, z boku, z rogu - nie da się nic zrobić.

Bettie nie spuszcza z niej wzroku.

- Pomóc ci? - pyta.

Nie, Isabel absolutnie nie życzy sobie żadnej pomocy od Bettie. Myśl, że może być coś winna tej kobiecie, jest dla niej nie do zniesienia.

- Nie - fuka nieuprzejmie, unosząc brzeg dywanu i usiłując go zgiąć. - Już mam.

Dywan, ciężki od kurzu i wspomnień, stawia wyraźny opór. Isabel się poddaje.

- Och, przecież to śmieszne. - Bettie podchodzi do niej zdecydowanym krokiem. - Ty zwijas z tamtej strony, ja z tej. Wystarczy odpowiedni rozmach, to wszystko. Jedziemy. Raz, dwa, trzy!

Zwijają dywan szybko i sprawnie, aż w końcu pod ścianą leży już tylko pokaźna bela grubej tkaniny. Wstając, Isabel spogląda na lśniąca podłogę z twardego drewna, zakrytą przez wszystkie te lata. Nagle czuje się silna i pełna życia. Zadzwoi do organizacji charytatywnej Goodwill, żeby przyjechali i zabrali dywan. Rozgląda się dookoła. Może da im również kanapę. Może podaruje im wszystko.

- Następne spotkanie jest jutro wieczorem, w moim domu, od szóstej do dziewiątej. Przynieś napoje i poczęstunek oraz dobre nożyczki, jeśli masz. - Bettie otrzepuje sobie twarz z kurzu. - Przyjdź pięć minut wcześniej. Jeśli ci się nie spodoba, nie musisz przychodzić na kolejne spotkanie. Moi klienci mają czuć się w stu procentach usatysfakcjonowani, i to dotyczy również członkiń klubu. Do zobaczenia o szóstej!

Zanim Isabel zdoła zaprotestować, Bettie odwraca się i wychodzi.

*Enid Griffin, lat 56,
pracownica biura podróży
Avalon Travel*

Enid Griffin pochyla się nad doniczką z gerberami i marszczy nos.

Brązowe plamy na jeszcze niedawno czerwonych płatkach są
wymownym znakiem ich smutnego końca.

- Wiedziałam! - prycha, prostując się. Jest osobą imponującego wzrostu i postury - ma prawie metr osiemdziesiąt i nie grzeszy szczupłością. Dopiero zaczyna siwieć, wciąż jeszcze może pochwalić się pięknymi jasnymi włosami. Są starannie ułożone i usztywnione lakierem. - Wciornastki!

Maszeruje z powrotem do swojego biurka, wykonanego na zamówienie i specjalnie dopasowanego do jej postury. Z oburzoną miną siada na krześle i zaczyna szybko stukać w klawiaturę komputera.

- Wiem, że wybrali państwo Dolinę Napa, ale powtarzam, kraina win jest przereklamowana - mówi

do młodej pary siedzącej naprzeciwko. - Chcą przeżyć państwo niezapomniany miesiąc miodowy, prawda? -Tak...

- W dzisiejszych czasach, gdy jest tyle rozwodów, nie mogą państwo NIE zainwestować w wasze małżeństwo. Nowe doświadczenia, nowe przygody!

Młodzi ludzie patrzą na nią z powątpiewaniem.

- Wszyscy nasi przyjaciele, którzy odwiedzili Kalifornię, są zachwyceni. Mówią, że Dolina Napa jest tak romantyczna... - zdobywa się na odwagę dziewczyna.

Enid zbywa ją jednym machnięciem ręki.

- Kalifornia ma swój urok, ale patrząc na państwa, myślę sobie... - Jej oczy lśnią, a głos przechodzi w niski, konspiracyjny szept. - Teksas.

- Teksas?

- Teksas! Wyspa South Padre. - Enid odwraca ekran komputera w stronę młodej pary. - Żółwie wylęgające się z jaj! Palmy! Gaje pomarańczowe! Wspaniałe tereny do łowienia ryb - w niektórych restauracjach kucharz przyrządzi waszą zdobycz. Poza tym są państwo blisko Meksyku, dokąd można się wybrać na wycieczkę. Wrócą państwo do domu z oszczędnościami na koncie i mnóstwem wspomnień. Państwa własnych wspomnień, a nie banałów ściągniętych z internetu. Czy w ogóle piją państwo wino?

- Od czasu do czasu pijam Chardonnay... - zaczyna niepewnie dziewczyna.

- Ja preferuję piwo Budweiser - mówi jej narzeczony.

Para spogląda na siebie ze zdziwieniem.

- Mówiłeś, że chcesz jechać do Doliny Napa - przypomina dziewczyna z wyrzutem.

- Powiedziałem, że pojechałbym - uściśla chłopak. - Ale cóż, jeśli butelka wina kosztuje tyle samo ile sześć puszek...

- Więcej - wtrąca Enid.

- Tak, jeśli kosztuje więcej i smakuje gorzej...

- Dlatego właśnie tam jedziemy! Żeby docenić dobre wino! - mówi ostrym tonem kobieta.

- Dlaczego? Jaki w tym sens? I tak nie będę kupował go po powrocie. Nie stać nas teraz na wino.

- Może kiedyś będzie nas stać!

- Masaże w spa! - przerywa im Enid. - A zaoszczędzą państwo dużo pieniędzy, które można wydać na coś innego. Dyskoteki, windsurfing, kiteboarding, parasailing. Są państwo młodzi, w tym wieku trzeba się razem bawić, szaleć. Na sączenie sfermentowanego soku z winogron przyjdzie jeszcze czas. - Wysła plik do drukarki i przygotowuje dla nich teczkę z dokumentami. Nie podejmą dziś decyzji - wiedziała to już w chwili, gdy pojawili się w drzwiach. Jest gotowa pójść o zakład, że to pierwsza z wielu decyzji, jakich siedząca przed nią para nie będzie w stanie podjąć bez kłótni. - Czy państwa budżet pozwala na pewną elastyczność? - pyta.

- Tak - mówi dziewczyna.

- Nie - odpowiada chłopak.

Enid dobrze wie, czego ci młodzi potrzebują, i to nie jest kraina win ani Zatoka Meksykańska. Jednak zatrzyma tę wiedzę dla siebie, gdyż za kilka miesięcy

sama wyjeżdża na wycieczkę. W końcu zdecydowała się na podróż statkiem do Grecji, o czym marzyła już od dawna, ale cały czas się wahała, cały czas czekała na kogoś, kto byłby jej towarzyszem podróży, może nawet mężem. W Avalon mieszka wielu miłych mężczyzn, lecz żaden nie jest w typie Enid, a czas działa na jej niekorzyść. Parę dni temu Bettie Shelton pokazała jej najnowsze zestawy do ozdabiania albumów i Enid stwierdziła, że nadszedł ten właściwy moment. Pomaszerowała do swojego biura, zarezerwowała bilet i po raz pierwszy w ciągu trzydziestu lat swojej pracy w biurze podróży przygotowała zestaw dokumentów dla siebie samej.

Teraz, obserwując tę młodą parę, która z wyraźnym trudem brnie do ołtarza, myśli sobie: Niech ich Bóg błogosławi. Myśli również: Powodzenia. Wie, że coś ją ominęło, to oczekiwane „...i żyli długo i szczęśliwie”, ale czuje też, że życie we dwoje nie zawsze wygląda tak idealnie - ma przed sobą najlepszy dowód. Co więcej, obawia się, że bardzo często bywa ono źródłem stresu i niepokoju, powodem kłótni i wielu wylanych łez. Choć ludzie, którzy odwiedzają jej biuro, mają w planach wakacje, zachowują się tak, jakby zaciągnięto ich siłą do dentysty na leczenie kanałowe. Enid przypomina sobie Judy i Maca Mullins, swoich stałych klientów. Gromadzili oszczędności z myślą o tym, by po przejściu Maca na emeryturę zacząć zwiedzać świat, a gdy wreszcie przestał on pracować, okazało się, że nie ma najmniejszej ochoty ruszać się ze swojego wygodnego fotela. Każdą ich

wycieczkę poprzedzają niekończące się-perswazje zarówno ze strony Enid, jak i Judy, i jest to bardzo męczące. Mac w końcu łaskawie zgadza się na wyjazd, ale nigdy bez walki. Enid nie może zrozumieć, dlaczego ludzie sobie sami komplikują życie.

- Proszę spojrzeć - mówi, otwierając szufladę. Wyciąga z niej gruby pakunek w celofanie i popycha w ich kierunku. - Prezent przedślubny.

Klienci przestają się kłócić.

- Co to jest? - pyta dziewczyna, marszcząc nos, jakby czegoś się brzydziła.

- Album i akcesoria do jego ozdoby. To zestaw powitalny, ale jeśli tylko zechcą państwo kontynuować zabawę, wystarczy zgłosić się do Bettie Shelton po dodatkowe strony i akcesoria. - Enid wskazuje naklejkę w rogu albumu, na której widnieją dane kontaktowe Bettie wypisane dużymi drukowanymi literami. - Po upływie pewnego czasu, nawet już po roku, będą państwo do niego wracać, by jeszcze raz przeżyć miłe chwile.

- Mamy aparaty cyfrowe w telefonach - zauważa bystro dziewczyna. - wideo. - Patrzy na narzeczonego takim wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: Wyobrażasz to sobie?

Enid nie daje się zbić z tropu.

- Fotografie to tylko część tej zabawy. W dzisiejszych czasach ludzie robią setki zdjęć, których potem nie drukują i nie wklejają do albumów. W tym wypadku jest całkiem inaczej. Tworząc własnoręcznie jedyny w swoim rodzaju album, przywołują państwo

wspomnienia uczuć i przeżyć dzięki kolorom, które sami państwo wybierają. Każda strona staje się małą pamiątką. - Enid otwiera pakunek i rozkłada jego zawartość na biurku. - Wybierają państwo swoje ulubione zdjęcia, patrzą na ozdoby i decydują, co najlepiej do siebie pasuje. Co dobrze się ze sobą komponuje, nie tylko wizualnie, ale również emocjonalnie. Album doskonale to wszystko pokazuje. Na przykład... jak się państwo poznali?

Młodzi ludzie uśmiechają się nieśmiało i Enid widzi, że oboje nagle łagodnieją. Tak, o to właśnie chodzi, myśli w duchu.

- Na kręglach - mówi chłopak. - Jej kula przeskoczyła przez rynnę i wpadła na mój tor.

- Była cięższa, niż myślałam - broni się dziewczyna, ale widać, że nareszcie przestała się denerwować. Bierze narzeczonego za rękę i uśmiecha się do niego, rozpromieniona i szczęśliwa.

- Wspaniale! W takim razie... - Enid przerzuca leżące luzem litery i na górze pierwszej strony układa napis: „Zwaliałaś mnie z nóg”. - Biorą państwo ulotkę z nazwą kręgielni i przyklejają w tym miejscu, razem z państwa pierwszą wspólną fotografią.

- Mam jeszcze gdzieś kartę z punktacją - mówi chłopak. - Zdobyłem wtedy dwieście pięćdziesiąt punktów.

- Doskonale! - wykrzykuje Enid. Dziewczyna wybiera cienki czarny pasek i przysuwa go do górnego brzegu strony.

- Moglibyśmy nawet zaaranżować całą stronę tak,

żeby wyglądała jak karta z punktacją. A co powiecie na to? - Z liter tworzy napis: „Strzał w dziesiątkę”.

- Celem każdej rundy jest strącenie dziesięciu kręgli

- wyjaśnia.

- Aha. - Enid z aprobatą kiwa głową. Przygląda się, jak młodzi ludzie przerzucają wspólnie szablony i ozdoby, wspominając tamten szczególny dzień i wymieniając uwagi na temat amatorskiej ligi, w której oboje grają. I wtedy w jej głowie rodzi się pewien pomysł.

- A co powiedzieliby państwo na miodowy miesiąc z kręglami? Kilka różnych kręgielni usytuowanych w pobliżu innych atrakcyjnych miejsc oraz jakiegoś miłego pensjonatu? Czy to by państwa interesowało?

Narzeczeni spoglądają na nią beznamietnym wzrokiem; po chwili na ich twarzach pojawia się uśmiech.

- Tak - mówią jednocześnie, przysuwając się do siebie. - Oczywiście.

Rozdział 4

Obawiam się, że będę musiała do jutra zakręcić wodę. - Yvonne wyłącza latarkę i robi krok w tył znad dużej kałuży zbierającej się na podłodze. Klientka marszczy brwi.

- Do jutra? Niemożliwe!

Yvonne wskazuje rury pod zlewem.

- To wszystko trzeba wymienić, w przeciwnym razie wciąż będzie ciekło. Odkładanie tego na później pogorszy tylko sytuację.

- Ale dziś wieczorem spotyka się nasz klub. Spodziewam się wielu gości i mam już wszystko przygotowane. - Bettie Shelton macha ręką w kierunku salonu, gdzie widać stoły i krzesła rozstawione jak do brydża lub pokera. Na każdym stole leżą pliki kolorowego papieru i rozmaite błyskotki, długopisy żelowe i nożyczki z fantazyjnym ostrzem. Na bufecie można zaś dostrzec gilotynkę do papieru, laminator oraz inne dziwaczne urządzenia, które Yvonne się z niczym nie kojarzą.

- Decyzja oczywiście należy do pani, ale naprawdę nie ma na co czekać. Zabrałabym się od razu do pracy, ale nie będę w stanie skończyć wszystkiego dzisiaj. Najlepiej więc będzie, jeśli zakręcę na razie wodę, a pani przeniesie spotkanie gdzie indziej.

- Gdzie indziej? Ludzie zaczną się schodzić za godzinę!

- Przykro mi, pani Shelton, lecz do rana będzie pani brodzić po kostki w wodzie.

- Proszę mnie tak nie nazywać, to mnie postarza. Jestem Bettie - prycha klientka i zaczyna intensywnie myśleć.

Yvonne składa narzędzia. Teraz nie jest w stanie nic zrobić, a to, czy przyjdzie jutro, zależy tylko i wyłącznie od jej klientki. W Avalon jest mnóstwo starych, uroczych domków, ale już trzy razy miała do czynienia z identyczną awarią i obawia się, że będzie to coraz powszechniejszy problem. Domy są przesiąknięte duchem historii, lecz instalacja wodno-kanalizacyjna oraz elektryczna pozostawiają wiele do życzenia. Większość właścicieli nie zaprzęta sobie tym głowy i reaguje dopiero wówczas, gdy sytuacja robi się naprawdę poważna.

Bettie sięga po telefon i wybiera numer. Czekać na połączenie, zasłania słuchawkę dłonią.

- Ile jestem winna?

- Nic. Nic jeszcze nie zrobiłam.

- Co? Nonsens! - oburza się Bettie. - Taka usługa na pewno kosztuje.

- Tak, ale wpadłam tutaj tylko na chwilę, i to

w drodze powrotnej do domu. Poza tym dziś i tak nic nie zrobię. - Prawda jest taka, że Yvonne jeszcze nikomu w Avalon nie kazała płacić za samo wezwanie. Wie, że wielu ludzi ma kłopoty finansowe, lecz sama jakoś daje sobie radę. Dopóki dostaje pieniądze za właściwą pracę, stać ją na to, by udzielać klientom darmowych konsultacji.

Bettie przykłada palec do ust, dając jej znak, żeby zamilkła.

- Connie? Tu Bettie. - Uśmiecha się przymilnie do słuchawki. Yvonne zbiera się do wyjścia, ale widzi, że Bettie prosi ją na migi, by zaczekała.

Z twarzy Bettie szybko znika uśmiech. Zastępuje go wyraz irytacji i zniecierpliwienia.

- BETTIE SHELTON. Wiem, że wiesz, że to ja, Connie, więc nie udawaj, że nie poznajesz mojego głosu... Przez telefon na pewno brzmi tak samo... Tak, z całą pewnością... och, zapomnij o tym. Czy zastałam Madeline?... A gdzie ona jest?... Dwie godziny?... W takim razie mogę chyba porozmawiać z tobą. Pomyślałam, że byłoby cudownie, gdyby zebranie naszego klubu odbyło się dziś w herbaciarni. Mogłybyście sporo zarobić, choć spodziewam się oczywiście, że zaoferujecie nam grupową zniżkę... Co to ma znaczyć, że dziś spotyka się Klub Miłośników Książek?... A pokój jadalny... Co? Próbnny obiad ślubny? Dla kogo? Ach, rozumiem. Podejrzewam, że jest w ciąży, nie masz takiego wrażenia?... Nie, nie plotkuję, tylko dzielę się swoimi spostrzeżeniami... Dobrze. Żegnam. - Bettie odkłada słuchawkę i z oburzeniem bierze się pod boki. - Ta Connie Colls

uważa się chyba za właścicielkę lokalu! Gdyby Madeline wiedziała, jak mnie potraktowano, doznałaby szoku. Za mojej ostatniej bytności w herbaciarni ta dziewczyna omal nie wystraszyła mi nabywcy.

- Czy znajdzie się tu jakiś stary ręcznik? - pyta Yvonne. - Powinnyśmy wytrzeć wodę. Nie chcę, żeby się pani poślizgnęła, Bettie.

- Właśnie o tym mówię! - wykrzykuje Bettie, kierując się w stronę szafki w holu. - Dobre maniery. To straszne, jak nieuprzejmi potrafią być dziś ludzie, nieprawdaż, Yvette? Szkoda, że młodzi ludzie nie są w większości tacy jak ty! - Z promiennym uśmiechem wręcza Yvonne spłóviały ręcznik plażowy.

- Mam na imię Yvonne - prostuje uprzejmie dziewczyna. - I nie jestem już taka młoda.

- Dwadzieścia dwa? - zgaduje Bettie. Dwadzieścia dwa. Tak, Yvonne chciałyby mieć

znów tyle lat. A z drugiej strony był to jej najgorszy rok, moment, gdy wszystko się rozpadło, gdy stało się jasne, że całkowicie się pogubiła. Teraz jest znacznie lepiej - odcięła się od przeszłości i zaczęła życie od nowa.

- Raczej trzydzieści dwa.

- Trzydzieści dwa? Naprawdę? - Bettie sprawia wrażenie szczerze zaskoczonej, jakby Yvonne dokonała czegoś wyjątkowego.

Dziewczyna szybko wyciera podłogę.

- Gdzie mam to położyć? - pyta, trzymając w ręce ociekający wodą ręcznik, ale Bettie znów rozmawia przez telefon.

- Isabel! - woła głośno do słuchawki. - Isabel, jesteś

tam? Odbierz. - Niecierpliwie uderza stopą w podłogę i czeka jeszcze kilka sekund. W końcu odkłada słuchawkę z ponurą miną. - Cóż, obawiałam się, że tak to właśnie będzie wyglądać. Jeszcze raz, jak się nazywasz, kochanie?

- Yvonne.

- Dobrze. - Bettie marszczy czoło, usiłując się skupić. - Yvonne, Yvonne, Yvonne. Mam. Yvonne, czy będziesz mogła mi jeszcze w czymś pomóc? Myślę, że masz rację. Najlepiej będzie, jeśli przeniesiemy spotkanie gdzie indziej. U mojej najbliższej sąsiadki jest dużo wolnego miejsca - właśnie robi mały remont - i jej salon idealnie się do tego nadaje. Mam nadzieję, że uwiniemy się raz-dwa.

Dzień powoli dobiega końca, a jedyne, co Yvonne miała w planach, to powrót do domu i oglądanie telewizji plus skromna kolacja. W takiej sytuacji może poświęcić Bettie jeszcze kilka minut.

- Nie ma sprawy - mówi.

Problem w tym, że z kilku minut robi się pół godziny, a one wciąż przenoszą rzeczy do sąsiedniego domu - stoły i krzesła, albumy i wszystkie akcesoria, i jeszcze przystawki przygotowane w sporej ilości przez Bettie. Yvonne, którą skręca już z głodu, nie może oderwać wzroku od niewielkich tostów z kalafiorem, jajek faszerowanych zieloną cebulką i koperkiem oraz nadziewanych karczochów.

- Gotowe - mówi w końcu uradowana Bettie. Rozgląda się po pokoju, z aprobatą kiwając głową. - Smakowite przystawki to klucz do smakowitego klubowego

spotkania. Mało kto wie, że artystom zawsze pracuje się lepiej z pełnym żołądkiem. Cóż, tak przynajmniej jest w moim wypadku. Chwileczkę, gdzie położyłam łyżki do nakładania przystawek?

Yvonne opada bez sił na składane krzesło. Zna się doskonale na swoim fachu, potrafi sobie poradzić nawet z najmocniej dokręconą śrubą, może przez długi czas leżeć w niewygodnej pozycji na podłodze i naprawiać rury. Ale przyjęcia? To wyczerpujące. Tyle rzeczy do zrobienia naraz, zgranie wszystkiego w czasie, troska o szczegóły i o końcowy efekt. Yvonne przypomina sobie matkę, ale zaraz odpycha tę myśl.

Bettie przykleiła do swoich drzwi wejściowych kartkę z informacją o przeniesieniu spotkania do sąsiedniego domu i już po chwili w salonie Isabel zaczynają gromadzić się członkinie klubu, zachwycone tą nieoczekiwaną zmianą. Każda przynosi ze sobą coś do jedzenia. Yvonne nie może wstać z krzesła. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest zmęczona. I głodna.

- Yvonne, musisz z nami zostać - nalega Bettie, przedstawiając jej jednocześnie Earlene Bauer. - Earlene jest optykiem w salonie Ali Eyes Vision Center. Dzięki niej sprawiłam sobie doskonałe okulary dwu-ogniskowe, chociaż potrzebuję ich tylko do czytania.

- I do jazdy samochodem - przypomina jej Earlene. - Zauważyłam, że jeździsz bez nich.

- Och, zawsze jeżdżę w okularach - zarzeka się Bettie.

Earlene spogląda na nią znacząco.

-Bettie...

- To Missy Parks! - wykrzykuje nagle Bettie, odwracając się. - Missy, poznaj Yvonne, mojego wspaniałego domowego technika!

- Och, jak miło. - Missy podchodzi do nich. Na jej twarzy maluje się wyraz szczerego zainteresowania.

- A kto to właściwie jest domowy technik?

Yvonne też chciałaby to wiedzieć.

- Jestem hydraulikiem - mówi, wyciągając rękę. Nie lubi owijania w bawełnę, nie wierzy w sens określania swojej pracy słowami, które byłyby łatwiejsze do przełknięcia dla rozmówców. Właściwie działające instalacje to podstawa codziennego życia i Yvonne dobrze o tym wie, nawet jeśli inni nie zdają sobie z tego sprawy. Niestety, Earlene i Missy niespodziewanie kulą się w sobie i robią krok w tył, zerkając na jej dłonie, jakby wyobrażały sobie, że jeszcze przed chwilą grzebała nimi w muszli klozetowej. To jeden z najbardziej rozpowszechnionych fałszywych mitów na temat hydraulików - że zajmują się wyłącznie toaletami lub ciekącymi zlewami. Prawda zaś jest taka, że głównym źródłem dochodów Yvonne jest naprawa systemów grzewczych i klimatyzacji, a także montowanie instalacji w nowych budynkach mieszkalnych i użytkowych.

- Byłabym na śmierć zapomniała! Właśnie lecę przeziębienie! - Missy przezornie chowa rękę za plecy.

- Nie chciałabym pani zarazić.

- Przeziębienie w sierpniu? - Bettie marszczy brwi.

- Czy to nowe zestawy tematyczne? - pyta Missy,

podchodząc do jednego ze stołów. - Bardzo miło było panią poznać! - woła przez ramię do Yvonne.

Bettie klepie swego domowego technika w ramię.

- Obawiam się, że nie są tak otwarte jak ja - wzdycha, potrząsając głową.

- Bettie, upiekłam to na zakwasie do Chleba Przyjaźni Amiszów - mówi tymczasem jedna z pań, niosąc czterowarstwowy tort, na którego widok Yvonne napływa ślinka do ust. - Smak orzechów laskowych z dodatkiem cappuccino. Muszę przyznać, że dodałam nieco za dużo mieszanki kawowej, ale wspaniale mi wyszedł, nie sądzisz?

- Jest boski, Lorno. Postaw go tam. No, możemy zasiadać do jedzenia. Czeka nas dziś mnóstwo pracy.

- Bettie klaszcze w ręce, pragnąc zwrócić na siebie uwagę wszystkich klubowiczek. - Moje panie! Napełnijcie talerze i zajmijcie miejsca. Za chwilę zaczynamy!

- Chwyta Yvonne za łokieć i prowadzi ją w stronę suto zastawionego stołu. Dziewczyna marzy już tylko o tym, by zatopić zęby w którymś ze smakołyków.

- Bettie, czy jest lód?! - woła jedna z pań.

- W zamrażarce, Claribel - odpowiada Bettie.

- Na drugiej półce.

- Bettie, gdzie jest łazienka? - pyta ktoś inny.

- Do jednej wchodzisz z holu, pierwsze drzwi na lewo. Jest również łazienka przy głównej sypialni, ale może najlepiej...

- CO TU SIĘ DZIEJE, DO DIABŁA?!

Panie przerywają rozmowę i odwracają się. W drzwiach stoi kobieta z torbą pełną zakupów.

- Isabel! - Bettie biegnie w jej stronę, bezwiednie ciągnąc za sobą Yvonne. - Nareszcie przyszedł!

- Czy aby na pewno jestem w moim własnym domu? Co się tutaj dzieje?

- Wzdarzenie towarzyskie, kochana. Comiesięczne spotkanie Klubu Miłośniczek Albumów. Mówiłam d o tym!

- Tak, ale zapomniałaś dodać, że odbędzie się tutaj, - Isabel patrzy ponuro na Bettie.

Yvonne bezskutecznie usiłuje uwolnić łokieć z uścisku starszej pani.

- Przydarzyła mi się całkiem niespodziewana katastrofa, prawda, Yvonne? - mówi Bettie. - Yvonne to mój domowy technik...

- Hydraulik - poprawia ją Yvonne.

- ...i bardzo roztropnie zasugerowała, żeby przenieść spotkanie gdzie indziej, ponieważ w moim domu nie można obecnie przyjmować gości. Czy mówię prawdę, Yvonne?

Isabel odwraca się w kierunku Yvonne, Jej orzechowe oczy rzucają niebezpieczne błyski. Yvonne kuli się pod jej spojrzeniem.

- Cóż. tak, ale...

- A ponieważ wczoraj pomagałam ci przenosić meble, pomyślałam, że byłabyś szczęśliwa, gdybyś mogła wyświadczyć tę samą grzeczność mnie, sąsiadce w potrzebie. - Bettie trzepocze powiekami z niewinną miną.

- Powinnaś była przynajmniej zadzwonić... Chwileczkę, jak się tutaj dostałaś? - Isabel przez moment

sprawia wrażenie zdezorientowanej. - Następnym razem schowam klucz w inne miejsce!

- Dzwoniłam, Yvonne może poświadczyć, ale nie -odbierałaś - mówi Bettie z zadowoloną miną.

- Bo byłam w pracy!

-Nic znam numeru telefonu do twojej pracy. Na wszelki wypadek powinnaś mi go dać.

- Nigdy w życiu! - Isabel zgrzyta zębami. Yvonne w torbie z zakupami widzi na samym wierzchu duże opakowanie lodów miętowych z kawałkami czekolady. Zaczyna burczeć jej w brzuchu.

- Mój Boże, biedna Yvonne umiera z głodu! Droga Isabel, odłóż te zakupy i przyłącz się do nas. Mamy mnóstwo jedzenia.

Isabel czuje na sobie wzrok pozostałych kobiet i usiłuje się opanować.

- Chciałam zjeść kolację w spokoju - mówi cicho. - Gdybyś była więc tak uprzejma i wyprosiła te wszystkie osoby...

Bettie sięga do torby Isabel i wyciąga stamtąd gotowe danie w pudełku, przeznaczone do odgrzania w kuchence mikrofalowej.

-Doprawdy, Isabel! - Krzywi się z dezaprobatą. Wrzuca pudełko z powrotem do torby. - Nałożę ci pełny talerz. Usiądź obok Yvonne. Ona też jest nowa w naszym klubie. Może zostanieieście przyjaciółkami!

Ups! Yvonne kuli się w sobie. Z miny Isabel wnioskuję, że ona również się do tego nie pali.

- Powinam już iść. - Choć jest potwornie głodna, ma już dosyć zamieszania. Chce po prostu znaleźć się w domu.

- Dziękuję, ale nie - mówi Isabel. - Gdyby reszta pań mogła...

- Dziewczęta! - woła Bettie. Nagle spoważniała. - Siadajmy. Robi się już późno i jedzenie nam stygnie.

Otoczające ją kobiety milkną i zajmują miejsca w różnych częściach pokoju.

Isabel i Yvonne otwierają usta, chcąc ponownie zaprotestować.

- SIADAJCIE - powtarza Bettie stanowczo. Obie siadają.

Bettie odbiera od Isabel torbę z zakupami i kieruje się do kuchni.

- Lorno! - woła głosem, który znów brzmi miło, wręcz słodko. - Możesz nałożyć coś dziewczętom? Szybciutko. Dopilnuj, żeby spróbowały tej pysznej sałatki z czerwonej kapusty. I sałatki pomidorowej Sue Pendergast. Sue, musisz dać mi przepis. Zawsze dodaję za dużo octu balsamicznego i psuję całe danie!

Yvonne i Isabel przyglądają się, jak członkinie klubu podchodzą do bufetu, wymieniają uwagi na temat potraw, nalewają dwa kubki mrożonej herbaty i kładą przed nimi na stole dwa papierowe talerze pełne smakowitego jedzenia.

- Nie wierzę - mamrocze Isabel pod nosem. Pięści wciąż ma zaciśnięte. Yvonne chciałaby jej współczuć, ale doprawdy, w czym problem? To chyba oczywiste, że Bettie i Isabel są ze sobą bardzo spoufalone, Bettie czuje się tutaj jak u siebie w domu. Tak czy inaczej to nie jej, Yvonne, sprawa. Sięga po widelec, nie mając ochoty dyskutować na ten temat z Isabel ani z nikim innym.

- Cóż, na zdrowie - mówi, unosząc papierowy kubek z mrożoną herbatą.

Isabel odwraca się i patrzy przez chwilę na Yvonne, po czym niechętnie trąca się z nią kubkiem. Yvonne szybko wypija herbatę i zaczyna jeść.

- To jest naprawdę dobre - mówi z westchnieniem szczęścia. Wszystko jest świeże i wspaniale smakuje. - Od dawna nie jadłam domowego posiłku.

Pochłonięta bez reszty kolacją, nie zauważa, że Isabel powoli rozprostowuje palce, sięga po widelec i również zaczyna jeść.

Rozdział 5

Uwaga! Uwaga! Zaczynamy sierpniowe spotkanie Klubu Miłośniczek Albumów w Avalon. - Bettie trzyma w ręce drewniany młotek udekorowany cekinami i kawałkami materiału. Uderza nim kilka razy w kawałek drewna pomalowany na wściekły róż i oklejony bibułą w ozdobne wzory.

Kobiety zaczynają się nawzajem uciszać. Nie spuszczać zaciekawionego wzroku z Bettie, kończą jedzenie, odkładają talerze na bok i szybko wracają na swoje miejsca.

Bettie zakłada na nos okulary do czytania i zerka w swoje notatki.

- Z radością witam nasze nowe członkinie, Emily Spiller, Theimę Talley oraz Trudy Hughes. Dziękuję serdecznie Bev Smitts za zaprezentowanie nam swojego albumu *Na łonie natury*, gdzie uwieczniła łowiecką wyprawę swojego męża, Roosevelta, która odbyła się ubiegłej jesieni. Dziękuję również Georgii Wellington

za niezwykle inspirujący album *Dzień w zoo*, dzięki któremu mogłyśmy poznać wiele ciekawych sposobów na włączanie przypadkowo znalezionych przedmiotów do naszych albumów. Szczególnie miłym dodatkiem było pawie pióro. Reportaż Edie poświęcony ostatniemu spotkaniu klubu i zamieszczony w dziale „Tu i Tam” naszej lokalnej „Avalon Gazette” został bardzo dobrze przyjęty, dziękuję ci, Edie. Na podstawie ankiety, na którą odpowiedziało osiemdziesiąt trzy procent członkiń klubu, zaobserwowałyśmy wzrost zainteresowania tuszami postarzającymi oraz spadek zainteresowania ozdobnymi pinezkami. A teraz czas na raport naszego skarbnika...

Isabel odgryza kawałek krakersa leżącego samotnie na jej talerzu. Kilka kobiet odwraca się w jej kierunku i marszczy brwi.

- Mam dość. Chyba pójdę już do domu - mruczy zirytowana Isabel, odkładając krakersa na talerz i spogląda znacząco na siedzące przed nią kobiety. - Och, chwileczkę. Jestem w domu.

Yvonne tłumy chichot.

- ...I wreszcie chciałabym podziękować IsabelKidd . za udostępnienie nam swojego domu na ten dzisiejszy wieczór. Isabel, wstań, żebyśmy mogły nagrodzić cię oklaskami! - Bettie daje energiczne znaki Isabel.

- Pas - mówi Isabel bezbarwnym głosem. Na jej twarzy maluje się niechęć i nuda.

- Och, daj spokój - rzuca Yvonne, uśmiechając się szeroko.

- Przecież cię to nie zabije.

Kilka siedzących w pobliżu kobiet kiwa potakująco głowami.

Isabel patrzy z niedowierzaniem na Yvonne, ale niechętnie podnosi się z miejsca. Cały klub z entuzjazmem bije brawo. Gdy pani domu w końcu siada, Yvonne klepie ją przyjacielsko po plecach. Isabel uśmiecha się niewyraźnie.

- Mamy dziś mnóstwo do zrobienia, a poza tym obiecałam wam, że zabierzemy się do nowych jesiennych motywów. - Bettie podnosi wzrok znad notatek.

- Czy ktoś chce zabrać głos?

W pokoju narasta gwar. Kilka rąk natychmiast wędruje w górę.

- Mówiłaś kiedyś, że będziemy pracować z tekturowymi podkładkami, prawda? Nie mogę się już doczekać, kiedy zacznę przygotowywać taki album dla wnuków. A czy widziałaś nowe ozdoby firmy Pebbles? Są cudowne!

- Mam nadzieję, że nauczymy się robić specjalne kieszonki, do których będzie można wkładać rodzinne pamiątki i zdjęcia. Zanim moja siostra urodzi dziecko, chciałabym dołączyć do mojego albumu zdjęcie z jej pierwszej kąpieli.

- Pomarańczowo-brązowe litery Jenni Bowlin byłyby idealne. Och, i nowe kwiaty firmy Prima...

Isabel i Yvonne wymieniają zdziwione spojrzenia.

- Nic nie rozumiem - mówi Yvonne. - Ale muszę przyznać, że to dość ciekawe. Podśluchałam, jak ktoś mówił, że zapłacił ponad dwieście dolarów za krykiet. Czy to możliwe?

- Chodzi o cricut, czyli maszynkę do wycinania ozdób - szepcze któraś z siedzących za nią kobiet.

- Za jej pomocą można ciąć wszystko. Papier...

- Tkaninę... -Winył... -Filc...
- Już rozumiemy, dziękuję - mówi Isabel.
- Dwa razy w roku Bettie organizuje zloty - ciągnie jedna z członkiń klubu. - To coś jak zwykle spotkania, na których zbieramy się wszystkie, żeby pracować nad albumami, ale z jednym wyjątkiem. Dzielimy się wtedy naszymi maszynkami Cricut oraz wkładami z koleżankami, które ich nie mają. Można uzyskać każdy kształt lub wzór, dowolny rozmiar, litery...

Isabel zamyka oczy i udaje, że to tylko koszmarny sen, podczas gdy Yvonne słucha ze szczerym zainteresowaniem.

Claribel Apple, mieszkająca na tej samej ulicy co Isabel, otwiera torebkę i coś im pokazuje.

- Wykonałam tę kartkę na ostatnim zlocie. W przyszłym miesiącu podaruję ją mężowi na rocznicę naszego ślubu.

- Chyba że zatrzymasz ją dla siebie - wtrąca jej przyjaciółka i chichocze.

- Wiem! - wykrzykuje Claribel. - Tak bardzo mi się podoba, że chyba nie będę mogła się z nią rozstać. A on schowa ją do szuflady, w której trzyma skarpetki.

Yvonne szturcha Isabel w bok i kiwnięciem głowy wskazuje kartkę.

- Hej, to całkiem niezłe. Popatrz.

Isabel niechętnie podnosi wzrok. Kartka jest nieco naiwna i sentymentalna („W Twoich ramionach jestem najszczęśliwsza...”), ale trzeba przyznać, że wygląda

bardzo ładnie, jak drogi karnet z któregoś ze sklepów papierniczych w mieście.

- Ładna - mruczy i wzrusza ramionami.

Yvonne oddaje kartkę Claribel i odwraca się w kierunku Bettie. W jej oczach cały czas maluje się zainteresowanie.

- Miałyście wszystkie rację, ale zabawy będzie jeszcze więcej - mówi Bettie. Robi pauzę dla większego efektu i otwiera szeroko oczy, podczas gdy jej słuchaczki pochylają się naprzód w pełnym napięcia oczekiwaniu. - W tym miesiącu będziemy przyszywać nasze ozdoby!

W pokoju słychać radosne chóralne westchnienie i gromkie brawa. Isabel przyciska dłonie do uszu i patrzy na Yvonne.

- Zaraz oszaleję.

- Dla tych z was, które chcą ułatwić sobie pracę, mam gotowe zestawy na sześć stron - mówi Bettie, obchodząc pokój dookoła. - A w nich ramki, hasła, papier, piękne pinezki i naklejki, wycinanki oraz oczywiście sugestie dotyczące rozmieszczenia wszystkich elementów i przyszywania ich ręcznie lub maszynowo do kartek albumu. Pozostałe panie zachęcam do wykorzystania własnych pomysłów. Członkinie klubu dostają zestaw za darmo, goście płacą dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt dziewięć centów. - Zatrzymuje się przed Isabel i Yvonne, wręcza każdej z nich zestaw i kładzie palec na ustach, uśmiechając się tajemniczo.

- Mamy dodatkowe materiały w naszej „strefie specjalnej”

Isabel przebiega wzrokiem pokój.

- Masz na myśli mój stół z jadalni?

- ...i nie zapomnijcie zatrzymać się przy stole z akcesoriami do wymiany. Panie przynoszą ozdoby, których już nie chcą lub nie potrzebują, i wymieniają je na coś, co bardziej im się przyda. Są zadowolone, że mogą się czegoś pozbyć, więc jeśli coś wpadnie wam w oko, nie wahajcie się ani chwili. - Bettie odwraca się i woła donośnie: - Mamy dwie godziny. Do dzieła!

Kobiety zaczynają gromadzić się wokół stołów. Otwierają przenośne pojemniki z albumami oraz akcesoriami, wyjmują z nich deseczki do cięcia, pióra, markery, naklejki, plastikowe pudełka z ozdobami, bloczki papieru, luźne fotografie.

- To jest spotkanie klubu czy bazar? - szepcze Yvonne. - Pogubiłam się.

- Może sabbat - sugeruje Isabel, ale nikt nie docenia jej żartu. Spogląda na zestaw, który trzyma w ręce. - A to pech! Nie mam żadnych zdjęć. - Pstryka palcami z udawanym żalem.

- Przecież tu mieszkasz. - Yvonne pomaga jej rozłożyć przenośny stolik kempingowy i ustawia go przed nimi. - Musisz coś mieć. Nie trzymasz gdzieś dużego pudła ze zdjęciami? Każdy ma w domu coś takiego.

Isabel rzeczywiście ma takie pudło, ale z chwilą odejścia Billa powędrowało na strych razem ze wszystkimi ich albumami oraz fotografiami w ramkach. Po tragicznej śmierci męża Isabel weszła tam dosłownie na sekundę, chcąc znaleźć odpowiednie zdjęcie na nabożeństwo żałobne. Od tamtej pory nie zaglądała

na strych i w najbliższym czasie nie zamierza tego robić. Mówi jednak coś całkiem innego.

- Właśnie malowałam ściany, więc miałam tu bałagan. Nic nie leży na swoim miejscu i nie mogę niczego znaleźć.

- Może pani ozdobić strony, a zdjęcia dodać kiedy indziej - mówi Lorna, która właśnie przechodzi obok nich. - Tak zwykle robimy. Nie da się wszystkiego wykonać w jeden wieczór. Zresztą jaka byłaby z tego przyjemność? - Wybuchła śmiechem i idzie dalej.

- Wykonanie albumu poświęconego wycieczce do San Diego, którą urządziliśmy sobie z Jazzem w ubiegłym roku, zajęło mi cały weekend - przypomina sobie Cyndi Bloom.

-Uwielbiam San Diego! - wykrzykuje Yvonne. - Na jak długo państwo tam pojechali?

Cyndi przegląda zbiór nożyczek o fantazyjnych ostrzach.

- Na trzy dni.

- Chwileczkę - wtrąca Isabel. - Praca nad albumem dokumentującym wycieczkę zajęła pani tyle czasu, ile sama wycieczka? - Jest w stanie wyobrazić sobie wiele zajęć w weekendy, ale ręczne dekorowanie albumów na pewno do nich nie należy.

Cyndi zastanawia się przez chwilę.

- Ma pani rację, tyle samo, a nawet więcej. Najpierw przez dwa dni sporządzałam plan całego albumu, dopiero potem zabrałam się do pracy. Ale to się właściwie nie liczy, bo zazwyczaj oglądam w tym czasie telewizję.

Isabel potrząsa z niedowierzaniem głową i spogląda na Yvonne, szukając w jej wzroku potwierdzenia, że cała ta zabawa w scrapbooking nie ma sensu. Ale Yvonne jest już pochłonięta pracą - zastanawia się wraz z jedną z pań, czy powinna wyciąć sobie podkładkę pod zdjęcie, a jeśli tak, to pionową czy poziomą.

- Nie mogę się zdecydować - mówi Yvonne, bardziej do siebie samej niż do kogoś innego. - Większość moich zdjęć jest jednak w poziomie.
- Podnosi wzrok na Isabel i prosi: - Chodź, nie każ mi robić tego samej. To świetna zabawa!

Isabel ma już na końcu języka ciętą odpowiedź, gdy nagle widzi, że stojąca w przeciwległym rogu pokoju Bettie schyla się, by podnieść kawałek papieru, który spadł na podłogę. Pomimo swojego wieku Bettie porusza się bardzo sprawnie, ale przez ułamek sekundy Isabel dostrzega coś innego - chwilowy wyraz dezorientacji na jej twarzy, jej zmarszczone brwi i pospiesznie chwytany oddech, niepewność, z jaką rozgląda się po pokoju. Nikt inny nie widzi, jak Bettie zastyga nieruchomo na moment, całkowicie zagubiona, wciąż ściskając w dłoni kawałek papieru. Niemal natychmiast powraca do rzeczywistości, maszeruje energicznie przez pokój, wyrzuca papier do kosza na śmieci, udziela koleżankom praktycznych wskazówek i radzi, jak rozmieścić ozdobne ornamenty.

- Isabel? - Yvonne podnosi na nią wzrok. - Pomożesz mi?

- Co? - Isabel patrzy na Yvonne, jedyną osobę w pokoju, do której w ogóle ma ochotę się odzywać

i która wydaje się nie wzbierać przed rozmową z nią, po czym rzuca jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie na Bettie. Starsza pani ze śmiechem podnosi ze stołu papierowy kwiat, demonstrując zainteresowanym koleżankom, w jaki sposób przyszyć go do strony albumu. Może Isabel coś się przywidziało, ale nie jest w stanie stwierdzić tego na pewno. Tak czy inaczej, dopóki to spotkanie się nie skończy, ona nie ma się gdzie podziać. Zrezygnowana rozrywa celofanowe opakowanie zestawu, który otrzymała od Bettie, i wysypuje jego zawartość na stolik.

Max śpi w łóżku Avy. Ava stara się, żeby nie weszło mu to w zwyczaj, wie, że poradniki dla rodziców stanowczo zabraniają tego typu praktyk, ale uwielbia, kiedy synek wtula się w nią przez sen, uwielbia jego delikatną skórę, jego dziecięce paluszki zaciśnięte na jej piżamie lub bluzie. Ta specyficzna bliskość oboje uspokaja.

Dziś w przedszkolu Max znowu miał zły dzień. Ava dowiedziała się o tym od nauczycielki w chwili, gdy przypinała go do samochodowego fotelika. Była wściekła, że od razu jej o tym nie zawiadomiono, że nie dano jej szansy, by wcześniej zabrała go do domu i pocieszyła. Nauczycielka nie widziała dokładnie, co się stało. Prawdopodobnie dwoje dzieci pokłóciło się o plastikowe klocki i jedno uderzyło drugie. Max, który siedział wtedy między nimi, nie ucierpiało, ale stracił humor na resztę dnia. Przestał się w ogóle odzywać, nie zjadł obiadu ani podwieczorku. Natomiast spał po

południu, co chyba według nauczycielki miało naprawić wszystkie problemy.

Ava wsłuchuje się w krótki, równy oddech syna. Śpi mocno w nią wtulony, nie pozwalając jej odsunąć się nawet na włos.

On ma tylko ją. Ava wzdycha w ciemności. To jest dla niej najtrudniejsze, właśnie dlatego odwraca się na widok rodzin, w których oboje rodzice angażują się w wychowanie dzieci, wspierając się nawzajem i chroniąc. Przez jakiś czas należała do klubu mam, ale przestała przychodzić na spotkania, ponieważ nie mogła znieść kobiet wiecznie narzekających na mężów i opowiadających o tym, czego nie zrobili. A co z tym, co zdołali zrobić, nawet jeśli były to drobiazgi? To na pewno byłoby lepsze niż ciągła samotność, niż konieczność radzenia sobie ze wszystkim na własną rękę. Ona nie ma nikogo, z kim mogłaby porozmawiać, wymienić myśli i pomysły, zastanowić się nad modelem wychowania Maxa. Nie może rozchorować się ani zrobić sobie wolnego, nie może spektakularnie się załamać.

Po godzinie ostrożnie wstaje z łóżka. Układa poduszki dookoła Maxa i przymyka drzwi, zostawiając niewielką szparkę. Musi odpocząć, musi zostawić za sobą kolejny pechowy dzień, w którym bezskutecznie poszukiwała pracy. Dżip znów odmówił posłuszeństwa, ale na szczęście ktoś zdołał go uruchomić. Z jej oszczędnościami jest coraz bardziej kruch i nie ma najmniejszego pojęcia, co zrobi, gdy pieniądze ostatecznie się skończą.

Idzie do salonu, w najbardziej oddalony od sypialni kąt. Włącza lampkę przymocowaną do bocznej ścianki prowizorycznej półki z książkami i czuje, że ogarnia ją spokój. Jej twórczy kącik. Mały, ale jej. To jedyne miejsce, w którym może o wszystkim zapomnieć.

Na półce stoi rząd naczyń z kolorowymi, błyszczącymi kapslami czekającymi na przerobienie. Ava siada, włącza niewielkie radio, szykuje sobie stół do pracy i przystępuje do dzieła.

Kładzie kapsel na stalowej podkładce i gumowym młotkiem zaczyna spłaszczać jego brzegi. To zajęcie sprawia jej przyjemność, szczególnie po takim dniu jak dzisiejszy, ale pracuje szybko - kilka uderzeń z jednej i kilka z drugiej strony. Po dziesięciu minutach ma już pokaźny stosik kapsli. Odkłada młotek.

Tego wieczoru będzie robić spinki do włosów i zakładki, może jeszcze bransoletkę, jeśli zdąży. Wiele lokalnych sklepów z prezentami pragnie sprzedawać miejscowe produkty, zamiast sprowadzać je z daleka. Ava zdaje sobie sprawę, że w ten sposób prawdopodobnie nie zarobi na życie, ale jest to coś, co może wykonywać w wolnym czasie i co niewiele ją kosztuje. Zawsze miała wyjątkowe zdolności manualne - dlatego praca w charakterze pomocy dentystycznej przychodziła jej z taką łatwością - a przy wyrobie biżuterii liczy się przede wszystkim precyzja. A także dobra technika i wyczucie koloru. Zakres jej wyrobów nie jest szeroki. Ma już jednak za sobą etap prostych magnesów i kolczyków; jej biżuteria z kapsli prezentuje się naprawdę dobrze.

Ava wie, że gdyby mogła znów podjąć pracę jako pomoc dentystyczna, rozwiązałyby to wiele jej problemów, ale nawet nie próbowała się o nią ubiegać. Po śmierci Billa zastanawiała się, czy ludzie wiedzą, co się stało. Czuła, że plotki o ich romansie krążą po lokalnych gabinetach stomatologicznych. Początkowo powstrzymywał ją przed tym wstyd, obecnie zaś - czas, który upłynął. W każdym gabinecie będzie się od niej oczekiwać doświadczenia oraz referencji, a te ostatnie może wystawić jej tylko jedna osoba, ktoś, kogo Ava nie chce już nigdy w życiu oglądać na oczy. Mowa o doktorze Strombauerze, współpracowniku Billa.

Sięga po plastikowe pudełko na buty i unosi wieczko. W środku trzyma przezroczyste torebki z obrazkami pogrupowanymi według kolorów i pociętymi w małe kółeczka. Nie zastanawia się długo, wykorzystuje wszystko, co wpadnie jej w oko. Koliber, nuta, człowiek na rowerze. Wrzuci kilka kolorowych paciorków do żywicy, wiedząc, że będą unosić się na jej powierzchni, dopóki nie zastygnie. Ava lubi tę przypadkowość; podoba jej się to, że ujrzy swoje dzieło dopiero wówczas, gdy będzie gotowe. Nabiera pełną garść ozdób i rozkłada je na stole.

Teraz czas na jej ulubiony etap. Zanurza palce w plastikowym pojemniku pełnym koralików, przeważnie szklanych, a także kryształowych oraz wykonanych techniką lampwork. Są tam też nasiona. Paciorki lśnią w świetle lampy, ich jaskrawe kolory tchną nadzieją i szczęściem. Spójrz na nas! - zdają się mówić. Ava nabiera ich niewiele i wysypuje ostrożnie na specjalną matę.

Pracuje sprawnie i cicho, nasłuchując, czy Max nie woła. Lokalne radio z Avalon nadaje dawne przeboje. Ava słyszy znaną piosenkę i przerywa pracę. Trzymając w dłoni obcęgi, słucha i wspomina. Uśmiechy. Miłość. Ten sam utwór rozbrzmiewający w gabinecie dentystycznym, puszczonego z odtwarzacza na zapleczu; składanka przebojów, którą co miesiąc dostawali pocztą.

Tęskni za Billem.

Myśl ta ją paraliżuje. Ava usiłuje głęboko oddychać, nie chce dać się ponieść emocjom, ale nie chce też zapomnieć. Nigdy nie może o nim zapomnieć.

Bill, mężczyzna, którego kochała, mężczyzna, który dał jej Maxa. Nie mógł zobaczyć syna, potrzymać go choć raz w ramionach, musnąć ustami jego dziecięcego czoła. Zginął, zanim Max przyszedł na świat. Jej syn nigdy nie pozna swojego ojca.

Ava zamyka oczy.

Nie chodzi tutaj wyłącznie o Maxa, ale również o nią. Tęskni za Billem. Chciałaby znowu usłyszeć, jak snuje plany na przyszłość i powtarza jej, że wszystko pomyślnie się ułoży, że znajdą wyjście z tej sytuacji, że wszystko będzie dobrze - nie, lepiej niż dobrze. Wspaniale. Powyżej oczekiwań. Nowe życie dla nich obojga, razem. Tak mówił, a ona mu wierzyła. A teraz... co? Najbardziej doskwiera Avie samotność. Odrzucenie. Ponieważ matka Billa, biologiczna babcia Maxa, oświadczyła jasno, że nie chce mieć z nimi nic wspólnego, pozostała jej już tylko jedna jedyna osoba.

Ava pisze do niej listy, lecz nie otrzymuje odpowiedzi. Nie wie nawet, czy ta kobieta wciąż jeszcze

mieszka w Avalon. W końcu minęły już cztery lata i może się wyprowadziła. Ava również powinna się stąd wyprowadzić, ale nie potrafi. Może wciąż jest jeszcze za wcześnie na spotkanie z nią, a Ava nie jest w stanie pojąć tej aluzji i pozostawić sprawy ich naturalnemu biegowi. Gdyby to dotyczyło wyłącznie jej, już dawno spakowałyby się i wyjechała. Ale przecież chodzi też o Maxa.

Druciana nic wyslizguje się jej spomiędzy szczypiec. Paciorki z kryształkami Swarovskiego rozsypują się w powietrzu. Ava patrzy bezradnie, jak fruną przez pokój i spadają na gruby dywan, znikają.

Klęka pospiesznie, usiłując powstrzymać łzy. Wie, jakie jest życie, a przynajmniej jej życie aż do obecnej chwili - jeśli spodziewasz się kolejnego ciosu, na pewno go otrzymasz. Obiecuje sobie, że w końcu przestanie się zamartwiać. Będzie myślała o życiu swoim i Maxa wyłącznie pozytywnie. Dostanie pracę, naprawi samochód, znajdzie wszystkie kryształki. Będzie robić co tylko w jej mocy, żeby zapewnić synowi możliwie najlepsze życie. I wszystko dobrze się ułoży. Nie, więcej - będzie lepiej, niż można oczekiwać. Cud za cudem.

Przez krótką chwilę Ava wierzy w to gorąco. Jej wzrok pada na pierwszy kryształek migoczący na grubym, puszystym dywanie. Gdy jednak po niego sięga, okazuje się, że jest to odłamek plastiku z którejś zabawki Maxa. I wtedy do jej uszu dobiega cichy płacz synka, który zorientował się, że nie ma jej w łóżku. Woła ją z sypialni zaspanym, niepewnym, pełnym paniki głosem. Ava wie, że z powodu wady wzroku pokój

wydaje mu się ponury i ciemny. Dopiero gdy włoży okulary, będzie mógł rozpoznać w niekształtnych, rozmazanych plamach konkretne przedmioty. Ava waha się, ale tylko przez chwilę. Wstaje, gasi lampę, wyłącza radio. Mieszkanie znów pogrąża się w ciemnościach.

- Już idę, Max.

*Christopher Barlowe, lat 55,
właściciel studia fotograficznego
„Gdzie wzrok nie sięga”*

Och, wygląda pani wspaniale. Naprawdę. Będzie pani zachwycona! Jest pani bardzo naturalna, o, właśnie tak, to jest to! Tak trzymać. Myślę, że się pani nie rozczaruje. Zdjęcia będą świetne, gwarantuję.

Christopher Barlowe zaczął robić zdjęcia jako dwudziestolatek. Jego fotografie podróżnicze i artystyczne pojawiały się w czasopismach i zdobywały nagrody. Kilka lat temu zaczął zarabiać na tyle dobrze, że stać go było nie tylko na utrzymanie rodziny, ale również na kupno działki w sąsiedztwie swojego domu i wybudowanie na niej studia. Dzięki temu może chodzić do pracy w pizamie, choć nigdy tego nie robi - wciąż goli się i ubiera z taką starannością, jakby wybierał się do swojego dawnego miejsca pracy przy Main Street. Jest dumny ze swojego zajęcia i nie traktuje go mniej serio tylko dlatego, że jego nowe studio oddalone jest

o niecałą minutę drogi od kuchni. Gdy ludzie pytają go o pracę, wręcza im wizytówkę. Widząc na jej froncie napis „fotograf”, a na odwrocie minigalerię zdjęć portretowych, biorą go za kogoś, kto ogranicza się do fotografii ślubnej oraz portretów absolwentów szkół średnich i college'ów. Oczywiście wykonuje takie zdjęcia, nawet bardzo to lubi, ale jego praca to przecież coś więcej niż posługiwanie się aparatem.

Miał kiedyś ucznia, który uważał fotografowanie za sposób na łatwe zarabianie pieniędzy. Powiedział mu wtedy: „Jeśli chcesz być w tym naprawdę dobry, nie możesz uważać się wyłącznie za fotografa. Musisz być częściowo psychologiem, częściowo socjologiem. Musisz rozumieć ludzi, których portretujesz; musisz sprawić, by przed obiektywem czuli się dobrze w swojej skórze. Jeśli mają gorszy dzień lub są zdenerwowani, musisz pomóc im poczuć się lepiej. Powinni wyjść od ciebie zadowoleni ze zdjęć i z samych siebie”.

Jak można się domyślić, uczeń wcale go nie posłuchał. Z nadejściem wiosny otworzył własny zakład fotograficzny, oferował klientom zniżki i bony, przechwalał się na prawo i lewo, jak doskonałym jest fotografem i jak słabą ma konkurencję, włączając w to Christophera. Nie dotrwał do świąt Bożego Narodzenia, podczas gdy zakład „Gdzie wzrok nie sięga” wciąż doskonale prosperuje. To nie lada wyczyn w świetle faktu, iż obecnie niemal każdy posiada aparat cyfrowy, umie obrabiać zdjęcia i może zamawiać przez internet odbitki nawet na płótnie. Był jednak moment, gdy interes podupadł tak bardzo, że Christopher zaczął się

poważnie martwić, czy zdoła odbić się o dno i czy poradzi sobie po ewentualnym zamknięciu zakładu, Kocha Avalon - zarówno on, jak i jego żona wychowali się tutaj, to samo można powiedzieć teraz o ich córkach - ale przez pewien czas wszystko wisiało na włosku.

Przez miesiąc żył w przekonaniu, że będzie musiał zlikwidować interes na dobre. Był to najgorszy moment w jego życiu. Siedział w zakładzie i przeglądał plik rachunków do zapłacenia, zastanawiając się nad sensem swojej pracy. Czuł się fatalnie. Żona wyszła do domu wcześniej, zapłakana, martwiąc się, że być może będą zmuszeni opuścić Avalon, żyć i pracować gdzie indziej. Christopherowi również było bardzo smutno.

I właśnie wtedy ktoś zapukał do drzwi, na których wciąż widniał napis „Zamknięte”. Christopher podniósł wzrok i zorientował się, że zapomniał przekręcić zawieszkę na „Otwarte” - niewesołe rozmyślania zaprzętnęły go całkowicie. Zobaczył parasolkę i srebrno-niebieskawe włosy obcięte na pazia. Była to jego sąsiadka, Bettie Shelton. Wstał pospiesznie, żeby wpuścić ją do środka. Jak to bywa wiosną, cały dzień lało jak z cebra. Bettie oparła parasolkę o zewnętrzną framugę drzwi, stanęła na wycieraczce i zaczęła energicznie tupać nogami, by strząsnąć wodę z kaloszy.

- Wpadłam na chwilę, żeby dać panu to - powiedziała, wręczając Christopherowi gruby plik wizytówek, na których widniało jej nazwisko, numer telefonu i adres, a nad nimi napis: „Materiały do scrapbookingu. Wszystko, czego potrzebujesz, by zatrzymać wspomnienia”.

- Hm - mruknął, nie wiedząc, co z tym zrobić.

Bettie wyciągnęła z torebki niewielki stojak na wizytówki ozdobiony imitacjami kamieni szlachetnych i wstążką.

- Błogosławiony dzień, w którym wynaleziono pistolet do kleju. Jeśli ustawi to pan w miejscu widocznym dla pańskich klientów, a oni coś ode mnie kupią, dam im pięć... no, dziesięć procent zniżki. Będą musieli tylko pokazać mi tę wizytówkę. W rogu jest specjalny kod, widzi pan? Dzięki temu będę wiedziała, że to ktoś od pana. Pan też dostanie zniżkę.

Christopher wziął od niej wizytówki i postawił stojak obok niewielkiej kasy.

- Będą w widocznym miejscu, ale musi pani wiedzieć, że chyba niedługo zamknę ten zakład. Ludzie przestali już wydawać pieniądze na zdjęcia.

- Co? Proszę nie opowiadać bzdur - ofuknęła go Bettie. Rozejrzała się po zakładzie, przyglądając się z uwagą fotografiom na ścianach oraz albumom ze zdjęciami, wyłożonym na stoliku dla klientów. - To tylko i wyłącznie kwestia dostosowania się do nowych czasów.

- Tak, z pewnością. Kiedy już wpadnie pani na pomysł, jak tego dokonać, proszę koniecznie dać mi znać. - Christopher odwrócił się, chcąc posprzątać na biurku. Kątem oka dostrzegł jednak, że starsza pani zmarszczyła brwi.

- Co, już się pan poddał? Nawet nie zaczął się pan nad tym zastanawiać. - Potrząsnęła głową z wyraźnym rozczarowaniem. - Zauważyłam na przykład, że coraz

więcej ludzi zajmuje się fotografią użytkową i reklamową na sprzedaż, nie na zamówienie. Pan też powinien spróbować.

- Wszyscy to robią. Nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby chcieć kupić zdjęcia ode mnie, gdy może je nabyć w internecie.

- Święty Boże! Z takim nastawieniem już dawno powinien był pan zbankrutować! - Bettie wskazała jedno z jego ulubionych zdjęć wiszące na ścianie. Widniał na nim starszy mężczyzna siedzący wraz z wnukiem na ławce w parku w Avalon. - Proszę na to spojrzeć. Uchwycił pan nie tylko łączącą ich więź, ale również to, gdzie się znajdują. Nasz park już zawsze będzie dla tego chłopca miejscem szczególnych wspomnień, ilekroć się tam wybierze, pomyśli o swoim dziadku. A może w wolnym czasie zacznie pan fotografować charakterystyczne miejsca w okolicach Avalon? Jestem pewna, że firmy też mogłyby dawać panu zlecenia. Na przykład przedsiębiorcy, którzy chcieliby sfotografować się w drzwiach swojego zakładu. Hal ze sklepu rzeźniczego, wywijający tasakiem. Albo Mason Cribbs na swoim pługu śnieżnym w zimie. Albo Tessa Bridges wyjmująca z pieca gorący bochenek chleba. Zawsze powtarzamy ludziom, żeby kupowali lokalne produkty. Może czas im pokazać, co to właściwie znaczy. Co pan na to? - Bettie bawiła się przy tym wstążkami ozdabiającymi stojak na wizytówki, usiłując je ułożyć w możliwie najatrakcyjniejszy sposób.

Choć Christopher nie podzielał jej entuzjazmu, rozbudziła jego ciekawość. Dlaczego niemal cały czas

stoi za ladą, nie licząc przerw na zmywanie podłogi, i beczynn timer czeka na zlecenia? Powinien raczej zająć się tym, co potrafi robić najlepiej, czyli fotografowaniem. Nagły zapach opuchł go jednak równie szybko, jak się pojawił.

- Ale kto kupowałby takie zdjęcia? - zapytał.

- Ja - odparła Bettie, prostując się. - Chciałabym też, żeby sfotografował pan mnie oraz mój Klub Miłośniczek Albumów. Zależy mi na kilku ładnych czarno--białych zdjęciach z naszych spotkań, które będziemy mogli wkleić do kroniki. Mogłabym też zrobić z nich użytek podczas przygotowywania kartek na Boże Narodzenie.

W głowie Christophera rozdzwoniły się dzwony. Nie było to jednak ostrzeżenie, lecz znak, że jego wyobraźnia zaczyna pracować.

Przemyślał słowa Bettie - jak odpowiednio sportretować każdą osobę, jak zachęcić drobnych przedsiębiorców do zaprezentowania się klientom. Wiedział, że potrafi to uchwycić lepiej niż ktokolwiek inny. Ci ludzie w swoją pracę wkładali serce. A zadaniem Christophera było pokazanie tego reszcie świata.

Zaczął od Bettie i jej Klubu Miłośniczek Albumów. Sfotografował panie na zebraniu, potem odwiedził kilka z nich w domu i uwiecznił na zdjęciach ich stanowiska pracy oraz albumy. Dzięki temu otrzymał cztery kolejne zlecenia. Fotografował ludzi, którzy starali się o dotacje dla swoich organizacji non-profit, przedsiębiorców dokumentujących swoją działalność, a także biznesmenów, którym zależało na niebanalnych,

profesjonalnie wykonanych zdjęciach dla celów marketingowych i promocyjnych. Postanowił również promować swoją własną firmę - wykonał serię autoportretów, by klienci mogli oglądać go w akcji. Pół roku później nie miał już żadnych długów. Po dziewięciu miesiącach okazało się, że zarobił niemal tyle samo ile w minionym roku. Kolejny rok zaś okazał się najlepszym w całej jego zawodowej karierze.

Każdy może robić zdjęcia, nie da się temu zaprzeczyć. Ale, jak Christopher zawsze powtarza swoim potencjalnym klientom, nie każdy potrafi uchwycić to co najistotniejsze, dostrzec wyjątkowość danej osoby, obrazu, emocji. Spoglądając z uwagą na świat, by sportretować go w odpowiedni sposób, stajesz się artystą. To nie działanie na chybił trafił, lecz czynność wykonywana z wielkim zaangażowaniem. Widzisz, co jest najważniejsze, i robisz zdjęcie, żeby zobaczyć to cały świat.

Rozdział 6

Frances spogląda z rozmarzeniem na różowe halki i białe koronki. Stoi przed nowym sklepem Margot West, gdzie sprzedaje się upominki, kosmetyki, drewniane zabawki, dzianinę oraz ubranka dla dzieci. Napis na szybie głosi: TU KUPISZ PRODUKTY FIRMY AVON. Frances wspomina własne dzieciństwo, okrągłe pudełeczka z talkiem, które jej matka kupowała od sąsiadki, pani Granger. Frances też miała coś swojego - małą żółtą spinkę oraz ptaszka z otwieranym brzuszkiem, w którym mieścił się niewielki słoiczek balsamu do ust. Były to drobiazgi, ale przepadała za nimi i żałuje teraz, że zachowała tak niewiele pamiątek z dzieciństwa.

Brady z zapalem dyskutuje sam ze sobą, wciąż jeszcze pobudzony sporą dawką cukru, którą wchłonął na lunch pod postacią lodów w wafelku. Frances nie mogła na to nic poradzić - nie chciał paluszków z kurczaka, nie chciał makaronu z serem ani nawet

kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Wskazał palcem siedzącą nieopodal dziewczynkę, która zjadła lunch i właśnie się delektowała lodami z posypką. Ponieważ Nick był w szkole, a Noah zaczął chodzić do przedszkola, wybrali się do miasta we dwoje, mając czas tylko dla siebie. Frances nie chciała tego zepsuć.

Kilka razy próbowała porozmawiać z nim o małej siostrzyczce, która już wkrótce miała się pojawić w ich rodzinie, ale Brady patrzył na nią pustym wzrokiem, jakby przybyła z innej planety. Mała kto? Mała co? - zdawała się mówić jego mina.

Frances wzdycha. Nie powinna była próbować tłumaczyć tego trzylatkowi. Parę dni wcześniej wspólnie rysowali. Kiedy do pięciu uśmiechniętych twarzy, mających symbolizować ich rodzinę, dodała jeszcze jedną, Brady potrząsnął głową, zacisnął mocno palce na kredce, skreślił najmniejszą buźkę i z zadowoloną miną oddał jej rysunek.

- Zrozumie, kiedy ją zobaczy - tłumaczył spokojnie Reed, gdy zmartwiona Frances zadzwoniła do niego do pracy. - Daj mu czas.

Daj mu czas, daj mu czas. Frances zgodziła się, ale teraz, stojąc przed sklepem, ma pewien pomysł.

- Chodźmy kupić kilka rzeczy do paczki dla Mei Ling! - wykrzykuje głosem bardziej ożywionym niż zazwyczaj.

Brady wskazuje pociąg w wystawowym oknie.

- Pociąg! Pociąg! Chcę zobaczyć!

- Tak, pociąg - mówi Frances, popychając drzwi i prowadząc go do środka. Już w progu wita ich

podmucha chłodnego powietrza. Frances rozpoznaje zapach lawendy i czuje, że zaczyna ogarniać ją błogi nastrój. Stojąca za ladą Margot podnosi wzrok i macha jej przyjaźnie ręką.

- Wszystkie produkty z niebieską kropką są dziś o dziesięć procent tańsze - mówi. - Mamy też wyjątkową promocję obejmującą produkty do kąpieli i pielęgnacji ciała. Kupujesz jeden, a drugi dostajesz za darmo.

Brady biegnie do wystawowego okna.

- To dekoracja - mówi Margot. - Ta kolejka od lat należy do naszej rodziny. - Zdejmuje z półki mniejszy pociąg, również z drewna, pomalowany na naturalne kolory i schowany bezpiecznie za celofanowym opakowaniem. - Proszę spojrzeć, niebieska kropka! - Na jej twarzy maluje się szczere zdziwienie, jakby wcześniej nie miała o tym pojęcia.

- Zastanowimy się. - Frances uprzejmie kiwa głową, choć wie, że za nic w świecie nie wróci do domu z jeszcze jednym pociągiem. Ani z samolotem. Ani z wozem strażackim. Inne samochody też nie wchodzi w rachubę.

Żadnych labiryntów, torów wyścigowych, klocków lego. Frances zamierza również pozbyć się piłek golfowych, które Reed zabiera do domu po treningu, i zakazać mu przynoszenia kolejnych. Gdy Noah miał cztery lata, rzucił jedną z nich w drzwiczki piekarnika. Naprawa kosztowała sto pięćdziesiąt dolarów.

Co jeszcze? Koniec ze zdekompletowanymi zestawami dla majsterkowiczów. Koniec z rakietami, plastikowymi rewolwerami (to wszystko prezenty, nie jej

pomysł) oraz podobiznami Pana Bulwy. Chłopcy mają mnóstwo tego wszystkiego, ale Frances zależy teraz na czymś bardziej neutralnym, ciekawym zarówno dla chłopców, jak i dla dziewczynek. Spokojniejszym. Ładniejszym.

Zatrzymuje wzrok na miniaturowym serwisie do herbaty. Chyba zaraz zemdleje ze wzruszenia. Dzbanek, miecznik, cukierniczka, filiżanki i spodki z prawdziwej ceramiki, łyżeczki i plastikowe kanapki.

- Są wolne od ftalanów i bisfenolu A - informuje ją z dumą Margot. - Mam jeszcze urocze plastikowe ciasteczka, które będą do nich pasować. Są wykonane ręcznie przez Maureen Nyer. Na górze mają warstwę flauszu. Produkt lokalny.

Frances wzdycha gwałtownie na widok niewielkiej czekoladowej babeczki ozdobionej białym ścięciem, do złudzenia imitującym posypkę.

- Spójrz, Brady! Całkiem jak prawdziwe!

Brady nawet nie podnosi głowy, pochłonięty bez reszty przepychaniem pociągu przez tunel.

- Wezmę wszystko - mówi Frances, choć wie, że nie będzie mogła wysłać zabawek Mei Ling. Agencja adopcyjna określa jasno, co może znaleźć się w paczce do Chin, ale to nie szkodzi. Gdy tylko dziewczynka przyjedzie do Avalon, dostanie serwis i ciasteczka oraz dużo innych rzeczy, które przyszła matka adopcyjna dla niej odkłada.

Frances znajduje kilka zabawek nadających się do wysłania pocztą - niewielki album na zdjęcia, lalkę, spinki do włosów, książeczkę do kolorowania

z obrazkami z avalonskiego parku. Mei Ling nie mieszka w sierocińcu, tylko w rodzinie zastępczej, w Kantonie, ale Frances jest pewna, że nikt tam nie mówi po angielsku. Odkłada elementarze na półkę i zamiast nich kupuje kilka pocztówek z Avalon, mając nadzieję, że dziewczynka zakocha się w miasteczku, gdzie już wkrótce zamieszka.

Margot wbija do kasy ceny zakupionych przez Frances artykułów, gdy do sklepu wchodzi młoda kobieta.

- Hannah! - wykrzykuje Margot. - Zastanawiałam się, kiedy wpadniesz z kolejną porcją folderów. Ludzie pytają o twoje lekcje muzyki.

Obejmują się serdecznie. Hannah Wang jest kimś w rodzaju gwiazdy, wiolonczelistką, która kiedyś grała w słynnej orkiestrze symfonicznej w Nowym Jorku lub w Chicago, Frances nie pamięta dokładnie. Nie zna jej osobiście, ale spotkała ją w ubiegłym roku, gdy wszyscy mieszkańcy Avalon piekli Chleb Przyjaźni dla sąsiedniego miasteczka zdewastowanego przez powódź.

- Wzbogaciłam ofertę o lekcje z mistrzem. - Hannah wręcza Margot stos folderów. - I o jeszcze jeden kurs dla początkujących, więc musiałam napisać wszystko od nowa. Ale przynajmniej będą długo aktualne. - Patrzy z uśmiechem na Frances. - Cześć, jestem Hannah.

- Frances Latham. - Wymieniają uścisk dłoni. Frances jest pod wrażeniem wdzięku i elegancji Hannah. Wiolonczelistka wygląda na dwadzieścia kilka lat, jest wysoka i szczupła, ma figurę tancerki. Ciemne włosy gładko zaczesalała do tyłu i upięła w węzeł na karku.

- Spotkałyśmy się już w ubiegłym roku. W Herbaciarni Madeline.
- Podczas wypieku chleba dla Barrett - przypomina sobie Hannah, kiwając potakująco głową.

- Tak. Miło znów cię widzieć.

- Ciebie też.

Hannah dostrzega Brady'ego, cały czas bawiącego się drewnianym pociągiem.

- To twój syn? Uroczy.

- Mój najmłodszy, Brady - wyjaśnia Frances. - Mam trzech chłopców, wierz mi lub nie. Nick ma osiem lat, a Noah pięć. Brady skończył trzy.

Margot wydaje cichy gwizd, który może być wyrazem podziwu albo współczucia, ale Hannah śmieje się głośno.

- Na pewno masz pełne ręce roboty - mówi. - Mój chłopak ma trzech braci, więc wiem, jak to może wyglądać. Jego matka często opowiada mi, w jakie kłopoty pakowali się jako dzieci.

- Hannah chodzi z Jamiem Linde - wyjaśnia Margot. - Jamie rozwozi przesyłki dla firmy UPS. - Odbiera foldery od Hannah i podchodzi do drzwi sklepu, obok których wisi tablica na lokalne ogłoszenia i stoi niewielki stolik.

- Z Jamiem? - Frances gwałtownie wciąga powietrze. - Oczywiście, że znamy Jamiego! Właśnie wkleiłam jego zdjęcie do naszego albumu!

- Do waszego albumu?

- Przywiózł nam list w sprawie naszej córki, Mei Ling. Właściwie to nie jest jeszcze nasza córka, ale

już wkrótce nią zostanie. Adoptujemy dziewczynkę z Chin. Zrobiłam sobie zdjęcia z Jamiem, kiedy przyjechał z listem potwierdzającym adopcję.

- Pamiętam! - wykrzykuje Hannah, po czym gwałtownie się rumieni.
- Nie miej o to pretensji, ale Jamie powiedział mi, że w Avalon jest rodzina, która adoptuje dziecko z Chin. Uważam, że to wspaniałe, Frances.

- My też - mówi Frances z szerokim uśmiechem. Cieszy ją, że może z kimś o tym porozmawiać. Dzieli się tą wieścią dość ostrożnie - nie chce zostać zasypana lawiną pytań, nie chce rozbudzać niczyich nadziei, również własnych, lecz teraz odczuwa tak wielką ulgę, że ktoś o tym wie, a na dodatek Hannah sprawia wrażenie osoby szczerze ucieszonej jej radością.

- Mamy nadzieję, że pojawi się u nas najpóźniej na Boże Narodzenie. Wiem, że to już tylko kilka miesięcy, ale takie oczekiwanie jest jak wieczność.

- Jestem szczerze wzruszona - mówi Hannah. - Nawet się nie obejrzyście, a dziewczynka już z wami będzie.

Frances uśmiecha się z wdzięcznością. Hannah odwzajemnia uśmiech.

- Mam nadzieję, że znów cię spotkam. Może z córeczką.

- Mnie też byłoby miło. - Frances patrzy na zegar ścienny. - Och, jestem już spóźniona. Chłopcy zaraz kończą szkołę. - Zbiera pośpiesznie zakupy z lady, żałując, że nie może zostać i jeszcze porozmawiać. - Pozdrów od nas Jamiego. Do zobaczenia.

Wyprowadza opierającego się Brady'ego ze sklepu. Gdy tylko zamykają za sobą drzwi, owiewa ich

podmucha gorącego powietrza, ale Francésiego prawie nie zauważa. Nie przeszkadza jej nawet marudzenie synka, który prosi, żeby wzięła go na ręce, na co w końcu się godzi. W drodze do samochodu zakupy i Brady ciążą jej coraz bardziej; oblewa się potem, ale czuje się zbyt szczęśliwa, by zwracać na to uwagę. Rozmowa z Hannah o Mei Ling uczyniła przyszłość jeszcze realniejszą. Zaakceptowano ich, otrzymali odpowiedź z agencji, mają Mei Ling. Musi przyzwycząić się do mówienia, że ma czworo dzieci, ponieważ Mei Ling stanie się jej córką, to tylko kwestia czasu.

Isabel wpatruje się w kopertę ze stemplem pocztowym z Barrett. Charakter pisma jest jej nieznany, ale w górnym lewym rogu dostrzega adres zwrotny i nazwisko. A. Catalina.

- Co tam masz?! - woła Bettie Shelton, stojąc w drzwiach swojego domu. Też sprawdza skrzynkę pocztową, zapchaną czasopismami i katalogami. - List od korespondencyjnego przyjaciela?

Isabel bez słowa zatrzaskuje skrzynkę. Wchodzi po schodach na werandę i omal się nie przewraca, bo pod jej stopą pęka któraś z desek. W ostatniej chwili chwytą się poręczy i usiłuje utrzymać równowagę.

- A nie mówiłam? - zwraca jej uwagę Bettie. - Całe szczęście, że nie zdarzyło się to podczas spotkania klubu. Miałabyś już sprawę w sądzie!

Isabel patrzy na nią ze złością, odkłada na bok pocztę i zaczyna oglądać podłogę werandy - przegniłą i zawilgoconą. Widzi deskę, która w ubiegłym tygodniu

pękła pod stopą Bettie, i kilka innych niebezpiecznych miejsc. Bill zawsze dbał o stan werandy, mył ją każdego roku myjką wysokociśnieniową, konserwował i bejcował. W jednej chwili Isabel zdaje sobie sprawę ze skali swojego niedbalstwa. Cała weranda sprawia wrażenie strefy szczególnego zagrożenia.

- Mam dwa egzemplarze „Crafters Today”! - woła do niej Bettie, wymachując czasopismem niczym flagą. - Chcesz jeden?

Jeśli Bettie sądzi, że sąsiadka zapomni o wydarzeniach z ubiegłego dnia, jest w wielkim błędzie. Isabel wciąż jeszcze znajduje rozmaite wstążki i oczka do ich przeciągania. Odwraca się, wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi, mając wrażenie, że dom wydaje wraz z nią głośne westchnienie ulgi.

Cisza. To ją uderzyło od razu po odejściu Billa - jak cichy w jednej chwili stał się ich dom. Nawet gdy przebywali w jego różnych częściach, pochłonięci swoimi zajęciami, zawsze słyszeli kroki współmałżonka, szelest przewracanych kartek, szum płynącej z kranu wody. Oczywiście sygnały, że nie jest się samemu.

Wchodzi do kuchni, przeglądając pocztę. Znowu ma w dłoni kopertę z Barrett. Widzi swoje imię, nazwisko i adres wykaligrafowane drobnym, starannym pismem, i czuje ucisk w sercu.

To trzeci taki list od śmierci Billa. Nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowana, co ma jej do powiedzenia ta kobieta.

Wyrzuca list do kosza na śmieci, wychodzi tylnymi drzwiami na podwórze, znajduje w szopie łom

i wchodzi od frontu na werandę. Kilka minut później przegniła deska jest już usunięta.

Po godzinie cała frontowa weranda jest już ogołocoana. Isabel nie ma pojęcia, co czynić dalej. Robi krok w tył, by ocenić swoje dzieło, nieco przerażona skalą dokonanych przez siebie zniszczeń, następnie zaś, całkiem już zrezygnowana, rzuca łom w trawę. Zaczęła od jednego przegniłego stopnia na schodach i dała się ponieść emocjom. Cieszyło ją zdzieranie uszkodzonej podłogi, skrzypienie starych gwoździ wychodzących opornie z drewna, suchy, ostry trzask pękających desek. Nabrała ochoty na całkiem nową podłogę i cieszyła ją myśl, że wymieni całość, nie tylko najbardziej zniszczone deski. Po chwili jednak przyszło otrzeźwienie. Zapłaci i za surowiec, i za pracę, bo tu trzeba fachowca.

Przed dom zajeżdża furgonetka. A cóż to znowu takiego? Z samochodu wysiada jakaś kobieta i macha ręką na powitanie, Ach, to Evelyn, poznały się na zebraniu Klubu Miłośniczek Albumów. Nie, Yvonne. Domowy technik, hydraulik.

Zaskoczona Isabel odwzajemnia gest Yvonne.

- Naprawiasz werandę? - pyta Yvonne, podchodząc bliżej.

- Raczej niszczę. - Isabel się krzywi. Beznadziejna sprawa. Żałuje, że nie może przywrócić werandy do poprzedniego stanu, ale jest już za późno. - Kiedy się do tego zabierałam, miałam wrażenie, że dobrze robię.

Yvonne uśmiecha się szeroko.

- Zatrzymałam się, by ci powiedzieć, że w tych

starych domach często nawala instalacja wodno-kanalizacyjna - mówi. - Może chcesz, żebym to sprawdziła. Na pewno zależy ci na szybkiej sprzedaży. - Kiwa głową w kierunku białej w trawnik tablicy.

- Jeszcze nie sprzedaję domu. Poza tym nowi właściciele będą mogli się tym zająć.

- Rozumiem, ale pomyślałam, że powinnam ci o tym wspomnieć. Dom Bettie był czwartym w tym miesiącu. Dam też znać waszym sąsiadom. Jeśli nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, a ty będziesz miała sprawną instalację, dużo zyskasz. Twój dom wyróżni się pozytywnie na tle innych.

Isabel zastanawia się przez chwilę.

- Ile będzie mnie to kosztować?

- Jest wielu hydraulików, którzy zrobią przegląd i podadzą ci szacunkową cenę, ale mogłabyś właściwie zrobić to sama. Mam wrażenie, że doskonale posługujesz się narzędziami.

- Ja? - prychna Isabel. - Nie znam większej niezdary ode mnie.

Yvonne zerka na werandę.

- Dałabym się nabrać. Widzę duże zmiany. Dobra robota. Nie naruszyłaś krawędzi. - Patrzy na zalegające na trawniku deski. - I zostało kilka całkiem porządných desek.

- Tak, zbyt późno się zorientowałam. Zawsze mam tak w życiu.

Yvonne unosi brwi, ale milczy.

- Chwileczkę - mówi nagle Isabel, pochylając się w jej kierunku. - Przepraszam, lecz muszę o coś

zapytać. Jakim cudem hydraulik ma tak idealnie wyregulowane brwi? Czy to jeden z wymogów, jakie trzeba spełnić, by pracować w tym zawodzie? - Isabel wie, że zachowuje się obcesowo, ale się tym nie przejmuje. Intryguje ją aparycja Yvonne. Niektóre kobiety wyglądają atrakcyjnie, mimo iż sprawiają wrażenie, jakby w ogóle o to nie dbały. Jak one to robią? Yvonne wybucha śmiechem.

- Trudno wyzbyć się starych przyzwyczajzeń. Matka wetknęła mi w dłoń pincetkę, kiedy miałam może jakieś dziesięć lat. Nauczyła mnie wyrywać niechciane włosy w tej samej chwili, gdy się pojawiały.

Isabel siada ciężko na schodach.

- Założę się, że ćwiczysz na siłowni.

- Wystarczy mi moja praca. Ale ilekroć mam sposobność, chodzę na basen. Mam trzydzieści dwa lata i muszę starać się bardziej niż dawniej, żeby dobrze wyglądać.

- Nienawidzę ćwiczeń. - Isabel czuje się stara i zaniedbana.

- Wyrywając te deski, spaliłaś dużo kalorii - zauważa Yvonne. - To lepsze niż wiosła, wiesz?

- Mhm. - Choć Isabel współczuje samej sobie, zdobywa się na słaby uśmiech. - Może w takim razie, skoro już zaczęłam tak gruntowny remont, powinnam wymienić jeszcze gont na dachu?

- Dlaczego nie? I przerobić kuchnię.

- Zainstalować podwieszany sufit w pralni.

- Wymienić płytki w łazience.

- Ocieplić strych.

- Zadbać o odpowiedni wystrój okien.
- Nawet nie wiem, co to takiego - mówi Isabel. - Chodzi o zasłony i rolety?

Yvonne kiwa głową.

- W zasadzie o wszystko, czym dekorujemy okna. To sens życia mojej matki. - Przewraca oczyma. - To naprawdę smutne.

Obie wybuchają śmiechem.

- Isabel! - rozlega się głos za ich plecami. Odwracają się jednocześnie i widzą Bettie Shelton stojącą w drzwiach swojego domu. - Mam wielką nadzieję, że jeszcze dziś uporządkujesz ten bałagan. To bardzo przykry widok. Dlaczego sąsiedzi mają sobie myśleć, że twój dom popada w ruinę?

Isabel, która nareszcie jest w dobrym humorze, nie zamierza tym razem podporządkować się sąsiadce.

- Obawiam się, że to niemożliwe! - woła, machając do niej wesoło, czego nigdy wcześniej nie robiła. - Jestem wykończona. Może jutro. Albo po weekendzie. Na pewno przed Halloween!

Bettie zaciska usta i znika za progiem. Yvonne ma minę, jakby zrobiła coś złego.

- To urocza starsza pani - mówi, słysząc głośnie Irzaśnięcie drzwi. - Miała dobre intencje.

- Och, nie znasz jej tak dobrze jak ja. Już zapomniałaś, jak wtargnęła do mojego domu? Bez pozwolenia? I może jeszcze z twoją pomocą? - To pytanie brzmi oskarżycielsko.

Yvonne marszczy brwi.

- Wiem, przepraszam. Nie miałam o tym pojęcia. Myślałam, że się przyjaźnicie.

- Cóż... - Isabel podchodzi do stosu desek i mocno kopie jedną z nich.
- Nie mam wielu przyjaciół.

W milczeniu przyglądają się deskom. Kilkoro dzieci z sąsiedztwa wyraźnie zainteresowało się poczynaniami Isabel.

- Co pani robi z tymi deskami? - Chłopiec z szopą rudych włosów i piegami na nosie opiera się na kierownicy swojego roweru. Na imię ma Jack albo Jake. Isabel, która nigdy tego nie pamięta, podnosi na niego wzrok.

- Jeszcze o tym nie myślałam. A dlaczego pytasz? Masz jakiś pomysł?

- Chcemy zbudować domek, w którym będziemy się spotykać - oznajmia jej inne dziecko. - Na podwórku Lucy Fitzpatrick. Jest największe.

Isabel zastanawia się nad ich propozycją. Nie musiałyby się martwić, gdzie to wyrzucić. Yvonne z aprobatą kiwa głową.

- Jeśli chcecie, możemy wam pomóc - proponuje. Dzieci wydają chóralny okrzyk radości.

- My?! - Isabel patrzy na nią ze złością, ale po chwili myśli sobie, że właściwie nic się nie stało. Jest sobota, a ona i tak nie ma nic innego do roboty. - Dobrze - mówi w końcu, przewracając oczyma na widok Yvonne przybijającej piątkę z piegowatym chłopcem. - Ale najpierw powinniście chyba zapytać rodziców. I Lucy Fitzpatrick.

- Zgodzą się - odpowiada chłopiec przez ramię i dzieci pospiesznie odjeżdżają. - Zaraz będziemy z powrotem!

Yvonne odchodzi kilka kroków na bok, żeby odebrać telefon, który właśnie rozdzwonił jej się w kieszeni.

Isabel zaczyna przeglądać deski, odkładając na jeden stos lepiej zachowane, na drugi - przegniłe. Może zdecyduje się na drewniany kompozyt, coś łatwego w utrzymaniu, co można zmyć węžem ogrodowym. Nagle widzi czyjś cień.

- Myślisz, że te gorsze deski też im się przydadzą? - pyta. - Jeśli odpiłują uszkodzone miejsca, będą mogli uratować...

Podnosi wzrok, spodziewając się ujrzeć Yvonne, ale widzi młodą kobietę, wyraźnie niepewną siebie. Usiłuje sobie przypomnieć, kim ona jest, i nagle zastyga bez ruchu, bezgranicznie zdumiona.

Ava. Ava Catalina, asystentka, a potem kochanka jej męża. Kobieta, która nieodwracalnie zniszczyła jej życie. Isabel robi głęboki wdech. Ma wrażenie, że zamieniła się w kamień, nie jest w stanie się poruszyć. Yvonne cały czas rozmawia przez telefon, odwrócona do nich plecami, nieświadoma, że dołączył do nich nieproszony gość. Isabel się prostuje. Miło jej widzieć, że jest wyższa od Avy.

Pragnie zmiażdżyć rywalkę spojrzeniem, lecz coś ją powstrzymuje. Kobieta, która przed nią stoi, różni się od tamtej dziewczyny sprzed kilku lat. Zniknęły gdzieś żywe morskie zielenie i wyraziste błękity. Ava ma na sobie spłowiałą spódnice, która kiedyś była zapewne czerwona, a teraz przybrała kolor brudnego rózu. Włożyła do tego białą koszulkę oraz zwykłe sandały. Jej paznokcie nie są już pomalowane, lecz krótkie i bezbarwne. A jej włosy - Isabel przypomina sobie, że były gęste i lśniące, w kolorze czekolady, i sięgały Avie za ramiona. Teraz są obcięte krótko, na pazia. Straciły

puszystość i przylegają do głowy. Choć dziewczyna wciąż wygląda irytująco korzystnie, nie jest to piękność ze wspomnień Isabel.

Ava robi mały krok do przodu, zaciskając dłoń na taniej dżinsowej torebce przewieszanej na ukos przez ramię.

- Zapewne nie życzy sobie pani ze mną rozmawiać. Nie chciałam tutaj przyjeżdżać, ale obawiałam się, że gdy zadzwonię, odłoży pani słuchawkę. Wysłałam list...

Isabel odzyskuje głos.

- Jest w koszu na śmieci.

- Chciałam porozmawiać. Pomyślałam, że powinniśmy porozmawiać.

Isabel potrząsa przecząco głową.

- Nie mam pani nic do powiedzenia. - Ogląda się na Yvonne, która wciąż ma telefon przy uchu, a jednocześnie przygląda im się z ciekawością.

Ava niepewnie podąża wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Jeśli to nieodpowiednia pora...

Isabel robi krok do przodu. Ava patrzy na nią rozszerzonymi oczyma, kuli się i cofa. Boi się, uświadamia sobie Isabel. Mnie się boi.

- Proszę stąd iść - mówi cierpko.

Ava drżącymi rękoma otwiera torebkę i wyciąga z niej niewielką kartkę papieru.

- Gdyby chciała pani do mnie zadzwonić, tu jest mój numer telefonu. Znajdzie mnie też pani w książce...

- Wynoś się z mojego domu! - krzyczy Isabel. Kartka upada na ziemię. Ava wybiega na ulicę, gdzie stoi zielony dżip z opuszczonymi szybami. Isabel

dostrzega czubek głowy dziecka siedzącego w foteliku. Ava płacze, szukając na oślep klamki. W końcu udaje jej się otworzyć drzwi dżipa i usiąść za kierownicą. Uruchamia silnik i pospiesznie zawraca, o mało nie zderzając się przy tym z nadjeżdżającym z naprzeciwka samochodem, który gwałtownie skręca na pobocze.

Isabel schyla się, żeby podnieść kartkę. Widzi słowa „Max i Ava” oraz numer telefonu. Składa kartkę, drze ją na pół, potem jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze.

- Cóż, nieźle. - Yvonne staje za jej plecami. - Wygląda na to, że wcale nie żartowałaś z tym brakiem przyjaciół. - Osłaniając oczy od słońca, wpatruje się w dżipa znikającego w oddali.

Isabel odwraca się i widzi kilkoro sąsiadów, którzy właśnie wchodzą na jej podwórze. Dzieci są wyraźnie podekscytowane, dyskutują z ożywieniem i kłócą się o pierwszeństwo wyboru. W kilka minut deski znikają sprzed jej domu, a pochód rodziców i dzieci kieruje się w stronę podwórka Lucy Fitzpatrick, gdzie ktoś ustawił niewielki stragan z lemoniadą w cenie dwadzieścia pięć centów za szklanekę.

Yvonne sięga po skrzynkę z narzędziami. Isabel wyrzuca w powietrze podartą kartkę, mając nadzieję, że porwie ją wiatr, ale kawałki papieru sfruwają jej prosto pod nogi. Jeden z nich ląduje zapisaną stroną do góry i Isabel widzi już tylko jedno słowo.

Max.

Connie budzi się gwałtownie. Czuje na czole cienką strużkę potu. W pokoju jest gorąco, duszno. Connie nie lubi włączać na noc klimatyzacji, woli używać

wentylatora sufitowego, ale tym razem zapomniała go uruchomić przed pójściem spać.

Budzik wskazuje drugą w nocy. Connie zrzuca z siebie cienką kołdrę i leży przez chwilę, usiłując się ochłodzić, ale okazuje się to niemożliwe. Wstaje, szuka po omacku przycisku na ścianie i włącza wentylator. Podchodzi do drzwi balkonowych i otwiera je na całą szerokość, mając nadzieję na odrobinę letniego wietrzyku, lecz powietrze stoi. Coś głośno szeleści w krzakach pod balkonem.

Connie postawiła mocniejszy płot, z bramą, której Serena nie otworzy, ale zdaje sobie sprawę, że niesforne zwierzę mogło znów coś zbroić. A tyle radości jej daje to stworzenie. Znalazła gdzieś starą zieloną budę dla psa w kształcie igloo, wyczyściła ją porządnie i wstawiła do zagrody Sereny. Początkowo koza nie wydawała się szczególnie zainteresowana, ale jeszcze tego samego popołudnia ucięła sobie w niej popołudniową drzemkę. Od tamtej pory bardzo sobie budę upodobała - wskakuje na jej dach jak kozica i przywołuje Connie, by przyszła się z nią pobawić.

Serena zachowuje się teraz podejrzanie cicho i Connie zastanawia się, w jakie kłopoty jej podopieczna wpakowała się tym razem. Szepcze cicho jej imię. Rozlega się hałas, ale kozy nie widać. Connie pospiesznie wybiega z pokoju. W holu wpada na Madeline, która podskakuje z przerażenia.

- O Boże! - Starsza pani chwyta się za serce. Na nocną koszulę narzuciła szlafroczek. - Coś hałasuje przed domem, idę sprawdzić, co się dzieje. Zdaje się, że twoja koza znów uciekła.

- Wiem - przytakuje Connie. Ma nadzieję, że Madeline nie zapyta, czy rozmawiała z weterynarzem lub czy powiesiła w sklepie zoologicznym ogłoszenie o odnalezionej kozie, ponieważ tego nie zrobiła.

- Dolores twierdzi, że Walter ma lekki sen - mówi Madeline. - Miejmy nadzieję, że nie wybrał się na nocną przechadzkę.

Na wspomnienie Lassiterów Connie przyspiesza kroku. Musi koniecznie dotrzeć do Sereny przed Walterem. Madeline włącza światło nad tylną częścią werandy i otwiera drzwi od ogrodu. Ponownie słyhać hałas i ciche mamrotanie. Z najdalszego kąta podwórza dochodzi do ich uszu meczenie Sereny. Brzmi jak ostrzeżenie, jak alarm. Connie czuje, że włosy na głowie stają jej dęba.

Wysuwa się przed Madeline i stara się przeniknąć wzrokiem ciemność.

- Jest tu ktoś?! - woła.

Madeline zdążyła tymczasem przezornie się wycofać i stoi teraz przy wiszącym na ścianie telefonie, z ręką na słuchawce, gotowa w każdej chwili wybrać numer 911.

- Jest tu ktoś?! - woła jeszcze raz Connie. Krzaki znów się poruszają. Connie robi krok w tył,

chcąc zapewnić sobie możliwość ucieczki. Nagle z plątaniny gałęzi wyłania się Bettie Shelton w nocnej koszuli. We włosach ma drobne listki, na nogach brudne kapcie.

- Herbata Darjeeling! - wykrzykuje, po czym odwraca się na pięcie i znika w ciemnościach.

*Wally Miller, lat 62,
założyciel stowarzyszenia
Mężczyźni w Fartuchach*

Uwaga, oto co mamy: Pan Jeffreys robi zapiekankę pasterską, Frank Arrington peklowany ozór, Ronnie Stevens piezzonego kurczaka, R.L. Yelverton zupę rybną z owocami morza, Koji Takahashi rai *chazuke* - czy dobrze to wymówiłem? - a Charlie Knox potrawkę z wiewiórki. Czy kogoś pominąłem? - Wally Miller podnosi wzrok z nad notatek i rozgląda się po pokoju. R.L. podnosi rękę.

- Zapomniałeś o Winslowie. Pojechał w odwiedzinę do córki, która mieszka w St. Louis, ale na pewno chciałby dodać do książki swój deser.

- Dobrze. - Wally zaznacza to w notatniku. - Pamiętajcie składniki?
- Gęsta śmietana, jabłkowa brandy...
- Białe rodzynki...
- Nie zapomnijcie o kandyzowanym ananasie...

- I siekanych orzechach - kończy Wally. - Tak, myślę, że to jest to.

Jordan Adams podnosi rękę z wyraźnie zawstydzoną miną. Jest wysokim, postawnym mężczyzną o rumianej cerze, ale wszystkim natychmiast rzuciły się w oczy zaróżowione koniuszki jego uszu. Odchrząkuje kilka razy i mówi:

- Zmieniłem zdanie. Chciałbym dodać moją szynkę w galarecie, jeśli to jeszcze możliwe.

Koledzy klepią go po plecach z aprobatą, ale zachowują powagę. Jordan Adams należy do ich stowarzyszenia od niedawna. W ubiegłym roku zmarła mu żona.

- Świetnie, Jordan. Bardzo się cieszymy. - Wally posyła mu przyjazny uśmiech. Jordan ociera sobie oczy wierzchem dłoni.

- Czy farsz z ostryg można zaliczyć do kategorii „owoce morza”? - pyta jeden z panów.

- Czemu nie - odpowiada Wally. - Mam zapisać, Geraldzie?

- Tak.

- Farsz z ostryg - notuje Wally. - To ta potrawa, którą podałeś z sosem worcestershire? Chyba zrobiłeś ją ostatnio na Dzień Niepodległości.

Gerald kiwa potakująco głową.

- Smażony boczek wystrzałowio do niej pasuje.

- Racja. Uwaga, liczę przepisy, które już mamy, i te, które właśnie dodaliśmy. Wychodzi na to, że zebraliśmy ich sto dwadzieścia siedem, czyli o dwa więcej, niż zakładaliśmy. Mamy naszą własną książkę kucharską, panowie!

Zebrani w pokoju mężczyźni wybuchają szczerym entuzjazmem i zaczynają sobie gratulować. Kilku wyciąga chusteczki do nosa i udaje, że kicha.

Wally zamyka gruby segregator pełen przepisów, którymi dzielili się przez całe lata. Sam również odczuwa wzruszenie, nie potrafi jeszcze uwierzyć, że naprawdę tego dokonali. Napisali książkę kucharską, a drukarnia z Rockford opublikuje ją i pomoże im w dystrybucji.

Pięć lat temu podsunęła im ten pomysł Bettie Shelton, ale nie byli pewni, czy pragną rozgłosu. Gdy jednak Bettie uświadomiła im, że tego typu książka nie tylko byłaby wyjątkową pamiątką, lecz również mogłaby pomóc innym ludziom będącym w podobnej sytuacji, zaczęli się nad tym zastanawiać.

Powstanie stowarzyszenia było dziełem przypadku. Kilku mężczyzn uczęszczających na cotygodniowe spotkania grupy wsparcia dla tych, którzy stracili kogoś bliskiego, zaczęło zostawać dłużej, żeby wymienić się przepisami albo porozmawiać o tym, z jakim trudem przychodzi im gotowanie dla jednej osoby. Każdemu z nich zmarła żona lub krewna, która zwykła zajmować się sprawami całkowicie im obcymi, czyli na przykład gotowaniem. Wszyscy zaczęli od przypalonej patelni, uruchomionego alarmu przeciwpożarowego i garnka zupy z puszki, jedynej potrawy, którą potrafili przyrządzić. Czuli się przy tym tak samotni, iż mieli wrażenie, że stali się niewidzialni.

Wally wpadł na pomysł, żeby zaczęli wymieniać się przepisami i wzajemnie sobie pomagać. Nic wielkiego

na początek - jeden wspólny przepis na tydzień oraz lista składników, a w następnym tygodniu dzielenie się spostrzeżeniami. Zajmowało im to sporo czasu, ale jednocześnie sprawiało, że zaczęli odzyskiwać dobre samopoczucie i pewność siebie. Wally dobrze wie, że gdy ktoś wyciąga z szafki książkę kucharską swojej zmarłej żony albo pożółkłe notatki z babcinymi przepisami, jest już na dobrej drodze do odzyskania równowagi. Niemal każdy z tych przepisów sprowokuje kogoś do płaczu.

Dla Boyda Robby'ego były to kiełbaski w cieście, smażone na smalcu - przepis jego żony. Dla Otto Warrena - prasowana cielecina. David Combs serwował im w kółko gulasz z owocami morza - nie dawał za wygraną, dopóki nie osiągnął w tym prawdziwego mistrzostwa.

Dla Wally'ego był to kotlet schabowy po hiszpańsku; często robiła to Virginia. Ułóż kotlet w naczyniu żaroodpornym wraz z krążkami cebuli, pokrojoną papryką i czubatą łyżką stołową suchego, nieugotowanego ryżu. Wszystko polej pomidorami z puszki i obficie przypraw. Zapiekać w piekarniku przez czterdzieści pięć minut w temperaturze dwustu stopni, a otrzymasz potrawę, którą nieprędko zapomnisz. Ilekroć Wally przyrządza to danie, przypomina sobie uśmiechniętą Virginię siedzącą naprzeciwko niego przy stole. Tak bardzo pragnąłby zawrócić czas i przygotować kotlet po hiszpańsku specjalnie dla niej. Wie, że byłaby dumna z postępów, jakie udało mu się zrobić.

Na tym właśnie polega wyjątkowość ich książki kucharskiej. Są w niej nie tylko receptury, lecz również

wspomnienia. Każdy z członków stowarzyszenia dodaje do przepisu krótką historyjkę, coś zabawnego, wspomnienie o tym, jak pierwszy raz przyrządził daną potrawę i co ona dla niego oznacza. Są to opowieści o radości i smutku, o kuchennych porażkach i sukcesach. Ale przede wszystkim są to historie o kobietach, które odeszły na zawsze od swoich zrozpaczonych mężczyzn - od mężczyzn, którzy włożyli fartuchy, ujęli w dłonie łypatki kucharskie i sami nauczyli się gotować.

Rozdział 7

Przez koronkowe firanki wpadają promienie słońca. Connie ziewa i przewraca się na drugi bok.

Otwiera jedno oko i spogląda na zegarek. Ósma. Osma! Podnosi się, nie wierząc własnym oczom, wyskakuje z łóżka i pospiesznie się ubiera. Pamięta tylko, że po niespodziewanym spotkaniu z Bettie Shelton, która nie na żarty wystraszyła ją oraz Madeline, wróciła do łóżka, potykając się na schodach z niewyspania. Musiała wtedy odruchowo wyłączyć budzik.

Myje zęby, nakłada na dłonie nieco żelu do włosów i końcami palców modeluje fryzurę. Wychodzi energicznym krokiem z pokoju i zbiega po schodach. Zwalnia dopiero w drzwiach herbaciarni, w której panuje już spory ruch.

Kilkoro stałych bywalców pozdrawia ją z uśmiechem. Connie odwzajemnia powitanie i wbiega do kuchni. Macéline właśnie przygotowuje jajka sadzone.

- Madeline, bardzo cię przepraszam. 'Budzik nie zadzwonił i zasnęłam...

Urywa na widok przepasanej fartuchem Hannah Wong, która wychodzi ze spiżarni, trzymając w ramionach duży kosz z ziemniakami. Hannah uśmiecha się do niej przyjaźnie.

- Dzień dobry, Connie.

- Cześć. - Connie przygląda się, jak Hannah stawia kosz obok zlewu i zaczyna płukać ziemniaki. Choć Madeline i Connie od czasu do czasu proszą ją o pomoc w kuchni, zazwyczaj zajmują się wszystkim tylko we dwie. Connie nie spodziewała się dziś jej tu zobaczyć.

- Hannah zajrzała do nas rano, żeby sprawdzić, czy nie potrzebujemy pomocy - wyjaśnia Madeline, nakładając jajka na talerze. - Jak zwykle wykazała się idealnym wyczuciem czasu. Pomyślałam, że mogłabyś sobie trochę odpocząć po naszej niezwyklej nocnej przygodzie. Ostatnio bardzo ciężko pracujesz. - Ale zamiast patrzeć przy tym na Connie, starsza pani uśmiecha się promiennie do Hannah.

- Lubię mieć jakieś zajęcie - mówi szybko Connie. - Nie potrzebuję odpoczynku.

- Od początku pracy w herbaciarni nie miałaś ani jednego dnia wolnego - przypomina jej Madeline.

- Praca to dla mnie przyjemność. I nie chcę sprawiać ci kłopotu - dodaje Connie, odwracając się do nieoczekiwanej zastępczyni.

- To żaden kłopot. - Hannah zaczyna obierać ziemniaki. - Chętnie tu przychodzę, herbaciarnia jest dla mnie jak drugi dom.

Madeline kładzie na każdym talerzu po kilka plasterków bekonu, po czym podchodzi do Hannah i serdecznie ją obejmuje.

- Odwiedzaj nas, kiedy tylko chcesz.

Connie obserwuje tę scenę ze zmarszczonymi brwiami. Wie, że czas pracy Hannah jest dość elastyczny - jako wiolonczelistka daje lekcje muzyki dzieciom i dorosłym, ale ma również sporo oszczędności z czasów, gdy koncertowała i grała w orkiestrze symfonicznej. Nie potrzebuje pracy - w przeciwieństwie do niej.

Madeline przyozdabia każdy talerz gałązką pietruszki.

- Zanieś to państwu Johnsonom do stolika numer dziewięć. Ja zaniosem naleśniki dla szóstki.

- Wezmę też naleśniki - proponuje Hannah. Connie czuje się jak piąte koło u wozu. Hannah

i Madeline znają się od dawna, przyjaźniły się, jeszcze zanim Connie rozpoczęła pracę w herbaciarni, i często można odnieść wrażenie, że rozumieją się bez słów. Connie przygląda się, jak Hannah wyciera ręce i sięga po talerze, żeby zanieść je do herbaciarni.

Gdy wiolonczelistka wychodzi z kuchni, Connie mówi do Madeline:

- Jeśli Hannah ma inne obowiązki, nie musi tu siedzieć. - Udaje przy tym, że uważnie studiuje menu, choć zna je na pamięć. - Przecież ja teraz tu jestem. - Wkłada fartuch.

Madeline zerka do salonu, czyli do sali herbaciarni, skąd dobiega cichy gwar rozmów. Słysząc też uprzejmy śmiech Hannań.

- Myślę, że przychodzi tu z radością. Wygląda na to, że nasi stali goście też bardzo ją lubią.

Właśnie tego Connie boi się najbardziej. Nagle na podwórzu rozlega się meczenie kozy. Dziewczyna marszczy brwi.

- Ale my nie... - zaczyna.

Madeline sięga po dużą miskę z ciastem naleśnikowym, miesza energicznie zawartość, a następnie nabiera pełną chochlę i wylewa ciasto na płytę do pieczenia.

- Twoja koza cię woła.

- Serena może poczekać - mówi niecierpliwie Connie. - Mamy klientów. Mogę zająć się naleśnikami, Madeline. Szósty stolik?

Madeline odpędza ją ruchem ręki.

- Przecież tu jestem, Connie. Zajmij się kozą, bo nie da nam spokoju.

Po raz pierwszy od czasu pojawienia się Sereny Connie czuje złość. Sięga do miski z owocami po jabłko i wychodzi tylnymi drzwiami na podwórze. Jest jeszcze wczesnie, ale już robi się gorąco. Znosi się na kolejny piękny, bezchmurny dzień. Connie idzie ogrodową ścieżką, aż w końcu dostrzega Serenę siedzącą z podwiniętymi nogami na dachu swojej budki.

- Czego chcesz? Wody? - Connie uchyla furtkę zagrody i wchodzi do środka. Miska jest pusta, ale ziemia wokół niej - ciemna i wilgotna. Wygląda na to, że zamiast wypić wodę, Serena wszystko wychłapała. Wokół rośnie mnóstwo świeżej trawy i Connie wie, że koza nie jest głodna, mimo to rzuca jej jabłko. Serena siedzi bez

ruchu, obserwując, jak jabłko stacza się w podskokach z dachu budki na ziemię.

- Co ci jest? - pyta Connie, podnosząc miskę z ziemi. Idzie do szopy z narzędziami po wąż ogrodowy. Gdy ogląda się przez ramię, widzi, że Serena wciąż siedzi nieruchomo, sprawia wrażenie apatycznej i osowiałej. Connie szybko płucze miskę i napelnia ją świeżą wodą, zerkając przy tym z niepokojem w kierunku herbaciarni. Dlaczego Hannah musi im pomagać? Mają wraz z Madeline swój rytm pracy; pojawienie się trzeciej osoby w kuchni natychmiast wszystko burzy. Osobiście Connie nie ma nic przeciwko Hannah i docenia fakt, że przysłała im kilka razy z pomocą, ale dziś nie ma przecież żadnej specjalnej okazji, jest tylko zwykły poranny ruch, stali klienci. Jej klienci. Sukces ich herbaciarni polega przede wszystkim na tym, że obie potrafią odpowiednio kierować przepływem odwiedzających ją ludzi. To bardzo delikatna sprawa, kwestia zachowania odpowiedniej równowagi między serdecznym traktowaniem siedzących przy stolikach gości a zapewnianiem miejsca kolejnym klientom. Jeśli Hannah przez pół dnia wystaje przy stolikach i wdaje się w dłuższe pogawędki, równowaga będzie zaburzona.

Connie wchodzi szybko do zagrody i stawia miskę z wodą na ziemi. Zleci Hannah upieczenie kilku bochenków Chleba Przyjaźni Amiszów, to może zdoła zatrzymać ją w kuchni, z dala od...

Podnosi się i zdziwiona widzi pustą zagrodę.

Szybko przebiega spojrzeniem sporej wielkości podwórze, zatrzymując wzrok na miejscach, gdzie koza

przebywa zazwyczaj. Pusto. Możliwe, że Serena weszła do domu, co już zdarzyło się kilka razy, ale Connie jest pewna, że zamykała za sobą kuchenne drzwi, a poza tym Madeline umie obchodzić się z miotłą. Koza może też być przed domem, witając gości lub ich odstraszać w zależności od swego nastroju. Albo - to najmniej prawdopodobna, lecz przerażająca opcja - zdołała przedostać się do ogrodu państwa Lassiterów.

Dziewczyna biegnie do sąsiadów, mrużąc coś pod nosem. Ma nadzieję, że zastanie Serenę na ich podwórku. Stało się to niemal rytuałem, który coraz bardziej daje się we znaki zarówno jej, jak i Lassiterom. Ale gdy zagląda przez płot, kozy tam nie ma.

Staje przed herbaciarnią i uważnie rozgląda się wokół. Robi się jej słabo na myśl, jak trudno będzie teraz odnaleźć Serenę. Może jej podopieczna węszy właśnie w cudzym śmietniku, penetruje czyjś ogródek, szuka sobie nowych przyjaciół lub przechadza się po uliczkach Avalon, nie zdając sobie sprawy, że ewentualna akcja poszukiwawcza oznacza kolejny zepsuty poranek nie tylko dla jej właścicielki, ale również dla Madeline.

- Telefon dzwoni jak szalony. - Madeline staje we frontowych drzwiach, wycierając ręce w fartuch. - Wygląda na to, że wszyscy umówili się dziś u nas na spotkanie i oczekują, że ugościmy ich świeżo upieczonymi smakołykami.

- Serena zniknęła - mówi Connie i czuje, że do oczu napływają jej łzy. Jeszcze raz uważnie rozgląda się po całej ulicy.

- Cóż... - Madeline nie sprawia wrażenie zaskoczonej. - Takie już są kozy, a w każdym razie ta. Wracaj do środka, nie ma sensu się zamartwiać. Wróci.

- A jeśli nie?

Madeline pochmurnieje na te słowa.

- No to nie. Wtedy się zastanowimy, co robić, dobrze?

Connie ociera oczy wierzchem dłoni. Serena nie ma pojęcia o samochodach i ulicznym ruchu, nie lubi słuchać niczyich poleceń. Można sobie łatwo wyobrazić, jak wpada w kłopoty. Kto jej wtedy pomoże? To przecież tylko koza.

Madeline i Connie wchodzą do kuchni. Pomimo zdenerwowania dziewczyna delectuje się zapachem maślanych naleśników podawanych ze świeżymi jagodami i ciepłym syropem. Widząc, że Madeline przygotowała porcję również dla niej, uśmiecha się z wdzięcznością.

- Nie zapominaj o posiłkach - przypomina jej surowo Madeline. - Dokończ smażenie i w końcu coś zjedz.

Hannah stoi przy drewnianej desce do krojenia.

- Connie, obrałam ziemniaki. Jak mam je pokroić? Dziewczyna szybko wylewa ciasto naleśnikowe

na płytę do pieczenia, formując je w idealne koła.

- Pokrój na plasterki mandoliną, na lunch zrobimy zapiekankę. Wczoraj wieczorem napełniłam formy do babeczek masą malinowo-jagodową. Wstaw je do piekarnika. Są w lodówce, razem z kruszonką. Madeline, pomyślałam, że mogłybyśmy wyjąć z zamrażarki

kilka torebek zakwasu i upiec Chleb Przyjaźni Amiszów z dodatkiem oliwy. Wszyscy go lubią. Madeline kiwa głową.

- Zajmę się tym.

Zazwyczaj przechowują zakwas w szklanym słoiku na ladzie, ale bardzo szybko go ubywa. Niedawno odkryły, że będzie im łatwiej, gdy spowolnią proces fermentacji poprzez wstawienie zakwasu do lodówki i zaczną zamrażać resztki. Dzięki temu cały czas mają go pod ręką bez konieczności codziennego zaglądania do słoika.

Connie podaje naleśniki gościom i pospiesznie je śniadanie. Realizuje kilka szybkich zamówień i smaży kolejną porcję naleśników.

- Zapomniałam już, jaki tu ruch! - wykrzykuje Hannah, zmęczona i zarazem pełna entuzjazmu, stawiając świeżo upieczone babeczki na desce, żeby ostygły. Wsuwa do piekarnika kilka foremek z ciastem na chleb z dodatkiem oliwy, przyprawionym rozmarynem i cytryną.

Madeline mruga porozumiewawczo do Connie. Tak wygląda ich życie przez pięć dni w tygodniu, a czasem, w razie większych imprez lub świąt, nawet przez sześć lub siedem, bez przerwy wakacyjnej. Dwa posiłki dziennie przy jednoczesnym realizowaniu zamówień gości, i tylko one dwie.

Pora śniadania minęła, herbaciarnia powoli pustoszeje. Wkrótce zaczną schodzić się tu kolejni goście, tym razem na lunch. Connie sprząta z kilku stołów i przyjmuje kolejne zamówienie. W pewnym momencie

widzi, że w kierunku lokalu zmierza Bettie Shelton ciągnąca za sobą duży wózek na bagaże, załadowany jej słynnymi plastikowymi pojemnikami z albumami i materiałami do ich ozdabiania. Wygląda na wypoczętą i pełną energii. Connie zastanawia się, czy wydarzenia ostatniej nocy nie były snem.

- Czajniczek herbaty Darjeeling - mówi głośno Bettie, wchodząc do środka. Rozgląda się bystro po salonie w poszukiwaniu najlepszego miejsca. W końcu siada przy oknie i zaczyna po kolei otwierać plastikowe pojemniki.

Connie zdejmuje z półki puszkę i wrzuca do czajniczka kilka łyżeczek herbacianych liści. Zalewa je wrzątkiem, przyglądając się, jak Bettie, ku zainteresowaniu sąsiednich stolików, rozkłada przed sobą z namaszczeniem nowe szablony i próbki.

- Co się właściwie działo w nocy? - pyta Connie, stawiając przed nią czajniczek, sitko i filiżankę.

Bettie marszczy brwi.

- Proszę?

- Nie pamięta pani? - Connie nie daje za wygraną. - Tej nocy. Było naprawdę późno. Wyszła pani z domu...

Bettie patrzy na nią pustym wzrokiem.

- Wyszłam z domu? Nie wiem, o czym mówisz.

Connie nie wie, czy Bettie rzeczywiście jest lunaticzką, czy zawstydzona usiłuje wykręcić się od odpowiedzi. Starsza pani patrzy na nią wyczekująco. Dziewczyna przestępuje nerwowo z nogi na nogę, nie mając pojęcia, co powiedzieć.

- Nieważne. Była pełnia księżyca. To wszystko.

- Nic nie widziałam. Chodzę wcześniej spać, chyba że akurat wyklejam albumy. - Bettie przebiega wzrokiem tablicę, na której Connie wypisała dania dnia.

- Poproszę naleśniki - mówi, kiwając głową z zadowoleniem.

Connie unosi brwi zaskoczona. Bettie słynie z oszczędnego stylu życia i nigdy wcześniej nie zamawiała u nich niczego oprócz herbaty.

- Kosztują 5 dolarów 99 centów, Bettie. Plus podatek.

- Potrafię czytać, Connie Colls. Poproszę porcję naleśników i czajniczek herbaty Darjeeling. - Bettie bierze do ręki zestaw szablonów i robi pochmurną minę. - Nie wyglądają jak lilie, prawda?

Connie wskazuje stojące na stole naczynia.

- Herbata już na panią czeka, Bettie. Bettie marszczy brwi i sięga po czajniczek.

- Och, faktycznie. - Mruży oczy, wpatrując się w szablony, i fuka z oburzeniem. Na jej policzkach pojawia się rumieniec.

Zaniepokojona Connie wraca do kuchni i składa zamówienie na naleśniki dla Bettie.

- Popatrz, co dostałam! - woła Hannah kilka minut później, wchodząc do kuchni z naręczem brudnych naczyń. Pod pachą trzyma zestaw powitalny od Bettie.

- Dała mi to za darmo, czy to nie miłe?

- Bettie nigdy nie daje niczego za darmo - uprzedza ją Connie, lecz ta przestroga nie robi żadnego wrażenia na Hannah. Zagląda do salonu i widzi Bettie

przechadzając się między stolikami i rozdając wszystkim swoje wizytówki. - Madeline, wydaje mi się, że...

Ale Madeline stoi obok Hannah i chichocze wraz z nią, obserwując, jak Bettie usiłuje usidlić potencjalnego nabywcę.

- Mhm? Co się stało, Connie?

Dziewczyna zamaszystym ruchem wrzuca patelnię do zlewu. W kuchni rozlega się hałas. -Nic.

Może po prostu powinna zrobić sobie przerwę i sprawdzić, co słychać u Sereny. Odwiązując fartuch, przypomina sobie jednak, że koza zniknęła. Podchodzi do telefonu, żeby zadzwonić do Lassiterów. Ku jej przerażeniu odbiera Walter.

- Halo? - rzuca szorstko do słuchawki.

- Panie Lassiter, mówi Connie Colls. Serena wydostała się rano ze swojej zagrody i mam nadzieję, że jeśli gdzieś ją pan zobaczy, da mi pan znać...

- Niech idzie sobie do diabła! - wykrzykuje Walter. - Właśnie odkryłem w ogrodzie ślady racic, a moje hortensje wyglądają tak, jakby ktoś potraktował je narzędziem do usuwania chwastów!

- Naprawdę? - Connie słyszy, że w jej głosie brzmi nadzieja. - To znaczy bardzo mi przykro! - Wygląda przez okno w kierunku podwórka sąsiadów. Skoro Serena zdołała się tam dostać, istnieje szansa, że wciąż jest gdzieś w pobliżu.

- Jeśli jeszcze raz zobaczę u siebie tę kozę, idę po wąż ogrodowy. Albo po coś gorszego!

Connie rozłącza się pospiesznie i zapisuje 'sobie, żeby przy pierwszej nadarzącej się okazji zanieść Lassiterom coś smakowitego.

Z salonu dobiega ją niecierpliwe wołanie.

- Gdzie moja herbata?! - awanturuje się Bettie.

- Ja zaniose - ofiaruje się Hannah.

- Przecież Bettie dostała już herbatę - mówi Connie i wskazuje czajniczek na stoliku.

Madeline marszczy czoło.

- Może nie ma już wrzątku. Hannah, idź i sprawdź...

- Nie, ja to zrobię - mówi szybko Connie i uprzedza kierującą się do salonu Hannah.

Na widok nadchodzącej dziewczyny Bettie robi niezadowoloną minę.

- To znów ja, Bettie - rzuca Connie pozornie beztroskim tonem. Podnosi czajniczek i widzi, że wciąż jest w nim wrzątek. Postanawia nalać herbatę do filiżanki. - Proszę bardzo. Wszystko w porządku?

Bettie wpatruje się w naczynie takim wzrokiem, jakby wyrosły mu skrzydła, a następnie odwraca się do Connie. W jej oczach migoczą niebezpieczne błyski.

- Przejrzałam cię, Connie Colls!

- Słucham? - Connie jest całkiem zbita z tropu. Patrzy na nią cała herbaciarnia.

- Nie oszukasz mnie! A teraz przynieś mi, proszę, herbatę Darjeeling!

Connie zaciska zęby i wpada z powrotem do kuchni, chcąc jak najszybciej się skryć przed wścibskimi spojrzeniami. Ma ochotę z całej siły uderzyć czajniczkiem o kuchenny blat.

- Pozwól, że się tym zajmę - mówi Madeline, ratując czajniczek przed rozbiciem się w stos porcelanowych odłamków.

Connie chwyta ścierkę do naczyń i zwija ją w bezsilnej złości.

- Co się jej stało? Podałam jej doskonałą herbatę! Madeline wsypuje świeżą porcję liści do innego czajniczka i zalewa wrzątkiem.

- Może się zamyśliła - mówi, ale z wyrazu jej twarzy Connie wnioskuje, że wcale nie jest tego pewna.

Nagle rozlega się hałas i do herbaciarni wbiega zaaferowana kobieta.

- Po podwórzu chodzi koza! Chciała mnie wziąć na rogi! - Wachlując się dłonią, opada ciężko na krzesło podsunięte jej przez któregoś z gości.

Connie biegnie do okna i widzi, że Serena skubie trawę przed domem. Wzdycha z ulgą.

- Serena!

Wypada na zewnątrz z zamiarem udzielenia nieposłusznej kozie surowej reprimendy, ale klęka i obejmuje ją czule za szyję. Wie, że zapewne patrzy na nią cała herbaciarnia, ale nie dba o to. Po kilku minutach, które upływają w całkowitej ciszy - dziewczyna przytulona do Sereny, Serena obojętna i jak zwykle zajęta skubaniem trawy - Connie chwyta kozę za sznurek na szyi i prowadzi ją do zagrody. Madeline i Bettie przyglądają się jej w milczeniu od drzwi herbaciarni.

- Cóż - mruczy Bettie pod nosem. - Kto by pomyślał, że można kochać kozę? Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

- Myślę, że właśnie to świadczy o naszym człowieczeństwie - mówi cicho Madeline tonem pełnym zrozumienia. - Potrafimy kochać nawet to, czego pozornie kochać się nie da.

- Jakie piękne! - Margot West, właścicielka sklepu z upominkami Gifts 'N More, pochyla się nad pudełkiem z biżuterią, które podsunęła jej Ava. Sięga po jeden z błyszczących, stylizowanych pierścionków z kryształem górskim wprawionym w srebrzysty kapsel i wsuwa go sobie na palec.

- Wypolerowałam mosiężne kółko, żeby przybrało stalowy kolor - wyjaśnia Ava, wyraźnie speszona pochwałami. Ponieważ żaden sklep w Barrett nie był zainteresowany jej ofertą, przyjmuje komplementy Margot z radością i zarazem ulgą. - Jest nowe. Wszystko inne jest przerobione.

- Przerobione? Czy to znaczy to samo, co przetworzone?

- Przetwarzanie przedmiotów to wytwarzanie z nich rzeczy o mniejszej wartości. Przerabianie to wykorzystanie czegoś do stworzenia rzeczy o wartości takiej samej lub większej. - Ava wskazuje duży kryształ górski ozdabiający środek dużego oczka oraz rozmieszczone kółeczka wokół niego niewielkie srebrne kulki. - To fragment pękniętej broszy, od której odpadły mniejsze kryształki. Kupiłam ją na wyprzedaży garażowej. Ten łańcuszek ze srebrnych kulek okazał się zbyt krótki i jubiler chciał się go pozbyć. Oczywiście mamy tu jeszcze kapsel. To starość z browaru Reisch,

który działał kiedyś w Springfield, Illinois. - Było to całkiem niespodziewane odkrycie. Znalazła kapsel w reklamówce od Colina, ale browar Reisch zamknięto w 1966 roku. Colin nie mógł przecież podawać gościom prawie pięćdziesięcioletniego piwa. - Wartość każdego z tych przedmiotów jest niewielka, ale zestawione razem okazują się przydatne i o wiele cenniejsze, i oczywiście tworzą coś całkowicie nowego.

Margot wyciąga przed siebie rękę, podziwiając pierścionek.

- Można go nosić nawet do stroju wieczorowego! Duży kryształ wesoło migocze. Ava promienieje.

- Zależało mi na tym, żeby był uniwersalny. Dzięki temu pasuje do „małej czarnej”, a także do T-shirta i dżinsów. I zawsze będzie się prezentował wspaniale.

- Zgadza się. Może nawet odłożę go dla siebie.

- Margot zerka na pozostałą biżuterię. - Mamy tu trzy pierścionki, dziesięć zakładek do książek i dziesięć uroczych spinek do włosów. - Spogląda na cennik.

- Myślę, że wezmę wszystko.

- Wszystko? - Ava nie wierzy własnym uszom. -Dziękuję!

- Opakowania też są prześliczne - zauważa Margot. Przesuwa palcami po niewielkich celofanowych paczuszkach z logo w kształcie trzech serc w jednym rzędzie, które Ava ręcznie odcisnęła na kremowym kartoniku. - Słodkie i wzruszające, bardzo ładnie wykonane. Włożę spinki i zakładki do koszyka, a pierścionki położę obok pozostałej biżuterii i produktów do pielęgnacji ciała. Zobaczmy, jak nam pójdzie.

- Dziękuję pani - mówi Ava. - Należy zapłacić przed upływem trzydziestu dni...

Margot macha ręką.

- Skoro przyszła tu pani osobiście, mogę zapłacić teraz. Po co przesyłać czek? Zaoszczędzę na znaczku. Proszę chwilę poczekać. - Znika na zapleczu oddzielnym od reszty sklepu zasłoną w różową kratkę.

Ava cieszy się w duchu, że jest sama, nikt nie widzi jej radosnego uśmiechu i wilgotnych oczu. Pierwsza prawdziwa sprzedaż! To wciąż niewiele, ale wystarczy na dobry początek. Dzięki temu, że Margot kupiła od niej wszystko, Ava nie musi rozglądać się teraz za innymi nabywcami, tylko może spokojnie zabrać się do kolejnej partii biżuterii. Zacznie dziś wieczorem. Nie może się już doczekać.

Przygląda się drewnianym zabawkom i podziwia kolejkę stojącą na wystawie. Sklep jest przytulny i miły, każdy znajdzie w nim coś dla siebie. Może przyjdzie tu kiedyś z Maxem, żeby zobaczyć, co chciałby dostać na urodziny. Sprawdza cenę przyklejoną do jednej z zabawek i potrząsa nerwowo głową. Chyba jednak pójdą gdzie indziej.

Drzwi sklepu otwierają się i do środka wchodzi niezgrabnym krokiem starsza kobieta, ciągnąc za sobą wózek bagażowy.

- Litości, jaki upał - mruży pod nosem, ocierając czoło. Stawia wózek, sięga po jedno z podręcznych lusterek o wykładanej mozaiką ramie, które leżą na półce przy drzwiach, i przygląda się swoim srebrnoniebieskim włosom. Widząc w odbiciu Awę, wrzuca lusterko z powrotem do koszyka.

- Kim pani jest? - Podchodzi szybko do Avy, która nie wie, jak się ma zachować. - Gdzie Margot?

- Na... na zapleczu - jąka się Ava, robiąc krok w tył. - Zaraz przyjdzie.

- Pani jest nową sprzedawczynią? - Kobieta przygląda się jej, mrużąc oczy.

- Nie, coś z nią załatwiałam. Z Margot. Z właścicielką.

- Wiem, kim jest Margot. Nie wiem tylko, kim jest pani. - Jej twarz się rozjaśnia. - Chwileczkę. Czy nie pracowała pani kiedyś w gabinecie doktora Kidda?

Ava czuje, że jej policzki płoną, a serce bije coraz mocniej. Pamięta większość pacjentów, ale tej kobiety nie może sobie przypomnieć. Jak dotąd udawało się jej unikać osób, którym mogłaby się z czymś kojarzyć. Wie, że nikt nie będzie chciał wysłuchać jej wersji wydarzeń, i zdaje sobie sprawę, że w oczach większości ludzi zasługuje na potępienie. Cóż, życie ułożyło się tak, a nie inaczej. Ava usiłuje robić dobrą minę do złej gry, nie z uwagi na siebie, tylko przez wzgląd na Maxa.

Z zaplecza wyłania się Margot.

- Proszę bardzo. - Wręcza Avie czek i uśmiecha się szeroko do starszej pani. - Och, Bettie! Muszę pokazać ci, co Ava przyniosła. Jakie oryginalne! - Ruchem ręki zaprasza Bettie, by podeszła do kasy.

Ava wycofuje się w kierunku drzwi.

- Powinnam już iść - mówi, składając czek i wsuwając go do portfela. Nie zadaje sobie nawet trudu, by sprawdzić, czy suma się zgadza; pragnie tylko jak najprędzej wyjść ze sklepu. - Dziękuję...

- Jakie pomysły! - wykrzykuje Bettie.
 - Spójrz na to! - Margot wyciąga rękę i chwali się swoim pierścieniem.
 - Oczywiście wybrałaś ten z największym kamieniem. - Bettie pociąga nosem. - Niech ci będzie. Podoba mi się *ten* różowy, z winoroślą. Co to takiego?
 - To stary złoty guzik - wtrąca się Ava. Chociaż chce już wyjść, nie może się powstrzymać. - Umocowany na kapslu w kolorze różowego szampana, który odbija się w guziku i nadaje całości różowy poblask.
 - Oooh! - Bettie wsuwa sobie pierścionek na palec i zaczyna go podziwiać. - Ile płacę?
 - Jeszcze ich nie wyceniłam - informuje ją Margot.
 - Margot, odrzucasz szansę na zrobienie interesu? Co z ciebie za bizneswoman?
- Margot sprawia wrażenie zdenerwowanej.
- Jeśli dasz mi chwilę, Bettie, pomyślę nad ceną. Poza tym miałaś przynieść zestawy do scrapbookingu.
- Bettie kiwa głową.
- Mam. Ostatnie w ciepłych, letnich kolorach. W przyszłym tygodniu przyniosę zestawy w barwach jesieni. Prawdopodobnie, bo pierwszeństwo mają członkinie klubu. Czasem potrzebują materiałów pomiędzy jednym spotkaniem a drugim, a nie zawsze mogą zastać mnie w domu.
 - Będę musiała zwiększyć narzut, żeby odnieść z tego jakiś zysk - oświadcza Margot. - Jako dobra bizneswoman na pewno to rozumiesz.
- Jej sarkazm nie uchodzi uwagi Bettie, która ogląda się na wciąż stojącą w drzwiach Avę.

- Dokąd się pani wybiera?

- Muszę już iść - mówi Ava, czując pustkę w głowie. - Mam zlecenia i...

- Amatorki - mówi do siebie Bettie, potrząsając głową. Macha ręką w kierunku wyrobów Avy leżących na ladzie.

- Ma pani przed sobą potencjalnego klienta. Mnie. Powinna pani popracować nad autoreklamą, zaprezentować się jako prawdziwa artystka. Rozumie pani?

Ava kiwa głową, ale nie rusza się z miejsca.

- No więc... - zachęca ją Bettie. - Proszę się pospieszyć. To czekanie z całą pewnością mnie nie odmładza.

- Nie jest wcale taka groźna, na jaką wygląda - mówi Margot do Avy, dając jej znak, by podeszła bliżej.

- Proszę powiedzieć jej to, co mówiła pani mnie.

Ava waha się, a następnie unosi podbródek i robi kilka kroków naprzód.

- Wstążki i kółka są nowe - mówi. - Wszystko inne jest przerobione albo użyte w inny sposób. Paciorki na spinkach są stare, oderwałam je od wyszywanej portmonetki z zepsutym zatrzaskiem i podartą podszewką. Każdą rzecz dokładnie umyłam i gdzie było to konieczne, polakierowałam, żeby zapobiec rdzewieniu. Wszystko jest oryginalne, jedyne w swoim rodzaju, i powinno być trwałe.

Margot i Bettie kiwają głowami.

- Eksperymentuję również z kapslami - ciągnie Ava, wyraźnie zachęcona. - Układam je jeden na drugim, żeby osiągnąć lepszy efekt, coś w rodzaju płatków kwiatu. Zamiast wyraźnego środka typu kryształ górski lub stary guzik umieszczam w nich miniaturowy

obrazek i pokrywam go przezroczystą żywicą. Potem dodaję kilka małych szklanych paciorków i jakieś słowo, na przykład „kocham” albo „dziękuję”. Jeśli dzisiejsza biżuteria się sprzeda, przyniosę je pani. To niewielkie znaczki lub breloczki, które można przyczepić do kartki urodzinowej lub włożyć do portfela.

Bettie sprawia wrażenie zamyślanej, a Margot spogląda porozumiewawczo na Avę i potakuje.

- Wie pani - mówi Bettie tonem niespodziewanie ciepłym i pełnym słodyczy - myślę, że mogłyby to być idealne ozdoby na stronie albumu. Tak oryginalne, tak inspirujące i można przetwarzać...

- Przerabiać...

- .. .nasze akcesoria do ozdabiania albumów. Kawałki lśniącego papieru, zdjęcia i tak dalej. Tak. - Bettie kiwa głową, jakby Margot i Ava zgadzały się z każdym jej słowem. - Doskonale. Przyjdzie pani na nasze spotkanie i zrobi prezentację, będzie miała pani również okazję coś sprzedać. Zazwyczaj pobieramy opłatę wstępną, niewielką, symboliczną kwotę, ale w pani wypadku z przyjemnością ją uchylę. Jeśli pani na to przystanie, będzie wspaniale. My, artystyczne dusze, musimy trzymać się razem.

Ava się waha.

- Czy spotkania odbywają się w Avalon?

- Oczywiście! W końcu to Klub Miłośniczek Albumów w Avalon. Jestem jego założycielką i przewodniczącą. Bettie Shelton. - Bettie wyciąga rękę, jakby dopiero co się spotkały i nie rozmawiały już przez dziesięć minut. - A twoja godność?

- Ava - mamrocze niewyraźnie Ava, nie chcąc zdradzać więcej, niż musi. Jeśli spotkania odbywają się w Avalon, nie zamierza brać w nich udziału. Po ze-szłotygodniowej katastrofie, czyli po nieudanej próbie rozmowy z Isabel Kidd, wizyta w sklepie Margot była dla niej nie lada wyzwaniem. Złość Isabel, ton, jakim się do niej zwracała, wstrząsnęły Avą do głębi. Spodziewała się chłodnego przyjęcia i wrogich spojrzeń, ale nie takiej awantury.

Gdy pracowała u Billa, Isabel traktowała ją zawsze z uprzejmym dystansem. Kiedy Bill odszedł z domu, Ava zwolniła się z pracy i zdecydowała się usunąć wszystkim z drogi. A gdy kilka miesięcy później Bill zginął w wypadku, uroczystości żałobne zorganizowała Isabel, która w świetle prawa wciąż była jego żoną. Rozmawiały ze sobą tylko raz - Isabel zażądała, by Ava nie przychodziła na nabożeństwo żałobne, ponieważ matka Billa oświadczyła jasno, że nie życzy sobie widzieć kobiety, którą winiła za śmierć swojego syna. Fakt, że kobieta ta wkrótce miała wydać na świat jej wnuka, wydawał się dla niej całkiem bez znaczenia.

Po pogrzebie Isabel wysłała Avie list. Związły, lecz treściwy: Max będzie miał w banku swoje konto, ponieważ taka byłaby na pewno wola Billa, ale nic więcej Isabel nie może dla nich zrobić. Ava czuła wdzięczność, lecz teraz odnosi wrażenie, że to jej nie wystarcza, i wcale nie ma na myśli pieniędzy. Po sobotnim spotkaniu, gdy Isabel zareagowała na jej propozycję z niepohanejwaną furią, nie jest pewna, czy chce ryzykować ponowne zetknięcie się z nią twarzą w twarz.

Ani z nikim innym.

- Przepraszam, muszę już iść. - Wymienia uścisk dłoni z Margot i Bettie. - Dziękuję, Margot. Bardzo miło było panią poznać, Bettie. - Idzie szybko w stronę drzwi.

- Przyjdiesz kiedyś na spotkanie klubu, prawda?! - woła za nią Bettie. - Drugi czwartek każdego miesiąca. Mamy wiele przysmaków i cudowne towarzystwo. Jestem pewna, że pokochasz nasze panie.

Ava bez słowa wychodzi ze sklepu prosto w duszne, parne sierpniowe popołudnie.

- Zanim pojedziemy, będziesz musiała wziąć prysznic. - Isabel marszczy nos. Siedzi na szerokiej ławce--huśtawce na werandzie domu Yvonne. Ma na sobie swój ulubiony zestaw ubrań, czyli białą bluzkę, białą spódnicę, cienki rozpinany sweter w takim samym kolorze oraz białe sandały. Po pamiętnym odmalowaniu ścian na biało zajrzała jeszcze tego samego wieczoru do internetu w poszukiwaniu szortów i znalazła mnóstwo białych letnich ubrań na sprzedaż. Wszystkie możliwe warianty stroju, wszystkie dostępne w bieli. Przypominało jej to ubranka Garanimals dla dorosłych, całe zestawy, które mogło stworzyć nawet dziecko. Albo trzydziestoosmioletnia kobieta niemająca ochoty na zastanawianie się, co na siebie włożyć. Jak z zadowoleniem zauważyła: gdy w twojej szafie zdecydowanie dominują białe ubrania, wszystko idealnie do siebie pasuje. - Prysznic albo jedziemy dwoma samochodami. I wejdziemy do różnych restauracji. - Ostentacyjnie wachluje się dłonią.

Yvonne uśmiecha się szeroko, zerkając na swój poplamiony T-shirt, proste spodnie w męskim stylu i sfatygowane buty robocze. Gdy pomagały przenosić deski z werandy Isabel na podwórze sąsiadów, kilku ojców nie mogło oderwać wzroku od młodej pani hydraulik. Uczucia Isabel oscylowały wówczas między zazdrością a irytacją. Tylko Yvonne mogła wyglądać dobrze w takim momencie. A Isabel sprawiała wrażenie osoby, która właśnie przemierzyła biegiem pustynię. Spocona, z kasztanowymi włosami klejącymi się do czoła, czerwona z wysiłku. Nieciekawym widok, to pewne. A jednak wysiłek fizyczny wyszedł jej na dobre - cieszyła ją możliwość zbudowania czegoś nowego z desek rozebranej werandy, świadomość porządnie wykonanej pracy. Nigdy wcześniej nie poświęcała uwagi brudnym męskim zajęciom. To należało do Billa, on czyścił rynny lub odśnieżał podwórze, ona zaś sprzątała dom i gotowała obiad. Po odejściu Billa męskie prace stały w miejscu.

Isabel zaczyna rozumieć, że nie ma powodu, dla którego nie mogłaby wziąć się do tego sama. Dobrze jest przy tym mieć kogoś takiego jak Yvonne - kobietę, która utoruje jej drogę, nie brzydząc się narzędzi i wysiłku; która niczego się nie boi.

- Kobiety świetnie się sprawdzają w rozwiązywaniu problemów - powiedziała jej kiedyś Yvonne. - Jesteśmy z natury bardzo kreatywne, więc łatwo nam przychodzi wymyślanie twórczych rozwiązań.

Podziw, jaki Isabel żywi dla nowej znajomej, wciąż rośnie. W dodatku dowiedziała się z nieoficjalnych

źródeł, że klienci wprost przepadają za Yvonne, która, w przeciwieństwie do innych hydraulików z okolic Avalon, nigdy nie żąda wygórowanych cen ani nie traktuje nikogo nieuczciwie. Zawsze jest uśmiechnięta, uprzejma i miła, a jej inteligentne, zabawne uwagi nie przestają rozweselać Isabel. Ale Yvonne stanowi również dla niej pewną zagadkę - kobieta hydraulik, która równie dobrze mogłaby pracować jako modelka. Isabel nigdy by nie przypuszczała, że zaprzyjaźni się z kimś takim. Kobiety w typie Yvonne to zazwyczaj nie przyjaciółki, lecz niewygodne rywalki. To one przeważnie kradną cały show, jak również męskie serca. Gdyby Isabel wciąż była żoną Billa, czułaby się w jej towarzystwie co najmniej niekomfortowo - obawiałaby się, że dziewczyna zechce uwieść jej męża lub że Bill nie będzie mógł oderwać od niej wzroku. Ale może to tylko stereotyp, coś zbyt oczywistego. Nie należy obawiać się atrakcyjnych pań hydraulik, lecz bezpretensjonalnych, śmiałych asystentek, które potrafią zająć w ciążę z twoim mężem.

Isabel usiłuje odsunąć od siebie tę myśl, ale przychodzi jej to z dużym trudem. Na początku, gdy romans Billa dopiero co wyszedł na jaw, miała na tym punkcie prawdziwą obsesję. Wyobrażała sobie Billa w ramionach Avy, zastanawiała się, o czym rozmawiają i gdzie Ava mieszka. Zadręczała się myślami o ich wspólnym życiu, wyobrażała sobie, jak o niej mówią, jak się z niej śmieją. Głupia, naiwna, bezdzietna Isabel.

Teraz odtwarza w myślach niedawne spotkanie z Avą. Przypomina sobie, jak blada i wyczerpana

wydawała się wówczas jej rywalka. Drżała ze zdenerwowania, jakby zamierzała przekazać jej kolejną złą wiadomość. Czubek głowy dziecka siedzącego na tylnym siedzeniu dżipa... Isabel nie chce o tym myśleć, ale nie jest w stanie.

- Dlaczego przeszkadza ci mój strój? - pyta Yvonne. Dwoma energicznymi szarpnięciami zrzuca buty i wchodzi na werandę. Pociąga za gumkę, którą związała swój koński ogon. Jasne włosy opadają jej na ramiona. - Chodź, jedziemy.

Isabel spogląda z powątpiewaniem na nową przyjaciółkę. Ubranie Yvonne wydaje z siebie zapach kojarzący się jej z jednej strony z klubem bilardowym, z drugiej zaś - z kubłem na śmieci. Zanim jednak decyduje się coś powiedzieć, Yvonne wybuchła śmiechem.

- Żartuję! Oczywiście wezmę prysznic. Muszę zrobić się na bóstwo dla przystojnych singli w Avalon.

- Obawiam się, że jest tu tylko jeden taki okaz - informuje ją sucho Isabel - i na dodatek mieszka z matką.

Yvonne przekręca klucz we frontowych drzwiach.

- Cóż, właśnie jeden jest mi potrzebny.

Isabel robi niezadowoloną minę - ma nadzieję, że Yvonne nie jest jedną z tych wiecznych optymistek w stylu New Age.

- Ja już miałam jednego, a teraz mam dość, dziękuję bardzo.

- Może potrzebujesz jeszcze jednego. - Yvonne popycha drzwi. - Tego właściwego. - Wie jedynie tyle, że Bill zostawił Isabel dla Avy, po czym był łaskaw odejść

z tego świata. Isabel nie wspominała jej o dziecku, którego imię widziała na skrawku papieru. Max.

- Bill był tym właściwym - mówi Isabel. - Oczywiście poza faktem, że mnie w końcu zdradził. - Wchodzi za Yvonne do środka i od razu zaczyna kręcić się jej w głowie od intensywnego zapachu gardenii. Okazuje się, że tuż przy drzwiach stoi wazon pełen świeżych kwiatów. - Może powinnam sprawić sobie kota. To podobno mili i wierni towarzysze.

Yvonne pokazuje jej salon położony w pobliżu wejścia oraz kuchnię przy końcu korytarza.

- Rozgość się, proszę. Za chwilę będę z powrotem. Isabel trafiła do domu jak z obrazka, do wnętrza,

którego zdjęcia mogłyby znaleźć się na stronach któregoś z modnych katalogów bądź magazynów. Wazony z kwiatami, praktyczne, ale zasługujące na uwagę meble, ciekawe obrazy na ścianach. To wszystko doskonale pasuje do Yvonne, ale z drugiej strony wydaje się bardzo dziwne. - Wynajmujesz ten dom? Yvonne potrząsa głową.

- Kupiłam go. Oszczędzałam przez dłuższy czas, a ceny w Avalon są dość korzystne. - Mówiąc to, zdejmuje brudną koszulkę oraz dżinsy i zostaje w samych figach oraz sportowym staniku. Isabel odwraca się zmieszana.

- Przepraszam - mówi Yvonne. - Muszę wrzucić mój roboczy strój do pralki. Rzadko ktoś mnie tu odwiedza.

- Rzadko?

- No dobrze, nigdy - odpowiada ze śmiechem

Yvonne i znika w kuchni. Zaraz potem Isabel słyszy pracującą pralkę oraz kroki Yvonne wchodzącej po schodach na piętro.

Isabel obchodzi salon dookoła. Wszystko wydaje się tu na swoim miejscu. Każda rzecz jest starannie dopasowana do całości, dobrana celowo, ale z nutą nonszalancji. Na niewielki stolik do kawy pada promień słońca; lakierowane drewno w kolorze orzecha włoskiego ociepla pokój i ładnie komponuje się z nieco jaśniejszą tapicerką sofy i foteli.

Weranda Isabel jest wciąż ogołocona, a jej salon całkiem pusty. Isabel nie ma pojęcia, co powinna kupić. Nie ma też najmniejszej ochoty jechać na poszukiwanie nowych mebli. Może powinna urządzić na biało cały dom. Wtedy wszystko by do siebie pasowało. Żadnego zastanawiania się, kombinowania.

Siada na miękkiej dwuosobowej sofie. Narzuta jest idealnie wyprasowana. Czy Yvonne prasuje? Czy rzeczywiście jest taka schludna? Może gdzieś narzuty zawozi. Dokąd? Do pralni? To zresztą nieważne.

Czekając na Yvonne, zaczyna przeglądać magazyny leżące na drewnianym stojaku obok sofy. Kilka czasopism o modzie, coś o zakupach i aktywności fizycznej na świeżym powietrzu. Pismo poruszające tematy stylu życia otwiera się na stronie z zagiętym rogiem. Nagłówek brzmi: „Karmazynowe zbiory - owoc pracy jednej rodziny”.

Isabel niechętnie prześlizguje się wzrokiem po artykule poświęconym prywatnej plantacji żurawiny w Wareham, Massachusetts, gdzie zebrano rekordowy

plon. Gdy odwraca kartkę, widzi serię zdjęć, a na nich znajomą twarz. Yvonne.

Młoda Yvonne, od nastolatki do dwudziestoletniej dziewczyny. Z całą pewnością. Na jednym ze zdjęć stoi w otoczeniu najbliższej rodziny. Wszyscy podobni - jasnowłosi, promiennie uśmiechnięci, ze śnieżnobiałymi zębami. Fotografie nie pochodzą ze studia, zostały wykonane nad brzegiem morza, w restauracji, na noworocznym przyjęciu - mimo to każdy wygląda wręcz olśniewająco i instynktownie przyjmuje odpowiednią pozę, spoglądając prosto w obiektyw. Nagłówek głosi: „Zmiana warty w firmie Täte, wszystko zostaje w rodzinie”. Imię Yvonne, wraz z imionami pozostałych członków jej rodziny, pojawia się w szczegółowych objaśnieniach pod fotografiami.

Isabel uważnie przygląda się zdjęciom, usiłując na nich dostrzec, co sprawia, że rodzina Täte wydaje się tak idealnie funkcjonować. Nagle doznaje olśnienia.

Yvonne jest bogata.

Albo pochodzi z bogatego domu. Bardzo bogatego. To tłumaczy doskonałej jakości meble, wybór książek na półce, obrazy na ścianie.

Isabel dostrzega coś jeszcze. Na jednym ze zdjęć cała rodzina w wędkarskich butach stoi w płytkim stawie, na którego powierzchni unoszą się czerwone jagody żurawiny. Yvonne uśmiecha się szeroko, identycznie jak na pozostałych fotografiach. Na serdecznym palcu lewej dłoni ma prosty pierścionek z brylantem. Poniżej widnieje data zapisana drobną czcionką. Zdjęcie pochodzi sprzed dziesięciu lat.

Isabel rozgląda się po pokoju, unosząc brwi. Gdzie jest w takim razie zdjęcie ślubne? A mąż?

- Gotowa? - Yvonne staje za nią, ubrana w różową sukienkę na cienkich ramiączkach i płaskie sandały. Ściąga z głowy ręcznik i potrząsa włosami, żeby trochę je wysuszyć.

Isabel spogląda na jej lewą dłoń, na serdeczny palec. Nic na nim nie ma. Cisną jej się do głowy miliony pytań. Wreszcie konstatuje z ulgą, że Yvonne ma własną historię, której nie chce nikomu zdradzać i o której nade wszystko pragnęłaby zapomnieć. Ukrywa pewną tajemnicę. Isabel przestała czuć się jak nieszczęsna ofiara. Uśmiecha się szeroko.

Yvonne marszczy brwi.

- Co cię tak śmieszy? - Idzie do holu i rozwiesza wilgotny ręcznik na słupku poręczy schodów.

- Nic. - Isabel odkłada pismo na stojak. Może powinna poprosić Yvonne o pozwolenie obejrzenia całego domu albo włamać się do szafki z lekarstwami, gdy przyjaciółki nie będzie w pobliżu. Kto wie, na co jeszcze natrafi? Zdobywa się na odwagę i pyta: - Może zjemy u ciebie? Byłoby mniej kłopotu. - Ponownie zerka w stronę stojaka z pismami. Czy będzie miała okazję przeczytać artykuł w całości?

- Oczywiście, jeśli tylko nie masz nic przeciwko pepsi light i starym krakersom. Nie gromadzę zapasów w spiżarni, a w kuchni stoją garnki, których jeszcze nie używałam. Wolę restaurację. - Choć Yvonne mówi to pozornie lekkim tonem, wyraźnie zależy jej na wyjściu z domu.

Isabel sili się na obojętność.

- Dobrze, a więc Avalon Grill. To znaczy, jeśli naprawdę jesteś pewna...

Yvonne już stoi w drzwiach pokoju z kluczami w ręce. Na sekundę pochmurnieje, ale może to tylko złudzenie. W następnej chwili podchodzi do niej energicznym krokiem, chwyta ze śmiechem za rękę i ciągnie po schodach do holu. Kiedy przechodzą obok lustra, Isabel stwierdza w duchu z zadowoleniem, że nie wygląda aż tak nieatrakcyjnie, jak sądziła. Choć nie jest podobna do Yvonne, nie ma sobie wiele do zarzucenia. Zatopiona w myślach nie słyszy, że Yvonne mówi cicho.

- Och, jestem pewna.

Co widziała Isabel? Yvonne się wydawało, że gdy weszła do pokoju, Isabel odwróciła się do niej z zaciekawioną miną, jakby chciała o coś zapytać. Zapewne przeglądała czasopismo, chcąc jakoś zabić czas. Yvonne nie chce robić z niczego sensacji. Nie wyszła z pokoju na długo - nawet jeśli Isabel widziała artykuł, zapewne nie zdążyła wyciągnąć z niego wniosków. Tak czy inaczej wkrótce się okaże. Gdy ktoś poznaje prawdę, nie może powstrzymać się od zadawania niewygodnych pytań. Albo więc Isabel skutecznie nad sobą panuje, albo przeszłość Yvonne nie jest tak intrygująca, jak się jej wydawało.

Obie siadają przy barze, zamawiają piwo (Isabel wybiera niskokaloryczne) i zastanawiają się w typowo kobiecy sposób, co powinny zamówić na obiad.

- Mają tu smaczny mostek wołowy - mówi Isabel, przeglądając menu.
- Och, i sos śmietanowy z karczochami. Tyję od samego siedzenia przy barze.

- Śmiało, skuś się - zachęca ją Yvonne, przesuwając palcem po spisie przystawek. - A ja wezmę może...

- Proszę, nie mów mi tylko, że zamawiasz sałatkę - mówi Isabel ostrzegawczym tonem. - Umieram z głodu, a ty na domiar złego masz na sobie sukienkę, w którą nie wcisnęłabym się nawet po dwóch latach drakońskiej diety.

- Wyglądasz świetnie, Isabel. Nie wiem, o czym mówisz. - Yvonne rzuca menu na ladę. - Oczywiście, zamawiam sałatkę. Z zimnym sosem.

- Boże, nie. Naprawdę? - Isabel marszczy nos.

- Tak, na przystawkę! - Yvonne wybucha śmiechem i sięga po piwo. - A potem wezmę danie dnia i warzywa. Z ogromną porcją makaronu. I z chlebem.

- Gdzie to wszystko się mieści? - pyta z wyrzutem Isabel. - Tyle węglowodanów... czy przypadkiem nie wędrują w czarodziejski sposób do ciała innej osoby? Na przykład do mojego? To by wiele tłumaczyło.

- Jeśli zależy ci na spalaniu kalorii, zostań hydraulikiem. Nie muszę już chodzić na siłownię. - Yvonne traktuje to jak jedną z wielu zalet swojej pracy. Nigdy dotąd nie miała tak pięknie wyrzeźbionych ramion.

- Mhm, Yvonne, spotkałam w życiu kilku hydraulików, którzy na pewno nie są podobni do ciebie.

- Niektórzy są - upiera się Yvonne.

- Wcale nie. Musisz mieć dobre geny.

Yvonne uśmiecha się blado, ale nie odpowiada. Po chwili pyta:

- Co zamawiasz?

Isabel spogląda tęsknym wzrokiem na kartę dań.

- Mam ochotę na mostek wołowy, ale ponieważ jestem ubrana na biało, obie wiemy, jak to się skończy. Już sobie wyobrażam, jak kawałek mięsa spada z widelca i ląduje mi na kolanach.

Yvonne nabiera sobie pełną garść orzechów nerkowca.

- Nie chciałam tego mówić, ale wiesz, że jest już po Świącie Pracy. Może jednak czułabyś się lepiej w jakimś innym kolorze. Chyba że chcesz wprowadzić nową modę.

- Lubię biel - oświadcza Isabel z wyższością. - Jest prosta, prawdziwa, niczego nie udaje. Mam dość turkusów, akwamaryn, chartreuse i tak dalej. To po prostu kolor niebieski, żółty, zielony. - Wzdycha. - Przyznaję jednak, że wołałabym mieć teraz na sobie coś innego. Mogłabym zamówić mostek wołowy.

- Tutaj są serwetki. Zamów ten mostek, Isabel.

- Jutro będę żałować.

- Mam wrażenie, że już żałujesz. Nie wygłupiaj się, życie jest zbyt krótkie.

Isabel wzdycha.

- Życie jest zbyt krótkie, więc powinnam zjeść mostek wołowy? Może nakleję to sobie na tylny zderzak.

Yvonne uśmiecha się szeroko.

- Dlaczego nie? Nie zadawaj takiego pytania, tylko powiedz sobie: Życie jest krótkie - zjedz mostek wołowy!

Obie wybuchają śmiechem. Tymczasem z kuchni wychodzi Arnold Fritz, szef restauracji, wyraźnie stropiony.

- Przykro mi, kochani, ale dziś zamykamy lokal wcześniej. Muszę poprosić was wszystkich o wyjście.

W odpowiedzi słyszy chóralny jęk rozczarowania. Najbardziej niezadowolona jest Isabel.

- Co się stało? - pyta jeden z klientów.

- A co z moim stekiem? - żali się ktoś inny.

- Czy dostanę jeszcze deser?

- Mogę dokończyć piwo?

Arnold unosi ręce w pojednawczym geście.

- Mamy problem z instalacją wodno-kanalizacyjną. Nic wielkiego, ale musimy zamknąć lokal na cały wieczór. Hydraulik przyjedzie dopiero jutro rano. W ramach rekompensaty wszyscy dostaną od nas specjalne kupony z piętnastoprocentową zniżką, które będą mogli wykorzystać przy następnej wizycie. Przepraszam, ale siła wyższa.

Klienci zaczynają zbierać się do wyjścia, dając głośno wyraz swojemu niezadowoleniu.

- Pozostaje nam Pizza Shack - mówi z westchnieniem Isabel, rzucając menu na stolik. - Albo McDonald's.

Yvonne patrzy na szefa rozmawiającego z barmanem. Wkłada do ust jeszcze jeden orzeszek, po czym wstaje i podchodzi do nich.

- Ma pan problem z instalacją wodno-kanalizacyjną? Arnold kiwa głową.

- Woda spływa bardzo powoli. W zeszłym miesiącu

był tu hydraulik, żeby wyczyścić tłuszczowniki, ale znów coś się dzieje. Wolę zarobić mniej przez jeden wieczór niż mieć potem większy problem.

- To samo stało się w Barrett, w moim poprzednim miejscu pracy - mówi barman. Zbiera z kontuaru puste kufle, pozdrawiając gestem dłoni wychodzących klientów.

- Chętnie się temu przyjrzę - proponuje Yvonne. - Niczego nie obiecuję, ale mogę sprawdzić, czy to rzeczywiście wina tłuszczownika.

- Tłuszczownika, mówi pani? - chichocze zaskoczony Arnold. - Jestem pani wdzięczny za troskę, ale musi pani wiedzieć, że nie mówimy tu o jakichś kuchennych bibelotach.

- Wiem, co to jest tłuszczownik. Jestem hydraulikiem z licencją na stan Illinois. Yvonne Täte z firmy Usługi Hydrauliczne Täte. - Piękna dziewczyna otwiera niewielki błyszczący portfel, który sprawia w tej chwili wrażenie całkiem niepraktycznego, i wręcza szefowi restauracji wizytówkę.

- Pozwól jej rzucić na to okiem, Arnold - wtrąca barman. - W Barrett wszystko cofnęło się nam do kuchni, był taki bałagan, że szef zamknął lokal na dwa tygodnie. Musieliśmy wzywać inspektora sanitarnego.

Isabel podnosi się ze swojego miejsca i staje za plecami Yvonne.

- Co się dzieje?

- Nie jestem pewien, ale ta pani chyba chce zajrzeć do tłuszczownika - odpowiada Arnold.

Yvonne przytakuje, sięgając po kolejną garść orzeszków, i zaraz ciągnie Isabel za sobą. Idą z Arnoldem

przez kuchnię, wychodzą tylnymi drzwiami na zewnątrz. W ciągu niecałych pięciu minut Yvonne orientuje się, że hydraulik, który ostatnio czyścił tłuszczownik, spartaczył robotę.

- Skoro było to zaledwie miesiąc temu, skąd tu tyle brudu? - pyta retorycznie. Isabel zatyka sobie nos. - W restauracjach wielkości Avalon Grill należy czyścić tłuszczowniki cztery razy do roku. Skutki zaniedbań mogą okazać się katastrofalne. A czy ten fachowiec używał sprężyny?

- Wygląda na to, że nie - mówi Arnold. - Nie chcę o nikim źle mówić, w końcu to małe miasteczko, lecz nie jestem zadowolony z jego usług. To spora firma, ale nie znaczy, że najlepsza.

- Na pana miejscu poszukałabym kogoś innego - radzi mu Yvonne. Nie czyści tłuszczowników, gdyż nie posiada odpowiedniego sprzętu do przepłukiwania instalacji i wypompowywania tłuszczu oraz resztek organicznych, które należy następnie neutralizować. Wie jednak, jak powinien wyglądać czysty tłuszczownik. To, co widzi, z całą pewnością nie mieści się w tej definicji. - Dobrze, że zamknął pan lokal i zadzwonił po pomoc. Gdyby zwlekał pan dłużej, mógłby się tu zacząć wydzielać siarkowodór, który nie tylko jest niebezpieczny, ale również przyspiesza procesy gnilne. Jeśli fachowcy zjawią się jutro z samego rana, w pół godziny powinni sobie poradzić.

- Dzięki Bogu. Przez chwilę poważnie się martwiłem. Nie mogę sobie pozwolić na utratę pracy i... - Arnold wzdycha głęboko. - Najgorsza jest ta niepewność,

prawda? Czy dokonano się właściwego wyboru, czy nie. Co za ulga wiedzieć, że się podjęło dobrą decyzję.

Yvonne i Isabel odwracają wzrok, pogrążając się w myślach.

- Tak - mówi Yvonne. Nagle ma nieprzepartą ochotę zakończyć tę rozmowę, wsunąć się pod kołdrę we własnym łóżku, zamknąć oczy i uciec przed bolesnymi wspomnieniami. - Ma pan szczęście. Czasem człowiek nigdy się tego nie dowie.

- Fran, co się dzieje? - Reed odkłada na bok książkę i patrzy zdumiony na żonę, która wpada do domu obciążona torbami na zakupy, ciągnąc za sobą równie objuczonych chłopców.

- Mama zwariowała - mówi Nick, rzucając swoje pakunki na sofę. - Wykupiła cały sklep.

Frances posyła najstarszemu synowi ostrzegawcze spojrzenie. Choć Nick ma dopiero osiem lat, jest już wysoki i szczupły. Wciąż oczywiście wygląda jak dziecko, ale widać, że wkrótce zacznie dojrzewać. Za szybko, myśli zawsze Frances, lecz teraz czuje wyłącznie złość.

- Nick, wiesz, że to nieprawda.

- To prawda - oświadcza Noah, ciągnąc za sobą dużą plastikową torbę. - Umieraliśmy z nudów, co, Nick?

- No. - Nick chce jak najszybciej zniknąć w swoim pokoju.

Ostatni wtacza się do kuchni Brady z lizakiem w buzi. Reed bierze go na ręce i marszczy brwi.

- On ma niebieski język.

- Lizak jest niebieski. - Frances pospiesznie wyciąga zakupy z kuchni, żeby Reed nie zaczął się im przyglądać.

- Doktor Tindel mówił, że Brady nie powinien jeść słodczy! - woła za nią mąż. - Ma już jeden ubytek w zębie.

- Wiem, wiem, ale rozdawali je w sklepie z butami. Nie mogłam mu zabronić. - Oczywiście mogła, ale prościej było się poddać. Uśmiecha się z nadzieją do synka. - Pójdziemy umyć ząbki, dobrze, Brady?

Malec poważnie kiwa głową. Reed stawia go na ziemi i chłopczyk zaczyna biec w kierunku salonu.

- Hej, mistrzu, musisz zostać z tym w kuchni - zwraca mu uwagę ojciec.

Synek nie zwraca na niego uwagi.

- BRADY. - Głos Reeda jest donośny, ale spokojny. Malec natychmiast odwraca się o 180 stopni, wraca posłusznie do kuchni i siada na taborecie.

Frances wzdycha. Gdy Reed jest w pobliżu, wydawanie poleceń chłopcom staje się o wiele łatwiejsze. To zapewne kwestia odpowiedniego poziomu testosteronu.

Do kuchni wchodzi Noah, wlokąc za sobą worek niemal tak duży jak on sam.

- Popatrz, tato! - Zanim matka jest w stanie go powstrzymać, otwiera pakunek.

Frances nie chciała wnosić tego do środka, ale pomieszało jej się, który zakup jest w którym pakunku i kto co niesie.

- Domek dla lalek?! - Reed podnosi głos. - Jest większy niż nasz dom!
Gdzie zamierzasz go postawić?

Frances czuje wyrzuty sumienia, zaczyna się tłumaczyć. Planowała przenieść cały gabinet do salonu, ale okazało się, że jest tam za mało miejsca i nie miała jeszcze okazji zastanowić się, jak to rozwiązać. Postawiła biurko obok sofy, lecz szafki na segregatory wciąż stoją w gabinecie, ponieważ Reed nie chciał, żeby chłopcy mieli do nich dostęp. Tymczasem w gabinecie stoi już łóżko księżniczki z baldachimem, pasująca do niego komoda, zabawki oraz szafa pełna ubrań.

Noah klęka na podłodze i zagląda do domku.

- Drzwi się otwierają. Patrzcie! - Przyciska miniaturowy dzwonek i w pokoju rozlega się dźwięczny gong. - To działa!

Reed potrząsa głową z dezaprobatą.

- Wiem, Reed - zaczyna Frances. - Zobaczyłam w gazecie ogłoszenie, że ktoś chce sprzedać używany domek dla lalek, i pomyślałam, że rzucę na niego okiem, zobaczę tylko, jak wygląda. Nie zamierzałam go kupować, ale właśnie wtedy przyszła jeszcze jedna osoba i koniecznie chciała go wziąć, mówiła, że to świetna okazja i że jest w doskonałym stanie, i...

- Noah, weź Brady'ego i pójdźcie pobawić się do salonu - mówi Reed stanowczym tonem. Chłopcy w kilka sekund spełniają jego polecenie.

Frances pada na krzesło. Przez chwilę czuje się jak Alicja w krainie czarów - ma wrażenie, że kuchnia skurczyła się, gdy wnieśli do niej domek. Znikła euforia towarzysząca jej przez cały dzień i teraz nie jest

już nawet pewna, gdzie ostatecznie postawi domek, nie wspominając o innych zakupach. Żałuje swojej pochopnej decyzji.

- Przepraszam, Reed, trochę mnie poniosło. Mam ostatnio mnóstwo spraw na głowie. Przyjazd Mei Ling...

Reed zamyka oczy.

- Frances, musimy porozmawiać.

Żona patrzy na niego zdziwiona.

- Znów jedziesz w delegację.

- Tak, ale nie o tym chcę z tobą mówić, tylko o Mei Ling. Dostaliśmy jej kartę zdrowia.

Na środku stołu leży brązowa koperta. Frances wyciąga po nią rękę i nagle zaczyna się wahać.

- Jest tak, jak sądziliśmy, prawda? Potwierdzili to, o czym wspominali nam na początku?

- Mam ci powiedzieć, co jest w środku, czy chcesz to przeczytać sama?

Frances nie jest pewna. Wszelkie wieści, nawet złe, wydają się jej łatwiejsze do przyjęcia, gdy przekazuje je Reed, lecz ona nie chce dowiadywać się niczego w taki sposób. Nie tym razem.

Podnosi ze stołu kopertę, ale jej nie otwiera.

- Reed, przeszliśmy już ponad połowę drogi. Mei Ling wkrótce będzie z nami. Niektóre rodziny czekają o wiele dłużej od nas. W większości przypadków na dziecko z Chin czeka się pięć lat, niekiedy nawet dziesięć. Nasz przypadek to niemal cud, wiesz o tym.

- Proces aMopcyjny przebiega tak szybko, ponieważ

zgodziliśmy się na dziecko, którego nikt nie chce - przypomina jej Reed. - Dziecko specjalnej troski.

- Rozszczep podniebienia to nic wielkiego. Przecież ją widziałeś! Wyglądała ślicznie, operacja przebiegła pomyślnie.

Reed pochmurnieje.

- Problem Mei Ling to nie rozszczep podniebienia. Była operowana z innego powodu.

- O czym ty mówisz? - Frances marszczy brwi. Otwiera kopertę i wyjmuję z niej cienki plik dokumentów. Oryginalne zaświadczenie o stanie zdrowia, w języku chińskim, i tłumaczenie. Frances szybko przebiega je wzrokiem i krew odpływa jej z twarzy. Podnosi dłoń do ust, zaczyna gwałtownie chwytać powietrze. Ma wrażenie, że nie jest w stanie oddychać.

- Przykro mi... - Reed chce ją wziąć w ramiona, ale Frances odpycha go, potrząsając głową.

- Nie - szepcze, drżąc na całym ciele.

- Gdy tylko zapoznałem się z treścią zaświadczenia, zadzwoniłem do agencji. Przykro mi, ale nie mogłem czekać. Musiałem się wszystkiego dowiedzieć. - Reed wstaje, podchodzi do zlewu i nalewa wodę do szklanki. Podchodzi do Frances i kuca obok niej. - Mei Ling ma wrodzoną wadę serca. Czeka ją między innymi operacja na otwartym sercu, i nawet wtedy nie będzie wiadomo... - Milknie.

Frances wciąż potrząsa głową z niedowierzaniem.

- Ale jak... to znaczy, ja nie... my nie...

- Agencja nie wie, jak do tego doszło, ale takie są fakty. Przydzielono nam dziecko w bardzo złym

stanie zdrowia. Deklarowaliśmy chęć zaopiekowania się dzieckiem z pewnymi problemami, ale nie jesteśmy gotowi na aż tak wielkie wyzwanie.

- Czy czeka na nią inna rodzina? A czy na nas czeka jakieś inne dziecko?

Na twarzy Reeda pojawia się grymas bólu.

- Frances, nie mów tak. To była pomyłka.

- Naprawdę? Czy miał ją zaadoptować ktoś inny? Reed wzdycha.

-Nie.

- Czy agencja zamierzała przydzielić nam inne dziecko?

Kolejne westchnienie.

- Nie, ale wciąż jesteśmy na początku listy i niedługo powinniśmy otrzymać kolejną propozycję. Agencja wyjaśni chińskim władzom, że przydzielono nam niewłaściwe dziecko, dzięki czemu nie poniesiemy żadnych konsekwencji.

Frances gwałtownie zrywa się na równe nogi.

- Mei Ling nie jest niewłaściwym dzieckiem! Jest pasza!

Reed nie odpowiada.

- Wiedziałeś, że Mei Ling jest przeznaczona właśnie nam. Sam to mówiłeś - przypomina mu Frances. Dobrze pamięta moment, gdy z wilgotnymi oczyma i błogim uśmiechem na twarzy dzwonił do rodziców, by podzielić się z nimi radosną nowiną.

Reed zamyka oczy. Przez dwanaście lat ich małżeństwa ani razu nie doszło do takiej sytuacji. Frances ma ochotę wybuchnąć płaczem.

- Myślałem, że tak jest - mówi Reed."- Teraz nie jestem tego pewien. Frances ma wrażenie, że jakaś siła rozdziera ją na dwoje. Czy to się dzieje naprawdę? Jak to możliwe? Jak coś takiego może się dziać?

- Co mówisz, Reed?

- Mówię, że powinniśmy zrezygnować z adopcji Mei Ling. Mówię: „nie”, Frances. Bardzo mi przykro.

*Abilene Gould, lat 26,
chwilowo zatrudniona
jako sekretarka*

Firma Avalon Drgali, panele gipsowo-kartonowe, proszę się nie rozłączać. Avalon Drywall, proszę się nie rozłączać. Avalon Drywall, panele gipsowo-kartonowe, mówi Abilene. W czym mogę pomóc?

- Chciałbym rozmawiać z Abilene Gould. ; Abilene marszczy brwi.

- Z kim mam przyjemność?

Jej rozmówca wybucha głośnym śmiechem.

- Abby, to ja. Fan Whatley. Sprawdzam cię, dziewczyno! Chciałem tylko się upewnić, że odbierasz telefony.

Abilene rzuca okiem w kierunku gabinetu. Rzeczywiście szef siedzi tam, zaśmiewając się do rozpuku.

- Bardzo śmieszne, panie Whatley - mówi śmiało, machając do niego dłonią.

Przerywa rozmowę i naciska klawisz połączenia z pierwszą linią.

- Firma Avalon Drywall, mówi Abilene. W czym mogę pomóc?

- To znów ja! - W słuchawce słyhać znajomy śmiech.

Abilene rozłącza się i przyciska kolejny klawisz, tym razem już porządnie wystraszona.

- Avalon Drywall, mówi...

- Masz piątkę z plusem, Abby. Z telefonami radzisz sobie doskonale. Gdyby tylko klienci rzeczywiście chcieli do nas dzwonić. Przyjdź do mnie na chwilę, dobrze?

Abilene wzdycha i sięga po notatnik. To jej druga dorywcza praca. W pośredniaku ją poinformowano, że w każdej chwili może spodziewać się zwolnienia, gdyż firma Avalon Drywall przeżywa poważne kłopoty. A ponieważ nie mają dla niej żadnych nowych ofert, znajdzie się znów w punkcie wyjścia, będzie zakreślać ogłoszenia w gazetach i starać się umawiać na rozmowy kwalifikacyjne.

Dick Whatley siedzi rozparty wygodnie na krześle, mnąc czyste faktury i rzucając nimi w kierunku kosza na śmieci.

- Jest! - krzyczy, gdy jedna wpada do środka. Abilene siada na krześle po drugiej stronie biurka.

- Tak, panie Whatley?

- Bystra z ciebie dziewczyna, Abby. Od razu to zauważyłem. Bardzo mi przykro, ale to twój ostatni dzień w mojej firmie. - Pan Whatley uśmiecha się z trudem. - Jutro zamykam interes. Muszę zacząć to wszystko pakować. - Wskazuje ściany, gdzie wiszą dumnie fotografie

i gromadzone od lat dyplomy oraz pamiątkowe odznaki. - Tę firmę założył mój ojciec. Stworzył ją od zera. Przetrwał dwa kryzysy. Szkoda, że o sobie nie mogę powiedzieć tego samego. - Sięga po stojącą na biurku fotografię w ramce i pokazuje ją Abilene. - To moje dziewczyny. Moja żona, Ann Marie, i córeczka, Tiffany. Teraz to już prawie dorosła panna, ma szesnaście lat. Nie miałem okazji włożyć tu aktualnej fotografii.

- Ładne zdjęcie - chwali uprzejmie Abilene.

- Wiem, że pracowałaś u mnie zaledwie kilka dni, ale z przyjemnością napiszę ci referencje i podkreślę w nich, że zrobiłaś na mnie bardzo dobre wrażenie. To szczerą prawdą. Mam nadzieję, że znajdziesz pracę, którą polubisz. - Pan Whatley zaczyna przekładać piętrzące się na biurku dokumenty, po czym, nagle czymś zaaferowany, nieruchomieje i rozgląda się dookoła. - Do soboty muszę się stąd wyprowadzić. Myślałem, że szybko się z tym uporam, ale niewiele udało mi się zrobić. Sprzedałem meble i szafki na segregatory, większość wyposażenia. Wszystkie teczki i rzeczy osobiste... cóż, trzeba zrobić z tym porządek. Wygląda na to, że do późnej nocy będę się pakował, a od jutra zacznę krążyć tam i z powrotem między biurem a domem, przewożąc pudła i pakunki.

Pan Whatley jest zażywny, postawny, nieco szorstki w obyciu, ale miły. Jakiś czas temu jego firma doskonale prosperowała, a on sam cieszył się szacunkiem lokalnej społeczności. Ma wiele powodów, by być dumnym z siebie, ale teraz, gdy musi pogodzić się z likwidacją sklepu, trudno mu zdobyć się na optymizm.

- Chętnie przyjdę i panu pomogę - proponuje Abilene.

- To miło z twojej strony, ale nie stać mnie już na opłacanie pracownika. - Pan Whatley wyłącza komputer. Dźwięk zamykającego się systemu brzmi tak smutno, że Abilene i jej szef jednocześnie kulą się na swoich krzesłach.

Po chwili Abilene siada prosto i zmusza się do uśmiechu.

- Nie będzie musiał mi pan płacić. I tak nie mam żadnego innego zajęcia. Chętnie czymś się zajmę i pomogę panu.

Pan Whatley rozpromienia się na chwilę, po czym potrząsa odmownie głową.

- Nie, nie. To mój biznes i ja powinienem się nim zająć.

- Dobrze, rozumiem. - Abilene nie może oderwać wzroku od wiszących na ścianie zdjęć, od oprawionego w ramki banknotu jednodolarowego, od opatrzonego autografem zdjęcia pana Whatleya stojącego wraz z ojcem w towarzystwie gubernatora Illinois. Wisi tam również oś czasu oraz trzy rysunki ilustrujące zmiany, jakie w miarę upływu lat przechodziło logo firmy. Abilene nie może sobie nawet wyobrazić, jak wielki smutek odczuwa pan Whatley na myśl o konieczności pozdejmowania pamiątek ze ścian i pochowania ich do pudeł.

I wtedy przychodzi jej do głowy pewien pomysł. Kilka tygodni wcześniej stała przed sklepem Pick and Save, delektując się gumą do żucia w kształcie

zółtej kulki. Miała właśnie za sobą kolejną nieudaną rozmowę o pracę. Szklany pojemnik pełen wielokolorowych gum wydał jej się niezwykle kuszący. Otworzyła portfel, znalazła ćwierćdolarówkę, wsunęła ją w otwór automatu i przekręciła gałkę. Maszyna wydała z siebie obiecujący zgrzyt, po czym kulka wypadła do rynienki. Abilene wsunęła ją sobie do ust. Przez krótką chwilę czuła, jak zalewa ją fala najzwyklejszego w świecie szczęścia.

Niska kobieta o srebrnoniebieskich włosach, przechodząca obok, zatrzymała się, wskazując palcem automat.

- Piękne kolory, prawda?

Abilene mogła tylko skinąć głową, obracając gumę w ustach.

- Założę się, że twoje pokolenie bardzo mile wspomina te automaty - powiedziała starsza pani. - To kwintesencja dzieciństwa, obok lodów z furgonetek i domków na drzewach.

Twarda cukrowa skorupka w końcu się rozpuściła i Abilene była w stanie wydobyć z siebie głos.

- Miałam taki domek. Zbudowałam go razem z tatą.

- No widzisz? O tym właśnie mówię! Czy miałaś również kolekcję znaczków?

Abilene potrząsnęła przecząco głową.

- Nie zbierałam znaczków, ale gumki do ścierania. I lubiłam komiksy *Betty and Veronica*. Szczególnie podwójne zeszyty. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Kiedyś miała ich ponad sto. Co się z nimi stało? Może rodzice komuś je oddali. Mogła je odsprzedać - były

w doskonałym stanie, każdy zeszyt w osobnej plastikowej okładce. Dziś dostałaby za nie całkiem przyzwoitą sumę.

Nieznajoma uśmiechnęła się szeroko.

- Jesteś nowa w Avalon, prawda? Nazywam się Bettie Shelton i jestem przewodniczącą tutejszego Klubu Miłośniczek Albumów. - Wyciągnęła rękę.

- Abilene Gould.

- Przyjdź na nasze dzisiejsze spotkanie. Poznasz mnóstwo ludzi i dowiesz się, jak w twórczy sposób uwiecznić swoje wspomnienia. Składka wynosi piętnaście dolarów na miesiąc, ale skłonna jestem cię z niej zwolnić, ponieważ jesteś nowa w naszym mieście. Nie mogę się jednak do tego nikomu przyznać. Nie chciałabym, żeby ludzie myśleli, że kogoś faworyzuję. - Mówiąc to, rozpromieniona Bettie cały czas potrzasała ręką Abilene.

Dziewczyna w końcu zdołała oswobodzić dłoń z jej uścisku.

- Dziękuję, ale nie jestem szczególnie twórczą osobą.

- Co? Nonsens. Zresztą przyjdź dla towarzystwa, spotkasz kilka sympatycznych osób. Dzisiaj, siódma wieczór. A oto moja wizytówka.

- Bettie wsunęła w dłoń Abilene fantazyjnie zdobiony kartonik. - Ta jest akurat bardzo artystyczna. Mam jeszcze sześć innych rodzajów wizytówek.

- Och, nie wiem...

Bettie zbyła jej wahania machnięciem ręki.

- Muszę iść kupić truskawki. I lekarstwo na zgagę. Do wieczora! - Klepnęła Abilene przyjaźnie w ramię

i zniknęła w sklepie, zanim dziewczyna zdążyła jej odpowiedzieć.

I w ten oto sposób Abilene poszła na spotkanie klubu, słuchała uprzejmie, co mają do powiedzenia zgromadzone na nim panie, dowiedziała się nieco o ozdabianiu albumów i mnóstwo o samym Avalon. Członkinie klubu wzięły ją pod swoje skrzydła i roz-powiedziały w całym miasteczku, że dziewczyna szuka pracy, ale nie wiadomo, czy coś z tego wyniknie. A teraz Abilene widzi sposób, by pomóc szefowi firmy Drywall, i to tak, by naprawdę był jej za to wdzięczny.

- Panie Whatley - mówi niespodziewanie. - Czy nie zechciałby pan, żebym pomogła panu wkleić część tych pamiątek do specjalnego albumu? Powstałoby coś w rodzaju pamiątkowej kroniki pańskiej firmy. - Wskazuje wiszące na ścianie zdjęcia i dyplomy.

Pan Whatley przekrzywia głowę na bok.

- Chcesz powyjmować je z ramek?

- Tak. Nie. Nie wiem. Może by pan przechowywał oryginały w bezpiecznym miejscu, a kolorowe odbitki wkleilibyśmy do albumu. Niedawno byłam na spotkaniu, gdzie zajmowano się właśnie czymś takim - wyklejaniem albumów pamiątkowych. Wciąż jeszcze się tego uczę, więc nie stworzę nic fantastycznego, ale mogłabym przygotować ciekawą kronikę działalności pańskiej firmy. Co pan o tym sądzi?

Pan Whatley patrzy na nią z zadumą i nagle się uśmiecha.

- Abilene...

- Po raz pierwszy wymawia jej pełne imię. - Twój pomysł podoba mi się bardzo.

Rozdział 8

Yvonne w puzderku z biżuterią szuka kolczyków. Do pracy najbardziej lubi zakładać małe złote kółeczka, ale w ubiegłym tygodniu jedno gdzieś się jej zapodziało i chce teraz nosić coś całkiem przylegającego do uszu, czego tak łatwo nie zgubi. Najrozsądniej byłoby oczywiście nie nosić w pracy żadnej biżuterii, ale jaką miałyby z tego przyjemność? Nic wymyślnego, powtarza sobie, przeglądając kolczyki. Dawniej miała ich o wiele więcej, ale wystarczy jej to, co ma.

Dotyka srebrnych turkusowych serduszek i mimowolnie wstrzymuje oddech. Sam podarował jej te kolczyki na osiemnaste urodziny, po powrocie z wycieczki na południowy Zachód, na którą wybrał się z kilkoma kolegami. Wyprawa ta otworzyła mu oczy, wzbudziła pragnienie wyjazdu poza Wareham i zakosztowania życia innego niż praca na plantacji żurawiny. Jego entuzjazm był wręcz zaraźliwy; wiadomo było, że pewnego dnia to marzenie na pewno się spełni.

A potem... Yvonne wzdycha, potrząsając głową. Wie, że ktoś inny mógłby widzieć w tych kolczykach symbol bolesnej przeszłości, ale ona patrzy na nie inaczej. Miała je na sobie w dniu, gdy wyjechała z Wareham, i od tego czasu ani razu ich nie zakładała. Przynoszą jej spokój ducha, podobnie jak proste kolczyki z perłą, które kiedyś należały do babci. Yvonne tęskni za obiema babciami.

W ubiegłym roku całkiem niespodziewanie zadzwoniła do niej siostra, Anne, i przekazała smutną wiadomość.

- Babcia zmarła - oświadczyła oficjalnym tonem.

- Udar. Pogrzeb jest w przyszłym tygodniu. Wiem, że nie przyjedziesz.

Yvonne ogarnął przejmujący smutek, wiedziała jednak, że niczego to nie zmieni.

- Nie - powiedziała. - Wyślę kwiaty.

- Nie zwracaj sobie tym głowy - odparła siostra.

- Zamówiłam już wiązanekę w twoim imieniu. Goździki.

Yvonne nienawidzi goździków i Anne dobrze o tym wie. Rozłączyły się, a miesiąc później Yvonne otrzymała pocztą niewielką paczuszkę, w której znalazła złożoną kopię programu ceremonii pogrzebowej oraz perłowe kolczyki wetknięte niedbale w bawełniany wacik. Była to prawdopodobnie jedyna rzecz, której nie chciał nikt inny. Każdy czyhał na pieniądze albo na diamenty.

Dwie pary małych kolczyków tak nasycone wspomnieniami i ukrytym znaczeniem... Yvonne nie może zmusić się do ich założenia.

Wybiera w końcu parę cytrynowych wkrętek. W tym samym momencie słyszy dzwonek u drzwi. Jest wpół do dziewiątej. Za pół godziny powinna zacząć pracę. Zdążyła już przebiec siedem kilometrów i zjeść śniadanie. Rzuca na łóżko kilka ozdobnych poduszek, jeszcze raz spogląda na swoje odbicie w lustrze i schodzi do drzwi.

Zerka przez wizjer, ale nie widzi nikogo, tylko roz-słonecznioną ulicę przed domem oraz panią Markowitz spacerującą z psem. Otwiera drzwi i rozgląda się wokół, po czym opuszcza wzrok i spostrzega kartkę wetkniętą za róg wycieraczki.

Ktoś nabazgrał na niej w pośpiechu kilka słów.

Wynoś się stąd. Nie jesteś jedną z nas.

Yvonne czuje, że coś ściska ją w gardle. Podnosi kartkę, macha uprzejmie ręką do pani Markowitz, a następnie mnie papier w dłoni i wrzuca go do kuchennego kosza na śmieci.

Nalewa sobie szklankę soku pomarańczowego i usiłuje się uspokoić. Ma przed sobą pracowity dzień, na tym powinna się skupić. Praca. Praca zawsze dobrze na nią wpływa, pomagała jej „wyjść” z własnego umysłu i skupić się na ciele.

Dzwoni telefon komórkowy. Yvonne waha się przez chwilę. Widząc na wyświetlaczu lokalny numer kierunkowy, decyduje się odebrać połączenie.

- Yvonne Täte.

Mężczyzna po drugiej stronie długo odchrząkuje, po czym pyta niepewnie:

- Czy to pani hydraulik?

- Tak, mówi Yvo...

- Przepraszam, że dzwonię w ostatnim momencie, ale nie skorzystam dziś z pani usług. Wszystko już działa bez zarzutu. Och, mówi Mervin McDowell, ulica Plum 1524.

Yvonne znajduje w torbie terminarz i otwiera go na stronie z informacją o Mervinie McDowellu. „Blok mieszkalny, zatkany odpływ prysznic”. Cóż, możliwe, że wystarczył środek do udrażniania rur, ale dziewczyna ma wrażenie, że problem wydawał się poważniejszy.

- Nic się nie stało, panie McDowell - mówi. Jest rozczarowana, że przepada jej zlecenie, ale trudno, zdarza się. - Jeśli potrzebowałby pan kiedyś...

Klik! Rozłączył się.

Yvonne skreśla w terminarzu nazwisko pana McDo-wella i sporządza przy nim krótką notatkę. Będzie mogła dziś skończyć pracę nieco wcześniej. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Może Isabel zechce zjeść z nią obiad. Może pójdą razem do kina.

Szuka w terminarzu nazwiska następnego klienta i wybiera numer.

- Dzień dobry, pani McKenzie. Mówi Yvonne Täte, usługi hydrauliczne. Chciałam panią poinformować, że mam teraz okienko. Mogłabym przyjechać do pani wcześniej.

- Och, Yvonne! - Pani McKenzie sprawia wrażenie uradowanej. - Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Musimy przełożyć twoją wizytę, jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu.

Przełożyć? Trzeba było tam wymienić podgrzewacz wody. Stary bojler całkowicie odmówił posłuszeństwa. Yvonne patrzy w kalendarz.

- Może jutro - mówi. Przy wymianie jest sporo pracy, prostej, ale czasochłonnej - trzeba najpierw spuścić wodę ze starego bojlera i zdjąć go ze ściany, a następnie zainstalować nowy. Zamierzała również zawieźć zepsuty podgrzewacz do punktu przerobu złomu, ponad pół godziny drogi. - Spróbuję przesunąć kilka spotkań i przyjadę do pani z samego rana.

- Och, wiesz, martwi mnie, że będziesz musiała zadać sobie tyle trudu. Zapomnijmy o tym. Jestem pewna, że jakoś sobie poradzimy. Poproszę Larry'ego, żeby to naprawił.

Pana McKenzie? Yvonne przypomina sobie, jak leżał rozciągnięty na kanapie, w okularach o szklach grubych jak denka od butelek, wciśniętych krzywo na nos. Jego pokaźny brzuch unosił się i opadał w rytm chrapania. Nie, Larry McKenzie na pewno nie zdoła naprawić zepsutego bojlera, tak samo zresztą jak i jego niska żylasta żona. - Dziękuję ci za wszystko, Yvonne - mówi jeszcze pani McKenzie i rozłącza się.

Z trzech zleceń pozostało Yvonne już tylko jedno. Co to, do diabła, ma znaczyć? Czując narastającą frustrację, wybiera numer telefonu komórkowego Isabel.

- Cześć, chcesz wpaść dziś do mnie na obiad? Mam tylko zupę, ale za to według przepisu Wolfganga Pucka, prosto z puszki, jest naprawdę pyszna...

- Och, cześć. Właśnie wychodzę na spotkanie. Mogę oddzwonić później?

- Nie masz wolnej sekundy, żeby ze mną porozmawiać?
- Mam... już minęła. Idzie mój szef, muszę lecieć. Oddzwonię później. - Isabel przerywa połączenie.

Choć Yvonne zwykle nie rekompensuje sobie zmartwień objadaniem się, idzie do spiżarni i sięga po paczkę wafli ryżowych. Chrupiąc jeden, a potem drugi, usiłuje zachować dobry nastrój. Dwoje klientów odwołało spotkanie, nic więcej, i choć zdarzyło się to tego samego dnia, nie ma w tym nic dziwnego. Zjada jeszcze jeden wafel i dzwoni do ostatniego klienta. Jeszcze się z nim nie widziała, nie zależało mu bowiem na konsultacji, lecz na szybkiej pomocy przy cieknącej muszli klozetowej. Miał wczoraj nadzieję, że Yvonne będzie mogła przyjechać do niego od razu, ale była właśnie u innej osoby, a potem czuła się zbyt zmęczona, by zabierać się do kolejnego zlecenia. Teraz jednak dzwoni do niego z drżeniem serca. Zastanawia się, czy po raz kolejny usłyszy, że problem rozwiązał się sam i niejaki Hubert Hill nie potrzebuje już jej pomocy.

- Co za ulga! - reaguje klient, gdy Yvonne oznajmia mu, że może do niego przyjechać już teraz.

Dziewczyna nie wierzy własnym uszom.

- Naprawdę? - pyta.
- A co w tym dziwnego? Rano miałem już zamiar chwycić za młotek. Spotkamy się za pół godziny u mnie w domu? Wie pani, gdzie to jest?
- Tak, mam adres. Do zobaczenia. - Yvonne rozłącza się i rysuje uśmiechniętą buźkę w swoim terminarzu, na stronie z nazwiskiem Huberta Hilla. Wiedziała,

że to nic takiego, mówi sobie z triumfem, strzepując ryżowe okruchy do kosza na śmieci. Zauważa zmięty kawałek papieru i uśmiech natychmiast znika z jej twarzy. Wpatruje się w niego przez chwilę, po czym z trzaskiem opuszcza pokrywę kosza.

Dwadzieścia pięć minut później stoi na wycieraczce ładnego dwupiętrowego domu z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, oddalonego od Avalon o kilka minut jazdy samochodem. Zastanawia się, czy jego mieszkańcy mają jakieś inne problemy poza cieknącą muszlą klozetową. Otynkowane jasnożółte ściany wydają się w idealnym stanie. Analizując położenie okien, Yvonne szacuje, że pomieszczenia na parterze muszą być wysokie na co najmniej trzy metry.

Naciska guzik dzwonka. Sekundę później otwierają się drzwi i wyskakuje z nich duży biszkoptowy labrador, omal nie przewracając jej na ziemię.

- Hej, spokojnie, chłopcze! - mówi Yvonne, głaszcząc uszy i kark psa, który trąca ją nosem w rękę, sapiąc przy tym radośnie.

- Przepraszam, brakuje mu dobrych manier. Toby, chodź tu. - Czyjaś ręka chwyta Toby'ego za obrożę. Yvonne dostrzega kątem oka męskie mokasyny oraz spodnie w kolorze khaki. Szybko unosi głowę.

- Labrador i dobre maniery? - pyta wesoło i niespodziewanie milknie, całkowicie zbita z tropu. Okazuje się bowiem, że Hubert Hill to ktoś całkiem inny niż osoba, którą spodziewała się ujrzeć.

Czarujące brązowe oczy - to po pierwsze. Ciemnobrązowe włosy, granatowa koszulka polo rozpięta

pod szyją, spodnie khaki, modny pasek. Muskularne ramiona, szczupłe i wyrzeźbione - nie jak u kulturysty, lecz jak u lekkoatlety. I jego uśmiech - Yvonne podejrzewa, że Hubert Hill podbił serca wielu kobiet samym swoim uśmiechem. Jest w jej wieku, może o kilka lat starszy.

Czując, że się czerwieni, dziewczyna natychmiast bierze się w garść.

- Jestem Yvonne Täte.

- Yvonne Täte. - Hubert mówi to powoli, patrząc na nią uważnie. Tobi napiera całym ciałem na jego nogi, domagając się, żeby go wypuścić; ma wyraźną ochotę sobie poszaleć. - Ty jesteś hydraulikiem?

Yvonne kiwa głową. Przez chwilę nie może wydobyć z siebie głosu.

- Jestem hydraulikiem.

Toby wyskakuje za drzwi, zbiega z werandy i pędzi przez trawnik. Może goni wiewiórkę lub kota. Albo nic.

- Wejź, proszę. Winowajca jest na górze. Główna łazienka. - Hubert usuwa się na bok i Yvonne wchodzi do środka, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że mężczyzna stoi bardzo blisko niej. Pachnie czystością, jak mydło.

Yvonne ma dwa wyjścia: roztopić się z wrażenia albo siłać się na obojętność, zrobić swoje i wyjść. Podstawowa sprawa: zero kontaktu wzrokowego. Ma wrażenie, że nogi się pod nią uginają. Usiłuje przywołać się do porządku. Na próżno. Jej wzrok pada na jego lewą rękę, na ąderdeczny palec.

Nie ma obrączki.

Hubert gwizdże na Toby'ego. Robi to pewnie, rozkazująco - takim gwizdem mógłby zatrzymać ruch uliczny. Nawet Yvonne przystaje posłusznie.

Toby wbiega w podskokach do domu. Yvonne patrzy na koronkowe serwetki, na jedwabne kwiaty w porcelanowych wazonach z ozdobnymi żłobieniami, na wyblakłe orientalne dywaniki pokrywające podłogę z różowych desek. Na ścianach wiszą szafki z oszklonymi drzwiczkami i piękne ozdoby z drewna. Dom jest uroczy, choć nieco zbyt staroświecki jak na jej gust, i wydaje się w ogóle nie pasować do Huberta.

- Piękny dom - mówi Yvonne uprzejmie. Hubert krzywi się, idąc po schodach na górę. Wygląda tak, jakby chciał jej coś powiedzieć, ale rzuca krótko:

- Dziękuję.

- Często miewasz kłopoty z instalacją? Hubert potrząsa przecząco głową.

- Dziesięć lat temu robiliśmy generalny remont. Wszystko zostało wymienione, również podłogi i instalacje. Mamy nowe szambo i system uzdatniania wody, a także zbiornik na wodę oraz bojler. Wszystko działało sprawnie aż do teraz.

Mijając sypialnię, Yvonne udaje, że nie widzi prześcieradła w kwiaty, grubej różowej kołdry, półek pełnych porcelanowych figurek dzieci i kotów. Obok szafy stoi rzędem kilka par męskich butów. Na biurku piętrzą się papiery - jedynie tu panuje nieporządek. Hubert sięga po telefon komórkowy, który właśnie się ładuje, i wsuwa go sobie do kieszeni.

A więc to jego pokój. Hm.

Główna łazienka jest tak samo przytulna jak cały dom. Dywaniki podłogowe, nakładka na deskę sedeso-wą oraz pojemniki na chusteczki higieniczne idealnie do siebie pasują. W rogu pomieszczenia, przy dużym oknie, z którego rozciąga się widok na ogrody, stoi piękna żeliwna wanna.

Yvonne stawia na podłodze skrzynkę z narzędziami. Trochę to wszystko dziwne, ale co tam. Hubert obserwuje ją od drzwi.

Yvonne zdejmuje pokrywę spłuczki i spuszcza wodę. Patrząc na spust, widzi, że korek nie przykrywa go w całości.

- Chyba będę musiała wymienić korek - mówi.

- Co? Nie. - Hubert marszczy brwi. - Hydraulik wymienił go w ubiegłym tygodniu.

- W ubiegłym tygodniu? - Yvonne zagłębia do środka. - Z brzegu jest cały zardzewiały. Na pewno nie jest nowy.

Hubert zerka na korek.

- Cholera. Nie wierzę.

- To nic poważnego - zapewnia go Yvonne.

- Zadzwoń do tego hydraulika i powiedz mu, żeby przyszedł jeszcze raz. Niczego nie naprawił. Powinien wymienić korek za darmo.

- Rzeczywiście. Coś takiego! - Hubert potrząsa głową, wyraźnie zdegustowany, i Yvonne ma wrażenie, że usiłuje to sobie zanotować w pamięci. - Wolałbym jednak mieć to już z głowy. Zajmiesz się tym?

Yvonne bawi się łańcuszkiem przy spłuczce i jeszcze raz spuszcza wodę.

- Jasne. To nie potrwa długo. Wykręcę uszkodzoną część i zabiorę ją ze sobą do sklepu, żeby kupić dokładnie taką samą. Za godzinę powinnam być z powrotem. Mam to zrobić teraz czy musisz wracać do pracy?

- Im szybciej, tym lepiej. Bez dwóch zdań. Nie chcę płacić ogromnych rachunków za wodę.

Yvonne czeka, aż spłuczka ponownie się napełni, po czym zakręca zawór. Następnie wyjmuje korek i wyciera ręce w czysty ręcznik zatknięty za pasek.

- Niedługo będę z powrotem.

Przez krótką chwilę stoją bez ruchu. Co się dzieje? A potem, zanim Yvonne jest w stanie się powstrzymać, zaczyna mówić.

- Jeśli chcesz, możesz pojechać ze mną - proponuje niedbałym tonem.

- Kiedy znów zepsuje się korek, będziesz wiedział, co robić. Możemy zabrać Toby'ego na małą przejażdżkę. - Patrzy na zdumioną minę Huberta i czuje, że przekroczyła pewną niepisaną granicę. Co sobie wyobrażała?

Nagle Hubert uśmiecha się szeroko.

- Świetny pomysł. Powinienem się tego nauczyć. Skoczę tylko po smycz Toby'ego. Spotkajmy się na zewnątrz.

Yvonne wsiada do samochodu i gorączkowo wybiera numer Isabel. Gdy od razu zgłasza się poczta głosowa, wysyła przyjaciółce pospiesznego SMS-a.

POZNAŁAM FANTASTYCZNEGO FACETA! ALE CHYBA MIESZKA Z MATKĄ. DZIWNE, CO?

Hubert wychodzi na werandę ze smyczą w dłoni. Potrząsa kluczami i z domu wyskakuje Toby. Hubert daje dłonią znak Yvonne.

- Jeszcze sekundę! - woła.

Yvonne uśmiecha się promiennie i błyskawicznie pisze kolejną wiadomość.

ISABEL!! WYJĄTKOWA OKAZJA!! JEDZIEMY TERAZ DO SKLEPU Z NARZĘDZIAMI.

Isabel odpisuje niemal natychmiast. Yvonne oddycha z ulgą, słysząc sygnał przychodzącej wiadomości.

KURCZĘ, TO DZIWNE. OLEJ GO. JESTEM NA ZEBRANIU, POROZMAWIAMY PÓŹNIEJ.

Yvonne zatrzaskuje klapkę telefonu i wzdycha. Świetnie, nie ma co. Ale kiedy Toby i Hubert podchodzą do samochodu, nie może powstrzymać uśmiechu. Nie wychodzi za gościa za męża, tylko po prostu jedzie z nim do sklepu, no i z sympatycznym psem. Uruchamia silnik i pochyla się w kierunku siedzenia pasażera, żeby otworzyć im drzwi.

Następne sześćdziesiąt minut mija błyskawicznie. Hubert jest dowcipny i inteligentny, a Toby wydaje się doskonale rozumieć, co się dzieje pomiędzy panem i jego nową znajomą.

Yvonne żałuje, że nie zepsuło się nic więcej poza toaletą - założenie nowego korka zajęło ledwie kilka minut.

- Skończone. - Nie spiesząc się, odkłada narzędzia do skrzynki.

Hubert jeszcze raz spuszcza wodę.

- Doskonała robota.

- To nie astronomia. A teraz, jeśli znów zdarzy się coś takiego, będziesz umiał naprawić sam. - Yvonne wręcza Hubertowi zamykany woreczek ze starym

korciem w środku. - Na twoim miejscu próbowałabym odzyskać pieniądze od tamtego gościa.

- Wątpię. To niezły gnojek. - Oboje uśmiechają się szeroko, po czym odwracają oczy, wyraźnie speszeni.

Schodzą powoli na parter. Zaskoczona Yvonne dostrzega starszą kobietę, która z niezadowoloną miną czeka na nich u dołu schodów.

Ma na sobie długi, jasny rozpinany sweter, pod nim zaś bluzkę i spódnicę do połowy łydki. Jej siwiejące włosy są krótko obcięte i starannie wymodelowane. Na nogach ma brązowe buty na wysokim obcasie. Jej oficjalna mina oraz ozdobne okulary do czytania, zsunięte na czubek nosa, kojarzą się Yvonne z urzędniczką.

- Hubercie? - mówi głosem, w którym pobrzmiewa ostrzegawcza nuta.

- Mamo - odpowiada Hubert. Yvonne czeka, aż je sobie przedstawi, ale nic takiego nie następuje. - Właśnie wychodziła. - Pospiesznie wyprowadza Yvonne za drzwi i idzie z nią do samochodu, dziękując po drodze.

Yvonne wręcza mu rachunek i swoją wizytówkę. Postanawia, że nie powie nic na temat jego matki - to nie jej sprawa, a poza tym kto wie, czy jeszcze w ogóle się kiedyś z nim spotka. Po krótkiej chwili milczenia wyrzuca jednak z siebie:

- Jeśli znów coś się zepsuje, dzwoń po mnie.

- Dobrze. - Hubert zerka w kierunku domu, a następnie przenosi wzrok na wizytówkę. - Wiesz, wcale nie wyglądasz jak Yvonne.

Dziewczyna się uśmiecha.

- A ty nie wyglądasz na Huberta.

- Racja. To nasza rodzinna tradycja, muszę się tak nazywać. Ale tylko dla mamy jestem Hubertem. Inni mówią na mnie Hugh.

Yvonne to imię się podoba. Niechętnie zajmuje miejsce za kierownicą i zatrzaskuje drzwi.

Hugh opiera się o otwarte okno po stronie pasażera.

- A czy będę mógł do ciebie zadzwonić całkiem bez okazji? Nawet jeśli nic się nie zepsuje?

Yvonne widzi, że w oknie domu za jego plecami porusza się firanka.

- Na przykład gdybym chciał zaprosić cię na obiad? - Hugh zniża głos niemal do szeptu.

Yvonne czuje, że przez jej ciało przebiega przyjemny dreszczyk, ale natychmiast się opanowuje.

- Jasne. Będzie mi bardzo miło.

- Mnie też. - Hugh robi krok w tył i macha jej ręką na pożegnanie.

Yvonne bawi się chwilę tkwiącym w jej uchu kolczykiem, a następnie szybko wybiera numer Isabel. Jak to było do przewidzenia, w słuchawce odzywa się poczta głosowa, ale dziewczyny wcale to nie zraża.

- Isabel! - szepcze bez tchu. - Chyba umówiłam się na randkę!

Connie obiera jabłka, wyglądając jednocześnie przez okno. Na dworze wciąż jeszcze jest jasno, ale już skończyły pracę. Wszystko jest sprzątnięte i przygotowane na następny dzień. Dla niej i dla Madeline zapowiada

się miły, cichy wieczór, jakich Connie zawsze tęsknie wyczekuje. W stojącym przed nią wiadrze gromadzą się długie spirale obranych skórek. Da je później Serenie w nagrodę za dobre sprawowanie. Od pewnego czasu jej pupilka zachowuje się wzorowo - przestała zaczepiać gości przechodzących przez podwórze. Nawet Madeline, która każdego ranka poświęca kilka chwil na pielienie chwastów, polubiła to zwierzę.

Connie wycina z jabłek gniazda nasienne. Piecze jabłka w cieście, chcąc udoskonalić swoje umiejętności kulinarne. Potrafi wykonać według przepisu i przygotować każde danie serwowane w herbaciarni. Jednakże w przeciwieństwie do Madeline lub Hannah, które mają w tej dziedzinie wrodzony talent, nie umie eksperymentować z nowymi potrawami, bawić się gotowaniem. Choć doskonale sprawdza się w roli menedżerki, chciałaby dorównać im kulinarnymi umiejętnościami.

Nie ma nic przeciwko Hannah, ale ilekroć wolonczelista przychodzi do herbaciarni, ona czuje się odsunięta na boczny tor. Hannah i Madeline przyjaźnią się od dawna, znały się jeszcze przed otwarciem herbaciarni. Interesują się muzyką klasyczną i malarstwem, a Connie niemal w ogóle się na tym nie zna. Ponadto dużo podróżują i chętnie opowiadają sobie o krajach, jakie udało im się zwiedzić, o potrawach, których tam spróbowały, jak również o swoich ulubionych spektaklach teatralnych. Mówią trochę po francusku i czasem zdarza im się rozmawiać ze sobą w tym języku - przerzucają się ze śmiechem krótkimi, wytwornie brzmiącymi zdaniem. Słuchając ich, Connie czuje

się jednocześnie zaciekawiona i nieco zbita z tropu. Wszystko wydaje jej się nagle tak proste, tak zwyczajne, tak łatwo dostępne - a nie ma nawet paszportu, nigdy nie wyjeżdżała poza stan Illinois.

Zaczyna robić ciasto. W tej samej chwili dzwoni telefon. Connie sięga po ścierkę, chcąc wytrzeć ręce.

- Zostaw, ja odbiorę - mówi Madeline, odkłada na stół „Avalon Gazette” i podnosi się z krzesła, zerkając przy tym w kierunku miski z jabłkami posypanymi cukrem i cynamonem. - Mmm... Chyba jutro darujemy sobie obiad i przejdziemy od razu do deseru.

Connie uśmiecha się, ale wie, że Madeline jest po prostu uprzejma. Gdy wcześniej pokazywała jej przepis na jabłka w cieście, zobaczyła, że starsza pani unosi ze zdziwieniem brwi: zaskoczył ją ostatni ze składników, czyli puszka napoju gazowanego Mountain Dew. Nie jest to co prawda luksusowy przysmak dla wyrafinowanych smakoszy, ale oranżada jako składnik deseru wydaje się dość zabawnym pomysłem i Connie chce wypróbować ten przepis.

Wałkuje ciasto. To bardzo dziwne, że pracuje właśnie tutaj, krzątając się po kuchni niczym perfekcyjna pani domu, w rzeczywistości bowiem jest kimś całkiem innym. Odnosi wrażenie, że w pralni była bardziej na swoim miejscu - dziewczyna z kruczoczarnymi włosami, niedbale ubrana, która idealnie wtapiała się w tło. W Herbaciarni Madeline budzi powszechną sensację, jest jak element niepasujący do żadnej układanki. Przez kilka pierwszych miesięcy klienci nazywali ją „dziewczyną z nastroszonymi włosami”, ostatnio zaś

została podobno przemianowana na „dziewczynę z kozą”. Niech im będzie. Connie nie potrafi sobie wyobrazić życia bez Sereny. Nie chce nawet o tym myśleć. Madeline odkłada słuchawkę.

- Dzwoniła Bettie Sheiton. Chciałaby dziś wieczorem urządzić spotkanie swojego klubu w naszym salonie. Powiedziałam, że zajrzę do terminarza i od-dzwonię do niej.

Connie zerka na zegar. -Już czwarta!

- Wiem, ale Bettie ma kłopot, a my nic nie planujemy na dzisiejszy wieczór. Mówi, że każdy przynosi ze sobą coś do jedzenia, więc zależy im tylko na wolnym salonie. Oczywiście z przyjemnością podam im herbatę.

Connie zaczyna kroić ciasto w trójkąty.

- W zeszłym miesiącu było tak samo - narzeka. - Chciała się tu wcisnąć na ostatnią chwilę. I, rzecz jasna, oczekuje, że ugościmy ją za darmo.

- Tak - przyznaje Madeline. - Ale powiedziała też, że panie zostaną po spotkaniu, by wszystko posprzątać, i ofiaruje nam za darmo dwa zestawy powitalne wraz z albumami. Muszę przyznać, że jestem zaintrygowana - może zrobię album dla Maggie. O Stevenie, jej dziadku. Szkoda, że już nie żyje i nie może jej poznać, byłby oczarowany tym słodkim maleństwem. - Maggie to wnuczka Madeline, roczna córeczka jej pasierba, Bena. Madeline i Ben nie widzieli się przez całe lata, ale w ubiegłym roku, w grudniu, odnowili kontakt i cały czas go utrzymują. Connie wie, że ta relacja jest dla

Madeline bardzo ważna, ale jednocześnie naznaczona bolesnymi wspomnieniami i dramatami z przeszłości.

Dziewczyna spogląda ukradkiem na swoją chlebodawczynię i poznaje po jej minie, że podjęła decyzję, od której nie ma odwołania - za kilka godzin w herbaciarni pojawi się Bettie Shelton wraz ze swoim Klubem Miłośniczek Albumów.

Madeline wyciera blaty i nalewa wrzątek do dużych termosów. Marszczy przy tym nos - robi tak zawsze, ilekroć usiłuje opanować emocje, powstrzymać wzruszenie. Connie wzdycha. Madeline jest dla niej tak dobra, że przez jeden wieczór postara się znieść uciążliwe towarzystwo Bettie Shelton.

- Zaraz sprawdzę, czy mamy dość krzeseł w salonie - mówi, układając kawałek jabłka na środku trójkąta z ciasta, który następnie zakleja. Kładzie gotowe ciastko w brytfannie i zaczyna szykować następne. - A jeśli wyjdzie mi smaczny deser, zaniosę go na wspólny stół, żeby panie mogły się częstować.

- To bardzo miło z twojej strony. - Madeline uśmiecha się do niej z uznaniem.

- Drobiazg. - Connie wchodzi w rolę menedżerki lokalu. - Jeśli masz ochotę sobie odpocząć, zajmę się wszystkim. Przynajmniej nie musimy martwić się o menu. Czy mam przygotować talerze i sztucce?

Madeline potrząsa głową.

- Przyniosą tekturowe talerze, co bardzo ułatwi nam sprzątanie. Wyjmij tylko filiżanki. Potrzebują wielu stołów, pozwólmy im więc przemieszczać się swobodnie między salonem a jadalnią. Oddzwonię do Bettie

i powiem jej, że z przyjemnością ugościmy dziś jej klub. - Waha się przez chwilę. - Usiłowałam zagadnąć ją o tamtą noc, gdy pojawiła się na naszym podwórzu. Connie kiwa głową z zaciekawiona.

- Wspominałam jej o tym następnego dnia, ale sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, o czym mówię. A może tylko udawała.

Madeline przytakuje.

- Usłyszałam to samo. Myślę, że trzeba to złożyć na karb wieku.

Connie kończy układać ciastka w brytfannie i zaczyna zapęłniać następną.

- Wydaje mi się, że to nie jest kwestia wieku - mówi po chwili. Nie wie, jak to tłumaczyć, lecz w Avalon żyje sporo kobiet w wieku Bettie, w tym sama Madeline, które nie biegają nocami po cudzych podwórkach w szlafrokach i kapciach.

Madeline ze smutkiem patrzy przez okno.

- Wiem.

Z podwórza dobiega meczenie Sereny. Madeline spogląda na zegar.

- Twoja koza ma chyba ochotę na spacer. Albo na kolację.

- Na to i na to. Za sekundę się nią zajmę.

- Rozmawiałaś już z weterynarzem? Zastanawiałaś się nad ogłoszeniami?

Do diaska! Ostatnio wszystko układało się wręcz idealnie, Connie miała nadzieję, iż Madeline zaakceptuje Serenę na podwórzu i przestanie zadawać niewygodne pytania.

Madeline czeka, ale Connie nie odpowiada. Co niby ma mówić? W milczeniu podchodzi do kuchenki, na której stoi niewielki rondel z masłem, cukrem i cynamonem, i nastawia regulator temperatury na najniższy stopień.

- Connie?

- Mhm, zamierzałam się tym zająć, ale nie miałam czasu. - Connie cały czas stoi odwrócona tyłem do Madeline, szczęśliwa, że starsza pani nie widzi jej zarumienionej twarzy.

- Wiem, że jesteś zajęta, Connie, ale myśl, że ktoś może jej szukać, nie daje mi spokoju. Jest wrzesień - minął już miesiąc z okładem. Poza tym ona nie może zostać tu na stałe. Lassiterówie już o to zadbają.

Connie kiwa w milczeniu głową, mieszając drewnianą łyżką roztopiające się masło.

- Może pomogę ci i zadzwonię do weterynarza?

- Nie! - Connie odwraca się gwałtownie. - Ja się tym zajmę. Chciałabym to zrobić, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście nie mam. - Madeline przez chwilę przygląda się Connie.

- Dobrze się czujesz?

Dziewczyna robi głęboki wdech.

- Wszystko w porządku. Po prostu zastanawiam się, jak najlepiej przygotować dzisiejsze spotkanie.

- Jeśli chciałabyś o czymś porozmawiać, może o Serenie, jestem tutaj, dobrze?

- Dobrze. - Connie sili się na uśmiech, który jednak szybko znika z jej twarzy, i z rondelkiem podchodzi do stołu. Ostrożnie polewa jabłka w cieście

roztopionym masłem z cukrem i cynamonem, wiedząc, że Madeline uważnie się jej przygląda. Chwilę później słyszy kroki na schodach. To Madeline idzie do swojej sypialni.

Connie sięga po puszkę napoju Mountain Dew i pociąga za metalowy klips. Wieczko wydaje cichy trzask. Następnie słychać syk i gazowany napój omal nie wylewa się na stół. Connie wyobraża sobie, że rzeczywiście się tak dzieje, i czuje strach. Zamiast piec ciastka, musiałaby zająć się wycieraniem podłogi i cały przepis poszedłby na marne, bo nie ma już więcej napoju. Miałaby zepsuty cały wieczór - kiedy coś się jej nie udaje, jeden błąd goni kolejny.

Ale syczący napój uspokaja się, bąbelkowa piana opada. Serena odzywa się po raz kolejny. Connie powoli wypuszcza powietrze z płuc. Polewa oranżadą ciastka i wsuwa brytfanny do piekarnika. Nastawia zegar na trzydzieści pięć minut i sprząta ze stołu, po czym chwytając wiadro pełne obierków z jabłek i wychodzi na podwórze.

Dzwoni przedszkolanka Noaha, panna Howe.

- Przepraszam, że panią niepokoję, pani Latham - mówi nagłym tonem, w którym brzmi przygnębienie. - Jeden z kolegów Noaha, Baxter Pickett, obchodzi dziś urodziny. Niestety, w czasie przerwy świnka morska dostała się jakimś cudem do naszych babeczek.

Ups! - myśli sobie Frances, ale mówi uprzejmie:

- Bardzo mi przykro.

- Tak - mówi panna Howe. - Dzieciom zrobiło się

przykro, a Newton potrzebuje pomocy weterynarza. Przyszło mi więc do głowy, żeby poprosić panią o przygotowanie czegoś na urodziny Baxtera. Jego matka jest w pracy i nie może się zwolnić, a w tym tygodniu pani jest na pierwszym miejscu na liście rodziców, którzy zobowiązali się nam pomagać.

Frances jęczy w duchu - nie chce jej się w ogóle wychodzić z domu. Wciąż jeszcze jest w piżamie i szlafroku, rękawy ma poplamione masłem orzechowym i dżemem. Brady od trzech godzin tkwi w salonie przed telewizorem. Pozwoliła mu nawet zjeść tam śniadanie.

Jakie to ma znaczenie? Detale życia, przyjemne chwile tu i ówdzie, radość, jaką niesie przedszkolne przyjęcie urodzinowe, puszysta sierść świnki morskiej, uścisk twojego małego synka. To cudowne, ale czy wystarczy? Teraz, gdy Frances doszła do punktu, w którym rozwiało się marzenie jej życia, zastanawia się, co jest gorsze: nie doświadczyć go w ogóle czy dostać szansę od losu jedynie po to, by i tak ją stracić.

Cały czas dyskutują z Reedem o Mei Ling, wylewają łzy, analizują plusy i minusy sytuacji. Rozmawiali z rodzinami, które postanowiły zaadoptować dziecko w bardzo złym stanie zdrowia. Każda historia jest dla Frances jak cios w serce. Niektórzy rodzice twierdzą, że choć bardzo kochają swoje dziecko, nie spodziewali się, że ich życie ulegnie zmianie aż do takiego stopnia. Muszą mierzyć się z trudnościami finansowymi, z problemami natury emocjonalnej, z niemożnością nawiązania z nowym dzieckiem poprawnych relacji. Małżeństwa rozpadają się, a niepokieszone dzieci

odreagowują swoją frustrację na wszystkich dookoła - na rodzeństwie, rodzicach, nauczycielach, pracownikach służby zdrowia.

Niekiedy trzeba znaleźć adoptowanemu dziecku nowy dom. Wiedząc, że sytuacja ich przerosła, rodzice szukają rozwiązania, które będzie dla wszystkich najlepsze. Takie opowieści przygnębiają Frances najbardziej. Gdyby kiedykolwiek przyszło jej stanąć przed podobnym dylematem, załame się psychicznie - jest tego pewna.

Ale w jej wypadku nie ma mowy o takich rozterkach. Reed usiłuje temu zapobiec, pragnie zrobić wszystko, by nie stali się jeszcze jednym elementem smutnej statystyki, lecz już za późno, gdyż Frances przywiązała się do Mei Ling. Wyobrażała sobie całą ich rodzinną przyszłość z tym dzieckiem. Oczywiście, istnieją również najgorsze scenariusze i Reed zdążył już przeanalizować każdy z nich. Frances nie ma jednak zamiaru w tym uczestniczyć. Oddalili się od siebie, zobojętnieli. Zajęli strategiczne pozycje na dwóch przeciwległych brzegach rzeki; nie ma płaszczyzny porozumienia.

- Pani Latham? - Głos panny Howe sprowadza Frances na ziemię. Przedszkolne urodziny, pierwsze w tym roku, o których Noah mówił bez przerwy przez cały ranek.

- Podjadę do sklepu i coś kupię - mówi, choć miałaby ochotę wypełznąć z powrotem do łóżka. Kupi dwa tuziny babeczek w Pick and Save, dostarczy je do przedszkola i za godzinę będzie z powrotem w domu.

- Och, dziękuję pani! - wykrzykuje panna Howe z tak wielką ulgą w głosie, że Frances niemal czuje się winna. - Uroczystość odbędzie się po lunchu. Mama Baxtera upiekła specjalne babeczki, ale nie mogę jej przecież prosić, żeby przygotowała je jeszcze raz, jest już za późno. Baxter nie toleruje glutenu, więc obawiam się, że zwykłe babeczki i ciastka nie wchodzą w rachubę. Może kupi pani owoce lub ser?

Frances krzywi się, ale nie odmawia. W niespełną minutę ubiera się, chcąc jak najprędzej mieć z głowy ten niespodziewany kłopot. Brady, oszołomiony po trzech godzinach porannego seansu przed telewizorem, daje się łatwo zaprowadzić do samochodu i usadowić w dziecięcym foteliku. Frances wręcza mu kartonik z sokiem i jedzie prosto do Pick and Save.

Gdy dociera na stoisko z warzywami i owocami, mina jej rzednie. Co to będą za urodziny? Kawalki sera to zwykła przekąska, uwielbiana przez dzieci, ale zarazem najbanalniejsza pod słońcem. Frances ma ochotę ciskać jabłkami w przejścia między stoiskami, zrzucić na podłogę czerwone i białe winogrona. Dlaczego to musi być takie trudne? Dlaczego wszystko musi być tak cholernie trudne?

Słyszy, że ktoś ją woła. Odwraca się i widzi Hannah Wang, która idzie w jej kierunku, pchając sklepowy wózek.

- O, cześć, Hannah.

- Miło znów cię widzieć! Jak się masz?

Frances chce skłamać i powiedzieć, że dobrze, ale nie potrafi się do tego zmusić. Jej oczy napęlniają się łzami.

Hannah szuka w torebce chusteczek.

- Nie trzeba, wszystko w porządku. - Frances ociera oczy wierzchem dłoni i pociąga nosem. - Karta zdrowia Mei Ling. Zaszła pomyłka. Przydzielono nam... nie to dziecko. - Słowa te brzmią fałszywie w jej uszach. - Mei Ling ma poważną wadę serca i inne problemy zdrowotne. Do jutra mamy jeszcze czas na odpowiedź, ale Reed chce zrezygnować z adopcji i czekać na inne dziecko. - Zaczyna rzewnie płakać. Brady wychyla się z wózka na zakupy, który przypomina kształtem łódź.

- Tak mi przykro - mówi Hannah.

- Teraz jeszcze mam kupić owoce i ser na przyjęcie urodzinowe w przedszkolu mojego syna. Solenizant, Baxter, nie toleruje glutenu, ale Newton dobrał się do bezglutenowych babeczek i pochorował się, a ja przyjechałam tutaj, żeby kupić zamiast tego owoce i ser. Owoce i ser! - krzyczy Frances już niemal histerycznie.

Hannah patrzy na nią szeroko otwartymi oczyma. Frances przestała nad sobą panować.

- Dlaczego nie mogą zjeść babeczek? Chcę upiec im babeczki, ale nie mam pojęcia, co to jest babeczka bezglutenowa, i nie mam czasu sprawdzić. Ale które dziecko marzy o OWOCACH na swoje urodziny?

Brady wychyla się z wózka, chcąc zobaczyć, co się dzieje. Frances na chwilę wstrzymuje oddech, a następnie robi głęboki wydech. Opiera się całym ciężarem ciała o poręcz wózka.

- Przepraszam. Ostatnie dni były trudne. Chciałabym tylko, żeby każdy mógł dostać to, czego naprawdę pragnie.

- Też bym tego chciała. - Hannah patrzy na banany leżące w wózku Frances. - Prosił cię, żebyś kupiła owoce?

Frances kiwa głową.

- Mama Baxtera upiekła bezglutenowe babeczki, których nie można dostać w cukierni. Przedszkolanka pomyślała, że łatwiej będzie przygotować sałatkę owocową. Oczywiście ma rację. - Sięga po melona i niechętnie szturcha go pięścią.

- Ile jest dzieci? - pyta Hannah.

- Dwadzieścia dwoje. I jeszcze panna Howe, przedszkolanka.

- Przygotowanie sałatki owocowej dla dwudziestu trzech osób zajmie nam mniej więcej tyle samo czasu, co upieczenie dwóch blach babeczek - mówi Hannah. Odwraca szczupłą dłoń i zerka na zegarek. - Chętnie ci pomogę. Rano zazwyczaj jestem wolna, uczniowie przychodzą do mnie dopiero po szkole albo wieczorami.

- To bardzo miło z twojej strony, ale kompletnie się nie znam na pieczeniu bezglutenowych babeczek.

- Ja się znam. Powiedz mi jeszcze tylko, kto to jest Newton i jak się czuje.

Kolejne dwie godziny to istny zawrót głowy - Hannah energicznie prowadzi Frances przez sklep w poszukiwaniu składników do babeczek, opowiadając jej przy tym o sąsiadce, która uwielbia smaczne wypieki, choć ma alergię na gluten. Gdy przyjeżdżają do domu państwa Lathani, Hannah wydaje się nie dostrzegać panującego tam bałaganu, resztek śniadania na stole,

całego stosu rzeczy do prania. Przepis jest "Bardzo prosty - masło, cukier, mąka bezglutenowa, jajka, mleko, olejek waniliowy - i podczas gdy babeczki już rosną w piekarniku, panie przygotowują kremową polewę. Z pomocą Brady'ego lukrują każde ciastko oraz przyozdabiają je dużą ilością kolorowej posypki, którą Frances zawsze ma pod ręką. Nie wspominają ani o Mei Ling, ani o cierpieniu Frances. Rozmawiają o jedzeniu, o jej synach, o lekcjach gry na wiolonczeli, nawet o Jamie. Frances czuje wyraźnie, że Hannah i Jamie bardzo się kochają, i natychmiast myśli o Reedzie, o przepaści, jaka ostatnio oddzieliła ich od siebie.

Gdy Frances przywozi babeczki do przedszkola, grupa dzieci wita ją serdecznym aplauzem. Noah promienieje z dumy, a Baxter nie posiada się z radości, że mimo wszystko będzie miał prawdziwe urodziny (niestety, nie było z nimi Newtona, który został u weterynarza na obserwacji). Gdy średni syn rzuca się jej z wdzięcznością na szyję, Frances czuje w sercu delikatne drgnięcie. Choć nie jest szczęśliwa, cieszy ją, że sprawiła innym radość.

W drodze powrotnej do domu zatrzymuje się przed biurem Reeda. To zbyt ważna wiadomość, by czekać z nią do obiadu, i nie chce, by mąż trwał w niepewności. Obserwuje go przez szklaną ścianę gabinetu. Reed rozmawia z kolegą. Frances ze zdziwieniem konstatuje, jak bardzo go kocha. Świadomość ta dodatkowo umacnia ją w podjętej decyzji.

Brady odzywa się pierwszy.

- Cześć, tato!

Reed zaskoczony podnosi wzrok. Podchodzi szybkim krokiem. Bierze syna z ramion Frances i przyciąga żonę do siebie, chcąc ją pocałować. Zanurza twarz w jej włosach. Frances wdycha zapach jego ciała. Minęło zaledwie kilka dni, a ona już za nim tęskni.

- Przykro mi - mówi Reed. - Przykro mi z powodu Mei Ling. To dla mnie niełatwe, ale mogę sobie tylko wyobrazić, jak ciężko jest tobie.

- Wiem - szepcze Frances. Reed prowadzi ich do swojego gabinetu i zamyka za sobą drzwi. Brady natychmiast zaczyna interesować się zszywaczem i taśmą klejącą. Reed wręcza mu kilka kartek z brudnopisu.

- Porozmawiajmy o tym dziś wieczorem - proponuje.

Frances kręci głową.

- Myślę, że powiedzieliśmy już sobie wszystko. Reed markotnieje.

- Tak, ale czy się z tym pogodziłaś?

- Nie wiem, czy kiedykolwiek to zaakceptuję - przyznaje Frances. - Nic chcę jednak podejmować tak doniosłej decyzji bez pewności, że oboje jesteśmy zgodni i niczego się nie obawiamy. Naprawdę niczego. Ale akceptuję fakt, że tak nie jest, choć pęka mi serce. Nasze życie jest przecież dobre. Naprawdę dobre. I za to jestem wdzięczna.

Reed kiwa głową.

- ja też.

Frances bierze głęboki oddech. Głos jej drży.

- Uważam więc, że powinniśmy zawiadomić agencję o naszej rezygnacji z adoptowania Mei Ling.

Reed milczy.

- Obawiam się, że nie będę w stanie jeszcze raz przez to wszystko przechodzić. Może po prostu adopcja nie jest dla nas - przynajmniej nie dla mnie. Nie wyobrażam sobie sytuacji, gdy pojawi się tu inne dziecko, a ja cały czas będę rozmyślać o niej, o tym, jak byłoby nam z nią.

Na twarzy Reeda pojawia się powątpiewanie.

- Jesteś tego pewna, Frań?

Frances patrzy na niego z mocno bijącym sercem.

- Tak. A ty nie?

Reed waha się przez moment i mówi:

- Tak. Całkowicie.

Patrzą sobie w oczy. Frances ujmuje ręce męża w swoje dłonie. Akceptuje ich wspólną decyzję, choć bardzo żałuje, że nie może być inaczej. Wciąż jednak są szczęśliwą rodziną - musi o tym pamiętać, nie może pozwolić, by to doświadczenie wpłynęło na nich destrukcyjnie, jak w innych rodzinach.

- Kocham cię, Reed - mówi Frances.

- I ja ciebie kocham, Fran. - Reed delikatnie ją całuje.

- Jutro rano zadzwonię do agencji - oświadcza Frances. - Chcę to zrobić osobiście. - Serce się jej ściska, ale jednocześnie czuje nowy przypływ determinacji. - A potem się postaram, żeby nasze życie wróciło do normalności.

- Do normalności? - chichocze Reed, potrząsając zabawnie głową. - To byłoby zbyt piękne. Już dawno temu przestaliśmy być normalni. - Głaszcząc dłoń

jej policzek i Frances widzi, że jemu też jest smutno.

- Wiem, jak ciężkie były dla ciebie ostatnie dni. I bardzo mi przykro, że jutro muszę jechać do Arizony.

- To tylko kilka dni - mówi Frances. - Dam sobie radę.

Reed obserwuje Brady'ego, który zdążył już zużyć całą taśmę na skuteczne przyklejenie krzesła do biurka.

- A może zrobisz sobie dziś wolny wieczór? Zadzwoń do przyjaciółki albo wybierzesz się do kina. Ja posiedzę z chłopcami.

Frances rozważa w myślach propozycję. Nie jest już w piżamie, więc równie dobrze może wykorzystać sytuację. Nie chce absorbować Hannah, która poświęciła jej dziś tyle czasu, ale jest drugi czwartek miesiąca i większość jej znajomych ma już plany na wieczór. Pomysł samotnego wyjścia do miasta wcale się jej nie uśmiecha.

- Dziękuję, ale chyba nikt nie będzie miał dla mnie czasu. Ostatnio w Avalon zapanowała moda na ozdabianie albumów. Dziś jest spotkanie tego klubu, pewnie wszyscy na nie pójdą. Każdy przynosi coś do jedzenia, a potem przez kilka godzin pracuje się nad albumem. Po zebraniu będzie już za późno, żeby gdzieś wyjść.

- W takim razie dołącz do nich - sugeruje Reed.

- To brzmi ciekawie.

- Może. - Jest tyle rzeczy, które Frances powinna zrobić w pierwszej kolejności - sprzątanie w garażu, chowanie letnich ubrań do szaf - że myśl o beztróskim wklejaniu zdjęć do albumów wywołuje u niej lekkie poczucie winy

- Mnie też to dobrze zrobi - zapewnia ją Reed. - Tęsknię za męską wyprawą z chłopcami. Może zabiorę ich do salonu gier na kilka rund hokeja stołowego.

- To idealna wieczorna rozrywka przed kolejnym szkolnym porankiem - mówi Frances, ale na jej twarzy pojawia się uśmiech.

- Położę ich spać, więc się o to nie martw. Pójdź na spotkanie klubu, Fran. Może być miło.

Frances wygląda przez okno. Mała zmiana codziennego rytmu życia rzeczywiście dobrze jej zrobi, oderwie ją od przykrych rozmyślań, wzmocni psychicznie przed jutrzejszą trudną rozmową. Kilka lat temu była na podobnym spotkaniu i bardzo się jej podobało.

- Dobrze - zgadza się. - To brzmi ciekawie.

*Trick McGaughy, lat 52,
prezenter radiowy i gospodarz
programu KAVL 94,5 FM*

Tu Trick McGaughy, KAVL 94,5 FM, Avalon. Pańskie pytanie?

- Cześć, Trick. Moja teściowa działa mi na nerwy. Mamy pięcioletniego syna i ona cały czas kupuje mu zabawki i słodycze, chociaż prosimy ją, żeby tego nie robiła. Doprowadza to do szału moją żonę, co z kolei wykańcza nerwowo mnie. Co mam robić?

Trick pochyla się do mikrofonu i łączy palce obu dłoni tak, że stykają się tylko opuszkami.

- Od jak dawna są państwo małżeństwem?
- Od siedmiu lat.
- A państwa syn jak się sprawuje? Jest grzecznym dzieckiem?
- Tak, jest fantastyczny. Nie chcemy, żeby teściowa rozpieszczała go w sposób, jakiego nie akceptujemy.
- Hm. Cóż, myślę, że mam odpowiedź na pański

problem. Gotowy? Oto ona: PROSZĘ TO ZAAKCEPTOWAĆ. Teściowa zachowuje się dokładnie tak, jak przystało na babcię. Powinni się państwo cieszyć, że w ogóle interesuje się dzieckiem. Przejdźmy do naszego kolejnego słuchacza... mówi Trick McGaughy, KAVL 94,5 FM, Avalon. Pańskie pytanie?

- Cześć, Trick. Chcę, żeby pan wiedział, że kocham pańską audycję i pańskie rady. Wali pan prosto z mostu, co bardzo mi pomogło przy każdym z moich trzech rozwodów, i jestem panu za to wdzięczny. - Mężczyzna ma gruby, ochryply głos i co chwila pokasłuje.

Palacz, myśli sobie Trick. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat. Z dużym brzuchem.

- Pochlebstwo zaprowadzi nas wszędzie - mówi, wyraźnie ucieszony.

- W czym mogę panu dziś pomóc?

- Jak się pan pewnie domyśla, nie mam zbytniego szczęścia do kobiet. Ale poznałem w pracy pewną panią i myślę sobie, że coś może między nami zaiskrzyć...

- Chwileczkę, tutaj muszę panu przerwać. Chyba obaj wiemy, jak to się skończy.

Mężczyzna protestuje.

- Mówię panu, Trick, ta babka jest inna.

- Możliwe, ale pan się nie zmienił. Nie panie są tu problemem, przyjacielu. Powinien pan spędzić trochę czasu sam, znaleźć sobie jakieś hobby, jedno, drugie. Może wędkarstwo? Lubi pan łowić ryby?

- Nieszczęgól...

- Niech pan sprawi sobie porządną wędkę z kołowrotkiem. Co pan złowi, niech pan wypuści. Warto byłoby potem przełożyć tę praktykę na życie prywatne

- bo chyba nie uśmiecha się panu kolejny rozwód. To skraca życie. Halo, nasz kolejny słuchacz... jest pan na antenie z Trickiem McGaughy...

Trick prowadzi godzinną audycję przerywaną od czasu do czasu reklamami. Bez pośpiechu wysłuchuje kolejnych słuchaczy i udziela im mądrych rad. Tematy cały czas się powtarzają - mężczyźni, którzy nie chcą angażować się w związek, szefowie pomiatający pracownikami, znerwicowane opiekunki do dzieci, romanse kończące się fiaskiem, żony, które przyłapały mężów na oglądaniu pikantnych filmów w Internecie. Główny problem to relacje międzyludzkie. Może dlatego Trick od dłuższego czasu żyje samotnie. Zdecydowanie przedkłada samotność nad złamane serce.

Realizator audycji, Damian Moon, stuka palcem w tarczę zegarka i wskazuje konsole. Jeszcze tylko jeden rozmówca, i Trick kończy program. Najprostsza praca na świecie. Pojedzie do domu, odgrzeje sobie pizzę w mikrofalówce, poogląda telewizję.

- Słuchają państwo radia KAVL 94,5 FM. Tu Trick McGaughy. Pytajcie, a usłyszycie samą prawdę. W czym mogę pani pomóc?

- Chciałabym wiedzieć, jakie kwalifikacje posiada pan do tego, by udzielać ludziom rad! - pyta ostrym głosem anonimowa słuchaczka.

Trick spogląda na Damiana, który wzrusza ramionami.

- Cóż, wystarczy mi to, co mam pod kopułą. Mózg

- odpowiada dziennikarz. - Staram się robić z niego użytek w sytuacjach, gdy inni ludzie zapominają, że

też posiadają coś takiego. Większość z nich ma dość wszelkich terapii
- jestem dla nich szybką i łatwą szansą na lepsze życie.

Ha, no i co ty na to, paniusiu?

- Lepsze życie? Szybką i łatwą? Na jakiej planecie pan żyje? Myślę, że bagatelizowanie ludzkich problemów to chyba niezbyt dobry pomysł!

- Chwileczkę, to oni dzwonią do mnie, nie ja do nich. I nikt nie zgłaszał się do mnie z reklamacjami. - Prawda jest taka, że Trick zebrał cały stos listów od słuchaczy, którzy mają mu sporo do zarzucenia.

- Ja protestuję, młody człowieku! Jedna z moich koleżanek, należąca do Klubu Miłośniczek Albumów, zadzwoniła do pana, zmartwiona kłótnią z mężem. Chodziło o kupno nowego samochodu. Oboje są na emeryturze, nie mają długów, więc powiedział jej pan, żeby przestała zachowywać się jak sknera, bo życie jest na to zbyt krótkie. Powinien pan wiedzieć, że wzięła sobie pańską radę do serca i zlikwidowała jedno ze swoich kont w banku, by kupić ten nieszczęsny samochód, którym jej mąż, ślepy jak kret, wjechał niedługo potem w drzewo. Dzięki Bogu nikomu nic się nie stało!

Trick jak przez mgłę przypomina sobie tamtą słuchaczkę. Dzwoniła do niego dwa lub trzy miesiące temu.

- Proszę pani, nie jestem analitykiem finansowym ani nie pracuję dla agencji rządowej, która wydaje prawo jazdy. Wyrażam moją opinię, to wszystko. Powinna pani wziąć pod uwagę fakt, że nowy samochód

prawdopodobnie ocalił temu panu życie. Przy zderzeniu z drzewem stary grat zwinąłby się w harmonijkę.

Damian triumfalnym gestem unosi kciuk. Trick uśmiecha się szeroko.

- Tak? - pyta słuchaczka donośnym głosem. - Naprawdę pan tak uważa, panie Pistolecie?

Panie Pistolecie. Trick prostuje się na krześle, choć słuchaczka nie może go przecież zobaczyć.

- Tak właśnie uważam. A pani nie powinna wtykać nosa w cudze sprawy. Ludzie mają już wystarczająco ciężkie życie. Nie chcą, żeby inni się do nich wtrącali. Osoby pani pokroju to źródło problemu, a nie jego rozwiązanie. Jeśli pani koleżanka jest niezadowolona z mojej rady, to ona powinna do mnie zadzwonić, nie pani.

- Jednym z największych błogosławieństw życia jest mieć wokół siebie ludzi, którym nie jest pan obojętny - oponuje z pretensją w głosie słuchaczka. - Czy zadzwonił pan po pomoc, gdy kierowca uderzył w drzewo? Czy zawiózł pan jego żonę do szpitala, czy zawiadomił pan przyjaciół, żeby mogli dodać im obojgu otuchy i przywieźć coś do jedzenia? Czy siedział pan przy nim w szpitalu? Sprzątał ich dom? Rozmawiał z firmą ubezpieczeniową? Sprawdzał, czy ich kot nie jest głodny?

Trick wierci się niespokojnie na krześle.

- Proszę pani, nawet nie znam tych ludzi.

- I o to chodzi. - W głosie kobiety słychać zadowolenie z siebie. - Wiem, że ludzie będą pana słuchać bez względu na to, co mówię. Wiem, że mieszka pan

sam i stroni od towarzystwa. Tak nie można żyć, panie McGaughy. Każdy potrzebuje ludzi. Wybiorę się zatem do studia...

Trick rzuca Damianowi przerażone spojrzenie. Nigdy nie zaprasza słuchaczy do radia i z całą pewnością nie ma ochoty na spotkanie z którymś ze swoich rozmówców.

- Proszę nie przychodzić do studia... - zaczyna.

- ...i zostawię panu moją wizytówkę wraz z materiałami, żeby mógł pan przyjść na spotkanie Klubu Miłośniczek Albumów i spotkać się z częścią swoich słuchaczy. I tym razem to pan powinien posłuchać ich. Może nauczy się pan czegoś o prawdziwym życiu, dzięki czemu będzie pan w stanie udzielać nam w przyszłości bardziej przemyślanych rad. A ponieważ waż wiem, że rozmawiamy na żywo, biorę wszystkich pańskich słuchaczy na świadków, że panie z naszego klubu zobowiążą się dzwonić do pana dopóty, dopóki nie przyjdzie pan na spotkanie.

- Nie zamierzam przychodzić na żadne spotkanie. Nasz czas już się kończy. Mówi Trick McGaughy i...

- ...i pan Moon, znamy się od dawna z pańską matką. To wartościowa kobieta i też należy do naszego klubu. Oczekujemy obu panów na naszym dzisiejszym spotkaniu.

Damian, wyraźnie przestraszony, wciska guzik, chcąc włączyć muzykę, ale jest już za późno. Bettie powiedziała swoje.

Trick zdejmuje słuchawki z uszu i patrzy na niego zdumiony.

-Co to było?

- Człowieku, wspomniała o mojej matce? - Damian z niedowierzaniem potrząsa głową. - To nie fair.

- Cóż, nigdzie nie idę. - Trick nie znosi, gdy się go w taki sposób do czegoś zmusza. Właśnie dlatego wchodzi w kontakty z ludźmi jedynie wówczas, gdy jest to absolutnie konieczne.

- Słyszałeś ją? - pyta rozgoryczony Damian. - Musisz! Poza tym nie chcę mieć przeprawy z matką. Groziła ostatnio, że wyrzuci mnie z domu.

- Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego z nią mieszkasz. Masz czterdzieści lat - mówi zde gustowany Trick.

- Człowieku, nie muszę płacić za wynajem mieszkania. Nie każdy zostaje wielką radiową gwiazdą. Poza tym ma telewizję kablową.

Trick tylko potrząsa głową.

- ...i jest moją mamą. - Damian spuszcza wzrok.

- Od śmierci mojego ojca czuje się bardzo samotna. Po naszym rozwodzie Marcia dostała dom i nie miałem się gdzie podziać. Obojgu nam wychodzi to na dobre. To bardzo miłe, uwierz mi. - Patrzy na Tricka.

- Słuchaj, jeśli pójdziesz, wyświadczysz mi wielką przysługę.

Trick krzywi się. Pracuje z Damianem mniej więcej od dziesięciu lat, ale nie zwykł łączyć życia osobistego z pracą. Klub Miłośniczek Albumów? Nawet nie wie, co to jest.

- Przepraszani, stary, ale mam inne plany na dzisiejszy wieczór.

- Nie, nie masz. Ja bym to dla ciebie zrobił. - Damian mówi to z powagą i Trick wie, że kolega ma rację.

- Dobrze - mruczy w końcu. - Pójdę. - Uśmiecha się szeroko.

- Dobry z ciebie przyjaciel. - Uszczęśliwiony Damian klepie go w ramię. Trick jest zdumiony. Ponieważ z nikim się nie przyjaźni, nieczęsto zdarza mu się słyszeć to słowo. - Moja mama zawsze przygotowuje na spotkania duszone klopsiki z kukurydzą. Powiem jej, żeby zrobiła dla ciebie dodatkową porcję. Hej, przecież ty nigdy nie byłeś u mnie w domu! Wpadnij do nas przed spotkaniem. Powiem ci, jak dojechać. Założę się, że starsze panie zasypią cię gradem pytań. To może być nawet zabawne! - Damian trajkocze jak nastolatek.

Trick ma pewne wątpliwości, ale już za późno, żeby się wycofać. Czy można to uznać za zabawne? Cóż, jego złość przeradza się w lekki podziw. Rzadko się zdarza, by słuchacz przejechał się po nim jak walec. Musi przyznać, że jest ciekaw spotkania z tą starszą panią, która skarciła go jak babcia wnuka. Trick myśli przez chwilę o swojej babci, od dawna już nieżyjącej. Była tak samo energiczna i nieustępliwa.

- Duszone klopsiki z kukurydzą. - Kiwa głową. - W porządku. O której mam u ciebie być?

Rozdział 9

Jakie to przewidywalne - narzeka Isabel, mieszając zupę pomidorową. Wrzuca do niej garść grzanek, żałując, że po drodze nie kupiła czegoś konkretnego do jedzenia. Ilekroć odwiedza Yvonne, ma wrażenie, że spiżarnia jej przyjaciółki jest całkiem pusta, nie licząc puszek zupy oraz wafli ryżowych. - Spotykasz jedyne wolnego mężczyznę w Avalon i oczywiście jest przystojniakiem.

- Przez duże P. - Yvonne rozpromienia się w uśmiechu.

Isabel zerka na nią z irytacją.

- Ale mieszka z matką - przypomina jej.

- Tak, to dla mnie wciąż zagadka. Ale może ma powód, matka jest chora lub coś w tym rodzaju. - Yvonne marszczy czoło. - Chociaż wyglądała mi na całkiem zdrową. To chyba zły trop.

- Może jest gejem - sugeruje Isabel ze źle skrywaną nadzieją w głosie.

- Nie sędę. Strzelaj dalej. - Yvonne sili się ha wymuszony uśmiech. Isabel celuje w nią łyżką.
- Już wiem. To diabeł w przebraniu. Yvonne tylko przewraca oczyma.
- Co się oburzasz? Mówię jedynie, że wydaje się to trochę zbyt piękne, by było prawdziwe. - Isabel mieszka w Avalon wystarczająco długo, by wiedzieć, że choć miasteczko rozrasta się dzięki napływowi emerytów i młodych rodzin, wciąż nie jest to miejsce, które szczególnie upodobali sobie przystojni kawalerowie. - Mówił coś o sobie? Co robi, z czego żyje?
- Prowadzi małą firmę rodzinną. Nie mieliśmy czasu o tym porozmawiać. - Yvonne z rozmarzeniem miesza zupę łyżką. - Tak czy inaczej jedna randka nie zaszkodzi. A jeśli okaże się udana i umówimy się jeszcze raz, mogłybyśmy zorganizować podwójną randkę. - Patrzy na Isabel. - Słuchaj, to byłoby zabawne!
- Wiem, że żartujesz. - Sam fakt, że Yvonne zachowuje się jak zadurzona nastolatka, jest już wystarczająco irytujący. Isabel nie ma najmniejszej ochoty dać się w to wplątać.
- Mówię poważnie. Przyjrzyj mu się i uchronisz mnie przez pewnym rozczarowaniem. Chyba że faktycznie okaże się tak idealny, na jakiego wygląda.
- Wątpię.
- Yvonne nie daje się zniechęcić.
- Ale pewna nie jesteś - podśpiewuje, porywając Isabel sprzed nosa miseczkę z niedojedzoną zupą.

- Hej, jeszcze nie skończyłam! - protestuje Isabel, nie odkładając łyżki.

- Powinnyśmy się zdrowo odżywiać - deklaruje Yvonne, wkładając miseczki do zlewu. - Chodźmy gdzieś na sałatkę. - Wyjmuje Isabel łyżkę z dłoni i wrzuca ją do jednej z misek.

Isabel robi nadąsaną minę.

- Może ci to umknęło, ale ja nie mam dla kogo dbać o linię.

- Nie chodzi mi wyłącznie o dietę. Czas zacząć zmieniać siebie od wewnątrz.

- Och, wspaniale. Czekam, aż powiesz, że jesteś moim trenerem osobistym.

- Mówię poważnie, Isabel. Ostatnio obie pozostawałyśmy w pewnym zawieszaniu, nie dbałyśmy o jakość naszego życia. Postarajmy się, by nabrało rumieńców. Od razu poczujemy się lepiej.

- Nie chcę tak się starać dla jakiegoś faceta. Dbałam o siebie, gdy byłam z Billem, i spójrz, dokąd mnie to zaprowadziło.

- Nie chodzi tu o żadnego faceta. - Yvonne już pozmywała, zakręca wodę i siada obok przyjaciółki. - Trzeba to robić dla siebie. Chcę się dobrze czuć z samą sobą...

- Zaczynając od wewnątrz. Rozumiem.

- .. żebyśmy mogły zrobić coś ciekawego z moim życiem. Zostałam hydraulikiem, bo pragnęłam zmiany, ale codzienność pochłonęła mnie do tego stopnia, że całkiem o tym zapomniałam. Może teraz uda mi się znów siebie odnaleźć.

Yvonne mówi tak szczerze, że Isabel gryzie się w język, powstrzymując się od złośliwej wzmianki o paleniu białej szaławii lub tańcach w świetle księżyca. A prawda jest taka, że gdy wczoraj weszła na wagę, omal nie spadła z niej z wrażenia. Przez większość życia była chuda jak patyk - choć nie tak zgrabna jak Yvonne - ale ostatnio przytyła tu i ówdzie, co nie nastraja jej optymistycznie. Uwielbiała gotować; zwykle dość proste dania, lecz Billowi smakowały i prawił jej komplementy. Może właśnie dlatego już jej na tym nie zależy. Nie znosi przebywania w kuchni i przygotowywania swoich ulubionych potraw, ponieważ lubił je również Bill. Od dawna jada poza domem, jeszcze przez jakiś czas będzie ją na to stać, ale uświadamia sobie teraz, że tęskni za odmianą.

- Dobrze - mówi nadąsana, nie jest bowiem pewna, jak to wszystko się potoczy. Ma nadzieję, że nie będzie musiała przestrzegać ścisłej diety ani liczyć kalorii, gdyż mało ją to interesuje. - A tak przy okazji, gdybyśmy zdecydowały się na podwójną randkę... czy nie przyszło ci do głowy, że nie mam kogo na nią zaprosić?

- Och, o to się nie martw. - Yvonne sięga po notes i zaczyna sporządzać listę zakupów. - Mężczyźni w jego typie zawsze mają przyjaciół. Któryś na pewno się z tobą umówi.

- O Boże, dziękuję. Od razu mi lepiej.

Yvonne wybucha śmiechem. W tej samej chwili dzwoni jej telefon. Dziewczyna patrzy na wyświetlacz i chwyta Isabel za ramię.

- To Hugh! Powinam odebrać?

Zanim Isabel jest w stanie cokolwiek powiedzieć, Yvonne naciska klawisz z zieloną słuchawką i stara się opanować.

- Yvonne Täte - mówi głosem łączącym w sobie kuszącą zmysłowość i udawaną nudę.

Isabel przygląda się, jak jej przyjaciółka prowadzi ożywioną rozmowę przez telefon, od czasu do czasu parszcząc śmiechem. A więc właśnie tak wygląda umawianie się na randkę, myśli z zazdrością. Sama już dawno zapomniała, jak to jest. Bill był jej pierwszą prawdziwą miłością, a potem się pobrali. Nigdy nie Zamierzała być z nikim innym.

Cała ta sprawa z Avą byłaby łatwiejsza do zniesienia, gdyby nie dziecko. To było nieuczciwe. Po latach bezskutecznych starań o dziecko i długiej terapii Isabel trzy razy poroniła. Bill chciał mieć dużą rodzinę i choć przysięgał, że Ava zaszła w ciążę przypadkowo, Isabel wcale nie była tego taka pewna. A teraz jest całkiem sama, bez męża, bez dzieci, nawet bez eksmęża, a także bez przyjaciół, nie licząc Yvonne. Jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś będzie chciał się z nią umówić?

Yvonne tymczasem chichocze do telefonu.

Isabel nigdy się do tego nie przyzwyczai. Te żarciki, to przekomarzanie się, tak typowe dla okresu fascynacji drugą osobą, działają jej na nerwy. Cały czas ma z tym do czynienia w pracy. Wiszący w powietrzu romans potrafi wyczuć z daleka. Amatorzy flirtu myślą, że nikt nie dostrzega subtelnych sygnałów, jakie sobie nawzajem wysyłają. Są w wielkim błędzie - ich

zachowanie jest oczywiste. Spotkajmy się w stołówce za pięć minut. Buziaki.

- To zły pomysł - mówi Isabel, gdy Yvonne kończy rozmowę. - Zmieniłam zdanie.

- Nie możesz tego zrobić. Zaczęłam już sporządzać listę zakupów - odpowiada spokojnie Yvonne, sięgając po kartkę papieru.

- Na razie napisałaś tam tylko nasze imiona.

- To na dobry początek. Chcesz wiedzieć, co mówi Hugh?

Isabel nieszczególnie to interesuje, ale wie, że Yvonne i tak wszystko jej powie.

- Słucham - rzuca obojętnym tonem, wzruszając ramionami.

- Mówi, że Toby'emu było smutno po moim wyjściu. Isabel udaje, że zbiera się jej na wymioty. Yvonne

ze śmiechem klepie ją w ramię. W tej samej chwili dzwoni telefon Isabel.

- No, no. Czy to nie ciekawe? - mówi Yvonne, gdy jej przyjaciółka sięga do torebki. - Może ktoś dzwoni, żeby zaprosić ciebie na gorącą randkę.

- Ha, ha - prycha Isabel, ale jest zaciekawiona. Z wyjątkiem jej szefa oraz Yvonne nikt nigdy nie dzwoni na jej komórkę. Zerka na wyświetlacz, ale nie rozpoznaje numeru.

- Powiedz mu, że lubisz Chardonnay i długie spacery brzegiem morza - szepcze Yvonne w chwili, gdy Isabel odbiera połączenie.

- Isabel! - rozlega się w słuchawce skrzekliwy głos. - Mam nadzieję, że nie jesteś leniwą kanapą!

Leniwą kanapą?! Co takiego?! Isabel jeszcze raz patrzy na wyświetlacz, po czym ponownie przykłada telefon do ucha.

- Kto mówi?

- Jestem u Madeline i zaraz zaczynamy spotkanie, ale zapomniałam kleju w kropkach. Lepiej się pospiesz.

Bettie. Yvonne przysuwa się do przyjaciółki, nasłuchując z ciekawością. Isabel odpycha ją lekko.

- Skąd masz mój numer? - pyta ostro.

- Klucze są pod wycieraczką, a kropki znajdziesz na półce, w dużym pudełku z napisem KLEJE.

Isabel słyszy w słuchawce niewyraźny głos, a następnie odpowiedź Bettie:

- Dziękuję, Tess, ale Isabel już się tym zajmie.

- Bettie, nie ma mnie w domu...

- Dziewczęta już czekają. Dziś jest nas naprawdę dużo. Do zobaczenia! - Bettie przerywa połączenie, zanim Isabel jest w stanie zareagować.

- Nie do wiary - mruczy pod nosem Isabel. Opowiada o wszystkim Yvonne, która słucha jej z ciekawością.

- Cóż, musisz jej pomóc - mówi stanowczo.

- Nie ma mowy. - Isabel siada na krześle z założonymi ramionami. - Nie jestem jej lokajem.

- Nie, lokajem nie jesteś. Jesteś jej sąsiadką. - Yvonne gasi światło w kuchni i sięga po torebkę. - Chodź. Pojadę z tobą. Miło będzie znów spotkać te panie.

Isabel z nadąsaną miną sięga po swoje rzeczy.

- Wiesz, co jeszcze powiedziała? Nazwała mnie leniwą kanapą.

- Masz na myśli kanapowego lenia?

- Powiedziała: leniwa kanapa.

- Jestem pewna, że chodziło jej o kanapowego lenia. Pewnie ma mnóstwo spraw na głowie. Przygotowuje się do spotkania, a tymczasem wynikł problem z klejem w kropkach. Co to takiego? - Yvonne otwiera frontowe drzwi i przytrzymuje je dla Isabel.

- Kto wie. Pewnie jakiś przesadnie drogi gadżet do scrapbookingu.

- Jest jeszcze coś gorszego od braku kleju w kropkach. Wyschnięte pieczątki.

- Albo dylemat, które cekiny wybrać. - Podczas spotkania w domu Isabel pani Wingert przez pół godziny rozmyślała nad doborem cekinów do swojego projektu, obawiając się, że podejmie w końcu złą decyzję.

- Fuksja czy turkus? - przypomina sobie ze śmiechem Yvonne.

W niespełna pięć minut przyjaciółki podjeżdżają pod dom Bettie. Isabel zerka na swój dom, ciemny i pusty, po czym z Yvonne podchodzi pod drzwi sąsiadki. Wisi na nich tabliczka: UWAGA! TEGO DOMU STRZEŻE FANATYCZNA MIŁOŚNICZKA ALBUMÓW. Isabel schyla się z westchnieniem i unosi najpierw jeden, a potem drugi róg wycieraczki.

- Nie ma tu żadnych kluczy - mówi. Podnosi wycieraczkę i mocno nią trzęsie. Na werandę sypią się grudki błota i zeschnięte, pokruszone liście.

Yvonne usiłuje otworzyć drzwi.

- Zamknięte - melduje.

Rozglądają się po werandzie. Stoi tam stara ławka z kutego żelaza, kilka doniczek z więdnącymi

roślinami, a w najdalszym kącie wysoka na ponad pół metra figurka kamiennego anioła z odłamanym nosem, cała pokryta pajęczynami.

- Może tutaj... - mówi Isabel, podchodząc do anioła. Gdy kołysze nim na lewo i prawo w poszukiwaniu klucza, z figurki wzbija się chmura kurzu. Isabel kicha głośno. - To waży chyba tonę.

- Patrz! - wykrzykuje Yvonne.

Isabel dostrzega błysk metalu. Klucz. Podnosi go.

- Ma dziwny kształt - mówi, marszcząc brwi. - Chyba jest za mały.

- Spróbuj - sugeruje Yvonne.

Isabel usiłuje wsunąć klucz do zamka. Bez skutku.

- Nic z tego. Co teraz? - Wsuwa klucz z powrotem pod anioła i wyciera ręce.

Yvonne przygryza usta. Na jej twarzy maluje się niepewność.

- Cóż, możemy dostać się do środka, ale w tym celu będę musiała posłużyć się niekonwencjonalnymi metodami.

- Masz na myśli kamień i okno?

- Oczywiście, że nie! - Yvonne patrzy na Isabel z irytacją.

- W porządku, tylko się pospiesz.

Yvonne idzie do swojej furgonetki i wraca ze skrzynką z narzędziami. Przez chwilę intensywnie czegoś w niej szuka, po czym wyciąga coś, co przypomina dwa cienkie pręty. Staje przed drzwiami i zaczyna forsować zamek. Po kilku sekundach rozlega się cichy trzask. Yvonne przekręca klamkę i otwiera drzwi.

Isabel wpatruje się w nią z niedowierzaniem.

- Jesteś włamywaczką? Masz kartotekę na policji?

- Nie opowiadaj głupstw. Jestem z zawodu również ślusarzem. Chodźmy.

Przyjaciółki wchodzą do środka i zatrzymują się w holu.

- O Boże! - wykrzykuje Yvonne. - Co się tu stało? Isabel rozgląda się wokół. Z wrażenia odebrało jej

mowę. Można odnieść wrażenie, że dom Bettie został spustoszony przez huragan. Wszędzie walają się porozrzucone rzeczy, książki i listy leżą na podłodze, materiały do scrapbookingu zalegają w nieładzie na stołach i półkach.

- Nie wiem - mówi, nie mogąc nic więcej z siebie wydusić.

Yvonne sięga po telefon.

- Dzwonić na policję? Isabel potrząsa głową.

- Drzwi były zamknięte, nie pamiętasz? Nikt się tu nie włamał, tylko my. - Robi ostrożnie krok naprzód i powoli zaczyna zapuszczać się coraz dalej.

Odwiedziła Bettie w domu zaledwie kilka razy, ale zawsze było tu niezwykle czysto. Jej sąsiadka jest jedną z tych doskonale zorganizowanych osób, które przechowują wszystko w starannie opisanych pojemnikach i pudełkach. Teraz nic nie jest na swoim miejscu. Isabel widzi, że w zlewie piętrzą się brudne naczynia, a na stole i szafkach stoją talerze z resztkami potraw. Zatyka sobie nos, żeby nie czuć nieprzyjemnego zapachu.

- Kiedy przyszedłam naprawić jej zlew, dom wyglądał całkiem inaczej - mówi Yvonne, nie posiadając się ze zdziwienia. - To było jakiś miesiąc temu. Dzieje się tu coś bardzo niepokojącego.

To nie ulega wątpliwości, ale Isabel przypuszcza, że winę za ten stan rzeczy ponosi wyłącznie Bettie, nikt inny.

Ponownie rozlega się dzwonek jej komórki. Na wyświetlaczu pojawia się ten sam numer co przed kilkoma minutami.

- Bettie?

- Isabel, gdzie się podziewasz? Znalazłaś klej? Zaraz zaczynamy spotkanie, a bez kleju w kropkach nie będę mogła poprowadzić warsztatu zatytułowanego „Albumowe sekrety”! - Bettie sprawia wrażenie urażonej.

- Właśnie go szukam - mówi Isabel, dając na migi znaki Yvonne, żeby zaczęła się za nim rozglądać. - Ale mam kłopot.

- Weszłaś już do pokoju z albumami? Jest w dalszej części domu, za pralnią. - Bettie niespodziewanie kończy rozmowę.

- Proszę bardzo - mruczy Isabel.

Idą do tamtego pokoju, w którym panuje nieco mniejszy bałagan. Po kilku minutach Isabel znajduje pudełko opatrzone napisem KLEJE, ale w środku jest wszystko, tylko nie klej.

- Podjedźmy do sklepu i kupmy te kropki - sugeruje Yvonne.

- Nawet riie wiemy, czego mamy szukać - mówi Isabel, zaglądnając do każdego pudełka po kolei.

W końcu natrafia na pojemnik z napisem MATERIAŁY i unosi go gestem triumfu. - Trafiony! Kleje w sztyfcie, pistolety do klejenia, szybko schnący lakier do ozdób wykonanych techniką découpage, rolki taśmy dekoracyjnej i... - Czyta napis na przezroczystej torebce wypełnionej klejącą pianką w kształcie kółek. - Klej w kropkach!

Yvonne sięga po napoczętą paczkę z paczkami posypanymi cukrem pudrem i pokrytymi plamami pleśni. Tłumiąc odruch wymiotny, wyrzuca ją do przepelnionego kosza na śmieci.

- Nie musimy przechodzić na dietę. Oficjalnie ogłaszam, że straciłam apetyt. Na zawsze.

Isabel kiwa głową w kierunku drzwi, wciąż nie mogąc pojąć tego, co widzi wokół siebie.

- Ja też. Idziemy.

- Wrześniowe spotkanie Klubu Miłośniczek Albumów uważam za otwarte. Proszę panie o zajęcie miejsc.

Ava głęboko nabiera powietrza. Jest otoczona mnóstwem ludzi. Wiele kobiet kojarzy z widzenia, kilka pamięta lepiej. Żałuje, że nie odmówiła Bettie Shelton, która zadzwoniła do niej z zaproszeniem na ciepłą kolację w herbaciarni. W swojej naiwności przypuszczała, że starsza pani chce kupić kilka ozdób lub podzielić się z nią pomysłami. Była jednak tak uradowana wieściami od Margot, której udało się sprzedać cały komplet biżuterii z kapsli, że bez namysłu przystała na propozycję Bettie.

Max przyozdabia sobie ramię naklejkami.

- Mamo, patrz! - mówi do Avy, która kładzie palec na ustach.

- Ciii... - szepcze z uśmiechem i sadza go sobie na kolanach. Gdy tylko przekroczyli próg herbaciarni, Bettie wręczyła mu niewielki zestaw naklejek i kartek przygotowany specjalnie z myślą o nim.

Ava przytula mocno Maxa. Jemu bardzo podoba się wizyta w nowym miejscu oraz zachwyty, jakich nie szczędzą mu miłośniczki albumów. Dobrze, że go wzięła ze sobą. Konieczność zajęcia się dzieckiem będzie dla niej doskonałym pretekstem do szybkiego wyjścia z herbaciarni. „Pora spać”, powie przepraszającym tonem do Bettie przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Niecierpliwie czeka, aż Bettie skończy omawiać ostatnie spotkanie i udzielać rad zebranym w salonie paniom.

- Chciałabym, żeby dziś każda z was wybiegła myślami poza album - mówi Bettie. - Wspomnienia kryją się wszędzie. To nie tylko wielkie i ważne wydarzenia, lecz również pojedyncze chwile. Istotą scrapbookingu nie jest ładna aranżacja ozdób na każdej stronie, lecz to, co czujecie, niezapomniane chwile, wyjątkowe momenty, które nadają smak waszemu życiu. Zaproście innych w waszą emocjonalną podróż. Ułatwicie im to, wykorzystując w waszych kompozycjach różnorodne materiały - zachęca, po czym marszczy brwi, obrzuca gniewnym spojrzeniem salon i mruczy cicho do siebie: - Isabel, radzę ci, przyjedź z tym klejem jak najszybciej.

Ava rozgląda się dookoła przestraszona. Czy Bettie miała na myśli Isabel Kidd?

- ... A skoro mówimy o materiałach, z przyjemnością przedstawiam wam naszego niespodziewanego gościa, Avę Catalinę, właścicielkę firmy Trzy Serca produkującej biżuterię z kapsli od butelek.

Mimo iż jest bardzo zdenerwowana, Ava czuje gwałtowny przypływ radości i dumy. Właścicielka? Firma? Brzmi to tak oficjalnie. Bettie kiwa głową w jej kierunku, a pozostałe panie zaczynają bić brawo.

- A to jej syn Matt...

- Max - poprawia ją grzecznie Ava. Słyszając, że Bettie pomyliła jego imię, malec się śmieje. - Dziękuję za zaproszenie - dodaje Ava, rozglądając się wokół. Wszyscy kiwają głowami i uśmiechają się do niej. Chyba nikt jej nie rozpoznał. Ava cieszy się, że przynajmniej w tym miejscu nie jest narażona na złośliwe chichoty i pełne dezaprobaty spojrzenia.

- Ava zabierze głos po przerwie - mówi Bettie.

- Z przyjemnością ogłaszam też, że za dziesięć minut poprowadzę warsztat dla początkujących. Co do pozostałych pań, Madeline pozwoliła nam korzystać do woli z całego salonu oraz jadalni, niech więc każda z was znajdzie sobie dogodne miejsce i bierze się do pracy!

- Na podkreślenie tych słów Bettie uderza ozdobnym młotkiem w drewnianą deskę. Rozlega się głośnie stuknięcie, tak niespodziewane, że Ava podskakuje na krześle.

Panie chórem dziękują Bettie, po czym wstają i szybko zaczynają organizować sobie miejsce pracy. Po przerwie, myśli Ava z przerażeniem. Może porozmawia z panią Shelton i wyjaśni jej, że przez wzgląd na Maxa nie będzie mogła zostać tak długo na spotkaniu.

- Nie zapominajcie o wycinarkach do zdjęć! - woła Bettie. - I koniecznie zróbcie użytek z drewnianych literek - jeśli nie wykorzystaliście ich do tej pory, macie teraz ku temu dogodną okazję!

- O Boże! - szepcze ktoś za plecami Avey. - Dajmy jej to i czym prędzej idźmy.

- Pięć minut - prosi ktoś drugi. - Widziałaś te słodkie kartoniki, które Bettie ma w zestawie na wrzesień? Są na nich wytłoczone wzory.

- Będę udawać, że nie słyszę zachwyty w twym głosie - odpowiada pierwsza kobieta, wyraźnie zirytowana.

Ava odwraca się nieznacznie i nieruchomieje. Za nią stoi Isabel Kidd z przyjaciółką. Są atrakcyjne i pewne siebie, choć Isabel zdradza wyraźne oznaki zdenerwowania. Ava kuli się na krześle, zanurza twarz we włosach Maxa i usiłuje obmyślić plan działania.

- NARESZCIE! - wykrzykuje Bettie. - Myślałam, że nigdy tu nie dotrzesz! Możesz położyć je tam. I przyprowadziłaś ze sobą Yvonne, jak cudownie!

Gdy cała trójka odchodzi na bok, Ava chwyta Maxa w ramiona i pośpiesznie przemyka w kierunku wyjścia.

- Jaki on uroczy! - Kobieta niosąca pudełko pełne torebek herbaty zatrzymuje się przed nimi. Ava rozpoznaje właścicielkę herbaciarni. - Jestem Madeline - mówi. - A to jest Connie. - Kiwa głową w kierunku stojącej za nią dziewczyny. Connie trzyma porcelanowy talerz z jabłkami w cieście.

- Mamusiu, jestem głodny - odzywa się Max, podnosząc wzrok na Avey. Początkowo nie chciał jeść, zbyt

podeksycytowany panującym w salonie zamieszaniem. Ava przełknęła tylko parę kęsów, nie rozumiejąc, co się wokół niej dzieje. Ku jej całkowitemu zaskoczeniu „kolacja” z Bettie okazała się spotkaniem trzydziestu pań, z których każda stawiała się w herbaciarni z niewielką torbą na kółkach, wypchaną papierem i mnóstwem najróżniejszych ozdób.

- Nasz bufet jest jeszcze pełen - mówi Madeline.

- Wygląda na to, że panie przyniosły sobie zapasy na całą noc. Proszę się częstować.

- Musimy już iść - rzuca pospiesznie Ava. - Ale dziękuję pani, Madeline.

- Jestem głodny - powtarza Max. W jego głosie słychać narastające rozdrażnienie.

- Proszę - mówi Connie, wręczając mu ciastko, po czym spogląda ze skruchą na Avę. - Och, przepraszam, powinnam była spytać panią o pozwolenie. Mogę mu dać, prawda? To jabłko w cieście. - Przyglądają się, jak Max wsuwa sobie naraz całe ciastko do ust.

- W porządku - odpowiada z westchnieniem Ava.

- Tu jesteście! - Bettie podchodzi do nich szybkim krokiem. - Avo, pomyślałam sobie, że byłoby wspaniale, gdybyś podpowiedziała nam, jak wykorzystać kapsle w naszych albumowych kompozycjach albo jak wykonać z nich samodzielne ozdoby z użyciem niepotrzebnych kawałków papieru. Wszystkim paniom na pewno spodobają się twoje pomysły.

- Nie miałam czasu się nad tym zastanowić. - Ava pragnie wyjść z herbaciarni, zanim zauważy ją Isabel.

- Poza tym Max jest zmęczony... - Kiwa przepaszająco kiwa

głową w kierunku syna, który sięga po kolejne jabłko w cieście. Uśmiecha się przy tym do otaczających go kobiet, wyraźnie ożywiony. Nie widać po nim zmęczenia.

- Ależ on świetnie się bawi! - mówi Bettie, obdarowując go kolejnym opakowaniem naklejek. - Popatrz, co dla ciebie mam, Matt!

Max bierze od niej naklejki i powtarza:

- Jestem głodny.

- Doskonale! - woła Bettie. - Connie podejdzie z nim do bufetu, prawda? - Łaskocze chłopca, odbiera go Avie i podaje Connie, która bierze go na ręce. Talerz z jabłkami w cieście trafia do rąk Madeline. Obie panie są zajęte, z czego korzysta Bettie i odciąga Avę na bok. - Zrobię teraz krótkie wprowadzenie dla ciebie oraz kilku innych nowicjuszek.

- Nie ozdabiam albumów... - zaczyna Ava.

- No właśnie! - Bettie kiwa głową, jakby Ava potwierdziła jej tezę. - Każdy tak mówi, ale prawda jest taka, że każdy robi to w ten czy inny sposób, tylko nie zdaje sobie z tego sprawy. Moim zadaniem jest dawać wam do ręki właściwe narzędzia, dzięki którym będzie wam łatwiej zatrzymać wyjątkowe chwile i wspomnienia. Nie chcesz stworzyć czegoś ciekawego dla Matta?

- Maxa...

- Dzieci rosną tak szybko, a my żyjemy w ciągłym pośpiechu. Artystycznie wykonany album sprawia, że wciąż pamiętamy o najważniejszych momentach naszego życia. Gdy malec dorośnie, będzie to dla niego najcenniejszy skarb. - Bettie się uśmiecha. - Chyba chciałabyś ofiarować mu coś takiego?

To cios poniżej pasa. Ava nie ma nawet pamiątkowego albumu z okresu niemowlęctwa Maxa, nie prowadziła żadnego pamiętnika. Chce coś takiego stworzyć, ale ilekroć zaczyna przeglądać zdjęcia, odnosi wrażenie, że album będzie niekompletny, że się jej to nie uda. Nie wie, od czego zacząć, a jednocześnie boi się, że coś ominie. Zdaje sobie przy tym sprawę, że brakuje jej najważniejszego elementu.

- Teraz nie musisz się o nic martwić. Słuchaj uważnie i baw się - zawsze to każdemu powtarzam. Słuchaj i baw się, i patrz, dokąd cię to prowadzi. Wystarczy piękny papier we wzorki oraz ozdobne kartoniki, a będziesz zachwycona efektami swojej pracy! Poczujesz, jak w twojej duszy coś się otwiera. Chodźmy! - Bettie ciągnie Avę za ramię.

- Nie mogę. - Ava uwalnia się z jej uścisku, nie ruszając się z miejsca.

- Przykro mi, ale nie mogę wrócić do salonu.

- Dlaczego?

Ava waha się przez chwilę.

- Ponieważ jest tam ktoś, kto bardzo nie chciałby mnie spotkać.

Bettie patrzy na nią w zdumieniu.

- Kto to taki? Znam każdą z obecnych tam pań i mogę zaręczyć, że nie pogardzi twoim towarzystwem.

- Nie sądzę.

- Z pewnością się mylisz - oświadcza Bettie. - O kim mówisz?

Ava czuje, że Bettie nie da za wygraną, dopóki nie dowie się prawdy.

- O Isabel Kidd.

- Ale dlaczego Isabel miałyby... - Przez dłuższą chwilę Bettie milczy. Nagle doznaje olśnienia. Ava ma wrażenie, że nad głową starszej pani na moment rozbłysła żarówka.

- Jak wiadomo, pracowałam w gabinecie jej męża, Billa. Zanim zginął, przez rok byliśmy razem. Max jest synem Billa - wyjaśnia. Zaczynają palić ją policzki, ale jednocześnie czuje ogromną ulgę, że wreszcie powiedziała głośno, co się wtedy wydarzyło i kim jest Max.

- O mój dobry, dobry, dobry Boże - mruczy Bettie, przygryzając usta i potrząsając głową. - No tak, oczywiście! Muszę przyznać, że jestem zszokowana. Nie wiedziałam, że do tego dojdzie, nie, nie wiedziałam.

- Przykro mi, że nie zrobię prezentacji - mówi Ava. - Może zostawię ci kilka próbek i...

- I tak to się dzieje wtedy, kiedy człowiek myśli sobie, że już wszystko widział - ciągnie Bettie, potrząsając głową. - Życie śmiesznie się układa, nie uważasz? Oczywiście nie mam do ciebie pretensji, że nie chcesz z nami zostać. Gdybym była na twoim miejscu, też miałabym ochotę uciekać, gdzie pieprz rośnie. Nie masz innego wyjścia, prawda?

Ava sztywnieje.

- Nie uciekam. Nie chcę tylko, żeby poczuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa.

Bettie uspokajająco klepie ją po ramieniu, jakby była małą dziewczynką.

- Tak, tak. Przemknijmy do drzwi, zanim zobaczy cię Isabel. Nie wiem dlaczego, ale jest dziś bardzo

zdenerwowana. Na pewno nie trzeba wchodzić jej teraz w drogę! - Zaczyna prowadzić Avę w kierunku frontowych drzwi.

- Zaraz, muszę wrócić po Maxa... - zaczyna Ava. W tym samym momencie do holu wchodzi Isabel z przyjaciółką.

- Idziemy, Yvonne - mówi ponurym tonem, podczas gdy Yvonne usiłuje przekonać ją, żeby zostały.

Na widok Avy Isabel milknie.

Ava chce uciekać, ale nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Są jak z gumy, jakby zaraz miały się pod nią ugiąć.

- Cóż! - mówi Bettie, odchrząkując. - To z pewnością dość dziwna sytuacja. - Patrzy raz na Avę, raz na Isabel. Żadna z nich nie odpowiada.

Isabel patrzy na Avę natarczywie, oskarżycielsko. Bije od niej gorycz i gniew jak ciepło z rozgrzanego słońcem chodnika. To coś gorszego niż furia, w jaką wpadła kilka tygodni temu, gdy Ava przyjechała pod jej dom. Coś o wiele gorszego. Isabel wydaje się teraz inna niż wówczas, jest wyraźnie pewniejsza siebie, silniejsza. Ava doskonale wyczuwa emocje pulsujące w sercu jej rywalki. Z całą pewnością nie ma wśród nich przebaczenia i zrozumienia.

- Ty... - mówi Isabel i odwraca się do przyjaciółki. - To ona! - Wyrzuca z siebie to słowo niczym pogrózkę.

Ava zerka na Bettie, która sprawia wrażenie zatroskanej, a jednocześnie zachwyconej. W herbaciarni panuje ożywiona atmosfera, cały czas słychać gwar rozmów, jakby nic się nie stało. Ava obawia się

o swoje bezpieczeństwo. Nie wie przecież, do czego jest w stanie posunąć się Isabel; wie tylko, że powinna wyjść, zanim będzie miała okazję przekonać się o tym na własnej skórze.

Przyjaciółka Isabel kładzie jej rękę na ramieniu, mówiąc cicho:

- Daj spokój. Chodźmy.

- NIE. - Isabel stoi nieruchomo. Przez ułamek sekundy Ava wyobraża ją sobie w pelerynie jako mści-cielkę z rozwianymi na wietrze włosami, która właśnie zamierza się mieczem na wroga.

- Isabel - mówi. - Przepraszam. Nie wiedziałam, że pani tu będzie. Już idę stąd.

Bettie zaciska usta, ale nie namawia jej, żeby została. Nawet Isabel wydaje się zadowolona. Jej spojrzenie łagodnieje, postawa staje się mniej groźna i wyniosła.

Przez chwilę Ava myśli, że wszystko się uspokoi i będzie mogła bez przeszkód wybiec z herbaciarni, gdy nagle do jej uszu dobiega śmiech Maxa i odgłos małych stopek biegnących w jej kierunku.

- Mamusiu! - woła synek, rzucając się jej na szyję. - Mam dla nas paczkę z pysznościami! - Trzyma w ręce brązową papierową torebkę zawiązaną wstążką. Na samej górze ktoś przykleił żółtą literę M. - To mój zestaw! M to znaczy Max!

Connie i Madeline podchodzą do niego, uśmiechając się szeroko.

- Jest słodki - mówi Connie. - Powiedział, że chce się z tobą podzielić, więc postanowiłyśmy zapakować

jedzenie do torby. Wstążkę i drewnianą literkę M znalazł na stole z akcesoriami do klejenia albumów.

- Wyklejania - poprawia ją Bettie i rumieni się gwałtownie na myśl o tej niezręcznej sytuacji.

Ava czuje, że płoną jej policzki.

- Dziękuję - mówi pośpiesznie do Connie i Madeline, nie patrząc na Isabel.

- Nie ma sprawy - odpowiada Connie.

- Max jest uroczy - dodaje Madeline. - Będzie tu zawsze mile widziany. - Uśmiecha się uprzejmie do Isabel i jej przyjaciółki. - Dobry wieczór. Jestem Madeline Davis.

Bettie odchrząkuje.

- To jest Isabel Kidd i Yvonne Tate. - Patrzy na Madeline i gorączkowo mruga powiekami, jakby chciała przesłać jej wiadomość alfabetem Morse'a.

Yvonne wymienia uścisk dłoni z Connie i Madeline, ale Isabel nie zwraca na nie najmniejszej uwagi. Z jej twarzy ustąpiło napięcie. Jest blada, rysy ma ściągnięte.

- Cóż, do widzenia - mówi Ava, kierując się w stronę frontowych drzwi.

- To jest Max? - pyta Isabel i robi krok do przodu, zagradzając im drogę.

Ava tuli do siebie synka i odwraca się od niej. Nie boi się już o siebie - jej pierwotny strach ustąpił miejsca innemu, nowemu, uświadomiła sobie bowiem, co może kryć się za pytaniem Isabel. Bettie i Yvonne wstrzymują oddech. Connie i Madeline są wyraźnie zbite z tropu; czują, że dzieje się coś niezwykłego.

Max poprawia sobie okulary na nosie.

- Dobry wieczór - mówi.

Ava też wstrzymuje oddech. Jeśli tak trzeba, będzie walczyć. Odepchnie ją, raz na zawsze spali za sobą mosty.

Ale Isabel wydaje się jej w ogóle nie widzieć. Cały czas patrzy na Maxa, oczy jej wilgotnieją.

- Mój Boże! - szepcze, podnosząc dłoń do ust. Oczy ma szeroko otwarte i pełne łez. - Wygląda całkiem jak Bill na zdjęciach z dzieciństwa.

- Naprawdę? - Bettie mruży oczy i zaczyna przyglądać się Maxowi. Connie i Madeline mimowolnie kierują na niego wzrok. - Nawet w tych okularach?

- Bill jako dziecko miał zeza, ale przeszedł operację korekcyjną.

Ava czuje szarpnięcie w okolicy serca. A więc Bill też to miał. Tak samo jak Max.

- Zeza? - pyta z niedowierzaniem Bettie, lecz Isabel potrząsa przecząco głową, nie będąc w stanie jej odpowiedzieć.

- W przypadku Maxa nie jest tak źle - mówi cicho Ava. - Operacja nie będzie potrzebna, tylko musimy wykonywać regularne ćwiczenia wzmacniające mięśnie oczu.

- To zapewne dziedziczne - mówi Bettie i milknie gwałtownie, uświadomiwszy sobie, co powiedziała.

Isabel z powrotem staje się dawną sobą. Prostuje się gwałtownie, ociera oczy.

- Muszę już iść. - Wychodzi, zanim ktoś jest w stanie cokolwiek powiedzieć, omal nie zderzając się z kobietą, która właśnie przyszła do herbaciarni.

- Isabel! - woła Yvonne, ale jej przyjaciółka jest już na zewnątrz.

- Niech idzie - mówi Bettie, wyciągając dłoń i dotykając ramienia Yvonne. - Daj jej trochę czasu.

Yvonne patrzy na znikającą za rogiem Isabel z wyrazem zmartwienia na twarzy, ale nie biegnie za nią.

Ava czuje się okropnie. Nie jest pewna, co o tym wszystkim sądzić. Miała zamiar wyjść, ale Isabel była pierwsza. Nie wie, co robić. Max wierci się w jej ramionach, jest ożywiony, radosny. Ava wciąż rozmyśla nad informacją, że Bill również miał zeza. Będzie to musiała powiedzieć lekarzowi Maxa. Na nic to oczywiście nie wpłynie, ale przynajmniej zostanie zanotowane w kartotece. Skłonność dziedziczna. Jeszcze jedna cecha, która łączy Billa i Maxa. Ava nie może się już doczekać chwili, gdy wróci do domu i wytłumaczy to synkowi.

- Przepraszam. - Kobieta, która właśnie weszła do środka, przypatruje się gromadce stojącej w holu. - Nazywam się Frances Latham i przyszedłam na spotkanie poświęcone ozdabianiu albumów. Spóźniłam się?

Bettie zerka na zegarek i delikatnie stuka w niego palcem, wdzięczna Frances za to niespodziewane wejście.

- Przyszłaś idealnie na czas.

Rozdział 10

Scrapbooking to coś pomiędzy przechowywaniem wspomnień a wizualizowaniem ich - zaczyna Bettie. Stoi przed okrągłym stołem, przy którym siedzą Connie, Yvonne, Ava i Frances. Max pomaga Madeline sprzątać w kuchni. Connie chciała zrobić to sama, ale Madeline wygoniła ją do salonu, pragnąc spędzić parę chwil sam na sam z Maxem. Connie wie, że starsza pani tęskni za wnuczką i ten mały chłopiec jest dla niej jak emocjonalny balsam, który pomaga zapomnieć o bólu i tęsknocie.

Connie wierci się niespokojnie na krześle. Też chciałaby być w kuchni. Usiadła przy stole przypadkiem. Gdy Isabel wybiegła z herbaciarni, stały wszystkie w holu, nie wiedząc, co powiedzieć, i Bettie sprytnie to wykorzystała. Zaprowadziła je do salonu i zmusiła do zajęcia miejsc.

- Ludzie robią to z wielu powodów - ciągnie Bettie. **-1** można to robić na mnóstwo sposobów. - W jednej

ręce trzyma duży, gruby album w ochronnej plastikowej okładce, w drugiej - znacznie mniejszy. Spomiędzy jego stronic, połączonych dwoma okrągłymi spinaczami, wystaje wiele ozdób - wstążki, materiał, papier. Na stole leży jeszcze kilka ręcznie zdobionych albumów, wszystkich rozmiarów i kształtów.

Frances Latham podnosi rękę. Connie, która od czasu do czasu spotyka ją w mieście, wie, że jest ona wiecznie zabieganą mamą z gromadką dzieci, osobą chętnie uczestniczącą w każdej społecznej lub charytatywnej akcji organizowanej w Avalon. Kilka razy zdarzyło się jej wpaść do herbaciarni, ale wyłącznie przy okazji tego typu imprez. Connie wie, że wiele kobiet prowadzi takie życie - nie mogą znaleźć czasu dla siebie, ponieważ bez przerwy robią coś dla innych. Obiecuje sobie w myślach, że przygotuje specjalne kupony z dziesięcioprocentową zniżką, które wręczy członkiniom klubu, gdy następnym razem przyjdą na herbatkę. Może doda do tego jeszcze drobny upominek niespodziankę, na przykład słóiczek dzemu przewiązany wstążką albo pęczek świeżej lawendy.

- Mój problem polega na tym, że nie wiem, od czego zacząć - przyznaje Frances. - Mam tyle zdjęć, że nie jestem w stanie zabrać się do pracy. Poza tym trzymam je w dziesięciu różnych miejscach, wiele jeszcze w kopertach, w których przyniosłam je od fotografa. Jeśli cofnę się w czasie i zacznę dokumentować nasze życie od momentu narodzin naszego pierwszego dziecka, uporam się z tym nie wcześniej, niż gdy moi synowie będą już w college'u.

Panie wybuchają śmiechem.

- Mój syn nie ma nawet albumu z okresu niemowlęctwa - zwierza się Frances siedząca obok niej Ava.

- Skąd ja to znam. - Frances wzdycha.

- Nie mam dzieci - mówi Yvonne. - Ale mogę zrobić album o sobie. To może być nawet miłe.

Choć Connie nie zamierzała brać udziału w tej rozmowie, odzywa się niespodziewanie:

- Nie potrafię znaleźć ciekawego tematu na album. Nie mam prawie żadnych zdjęć z przeszłości.

Siedzące za stołem panie patrzą na nią pytającym wzrokiem i dziewczyna żałuje, że w ogóle zabierała głos. Bettie, niewzruszona, kontynuuje swoje rozważania.

- Moje panie, chodzi tu przede wszystkim o wspomnienia. To coś więcej niż tylko fotografie. - Demonstruje zebrany oryginalny album w okładce z restauracyjnego menu. - To dzieło Tilde Smart, która siedzi tu z nami. Kilka lat temu wykonała album, do którego dołączyła karty dań, serwetki i inne pamiątki z restauracji, które odwiedzała wraz ze swoją współlokatorką z college'u, Sweeney. Są tu również zdjęcia, ale przeważają notatki, jak w dzienniku. Tilde zapisywała każde wspomnienie, każdy głupi dowcip, każdy szczegół, jaki tylko utkwiał jej w pamięci. Gdy u Sweeney wykryto raka, Tilde chciała podarować jej coś, co mogłaby zabrać ze sobą do szpitala na czas leczenia. Drobiazg, który wywołałby na jej twarzy uśmiech i pozwolił choć na chwilę zapomnieć o chorobie. Po śmierci Sweeney jej rodzina odesłała album Tilde. Spójrzcie. - Bettie

otwiera album na przypadkowej stronie i demonstruje go swoim słuchaczkom. Connie widzi, że notatki zostały wykonane przez dwie różne osoby. - Sweeney również zamieściła tu swoje wspomnienia. Pisała to podczas chemioterapii. Możecie sobie wyobrazić, jak czuła się Tilde, gdy po raz pierwszy zobaczyła pismo Sweeney, jej śmieszne rysunki na marginesach, wiersz, który napisała pod koniec życia. Tilde uważa ten album za swój skarb.

Bettie pokazuje im kilka innych albumów.

- To wy decydujecie o treści waszego albumu - mówi. - Nie trzeba trzymać się chronologii zdarzeń. Wybierajcie jedynie to, co naprawdę was interesuje. A jeśli nie macie zdjęć, znajdźcie obrazy, słowa lub kolory, które ożywiają wasze wspomnienia. Connie, jakie jest twoje ulubione wspomnienie?

Connie wierci się niespokojnie na krześle. Znowu jest w centrum uwagi.

- Nie mam ulubionych wspomnień - mówi.

- Ani jednego? - To oczywiste, że Bettie jej nie wierzy. - Urodziny? Boże Narodzenie? Wyjazd pod namiot? Cokolwiek!

Przez głowę Connie przepływa obraz za obrazem, ale żaden nie jest wart uwagi.

- Przykro mi, ale niczego sobie nie przypominam.

- A teraz? Czy coś sprawia ci teraz radość?

- Praca w herbaciarni - odpowiada bez wahania Connie. -1 Serena. Moja koza.

- Aha! - Bettie pstryka palcami. - A więc jednak! Album pełen zdjęć twoich i Madeline, herbaciarni,

waszych ulubionych potraw. Mogłabyś nawet wykorzystać herbatę w torebkach, przepisy albo suszone kwiaty i liście z podwórza. Wizytówkę herbaciarni. Zdjęcia klientów. Albo weź herbatę w liściach, włóż ją do przezroczystej plastikowej kieszonki i przyszyj do strony albumu. A Selenia...

- Serena...

- .. Jestem pewna, że w internecie znajdziesz mnóstwo informacji o kozach. Mogłabyś napisać, jakiej rasy jest twoja podopieczna, co lubi jeść, czym najchętniej się bawi. Nie zapomnij też o śmiesznych historyjkach.

- Zapisuję to w moim dzienniku.

- A więc już tworzysz album! - Bettie rozgląda się wokół z triumfalną miną. - Bo album to właściwie dziennik wzbogacony o elementy wizualne. Nie tylko słowa, lecz również kolory i różnorodne akcesoria będą przypominać ci o miłych chwilach spędzonych w towarzystwie Sereny. Mogłabyś skserować stronę z twojego dziennika i wkleić ją do albumu albo uzupełnić dziennik o zdjęcia. Nie musisz tworzyć osobnego albumu - dziennik w zupełności wystarczy.

Connie nigdy dotąd o tym nie myślała. Jej dziennik jest pełen naprędce wykonanych rysunków. Od czasu do czasu zdarza się jej również wkleić tam drobną pamiątkę, na przykład kawałek biletu do kina albo inspirujący cytat wydarty z czasopisma. Patrzy na album leżący na stole i wyobraża sobie swój dziennik w nowej, lepszej wersji, z małymi pętelkami z materiału przytwierdzonymi zszywkami do stron i pełniącymi funkcję zakładek.

- Możecie to robić na tysiąc sposobów. Ogranicza was jedynie własna wyobraźnia - ciągnie Bettie. - Wybierzcie sobie konkretne wydarzenie, choćby przyjęcie urodzinowe, koniec roku szkolnego albo wieczorne wyjście z przyjaciółkami. Opracujcie artystycznie ten temat. Albo pomyślcie sobie o czymś, co mogłoby was ucieszyć w przyszłości, na przykład o nowej pracy lub nowym domu, i stwórzcie o tym album. Możecie też potraktować to jako prezent dla kogoś wyjątkowego, tak jak zrobiła Tilde.

- Jeśli to takie proste - pyta Connie - po co tyle zamieszania? Po co to wszystko? - Macha ręką w kierunku sąsiednich stołów, na których piętrzą się stosy papieru, wycinarki do zdjęć oraz całe mnóstwo błyszczących ozdób.

- To ma cię inspirować, kochana - tłumaczy Bettie. - Nie możesz upiec ciasta bez podstawowych składników, prawda? A im więcej ich masz, tym więcej ciekawych kombinacji możesz z nich stworzyć. Poza tym, i radzę ci teraz usiąść, Connie...

Connie marszczy nos.

- Przecież siedzę.

- To czysta przyjemność. - Bettie uśmiecha się do nich szeroko. -
PRZYJEMNOŚĆ!

Yvonne kiwa głową.

- Przyjemność - powtarza. Connie czuje, że Yvonne już połknęła haczyk.

- Nieco przyjemności dobrze by mi zrobiło - mruczy Frances.

- Zapomniałam już, co to jest przyjemność - mówi

cicho Ava. - Ale skorzystam z każdej nadarzającej się okazji, żeby poprawić sobie nastrój.

Przyjemność? Naprawdę? Connie nigdy nie myślała w takich kategoriach o artystycznym zdobieniu albumów. Wydawało jej się to raczej dziwaczną obsesją lub chytrą sztuczką sprzedawców artykułów papierniczych, ale teraz, rozglądając się po salonie, widzi grupę zrelaksowanych, roześmianych, świetnie bawiących się kobiet.

- Nie da się tego robić źle. Każdy sposób, a jest ich całe mnóstwo, można uznać za dobry - mówi Bettie. - Zbierzcie wszystkie swoje kartki urodzinowe i uzupełnijcie je o kilka notatek lub zdjęć. Voilà, gotowe! Już nie kolekcjonujecie kartek, lecz poświęćcie czas, by nasycić je myślami i wspomnieniami. Mogę wam obiecać, że za dziesięć lat będziecie bardzo zadowolone ze swojego dzieła.

Bettie rozdaje siedzącym przy stole kobietom paczuszki owinięte celofanem.

- Oto zestaw na wrzesień - z mnóstwem śmiesznych dodatków! Nie musicie, rzecz jasna, korzystać z moich zestawów, ale radzę wam, żebyście w miarę możliwości używały materiałów o neutralnym pH, głównie jeśli chodzi o kleje. Na pewno zależy wam na tym, by owoce waszej ciężkiej pracy oparły się niszczącemu działaniu czasu, a kwas z całą pewnością temu nie sprzyja.

Connie bierze do ręki zestaw. W środku znajduje się kilka arkuszy ozdobnego papieru, tekturki, niewielka przezroczysta koperta z guzikami, kolorowymi

pinezkami i koralikami. Jest również kartonik, na który nawinięto pięć różnych rodzajów wstążeczek i nici, a także niewielkie papierowe ramki, kartoniki z wytłaczanymi wzorami, kawałki papieru welinowego z różnymi słowami i powiedzonkami, cały arkusz samoprzylepnych liter stylizowanych na czcionkę maszynową oraz pół arkusza ozdobnych kalkomanii do naklejenia na brzeg strony.

- Mogę wziąć dwa zestawy? - pyta Yvonne. - Jeden dla mnie i jeden dla Isabel?

- Warto wstąpić do naszego klubu - mówi Bettie.

- Tylko piętnaście dolarów miesięcznie. Najnowsze wiadomości, zniżki, zestaw miesiąca, który sam kosztuje 9,99 dolara, jak również nieograniczone wsparcie z mojej strony. „Zmieniać chwile we wspomnienia”, oto motto Bettie Shelton i naczelna zasada Klubu Miłośniczek Albumów w Avalon!

- Zgłaszam się - mówi natychmiast Frances. - Gdzie się mam wpisać?

- Czy mogę opłacić członkostwo biżuterią z kapsli?

- pyta Ava lekko zaniepokojona.

Bettie kiwa potakująco głową. Kobiety sięgają po portfele i z radością otwierają swoje zestawy, zachwycając się ich zawartością. Connie musi przyznać, że po rozłożeniu na stole wygląda to jeszcze bardziej kusząco. Szczególnie podoba jej się arkusz papieru w czarno-białą szachownicę. Jej uwagę zwraca też lśniący czarny pompon, arkusz aksamitnej zielonej tektury i niebieska zygzakowata tasiemka. Czuje nagły przypływ natchnienia, dobiera w myślach dodatki

do stron swojego dziennika. Serena, myśli. Z radością zrobię album o Serenie.

- Connie... - Bettie kiwa głową w kierunku leżącego przed dziewczyną zestawu. - Ty i Madeline dostajecie za darmo zestaw wraz z pustym albumem. Pamiętasz? - Popycha zamkniętą paczkę, która spada Connie na kolana. - Możesz teraz wybrać sobie album. Są tam. - Wskazuje stojący w kącie salonu stół pełen artykułów na sprzedaż.

Connie zerka w tamtym kierunku. Głos Bettie niknie gdzieś w oddali. Na stole stoją podparte albumy najrozmaitszych rozmiarów i kształtów. Kilka kobiet pochyla się nad nimi i po kolei je przegląda.

Nic się nie stanie, jeśli również rzuci na to okiem. Ta różowa księga z falbankami? Nie ma mowy. To album dla niemowlęcia. Jest album o grubych, miękkich okładkach, z cytrynami i brzoskwiniami odbitymi na froncie, są i inne, w kropki, w paski i w tęcze, oprawione w porządną skórę lub z miejscem na zdjęcie z przodu. Nie, nie, nie, nie. Connie prześlizguje się wzrokiem po tych cudach, coraz bardziej znudzona, aż w pewnym momencie dostrzega coś wyjątkowego.

Gruby, czarny, kwadratowy album z okładką ozdobioną wzorem stylizowanym na graffiti oraz czymś, co przypomina czarną koronkę. Spomiędzy stronicy wystają zakładki ze srebrnego materiału, a całość spięta jest metalowymi pierścieniami oraz dodatkowo wzmocniona srebrzystym elastycznym sznurkiem. Wydaje się kompletnie nie pasować do kolorowych, bogato

zdobionych albumów zalegających cały stół. Czarna owca. Odmieniec. Idealny.

Gdy Connie podnosi się z krzesła, jedna ze stojących obok stołu kobiet sięga po ten właśnie album.

- Spójrz na to! - wykrzykuje. - Moja siostrzenica byłaby zachwycona. Jak się nazywa ten styl - miejski grunge?

- Nie obchodzi mnie to - odpowiada jej przyjaciółka. - Myślę, że ma on zły wpływ na młodzież.

- Och, nie bądź taka staroświecka. To nowe pokolenie, Eleanor.

Connie podchodzi szybkim krokiem do stołu.

- Dobry wieczór, przepraszam, wezmę go, jeśli pani nie chce. - Dziewczyna usiłuje się powstrzymać przed wyrwaniem albumu z rąk nieznajomej.

Kobieta uśmiecha się do niej.

- Przykro mi, ale kupuję go mojej siostrzenicy na urodziny. Proszę zapytać Bettie, czy nie ma więcej egzemplarzy.

- Nie ma! - woła natychmiast Bettie, która cały czas stoi przy stole dla początkujących.

- A teraz porozmawiajmy o nakładaniu poszczególnych elementów!

- Ten jest ładny - mówi Eleanor, podsuwając Connie album oprawiony w jaskrawy żółtozielony materiał przyozdobiony papierowymi kwiatami. - Zieleń będzie modna tej jesieni.

- Rzeczywiście, słyszałam, że zajmie miejsce czerni - zgadza się z nią przyjaciółka.

Uch!

- Dziękuję, ale jeszcze się rozejrzę. - Connie odkłada zielony album na stół i znów prześlizguje się wzrokiem po całym asortymencie. Niestety, nic nie przykuwa jej uwagi nawet w najmniejszym stopniu. Usiłując ukryć rozczarowanie, dziewczyna obchodzi szerokim łukiem stół dla nowicjuszek i idzie do kuchni.

- Co słyhać? - pyta Madeline, wręczając Maxowi drewnianą łyżkę. Wygląda na to, że zaangażowała go do pracy w charakterze pomocnika. Pozwala mu dosypywać granolę oraz suszone owoce do jogurtu, który właśnie miesza. - Będiesz kucharzem, prawda? - pyta chłopca, puszczając jednocześnie oko do Connie.

-Tak!

Connie przysuwa sobie krzesło i opada na nie ciężko.

- Kiedy to spotkanie się skończy? Madeline spogląda na zegar.

- Za godzinę. Nie jest miło? Connie usiłuje wzruszyć ramionami.

- To nie moja bajka - mówi zniechęcona, bębniąc palcami w drewniany blat stołu.

- Niedobrze - mówi Madeline. W jej spojrzeniu widać smutek. - Przyznam ci się, że Bettie mnie zainspirowała. Postanowiłam, że wykonam specjalnie dla Maggie kronikę życia Stevena. Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby podzielić się z nią najcenniejszymi wspomnieniami o jej dziadku. A także babci. Będę musiała poprosić Bena, by zdradził mi parę szczegółów. Myślisz, że będzie miał coś przeciw temu?

Connie wraca myślami do ostatniej wizyty Bena,

która miała miejsce na Wielkanoc. Specjalnie dla Maggie schowali kilka jajek w różnych zakamarkach podwórza, choć dziewczynka była zbyt mała, by rozumieć, co się dzieje. Ilekroć Madeline wyjmowała kolorowe jajko spod krzaka czy z za drzewa, Maggie piszczała z radości. Connie przypomina sobie wyraz twarzy Bena, przeżywane przez niego emocje, wdzięczność, miłość. Zarówno on, jak i jego żona, Karen, praktycznie nie wychodzili z kuchni, cały czas rozmawiając z Madeline, która przygotowywała świąteczne potrawy.

- Myślę, że nie - mówi Connie. - Co więcej, uważam, że naprawdę się ucieszy.

- Mam nadzieję - wzdycha Madeline, patrząc na nią niepewnie. - Nie chcę przekraczać pewnych granic.

Connie wodzi palcem wzdłuż drzewnego słoja na blacie stołu.

- Nie przekraczasz ich - mówi. - Nie ma nic złego w tym, że starasz się pokazać komuś, jak bardzo go kochasz. Tego najbardziej brakowało mi, gdy dorastałam. Kogoś, kto okaże mi miłość i troskę.

Madeline w milczeniu podchodzi do stołu i mocno ją przytula. Connie odwzajemnia uścisk. Przestaje się już martwić albumem. Przez ostatni rok Madeline przytuliła ją więcej razy niż wszyscy inni przez dziesięć ostatnich lat. Nigdy nie będzie jej tego za wiele.

- Przepraszam... - Ktoś puka we framugę kuchennych drzwi. Okazuje się, że są to dwie kobiety, które stały przy stole z albumami. Connie widzi, że jedna z nich trzyma czarny album wetknięty w ozdobną torebkę.

- Trudy, Eleanor, wejdźcie, proszę - mówi Madeline. Ociera oczy i robi krok w tył, ściskając przy tym ramię Connie.

Trudy Hughes podchodzi do stołu.

- Chciałyśmy pani to zostawić. - Patrzy na Connie i delikatnie poklepuje trzymany w dłoniach pakunek. - Powiedziała pani, żebym go pani odstąpiła w razie rezygnacji, prawda?

Connie czuje przyływ nadziei.

- Nie bierze go pani?

- Postanowiłam, że podaruję mojej siostrzenicy talon na prezent. Niech sama wybierze sobie album. Albo, jak lubi mawiać Bettie, niech album wybierze ją. - Wręcza Connie papierową torebkę. - Ten chyba wybrał panią.

- Wciąż bardziej podoba mi się zielony - mówi pod nosem Eleanor Winters.

- Więc go sobie kup - radzi jej Trudy i ponownie zwraca się do Connie. - Proszę bardzo. Miłej zabawy!

Connie bierze od niej torebkę. Gdy zaciska palce na albumie, słyszy szelest papieru. Odwija go i dotyka okładki, koronki, zakładek.

Przyciska album do piersi, nie chcąc sprawiać wrażenia zbyt rozradowanej, ale to niemożliwe. Uśmiecha się szeroko.

- Dziękuję!

Już wie, że na pierwszej stronie znajdzie się fotografia Sereny. Może wykona serię czterech zdjęć, które przyklei z samego brzegu. A może lepiej postarać się o odcisk rąk? Czy to możliwe? Serena mogłaby

stanąć w kałuży atramentu i odcisnąć racicę na stronicy albumu.

- Bettie kazała pani przekazać, że zaraz zacznie się specjalny warsztat
- dodaje Trudy. - Coś o czapkach od butelek.
- Kapslach od butelek - poprawia ją Eleanor.
- Jestem pewna, że mówiła o czapkach - upiera się Trudy.
- Nie ma czegoś takiego jak czapki od butelek, Eleanor. Bettie ostatnio myli różne słowa, nie zauważyłaś?

Eleanor zaciska usta.

- Cóż, chodźmy. Chyba kupię sobie ten zielony album. - Patrzy na Connie i Madeline, prostując się z godnością. - Jak wiecie, zielony jest teraz najmodniejszy. - Stara się nie patrzeć koleżance w oczy.

Trudy chichocze.

- Do zobaczenia w salonie! Kobiety wychodzą z kuchni.
- To piękny album - mówi z podziwem Madeline i uśmiecha się. - Pasuje do ciebie.
- Wiem. - Connie kartkuje swój nowy nabytek. Jest bardzo skromny, ze sztywnymi czarnymi stronicami przyozdobionymi tu i ówdzie błyszczącym ornamentem, zakładką lub przezroczystą kieszonką. Nie jest tego dużo, w sam raz. Connie też ma taki styl. Nagle czuje, że chciałaby od razu zabrać się do pracy.
- Wrócę do salonu. Mogę?

Max podsuwa Madeline miskę z jogurtem.

- Chcesz spróbować? - mówi Madeline ze

śmiechem. - Oczywiście! I rób notatki, a ja tymczasem poszukam łyżeczek dla siebie i Maxa.

Isabel siedzi w samochodzie zaparkowanym na podjeździe i wpatruje się w ciemne okna swojego domu. U jej sąsiadki świecą się wszystkie światła. Włączyły się automatycznie o ustalonej godzinie - w ten sposób Bettie stara się odstraszyć potencjalnych włamywaczy.

Dziewczyna przebiega wzrokiem wzdłuż ogrodzenia otaczającego podwórze Bettie. Można właściwie powiedzieć, że przylega ono do ogrodzenia wokół ich domu. Postawili je wraz z Billem wkrótce po wprowadzeniu się tutaj, z myślą o dzieciach, które pewnego dnia miały im się urodzić.

Isabel nie tęskniła jakoś szczególnie za dziećmi. Choć pragnęła ich jak każdy, uważała macierzyństwo za naturalną kolej rzeczy i zamierzała pójść w ślady innych mężatek w jej wieku, nie poświęcała tej kwestii zbyt wiele uwagi, nie uważała jej za problem. Ale gdy się okazało, że nie może zająć w ciążę, świadomość, że czegoś nie ma i nie może mieć, zaczęła przysparzać jej coraz więcej bólu. Najpierw było to dziecko. Potem Bill.

Nie chce wchodzić do domu. Co tam na nią czeka? Zupa z puszki, białe ściany, samotność?

Opiera głowę o szybę. Mogłaby mieszkać w samochodzie. Sprzedać dom, sprzedać wszystko, żyć w swoim małym hybrydowym coupe, który mało pali i byłby o wiele tańszy niż hipoteka. Siedzenie odchyła się do tyłu jak leżanka, a prysznic mogłaby brać w siłowni. Teczki z dokumentami trzymałaby w bagażniku,

robiłaby pranie w Avalon Wash and Dry'i stołowała się na mieście. Dzięki środkom ze sprzedaży domu mogłaby spokojnie wziąć urlop w pracy, zwiedzić cały kraj, pojechać nad ocean.

A co potem? Trzeba mieć miejsce, do którego kiedyś się wróci, które można nazwać domem, gdzie można powiesić płaszcz. To jedna z niepisanych reguł życia. Wychowujesz się w jednej rodzinie, a potem wyruszasz w świat, by stworzyć drugą. Każdy tak postępuje.

Każdy, tylko nie ona. Nawet Avie się to udało. Straciła Billa, ale wciąż ma Maxa. A ona ma tylko jedną przyjaciółkę, Yvonne, ale nawet Yvonne postarała się już o chłopaka. Każdy dąży do tego, by znaleźć sobie dom i wypełnić go ludźmi, których kocha.

W zapadającym zmierzchu Isabel patrzy na tabliczkę z napisem NA SPRZEDAŻ, na zrujnowaną werandę, która wymaga pilnej naprawy. Kto chciałby kupić tę posiadłość? Trawa przed domem jest szorstka i wysuszona, hortensje przywiędły. Nawet okna sprawiają przygnębiające wrażenie. Wydaje się, że weranda patrzy na to wszystko ze smutkiem i dezaprobatą.

Isabel wysiada z samochodu. Nigdy nie zadali sobie trudu, by zainwestować w system zraszający („Ja jestem systemem zraszającym” - żartował Bill, wyjmując z szopy wąż ogrodowy i rzucając obracający się zraszacz na środek trawnika). Isabel nie może sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz podlewała trawnik. Wchodzi do szopy i szuka wśród narzędzi.

Gdy zardzewiały zraszacz jest już podłączony do węża i Isabel odkręca kurek, rozlega się głośny

charkot. Dziewczyna w lęku, że cała ta konstrukcja zaraz eksploduje, robi krok w tył, spodziewając się najgorszego.

W tym samym momencie cienka strużka wytryskuje z pierwszego otworu, zaraz z drugiego i już po chwili strumienie wody rozpryskują się nad wysuszoną trawą i tworzą drobny wzór na chodniku, chłodząc rozgrzany beton. Isabel przygląda im się, stojąc bez ruchu.

Max. Pamięta kartkę z zawiadomieniem o jego narodzinach, zdjęcie, na którym miał zaledwie kilka dni. Istniało pewne podobieństwo, to prawda, ale właściwie mogło być to każde dziecko z niebieskimi oczyma i dużymi uszami.

Ale ten chłopiec, który stał przed nią dzisiejszego wieczoru, był małą kopia Billa. Miniaturowy Bill. Bill junior. Isabel przypomina sobie zdjęcia Billa z wczesnego dzieciństwa, schowane gdzieś na strychu, i dobrze wie, jak ogromne jest to podobieństwo. Myśli o Lillian, owdowiałej matce Billa, która podkreśliła z całą stanowczością, że nie chce znać ani Avy, ani „tego dziecka”, ponieważ są odpowiedzialni za rozpad małżeństwa Billa i w konsekwencji za jego śmierć. Isabel jest jednak pewna, że gdyby Lillian mogła zobaczyć teraz Maxa, jej uczucia uległyby zmianie.

Uczucia Isabel również uległy zmianie. Niekoniecznie w stosunku do Avy - nie da się nabrać na jej pozę zabieganej, zatroskanej, wiecznie poświęcającej się matki - ale Max to już całkiem inna historia. Wszystko się skomplikowało.

Nagle pryska na nią wachlarz wody z obracającego się zraszacza. To bardzo przyjemne i orzeźwiające, ale również dość zaskakujące. Przestraszona Isabel dotyka mokrego policzka i uświadamia sobie, że to nie woda, lecz jej łzy.

- Co musi zrobić chłopak, żeby zwrócić na siebie uwagę dziewczyny?
- Hugh przekomarza się z Yvonne przez telefon. Dziewczyna wybucha śmiechem.

- Przepraszam, ale wczoraj wieczorem wylądowałam dość niespodziewanie na spotkaniu Klubu Miłośniczek Albumów - mówi. - Skończyło się późno - dodaje, bawiąc się śrubą sworznia.

- Co teraz robisz?

- Demontuję kran w kuchni pana Gaulkina. - Yvonne zwiększa głośność w zaczeplonej przy uchu słuchawce i zaczyna usuwać nakrętki oraz uszczelki zamocowane pod zlewem. - Gdy już go odkręcę, będę musiała doprowadzić przewody z ciepłą i zimną wodą do nowej baterii.

- Uwielbiam, kiedy mówisz jak hydraulik. A co robisz potem?

- Miałam obejrzeć film z Isabel, ale powiedziała mi, że nie ma ochoty. Hej! - Yvonne uśmiecha się nagle. - Chcesz wybrać się do parku na piknik? Ze mną i z Tobym?

Hugh wyraźnie się waha.

- Chciałbym, ale nie mogę. Spotkanie rodzinne. To już trzeci raz w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

- Znowu? Często miewasz te spotkania. - Yvonne

wyobraża sobie jego i matkę, jak siedzą w salonie na dwóch przeciwległych krańcach dużego stołu z klonowego drewna, jedzą powoli zupę i proszą się nawzajem o podanie soli.

- Cóż, no tak. - Hugh odchrząkuje. - A może jednak późny seans filmowy?

Yvonne usuwa resztki starej zaprawy.

- Jasne.

- Wyślę ci później wiadomość.

Zegnają się i Yvonne może znów skupić całą uwagę na pracy. W głębi duszy miała nadzieję, że Hugh zje z nią obiad, ale trudno, nic się nie stało. Będzie miała czas i pobiega w parku.

Kończy pracę, zamienia parę zdań z panem Gaulkinem i wsiada do swojej furgonetki. Nie może się już doczekać, kiedy włoży strój do biegania. Przebiegnie pięć kilometrów, kupi sałatkę w drodze powrotnej, weźmie prysznic i wyśle kilka faktur. Czas na randkę nadejdzie potem.

Na razie traktują się raczej jak dobrzy znajomi, nie licząc niezobowiązującego flirtu od czasu do czasu. Yvonne zauważyła pewną prawidłowość: Hugh nie lubi okazywać jej uczuć przy ludziach. Ich randki są ograniczone do wspólnego załatwiania sprawunków i chodzenia do kina na wieczorne seanse, najczęściej zaś spędzają po prostu czas w domu Yvonne. Nie żeby miała coś przeciwko temu, ale chciałyby zrobić się na bóstwo i wybrać do miasta. Pójść na randkę z prawdziwego zdarzenia do romantycznego lokalu z muzyką i świecami, z kelnerem, który dolewałby im wina.

Ponieważ spotykają się od niedawna, Yvonne uważa, że nie wypada jej jeszcze proponować Hugh wypadu za miasto lub krótkiej wycieczki. Bardzo chciałaby się jednak przekonać, czy pobyt z dala od domu w jakikolwiek sposób go zmienia. „Jest maminsynkiem” - zawyrokowała Isabel z nieskrywaną radością w głosie, gdy Yvonne podzieliła się z nią swoimi obawami. Yvonne stara się tak nie myśleć, ale z drugiej strony to rzeczywiście dziwne - dorosły mężczyzna, który mieszka z matką. Hugh zapewnia ją jednak, że tylko chwilowo, gdyż dopiero co przeprowadził się z powrotem z Denver do Avalon. Trzeba przyznać, że ma to w sobie coś wzruszającego - jest dobrym synem, który pragnie spędzać czas z rodziną. Przecież to nic złego.

Yvonne wzdycha i wyjeżdża na podjazd. Czuje, że miota się na oślepie, ale nie chce za dużo o tym myśleć, nie chce rozbierać wszystkiego na części pierwsze. Poza tym naprawdę dobrze się bawi - lepiej niż przez pierwsze dwadzieścia dwa lata swojego życia, które upłynęły jej pod znakiem obowiązków, nakazów i oczekiwań. Nigdy nie była niegrzeczną dziewczynką, nigdy się nie buntowała, w przeciwieństwie do swoich koleżanek, które nie mogły znieść presji wynikającej z sytuacji finansowej oraz pozycji społecznej ich rodzin, ale nie znaczyło to, że chciała, by mówiono jej, co powinna, a czego nie powinna robić lub z kim wolno się jej przyjaźnić, a z kim nie.

Sam Kenney. Samo nazwisko sytuowało go na przeciwległym biegunie, determinowało jego przyszłość na długo przedtem, zanim dorósł do pracy fizycznej.

Najlepszy przyjaciel Yvonne od trzeciej klasy podstawówki. Nie zapomnieli o sobie nawet wówczas, gdy wysłano ją do Connecticut, do szkoły średniej z internatem. Jej rodzice usiłowali zniszczyć ich przyjaźń, ale nie byli w stanie zabronić im regularnej korespondencji ani wieczornych rozmów telefonicznych. Nie wiedzieli też, że Yvonne w weekendy wymyka się z internatu, żeby spotkać się właśnie z Samem, który regularnie do niej przyjeżdżał.

A potem, gdy Yvonne była w ostatniej klasie, Sam, jak to było do przewidzenia, zaczął pracować na plantacji żurawiny u boku swojego ojca i braci. Gdy Yvonne przyjechała do domu jesienią, w przerwie międzysemestralnej, na początku okresu zbiorów, jej ojciec postawił sprawę jasno. Ponieważ pochodzi z rodziny Täte, która stanowi filar lokalnej społeczności i bardzo dba o swoją reputację, nie może już dłużej „zadawać się z tym chłopakiem od Kenney ów”. Yvonne nie zamierzała się do tego absurdalnego żądania zastosować. Jej matka, dotychczas milcząca i wycofana, chciała wiedzieć, czy „do czegoś między nimi doszło”. W odpowiedzi na to Yvonne - być może z czystej złośliwości - oświadczyła się Samowi, dosłownie i w przenośni. Nawet przed nim uklękła. Chłopak wybuchnął śmiechem, ale powiedział „tak”.

Yvonne skończyła college, odrzuciła ofertę prestiżowej pracy w redakcji nowojorskiego czasopisma, którą załatwiła jej matka, i wróciła do Wareham, do domu. Choć jej rodzice byli przekonani, że nie chce mieć już z nimi nic wspólnego, zaproponowali, że to oni

zorganizują ślub i wesele, czym bardzo jążaskoczyli. Nie chciała się jednak na to zgodzić, gdyż zależało jej na skromnej uroczystości.

- Nie - powiedziała oschle jej matka. - Pozwól, byśmy mogli się choć tym zająć.

Sam przekonał Yvonne, by przystała na propozycję rodziców. Uważał, że to drobiazg, ostatnie ustępstwo, i że przez całą resztę życia będą już naprawdę wolni.

Przez całą resztę życia.

To zabawne, jak zwykła przyjaźń może przerodzić się w prawdziwą miłość. Yvonne zawsze lubiła Sama - sprawiał, że czuła się przy nim naprawdę sobą. Wiedziała, że rezygnuje z dużych pieniędzy i wielu życiowych szans, i Sam nie ukrywał, że się o to martwi, ale była to niewielka cena w porównaniu z tym, co zyskiwała w zamian.

Wolność. Miłość. Szczęście.

Nadszedł dzień ich ślubu. Yvonne obudziła się o brzasku, zanim zadzwonił budzik. Leżała w łóżku, wpatrzona w bogato zdobioną białą suknię wiszącą na drzwiach szafy. Personel firmy obsługującej wesele zaczął już przygotowania do uroczystości.

Zanim jeszcze rozległo się pukanie do drzwi, wiedziała już, że stało się coś złego. Niewielka kwadratowa koperta - papeteria jej matki, ale pismo Sama. Krótkie czułe przeprosiny i pożegnanie. Kilka minut później do pokoju weszła matka. Yvonne wiedziała, że to wszystko jej sprawa.

- Gdzie Sam?! - krzyknęła.

- Wyjechał - oznajmiła matka. - Już nie wróci.

I bardzo dobrze, ponieważ chodziło mu wyłącznie o pieniądze, Yvonne. Twój ojciec zaoferował mu pokaźną sumę. Przyjął ją. I wyjechał.

Yvonne nie wierzyła. Nie mogła w to uwierzyć. Wskoczyła do samochodu i pojechała prosto do domu Sama, gdzie czekał na nią jego ojciec z filiżanką kawy w ręce. Wskutek wielu lat pracy pod gołym niebem miał zmęczoną, przedwcześnie postarzałą twarz. Nie musiał nic mówić. Yvonne od razu zrozumiała, że to prawda.

Sam wyjechał.

W drodze powrotnej do domu uświadomiła sobie, że jej życie zawsze będzie tak wyglądać. Bez względu na wszystko rodzice nie przestaną jej powtarzać, kim jest i co jej wolno. Chcieli ją upokorzyć, by stała się im bezwzględnie posłuszna. Ale oprócz wstydu wynikającego z ewentualnego mezaliansu chodziło im o coś jeszcze. Chcieli, żeby Yvonne cierpiała; żeby poznała cenę miłości i zrozumiała, że w ostatecznym rozrachunku wszystko i tak sprowadza się do pieniędzy.

Zaparkowała samochód na poboczu. Gdy zobaczyła nadjeżdżającą ciężarówkę hydraulika, uniosła kciuk. Kierowca nazywał się Harold Stroup. Miał sześćdziesiąt lat i powoli szykował się do przejścia na emeryturę. Pracował jako hydraulik od czterdziestu lat. Kiedy się uśmiechał, w kącikach jego oczu pojawiały się zmarszczki. Yvonne wsiadła do ciężarówki, wiedząc, że zaczyna nowy rozdział życia

i już nigdy nie wróci do tego, co za sobą zostawiła. Po drodze cały czas rozmawiali.

Yvonne wyjmuje z furgonetki skrzynkę z narzędziami i idzie w kierunku swojego domu. To wszystko wydarzyło się przed dziesięciu laty, całe wieki temu. Najtrudniejsze były pierwsze miesiące, gdy usiłowała stanąć na nogi. Przekonała się wtedy, jak ciężkie może być życie bez przywilejów i udogodnień, które jeszcze do niedawna traktowała jako coś naturalnego. Dała sobie jednak radę i nawet zdołała zaoszczędzić sporą sumę. Gdy mogła już pozwolić sobie na kupno własnego domu, zaczęła rozglądać się za małym miasteczkiem, gdzie wszystko kosztuje mniej niż w dużych miastach. Znalazła Avalon.

Powinna opowiedzieć to wszystko Hugh, a także Isabel, ale nie chce tak bardzo się otwierać. Wie, co się dzieje, gdy ludzie dowiadują się o jej przeszłości i o jej rodzinie. Mają wiele pytań i mimowolnie zaczynają traktować ją inaczej. Do tego wszystkiego dochodzi delikatna kwestia pieniędzy. Bywało, że z tego powodu kończyły się jej przyjaźnie i związki - jej byli partnerzy sugerowali, że powinna pogodzić się z rodziną, pytali, czy jest pewna, że została wydziedziczona. Gdy mówiła, że tak, zaczynali się wahać, po czym wkrótce kończyli znajomość. Nawet jeśli początkowo nic tego nie zapowiada, myśli sobie Yvonne, w końcu wszystko rozbija się o pieniądze.

Chce wsunąć klucz do zamka we frontowych drzwiach, gdy nagle zauważa, że są lekko uchylone. Dziwne. Popycha drzwi i powoli je otwiera.

Wszystko wygląda tak samo jak rano. Nic nie jest rozbite, niczego nie brakuje. Włamywacz nie byłby tak

delikatny, prawda? Poza tym na dworze wciąż jeszcze jest jasno. Kto włączyłaby się w biały dzień, w dodatku przez frontowe drzwi?

Yvonne waha się, czy wejść do środka. Jest odważna, ale nie bezmyślna, i czuje, że coś wyraźnie jest nie w porządku.

- Halo?!

Nikt się nie odzywa.

Czy powinna wezwać policję? Co by im powiedziała? Może po prostu rano nie zamknęła za sobą drzwi - spieszyła się do pracy, musiała dotrzeć na czas do lokalnej szkoły podstawowej, żeby naprawić zepsuty wodociąg. Cieszyła się, że po kilku gorszych tygodniach, gdy dostawała mniej zleceń, a klienci co chwila odwoływali spotkania, ktoś w końcu do niej zadzwonił. Możliwe, że nie zwróciła uwagi na drzwi.

To dość prawdopodobne wytłumaczenie, a znalazłoby się jeszcze kilka innych. Dlaczego więc nagle ogarnia ją strach?

*Lamar Henderson, lat 72,
emerytowany nauczyciel*

Lamar Henderson rozwiązuje sudoku zamieszczane co tydzień w „Avalon Gazette”. Wpisuje właśnie czwórkę pod jedyneką, gdy nagle słyszy krzyk dobiegający z podjazdu.

- Na pomoc! Lamar, chodź szybko!

To jego żona, Alice. W wołaniu brzmi ponaglający ton - a właściwie nie tyle ponaglający, ile rozpaczliwy - który sprawia, że Lamar odrzuca gazetę i biegnie do drzwi, omal nie potykając się o kota o wdzięcznym imieniu Skarb.

Gdy mocuje się z zamkiem, Alice znów woła o pomoc. W końcu Lamar otwiera z rozmachem drzwi. Boi się, że zaraz zobaczy żonę leżącą na ziemi ze skręconą nogą lub z grymasem bólu przyciskającą dłoń do serca.

- Dzięki Bogu! - wyrzuca z siebie na jego widok zdyszana Alice, uginając się pod ciężarem kilku dużych papierowych toreb, z których niemal wysypują się

zakupy. Lamar rzuca się jej na pomoc, ale w tej samej chwili ręce odmawiają Alice posłuszeństwa.

Z jednej torby wypadają szpulki ze wstążkami i przez dłuższą chwilę toczą się po ziemi. Jasny pomarańcz, słoneczna żółć, róż w białe kropki, niebieski z delikatnymi zmarszczkami, wytworne purpurowe prążki. Lamar wpatruje się w nie i przypomina sobie cukierki w kolorowe paski, swój ulubiony przysmak z czasów dzieciństwa, sprzed tak wielu lat.

- Alice, wróciłaś z Rockford cała i zdrowa?! - woła Tubby Jenkins z posesji po drugiej stronie ulicy.

- Tak! Ale nie mogłam znaleźć kaboszonów w kształcie serca, podobnych do tych, jakie ma Mary Winder. Kupiłam za to kaboszony literki. Są przepiękne. Dla ciebie też wzięłam zestaw. Są pokryte żywicą epoksydową.

- Wielkie dzięki! - wykrzykuje Tubby. - Właśnie kończę piec ciasto. Za godzinę wpadnę do was z poczęstunkiem i wtedy pokażesz mi, co kupiłaś.

Alice macha do niej ręką, podnosi z ziemi szpulki i idzie w kierunku drzwi.

- Jeśli zaraz nie wejdziemy do środka, usmażymy się w tym upale - oświadcza mężowi. - Nie zapomnij o zakupach!

Wniesienie wszystkich toreb do domu zajmuje Lamarowi niemal dziesięć minut. W tym czasie Alice przebiera się w podomkę i wchodzi do kuchni. Myje ręce nad zlewem, nie kryjąc entuzjazmu.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy obejrzę moje zakupy!

Lamar patrzy na nią z niedowierzaniem.

- Nie wiesz, co kupiłaś? - pyta. Zagląda do jednej z toreb, gdyż zaczyna burczeć mu w brzuchu. - Jest tu coś do jedzenia?

- Do jedzenia? Nie bądź śmieszny. Wiem, co kupiłam. Artykuły do scrapbookingu. Chcę się nimi jeszcze raz nacieszyć. Zamierzam zmienić gościnny pokój w raj dla artysty! - mówi rozpromieniona Alice, pochylając się nad jedną z toreb.

Lamar marszczy brwi.

- A gdzie podzieją się dzieci, kiedy przyjadą do nas z wizytą? - Mają dwoje dorosłych dzieci, które założyły już własne rodziny, i sześcioro wnuków.

- Och, coś wymyślimy. Poza tym przyjeżdżają tylko raz w roku, na dwa tygodnie. Nie ma sensu, żeby pokój stał pusty. Poza tym w drugim pokoju masz swój gabinet, a przy domu warsztat. Dlaczego ja nie mogę mieć własnego kącika?

Na widok zakupów, które Alice zaczyna wyciągać z toreb, Lamar wpada w lekką panikę. Są tam okazałe pliki wzorzystego papieru, puste pudełka, duże albumy o grubych, miękkich okładkach, nożyczki z kolorowymi uchwyty, liczne słoiki z małymi metalowymi elementami. Alice kupiła nawet jakieś dziwne urządzenie, które wygląda jak połączenie drukarki i tosterka.

- Czy to nie sprytne? - mówi, zapinając i rozpinając nylonowy pokrowiec, w który opakowana jest ta osobliwa maszyna. - Nie mogę się już doczekać, kiedy pokażę ją dziewczętom na następnym spotkaniu!

- Czy Tubby nie ma przypadkiem czegoś podobnego? Alice zbywa te słowa machnięciem ręki.

- Lamar, nie mogę cały czas pożyczać maszynki do wycinania ozdób od kogoś innego. Ostrze szybciej się tępi, to po prostu nie fair. Poza tym od dziś zamierzam poświęcać mojemu hobby jak najwięcej czasu, więc potrzebuję właściwych narzędzi. Tak jakbyś ty nie miał w swoim warsztacie każdego możliwego młotka, klucza albo wkrętarki elektrycznej.

- To co innego - protestuje Lamar. - To są rzeczy praktyczne. Niezbędne.

Alice przestaje oglądać zakupy i bierze się pod boki.

- Niezbędne do czego? Żebyś mógł zrobić kilka podnóżków albo karmnik dla ptaków? Bo nie sądzę, byś w najbliższym czasie zamierzał wymienić dach. Twoje hobby jest tak samo niepraktyczne jak moje, nie próbuj zaprzeczać.

Racja, nie da się ukryć. Lamar przygląda się, jak Alice wyciąga z torby długi pasek papieru, i uświadamia sobie ze zgrozą, że to paragon ze sklepu.

- Zbankrutujemy!

Alice klepie go po ramieniu.

- Przestań. Prawie wszystko to specjalna okazja albo towar z wyprzedaży. Przez kilka następnych miesięcy będę musiała być bardziej kreatywna w kwestii wydatków na jedzenie. Będzie dobrze. - Wyciąga z torby pudełko z czymś, co przypomina suszarkę do włosów.

- Och, a to kupiłam dla ciebie.

- Dla mnie? - Lamar patrzy na prezent, zaintrygowany. - Wytłaczarka termiczna - czyta głośno napis

na pudełku. Nie wie, co to jest, ale odnosi wrażenie, że pasowałoby do jego warsztatu. Alice kiwa głową.

- Masz dać mi to w prezencie z okazji naszej rocznicy ślubu. Koniec ze stołowaniem się w restauracjach! Będę pichcić coś smacznego w domu. Koniec z podjadaniem czekoladek. Tubby i ja pod koniec września zaczynamy się odchudzać. - Wręcza mężowi kilka słoiczków z błyszczącym proszkiem. - To dodatek do wytłaczarki. Możesz zapakować to wszystko razem i wręczyć mi za miesiąc.

- Ale to nie będzie niespodzianka - protestuje Lamar, marszcząc brwi. Nie wie jeszcze, co kupiłby żonie, lecz w końcu zacząłby się nad tym zastanawiać.

- Będę udawać, że jest - mówi Alice. - Przecież już tak bywało. I będę naprawdę bardzo szczęśliwa, kiedy mi to wręczysz. Kocham cię, Lamar, ale nie potrzebuję kolejnego flakonika perfum, których nigdy nie użyję.

Lamar potrząsa słoiczkiem. Brokat? Cóż, jest mężczyzną i nie zna się na takich wynalazkach. Poza tym Alice ma rację, od lat nie kupił jej trafionego prezentu. Przynajmniej oszczędziła mu wyprawy do sklepu.

- No dobrze - zgadza się niechętnie, nie wiedząc, co właściwie powiedzieć. Zagląda do następnej torby i wydaje głośny okrzyk. - Ile masz tutaj tych wstążek?

- Nigdy za wiele wstążek - informuje go Alice. Zdążyła już o nich zapomnieć i teraz wzdycha głęboko, zachwycona tym niespodziewanym odkryciem. Nie ulega wątpliwości, że jest bardzo szczęśliwa.

Lamar sięga po szpulkę czerwonej zygzakowatej tasiemki i waży ją w dłoni. Przypomina sobie, że kilka lat temu na jednym z kanałów poświęconych telezakupom zobaczył kobietę, która opowiadała o pakowaniu prezentów. Wśród całego mnóstwa prezentowanych przez nią akcesoriów dostrzegł drewniane kołki, na których wisiały wstążki do wiązania pakunków. Było to coś w rodzaju drogiego stojaka, który kosztował ponad sto dolarów. Lamar wykpił ten pomysł, mówiąc, że zrobiłby taki sam stojak w pół godziny, i to za mniej niż dziesięć dolarów. Pamięta, że żona roześmiała się wtedy z niedowierzaniem.

Alice podchodzi do lodówki, nucąc ich ulubioną piosenkę. Lamar przysłuchuje się temu z uśmiechem. *Trzy monety w fontannie, każda w poszukiwaniu szczęścia*. Sinatra. Najlepsza piosenka wszech czasów.

- Zobaczmy, co tu mamy - mówi Alice, robiąc przegląd zawartości lodówki. - Mogę zrobić ci kanapkę z indykiem i sałatkę ziemniaczaną. Och, świetnie, mamy jeszcze trochę mrożonej herbaty z owoców passiflory. Należę ci szklaneczkę. - Wykłada produkty na stół i nagle odpływa gdzieś myślami. Stoi nieruchomo, wpatrzona w sufit. - Wiesz, jakie będzie pierwsze dzieło, które powstanie w moim nowym gabinecie? Zamierzam zrobić album poświęcony pożegnalnemu przyjęciu, które wydaliśmy, gdy odchodziłeś na emeryturę. Wykorzystam w nim pamiątkowe fotografie. Teraz leżą zamknięte w pudełku. I te urocze kartki, jakie dostałeś! Wszyscy pisali o tobie z taką serdecznością, pamiętasz? One również znajdą się w albumie.

Pożegnalne przyjęcie. Lamar już dawno o nim zapomniał. Teraz, gdy Alice poruszyła ten temat, przypomina sobie o kartkach. Jedna była od Jake'a Spencera, młodego nauczyciela, którego Lamar wcześniej wziął pod swoje skrzydła. Jake napisał długi, serdeczny list, w którym dziękował Lamarowi za inspirację, za to, że starszy kolega pomógł mu stać się lepszym nauczycielem. Inni nauczyciele i uczniowie również nie szczędzili mu podziękowań i słów uznania. Lektura tych kartek okolicznościowych stanowiła potwierdzenie, że jego długoletnia praca miała sens.

- Być może - dodaje w zamyśleniu Alice, smarując kromkę chleba majonezem - będę musiała umieścić kartki w przezroczystych kieszonkach. To zależy, czy papier jest bezkwasowy, czy nie. Trzeba o to zapytać Bettie. - Milknie, chcąc utrwalić to sobie w pamięci, po czym z zadowoleniem kiwa głową.

Lamar nie ma pojęcia, o czym żona mówi, ale szczypliwie ją pieszczotliwie w policzek, ona zaś uśmiecha się do niego. Po raz pierwszy od wielu lat starszy pan wie już, co podaruje Alice w prezencie z okazji rocznicy ich ślubu. Wręczy jej tę wytlaczarkę termiczną i słoiczki z brokatem, czy jak to się nazywa, ale oprócz tego zrobi jej prawdziwą niespodziankę. Zbuduje specjalny stojak, na którym będzie mogła trzymać swoje wstążki jak tamta kobieta w telewizji. Sądząc po ilości szpulek, które wypadły z ostatniej torby, w wieszaku trzeba będzie zamontować trzy lub nawet cztery drążki. A może najlepiej od razu pięć. Lamar przymocuje swoje dzieło do ściany, żeby Alice mogła łatwo do niego

sięgać. Może dorobi do niego jeszcze kilka półek na te wszystkie papiery.

- Twoja kanapka jest gotowa!

Lamar uśmiecha się szeroko. Gdy do drzwi zapuka Tubby, on wymknie się do swojego warsztatu i zacznie sporządzać plan działania.

Rozdział 11

Frances wsuwa fotografię Brady'ego do wycinarki i naciska mocno uchwyt. Rozlega się chrzęst. Z okienka wyskakuje idealny kwadrat i ląduje na dłoni Frances, która dokłada zdjęcie do powiększającego się pliku podobnie przyciętych fotografii. Sięga po zdjęcie Noaha i wsuwa do wycinarki.

Robi album dla każdego ze swoich synów. Będzie nosił tytuł *Ulubione*. Ulubione jedzenie, ulubione zabawki, ulubione miejsca, ulubione powiedzonka, ulubione ubrania. Strony albumów Noaha i Brady'ego będą laminowane, to przedłuży ich żywot. Niech albumy służą chłopcom przez całe lata, kiedyś pokażą je swoim dzieciom.

Ma już pomysły na kilka kolejnych albumów: wspólne wakacje, przyjęcia urodzinowe, a na sam początek - Boże Narodzenie. Mają, rzecz jasna, parę rodzinnych albumów, które Frances w wolnych chwilach uzupełnia o kolejne zdjęcia. Nowe albumy będą

całkiem inne. Każda fotografia musi być opatrzona komentarzem, stosownym wyjaśnieniem, zabawną historyjką. Na każdej stronie, obok wyczerpującego opisu danego wydarzenia, znajdują się bilety, kartki urodzinowe, karty pokładowe na samolot i tak dalej. Dzięki temu każdy będzie mógł bez trudu zaznajomić się z tematem albumowej opowieści.

Frances połknęła haczyk, otwarcie to przyznaje. Dzień po spotkaniu Klubu Miłośniczek Albumów udała się do biblioteki i przejrzała wszystkie książki na temat scrapbookingu, jakie udało jej się znaleźć. Przystudiowała je uważnie, sporządziła listę niezbędnych materiałów i wybrała się na zakupy. Zaprenumerowała również kilka czasopism poświęconych tej tematyce, a także weszła na eBay, chcąc nabyć ozdoby i akcesoria, których inni pragnęli się pozbyć. Szczególnie przypadły jej do gustu pudełka pełne papieru, ozdób, naklejek, kalkomanii, wycinarek do zdjęć i nożyczek. Przeglądając oferty, świetnie się bawiła. Niektórzy wkładali do pudełek więcej, niż podawali w opisie - widocznie w ostatniej chwili zdecydowali wystawić na sprzedaż całość swoich scrapbookingowych zasobów. Dzięki temu w każdym zestawie czekała na nią jakaś niespodzianka, na przykład miniaturowe żelazko lub komplet żelowych długopisów. Jest tego trochę za dużo, ale Frances zakłada, że uda się jej namówić synów na wspólną pracę nad kolejnymi albumami.

Zdaje sobie sprawę, że jest to dla niej coś więcej niż tylko zabawa, potrzebuje konkretnego zajęcia, musi szukać sposobów na zabicie czasu, chce zająć czymś

myśli, by to, co się stało (a raczej co się nie stało), nie zniszczyło jej psychicznie. Wie, że ozdabianie albumów nie zastąpi jej Mei Ling, ale dzięki temu zajęciu może uświadomić sobie, jak wiele posiada i za jak wiele powinna być wdzięczna losowi. A to jest przecież coś warte, prawda?

Reed przechodzi obok stołu kuchennego i otwiera lodówkę. Marszczy przy tym brwi. Widać, że coś go trapi, ale wyraźnie nie chce o tym mówić.

- Wiesz co? - mówi Frances. - Już nigdy nie będziemy musieli kupować pocztówek z życzeniami. Zacznę robić wszystko sama. Kartki urodzinowe, wakacyjne, kartki z kondolencjami. Wszystko!

- Świetnie - mówi Reed z roztargnieniem. Bezskutecznie szuka czegoś w lodówce, aż w końcu zamyka ją i kieruje się do spiżarni. Otwiera drzwi i włącza światło. Frances słyszy szuranie przesuwanych pudełek z płatkami śniadaniowymi, a także szelest paczek z chipsami i preclami. Po chwili światło gaśnie. Reed stoi w drzwiach spiżarni z pustymi rękoma. Na jego twarzy maluje się irytacja.

To niedobry znak. Reed podjada między posiłkami wyłącznie w sytuacjach stresowych, gdy jest już bardzo źle. Ostatni raz widziała go w takim stanie kilka lat temu, gdy zmarł jej ojciec. Byli sobie bardzo bliscy, wręcz za sobą przepadali. Modelowa relacja teść-zięć. Reed nie mógł tego przeżyć. Przytył wówczas prawie siedem kilogramów.

- Szukasz czegoś konkretnego? - pyta. Przegląda zapas kolorowych kartek i wybiera jedną dla każdej

fotografii. Są to zwykłe tekturki z kolorowym obramowaniem i liniami do wpisywania jednego lub dwóch zdań, tak ładne, że aż szkoda ich użyć.

- Nie - mówi Reed. - Mam ochotę na małą przekąskę. Frances zerka na zegar. Właśnie minęła dziewiąta.

Chłopcy są już w łóżkach. Reed zawsze je ostatni posiłek o siódmej.

- Mamy jogurt - proponuje.

- Nie chcę jogurtu - prychna Reed.

- Okay - mówi Frances, lekko dotknięta. Ponieważ Reed nie odpowiada, nie jest pewna, co

robić. Pochyliła głowę i udaje, że jest zajęta dopasowywaniem zdjęć do stron albumu. Marszczy nos, czując, że do oczu napływają jej łzy. Reed burzy sobie dłońią włosy.

- Przepraszam - mówi w końcu. Sięga po krzesło i siada obok żony. Wyciąga rękę, ale Frances wzdraga się przed jego dotykiem. - Przepraszam, Fran.

- W porządku. - Frances przekłada zdjęcia z miejsca na miejsce, nawet nie patrząc na nie.

Reed patrzy w sufit.

- Musimy pozbyć się rzeczy Mei Ling. Cały czas leżą w moim gabinecie, nie mogę swobodnie zrobić kroku. To samo dotyczy garażu. Poczuję się lepiej, gdybyśmy je wszystkie sprzątnęli.

Frances przygryza usta. Też o tym myślała, ale nie jest w stanie się z nimi rozstać. Minęły dopiero trzy tygodnie od chwili, gdy poinformowali agencję o rezygnacji z adopcji Mei Ling, i Frances potrzebuje czasu, żeby oswoić się z tą sytuacją. Poza tym nie wie, co

zrobić z tymi wszystkimi rzeczami. Wystawienie ich na sprzedaż bądź rozdanie przypadkowym ludziom wydaje jej się niestosowne.

- Chciałabym jej to wysłać.

- Wiesz, że to niemożliwe - mówi Reed. - Jeżeli chcesz, zajmę się tym. Trzeba to wszystko stąd usunąć. Za dużo wspomnień... - Milknie i potrząsa głową.

- Wiem. - Frances w końcu przestaje udawać, że pracuje, i spogląda na męża. Wie, że Reed ma rację. Muszą zacząć normalnie żyć. - W weekend zacznę je przeglądać. Chyba mogłabym... sprzedać kilka rzeczy, a resztę rozdać potrzebującym. Dobrze by było podarować je jakimś dzieciom. Może w szpitalu albo...

Reed patrzy na plik zdjęć i sięga po jedno. Jest na nim Nick w wieku dwóch lat; kurczowo trzyma wypłowiałego, jednookiego pluszowego psa. Wszędzie go ze sobą zabierał.

- Boże, całkiem o tym zapomniałem. Jak on się nazywał?

Oboje milkną, starając się przypomnieć sobie imię maskotki, po czym mówią równocześnie:

- Struffy.

Uśmiechają się. Reed wybiera kolejną fotografię. Tym razem jest na niej dwuletni Brady grający na malutkim pianinie, które wydawało wysokie metaliczne dźwięki. Frances kupiła je za dolara w sklepie z rzeczami używanymi. Pewnego dnia Noah „przypadkowo” usiadł na nim, całkiem je niszcząc.

- Nie wierzę, że to mówię, ale właściwie tęsknię za tym pianinem.

Ilekcio Brady zabierał się do grania, Reed rzucał mu bolesne spojrzenia, całkiem w stylu Frances. Teraz jednak unosi kąciki ust w lekkim uśmiechu.

Frances opiera łokcie na stole i podpira brodę splecionymi dłońmi. Wskazuje zdjęcie, na którym Noah, całkiem nagi, tylko w kowbojskim kapeluszu na głowie, uczy się siadać na nocniku.

- Uwielbiał ten kapelusz. Ma go na sobie tylko na tym jednym zdjęciu, co jest dość dziwne, bo przecież zawsze go nosił.

Reed wybucha śmiechem. Ten śmiech wydaje się przenikać przez szczelną zasłonę, która niespodziewanie ich rozdzieliła. Frances rozluźnia ramiona i uświadamia sobie, że przez cały czas ich rozmowy oddychała bardzo płytko. Robi głęboki wydech.

- Chcę je zachować na pokaz slajdów na jego weselu

- mówi Reed, przeglądając pozostałe fotografie. - Masz tutaj dużo świetnych zdjęć, Fran. - Podnosi którąś.

- To jedno z moich ulubionych. Nick na pokazie fajerwerków z okazji Dnia Niepodległości, kiedy byliśmy w odwiedzinach u moich rodziców. Miał wtedy może trzy lata.

- Tak. I do końca tygodnia zasłaniał sobie dłońmi uszy - dopowiada Frances. - Bał się, że w każdej chwili fajerwerki znów wystrzelą. Musieliśmy go karmić, bo nie chciał trzymać widelca - nie mógł przecież opuścić rąk.

Oboje chichoczą. Frances myśli o tym, co na ostatnim spotkaniu powiedziała Bettie - że scrapbooking jest formą terapii, i to nie tylko dla twórców albumów, ale również dla ludzi, którzy je oglądają.

- Chciałbym... - zaczyna Reed, lecz zaraz milknie i potrząsa głową. Głos więźnie mu w gardle.

- Co, Reed? - pyta Frances, ale mąż bez słowa przegląda zdjęcia. Jego wykrzywiona bólem twarz wygląda jak maska.

Frances patrzy niepewnie na fotografię. Wszystkie przedstawiają szczęśliwych, roześmianych ludzi i nie są związane z żadnym przykrym wydarzeniem. Może Reed wzruszył się na widok swojego ojca, okazu zdrowia, stojącego z wędką w ręce obok starszych chłopców, również trzymających wędki. Z jakiegoś jednak powodu Frances przypuszcza, że chodzi mu o coś innego.

- Chcesz o tym porozmawiać? - pyta. Reed potrząsa głową.

- Nie. - Stuka palcem w następną fotografię. - To była świetna wycieczka, nasze pierwsze rodzinne wakacje po narodzinach Brady'ego. Yosemite. - Na jego twarzy znów pojawia się uśmiech. Frances czuje ulgę.

- Byliśmy bardzo ambitni - wspomina. - Pamiętasz, jak długo jechaliśmy samochodem? - Całą drogę musieli wysłuchiwać płaczów, krzyków i narzekań. Przysięgli sobie, że nigdy więcej nie popełnią takiego błędu, ale po powrocie do domu niemal natychmiast zaczęli planować kolejne wspólne wakacje.

Może tego właśnie potrzebują.

- Hej - mówi nagle Frances. - Co sądzisz o wyjeździe? Nie byliśmy nigdzie od paru lat, ponieważ... no cóż, mogłaby to być krótka ucieczka od codzienności. Co ty na to?

Reed robi przerażoną minę.

- Nie - odpowiada ku wielkiemu zdziwieniu żony. - To znaczy nie teraz. Ostatnio przeżywaliśmy bardzo trudne chwile. Chcę, żeby wszystko się uspokoiło.

- Rozumiem. - Na wspomnienie ostatnich miesięcy, najlepszych i zarazem najgorszych w jej życiu, Frances czuje ucisk w sercu. Zdobywa się na wymuszony uśmiech. - Cóż, sądzę, że najpierw musimy znaleźć nowy dom dla rzeczy Mei Ling. Poczujemy się lepiej, bo zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Wiesz, że gdyby istniało inne wyjście, wzięlibyśmy je pod uwagę. Ale nie było, prawda?

Następuje długa chwila milczenia. Reed patrzy na żonę i Frances w końcu widzi jego determinację, spokój, stanowczość. Mąż ściska mocno jej rękę.

- Prawda.

Ava siedzi w samochodzie, bezskutecznie usiłując nastroić radio. Jest w pobliżu przedszkola, kilka metrów od wyznaczonego miejsca do parkowania. Za chwilę przedszkolanka podprowadzi Maxa do samochodu i zapnie mu pasy. To nowe zasady, jak jej oznajmiono. Dyrekcja nie chciała, żeby rodzice przyjeżdżający po swoje pociechy blokowali wyjście. Poproszono ich więc, by podjeżdżali jeden za drugim w umówione miejsce i czekali na przedszkolankę.

Dżip zaczyna się trząść. Ava ma nadzieję, że nie jest to przegrzany silnik. Samochód wymaga generalnego remontu, czyszczenia układu chłodniczego, instalacji nowych klocków hamulcowych. Bieżnik w oponach

robi się coraz cieńszy. Mechanik stwierdził, że trzeba to zrobić w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Na domiar złego zbliża się zima. Im szybciej Ava o to zadba, tym lepiej - ale jak się do tego wziąć?

Po ostatnim spotkaniu Klubu Miłośniczek Albumów Bettie złożyła u niej duże zamówienie na proste ozdoby z kapsli, które zakochane w nowinkach panie będą mogły dodawać do swoich kompozycji. Ponieważ Ava rozumie już, czym jest scrapbooking, wie dokładnie, co może zrobić. Motywy dziewczęce i chłopięce, wakacyjne, urodzinowe. Spłaszczy kapsle, żeby nie odstawały od stron albumu. Rozważa również wykonanie zestawu z sześcioma lub siedmioma kapslowymi zakładkami. Przygotuje wszystkie potrzebne materiały, żeby każdy mógł umieścić wybrany przez siebie obrazek w środku kapsla.

Margot ze sklepu Gifts 'N More złożyła u niej ponowne zamówienie, a sklep z prezentami w Rockford poprosił o próbki biżuterii. Nazwała swoją kolekcję Trzy Serca. Nazwa brzmi tak, jakby jej kapsle były dziełem prawdziwego projektanta. Choć łatwiej jej teraz wiązać koniec z końcem, jest to wciąż za mało, szczególnie iż musi zainwestować w większą ilość materiałów, dzięki którym zrealizuje wszystkie zamówienia.

Wie, że nie sposób bez przerwy tak oszczędzać. Nie może znaleźć dobrej pracy na pełen etat, przy której miałaby również czas na opiekę nad Maxem, a dorywcze zajęcia są kiepsko płatne. Ma poczucie, że próbując robić coś nowego, po prostu się marnuje

- przecież ma już pożądaną na rynku umiejętność, jest wykwalifikowaną pomocą dentystyczną. To dość łatwa praca i Ava była w niej dobra. Bill zamierzał otworzyć własny gabinet i wtedy pracowaliby razem. Pobraliby się i prowadzili rodzinny biznes. Kiedy Bill zginął, jej marzenie się rozwiało. Jak wiele innych.

Przez ostatnie cztery lata próbowała ułożyć wszystko na nowo, zacząć życie od zera. Gdyby chodziło tylko o nią, mogłaby tego zapewne dokonać, ale jest jeszcze Max, który zasługuje na więcej, niż może ona mu dać. Ava zdaje sobie z tego sprawę i wie, co trzeba zrobić. Musi spotkać się z doktorem Strombauerem i poprosić go o referencje.

Ostatni raz widziała go w ów pamiętny poniedziałek. Pakowała swoje rzeczy, gdyż Bill właśnie poinformował Isabel o swoim odejściu. Był to jej ostatni dzień w pracy. Choć doktor Strombauer wiedział o niej i o Billu, przyparł ją do ściany w kącie pokoju dla pracowników. Stał tak blisko, że Ava czuła jego oddech na swojej szyi, czuła alkohol, drink wypity podczas lunchu.

- Dobrze ci się układa, co? - Doktor Strombauer uśmiechnął się do niej uprzejmie, ale wyczuła w jego słowach zdenerwowanie.

Głos uwiązał jej w gardle ze strachu. Nie chciała się odzywać, żeby doktor Strombauer nie zobaczył, jak bardzo się go boi. Zmusiła się jednak do tego, by stać spokojnie i patrzeć mu w oczy. Było to trudne, górował nad nią. W końcu pierwsza odwróciła wzrok.

Doktor Strombauer powiodł palcem w dół jej odsłoniętego ramienia. Zadrżała.

- Bill przyjdzie do ciebie później? To musi być miłe. Jakie masz plany? Dasz mu obiad? Czy coś innego? Ja też jestem głodny. - Rzucił jej pożądlive spojrzenie.

Ava była szczęśliwa, że może zasłonić się pudłem, do którego właśnie chowała swoje rzeczy. Nic nie mówiąc, zacisnęła mocno dłonie na jego brzegach. Recepcjonistka miała wolny dzień, a Bill udał się do prawnika. W gabinecie nie było nikogo. Przez cały dzień mieli pacjentów i doktor Strombauer wypowiedział do niej zaledwie kilka zdawkowych słów. Aż do tej chwili.

- Oczywiście planowaliście to już od jakiegoś czasu. Coś kombinowaliście. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Nie wiedziałem, że Bill taki jest. Dało mi to do myślenia. Może mnie też zamierza oszukać? - Doktor Strombauer przysunął się do niej z groźną miną. Nieoczekiwanym ruchem wytrącił jej pudło z rąk, zawartość rozsypała się po całej podłodze.

A potem przycisnął Avę do ściany, chwycił ją za nadgarstki, zamierzał ją pocałować, ale wiedziała, że na tym nie poprzestanie. Przemknęły jej przez myśl wszystkie najgorsze scenariusze. Była przerażona, chciała krzyczeć, lecz kto by ją usłyszał?

I wtedy pomyślała o dziecku.

To wystarczyło. Znalazła w sobie siłę i gniew.

Ugryzła go. Krzyknął głośno, zatoczył się, złapał za nos. Ava była zbyt zajęta rozglądaniem się za torebką, żeby zdawać sobie sprawę, co zrobiła. Przy wtórze wyjącego alarmu pchnęła drzwi wyjścia ewakuacyjnego i pobiegła do samochodu. Ręce trzęsły się jej tak, że ledwie zdołała trafić kluczykiem do stacyjki.

Nie powiedziała o niczym Billowi. Miała nawet taki zamiar, ale nie była pewna jego reakcji. Może dążyłby do konfrontacji z doktorem Strombauerem, może nawet uderzyłby go, niweczając szansę na własny biznes. Wspomniała mu tylko, że się pokłócili i że zostawiła swoje pudło w biurze. Bill przyniósł je do domu następnego dnia. Ava zauważyła, że niektóre rzeczy były uszkodzone, a część zniknęła, ale nie miało już to dla niej znaczenia. Była zadowolona, że nie musi tam wracać. Czuła ulgę, że już nigdy nie zobaczy swojego prześladowcy.

Teraz wszystko się zmieniło. Bill nie żyje. Ona ma Maxa. Randall Strombauer posiada udziały Billa. Nie jest jej nic winien, tylko referencje.

Przeciągły dźwięk klaksonu wrywa ją z zadumy. Jakiś rozzłoszczony rodzic stoi tuż za nią. Ava macha mu ręką, przejeżdża dwa metry, po czym z westchnieniem zatrzymuje samochód. Widzi Maxa, który stoi przy drzwiach z pudełkiem na lunch w dłoni, czekając na swoją kolej. Ava próbuje się uśmiechnąć, ale nagle robi się jej ciężko na sercu. Może jest to wspomnienie tamtego przykrego zdarzenia, a może smuci ją obecna sytuacja, to, że wraz z synem muszą cierpliwie czekać, aż ktoś pozwoli im być razem.

Connie siedzi na beli siana, obserwując Serenę drzemiącą w cieniu swojej budy. Notuje coś w dzienniku, po czym układa ogłoszenie, które obiecała Madeline.

Znaleziono kozę. Przyjazna, wesola. Mistrzynie ucieczek. Proszę pytać w Herbaciarni Madeline.

Ozdabia kartkę kilkoma kolorowymi kwiatkami i rysuje filizanki otoczone różanymi płatkami, a także głowę Sereny wyglądającej zza krzaka hortensji w ogrodzie państwa Lassiterów. Później dopracuje to jeszcze komputerowo i dołączy aktualne zdjęcie swojej podopiecznej. Przynajmniej może teraz powiedzieć Madeline, że nad tym pracuje. Dzięki temu zyska kilka dni.

Jej nowy album leży w pokoju na biurku, wciąż bez zdjęć. Connie nie wie, w którym miejscu zacząć, nie ma pojęcia, co do niego wkleić. Niedawno wyjęła z walizki kilka fotografii i zaczęła układać je na jednej ze stron, ale przestraszyła się, że będzie musiała przykleić je na stałe. Znowu nie ma pewności, co chciałaby uczynić tematem przewodnim swojego albumu. Czy jej przeszłość jest ważniejsza od przyszłości?

Przypominają się jej rodzice. Connie zdaje sobie sprawę, że coraz mniej pamięta, że nie może przypomnieć sobie obrazu matki z taką łatwością jak kiedyś. Część jej wspomnień zniknęła już na zawsze - może dlatego, że nie ma żadnego albumu z dzieciństwa.

Co pamięta? Porywczność matki, jej spontaniczne, szalone pomysły, którymi zarażała otoczenie, to, że potrafiła przekonać córkę oraz męża do wszystkiego, co tylko przyszło jej do głowy. „Wyjazd za miasto!” - proponowała na przykład, mimo iż ojciec Connie musiał następnego dnia iść do pracy. Innym znowu razem ścigali przez trzy przecznice furgonetkę z lodami, żeby kupić ogromną porcję lodów wiśniowych do wspólnej degustacji.

Po śmierci męża Mary Beth Colls zamknęła się w sobie. Gdy jednak wraz z Connie wychodziły z domu, przybierała pogodny wyraz twarzy. Miało to niemalże magiczne działanie - zawsze doskonale się bawiły i Connie miała nadzieję, że matka mimo wszystko wydobreje. Gdy tylko przekraczały próg domu, sytuacja powracała jednak do poprzedniego stanu. Z Mary Beth uchodziło powietrze, pochmurniała i pogrążała się w milczeniu. Dziewczynka widziała, jak co wieczór zażywa tabletki na sen.

- Och, Connie - wyszeptała Mary Beth pewnego dnia, gdy siedziały razem na kanapie, oglądając telewizję. - Jesteś bardzo podobna do ojca. Oboje jesteście tacy silni, odważni. - W jej głosie brzmiał niepokój.

- Ty też, mamó. - Connie miała wtedy trzynaście lat.

Mary Beth potrząsnęła głową i przyciągnęła córkę do siebie. Jej wargi musnęły czubek głowy córki.

- Nie, Constance, ja nie. - Odepchnęła lekko Connie i kazała jej iść spać.

Gdy Connie szykowała się rano do szkoły, matka jeszcze spała. Dziewczynka wyszła z domu na palcach. Wcześniej wstawiła jeszcze talerz z tostem i jajecznicą do piekarnika, żeby Mary Beth miała ciepłe śniadanie.

Ale mama już się nie obudziła.

Connie czuje, że Serena trąca ją głową. Zbliży twarz do pyska kozy, która patrzy na nią figlarnie.

- Kochasz mnie, prawda, Sereno? - pyta.

Koza meczy radośnie, po czym popycha ją w kierunku bramy. Connie chciała wkleić do albumu zdjęcia

Sereny, ale teraz, gdy ma za zadanie odnaleźć jej właściciela, uważa, że nie jest to dobry pomysł. Album poświęcony pożegnaniu i utracie. I jak nie ma jej być smutno?

Jeszcze jedno szturchnięcie. Connie pochyla się i wtula twarz w szyję Sereny.

- Zostań ze mną - szepcze. - Dobrze?

Serena przytula się do niej. Connie bierze to za dobry znak. Z sercem pełnym otuchy odkłada na bok dziennik i chwytą prowizoryczną smycz.

- Dobrze, chodźmy na spacer.

*Adele Christensen, lat 75,
strażniczka ogniska domowego*

Powie ci każdy imigrant, że wspomnienia są ważniejsze od przedmiotów. Gdy Adele Christensen i jej mąż przybyli do Ameryki, musieli zapomnieć o wielu rzeczach. A wszystko to przez marzenia o nowym, lepszym życiu.

Kiedy w 1965 roku wyjeżdżali z Danii, mieli ze sobą dwie walizki i zaledwie pięćset dolarów w kieszeni. Adele spodziewała się nie jednego dziecka, lecz dwojga, chłopczyka i dziewczynki, które niebawem przysły na świat w Filadelfii.

Mąż Adele pracował na dwóch posadach i uczęszczał do wieczorowej szkoły, a ona zajmowała się wychowywaniem dzieci. Było im ciężko, ale wyszli na swoje. Po sześciu latach jej mąż ukończył uniwersytet. Adele podziwiała jego poświęcenie - każdego ranka wstawał o trzeciej, a wracał do domu tuż przed północą. Pięćtylejnych lat zajęło mu zdobycie stopnia akademickiego, dzięki czemu pewna firma w Rockford,

w stanie Illinois, zaoferowała mu bardzo intratną pracę. Rok później stać ich było na kupno domu w Avalon.

Nie byli rozrzutni. Adele robiła, co mogła, by ograniczać wydatki, była praktyczna, ale i pomysłowa. Oszczędzała, co się dało, nie tylko pieniądze, ale też papierowe torebki, folię aluminiową, plastikowe opakowania, gumki recepturki - wszystko, co nadawało się do powtórnego użycia. Nie akceptowała marnotrawstwa ani zbytku. Dzieci zawsze narzekały, że ich ubrania są znoszone i niemodne, lecz Adele pozostawała w tych kwestiach nieugięta.

Pewnego dnia pokłócili się poważnie o szkolne śniadania. Dzieci, tak jak ich przyjaciele, chciały korzystać ze stołówki, zamiast przynosić z domu zamrożone kanapki z serem, które w każdą niedzielę Adele przygotowywała na cały tydzień. Jej mąż posadził je przy stole i oznajmił, że mają do wyboru: wziąć kanapki albo pójść do szkoły bez drugiego śniadania. Koniec dyskusji.

Spłacili szybko dom, a gdy mąż Adele przeszedł na emeryturę, stan ich bankowego konta wzrósł wielokrotnie. Emerytura zapewniała im dostatni byt, nawet stać ich było, by raz do roku zabrać całą rodzinę na udaną wycieczkę.

Gdy mąż Adele zmarł, jej dzieci wyraziły ochotę, by z nimi zamieszkała. Odmówiła. Jej przyjaciele uznali to za przejaw szaleństwa - ich własne dzieci niemal o nich zapomniwały, a ona, szczęściara, miała dzieci takie wspaniałomyślne. Była za nie wdzięczna losowi, ale wciąż potrafiła doskonale zadbać o siebie, no i był

to jej dom. Wszystko, co posiadała, znajdowało się w tych czterech ścianach. Mogła rozglądać się wokół i snuć wspomnienia o mężu, cieszyć się tym, co wspólnie osiągnęli, co osiągnęły ich dzieci i wnuki. Chodząc po swoim skromnym domu, odczuwa więcej radości niż smutku - dlaczego więc miałyby go opuszczać?

A potem, w ubiegłym roku, jej syn i córka wraz ze swoimi rodzinami przyjechali do niej na Święto Dziękczynienia. Byli ubrani w dżinsy, bluzy i ciepłe kurtki. Mieli dość niepewne miny, lecz Adele wcale się tym nie przejęła. Krzątała się koło wnucząt i podała ciastka, które kupiła na wyprzedazy w Pick and Save.

Po godzinie na jej podjeździe pojawiła się duża ciężarówka, która wystawiła kontener na śmieci. Adele zobaczyła, że wszyscy oprócz niej zajęli się przeszukiwaniem garażu, szafek, strychu. W przejmującym chłdzie mnóstwo szpargałów wyniesiono na trawnik. Dzieci zadawały jej zdawkowe pytania o tę czy inną rzecz, ale ostatecznie to one wraz ze swoimi współmałżonkami zdecydowały o tym, co pozostawić, a co wyrzucić. Oświadczyły, że starają się ułatwić Adele życie.

- Mamo, masz cztery kubelki do lodu - powiedział jej syn. - Nikt już czegoś takiego nie używa.

Adele kompletnie zapomniała o tych kubelkach, ale rozpogodziła się na ich widok.

- Jeden był podarunkiem od państwa Andersenów z okazji naszej trzydziestej rocznicy ślubu - powiedziała. - Drugi wygraliśmy na loterii fantowej, kolejny był prezentem bożonarodzeniowym od twojej matki

chrzestnej. Czwarty... no cóż, nie pamiętam, skąd się wziął, ale podoba mi się. Chcę go zatrzymać.

Syn stwierdził jednak, że jest zanadto sentymentalna, i mimo jej protestów odłożył kubelki na stertę rzeczy przeznaczonych na darowiznę.

- Nie zauważysz, że ich nie ma - zapewniła ją jego żona, Jane. - Nawet nie wiedziałaś, że je masz.

Przegonili Adele do salonu i usadowili przed telewizorem, mimo że nie miała ochoty niczego oglądać.

Płynęły godziny. Adele obawiała się, że nie skończą przed zmrokiem, ale wiedziała, że oni też mają swoje zmartwienie. „Czy zdołamy zmieścić wszystko w jednym kontenerze?” - szeptali między sobą. W końcu całkowicie wykluczyli ją ze swoich działań. Rozmawiali cicho między sobą i śmiali się, nie zwracając na nią uwagi.

- To antyki - powiedziała jej córka, gdy weszli do kuchni, żeby zrobić sobie przerwę. - Są w całkiem niezłym stanie. Może dać je do sklepu z antykami?

- A może wystawimy je na aukcji internetowej? - zasugerował jej mąż. - Ustalimy cenę wywoławczą, by mieć pewność, że pójdą przynajmniej za minimalną kwotę.

- O czym rozmawiacie? - zapytała zaniepokojona Adele, która wszystko słyszała.

- O niczym - odparł jej syn. - Czy ktoś ma ochotę na pizzę?

A potem, gdy wszyscy byli zajęci obiadem, zrobiła coś, czego jej zabroniono - wymknęła się chyłkiem do garażu. Było zimno, ale nie to przyprawilo

ją o dreszcze. Wszędzie porozrzucone były sterty rzeczy, cała zawartość garażu znalazła się na zewnątrz. Adele poczuła nagle, że jej serce zamiera - w samym środku tego bałaganu stały dwie walizki, które przybyły z jej rodziną do Ameryki. Ich skórzany wierzch był zniszczony, zatrzaski zardzewiały. Pokrywała je warstwa kurzu. Adele starła ją pomarszczoną dłonią, przywołując w pamięci dzień, w którym pieczołowicie pakowała bagaże przed podróżą z Esbjerg do nowego świata. Uniosła jedną walizkę za uchwyt, potem drugą - obie były puste, ale dość ciężkie - i weszła z powrotem do domu, do swojego pokoju, zamykając drzwi na klucz.

Dzieci długo pukały. Czy dobrze się czuje? Dlaczego się zamknęła? Usiłowały jej wytłumaczyć, że firma odpowiedzialna za wywóz śmieci przyjedzie wcześniej rano. Tłumaczyły, że nie uprzedziły jej o niczym, bo wiedziały, że się na to nie zgodzi, a ponieważ nie zamierzała z nimi zamieszkać, chciały mieć pewność, że dom jest czysty i bezpieczny.

Trudno było to nazwać przeprosinami, lecz Adele złagodniała, w głębi duszy przyznała im rację. Źle się do tego zabrali, ale mieli dobre intencje. Otworzyła drzwi sypialni i oświadczyła im, że zatrzymuje walizki.

W końcu usunęli wszystkie zbędne rzeczy, zrobili ostateczne porządki i dwa dni później wyjechali. Gdy Adele rozejrzała się wokół, dostrzegła, że ten dom nie jest już jej domem.

Ręczniki były nowe, tak samo jak półki i pojemniki. Wszystko schludnie oznaczone i poukładane jak

w sklepie. Swojski zapach stęchlizny ustąpił miejsca ostrej sztucznej woni pomarańczy, która roznosiła się po pokojach. Adele nie mogła odnaleźć swojego otwieracza do puszek, a potem zauważyła, że dzieci kupiły jej elektryczny otwieracz, który położyły na kuchennym blacie. Był błyszczący i nowy. Gdy weszła do garażu, zobaczyła, że nie ma w nim nic oprócz samochodu.

Wróciła do salonu i kiedy po raz pierwszy od ich wyjazdu spróbowała włączyć telewizor, znalazła dwa nowe piloty. Jej zięć wyrzucił stary magnetowid oraz kasety wideo i zamienił je na coś wymyślnego. Ponieważ musieli wrócić do pracy w mieście, nie zdążył jej poinstruować, ale poradził, żeby skorzystała z internetu lub poczekała do Bożego Narodzenia, wtedy będzie mógł jej pomóc.

Minął miesiąc. Pojawił się pierwszy śnieg. Adele spojrzała w okno i zobaczyła leniwie kołyszące się w powietrzu grube płatki. Wiedziała, że nocą zabieli się cała ziemia, i ogarnęło ją przemożne pragnienie, żeby śnieg przykrył wszystko, żeby usunął z widoku wszystkie te nowości, które przesłaniały jej pamięć o starym domu. Wyszła i otworzyła frontowe drzwi, a potem wróciła do salonu, otuliła się kocem i usiadła.

Siedziała tak przez długi czas, napawając się przenikliwym chłodem.

Nagle usłyszała kroki i zobaczyła cień stojącej w drzwiach kobiety. Nie mogła rozpoznać, kto to jest, ale dzięki ulicznemu światłu, które prześwitywało zza nieznajomej postaci, miała przez moment wrażenie, że stoi przed nią anioł.

- Adele - powiedział ten anioł. Adele aż podskoczyła, myśląc, że nadszedł czas, żeby dołączyć do męża w niebie. Zaraz uświadomiła sobie, że jest to Bettie Shelton, jej sąsiadka.

Bettie strząsnęła śnieg z butów i zamknęła za sobą drzwi. Zerknęła z ukosa na półkę z butami stojącą koło drzwi i opatrzoną naklejkami: PO DOMU, NA ZEWNĄTRZ i NA SPECJALNĄ OKAZJĘ.

- Nie miałam pojęcia, że jesteś tak zorganizowana

- powiedziała.

- Nie jestem - odparła Adele. - Były tutaj moje dzieci i wnuki. To one zrobiły mi porządek.

- Tak, widziałam, jak wszystko było wywożone

- stwierdziła Bettie. - Byłam ciekawa, czy się wyprowadzasz, czy może umarłaś. - Podeszła do Adele i wskazała czasopisma rozłożone w porządku alfabetycznym. - Całkiem jak u mojego dentysty. Czy masz ostatni numer „Time'a”?

Adele wzruszyła ramionami. Bettie przebiegła palcami po pismach, wybrała jedno na chybił trafił i zaczęła je przerzucać.

- A zatem widzę, że żyjesz i zdajesz się nie mieć nic do roboty. Czy mogłabym w takim razie zwrócić twoją uwagę na akcesoria do ozdabiania albumów fotograficznych? Właśnie dotarła do mnie nowa dostawa i trochę przesadziłam z zamówieniem. Nie warto go odsyłać, więc proponuję materiały każdemu, kto chciałby się nimi zainteresować.

Adele potrząsnęła głową. Milczała.

- Mam tu trochę pięknej lamówki i zapas papieru.

Adele znów potrząsnęła głową.

- Oferuję je za darmo.

To przykuło uwagę Adele. Widziała przyborniki do ozdabiania albumów w sklepie i zdawała sobie sprawę, że mogą być drogie. Uważała je za zbytek, gdyż zestaw złożony z trzech albumów fotograficznych można było w drogerii nabyć za pół ceny. Ale nie powiedziała nic. Drżała z zimna, mimo że Bettie zamknęła drzwi.

Bettie uniosła brwi i spochmurniała.

- To jest warte pięćdziesiąt dolarów. Nawet jeśli sama nie jesteś zainteresowana, mogłabyś komuś zrobić prezent. Zaraz przyniosę.

Wyszła, zanim Adele zdołała zaprotestować.

Wróciła po piętnastu minutach. W rękach trzymała ładną torbę z materiału wypełnioną po brzegi papierem, wstążkami, wymyślnymi nożyczkami oraz wszelkiego rodzaju słoiczkami i pojemnikami. Adele nie знаła się na scrapbookingu, ale wiedziała, ile są warte te rzeczy. Kosztowały z pewnością więcej niż pięćdziesiąt dolarów.

- Co za ulga, że mogę pozbyć się tych materiałów - powiedziała Bettie. - Już mi się nie mieszczą w domu. Wyświadczasz mi przysługę, Adele. - Położyła przyjemnie ciężką torbę na kolanach sąsiadki.

Adele sięgnęła do środka i wyjęła arkusz naklejek. Były to naklejki podróżne, podobne do tych na jej walizce, niektóre nawet ze wzorem walizki. Nagle ogarnęło ją wzruszenie.

- Masz ochotę na kawę? - spytała Bettie. - Zauważyłam na twoim kuchennym blacie nowe wymyślne

urządzenie. Bez wątpienia od twoich dzieci. Włączmy je.

Uruchomienie nowego ekspresu do kawy zajęło im chwilę, ale poradziły sobie. Potem usiadły przy kuchennym stole, a Bettie rozłożyła na nim wszystko i wytłumaczyła, co do czego służy. Wyjęły stertę albumów fotograficznych należących do Adele. Było ich tak dużo, że rzadko do nich zaglądała. Wybrały zdjęcia, które mogły zmieścić się w jednym albumie i które utrwały najcenniejsze momenty z życia Adele. Jej dzień ślubu. Przybycie do Ameryki. Dzień narodzin dzieci. Ukończenie studiów przez męża. Ich dom. Wnuki. Jubileusze. Urodziny. Rodzinne urlopy. Bettie Shelton okazała się bardzo pomocna. Gdy po miesiącu pracy Adele ukończyła swój pierwszy album, dzieci zapragnęły mieć taki sam, a potem poprosiły ją, żeby pomogła im sporządzić ich własny. Tak też zrobiła.

Nigdy więcej nie rozmawiała z dziećmi o tamtym dniu, bo nie było o czym. Wie, że syn i córka chcieli dla niej jak najlepiej - ona też zawsze kierowała się ich dobrem. Teraz nie miało żadnego znaczenia, czy postąpili słusznie, bo Bettie pokazała jej, jak inaczej pielęgnować to, co najważniejsze - bliskie jej sercu wspomnienia. Adele stała się zagorzałą dekoratorką albumów, a Bettie jej dobrą przyjaciółką.

Rozdział 12

Isabel co chwila rzuca okiem na niewielki zegar w górnym prawym rogu ekranu komputera. Za dziesięć minut skończy kolejny dzień pracy i będzie mogła pojechać do domu. Sama nie wie, co jest gorsze - tkwić w tej żalosnej pseudopracy czy siedzieć w domu i czekać, aż będzie mogła położyć się spać.

Ostatnio znów musiała wziąć udział w idiotycznym spotkaniu poświęconym promocji i sprzedaży, na którym jej dwunastoletni szef, świeżo upieczony absolwent wyższej uczelni (w rzeczywistości dwudziestopięcioletni, ale w jego wypadku łatwo o pomyłkę), postawił jej nowe cele i zadania. Albo dzieciak coś bierze, albo jego tatuś, założyciel firmy KP Paper & Son, zaproponował mu sporą podwyżkę kieszonkowego pod warunkiem, że wymyśli, jak wyeksportować w świat jeszcze więcej tektury falistej.

Co ona tu w ogóle robi? Początkowo zatrudniła się na pół etatu, żeby mieć jakieś zajęcie, nie siedzieć sama

w domu, gdy Bill wychodził do pracy. Próbowwała zrobić karierę, która w ogóle jej nie interesowała. Bill chciał, żeby pracowała w jego gabinecie jako sekretarka, ale uważała, że to zajęcie nudne i nikomu niepotrzebne. Poza tym sądziła, że dzięki pracy w innej firmie będzie czuła się ważniejsza, bardziej niezależna.

I teraz jest tutaj, robiąc to, co sama sobie wybrała, serdecznie tego nienawidząc. Już dawno by się zwolniła, ale po śmierci Billa potrzebowała pieniędzy, a poza tym nie wie, co mogłaby robić. Pracować w innej firmie produkującej papier? Zatrudnić się ponownie w dziale sprzedaży? Pozostanie w dotychczasowej pracy wydawało się najprostsze.

Isabel widzi Jimmy'ego Bealla przechadzającego się po pokoju i opowiadającego głupie dowcipy o papierze, które wszyscy kwitują pełnym politowaniem potrząsaniem głową. W końcu Jimmy dociera do jej stanowiska.

- Cześć - mówi, pochylając się nad jej biurkiem i udając, że bawi się zszywaczem. - Co powiedział papier do ołówka?

Isabel nie odrywa wzroku od ekranu komputera.

- Nie wiem.

- Popisz się! - Jimmy wybucha głośnym śmiechem. - Ciągle powtarzam ten dowcip moim klientom, uwielbiają go.

- Wątpię - mruczy Isabel, ale Jimmy jej nie słyszy,

- Hej, mam jeszcze jeden: Puk, puk!

Isabel podnosi na niego wzrok,

- Jimmy, chyba ktoś cię woła. Ktoś z drugiego końca pokoju

- Jeszcze jeden - błaga Jimmy, nie dając się nabrać. Wygląda na to, że Isabel nie jest pierwszą osobą, która próbowała tej wymówki. - Posłuchaj. Puk, puk!

Isabel wzdycha.

- Kto tam?

- Dżajmi.

Wrrr, myśli Isabel, ale pyta dalej:

- Jaki Dżajmi?

- Dżajmi twój numer i chodźmy na pizzę! - Jimmy uśmiecha się szeroko i rzuca zszywacz na biurko Isabel, strącając przy tym stojak z przyborami do pisania.

- Ups, przepraszam. Rozumiesz ten dowcip? „Dżajmi” brzmi jak „daj mi”...

Isabel układa na biurku rozsypane długopisy i ołówki.

- Tak, rozumiem.

- Więc jak? Chcesz wyskoczyć na pizzę po pracy?

Jimmy z rzednącymi włosami i wydatnym brzuchem, podwójny rozwodnik. Jak to możliwe, że ktoś taki aż dwa razy się żenił?

- Och, Jimmy - mówi Isabel z udawanym żalem

- bardzo bym chciała, ale mam już inne plany. - Posyła mu swój najśłodszy, najbardziej nieszczerzy uśmiech i mówi sobie w duchu, że jej czas pracy oficjalnie dobiegł końca.

Jimmy robi smutną minę.

- Kurczę, naprawdę?

- Tak. - Isabel chwyta torebkę i kluczyki. - Biorę udział w otwarciu drzwi do mojego garażu. Do jutra, Jimmy.

Zatrzymuje się jeszcze na chwilę przed sklepem spożywczym, żeby kupić coś na obiad i deser. Gdy wjeżdża na swój podjazd, widzi, że na trawniku stoi nieznajomy mężczyzna i patrzy na jej dom. Obok stoi samochód z włączonym silnikiem. Siedzi w nim obca kobieta i sprawdza coś w telefonie. Widać, że stara się powstrzymać narastające zniecierpliwienie.

- Mogę państwu jakoś pomóc? - pyta Isabel, wyjmując z samochodu torbę z zakupami.

Mężczyzna podchodzi do niej. Może mieć trzydzieści kilka lat.

- Dzień dobry, to pani dom? - Ubrany jest tak, jakby właśnie wyszedł z pracy.

- Tak. - Isabel zatrząskuje klapę bagażnika. Nieznajomy wskazuje wbitą w trawnik tabliczkę. -Ile?

Isabel usiłuje przypomnieć sobie cenę.

- To była wyprzedaż, więc kosztowała chyba cztery dolary dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Jest metalowa, co świetnie sprawdza się przy złej pogodzie...

Mężczyzna się uśmiecha.

- Chodziło mi o dom. Chcielibyśmy rzucić na niego okiem, jeśli można...

Isabel jest całkowicie zaskoczona. Ktoś interesuje się jej domem? Pod wpływem nagłego impulsu ma ochotę skłamać, powiedzieć mu, że dom już nie jest na sprzedaż. Ale właściwie dlaczego? Podaje mu więc pierwszą lepszą cenę, nieco wyższą od tej, jaką początkowo sobie ustaliła.

Mężczyzna kiwa lekko głową, rozważając jej propozycję.

- Ile sypialni?

- Trzy - mówi Isabel, usiłując przypomnieć sobie stan, w jakim znajduje się jej dom. Bielizna na podłodze? Zlew pełen brudnych naczyń? - I dwie łazienki oraz dwa przestronne pokoje dzienne, a także oszklona weranda na tyłach domu. Jeśli pozwolą mi państwo na małe porządki, oprowadzę państwa po domu.

- Byłoby wspaniale. - Nieznajomy odwraca się do siedzącej w samochodzie kobiety. - Zaraz go obejrzymy!

Kobieta zatrzaskuje klapkę telefonu, odwraca się i długim spojrzeniem obrzuca dom. Wzrusza niechętnie ramionami i sięga do stacyjki, chcąc wyłączyć silnik.

Isabel wbiega do domu. Potencjalni nabywcy! Mężczyzna nie wspomniał nic o frontowej werandzie, raczej jej braku. Może nie będzie musiała w ogóle zawracać sobie tym głowy - obniży cenę o kilka tysięcy i zostawi problem jemu. Pozostanie jej już tylko pakowanie i wyprowadzka.

Wyciera pospiesznie blaty i zbiera porozrzucone tu i ówdzie śmieci, czując, że wstępuje w nią nowe życie. To zwiastun nadchodzących zmian, jest tego pewna. Gdy uznaje, że wewnątrz domu wygląda w miarę przyzwoicie, idzie po potencjalnych klientów.

Nigdy nie uważała się za osobę z żyłką do handlu - między innymi również dlatego nienawidzi swojej pracy. Teraz jednak, całkiem niespodziewanie, zaczyna zwracać ich uwagę na szczegóły, które na pewno im się spodobają.

- Meble - mówi mężczyzna, przyglądając się wszystkiemu z uwagą. - Czy one też będą na sprzedaż?

Isabel nie zastanawia się długo.

- Wszystko jest na sprzedaż - odpowiada. - Nawet ręczniki i prześcieradła, jeśli państwo zechcą.

- Wolimy nasze - mówi kobieta. - Zresztą już złożyliśmy na nie zamówienie.

Isabel dostrzega na jej palcu pierścionek z brylantem. Ani ona, ani mężczyzna nie mają jednak obrączek. Jeszcze nie.

- Plan domu jest bardzo prosty - mówi Isabel. - Wszystko na jednym poziomie, żadnych schodów. Ogrodzone podwórze. Świetne dla dzieci... Jeśli oczywiście zamierzają państwo założyć rodzinę.

Para w milczeniu wymienia spojrzenia. Wreszcie na twarzy kobiety pojawia się lekki uśmiech.

- Tak, zamierzamy.

- A co z werandą? - pyta mężczyzna. - Miała pani z nią jakiś problem?

- Słucham? Och, nie - mówi Isabel, zbywając go beztróskim machnięciem ręki. - Kilka desek było w gorszym stanie i postanowiłam wymienić całość. Gdyby jednak państwo zechcieli zrobić to sami, mogłabym odliczyć koszty remontu od ceny domu.

Kobieta potrząsa przecząco głową.

- Chcę wprowadzić się do domu z gotową werandą. Inne rozwiązanie mnie nie interesuje. - Marszczy brwi.

- Nie ma sprawy - mówi pogodnie Isabel. - I tak miałam to załatwić w najbliższych dniach. - Gdy tylko

niespodziewani goście odjadą, zajrzy do książki telefonicznej i znajdzie odpowiednią firmę.

Odprowadza ich do samochodu. Po drodze pytają jeszcze o sąsiadów i najbliższą okolicę. Isabel odpowiada, widząc kątem oka Bettie krzątającą się po swoim domu.

- Mam wspaniałych sąsiadów - dodaje pospiesznie.

- Zawsze można liczyć na ich pomoc.

- To piękny dom. - Mężczyzna jest zadowolony.

- Dostaliśmy pracę w tej okolicy i szukamy odpowiedniego lokum. Czy zechce mi pani przesłać dokumenty? A jeżeli zależy pani na raporcie o mojej zdolności kredytowej, podam pani wszystkie potrzebne informacje.

- Wyciąga rękę. - Jestem Dan Frazier, a to Nina, moja dziewczyna... to znaczy narzeczona.

- Isabel Kidd.

Cała trójka wymienia uścisk dłoni, po czym Dan i Nina wsiadają do samochodu z tablicami rejestracyjnymi z Ohio i odjeżdżają.

Gdy tylko znikają za rogiem, Isabel wydaje pisk radości. Sprzedała dom. Sprzedała dom! Nie może w to uwierzyć i oczywiście nikt niczego jeszcze nie podpisał, ale właściwie można już powiedzieć, że to zrobiła.

Rzuci pracę. Powie swojemu szefowi oraz Jimmy'emu Beallowi, żeby się wypchali, wyruszy w rejs dookoła świata. Ma ochotę odtańczyć taniec radości na trawniku.

Otwierają się drzwi domu Bettie Shelton. Idealne wycucie czasu. Isabel może sobie wyobrazić, jak zakończyłaby się jej rozmowa z Danem i Niną, gdyby

Bettie wyszła przed dom chwilę wcześniej. Ale nie trzeba się o to martwić. Wszystko ułożyło się tak idealnie, jakby dokładnie to zaplanowała.

Przygląda się wychodzącej na werandę Bettie. Sąsiadka ma na głowie czapkę z elektrycznym wentylatorem, a na nogach zielone plastikowe chodaki. W ręce trzyma sekator.

A poza tym nie ma na sobie już nic.

Bettie przeciąga się i kiwa Isabel głową z poważną miną.

- Nareszcie robi się nieco chłodniej! - woła. - To październikowe powietrze jest bardzo orzeźwiające, prawda?

Isabel kładzie sobie dłoń na ustach. Mogłaby udawać, że nic się nie stało, i pozwolić, by Bettie zrobiła z siebie pośmiewisko. Odpłaciłaby jej w ten sposób z nawiązką za wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Ale gdy tak patrzy na pogwizdującą wesoło sąsiadkę, która zabiera się do przycinania żywopłotu obok frontowych drzwi, uświadamia sobie, że lada moment Bettie schyli się energicznie i uraczy wszystkich widokiem tylnej części ciała. Pod wpływem nagłego impulsu przebiega pędem przez trawnik i osłania swoim ciałem nagą Bettie. Starsza pani próbuje ją odepchnąć, wyraźnie rozzłoszczona.

- Co u licha...!

Wszyscy sąsiedzi zdążyli już wrócić ze szkoły i z pracy, teraz kręcą się przy swoich domach, pielęgnują trawniki i przygotowują się do popołudniowego spaceru. Isabel chwyta wycieraczkę i usiłuje zasłonić

Bettie przed ciekawskimi spojrzeniami przechodniów, którzy gapią się na nią z chodnika.

- Bettie, nie zapomniałaś o czymś? Na przykład o ubraniu?

Starsza pani prycha, a potem spuszcza wzrok.

- O matko!

Isabel odwraca głowę.

Bettie rzuca na bok sekator, chwytając sztywną, twardą wycieraczkę i usiłuje się nią przepasać.

- Przepraszam - mówi oficjalnym tonem i wchodzi do domu.

Na chodniku zdążyła się już zebrać grupka rozchichotanych dzieci z sąsiedztwa.

- Wynocha - mówi do nich Isabel. Kilkoro dzieci odsuwa się z rowerami, ale nikt nie odjeżdża.

- Patrz, co wyprawiasz - mówi Bettie, pojawiając się ponownie przed domem, tym razem w luźnej, jaskrawej hawajskiej sukience i wełnianym szaliku. Macha dzieciom wesoło ręką. Rozlega się chóralny śmiech.

Isabel unosi brwi.

- Niczego nie wyprawiam - mówi. - Zdaje się, że czekają na dalszy ciąg twoich popisów.

Bettie prycha.

- Cóż, ja nigdy...

- Hej! - woła ostro Isabel do dwóch chłopców, opartych o rowery i szepczących coś sobie na ucho. - Koniec przedstawienia! Do domu! - W jednym z nich rozpoznaje rudego mądralę z sąsiedztwa, głównego inicjatora akcji budowy drewnianego domku na podwórku

Lucy Fitzpatrick. Dzieci ponownie odsuwają się, ale nie odjeżdżają.
Bettie jest zdegustowana.

- Bądź bardziej uprzejma, Isabel.

- Nie masz przypadkiem czegoś do zrobienia w ogrodzie? - Isabel patrzy na nią znacząco, czekając, aż Bettie podniesie z ziemi sekator. Nie mogąc oprzeć się pokusie, dodaje jeszcze: - Prawdopodobnie wkrótce się stąd wyprowadzę. Właśnie znalazłam nabywcę na mój dom. - Nie chce się chwalić, ale to silniejsze od niej.

Bettie przygląda jej się długo, a następnie przenosi wzrok na dom.

- Nie żartuj! No to powodzenia - mówi w końcu i zaczyna przycinać zielony krzew rosnący w pobliżu drzwi. - Amerykański bukszpan. Twarda sztuka. Bill pomagał mi go sadzić, pamiętasz?

- Mniej więcej. - Isabel zastanawia się, ile powinna wziąć za meble. Nie będzie się musiała martwić o ich sprzedaż i będzie mogła korzystać z wszystkiego aż do ostatniego dnia pobytu tutaj. Postanawia, że proponuje bardzo korzystną cenę i dorzuci jeszcze kilka rzeczy za darmo.

- Odporne na zimno, działanie szkodników i choroby. Tak, drogi panie, to był doskonały wybór. - Bettie przycina samotną gałązkę u stóp Isabel. - Przy okazji, jak miewa się Bill? Ostatnio w ogóle go nie widuję. Muszę mu podziękować za pomoc. Ubiegłej zimy tak ładnie wyczyścił mi rynny. - Przycina kolejną gałązkę.

Dopiero po dłuższej chwili jej słowa docierają do Isabel, która podnosi wzrok i widzi, że rynny na domu Bettie, miejscami zardzewiałe, pełne są liści i innych odpadków. Jedna ugina się niebezpiecznie pod ich ciężarem, druga zaś wygląda tak, jakby zaraz miała się rozpaść. Najwyraźniej od śmierci Billa sąsiadka nie prosiła nikogo o pomoc przy ich czyszczeniu.

Bettie paple dalej, nie dostrzegając wpatrzonych w nią Isabel.

- Ingrid Olson jest strasznie zazdrosna o to, że Bill zawsze mi pomaga. Dba o mój dom i w dodatku jest moim dentystą! Zawsze daje mi za darmo szczoteczki do zębów i te małe tubki pasty, też za darmo. Powtarzam mu, żeby nie zawracał sobie głowy nicią dentystyczną, bo życie jest zbyt krótkie.

- Bettie - mówi powoli Isabel. - Bill nie żyje. Zderzył się z ciężarówką. Nie pamiętasz?

Bettie nieruchomieje i wlepia w nią wzrok.

-Co?!

- Bill. Zginął. Cztery lata temu.

Na twarzy Bettie maluje się bezgraniczne zdumienie.

- To straszne, co mówisz, Isabel!

- Myślę, że powinnaś udać się do lekarza...

- Nie ja powinnam udać się do lekarza, tylko ty! To ty uważasz, że twój mąż nie żyje! - Bettie rzuca sekator w krzaki i wchodzi do domu, zatraskując za sobą drzwi.

I co teraz? Choć Isabel już od tyłu lat jest sąsiadką Bettie, nie ma pojęcia, do kogo zadzwonić. Bettie zna

każdego mieszkańca Avalon, ale Isabel nie wie, kogo można uznać za jej prawdziwych przyjaciół. To bardzo osobista sprawa, coś, o czym powinny wiedzieć wyłącznie osoby blisko związane z Bettie. Isabel nie wie nawet, czy starsza pani ma gdzieś rodzinę - ani razu o tym nie wspominała.

Isabel zastanawia się, czy nie powinna zapukać do drzwi Bettie, ale porzuca ten pomysł. Co miałyby jej powiedzieć? Bettie jest zasmucona i dezorientowana, a Isabel nie będzie przecież podsuwać jej pod nos nekrologów, by przekonać ją, że się myli. W końcu odwraca się i zaczyna iść w kierunku swojego domu, zupełnie nie wiedząc, co robić. Po drodze słyszy jeszcze rozmowę oddalających się na rowerach dzieci:

- Hej - mówi rudy, piegowaty chłopiec do swojego kolegi. - To było lepsze niż telewizja!

- Powinno działać - mówi Yvonne, podnosząc się z klęczek. Jest w salonie piękności Cut and Curl, gdzie właśnie zainstalowała i podłączyła do kanalizacji nowy fotel do pedikiuru i masażu stóp. Odkręca wodę, ciepłą i zimną, po czym wypuszcza ją z misy. Mavis Lipiński, właścicielka salonu, promienieje.

- Doskonale! Nie wiem, jak pani dziękować. Yvonne uśmiecha się i wręcza jej fakturę.

- To mi wystarczy, Mavis. - Zaczyna się pakować.

- Chcę coś jeszcze dla pani zrobić. Firma Hillshire Plumbing odwołała umówiony termin, a pani przyjechała od razu ^pomogła nam w bardzo trudnej sytuacji. Jutro przychodzi do nas mnóstwo klientek! - Mavis

strzela palcami. - A co powie pani na pedikiur? Pani pierwsza skorzysta z naszego nowego fotela!

Yvonne wysuwa do przodu stopę w ciężkim roboczym bucie.

- Dziękuję pani, ale chyba mam dziś na sobie niewłaściwe buty. Umówię się kiedy indziej i przyniosę ze sobą klapki.

- A manikiur? - proponuje Mavis.

Yvonne przygląda się swoim dłoniom. Nie miałyby nic przeciwko manikiur, ale to zupełnie bez sensu. Jej praca niszczy paznokcie, więc muszą być krótkie i spiłowane, bez lakieru. Przebiera śmiesznie palcami i Mavis wybuchają śmiechem.

- No tak, rozumiem - mówi. Nagle twarz jej się rozjaśnia. - Wiem! Właśnie dostałyśmy rewelacyjną żelową maseczkę z dodatkiem prawdziwych płatków róży, której używamy przy wszystkich zabiegach pielęgnacyjnych skóry twarzy. Niesamowicie nawilża i łagodzi wszelkie podrażnienia - obiecuję, że będzie pani zachwycona!

Yvonne zatrzaskuje skrzynkę z narzędziami. Koniec zleceń na dziś, i nie jest to dobra wiadomość - dopiero minęła druga po południu. Liczba klientów korzystających z jej usług dramatycznie się skurczyła, co chwila ktoś odwołuje umówiony termin. Yvonne nie może pojąć, dlaczego tak się dzieje. Chwila relaksu dobrze jej robi.

- Dobrze - godzi się w końcu. Mavis klaszcze w dłonie.

- Świetnie! Proszę na fotel. Zaraz przygotujemy maseczkę.

Nie mija dziesięć minut i już skóra na twarzy Yvonne jest oczyszczona, rozmasowana, poddana dokładnym oględzinom i w końcu pokryta cienką warstwą żelu. Dziewczyna zamyka oczy. Kosmetyczka rozprowadza jej na powiekach specjalną ciepłą maseczkę pachnącą wodą różaną.

Yvonne robi długi, powolny wydech. Słyszy, jak wokół niej krzątają się kobiety, rozmawiają, śmieją się, plotkują. Salon Cut and Curl jest niewielki i podzielony na dwie części, kosmetyczną i fryzjerską, więc wszystko słyhać. Yvonne ma wrażenie, że jest niewidzialna, i bardzo jej z tym dobrze. Choć nie przeszkadza jej towarzystwo tych kobiet, cieszy się, że nie musi nic mówić. Po raz pierwszy od wielu dni czuje, że prawdziwie odpoczywa, rozkoszuje się tą chwilą milczenia i bezruchu.

Klientki salonu rozmawiają o swoich dzieciach, o najnowszych wiadomościach ze świata gwiazd, o nowej restauracji, która ma podobno otworzyć się w mieście. Ktoś ostro krytykuje najnowsze przedstawienie lokalnego teatru, twierdząc, że główny aktor grał w sposób zbyt przerysowany i nawet nie pochodził z Avalon, tylko z sąsiedniego miasteczka. Panie szepczą również o czyimś romansie, o wysłanym do poprawczaka nastolatku, o planach na przyszłe wakacje. A potem Yvonne słyszy, i to bez cienia wątpliwości, jak w rozmowie pada jej nazwisko.

- Dopiero co tu była - mówi ktoś. - Ładna dziewczyna, ale jeszcze nigdy nie słyszałam o kobiecie hydrauliku. Dziwne, nie sądzicie?

- Może jest lesbijką - sugeruje inna kobieta.
- Wiem z pewnego źródła, że spotyka się z jednym z młodych Hillów
- mówi jeszcze inna. - Dziwne, co?

Odpowiada jej zgodny pomruk.

Co w tym takiego dziwnego? Yvonne nie rozumie ich reakcji. Jest hydraulikiem, no i co z tego? Wielkie rzeczy. Hydraulicy też mogą mieć życie uczuciowe, prawda? Odtwarza w myślach tę rozmowę i czuje, że skóra na jej twarzy się napręża. Młodych Hillów? Hugh ma braci?

- Sypiając z wrogiem - chichocze ktoś inny. - Mam nadzieję, że ona wie, co robi. Pamiętajcie, co się stało z Fredem Mackie?

Yvonne słyszy serię współczujących syknień i westchnień.

- Taka szkoda - wzdycha ze smutkiem jedna z kobiet.

Yvonne nie może już tego znieść. Zdejmuje maseczkę z powiek i siada prosto na fotelu.

- Co się stało z Fredem Mackie? - Twarz ma sztywną od żelu i jej słowa brzmią ostrzej, niż zamierzała. Kobiety przyglądają jej się ze zdziwieniem. Uświadomiwszy sobie, kim jest, odwracają w popłochu wzrok.

Mavis podbiega do Yvonne i pośpiesznie gorącym ręcznikiem przykrywa jej twarz.

- Żadnych rozmów! Rozmiękczymy warstwę żelu, a następnie ją zmyjemy. - Yvonne słyszy, jak syczącym głosem udziela reprimendy pozostałym klientkom.

Dziewczyna ściera sobie ręcznikiem maseczkę z twarzy i oddaje go Mavis.

- Kim jest Fred Mackie? - pyta jeszcze raz.
- Fred Mackie był złotą rączką - mówi Mavis. - Potrafił naprawić wszystko...
- Był rewelacyjny - dodaje któraś klientka. -1 brał mało za usługi. A oni wypędzili go z miasta!
- Pamiętacie, jak zalało mi piwnicę? - Inna kobieta czyta napis na spodzie każdej buteleczki z lakierem do paznokci. - Och, nie mogę się zdecydować, Szalony Róż czy Romantyczna Czerwień? Tak czy inaczej nie wiem, co bym bez niego zrobiła. Zepsuła się pompa zbiornika ściekowego, a on przyjechał w środku nocy, żeby to naprawić.
- Zainstalował mi półki w garażu - przypomina sobie następna klientka. -1 pomógł nam zamontować nowe gonty, kiedy mój mąż wracał do sił po operacji biodra. Koniecznie wybierz Romantyczną Czerwień, Nettie.
- Wykonywał też wiele prac hydraulicznych - mówi Mavis do Yvonne. - Korzystaliśmy z jego usług, bo potrafił naprawić dosłownie wszystko.
- Jedna z kobiet kiwa potakująco głową. Włosy ma zawinięte w mnóstwo srebrnych papierków.
- Ale potem dowiedziała się o tym firma Hillshire Plumbing. Fred często pracował jako hydraulik, a oni nie chcieli, żeby opanował cały rynek.
- Hillshire Plumbing działa w tej okolicy od zawsze - wyjaśnia Mavis.
- Od kilku pokoleń należy do rodziny Joan. Joan zawsze przychodziła do nas zrobić sobie pasemka, ale nienawidziła siedzenia na fotelu, nie lubiła naszyci rozmów. Chyba w końcu zdecydowała się na siwe włosy.

- Nie wygrasz z Matką Naturą - zauważa inna kobieta, dotykając swoich srebrzystych włosów, które właśnie suszy jej fryzjerka. - Ale ja lubię moje siwe włosy. Dzięki nim mam szansę na lepsze miejsce w autobusie.

- Kilka lat temu firma Hillshire Plumbing zaczęła mieć kłopoty - mówi klientka z głową zawiniętą w ręcznik, przeglądając czasopismo.

- Jej szefowie postanowili dobrać się do skóry drobnym przedsiębiorcom, którym dobrze się powodziło, takim jak Fred.

-1 Hank Carter...

- I bracia Woodsen... Yvonne podnosi na nie wzrok.

- Co to znaczy: „dobrać się do skóry”? Mavis robi skruszoną minę.

- Zaczęli obniżać ceny. Oferowali darmowe konsultacje i przeglądy. Rozdawali nam przeróżne drobne upominki... - Kiwa głową w stronę wiszącego na ścianie kalendarza. - Pióra, breloczki do kluczy, małe latarki. Trudno im było odmówić.

Yvonne dysponuje jedynie wizytówkami.

- Ale zadzwoniła pani do mnie - mówi. Mavis kiwa potakująco głową.

- Tak, ponieważ okazało się dziś rano, że nie mogą przyjechać. Tłumaczyłam im przez telefon, że to nie fair, bo mamy już umówionych mnóstwo klientek! Nie mogłam w to uwierzyć. Niespecjalnie się tym przejęli i oświadczyli, że przyślą hydraulika nie wcześniej niż w następną środę. Powiedziałam, że nie ma mowy, że w takim razie znajdę kogoś innego, i rozłączyłam

się. Co to ma znaczyć? Pozbyli się konkurencji, żeby przejąć kontrolę nad lokalnym rynkiem, a potem nie przyjeżdżają, gdy są potrzebni!

Tego typu sprawy zazwyczaj nie interesują Yvonne. Tak już jest, gdy prowadzi się firmę. Wszystko sprowadza się do popytu i podaży, obsługi klienta, cen. Jeśli ktoś pilnie potrzebuje hydraulika, będzie dzwonił pod każdy numer w książce telefonicznej, dopóki nie znajdzie kogoś, kto mu pomoże.

Ale dlaczego wszystkie kobiety w salonie tak dziwnie na nią patrzą?

Mavis przykładła do twarzy Yvonne płatek kosmetyczny nasączony czymś chłodnym i orzeźwiającym. Dziewczyna czuje mrowienie na skórze. Kobieta o srebrzystych włosach powinna już wyjść, ale nie rusza się z fotela.

- Jest pani ostrożna, prawda? - pyta konspiracyjnym szeptem. - Zabezpiecza się pani, prawda?

Kobiety chichoczą. Mavis energicznie potrząsa buteleczką z mleczkiem nawilżającym. Unosi przy tym wzrok, nie chcąc spoglądać Yvonne w oczy.

Yvonne rumieni się, nie rozumiejąc, dlaczego jej życie seksualne stało się tematem rozmowy.

- To raczej prywatna sprawa, nie uważa pani?

Mavis odchrząkuje głośno, jakby chciała w ten sposób udzielić swoim klientkom nagany, i zaczyna kolistymi ruchami rozprowadzać mleczko na twarzy Yvonne.

- Proszę się teraz odprężyć... - mówi łagodnym, melodyjnym głosem, w dość oczywisty sposób usiłując zmienić temat.

Yvonne dotyka jej ramienia.

- Mavis, proszę mi powiedzieć, co się tu dzieje? Mavis wzdycha.
Wyciera dłonie w ręcznik i pomaga

Yvonne usiąść prosto, rozglądając się wokół nerwowo.

- Nie chodzi nam o ten rodzaj zabezpieczenia. Doszły nas słuchy, że poturbowali Hanka Cartera, kiedy wychodził z apteki. Trochę go sponiewierali, zastraszyli. Po prostu nie wiadomo, co tym chłopakom z Hillshire Plumbing może strzelić do głowy. Powinna pani nosić ze sobą gaz pieprzowy czy coś w tym stylu, tak na wszelki wypadek. Nie sądzę, że posuną się aż tak daleko i zrobią pani krzywdę, ale kto chciałby przekonać się o tym na własnej skórze?

Panie kiwają z aprobatą głowami.

- Niech pani sobie sprawi paralizator - sugeruje Nettie nieco zbyt entuzjastycznie. - Zawsze się zastanawiałam, jak by to było potraktować kogoś tym urządzeniem. Założę się, że na jego widok potencjalny przestępca ucieknie, gdzie pieprz rośnie.

- Wystarczy, Nettie - mówi Mavis, posyłając jej ostre spojrzenie. - Nie chcemy jej przestraszyć.

- Bycie kobietą chyba nie ułatwia pani sprawy - mówi jedna z klientek. - Pewnie jeszcze bardziej ich to złości.

- Nigdy nie przyszło mi to do głowy! - dodaje jej koleżanka. - Och, koniecznie proszę na siebie uważać!

Yvonne nie wie, czy jej rozmówczynie mają rację, czy po prostu śmiertelnie się nudzą i umilają sobie czas wymyślaniem mrozących krew w żyłach scenariuszy. Zresztą przemykanie bocznymi uliczkami z gazem

pieprzowym w torebce, nie mówiąc już o paralizatorze, nie jest w ogóle w jej stylu. Przypomina sobie anonimową kartkę, otwarte drzwi, klientów odwołujących wizyty. Nie wie, co się dzieje, ale się dowie.

- Trudno mi uwierzyć, że jeszcze jeden hydraulik w Avalon stanowi dla nich tak dużą konkurencję, ale zamierzam ich odwiedzić. - Yvonne sięga po swoje rzeczy. - Gdzie jest ich biuro?

Mavis otwiera szufladę, wyjmuje z niej taśmę mierniczą i stuka palcem w jej plastikową obudowę.

- Tu jest adres. Yvonne kiwa głową.

- Dziękuję. Do kogo konkretnie powinnam się zwrócić? Kto jest ich szefem?

Kobiety wciągają głęboko powietrze. Na twarzy Mavis maluje się szczere współczucie.

- Och, moja droga - mówi serdecznie, ściskając ramię Yvonne, jakby chciała dodać jej otuchy. - Hubert Hill, najmłodszy syn Joan. To on jest szefem Hillshire Plumbing.

Frances wyjmuje ubrania chłopców z suszarki, składa je starannie i dzieli na dwie grupy: rzeczy na dzień i rzeczy na noc. Uwielbia zapach świeżego prania, uwielbia, gdy jest miękkie i ciepłe, prosto z suszarki. Wie, że wiele kobiet uważa prowadzenie domu za żmudne, nieciekawe zajęcie, i choć sama chętnie zrezygnowałaby z niektórych domowych obowiązków, pranie na pewno do nich nie należy.

Przed domem rozlega się charakterystyczny warkot silnika. Na podjazd wtacza się tyłem ciężarówka.

- Mamo, zobacz! - krzyczy podekscytowany Noah, przebiegając obok Frances. Za nim drepcze Brady.

- Nie wychodźcie na zewnątrz! - Frances boi się, że kierowca nie zauważy chłopców kręcących się przy samochodzie. - Reed, mógłbyś ich przypilnować? - woła. Reed nie odpowiada.

- Co się dzieje? - pyta Nick, przechodząc obok niej z futbolówką pod pachą. - Co ta duża ciężarówka robi na naszym podjeździe?

- To Goodwill, organizacja charytatywna. Przekażemy im kilka rzeczy. - Frances sili się na uśmiech. - Gdzie wasz tato?

Nick wzrusza ramionami.

- Pewnie w gabinecie. - Rzuca piłkę wysoko w górę i kieruje się w stronę garażu.

- Pilnuj braci, żeby trzymali się z daleka od ciężarówki - przypomina mu Frances.

- Dobra, dobra - mruczy Nick.

Frances wchodzi do pokoju chłopców z całym naręczem prania.

- Reed, przyjechali z Goodwill! - woła. Szybko odkłada pranie i biegnie do gabinetu, gdzie stoją pudła z wszystkimi rzeczami dla Mei Ling przygotowane do wywiezienia.

Reed tam jest. Siedzi za biurkiem, wpatrując się w przesadnie duży dom dla lalek. Ilekroć Frances widzi tę zabawkę, kuli się i odwraca wzrok. Cieszy się, że nie będzie już jej musiała oglądać.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że go kupiłaś - mówi Reed ze smutnym uśmiechem. - Mam na myśli jego

wielkość. Jest o wiele za duży, nie pasuje do naszego domu. Nie wiem, co sobie wtedy myślałaś.

- Ja też nie wiem - zgadza się Frances. Sięga do jednego z pudełek i wyjmując z niego wykonany na szydełku rogalik z zestawu do herbaty, który kupiła w sklepie Gifts 'N More. Zamierzała zatrzymać miniaturowy serwis, chcąc się przekonać, czy Brady zainteresuje się tego typu zabawką, ale jedyną reakcją malca na jej propozycję było wrzucenie maleńkiego ciasteczka do muszli klozetowej.

- Spójrz na to - ciągnie Reed. Wstaje, zaczyna otwierać i zamykać drzwi oraz okna, zaglądając przy tym do miniaturowych szafek. - Na miłość boską, tu jest nawet deska do prasowania!

- DOBRZE. - Frances sięga po pudło z ubraniami.

- Rozumiem. Wiem, że przesadziłam, ale nie mogłam się oprzeć. - Jest zła, że mąż cały czas o tym mówi.

- Weź tamto pudło. To chyba jej puzzle i książki.

- Nie mogę - mówi niespodziewanie Reed. Podnosi na nią wzrok, twarz ma zmienioną. - Nie mogę tego zrobić, Fran - powtarza łamiącym się głosem.

Przez chwilę Frances czuje się całkiem zbита z tropu. Szybko odkłada pudło, podchodzi do męża, kuca przy nim i chwyta go za rękę. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że ta sytuacja też wiele go kosztowała. Reed wydawał się tak opanowany, tak pewny, że podjął właściwą decyzję. Nawet jeśli w głębi serca czegoś żałował, nie dawał tego po sobie poznać. Widząc jego nieszczęśliwą minę, Frances myśli ze smutkiem o tym, że wszystko mogło ułożyć się inaczej, a jednocześnie czuje, że jeszcze bardziej go za to kocha.

- Nie musisz nic robić - mówi. - Wyniosę wszystko sama albo poproszę o pomoc kierowcę.

- Nie. - Reed potrząsa głową. - Zmieniłem zdanie. Uważam, że nie powinniśmy pozbywać się jej rzeczy.

- Przesuwa dłonią wzdłuż krawędzi dachu domku.

- Byłaby nim zachwycona. Miałaś rację, że go kupiłaś.

Frances nie jest pewna, jak ma to rozumieć.

- Nie możemy zatrzymać tych rzeczy. Miałaś rację, musimy je oddać, musimy zapomnieć o Mei Ling.

- Nie może się teraz rozklejać. Dla dobra Reeda i synów podjęła decyzję o rezygnacji z adopcji. Było jej z tym bardzo ciężko, ale wytrwała w swoim postanowieniu, choć zapłaciła za to wysoką cenę. Wciąż cierpi na bezsenność, każdej nocy przewraca się w łóżku z boku na bok, myśląc o Mei Ling, która prawdopodobnie nigdy nie będzie miała prawdziwego domu. Trudno przypuszczać, że ktokolwiek zgodzi się tak ciężko chore dziecko przyjąć pod swój dach - zarówno ze względów finansowych, jak i emocjonalnych.

Niekiedy jednak cuda się zdarzają i Frances wciąż ma nadzieję, że los uśmiechnie się do Mei Ling; wciąż modli się, by ktoś zechciał podzielić się swoim życiem z tą małą dziewczynką.

- Ktoś będzie nam bardzo wdzięczny za te wszystkie rzeczy - mówi do Reeda, sądząc, że go to pocieszy. On jednak wydaje się jeszcze bardziej poruszony.

- Ale to są jej rzeczy. Należą do Mei Ling. Pomyśl o albumach, które robisz dla chłopców. Nie mogę znieść myśli, że ona czegoś takiego nie dostanie. To samo z albumami urodzinowymi. Chcę, żeby ona też

mogła zdmuchiwać świece na swoim torcie, Fran. Otwierać prezenty. Tak samo jak chłopcy.

Czy Reed przeżywa załamanie nerwowe? Frances nie wie, jak się zachować.

- Mamo!

Aż podskakuje przestraszona. Stoi za nią Nick, przypatruje się im ze zdziwieniem. Zza pleców Nicka wyglądają jego bracia, dziwnie poważni i spokojni.

- Ci ludzie czekają przed domem.

- Wiem - mówi Frances. Reed odwraca się do nich tyłem. - Powiedz im, żeby jeszcze chwilę poczekali, dobrze? Zapytaj, czy nie chcieliby napić się wody.

Nick zagląda do pudła stojącego tuż przy drzwiach i wyjmuje z niego różowy sweterek.

- To jest od babci, prawda?

Och, nie powinien był tego mówić. Frances widzi, że Reed unosi ramiona i zakrywa sobie dłońmi twarz. Czuje, że zaraz coś się stanie, że ów nietrwały spokój ducha, jaki udało się jej mężowi odzyskać w ostatnich dniach, zaraz pryśnie niczym bańka mydlana.

- Wyjdźcie stąd, chłopcy - mówi tonem bezradności. W tej samej chwili Reed zaczyna szlochać, gwałtownie, boleśnie.

Chłopcy nie ruszają się z miejsca. Na widok płaczącego ojca stoją jak wrośnięci w ziemię.

- Czemu tatuś płacze? - pyta Brady.

- Bo jest smutny, głupku - mówi Noah.

- Nie mów do niego głupku, głupku. - Nick się krzywi i lekko go popycha.

- Nie popychaj mnie! - Noah nie pozostaje dłużny

bratu, choć ma dopiero pięć lat i jest od niego sporo niższy, popycha go o wiele mocniej.

- Przestań! - wrzeszczy Nick. Noah szykuje się, by popchnąć go jeszcze raz.

Brady zaczyna płakać, oszołomiony nagłą zmianą nastroju. Frances wie, że chłopców zdenerwowało zachowanie Reeda - widok szlochającego ojca zwykle jest dla dziecka dramatycznym doświadczeniem. Przyciąga Brady'ego do siebie i rozdziela starszych synów, kładąc dłoń na piersi Noaha. Tylko tak można go uspokoić, gdy wpadnie w złość. Słyszy jego przyspieszony oddech, czuje, jak szybko bije mu serce.

- Spokojnie, chłopcy - mówi. Postanawia, że nie będzie kłamać, ponieważ sytuacja jest wyjątkowa, w bardzo istotny sposób dotyczy ich rodziny i chłopcy mają prawo wiedzieć, co się dzieje. - Pamiętajcie, jak powiedzieliśmy wam, że rezygnujemy z adopcji Mei Ling? Cóż, tacie wciąż jest z tego powodu smutno. Mnie też.

- To dlaczego właściwie jej nie chcecie? - pyta Nick. Cały czas trzyma w ręce różowy sweterek. Frances wyobraża sobie, że chłopiec właśnie przytula Mei Ling, i do oczu napływają jej łzy.

- Ma poważną wadę serca - tłumaczy synowi. -**1** nie tylko to. Istnieje obawa, że pewnego dnia bardzo poważnie zachoruje. - Nie wspomina o tym, co jest bardzo prawdopodobne: że Mei Ling może nawet umrzeć.

- Może potrzebować opieki medycznej, której tato i ja nie będziemy w stanie jej zapewnić.

- Więc gdybyśmy zachorowali, nie moglibyście się nami opiekować?
- pyta Noah z niepewną miną.

- Oczywiście, że moglibyśmy - zapewnia go natychmiast Frances.
- Ale gdybyśmy byli naprawdę chorzy? Bardzo? - Noah nie daje za wygraną. - Tak jak ona? Czy moglibyście się nami wtedy opiekować?
- Tak - mówi z całą stanowczością Frances. - Tak, Noah. Nie musicie się niczego obawiać.

Nick sprawia wrażenie zaskoczonego.

- Jeśli moglibyście zrobić to dla nas, to dlaczego nie dla niej? To nie jej wina, że taka jest.

Frances wpatruje się w swojego najstarszego syna, ośmiolatka, który okazał się tak mądry. Czuje, że coś wraca na swoje miejsce - ów brakujący element, który przyprawiał ją o ból serca od chwili, gdy zrezygnowali z adopcji Mei Ling. Wie, że podjęli już wraz z Reedem ostateczną decyzję, że wzięli pod uwagę wszystkie statystyki oraz nieprzezwyciężalne trudności, z jakimi przysłoby im się zmierzyć. Ale gdyby dotyczyło to któregoś z chłopców, sprawa wyglądałaby całkiem inaczej. Co do tego Frances nie ma najmniejszych wątpliwości.

- Masz rację - mówi powoli. - To nie jej wina, że urodziła się z tymi problemami. - Tak to właśnie należy określić: problemy. Każdy je ma i choć niektóre są poważniejsze od innych, człowiek nigdy nie wie, co przyniesie mu następny dzień. Wszystko jest możliwe.

Frances wstrzymuje oddech i spogląda na Reeda, który patrzy na Nicka błyszczącymi oczyma. Twarz ma ściągniętą bólem, ale Frances dostrzega na niej przebłysk radości i ulgi.

- Masz rację, synu - mówi Reed, powtarzając jej słowa. - Masz całkowitą rację.

Co to znaczy? Frances chwyta go za rękę, ma ochotę wybuchnąć śmiechem i płaczem jednocześnie.

- Reed? - pyta niepewnie.

- Tak, Fran. - Reed wstaje, ocierając sobie oczy. - Zrobimy to. Zadzwoń do agencji i upomnę się o naszą córkę.

*Herb „Buster” McMillan, lat 57,
kierowca ciężarówki*

Budzik włącza się o trzeciej nad ranem. Dzwonienie jest ostre i nieprzyjemne, ale pozwala Herbowi wstać z łóżka, wrywa go z cztero- lub pięciogodzinnego snu, na który szczęśliwie udało mu się znaleźć czas. Na zewnątrz wciąż jest ciemno, tak jak wtedy, gdy kładł się spać, ale włącza światło i rzuca się na podłogę. Robi pięćdziesiąt pompek i tyle samo przysiadów, następnie sięga po czyste, przygotowane już wieczorem ubranie. Ubiera się w drodze do łazienki, zaczynając od koszuli, a kończąc na spodniach, wrzuca piżamę do wiklinowego kosza i podchodzi do umywalki, gdzie pospiesznie goli się i myje zęby.

Na pierwszy rzut oka wygląda jak każdy inny kierowca cysterny. Ma lekki brzuszek i zniszczoną twarz - lata pracy za kółkiem zrobiły swoje. Jest w trasie przez trzysta dni w roku. Czasem przez dwie, trzy doby z rzędu nie śpi i nie ćwiczy. W dzień słońce praży przez przednią szybę, a noce są długie i ciemne. Herb jest

jednak ostrożny i gdy tylko czuje się znużony, ucina sobie drzemkę - prowadząc cysternę pełną paliwa, nie można pozwolić sobie na dekoncentrację. Każdy kierowca ma w zanadrzu jakąś mrozącą krew w żyłach historię, na szczęście Buster uczył się na błędach innych. Jego cysterna nigdy nie przewróciła się ani nie zapaliła i nigdy nie zrzucił paliwa do niewłaściwego zbiornika. Jest kilka złotych zasad, do których zawsze się stosuje: nie spiesz się, zawsze się upewnij, że przewody do przelewania paliwa są właściwie podłączone, i staraj się od razu zrobić wszystko dobrze.

Buster ma sporo albumów ze zdjęciami odwiedzanych przez siebie miejsc. W drogę zabiera jednak tylko te, które pełne są fotografii z Avalon. Mały dom z dwoma sypialniami, będący jego własnością, jasny i funkcjonalny. Avalon w Boże Narodzenie, jego najulubieńszy czas w całym roku. Park, dokąd chodzi karmić ptaki, gdy już wypije poranną kawę. Letni grill na podwórzu w towarzystwie sąsiadów i kilku kolegów, z którymi dawno temu chodził do szkoły średniej. Przekonał się, że ludzie są ciekawi jego w takim samym stopniu, jak on ich, i że wspólne oglądanie zdjęć jest najlepszym sposobem na to, by opowiedzieć im o sobie i o miasteczku, z którego pochodzi.

Traktuje dom jak swój azyl, więc ilekroć wyrusza w trasę, zabiera ze sobą małą część Avalon. Albumy dodają mu otuchy i lubi pokazywać je innym, nawet jeśli może się to wydać sentymentalne. Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś zechce je obejrzeć, tak jak na przykład ubiegłej wiosny, kiedy jechał z Dayton do Miami. Kilka

godzin po opuszczeniu Ohio postanowił zatrzymać się na kawę. Wysiadł z szoferki tak niezgrabnie, że skręcił sobie nogę. Po raz pierwszy w życiu przytrafiło mu się coś takiego.

Gdy w punkcie doraźnej pomocy medycznej pielęgniarka podała mu jego płócienny worek, wypadł stamtąd jeden z albumów. Podniosła go i zaczęli rozmawiać. Herb pokazywał jej zdjęcia, początkowo zmieszany, potem coraz bardziej dumny. Gdy zakładano mu opatrunek na kostkę, zabawiał pielęgniarkę różnymi opowieściami. Śmiała się, a potem zaczęła opowiadać mu historie ze swojego życia. Choć jej zmiana już się skończyła, siedziała z nim jeszcze dwie godziny.

- Chciałabym być treserem psów - zwierzyła mu się. - Uwielbiam moją pracę, ale lubię również zwierzęta, szczególnie psy. Myślę, że ciekawie byłoby mieć taki zawód, nie uważa pan?

- Powinna pani zacząć to robić - powiedział Herb. - Albo przynajmniej spróbować. Zająć się tym w wolnym czasie i zobaczyć, co z tego wyjdzie.

Zarumieniła się.

- Och, nie wiem. Mam wrażenie, że to bardziej hobby niż prawdziwa praca.

- Założę się, że są ludzie, którzy marzą o kimś takim. Nie radzą sobie ze swoimi psami i potrzebują pomocy. Jeśli okaże się pani w tym dobra, będzie pani mogła brać za to pieniądze.

- Tak pan uważa? - zapytała z uśmiechem. Herb skinął głową.

- To świetnie, że wie pani, jaka praca sprawiłaby

pani największą radość. Większość ludzi w ogóle nie ma takiej świadomości. - Poczul łaskotanie w brzuchu. Wyobraził sobie, jak razem chodzą na długie spacer, jak trzymają się za ręce i siedzą w zimowe wieczory przy kominku, w którym wesoło płonie ogień. Odchrząknął głośno, czując, że palą go policzki. - Powinna pani spróbować - powtórzył. - Co ma pani do stracenia?

Wymienili się adresami, ale Herb nie sądził, że jeszcze kiedyś się spotkają. Kilka dni temu jednak otrzymał od niej list. W środku była wizytówka oraz zdjęcie małego pieska skaczącego przez obręcz. „Wychowanie i tresura szczeniaków. Alicia”. Tak się nazywa - Alicia Rodriguez. Alicia z najpiękniejszymi na świecie brązowymi oczyma, długimi rzęsami i uśmiechem, który przyprawia o zawrót głowy.

Ostatnio Herb zastanawia się nad założeniem własnej działalności. Mógłby wtedy sam ustalać sobie grafik i mieć nieco więcej czasu dla siebie. Pragnie częściej cieszyć się domem, chce wydać część pieniędzy, które przez lata oszczędzał. I kto wie - gdy ostatni raz szedł przez park w Avalon, widział mnóstwo ludzi ze szczeniakami i psami. Może zaprosi Alicję, żeby go odwiedziła, o ile oczywiście będzie zainteresowana. Powiedziała kiedyś, że Avalon jej się bardzo podoba. Sądząc, że znów chciałaby się z nim zobaczyć, Herb jest być może zbyt pewny siebie, ale nie zaszkodzi jej o to zapytać. Bo co właściwie ma do stracenia?

Rozdział 13

Connie uderza motyką w kępę mleczy, które zaczynają zarastać ogród. Jest sobotni ranek, październikowe powietrze przyjemnie ją orzeźwia. Czeka ją cały dzień pracy w kuchni; będzie też musiała oddzwonić do kilku osób, które chcą wynająć salon na spotkanie bądź przyjęcie.

Herbaciarnia cieszy się coraz większą popularnością wśród przyszłych nowożeńców, którzy chętnie polecają ją jako miejsce doskonałe na lunch dla druhen lub kameralne przyjęcia zaręczynowe. Connie przygotowała całą serię papierowych opakowań na torebki z herbatą, na których panny młode mogą napisać swoje imię i datę ślubu. Można też umieścić tam cytaty o miłości i małżeństwie albo nagłówek w stylu „Eliksir miłosny” czy „Idealna mieszanka”. Dzięki takiemu drobiazgowi zaproszenia sprawiają wrażenie o wiele bardziej osobistych i serdecznych, a gdy dodatkowo ozdobi się je satynową wstążką, wyglądają elegancko jak ich drogie odpowiedniki ze sklepu.

Connie wyrywa mleczkę z korzeniami i rzuca je na bok. Uzbierała już spory kopczyk. Zaniesie mleczkę Serenie, która chętnie je zje, zarówno kwiaty, jak i liście. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby koza mogła swobodnie przechadzać się po ogrodzie i eliminować chwasty. Problem jednak w tym, że Serena nie ograniczy się wyłącznie do nich, lecz zacznie skubać wszystko, co jest zielone i jadalne. Madeline nie chce, by koza niepokoiła klientów lub sprawiała kłopot sąsiadom, więc Connie musi zadbać o chwasty sama.

Przygląda się swojej podopiecznej. Serena sprawia wrażenie wyczerpanej, choć jest przecież wczesnym rano i nie mogła się niczym zmęczyć. Dziewczyna uważa, że zagroda kozy jest za mała, ale nie da się temu zaradzić, gdyż większa część podwórza została przekształcona w niewielką część jadalną dla klientów. Madeline powtarza, że teren wokół herbaciarni nie jest przystosowany do przetrzymywania zwierząt hodowlanych i mogą się tym zainteresować lokalne służby porządkowe.

- Dowiadywałaś się już, czy komuś zginęła koza? - pyta co jakiś czas pozornie niedbałym tonem. Nie narzuca się, ale też nie zamierza ustąpić. Connie nie jest w stanie znieść myśli, że być może przyjdzie jej wkrótce pożegnać się z Sereną, ale nie chce też, by zajęła się tym sama Madeline, nie wspominając już o Walterze Lassiterze. Zmusiła się więc do działania i wydrukowała plik ulotek o odnalezionej kozie.

- Połóż kilka w salonie - zasugerowała jej wczoraj Madeline. - Może ktoś zechce zabrać je i rozłożyć

u siebie w pracy. Im więcej ludzi je zobaczy, tym lepiej.

Connie niechętnie położyła ulotki na jednym ze stolików tuż przy wejściu, obok wizytówek i folderów z menu. Jak dotąd nikt nie wziął ani jednej. Przeliczyła je dokładnie - było ich dwadzieścia - i ilekroć przechodzi obok stolika, liczy je znowu. Dwadzieścia, bez zmian. Za każdym razem czuje przypływ otuchy, wiedząc jednocześnie, że Madeline nie może jej zarzucić, iż nic nie robi.

- Co się dzieje z tą twoją kozą?

Connie podnosi wzrok i widzi Waltera Lassitera, który stoi tuż przy ogrodzeniu i zagląda na ich podwórze. Serena ignoruje ich oboje.

- Nic się z nią nie dzieje - mówi dziewczyna, wrywając z ziemi palusznik. - Po prostu jest zmęczona.

- Nie - odpowiada Walter. - Ona jest chora. Może zjadła coś, co jej zaszkodziło.

- Chora?

- Popatrz na nią. Coś jest nie tak. - Walter wskazuje kciukiem zagrodę.

Connie przygryza usta.

- Mówi pan tak, panie Lassiter, bo chce pan, żebym się jej pozbyła.

- Oczywiście, że chcę, żebyś się jej pozbyła! - prychnął sąsiad. - Teraz na to wpadłaś? To nie jest jej miejsce. Przecież to koza. Powinna przebywać na farmie lub w zoo. Czy w ogóle jest odrobaczona?

Connie spogląda na Serenę leżącą bez sił w swojej budzie. Ostatnio koza przestała wskakiwać na dach,

co jest bardzo dziwne. Może obraziła się za to, iż opiekunka za rzadko się z nią bawi.

- Taka koza ma mnóstwo pasożytów - ciągnie Walter. - Musi zostać zaszczepiona. Przecież mieszkają tu ludzie. Widzisz tu jakieś inne kozy? Nie.

„Widzi tu pan innych uciążliwych sąsiadów? - ma ochotę odparować Connie. - Nie”.

Nie mówi jednak tego głośno. Prostuje się i otrzepuje ręce z ziemi, po czym zbiera chwasty i wrzuca je do niewielkich taczek, których używa w ogrodzie.

- Próbuję odszukać jej właściciela - mówi. - Ale jeśli nie uda mi się go znaleźć, wtedy...

- Wtedy będziesz musiała znaleźć jej nowy dom - kończy Walter z bardzo poważną miną.

- O tym ja zdecyduję - mówi Connie. Niech Walter nie myśli sobie, że tak łatwo ją zastraszyć.

- Nie, panienko. Władze miasta. Mam nadzieję, że nie będę musiał wspominać o tym na następnym zebraniu rady miejskiej. Nie dość, że kręci się tutaj tylu ludzi...

- Herbaciarnia jest legalna - przerywa mu Connie.

- Ale trzymanie kozy w dzielnicy mieszkaniowej nie jest, nawet jeśli macie pozwolenie na prowadzenie lokalu. Sprawdziłem to, panienko.

- Nazywam się Connie, panie Lassiter.

- Mówię to tobie pierwszej, panienko, bo wiem, jak bardzo się starasz, i lubię twoje zapiekanki. Ale gdy tylko rozmówię się z Madeline, koza natychmiast stąd zniknie. Powtarzam, nie kieruje mną żadna personalna niechęć. Nie mam tylko zamiaru spędzić mojej

emerytury w sąsiedztwie kozy. Już i tak muszę znosić cały ten zgiełk. Connie czuje, że ogarnia ją nagłe znużenie.

- Rozumiem, panie Lassiter.

- I na twoim miejscu zabrałbym ją do weterynarza. Coś się z nią dzieje. - Walter mruczy coś jeszcze pod nosem i wchodzi do domu.

Connie popycha taczki w kierunku kompostownika, a następnie idzie do zagrody Sereny.

- Cześć, dziewczynko - mówi, otwierając furtkę i wchodząc do środka. - Jak się czujesz?

Serena wstaje i podchodzi, węsząc i ocierając się o jej nogi. Connie rozgląda się wokół i widzi, że powinna znów posprzątać zagrodę i wyłożyć ją świeżą słomą. Czytała, że samce kóz znaczą swój teren zapachem, ale w wypadku samic nie jest tak źle. To przecież tylko nawóz, który można dodać do kompostu.

Serena odchodzi kilka kroków w bok i siada ciężko na ziemi, wyraźnie bez sił. Connie się waha. Czekają jej bardzo pracowity dzień i równie ciężki wieczór - w salonie odbędzie się comiesięczne spotkanie klubu książkowego. Connie nie będzie miała ani chwili wolnej. Choć sprawa wygląda na pilną, nie może dziś pojechać z Sereną do weterynarza.

Madeline jest w kuchni, przykrywa przezroczystą folią duży pojemnik z sałatką owocową.

- Liczyłam na spokojny poranek, ale mamy już kilkoro gości. Myślałam też, że jako danie dnia podamy zupę z dyni, piżmowej, ale zmieniłam zdanie. Chyba powinniśmy wziąć pomidory...

- Boję się, że Serena jest chora - wypala Connie. Szoruje ręce nad zlewem, nagle niepewna i zdenerwowana. - Ostatnio dziwnie się zachowuje.

Madeline wkłada sałatkę do lodówki. W tym samym momencie włącza się minutnik.

- Tak, sama to zauważyłam. - Wkłada rękawice kuchenne i otwiera piekarnik.

Connie sięga po fartuch i zatrzymuje się w pół gestu.

- Co powinnam zrobić? - pyta.

- To zależy. - Madeline wyjmuje z piekarnika blachę jagodowych bułeczek na zakwasie do Chleba Przyjaźni Amiszów. - A co zamierzasz?

- Chcę zabrać ją do weterynarza - mówi Connie, ustawiając na kuchennym blacie puste maselniczki. - Ale nie ma na to czasu. Nie mogę zostawić cię tu samej.

- Phi! - prycha Madeline. - Jak wiesz, przez pewien czas prowadziłam herbaciarnię całkiem sama. - Nagle się rozjaśnia. - Hannah! - wykrzykuje, pstrykając palcami. - Zadzwoń i zapytam, czy nie mogłaby nam dzisiaj pomóc. Jestem pewna, że będzie zachwycona.

Znowu? Connie się krzywi. Od pewnego czasu obserwuje bacznie, gdy Hannah pomaga im w kuchni, i ostatnio z przerażeniem odkryła, że piękna wiolonczelistka posiada te same kulinarne upodobania co Madeline. Jabłka w cieście z dodatkiem oranżady Mountain Dew nie zrobiły na niej wrażenia.

- Później zajmę się Sereną - mówi, ponownie sięgając po fartuch. Nie chce, żeby Hannah im pomagała. Najwyżej wyjdzie na postrzeloną, ale po prostu tego nie chce.

Madeline patrzy na nią surowo.

- Odwieś fartuch. Idę zadzwonić do Hannah. A ty skontaktuj się z weterynarzem i pojedź do niego ze swoją kozą.

-Ale...

Dzwonek nad drzwiami wciąż dźwięczy. Do herbaciarni przychodzą poranni goście.

- Opieka nad zwierzęciem wiąże się z pewnymi obowiązkami - mówi Madeline, wychodząc z kuchni, by się z nimi przywitać. - Jedź i upewnij się, czy jest zdrowa.

Ale gdy Connie dzwoni do weterynarza, rejestratorka oświadcza jej, że doktor Ballard ma już zajęty cały dzień.

- Proszę - błaga Connie. - Czy mógłby tylko rzucić na nią okiem? Muszę wiedzieć, czy nic jej nie dolega.

Kobieta wzdycha.

- Jeśli przyjedzie pani natychmiast, spróbuję wcisnąć panią pomiędzy dwie inne osoby.

- Dziękuję - mówi Connie z ulgą, sięgając po kluczyki i portfel. - Już jadę.

Opowiada wszystko Madeline i biegnie na podwórze. Serena patrzy na nią z umiarkowanym zainteresowaniem i dziewczyna ma nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Zapewne okaże się, że niepotrzebnie się martwiła. Zapakuje Serenę do samochodu, pojedzie do weterynarza, dostanie witaminy czy coś w tym rodzaju i szybko wróci do domu.

Dwadzieścia minut później wciąż stoi na podjeździe, bezskutecznie szarpiąc za sznurek pełniący funkcję

smyczy Sereny. Choć robi, co może, nie potrafi zmusić kozy do wejścia do samochodu. Widocznie Serena wie, na co się zanoszą, i nie chce brać w tym udziału.

Na podwórze wchodzi Hannah z torebką przewieszoną przez ramię. Jej długie ciemne włosy spięte są w gładki koński ogon. Ma na sobie spodnie khaki i wyprasowaną białą bluzkę koszulową, a na nogach balerinki.

- Cześć, Connie - zaczyna i urywa gwałtownie na widok Sereny.

- Próbuję... zawieźć... ją... do... weterynarza - stęka głucho Connie. W końcu daje za wygraną i opiera się bezwładnie o drzwi samochodu.

Hannah zerka w kierunku herbaciarni, po czym przenosi z troską wzrok na Connie.

- Pomóc ci?

Connie ma ochotę odmówić, ale ponieważ nie ma innego wyjścia, kiwa głową.

- Dobrze. - Hannah odkłada na bok torebkę i patrzy niepewnie na Serenę, nie wiedząc, co robić. - Chcesz, żebym ją popchnęła? Od, hm, tyłu?

- Świetnie. Uważaj, żeby cię nie kopnęła, uprzedzam na wszelki wypadek.

Ale choć Connie z całych sił ciągnie za sznurek, a Hannah pcha ją z tyłu, Serena nie rusza się z miejsca.

- Och, skończcie już - mówi zdesperowana Madeline, wychodząc z herbaciarni. - Mamy tyle pracy.

- W ręce trzyma babeczkę z otrębami. - Chodź, Sereno!

- Wrzuca babeczkę do samochodu Connie.

- Nie wydaje mi się... - zaczyna Connie, ale w tym

samym momencie Serena wyrywa się jej i wskakuje na tylne siedzenie.

Madeline uśmiecha się zadowolona.

- Proszę! A teraz wracamy do kuchni, Hannah, jesteś mi potrzebna. Connie, jedź, zanim Serena zje babeczkę i napocznie twoją tapicerkę.

Connie macha im na pożegnanie i ostrożnie wycofuje się z podwórza. Serena niemal natychmiast kończy babeczkę, po czym usiłuje wstać, kołysząc się przy tym z boku na bok, gdyż Connie bierze zbyt ostry zakręt. Wyraźnie zdenerwowana, zaczyna uderzać głową w drzwi, chcąc wydostać się na zewnątrz.

- Siadaj! - woła Connie, choć wie, że Serena nie rozumie. Na szczęście, jak to przeważnie bywa w Avalon, gabinet weterynaryjny oddalony jest od herbaciarni o zaledwie kilka minut jazdy.

Na miejscu okazuje się, że recepcjonistka dotrzymała słowa i po półgodzinie Connie wraz z Sereną wchodzi do gabinetu. Connie spogląda na wiszące na ścianach zdjęcia. Doktor Ballard ma około sześćdziesiątki, siwe włosy i miły uśmiech. Ubrany w koszulę z krótkim rękawem oraz krawat, stoi obok konia. Na każdej fotografii jest z innym zwierzęciem i jego właścicielem. Connie bez trudu dostrzega, że on kocha swoją pracę.

Nagle do gabinetu wchodzi młody ciemnowłosy mężczyzna w białym fartuchu. Napis na jego identyfikatorze głosi: „Dr Elliot Ballard, weterynarz”.

- Gdzie jest doktor Ballard? - pyta zdezorientowana Connie.

- To ja - odpowiada młody człowiek, patrząc na nią z przyjaznym uśmiechem. Connie czuje, że na jej policzki wypływa rumieniec. Gdy ściska jego wyciągniętą dłoń, czuje, że przez jej rękę przebiega przyjemny dreszczyk, który za ułamek sekundy przenika całe jej ciało. Przez chwilę nie jest w stanie na niczym się skupić - zapomina o Serenie, o herbaciarni, o wszystkim. Myśli tylko o stojącym przed nią mężczyźnie i czuje, że jej serce zaczyna wyczyniać dziwne akrobacje.

Doktor Ballard przypatruje się kozie z uśmiechem.

- Co się dzieje?

- Nie jestem pewna - mówi Connie. Zerka na wiszące na drzwiach lustro i stwierdza z ulgą, że wygląda na mniej zdenerwowaną, niż przypuszczała. - Przepraszam, ale na zdjęciach wygląda pan całkiem inaczej.

- To mój ojciec. W ubiegłym roku przeszedł na emeryturę. Mów mi Eli. Wszyscy mnie tak nazywają. - Eli zagląda do kartoteki. - Jesteś tu pierwszy raz, Connie?

Słyszając, że Eli wymawia jej imię, dziewczyna znów czuje przyjemny dreszcz. Kiwa potakująco głową.

- Zwierzęta hodowlane kieruję zazwyczaj do doktora Handleya - mówi Eli. - Zajmuje się większymi zwierzętami i bydłem. Moi pacjenci to przeważnie psy, koty, niekiedy papuga lub żółw, chociaż ostatnio było u mnie kilka osób z kurczakami... Chętnie rzucę na nią okiem i w razie potrzeby skieruję cię do niego.

- Dziękuję. - Connie ogarnia przerażenie na myśl, że będzie musiała znów wpychać Serenę do samochodu i wieźć ją do kolejnego weterynarza.

- Kiedy byłem dzieckiem, hodowaliśmy kozy rasy

La Mancha i kilka kameruńskich, ale zawsze chciałem mieć kozę nubijską. - Eli bada oczy i uszy Sereny.

- Domyślałam się, że jest tej rasy - mówi Connie. - Nie byłam jednak całkiem pewna.

- To piękne zwierzęta, ale mogą sprawiać kłopoty. Dziwne, że twoja podopieczna nie opiera się i nie wierzga. - Ogląda racice Sereny, a następnie obmacuje jej grzbiet, gardło, podbrzusze i nogi. - Ma apetyt? Connie kiwa głową.

- Chciałbym pobrać jej krew. Potrzebne będą również próbki odchodów. Jedna z moich asystentek pomoże ci. Sprawdzę też, czy twoja koza nie ma w pysku wrzodów i zbadam ją pod kątem potencjalnych guzów i bolesnych miejsc,

Connie z trudem przełyka ślinę. Nie wie, co zrobi, jeśli okaże się, że Serenie dolega coś poważnego.

Eli dostrzega jej strach i klepie ją w ramię. Jego dotyk jest ciepły i pocieszający.

- Nie martw się. Wygląda na zdrową, ale chciałbym się upewnić. Może tak być?

Connie w końcu odzyskuje głos. -Tak.

Eli odwraca się do Sereny.

- Wygląda bardzo sympatycznie. Jak się wabi?

- Serena.

- Serena. To łacińskie imię, prawda?

Po raz pierwszy w życiu Connie żałuje, że nie chodziła do college'u.

- Nie wiem.

- Znaczy ono „spokojna”, ale pewnie to wiedziałaś.

Imię Connie również ma źródłosłów łaciński. To skrót od Constance. Oznacza „wytrwała”. - Eli zakłada stetoskop i bada serce i płuca Sereny.

- Znasz łacinę? - pyta z podziwem Connie, nieco onieśmielona. Ona zna tylko kilka hiszpańskich słówek, których nauczyła się z filmów lub z telewizji.

Eli wieszka sobie stetoskop na szyi i zaczyna masować grzbiet Sereny.

- Właściwie nie. Uczyłem się jej cztery lata, ale w Avalon niewielu ludzi zna ten język. Jak zresztą wszędzie.

I znów ten szeroki uśmiech. Connie przypuszcza, że Eli jest od niej kilka lat starszy, może mieć pod trzydziestkę, lecz podoba jej się, że nie traktuje samego siebie zbyt serio. Sprawia wrażenie, że może być dobrym przyjacielem. Gdy podnosi na nią wzrok i napotyka jej spojrzenie, Connie czuje, że znów płoną jej policzki.

Nie może uwierzyć, jak bardzo jest poruszona. Musi zmobilizować całą wolę, by powrócić do rzeczywistości.

- Martwiłam się o nią - mówi, mając wrażenie, że wciąż się rumieni. - Zachowuje się tak, jakby nie była sobą.

Eli kiwa głową.

- Powody mogą być różne, ale będę coś wiedział dopiero po badaniu krwi. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zatrzymamy ją u nas na weekendową obserwację. Dzięki temu będę mógł stwierdzić, jak się miewa i czy jej zachowanie nie uległo zmianie. Na razie sprawia wrażenie bardzo spokojnej.

- Właśnie dlatego ją tu przywiozłam - mówi Connie. - Przeważnie bywa bardzo uparta. Lubi wtykać nos w nie swoje sprawy. Na przykład w ogród mojego sąsiada.

Eli chichocze.

- To mi już bardziej wygląda na kozę - mówi, spoglądając na zegarek.
- Zaraz mam kolejną wizytę. Zostawisz ją tutaj do poniedziałku? Przyjedziesz po nią z samego rana. Jeśli coś wyjaśni się wcześniej, dam ci znać. Może być?

Connie patrzy na Serenę i czuje ukłucie w sercu.

- Nie wiem - mówi w końcu. - Nic się jej nie stanie?

- Oczywiście, że nie. Mam tutaj psy większe niż Serena. Dziś jest tu dość spokojnie, więc będę miał czas, żeby się nią zająć. - Eli zerka do kartoteki. - To twój numer telefonu? Herbaciarnia Madeline?

Connie kiwa potakująco głową, nieco oszołomiona.

- Chyba powinnam jednak zabrać ją ze sobą - wyrzuca z siebie w końcu, nie mogąc pogodzić się z myślą, że wróci do domu bez Sereny.

- Czegoś się może przestraszyć albo...

- Decyzja należy do ciebie, Connie - mówi Eli. - Jak postanowisz, tak będzie dobrze.

W końcu dziewczyna daje się przekonać.

- Zgoda. - Bierze głęboki oddech. - Zadzwoń do mnie, gdyby czegoś potrzebowała?

- Zdążyłem już sobie zapamiętać twój numer - oświadcza Eli, posyła jej jeszcze jeden szeroki chłopięcy uśmiech i wyprowadza Serenę z gabinetu.

Jest wczesny niedzielny poranek. Ktoś puka we frontowe drzwi i dzwoni o jeden raz za dużo. Isabel po omacku sięga po budzik, który spada na podłogę i toczy się aż pod łóżko.

Dziewczyna wydaje jęk zawodu, ale w końcu wstaje i na wpół śpiąca schodzi do holu. Zerka przez wizjer i widzi za drzwiami nieznanego mężczyznę z kubkiem parującej kawy w ręce, który rozgląda się po jej werandzie i pogwizduje. Zaskoczona, ale i zaciekawiona, otwiera drzwi.

- Dzień dobry! - mówi ten mężczyzna. Jest przepasany pasem z narzędziami i uśmiecha się szeroko.

- Mam nadzieję, że to kawa dla mnie - mamrocze Isabel. Przeciera oczy i widzi białą furgonetkę zaparkowaną przy ulicy. „Braemer - patia i aranżacje” - głosi napis na boku samochodu. - Która godzina?

- Ósma rano, co do sekundy - odpowiada nieznanomy. - Tak jak pani prosiła. Przez chwilę martwiłem się, że nikogo nie ma w domu.

Isabel patrzy na niego z irytacją.

- Spałam. Powiedziałam: ósma rano, co do sekundy, poniedziałek.

Pan Braemer marszczy brwi.

- Mógłbym przysiąc, że mówiła pani o niedzieli. Isabel ziewa, chociaż nie zamierza znów kłaść się spać.

- Nie mówiłam, ale to już nieważne - oświadcza, łan Braemer obrzuca szybkim spojrzeniem werandę i siada na poręczu.

- Chodzi pewnie o kilka desek wpust-pióro.

Isabel kiwa głową, przyglądając się, jak jej rozmówca popija kawę. Może wciąż jeszcze się nie obudziła, ale nie pamięta, kiedy ostatni raz obserwowała kogoś, nie mówiąc już o osobie płci przeciwnej, popijającego kawę. Widok ten działa na nią dziwnie uspokajająco.

- Pani Kidd?

- Słucham? Och. Deski na werandzie, tak. Nie miałam jeszcze okazji rozważyć, czy powinnam wybrać drewniane, czy może panele kompozytowe...

- Drewniane - oświadczają stanowczo łan. - Koniecznie. Panele sprawiają więcej kłopotu, niż są warte, a po jakimś czasie zaczynają wyglądać tandetnie. Kładłem je dla kilku klientów i żaden nie jest zadowolony. Ja nie chciałbym mieć czegoś takiego w domu. To wyrzucanie pieniędzy w błoto. - Sprawia wrażenie lekko zdenerwowanego.

Isabel uśmiecha się szeroko, całkiem już wybita ze snu.

- Proszę mówić, co pan myśli, panie Braemer. Niczego nie ukrywać. Mężczyzna patrzy na nią niepewnie.

- Przepraszam. Po prostu nie chcę, żeby ludzie niepotrzebnie tracili pieniądze. Jeśli pani chce, mogę zacytować kilka opinii na temat paneli.

- Żartuje pan? Niech będzie drewno. Jak pan sądzi, jak długo to potrwa?

- Muszę dokonać odpowiednich pomiarów i zastanowić się, ile materiału będę potrzebował. Czy mam też zagruntować i pomalować deski?

Isabel kiwa głową.

- Oczywiście, czemu nie?

- Na jaki kolor?

Isabel chce powiedzieć, że na biały, ale przypomina sobie, że nie będzie to już jej dom.

- Taki, który będzie pasował do całości - mówi.

- Nie ma sprawy. - Ian Braemer wręcza jej wizytówkę. - Mogę też przywieźć pani kawę. Czarną?

Isabel patrzy na niego, Ian wygląda na jej rówieśnika. Cerę ma smagłą i szorstką od przebywania na słońcu, a oczy jasnoniebieskie. Ma na sobie kraciatą koszulę z długimi rękawami, dżinsy, buty robocze i spłowiałą bejsbolówkę z charakterystycznym logo White Sox, spod której wystają kosmyki brązowych włosów.

- Dziękuję, ale nie trzeba - mówi Isabel. - Mogę sama zrobić sobie kawę. Po prostu nie spodziewałam się pana dzisiaj.

- Nie ma sprawy - odpowiada dobrodusznie Ian. - Zrobię teraz pomiary i przyjadę później, pani Kidd.

- Proszę mówić do mnie Isabel. Nie jestem już mężatką.

Jeszcze jeden szeroki uśmiech.

- Okay, Isabel. A ja jestem po prostu Ian.

Po upływie godziny Ian Braemer wraca pod dom Isabel, prowadząc ze sobą nastoletniego chłopaka.

- To mój syn Jeremy - oświadcza z dumą. - Będzie pomagał mi w pracy.

Chłopiec unosi rękę w milczącym geście pozdrowienia, a następnie wsuwa obie dłonie w kieszenie. Isabel od razu czuje do niego sympatię.

- Jak długo to potrwa? - pyta. Żałuje, że nie może

ich niczym poczęstować, choćby obwarzankami, bułeczkami czy lemoniadą.

- Samo kładzenie desek nie powinno zająć nam dużo czasu - mówi Ian. - Godzinę, góra dwie. Ale gruntowanie i malowanie potrwa dobrą chwilę. Muszę przygotować deski, zagruntować, poczekać, aż wyschną, a potem pokryć je warstwą farby. Mam nadzieję, że uporam się z tym jeszcze dziś. Wybrałem ciekawy odcień, który współgra z poręczami. Wrócę pojutrze, żeby położyć drugą warstwę farby. A potem, jeśli zechcesz, przyjadę jeszcze raz, żeby położyć trzecią warstwę, dzięki czemu będziemy pewni, że...

- Trzy warstwy. - Isabel słyszy swój nagłący głos. - Koniecznie trzy warstwy. Chcę, żeby było to zrobione jak najlepiej. Dla nowych właścicieli.

- Dobrze. Będą trzy warstwy. - Ian uśmiecha się do niej i odwraca, żeby podejść do furgonetki. Isabel przez chwilę patrzy na tylne kieszenie jego džinsów, rumieni się i wchodzi z powrotem do domu.

Przez kilka następnych godzin do jej uszu dobiegają rozmowy i śmiech Iana oraz Jeremy'ego, odgłosy rzucanych na ziemię desek i narzędzi do wbijania gwoździ. Świadomość, że ktoś reperuje coś w jej domu, wprawia ją w dobry nastrój. Nagle jednak wraca do niej pewne wspomnienie, emocja, myśl.

Bill.

Przez te wszystkie lata Isabel myślała o nim niezliczenie wiele razy, czy tego chciała, czy nie, ale dziś czuje coś innego. Nie jest na niego zła, nie jest nawet smutna. To raczej tęsknota. Boli ją serce, emocje

opadają ją z całą siłą, odarte z mglistej zasłony/przez którą filtrowała wszystkie swoje wspomnienia związane z mężem. Tym razem pozwala im przyjść, nie odpycha ich od siebie, nie próbuje zwrócić myśli gdzie indziej. Nie próbuje zapomnieć.

Koszenie trawy na podwórzu, nie mówiąc już o przycinaniu przerośniętych brzegów trawnika, zajmowało mu zawsze całą wieczność, ale Isabel wiele by dała, by zrobił to jeszcze raz. Przypomina sobie, jak mył samochody i pieczołowicie je woskował. Jak przycinał żywopłot, czyścił rynny i starannie grabił liście. Isabel narzekała, że jest perfekcjonistą, aż pewnego razu przyznał jej się, że po prostu lubi to robić. Lubił przebywać na dworze, w przeciwieństwie do niej, uważającej się za domatorkę. Mówił też, że jest to dla niego doskonały odpoczynek po całym dniu spędzonym z pacjentami w gabinecie.

Isabel tęskni za zapachem jego ciała, jego potu, za uściskiem jego dłoni. Brakuje jej męskiego ciała, to prawda, ale przede wszystkim tęskni za samym Billem. Za jego absurdalnym poczuciem humoru, serdecznością, miłym towarzystwem. Był wytrwały i cierpliwy, lecz uświadomiła to sobie dopiero, gdy od niej odszedł.

Może wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby mieli dzieci. I rzeczywiście przez długi czas cierpiała na depresję, ale kto by jej nie miał? Rozważali adopcję, lecz w głębi serca wcale tego nie chcieli. Przez długi czas nie byli w stanie na siebie patrzeć, odwracali oczy - nie dlatego, że nie zależało im na sobie nawzajem, ale z powodu bólu, jaki wówczas czuli.

Gdy Isabel dowiedziała się o Avie, przeżyła szok. Fakt, że kochanka Billa zaszła w ciążę, spotęgował jej rozpacz. Na początku było niedowierzanie, potem złość. W miarę jak dni przechodziły w tygodnie, jej emocje na przemian narastały i opadały, aż w końcu Isabel poddała się poczuciu winy.

Czuła się winna, ponieważ nie mogła dać Billowi dziecka, jakby było to zależne od jej dobrej lub złej woli. Winna, gdyż w ciągu miesięcy poprzedzających jego odejście często miewała zły humor i coraz bardziej zamykała się w sobie. Winna, bo gdy oznajmił jej, że odchodzi, wykrzyczała mu w twarz straszne słowa. Kiedy zginął, prześladowała ją myśl, że ona jest odpowiedzialna za to, iż źle skręcił w jednokierunkową ulicę. Winna, bo zabroniła Avie przyjść na pogrzeb. Nieważne, że Bill dokonał już wyboru - sprawa rozwodowa jeszcze się nie zakończyła i Bill wciąż był mężem Isabel. Zawsze istniała możliwość, że jeszcze do niej wróci. Istniało takie prawdopodobieństwo.

Ale bardzo nikłe.

Isabel wiedziała, że w innych małżeństwach zdarzają się cuda, że są pary, które potrafią przezwyciężyć kryzysy wynikające ze zdrad i zawiedzionego zaufania. Przez długi czas sądziła, że może mieć nadzieję, ale teraz nie jest już tego taka pewna. Szczerze mówiąc, już na długo przed ostatecznym kryzysem w ich związku panowała letnia temperatura. Isabel nigdy nie uważała tego za coś szczególnie złego, ale po odejściu Billa uświadomiła sobie, że to o wiele za mało.

Ktoś dzwoni do drzwi. Isabel bierze głęboki oddech i idzie otworzyć. Na werandzie stoi dumny Ian Braemer.

- Wygląda wspaniale, prawda? - mówi, demonstrując jej zamaszystym gestem nowe deski. - Zaraz zaczynamy malowanie, ale pomyślałem, że może będziesz chciała rzucić na to okiem albo przejść się po werandzie. Nieźle, co?

Isabel ostrożnie stawia stopę na jednej z desek.

- Wow - mówi. Tak długo obywatła się bez podłogi, że niemal zapomniała, jak powinna wyglądać porządna weranda, jak to jest mieć pod stopami coś solidnego. Ma wrażenie, że weranda nagle stała się większa. Ach, i jeszcze huśtawka. Może ją sobie teraz wyobrazić. Na lewo od okna, żeby nie przesłaniała widoku z wnętrza domu.

- Przydałaby się jeszcze huśtawka - mówi Ian. - Mogłaby stać tutaj. - Wskazuje dokładnie to samo miejsce, o którym myślała Isabel.

Isabel idzie do samego końca werandy, przechyla się przez poręcz i delectuje widokiem podwórza przed domem. Ładnie. Odwraca się i wyobraża sobie, że siedzi wygodnie na pobielanej huśtawce i czyta książkę, mając w zasięgu ręki szklankę z lemoniadą.

A potem przypomina sobie, że jej dom jest na sprzedaż, a właściwie już go uznała za sprzedany.

- Mogą to zrobić nowi właściciele - mówi. W tym samym momencie widzi, że w jednym z okien domu Bettie przez krótką chwilę porusza się firanka.

- Okay. - Ian daje znak Jeremy'emu, który siedzi

w samochodzie ze słuchawkami na uszach, kołysząc się w rytm muzyki. - Hej, synu, koniec przerwy!

Sposób, w jaki Ian przywołuje Jeremy'ego, ma w sobie coś takiego, że Isabel nagle pragnie wczłgać się do łóżka i naciągnąć sobie kołdrę na głowę. Synu, myśli, wchodząc z powrotem do domu. Takie proste słowo. Słowo, którego nigdy nie wypowie.

Synu.

Rozdział 14

Wygląda na to, że ma pani odpowiednie kwalifikacje. - Doktor Creighton Marks przegląda podanie o pracę, które wręczyła mu Ava, i kiwa głową. - Ale przez kilka ostatnich lat nie pracowała pani jako pomoc dentystyczna. Dlaczego?

- Chciałam opiekować się synem. - Ava posyła mu uśmiech, ma nadzieję, że wyrażający jej pewność siebie. - Chodzi teraz do przedszkola, więc mogę wrócić do pracy.

- Strombauer i Kidd - czyta na głos doktor Marks. - Chyba zmienili nazwę na Strombauer i spółka, o ile pamiętam. To smutne, że doktor Kidd nie żyje. Był miłym człowiekiem.

Ava zastanawia się, ile doktor Marks wie. Jego gabinet znajduje się w Laquin, miasteczku sąsiadującym z Barrett, ale od przeciwnej strony niż Avalon; na tyle daleko, że potencjalny pracodawca mógł nie słyszeć żadnych plotek na jej temat, nie wie, kim jest.

- Tak - mówi. - Rzeczywiście był miły.

- Wszystko wygląda dobrze. Moja asystentka za miesiąc wychodzi za mąż i przeprowadza się do St. Louis, więc zjawia się pani w idealnym momencie. Pozostaje jeszcze tylko kwestia referencji. Jeśli nie dopilnuję wszystkiego, żona mnie zamorduje, więc zaraz zadzwonię do doktora Strombauera. - Doktor Marks uśmiecha się, spoglądając na zdjęcie stojące na biurku. - To ona jest tutaj prawdziwym szefem. Czasem mam wrażenie, że ja u niej pracuję. - Chichocze.

Ava zaplata palce, usiłując opanować nerwowe drżenie dłoni.

- Dawno nie rozmawiałam z doktorem Strombaue-rem. Nie wiem, czy mnie jeszcze w ogóle pamięta. To było ponad pięć lat temu.

Doktor Marks kiwa głową.

- Cóż, byłoby dobrze, gdyby pani zadzwoniła i uprzedziła go, że się z nim skontaktuję. Chcę jak najszybciej załatwić tę sprawę. Będę wtedy mógł powiedzieć mojej asystentce, że znalazłem kogoś na jej miejsce.

Ava przetyka ślinę.

- Zadzwonię - mówi. - Powiem, żeby spodziewał się pańskiego telefonu.

Wymieniają uścisk dłoni i Ava wychodzi, starając się zachować zimną krew. Jednak gdy tylko wsiada do samochodu, zaczyna się trząść.

Myślała, że jest na to przygotowana; sądziła, że - gdy zajdzie taka potrzeba - będzie w stanie poprosić Randalla Strombauera o referencje. Teraz nie wie,

czy się na to zdobędzie. Stokroć bardziej wolałaby już narazić się na milion wrogich spojrzeń Isabel. Myśl o krótkiej rozmowie telefonicznej z doktorem Strom-bauerem napawa ją strachem.

Nie chodzi o to, że on zna prawdę, że bez trudu będzie mógł upokorzyć ją i zastraszyć. Problem w tym, że nigdy nie czuła się w jego towarzystwie bezpiecznie, choć przecież ani razu - z wyjątkiem ostatniego dnia jej pracy w gabinecie - nie przekroczył granicy przyzwoitości. Pozwalał sobie na różnego rodzaju aluzje i dwuznaczny flirt, ale zawsze zachowywał dystans. Ava miała wrażenie, że obserwuje ją z daleka, czerpiąc przyjemność z jej lęku i zmieszania. Było to bardzo przykre, lecz zawsze czuła się bezpieczna, bo był przy niej Bill.

Jednak musi pójść do pracy. Zależy jej na posadzie u doktora Marksa, który jest kulturalny i na pewno dobrze się z nim współpracuje. Na dodatek płaci o wiele więcej, niż się spodziewała, i nie zapomina o świadczeniach oraz dodatkach do pensji. Ava po prostu nie może stracić takiej okazji. Będzie musiała zadzwonić do Randalla Strombauera.

Wchodzi do mieszkania, siada na kuchennym stole i wpatruje się w telefon. Wciąż zna ten numer na pamięć. Pięć razy podnosi i odkłada słuchawkę, aż w końcu łączy się z gabinetem.

- Mogę spytać, kto dzwoni? - Głos recepcjonistki brzmi obco. Przez całe lata, od dnia otwarcia gabinetu, pracowała u nich pani Clarkson. Teraz jest tam ktoś inny, młodszy, mniej przyjazny. Zasadniczy.

- Ava Catalina.

Recepcjonistka każe jej czekać. W tle słyhać muzykę. Ava oddycha szybko. Bardzo chciałaby, żeby jej serce przestało w końcu bić jak szalone. A może po prostu przesadza, w końcu od jej ostatniego spotkania z doktorem Strombauerem minęło już kilka dobrych lat. To tylko zwykły telefon w sprawie referencji.

- Tu doktor Strombauer.

Ava kuli się w sobie. Głos brzmi identycznie jak wtedy, może nawet jeszcze bardziej szorstko i niecierpliwie.

- Panie doktorze, mówi Ava Catalina.

Po drugiej stronie słuchawki zapada milczenie. Ava odchrząkuje i próbuje jeszcze raz:

- Kilka lat temu pracowałam w pańskim gabinecie jako asystentka.

- Ava! - mówi nagle doktor Strombauer przyjaznym tonem, jakby wszystko sobie przypomniał. - Co za niespodzianka. Jak się miewasz? Wszystko w porządku?

To serdeczne przywitanie całkiem ją zaskakuje.

- Tak. Wiem, że jest pan zajęty, ale chcę znów zacząć pracę jako pomoc dentystyczna i byłabym wdzięczna, gdybym mogła na pana liczyć w sprawie referencji.

- Rozumiem. Gdzie teraz mieszkasz, wciąż w Avalon?

Pytanie brzmi dość niewinnie, lecz niepokój Avy się pogłębia. -Nie.

- A zatem w Barrett? Mają tam pewnie kilka porządnych gabinetów.

Ava postanawia pominąć tę kwestię milczeniem.

- Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli przekażę przysłanemu szefowi numer pańskiego telefonu?

- Oczywiście, że nie - mówi doktor Strombauer przyjaźnie, bez śladu nadmiernej ciekawości. Wygląda na to, że przestał się interesować jej miejscem zamieszkania. - Nie ma problemu. Chciałbym tylko wiedzieć, kto to będzie, żeby Tina mogła mnie z nim od razu połączyć.

- Doktor Creighton Marks - mówi bez namysłu Ava i natychmiast uświadamia sobie swój błąd.

- Creighton! - wykrzykuje z radością doktor Strombauer. - Dawno o nim nie słyszałem. Wciąż mieszka w Laquin?

Ava czuje się bezsilna. Strombauer dowie się wszystkiego, niezależnie od tego, kto do niego zadzwoni. Przynajmniej nie zna jej adresu, nie wie niczego o Maksie.

-Tak.

- Cóż, zajmę się tym. Jestem pewien, że doktor Marks cię pokocha.

W jego głosie słyhać wyraźną kpinę. Ava nie rozumie, co to ma znaczyć, ale dziękuje mu pospiesznie i odkłada słuchawkę. Wie, że w świetle prawa pracodawcom wolno udzielać informacji na temat swoich byłych pracowników, lecz jedynie takich, które nie dotyczą ich życia prywatnego - czy nie spóźniali się do pracy, jakie stanowisko zajmowali w firmie i tak dalej. Zdaje sobie jednak również sprawę, że w małych

miasteczkach reguły te zazwyczaj nie są przestrzegane, nie mówiąc już o tym, że doktor Stromabauer uważa się za osobę stojącą ponad oficjalnie przyjętymi zasadami. Ma w Chicago sprytnego prawnika, równie pewnego siebie jak on sam, którego rady pozwalają mu bezpiecznie balansować na granicy prawa. Bill często się na to skarżył, denerwowało go, że jego wspólnik potrafi zawsze postawić na swoim i spaść na cztery łapy. Ilekroć zaczęli rozmawiać o interesach lub analizować finanse, Strombauer sprawiał wrażenie lepiej zorientowanego, dyktował warunki. Bill był inteligentny, ale nie aż tak obrotny, nie tak przebiegły jak jego partner, który zdołał nawet go nakłonić, by zgodził się na kilka zmian w metodach leczenia, rzecz jasna na niekorzyść pacjentów. Gdy Ava zaczęła pracować w gabinecie Strombauer i Kidd, napięte relacje między dwoma wspólnikami od razu rzuciły jej się w oczy, ale Bill, choć czuł się coraz bardziej sfrustrowany zaistniałą sytuacją, najwyraźniej nie potrafił zdobyć się na żaden zdecydowany krok.

Gdy Ava powiedziała mu o ciąży, pełna obaw, że rozgniewa się i ją porzuci, jego reakcja całkowicie ją zaskoczyła. Nie prosiła go o nic, niczego nie oczekiwała. Traktowała związek z nim jak dar od losu, coś wyjątkowo cennego. Już pierwszego dnia dostrzegła dobroć Billa, jego serdeczność, ale zakochali się w sobie dopiero po dłuższym czasie. Było to coś nieoczekiwanego i zarazem subtelnego, całkowicie różnego od stereotypowych wypbrażeń o romansie. Żadnego momentu słabości, żadnego alkoholu, żadnego zwierzania się

i opowiadania łzawych historii. Połączyło ich duchowe pokrewieństwo, świadomość, że rozumieją się bez słów i bardzo nawzajem cenią.

Od samego początku znajomości czuli też do siebie fizyczny pociąg, lecz dopiero po pewnym czasie, w pokoju dla pracowników, gdy Bill podał jej filiżankę kawy, Ava odważyła się o tym wspomnieć. Spojrzeli sobie w oczy i oboje to zobaczyli.

Pasowali do siebie. Pasowali do siebie jak dwa kawałki układanki - dwoje pozornie całkowicie różnych od siebie ludzi, którzy wcale nie sprawiali wrażenia dobranej pary, a jednak doskonale się uzupełniali. Bill ze swoją bezpośredniością, serdecznością i bezpretensjonalnym sposobem bycia, pod którym ukrywał rozczarowanie monotonią życia i pragnienie doświadczenia czegoś więcej. Ava ze swym optymizmem oraz niezachwianym przekonaniem, że jej życie ma być szczęśliwe. Pełne radości. Ze wszystko jest możliwe.

Oboje chcieli tego samego - zaznać szczęścia. Ava nigdy nie przypuszczała, iż staną się sobie tak bliscy, że nie będzie potrafiła wyobrazić sobie życia bez Billa. Ani razu nie przeszło jej jednak przez myśl, że jej ukochany odejdzie od Isabel. Była pełna nadziei, lecz wiedziała również, jakie jest życie. Sądziła, że ten skradziony moment to wszystko, na co może liczyć; że to tylko chwila, która w końcu przeminie.

Gdy zorientowała się, że jest w ciąży, wszystko uległo zmianie. Targały nią emocje, nagle zaczęła bać się o swoją przyszłość. Może zresztą zawsze tak było, może pod jej pozornym szczęściem drzemał ukryty strach,

ale w tym wyjątkowym momencie ujawnił się z pełną siłą, zawisł nad jej głową niczym groźna szara chmura zwiastująca burzę.

Kiedy Bill oświadczył, że chce być z nią i z dzieckiem, że pragnie takiego życia, w którym wszystko będzie nowe, świeże i pełne dobrej energii, Ava przyjęła to z mieszanymi uczuciami. Kochała go bezgranicznie, ale cały czas się zastanawiała, czy nie jest to w jego wypadku zwykły kryzys wieku średniego, znudzenie życiem i rozczarowanie kierunkiem, w jakim ono zmierza. Bała się, że to minie. Bill przez długie lata żył z Isabel i choć ich małżeństwo wydawało się wynikać raczej z serdecznej przyjaźni niż z romantycznej miłości, darzyli się wzajemnym szacunkiem, mieli mnóstwo wspólnych wspomnień i doświadczeń. Ava zdawała sobie sprawę, jak zostanie to odebrane przez osoby postronne - starszy mężczyzna, młodsza kobieta, dziecko w drodze. Stereotypowe aż do bólu. Usiłowała nawet odwieść Billa od tego zamiaru.

Ale on był stanowczy. Oznajmił jej, że w końcu uporządkuje wszystkie sprawy. Powie prawdę Isabel, zostanie z Avą, zakończy współpracę z Randallem. W chwili gdy oświadczył Avie, że zamknął za sobą przeszłość, mówiąc prawdę Isabel oraz Randallowi, i że w końcu będą mogli żyć wspólnie, przed nikim się z tym nie kryjąc, dziewczyna odniosła się z niedowierzaniem, a następnie poczuła bezgraniczną radość. Zaczęli robić plany, pełni nadziei i ciekawości, co przyniesie los.

A potem Bill zginął w wypadku.

Ava była wtedy w domu. Bill załatwiał coś w mieście. W pewnym momencie zadzwonił do niej z informacją, że już wraca. Do niej, do ich wspólnego gniazdka.

Gdy kilka godzin później zadzwonił telefon, podniosła słuchawkę, zmartwiona, ale też gotowa zbesztać go łagodnie za spóźnienie. Ale to nie był Bill, tylko Isabel. Dzwoniła ze szpitala. Głos miała oschły, pozbawiony emocji. Przekazała jej wiadomość natychmiast, bez żadnego wstępu. Ava osunęła się w oszołomieniu na podłogę.

W szpitalu wszystko działo się bardzo szybko. Ava nie musiała nic robić - żadnych dokumentów do wypełnienia, żadnych rozmów z lekarzami. Choć Bill miał już za parę dni złożyć w sądzie wniosek rozwodowy, Isabel wciąż była jego żoną. Ją policja powiadomiła o wypadku. Nikt nie miał pojęcia, kim jest Ava. Dziewczyna nie miała żadnych praw, nie mogła podjąć żadnej decyzji. Jej związek z Billem nie był prawnie usankcjonowany.

I jeszcze jego matka. Ava przypomina sobie reakcję Lillian Kidd, która straciła przytomność tuż po identyfikacji zwłok syna w kostnicy. Widząc, że Isabel całkowicie ją ignoruje, Ava nie chciała przebywać w szpitalu dłużej, niż było to konieczne, ale jednocześnie czuła, że nie może zostawić Billa, dopóki nie zapadną wszystkie ustalenia. Gdy jego matka uświadomiła sobie, kto przed nią stoi, zaczęła krzyczeć. Uspokoiła się dopiero po interwencji dwóch sanitariuszy i pielęgniarki. Właśnie wtedy Isabel kazała Avie opuścić szpital.

Ava wzdryga się na to wspomnienie, na myśl o tym, jak - zaczynając od tamtego dnia - w jej życiu wszystko zaczęło układać się coraz gorzej. Max nie wyobraża sobie innej rzeczywistości, lecz ona wie, że mogło być całkiem inaczej.

Przestań! - mówi sobie, bo nie ma zamiaru użalać się nad sobą. Chce ich z tego wyciągnąć, przezwyciężyć zły los, sprawić, by oboje poczuli się bezpiecznie.

Ponownie podnosi słuchawkę i wybiera numer gabinetu doktora Marksa. Gdy sekretarka łączy ją z rozmówcą, Ava uśmiecha się, choć wie, że nikt jej nie widzi, i zaczyna mówić wesołym, pełnym energii głosem, jak przystało na osobę, która zapowiada się na bardzo dobrego pracownika.

- Halo, czy to doktor Marks? Mówi Ava Catalina. Chciałam pana poinformować, że rozmawiałam z doktorem Strombauerem. Czeka na pański telefon i gdy tylko pan...

- Dzień dobry, Avo. Właśnie z nim rozmawiałem. - Głos doktora Marksa nie brzmi już ciepło i uprzejmie, lecz bardzo oficjalnie. A może tylko tak jej się wydaje?

Ava odchrząkuje.

- Och, to świetnie. Jeśli ma pan jeszcze jakieś...

- Niestety, zgłosiła się do mnie jeszcze jedna kandydatka, z większym doświadczeniem zawodowym, i obawiam się, że nie będę mógł w tej chwili pani zatrudnić. Zatrzymamy jednak pani dokumenty i damy znać, jeśli znów będziemy potrzebować pracownika. Dziękuję za telefon.

I doktor Marks odkłada słuchawkę.

Ava słyszy jednostajny sygnał. Nikt już do niej nie zadzwoni. Nie wie, co powiedział doktor Strombauer, ale rozumie, że nie dostała tej pracy właśnie przez niego.

Ciska słuchawkę na widelki. Patrzy na nią dłuższą chwilę. Czuje w sercu nieznośny ciężar, jej oczy napełniają się łzami.

Zrzuca telefon na podłogę.

Wyszarpuje kabel z gniazdka, słysząc trzask pękającego plastiku. Niełatwo ją rozgniewać, nigdy nie zdarzyło jej się wpaść w prawdziwą złość, ale teraz czuje, że zalewają ją fale wściekłości, każda potężniejsza od poprzedniej. Już nigdy nie dostanie pracy jako pomoc dentystyczna. Wie to doskonale, czuje, że ilekroć będzie potrzebowała referencji, Randall Strombauer zrobi wszystko, żeby przedstawić ją w jak najgorszym świetle. Oznacza to, iż jedyna szansa jej i jej synka na lepsze życie właśnie się ulotniła.

Ava zaczyna nagle odnosić wrażenie, że jej mała kuchnia stała się ciasna, zbyt ciasna. Rozgląda się dookoła i widzi całą brzydotę tego miejsca, łuszczącą się farbę, porysowane, dziurawe linoleum, krzywo wiszące szafki. Niepasujące do siebie naczynia i szklanki, przypadkowo dobrane łyżki, widelce i noże. Początkowo wydawało jej się to zabawne i eklektyczne, każda rzecz była niepowtarzalna, w swoim rodzaju, ale teraz widzi przed sobą tylko zbiór tandetnych sztuczków i naczyń.

Niewiele myśląc, chwyta worek na śmieci i zaczyna wrzucać do niego wszystko, co tylko wpadnie jej w rękę - używane formy do pieczenia, garnki i patelnie. Po co

jej to wszystko? Będą im potrzebne tylko dwa talerze i dwie pary sztućców, bo i tak nikt ich nie odwiedzi. Bill już nigdy nie stanie w tych drzwiach. Matki innych dzieci z przedszkola wyraźnie jej unikają, odnoszą się nieufnie do atrakcyjnej samotnej mamy. Nie ma żadnych przyjaciół, a gdy jej krewni dowiedzieli się, że jest w ciąży z żonatym mężczyzną, zerwali z nią kontakty. Przeprowadziła się do Avalon w poszukiwaniu pracy, po śmierci Billa przeniosła się do Barrett. Jest sama jak palec, nie licząc, rzecz jasna, Maxa.

Na myśl o synku Ava czuje, że jej gniew opada. Stoi na środku kuchni z ciężkim workiem pełnym naczyń, smutna i zmęczona. Mogłaby odłożyć wszystko na miejsce, ale po co? To niczego nie zmieni. Chciałaby móc właśnie w tej chwili machnąć na wszystko ręką i pozwolić, by jej życie całkiem się rozpadło, ale nie może tego zrobić. Musi myśleć o Maksie, który ma na świecie tylko ją.

Zaczyna płakać. Max zwykle będzie miał tylko jedną bliską osobę - ją. Tylko ona będzie objaśniać mu świat, ale to za mało. Ona to za mało. Max zasługuje na więcej - na ojca, dziadków, ciotki, wujków, na kolegów i przyjaciół. Na ludzi, którzy będą służyć mu pomocą i radą, którzy będą go kochać. Mógłby liczyć na nich. Ava również ich potrzebuje. Chce, by ktoś wspierał ją w dokonywanych przez nią wyborach, by doceniał poświęcenie, z jakim stara się zapewnić sobie i synkowi jak najlepsze życie.

I żeby nią niweczył jej planów jak Randall Strombauer.

Ava pociąga nosem, wierzchem dłoni ociera oczy. Jej życie tak wygląda, gdyż ciężko jej było przystosować się do nowych okoliczności. Czekala, aż problemy same się rozwiążą, wahała się, mając nadzieję, że ludzie zaczną spełniać jej oczekiwania, ale już wie, że jeśli będzie jej na czymś zależało, musi zrobić krok naprzód i sama po to sięgnąć. A teraz chce się dowiedzieć, co Randall Strombauer powiedział doktorowi Marksowi. Jest pewna, że było to albo coś nieprzyzwoitego, albo zwykłe kłamstwo. Wie też, że przez telefon niczego nie załatwi.

Sięga po klucze i torebkę. Musi odebrać Maxa z przedszkola dopiero za dwie godziny, więc ma wystarczająco dużo czasu. Wybiega z mieszkania, ciągnąc za sobą worek z naczyniami kuchennymi. Nie chce, by Max zobaczył go po powrocie do domu.

Gdy jednak zatrzymuje się w końcu na parkingu przed gabinetem doktora Strombauera, zaczyna mieć wątpliwości. Co zamierza osiągnąć? Randall Strombauer nie zwykł przyznawać się do popełnionych błędów. Nie przeprosi jej, nie powie, że ją skrzywdził. Co gorsza, gotów jeszcze odwrócić wszystko do góry nogami i wmówić jej, że to ona zrobiła coś niewłaściwego.

Ava zaciska dłonie na kierownicy. Wie, że straciła szansę na pracę u doktora Marksa, ale to nie jest jedyny problem. Wciąż pamięta, co wydarzyło się tych kilka lat temu w pokoju dla pracowników. Teraz żałuje, że nigdy nie opowiadała o tym Billowi. Nie chodzi o to, że powinien był coś z tym zrobić, ale byłoby lepiej, gdyby o tamtej sytuacji wiedział jeszcze ktoś oprócz niej.

Jest już zmęczona ciągłym strachem, w jakim przyszło jej funkcjonować. Boi się, co powiedzą inni, boi się błędnych decyzji, boi się żyć. Nie chce pozwolić, by słowa bądź działania przypadkowych ludzi wpływały na to, jak postrzega siebie, Maxa, całe swoje życie. Uświadomiwszy to sobie, wyciąga kluczyk ze stacyjki, otwiera drzwi samochodu i wkracza do ośrodka kierowanego przez doktora Strombauera.

Tam wszystko wygląda niemal tak samo jak dawniej, jest tylko inny odcień farby na ścianach, nowy dywan, kilka roślin doniczkowych. W poczekalni przy jednej ze ścian stoi duże akwarium. Panuje domowa, ciepła atmosfera.

- W czym mogę pani pomóc? - pyta recepcjonistka, podnosząc wzrok. Jest młodą, ładną blondynką. To oczywiste.

- Czy zastałam doktora Strombauera? - pyta Ava, siląc się na uśmiech.

- W tej chwili ma pacjentkę. Czy była pani umówiona?

- Czeka na mnie - kłamie Ava. - Rozmawialiśmy wcześniej. Wspominał o pani. Tina, prawda? - dodaje, widząc, że dziewczyna przygląda się jej z powątpiewaniem.

Recepcjonistka nie sprawia wrażenia przekonanej, ale w końcu wstaje i otwiera drzwi prowadzące do dalszych pomieszczeń. W poczekalni siedzi kilkoro pacjentów, czytają gazety. Ava przypomina sobie, jak uwielbiała przychodzić do pracy, z jaką przyjemnością otwierała te drzwi. Czuje się dziwnie, stojąc tutaj tak, jakby nic się nie zmieniło.

- Ava? - Randall Strombauer otwiera wewnętrzne drzwi i wchodzi do recepcji. Ma na sobie lekarski uniform i okulary ochronne zsunięte na czubek głowy. Posiwał nieco, ale nadal wydaje się sprawny i energiczny. - Co tu robisz?

- Chciałam dokończyć naszą rozmowę - odpowiada Ava, unosząc podbródek. - O referencjach dla doktora Marksa.

Doktor Strombauer robi zdziwioną minę, po czym uśmiecha się z fałszywą uprzejmością.

- Nie martw się. Załatwiłem to. Ava zaciska dłoń na pasku torebki.

- Okłamał go pan.

- Podzieliłem się z nim szczerze swoimi spostrzeżeniami, to wszystko. - Spojrzenie doktora Strombauera wędruje w górę i w dół po jej ciele. - Spójrz na siebie. Macierzyństwo ma swoją cenę. Gdyby Bill mógł cię teraz zobaczyć, byłby pewnie nieco rozczarowany, nie sądzisz?

Ava nie jest w stanie się odezwać. Policzki jej płoną.

Doktor Strombauer rozgląda się dookoła, po czym chwyta ją za rękę, jakby chciał się z nią pożegnać, i przyciąga ją bliżej do siebie.

- Bądź grzeczna. Stawiam sprawę jasno: jeśli będziesz dla mnie miła, odwzajemnię to. Wystawię ci doskonałe referencje. Przecież ci na tym zależy. Zastanów się. - Puszczając jej dłoń i klepie ją po ramieniu jak dobrą przyjaciółkę.

Ava przez moment stoi jak skamieniała, po czym rozgląda się dookoła, chcąc sprawdzić, czy nikt nie

słyszał. Wygląda jednak na to, że siedzący w poczekalni pacjenci niczego nie zauważyli. Odwraca się z powrotem i widzi, że doktor Strombauer już wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim z lekkim trzaskiem.

- Przepraszam, ale nie może pani tam wchodzić
- protestuje recepcjonistka, lecz Ava otwiera z rozmachem drzwi i wybiega na korytarz. Po drodze rozpoznaje jedną z asystentek, Sally Gillespie. Nie zatrzymuje się jednak, tylko wpada do gabinetu byłego szefa.

Randall Strombauer już tam jest. Na twarzy ma maseczkę, w dłoni - ekskawator. Na fotelu siedzi pacjentka, starsza kobieta. Asystentka doktora zapisuje coś w kartotece.

- Za kogo się pan uważa? - W głosie Avy słychać lekką nutę hysterii.
- Nie może pan tak traktować ludzi! Nie może pan kłamać na ich temat i pozbawiać ich szansy na lepsze życie.

Doktor Strombauer nie raczy nawet podnieść na nią wzroku.

- Wyprowadź ją stąd - mówi do stojącej obok niego kobiety, która trzyma w ręce kartotekę pacjentki.

- Przepraszam, ale nie powinna pani tu wchodzić...

- zaczyna asystentka.

Ava nie zwraca na nią uwagi.

- Może pan sobie mną poniewierać, ile pan chce, doktorze Strombauer, ale znam prawdę. Wiem, jakim jest pan człowiekiem.

Pacjentka porusza się niespokojnie na fotelu i wypluwa wacik..

- Ava? - pyta. - Czy mnie wzrok nie myli? To ty?

Ava rozpoznaje ją i czuje, że na policzki wypływa jej rumieniec.

- Dzień dobry, pani Weber. Kolejny, hm, ubytek?

- Znasz moją miłość do słodyczy. W każdym razie się staram. Poza tym opadają mi dziąsła.

- Przepraszam za to zamieszanie, pani Weber - mówi energicznie doktor Strombauer, ściągając maseczkę.

- Panna Catalina właśnie wychodzi.

- Nie - odpowiada Ava, zaplatając ręce na piersi.

- Nie sądzę. Jeszcze nie skończyłam mówić.

- Posłuchaj - mówi doktor Strombauer zimnym, opanowanym tonem, z niebezpiecznym błyskiem w oku. - Przykro mi, że nie układa ci się w życiu, ale sama sobie tak pościeliłaś. Z doktorem Kiddem, oczywiście. Nie mam zamiaru wyciągać cię z kłopotów, których sama sobie narobiłaś. - Zgrzyta zębami i Ava widzi, że ma ochotę dodać coś jeszcze, ale powstrzymuje się z uwagi na panią Weber. Dziewczyna wie, że taka szansa może się już nigdy nie powtórzyć.

- Ostatniego dnia mojej pracy tutaj wszedł pan za mną do pokoju dla pracowników. Wytrącił mi pan z rąk pudło, usiłując mnie pocałować. Ugryzłam pana i uciekłam.

Czuje ogromną ulgę, że może powiedzieć to na głos. Zdaje sobie sprawę, że pani Weber i asystentka patrzą na nią z ogromnym zdumieniem, ale zupełnie się tym nie przejmuje. Przecież mówi prawdę.

- A to, co przed chwilą powiedział mi pan w poczekalni - ciągnie, podnosząc głos - jest wstętnie. Mam być dla pana miła, a wtedy pan będzie miły dla mnie.

Cóż, niech pan wie, że wciąż pamiętam, jak pan mnie potraktował, i nie dam się już zastraszyć. Nie sądzę, żebym jeszcze kiedykolwiek chciała prosić pana o referencje, ale nie zamierzam udawać, że nic się nie stało. Powiem prawdę każdemu, kto będzie chciał ją poznać.

- Bzdury - rzuca doktor Strombauer, lecz Ava dostrzega jego nagłą niepewność i zdenerwowanie. Dotyka palcem czubka nosa i kiwa głową w jego kierunku.

- Zdaje się, że miał pan zakładane szwy.

Doktor Strombauer unosi dłoń w lateksowej rękawiczce i machinalnie dotyka palcem grzbietu swojego nosa. W miejscu, gdzie Ava go ugryzła, widnieje ledwie dostrzegalna blizna.

W gabinecie panuje pełna zaskoczenia cisza. Pani Weber i asystentka przenoszą wzrok na dentystę. Ava niespodziewanie czuje się wolna, jest jej lekko na duszy. Ponieważ nie ma już nic więcej do powiedzenia, odwraca się i wychodzi z wysoko podniesioną głową, nie zwracając uwagi na pacjentów ani personel.

Na dworze mocno świeci słońce. Ava zatrzymuje się i bierze głęboki oddech. Z niedowierzania kręci jej się w głowie. Choć jej protest niczego nie zmienił, czuje się inaczej, lepiej. Sprzeciwiła się Randallowi Strombauerowi i powiedziała głośno to, co należało ujawnić. Naprawdę to zrobiła.

Z triumfującą miną wsiada do dżipa. Może odważy się na szalony wydatek i zabierze Maxa na obiad do jakiejś bezpretensjonalnej, taniej restauracji. Będzie to dla niego mihr niespodzianka. Wsuwa kluczyk do stacyjki i przekręca go.

Nic.

Próbuje jeszcze raz - na próżno. Silnik nie daje znaku życia.

Każdego innego dnia sytuacja taka byłaby dla Avy przypomnieniem, że jej życie jest dalekie od ideału, zawsze będzie musiała zmagać się z kłopotami, które innym wydają się najprostsze na świecie. Ale teraz wcale już tak nie czuje. Bierze głęboki oddech i siada wygodniej w fotelu, zastanawiając się, co robić. Zadzwoń po pomoc, tak, a potem...

Promienie słoneczne odbijają się od lśniącego czarnego samochodu. Ava krzywi się. Unosi rękę do oczu i patrzy na zgrabne sportowe auto. Jest idealnie na-woskowane i wypolerowane, błyszczy intensywnie, nie pasuje do miasteczka w stylu Avalon. To własność doktora Strombauera. Ava nie musi nawet patrzeć na tablicę rejestracyjną: STROMI.

Nareszcie ma dobry humor, ale wie, że może jeszcze polepszyć sobie samopoczucie.

Z szerokim uśmiechem wyciąga z bagażnika swojego samochodu worek z garnkami, sztućcami i naczyniami.

- Hugh! - Yvonne stoi przed domem swojej sympatii. Podnosi z ziemi garść drobnych kamyczków i rzuca nimi w jego okno. - Hubercie Hill, w tej chwili zejdz na dół!

Otwierają się frontowe drzwi. Joan, matka Hugh, spogląda z niedowierzaniem na Yvonne.

- Co pani wyprawia, do diaska? - pyta.

- Usiłuję skłonić pani tchórzliwego syna do zejścia na dół i rozmówienia się ze mną - mówi Yvonne. Wyciera dłonie w dzinsy i podchodzi do niej stanowczym krokiem, wyciągając dłoń. - Oficjalnie nigdy się nie spotkałyśmy. Nazywam się Yvonne Täte. Mam firmę Usługi Hydrauliczne Täte. Ale chwileczkę, zdaje się, że już to pani wie, prawda? - Dziewczyna cofa dłoń.

Joan Hill zaciska usta w cienką linię. Yvonne widzi, że Hugh odziedziczył po niej podbródek i nos, i zastanawia się, czy jego bracia również są do niej podobni. Okazało się, iż ma on dwóch braci, starszego i młodszego. Yvonne cały czas się zastanawia, co jeszcze Hugh przed nią ukrywa.

To, czego dotąd nie dostrzegała, staje się aż nazbyt jasne - jego dziwne zachowanie, nietypowa pora ich spotkań, nalegania, żeby niczego z góry nie planować. Nie zastanawiało jej, dlaczego spotykają się wyłącznie u niej, nigdy u niego. Nigdy nie rozmawiali o jego matce ani o tym, jak potraktowała Yvonne, gdy przypadkowo się spotkały. Mimo to Yvonne nie widziała powodu, by cokolwiek podejrzewać. Często jednak odnosiła wrażenie, że Hugh usiłuje ją za coś przeprosić. Ilekroć się spóźniał lub gdy zaczynał się tłumaczyć i urywał w pół zdania, patrzył na nią skruszony, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Yvonne uważała to za dowód jego troski i wrażliwości, ale teraz wie, że powodowało nim wyłącznie poczucie winy, nic innego.

Po powrocie do domu z salonu kosmetycznego Cut and Curl natychmiast włączyła komputer. Wpisała w wyszukiwarkę „Hillshire Plumbing, Avalon, Illinois”

i od razu znalazła poszukiwaną stronę. Nie było tam zbyt wielu informacji, ale w zakładce „O nas” ujrzała zdjęcie Hugh stojącego w otoczeniu rodziny i pracowników firmy. Część tego, co o sobie opowiadał - gdzie chodził do szkoły i gdzie studiował - okazała się prawdą, było to jednak dla Yvonne niewielkie pocieszenie. Zataił bowiem przed nią najważniejsze - fakt, że jest szefem rodzinnej firmy specjalizującej się w usługach hydraulicznych.

Całą noc przewracała się z boku na bok, coraz bardziej przygnębiona i zdenerwowana. Czy to w ogóle możliwe, że spotykali się przez niemal pięć tygodni i nic się nie wydało? Nie wypytywała Hugh o rodzinę ani o to, jak bardzo jest z nimi związany, a on nigdy o tym nie wspominał. Dziewczyna przypuszczała, że on prowadzi własną działalność i jest zależny wyłącznie od siebie. Poza tym rozmawiali głównie o Yvonne, o jej pracy, o tym, co aktualnie naprawia, ona zaś była bardzo szczęśliwa, mogąc opowiadać mu o połączeniach sworzniowych, podwójnej kanalizacji i filtrach do wody. Nieco się popisowała, to prawda, ale Hugh wydawał się tym szczerze zaintrygowany. Pochlebiało jej, że mężczyzna tak bardzo interesuje się nią i jej pracą.

Jaka była głupia! Teraz powtarzała sobie w kółko to, co mówiła po odejściu Sama.

Jak mogła się tego nie domyślić?

Gdy tylko zaczęło świtać, wyskoczyła z łóżka i zadzwoniła do Hugh. Oświadczyła mu, że muszą porozmawiać, ale on odparł, że rankiem jest bardzo zajęty,

i obiecał, że porozmawiają później, wieczorem, u niej. Usiłowała protestować, lecz oznajmił, że musi już iść, i rozłączył się.

Wściekła się nie na żarty.

Zadzwoiła do Isabel, która właśnie jechała do pracy, i opowiedziała jej wszystko, szybko i nieskładnie. Isabel nie śmiała się z niej, nie powtarzała: „A nie mówiłam”. Nie musiała - sama Yvonne wystarczająco się ośmieszyła.

- Tylko nie rób nic szalonego - ostrzegła ją przyjaciółka. W tej samej chwili Yvonne wiedziała już dokładnie, co zrobi.

- Hugh! - krzyczy jeszcze raz. W domu rozlega się szczekanie, na trawnik wypada niezgrabnie Toby, machając ogonem. Przebiega obok pani Hill i zatrzymuje się gwałtownie tuż przed Yvonne.

Przynajmniej z nim nie będzie problemów. Yvonne klęka i głaszcze uszy Toby'ego, myśląc sobie, że Hugh nie zasługuje na takiego miłego psa. Bardziej pasuje do niego świnka wietnamska. Albo wąż. A może szczur.

- Cześć, mały - mówi. Toby liże jej twarz, wyraźnie ucieszony.

- Albo w tej chwili opuści pani tę posesję - oświadcza Joan Hill, zakładając ramiona na piersi - albo zadzwonię po policję.

- To się dobrze składa - odpowiada Yvonne, wstając z klęczek. - Właśnie zamierzałam powiedzieć im o anonimach, jakie ostatnio zdarza mi się otrzymywać. A może mogłabym przyprowadzić tu kilku innych hydraulików, na przykład Freda Mackie albo Hanka

Cartera. A co pani powie na braci Woodsen? Może spotkamy się na wspólnym lunchu.

Toby szczerka wesoło. Yvonne kiwa głową.

- Tak, myślę, że to doskonały pomysł. Musimy jeszcze koniecznie zaprosić sierżanta Overby.

Powiedzieć, że matka Hugh jest wściekła, to stanowczo za mało. Yvonne ma wrażenie, iż pani Hill za moment eksploduje niczym Wezuwiusz.

Nagle wewnątrz domu rozlegają się energiczne kroki, ktoś pospiesznie zbiega po schodach i sekundę później w drzwiach pojawia się Hugh. Ma wilgotne włosy, biodra owinięte ręcznikiem. Jest bosy, a jego ramiona i tors ociekają wodą. Właśnie wyszedł spod prysznic.

- Hubercie! - Joan Hill robi przerażoną minę. - Wracaj do środka i włoż coś na siebie!

- Co się dzieje? - pyta Hugh, wychodząc na werandę. - Yvonne, co tutaj robisz? - Rzuca szybkie spojrzenie na matkę, a następnie patrzy porozumiewawczo na Yvonne, dając jej do zrozumienia, że nie powinna była tu przychodzić.

Yvonne nie rusza się z miejsca.

- Szykujesz się do pracy, Hugh? Masz mnóstwo zleceń dla Hillshire Plumbing? A może masz dzisiaj rodzinne zebranie zarządu? - pyta, mierząc go ponurym wzrokiem.

Hugh uświadamia sobie, co się dzieje. Twarz ma napiętą. Robi głęboki wydech.

- Mamo, wejdź do środka, proszę. Jego matka potrząsa głową.

- Mówiłam ci, że popełniasz błąd, zadając się z nią - mówi pod nosem.

- Nie teraz - prosi Hugh. - Muszę porozmawiać z Yvonne.

Joan Hill unosi dumnie podbródek i wchodzi do domu, zatraskując za sobą drzwi.

Hugh robi krok do przodu, przytrzymując ręcznik na biodrach.

- Zamierzałem ci powiedzieć - zaczyna. Yvonne zakłada ramiona na piersi.

- Kiedy?

- Wkrótce. Było nam dobrze razem i nie chciałem tego zepsuć - mówi Hugh i po krótkiej chwili milczenia poprawia się: - Dla ciebie. Nie chciałem zepsuć tego dla ciebie.

Yvonne odwraca się zdeglustowana i idzie do swojej furgonetki. Dlaczego mężczyźni tak się zachowują? Toby truchta za nią z wywieszonym językiem, myśląc, że wybierają się na przejażdżkę.

Hugh ją dogania.

- Posłuchaj, wróciłem tu kilka miesięcy temu, żeby pomóc matce. Firma przeżywała trudne chwile...

- Tak, słyszałam o twojej „pomocy”. Co planujesz w następnej kolejności? Wybijesz mi szybę kamieniem?

Na twarz Hugh wypływa rumieniec. Yvonne domyśla się, że wiedział o wszystkim od samego początku.

- Próbuję wszystko zmienić, ale to nie jest łatwe...

- I to mówi szef firmy?

- Tylko z nazwy. To znaczy tak, zostałem dyrektorem trzy lata temu, po śmierci ojca, lecz to czysto

formalna sprawa. Nigdy nie chciałem partycypować w rodzinnych interesach, ale nie miałem wyjścia. Mama uważała, że mógłbym ożywić naszą firmę, wnieść w nią coś nowego, a bracia naciskali, żebym zaczął się przykładać do obowiązków... - Hugh milknie, sprawiając wrażenie rozgoryczonego i zagubionego. Przeczesuje sobie dłonią włosy, dzięki czemu wygląda jeszcze bardziej pociągająco. - Naprawdę miałem zamiar ci o tym powiedzieć, Yvonne. Zawsze coś stawało mi na przeszkodzie.

- To bardzo wygodna wymówka. Następnym razem powiesz mi, że masz żonę. Albo że jesteś gejem.

- Nie, nie - mówi Hugh. Nagle marszczy brwi i prostuje się gwałtownie. - Chwileczkę. Co powiedziałaś? Gejem?

Yvonne mierzy go ponurym wzrokiem.

- Co to było, Hugh? Badanie rynku?

Hugh ma tak zbolaną minę, że wygląda niemal komicznie.

- Wiesz, że to nieprawda - protestuje. - Może na początku tak, ale na pewno nie teraz.

- A co powiesz o naszym pierwszym spotkaniu, kiedy zadzwoniłeś do mnie z bardzo pilną sprawą? Czy to też było celowe działanie z twojej strony?

Hugh potrząsa przecząco głową.

- Nie. Nasi chłopcy byli zajęci do późnego wieczora, a wiesz przecież, że w tych sprawach jestem beznadziejny. Matka uznała to za dogodną okazję, żeby sprawdzić konkurencję.

- Dogodna okazja. - Yvonne potrząsa głową. - Nie

mogę uwierzyć, że tego nie przewidziałam. - Sięga po skrzynkę z narzędziami, przechodzi energicznym krokiem obok Hugh i zmierza prosto do jego domu.

- Zaczekaj, dokąd idziesz? - pyta Hugh w panice.

- Chcę wymontować korek, który wtedy zainstalowałam - mówi przez ramię Yvonne.

- Co? Nie możesz tego zrobić! Poza tym zapłaciliśmy ci za tę naprawę.

- Zwrócę ci pieniądze. [!] Hugh dogania ją przy samych drzwiach. *

- Przestań! Zachowujesz się jak dziecko! - Chwyta skrzynkę z narzędziami.

Dziewczyna usiłuje mu ją wyrwać, ale po bezskutecznej walce daje za wygraną i z przerażeniem konstatuje, że do oczu napływają jej łzy.

- Wiesz, naprawdę cię lubiłam - mówi w końcu. - Ja też cię lubiłem. Tylko ta... moja rodzina...

- Hugh bezradnie wzrusza ramionami.

- Jesteś dorosły. Sam możesz decydować o swoim życiu. Nie musisz nic nikomu udowadniać.

Hugh patrzy na nią drwiąco.

- Niczego nie rozumiesz.

Oboje trzymają uchwyt skrzynki. Yvonne robi krok w stronę Hugh.

- Rozumiem więcej, niż ci się wydaje - zaczyna, ale on odwraca wzrok.

- Yvonne, jesteś hydraulikiem - wzdycha. - Cholernie dobrym hydraulikiem. Przydałabyś się nam w firmie. Alą moje życie różni się od twojego. - Zaczyna mówić oficjalnym tonem, jakiego Yvonne dotąd

u niego nie słyszała, głosem prawdziwego dyrektora firmy, patrząc na nią niemalże z politowaniem. - Moje życie nie jest takie proste jak twoje, choć chciałbym, żeby tak było.

Słowa te brzmią jak lekko zawołowana zniewaga. Yvonne nie wierzy własnym uszom.

- Biorąc pod uwagę to, co tu zaszło, uważam, że nie powinniśmy się już dłużej spotykać - ciągnie Hugh. Robi przy tym takie wrażenie, jakby wyświadczał jej przysługę. - Nie chciałem, żeby sprawy aż tak się skomplikowały. Myślę, że należy to zakończyć.

- Nie pochlebiaj sobie zbyt - odparowuje Yvonne. - Mam wrażenie, że myślenie nie zajmuje priorytetowego miejsca na twojej liście rzeczy do zrobienia.

Hugh patrzy na nią złym wzrokiem i nagle wypuszcza z rąk uchwyt skrzynki z narzędziami. Pod wpływem nieoczekiwanego ciężaru Yvonne również puszcza uchwyt. Skrzynka spada z hukiem na werandę i otwiera się. Klucze, nakrętki i śruby rozsypują się dookoła. Miedziany obcinak do rur ląduje niebezpiecznie blisko bosych stóp Hugh, który przezornie odskakuje w tył.

- Hej! - krzyczy, jakby Yvonne zrobiła to celowo. Przez sekundę Yvonne żałuje, że nie wpadła na ten pomysł. Palant.

Schyla się i zaczyna zbierać rozrzucone narzędzia, nie podnosząc na niego wzroku. Wszystkie randki powinny się tak zaczynać, myśli, od kłótni i wzajemnych oskarżeń. Żadnych uprzejmości, żadnych kwiatków i motylków - wolałaby oglądać drugiego człowieka

takiego, jaki jest w rzeczywistości. Oszczędziłoby to wszystkim czasu oraz złamanego serca.

Hugh się nie kwapi, by jej pomóc. Gdy Yvonne w końcu zamyka skrzynkę, przed dom zajeżdża furgonetka. W szoferce siedzą dwaj mężczyźni. Mają poważny, a zarazem bardzo pewny siebie wyraz twarzy. Już z daleka widać, że są to bracia Hugh - mają identyczne podbródki i nosy jak on i jego matka.

- O, mamy towarzystwo - mówi Yvonne.

- Jedź już - mówi Hugh, prostując ramiona. Furgonetka zatrzymuje się i mężczyźni wyskakują na podjazd, zatraskując zamasyżcie drzwi. Są wzrostu Hugh, ale teżsi od niego. Idą w kierunku werandy z zaciętymi minami. W oknie stoi Joan Hill z telefonem w ręce.

- Spokojnie, już jadę - mówi Yvonne i patrzy na swoje dłonie pokryte drobnymi, tłustymi plamami.

- Pozwól tylko, że wytrę sobie ręce. Nie będziesz tego potrzebował, prawda? Dzięki. - Zrywa ręcznik z bioder Hugh i idzie do swojej furgonetki.

Connie zbiega po schodach do holu. Srebrne bransoletki na jej przedramieniu pobrzękują głośno. Na dole stoi Hannah i rozmawia z przejściem z Madeline.

Znowu Hannah. W innych okolicznościach Connie miałaby tego dość, ale teraz nie zwraca na nic uwagi. Chce jak najszybciej wyruszyć w drogę.

- Muszę odebrać Serenę od weterynarza - oznajmia.

- Nie będę tam długo.

Przeglądy się w lustrze i zaciska mocno usta, chcąc się upewnić, że błyszczak jest jeszcze na nich

widoczny. Już ma wyjść na podwórze, g'dy widzi, że Madeline i Hannah dziwnie się jej przyglądają.

- Co się dzieje?

- Twoje ulotki o odnalezionej kozie zniknęły - zaczyna Madeline, spoglądając nerwowo na Hannah.

- Ktoś najwidoczniej postanowił ci pomóc i rozkleił je w całym mieście. Hannah zauważyła jedną z nich w aptece.

- Clyde Thomas umieścił ją w oknie wystawowym

- mówi Hannah. - Nie sposób jej nie zauważyć. Słyszałam też, jak ludzie śmieją się i rozmawiają na jej temat w sklepie Pick and Save. W przyjazny sposób

- dodaje szybko.

Connie ma wrażenie, że ktoś oblał ją zimną wodą. Zerka na puste miejsce, gdzie dotąd leżały ulotki.

- Kochana, to musiało się prędzej czy później zdarzyć - mówi Madeline, podchodząc do Connie i obejmując ją ramieniem. - Musimy odnaleźć właściciela Sereny. Nie mamy tutaj warunków do hodowania kozy.

Connie gwałtownie kiwa głową.

- Tak, wiem. - Zbiera jej się na płacz.

- Będziemy dziś we dwie z Hannah, więc możesz odebrać Serenę i sprawdzić przy okazji, czy ktoś się nią przypadkiem nie zainteresował.

- A jeśli nie będziemy mogły znaleźć właściciela?

- pyta Connie. - Albo jeśli właściciel już jej nie chce?

Madeline kiwa głową. Też się nad tym zastanawiała.

- Nie wiem - mówi szczerze. - Tak czy inaczej nie będziemy mogły zatrzymać Sereny tutaj. Walter Lassiter zamierza złożyć na nas oficjalną skargę. Dolores

powiedziała mi o tym dziś rano. Jest jej przykro z tego powodu, ale Walter się uparł. Wszystko sobie zapisuje i gromadzi dowody przeciwko nam, a przynajmniej przeciwko Serenie. Nawet jeśli właściciel się nie zgłosi, prawdopodobnie będziemy musiały się jej pozbyć. Przykro mi, kochanie.

W drodze do gabinetu weterynarza Connie usiłuje myśleć o czymś przyjemnym, ale nie jest w stanie. Przez lata, kiedy żyła na własny rachunek, nigdy nie zadała sobie pytania, które przychodzi jej do głowy właśnie teraz. Dlaczego ona? Dlaczego ona, a nie ktoś inny? Dlaczego to właśnie ona musiała stracić rodziców, tułać się po rodzinach zastępczych, pracować ciężiej niż inni, by zdobyć to, czego pragnie każdy człowiek - jedzenie, dach nad głową, wolność - podczas gdy ludzie wokół niej nigdy się nad tym nie zastanawiali? Nigdy nikogo o nic nie winiła, ale teraz ma żal do wszystkich, nawet do Madeline.

Gdyby Madeline rzeczywiście tak bardzo ją lubiła, nie kazałaby jej oddać Sereny. Próbowalaby znaleźć jakieś inne wyjście. Czym właściwie Serena różni się od psa? Tak jak mówił Eli, niektóre psy są nawet większe od niej.

Gdy Connie w końcu wchodzi do przychodni weterynaryjnej, poczekalnia jest pełna. Czeka tam chłopiec z żółwim, mężczyzna z terierem, kobieta z kotem w specjalnej budce i jeszcze parę osób.

Recepcjonistka, Della, marszczy brwi na widok dziewczyny.

- Hm - mówi z lekkim prychnięciem. - Poinformuję

doktora Ballarda, że pani przyszła. - Podnosi się z krzesła i wchodzi do jednego z pokoi.

Eli wystawia głowę zza drzwi. On na pewno wszystko zrozumie. Wiadomo, uczucia Connie do Sereny wydają się dziwne ludziom pokroju Madeline, Hannah czy Waltera Lassitera, ale Eli jest weterynarzem z powołania. Dobrze zna zwierzęta, kocha je, hodował kiedyś kozy. Connie uśmiecha się do niego serdecznie. Bardzo chciałaby ujrzeć na jego twarzy przyjazny uśmiech, ale on pozostaje poważny.

- Wejdz, proszę.

Connie wchodzi do gabinetu. Eli siedzi na taborecie z zasepioną miną. Sereny nigdzie nie ma. Connie ogarnia strach.

- Gdzie Serena? - pyta. - Czy wszystko z nią w porządku?

- Nic jej nie jest. Czeka na zapleczu. - Eli bierze do ręki jakąś kartkę. - Ktoś przyniósł to dziś rano do gabinetu.

Ulotka. Connie przełyka ślinę.

- Przygotowałam je, żeby sprawdzić, czy znajdę jej właściciela. Pewnego ranka znalazłam ją w parku.

Eli nic nie mówi, czeka na ciąg dalszy.

- Wracalam z targu i zobaczyłam, że koza skubie trawę przy drzewie - ciągnie niepewnie Connie. - Poszła za mną do domu.

Eli patrzy na nią.

- Coś jeszcze?

- Miała, hm, sznurek na szyi, ale był przegryziony. - Connie wierci się na krześle, coraz bardziej skonsternowana.

- Koza uciekinierka? - pyta kpiąco Eli. Dlaczego spogląda na nią tak podejrzliwie?

- Tak - mówi Connie. - Można tak powiedzieć. To znaczy tak przypuszczam.

- Przecież nikt nie trzyma kóz w mieście - dziwi się Eli. - Jakim cudem znalazła się w parku?

Connie wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Tam ją znalazłam.

- Jest u ciebie od pierwszych dni sierpnia?

- Tak. - Connie marszczy brwi. - Skąd wiesz?

Eli zachowuje się tak, jakby nie słyszał jej pytania.

- Słyszałaś kiedyś o farmie rodziny Doherty? Nazwa brzmi znajomo, ale Connie potrząsa przecząco głową.

- To gospodarstwo położone na południe od Avalon, oddalone od miasta o czterdzieści minut jazdy. Mają tam niewielkie zoo dla zwiedzających, urządzają na swoim terenie przejażdżki wozem konnym z sianem, przyjęcia urodzinowe i podobne imprezy. Farma istnieje już bardzo długo, od kiedy pamiętam. Jeździłem tam jako dziecko.

- To miłe... - zaczyna Connie, ale Eli ucisza ją gestem dłoni. Jeszcze nie skończył.

- Dwa miesiące temu ktoś włamał się nocą do zagrody i ukradł jedną z kóz nubijskich. Zdemolował ogrodzenie, żeby się do niej dostać.

Connie wpatruje się w niego oszołomiona.

- Chcesz powiedzieć, że ja ją ukradłam? Z farmy? Po co miałabym to robić?

Eli nie spuszcza z niej wzroku.

- Nie wiem. Zrobiłaś to?

- Nie! - Connie nie może w to uwierzyć. Kto w ogóle kradłby kozę, na miłość boską?! - Przecież wydrukowałam ulotki! Gdybym ją ukradła, chyba bym tego nie robiła, prawda? - Policzki płoną jej z oburzenia.

Eli wyraźnie się rozluźnia. Na jego twarzy maluje się ulga.

- To samo powiedziałem Raynie. Jednak wciąż jest zdenerwowana. Widzisz, Serena będzie miała młode, i...

Connie z trudem łapie powietrze.

- Młode?

- Była w szóstym tygodniu, kiedy ją skradziono, więc musi jeszcze poczekać - ciąża u kóz trwa zazwyczaj sto pięćdziesiąt dni. Rayna bardzo się martwiła.

- Czy jest pewna, że to jej koza? - pyta Connie. - To przecież Illinois. Wokół Avalon jest wiele farm.

- Rayna znakuje swoje zwierzęta - mówi Eli. - Znalazłem chip. To koza Rayny, wszystko się zgadza. Wabi się Żonkilka.

- Żonkilka? - Connie krzywi się. Nie potrafi wyobrazić sobie Sereny jako Żonkilki.

Eli się śmieje.

- Mnie też bardziej podoba się imię Serena.

- Jak ona się czuje? Co się z nią dzieło?

- Myślę, że po prostu tęskniła za domem. Kozy to zwierzęta stadne, lubią towarzystwo. Powinny przebywać w większej grupie.

Connie ma wyrzuty sumienia.

- Też tak słyszałam. A więc czuła się samotna. Eli kiwa głową i dodaje:

- Ma bardzo dobre wyniki. Cięża przebiega prawidłowo. Ale ty możesz mieć kłopoty.

Connie znów czuje niepokój.

- Dlaczego? Przecież nie zabrałam jej z farmy.

- Wiem, ale fakty są takie, że Serena została ukradziona, a ty jesteś jedyną osobą, która coś o tym wie. Czy ktoś może potwierdzić twoją wersję wydarzeń?

- Tak. Moja szefowa, Madeline Davis. Była w domu, kiedy przyprowadziłam Serenę. Wie, że nigdy nigdzie nie chodzę. Będzie mogła potwierdzić, że tamtej nocy byłam w domu.

- Powtórz to jeszcze policjantowi i na pewno wszystko dobrze się skończy - mówi Eli, wstając z taboretu.

- Policjantowi?

W tym momencie Della otwiera drzwi i oskarżyciel-skim gestem wskazuje palcem na Connie.

- To ona.

Do gabinetu wchodzi funkcjonariusz Joey Daniels, a za nim kobieta w dżinsach, jasnoróżowej koszuli i butach za kostkę. Ma siwe włosy upięte w kok z tyłu głowy i ogorzałe od słońca policzki. Mierzy wzrokiem czarne ubranie i nastroszone włosy Connie.

- Chcę wnieść skargę - mówi słabym głosem.

- Ja jej nie ukradłam! - protestuje Connie. - Znalazłam ją. To ja wydrukowałam ulotki!

- Była u pani przez osiem tygodni! Nikt nie widział tych ulotek aż do dzisiejszego dnia! Myślała pani, że zachorowała, i tylko dlatego ją tu pani przywiozła. Koniec zabawy, co?

Connie z niedowierzaniem patrzy na Eliego.

- Wierzysz mi, prawda?

- Uspokój się, Rayno - mówi weterynarz. - Wszyscy jesteśmy zdenerwowani, ale ja naprawdę wierzę Connie. Ona nie ma powodu, żeby kłamać w tej sprawie. Myślę, że szczerze martwi się o Serenę... to znaczy o Żonkilkę.

- Nie obchodzi mnie to - odpowiada Rayna. - Zamartwiałam się o Żonkilkę. Mogło się jej przytrafić coś złego... - Potrząsa głową.

- Będę musiał zadać pani kilka pytań, Connie - wtrąca się Joey Daniels. - Poza tym jest jeszcze kwestia zniszczonej zagrody. Czy może pani udać się na posterunek?

Connie kiwa głową, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Nigdy nie wplątała się w żadne kłopoty, nawet gdy błąkała się po rodzinach zastępczych.

- Czy mogłabym jeszcze zobaczyć Serenę?

- Nie! - Rayna jest naprawdę zła. - Nie życzę sobie, żeby pani do niej podchodziła. - Odwraca się do policjanta. - Chcę, żeby ta kobieta otrzymała sądowy zakaz zbliżania się do Żonkilki.

- Pani Doherty, proszę pozwolić mi najpierw z nią porozmawiać - mówi funkcjonariusz Daniels. - To może być gruba pomyłka.

- Właśnie - przytakuje Eli.

- Wątpię - prycha Della.

- Idziemy, Connie. - Daniels kiwa głową w kierunku drzwi. - Wyjaśnimy to na posterunku.

- Mogę już zabrać Żonkilkę? - pyta Rayna Eliego.

Eli waha się, zerkając na Connie, po czym kiwa głową.

- Możesz podjechać tu furgonetką - mówi.

Connie wychodzi za policjantem do przepelnionej poczekalni. Ludzie i zwierzęta przyglądają się jej z ciekawością. Radiowóz stoi przed głównym wejściem do budynku. Przechodnie nie odrywają od nich wzroku.

- Mam tu wsiąść, czy mogę jechać swoim samochodem? - pyta cicho Connie.

Daniels odwraca się do niej.

- Nie jest pani aresztowana. Ale proszę nie zbaczać z drogi, dobrze?

Connie drżącymi rękami sięga po kluczyki. Joey Daniels włącza światła w radiowozie. Syrena wyje głośno, gdy Connie jedzie za nim na posterunek.

Rozdział 15

Ava siedzi na twardej ławce z wyrazem troski na twarzy.

- Muszę odebrać syna z przedszkola - mówi do przechodzącego policjanta, ale on nawet się nie zatrzymuje. - Przepraszam! - woła do kolejnego, który tylko potrząsa głową.

Ava patrzy niespokojnie na zegarek. Nagle słysząc czyjś podniesiony głos, podwójne drzwi otwierają się z trzaskiem i do środka wchodzi z triumfalną miną atrakcyjna blondynka eskortowana przez policjanta. Dłonie ma skute kajdankami. Po chwili Ava rozpoznaje w niej Yvonne, przyjaciółkę Isabel, którą spotkała na zebraniu Klubu Miłośniczek Albumów.

Policjant udziela Yvonne surowej reprimendy i każe jej usiąść na ławce obok Avy. Yvonne patrzy ze zdziwieniem na swoją nową znajomą, również zakutą w kajdanki.

- Cześć. Jesteś Ava, prawda?

Ava kiwa głową.

- Za co tu jesteś? - pyta.

- Zakłócanie porządku. A ty?

- Zniszczenie cudzej własności.

Yvonne kiwa głową. Kobiety obserwują dwóch policjantów, którzy rozmawiają cicho między sobą, od czasu do czasu podnosząc na nie wzrok.

Drzwi znów otwierają się gwałtownie i do środka wpada Madeline ze zmartwioną miną.

- Sierzancie Overby! - woła głośno i zatrzymuje się na widok Avy i Yvonne siedzących na ławce dla zatrzymanych. - A cóż to ma znaczyć?

- Cześć, Madeline - mówią obie, uśmiechając się przeprasząco.

- Na miłość boską, co tutaj robicie? - pyta starsza pani. W tym samym momencie z pokoju na tyłach niewielkiego komisariatu wychodzi sierżant Overby.

- Przyszła pani w sprawie Connie? - pyta.

- Tak. Gdzie ona jest?

- W pokoju przesłuchań. Wkrótce skończymy. Co może nam pani powiedzieć o jej kozie? Connie powiedziała, że kiedy ją przyprowadziła, była pani w domu.

- Tak - mówi Madeline. - Poszła na targ i po drodze ją znalazła.

- Czy mówiła, jakie ma zamiary? Dziś pojawiły się w mieście ulotki, ale dlaczego upłynęło aż tyle czasu, zanim przyznała się, że przygarnęła to zwierzę?

Madeline marszczy brwi.

- Czy Connie ma jakieś problemy?

Sierżant Overby robi ponurą minę.

- Tak, ma problemy. Została oskarżona o kradzież. Ściśle mówiąc, o wprowadzenie kozy.

- Śmieszne! - wykrzykuje Madeline. Ma zamiar wyminąć sierżanta Overby i wtargnąć do pokoju przesłuchań, ale funkcjonariusz podnosi w górę ręce i potrząsa głową.

- Obawiam się, że nie. Rayna Doherty wniosła oficjalną skargę. Mniej więcej osiem tygodni temu ktoś włamał się do jej zoo, zostawił mnóstwo śladów opon, zniszczył ogrodzenie oraz koryto do pojenia zwierząt i odjechał z jedną z kóz, która na dodatek była w ciąży. Miało to miejsce w nocy, wszyscy byli bardzo przestraszeni.

- Zapewniam pana, że Connie nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego - oświadcza gwałtownie Madeline.

- Czy może pani stwierdzić z całą pewnością, gdzie Connie przebywała tamtej nocy?

- Oczywiście. - Madeline zerka niespokojnie na Avę i Yvonne. - Była w domu, ze mną.

- Czy ma pani lekki sen? Madeline sztywnieje.

- Umiarkowanie. Nocne hałasy zazwyczaj mnie budzą.

Sierżant Overby kiwa głową.

- Kładzie się pani wcześniej spać?

Twarz Madeline nie wyraża żadnych emocji. Sierżant Overby wzdycha.

- Bez urazy, ale do przestępstwa doszło tuż po północy. Connie mogła wymknąć się z posesji, pojechać na farmę, ukryć kozę w dogodnym miejscu

i przyprowadzić ją rano do domu, a pani i tak nie byłaby niczego świadoma.

- Jeśli sprawca pozostawił wszędzie odciski opon, należy sprawdzić samochód Connie i porównać ślady. Dlaczego nikt tego nie zrobił? - pyta Yvonne. Wszyscy odwracają się, patrząc na nią ze zdziwieniem. - To rozwiązałoby sprawę, prawda?

- Jesteśmy w Avalon, pani Täte. Nie zachowujemy odcisków opon, chyba że zachodzi podejrzenie złamania prawa.

- A więc wcześniej nie brali tego panowie pod uwagę? - pyta Ava. Zachęca wzrokiem Yvonne, żeby ją poparła. - Ślady opon i połamane ogrodzenie to dla mnie dowód popełnionego przestępstwa.

Yvonne i Madeline potakują. Sierżant Overby jest wyraźnie zmieszany.

- A jeśli nie da się już tego zrobić - zastanawia się na głos Yvonne - to może warto zbadać samochód Connie pod kątem ewentualnych uszkodzeń? Nawet gdyby zostały naprawione, mogliby to panowie łatwo wykryć, prawda?

- Właśnie! - mówi Madeline. - Samochód stoi przed komisariatem, a ja wiem, że Connie nigdy nie miała żadnej stłuczki. Jest bardzo ostrożnym kierowcą.

Z pokoju przesłuchań wychodzi roztrzęsiona Connie eskortowana przez funkcjonariuszkę Juanitę Tripp. Na widok Madeline dziewczyna gwałtownie przyspiesza kroku.

- Nie pozwolili mi się nawet z nią pożegnać!

- skarży się, szłocha. Madeline serdecznie ją obejmuje. - Myślą, że ją ukradłam!

- Dokonamy teraz oględzin pani samochodu

- oznajmia sierżant Overby. Connie kiwa głową, pociągając nosem. Juanita Tripp wychodzi na zewnątrz.

Sierżant Overby patrzy na Avę i Yvonne.

- Chyba mi nie powiecie, że chcieliście przykuć te kobiety do ławki - mówi z westchnieniem do funkcjonariusza Danielsa. - Zdejmijcie im te kajdanki, na miłość boską.

Joey Daniels podnosi na niego wzrok, marszcząc czoło.

- Sierżancie, pani Catalina, przez nikogo niesprowowowana, wrzuciła worek pełen naczyń kuchennych do sportowego kabrioletu - raportuje.

- Garnki, patelnie, talerze, szklanki, widelce, łyżki i noże. - Ostatnie słowo wymawia z naciskiem, unosząc znacząco brwi.

Na sierżancie Overby nie robi to specjalnego wrażenia.

- I co jeszcze?

Daniels zerka do notatek.

- Pani Täte publicznie upokorzyła jednego z członków rodziny Hill i dokonała poważnego uszkodzenia ich werandy.

- Po pierwsze, weranda nie została nawet drażnięta - mówi Yvonne. - A po drugie, musiałam wytrzeć w coś ręce. Okazało się, że ręcznik, którym się przepasał, to wszystko, co miał na sobie.

Ava parska śmiechem. Nawet sierżant Overby chichocze dyskretnie.

Do środka wchodzi Juanita Tripp i wręcza Connie kluczyki do jej samochodu.

- Żadnych śladów - mówi. Sierżant Overby kiwa głową.

- Connie, może pani iść do domu - oświadcza. Odbiera od Joeya Daniela kluczyki do otwierania kajdanek i szybko rozkuwa Yvonne oraz Avę. - Będziemy musieli z paniami porozmawiać.

- Czy mogę być pierwsza? - pyta Ava z niepokojem w głosie. - Mój syn czeka w przedszkolu, już jestem spóźniona, i to bardzo. Dodatkowe godziny z opiekunką bardzo dużo kosztują, a poza tym nie chcę, żeby się martwił.

- Czy ktoś nie może pojechać po niego zamiast pani? - pyta sierżant Overby.

Ava potrząsa przecząco głową.

- Tylko ja... - zaczyna, po czym nagle sobie o czymś przypomina. Kiedy wypełniała dokumenty dla przedszkola, w jednej z rubryk należało na wszelki wypadek podać nazwisko i numer telefonu jeszcze jednej bliskiej dziecku osoby. Nie miała nikogo takiego, nie znała żadnego nazwiska ani numeru telefonu oprócz...

Na posterunek wchodzi Isabel z Maxem na rękach.

- Max! - woła Ava z ulgą, podbiegając do synka..

- Mamusiu!

- Isabel? - Yvonne uśmiecha się szeroko.

- Yvonne? - Isabel nie posiada się ze zdziwienia, spoglądając to na nią, to na Avę. - Ava? Co tu się wyprawia, do diaska?

Ava obsypuje Maxa pocałunkami.

- Skąd dowiedziała się pani, że tutaj jestem? - pyta bez tchu, przyciskając mocno synka do piersi. Czuje dla Isabel ogromną wdzięczność, uśmiecha się do niej szeroko.

Ale Isabel nie odwzajemnia uśmiechu.

- Nie wiedziałam, że panią tu spotkam. - Wskazuje kciukiem na Yvonne. - Jej szukałam. Ale cieszę się, że panią widzę, bo mam pytanie. - Pochyliła się w stronę Avy, mierząc ją ostrym, zimnym wzrokiem. - Co, u diabła, sobie pani wyobrażała, podając mnie za kogoś bliskiego?

- Próbowałam to pani wyjaśnić... - mówi Ava, ale Isabel nie zwraca na nią uwagi. Przykuca na podłodze, patrząc Maxowi prosto w oczy. Przestraszony tonem jej głosu, chłopiec usiłuje schować się za nogami matki.

- Przepraszam, Max - mówi Isabel, ale nieco łagodniej. - Nie spodziewałam się, że zobaczę tu twoją mamę, i trochę poniosły mnie emocje. Ale cieszę się, że wszystko z nią w porządku.

Malec wyraźnie się uspokaja.

- Max, wyjdźmy sobie na świeże powietrze - proponuje Madeline i zerka na Avę, pytając ją wzrokiem o zgodę. Ava z wysiłkiem kiwa głową. Connie podaje dziecku rękę i we troje wychodzą z komisariatu.

- Pytam jeszcze raz - zaczyna znów Isabel. Mówi ciszej, lecz Ava widzi, że jest wściekła. - Uznała mnie pani za kogoś, do kogo można dzwonić w awaryjnej sytuacji? Za bliską osobę?

- Nie sądziłam, że kiedykolwiek trzeba będzie do pani dzwonić - wyznaje nerwowo Ava. - Nikogo

nie znałam, nie wiedziałam, czyje nazwisko podać. Pisałam o tym w listach do pani...

- Nie czytałam ich.

Ava w nerwach zwraca się do Yvonne:

- Wiem, że nie powinnam była mieszać w to Isabel bez jej zgody, ale nie wiedziałam, co robić. Bez nazwiska i telefonu bliskiej osoby nie mogłabym złożyć dokumentów w przedszkolu. - Przygryza usta i odwraca się do Isabel. - Przepraszam, ale jedynie panią naprawdę znam. Jedynie pani mogłabym zaufać.

- Nie zna mnie pani - mówi gwałtownie Isabel.

- W ogóle mnie pani nie zna. Jak pani myśli, jak mogłam się czuć, będąc zmuszona do odebrania z przedszkola dziecka, które jest synem mojego męża? Synem mojego zmarłego męża? Skąd w ogóle przyszło pani do głowy, że się nim zaopiekuję?

- Ponieważ jest synem Billa - mówi cicho Ava.

- Wiem, że nigdy nie skrzywdziłaby pani Maxa, bo kochała pani Billa.

Isabel zaczyna się jąkać, nie może wydusić z siebie słowa. Yvonne dotyka jej ramienia.

- Może porozmawiamy o tym później.

- A ty? - Isabel odwraca się do niej. - Dlaczego nie odbierałaś telefonu?

- Matka Hugh nasłała na mnie policję - wyjaśnia Yvonne speszona. - Zatrzymali mnie kilka przecznic od jej domu. Jechali na sygnale, przejeżdżając jak diabli. Joan zrelacjonowała im całe zajście takim tonem, jakbym uciekła ze srebrną zastawą jej babki, a nie jakimś tam zwykłym ręcznikiem. Joey Daniels omal

nie sięgnął po broń! Było co oglądać. Szkoda, że cię to ominęło.

- Mówiłam, żebyś nie robiła głupstw! Zadzwoiłam do Hugh, by się upewnić, że nie rozerwałaś go na strzępy na jego własnym trawniku, a on powiedział mi, co się stało. Nie sprawiał wrażenia przesadnie ucieszonego. Jechałam tu, myśląc, że będę musiała wpłacić za ciebie kaucję albo identyfikować twoje ciało w kostnicy!

- Teraz już przesadzasz. Isabel traci cierpliwość.

- Yvonne, nie możesz wpadać jak furia do domu ludzi, którzy wysyłali ci pogróżki. Nic o nich nie wiesz. Mogli zrobić ci krzywdę.

- Hugh to mięczak, a jego uzależnieni od pączków bracia dają ludziom świetny powód do układania kawałów o hydraulikach - oświadczą buńczucznie Yvonne. - W każdym razie wszystko już skończone.

Isabel zwraca się do Avy.

- A pani historia?

Ava waha się przez chwilę.

- Wrzuciłam całe wyposażenie kuchni z wyjątkiem zlewu do maserati Randalla Strombauera.

- Randalla Strombauera? Dlaczego?

- Przez niego już nigdy nie zostanę zatrudniona jako pomoc dentystyczna. Pogrzebał moje szanse na pracę, świetną pracę, i zrobi to kolejny raz. Jestem pewna. Kiedy pojechałam do niego po referencje, próbował mnie szantażować, mówił, że potraktowałby mnie dobrze, gdybym ja tak go traktowała. Wyjęłam z samochodu

worek pełen rzeczy, które zamierzałam odstąpić potrzebującym, i wrzuciłam do jego kabrioletu.

- Randall Strombauer - mruczy Isabel. - Nigdy mu nie ufałam. Zawsze przypuszczałam, że coś między wami zaiskrzy, ale oczywiście się myliłam.

- Bill wspomniał kiedyś, że nie jest pani szczęśliwa - wyrzuca z siebie Ava. Nie powinna tego mówić, w każdym razie na pewno nie tutaj, ale nie wie, czy będzie miała kolejną okazję. - I rzeczywiście, ilekroć panią widziałam, robiła pani na mnie wrażenie nieszczęśliwej, choć zawsze była pani dla mnie miła. Gdybym wiedziała...

Isabel znów mierzy ją zimnym, bezlitosnym wzrokiem.

- To co? Nie przespałaby się pani z nim? Nie urodziła jego dziecka?

Ava się czerwieni. Zbliża się sierżant Overby.

- Myślę, że to wystarczy. Ava i Yvonne, mogą panie iść do domu.

Funkcjonariusz Daniels podnosi wzrok znad dokumentów.

- Ależ sierżancie...

- Do widzenia - mówi sierżant do kobiet i odwraca się do Daniela. - Przygotujcie jeszcze jeden dzbanek kawy. Zajmę się Hillami i doktorem Strombauerem.

Ava, Yvonne i Isabel wychodzą na zewnątrz. Madeline i Connie siedzą z Maxem pod orzechem włoskim, śpiewając wraz z nim piosenkę o małym pajęczku. . - Isabel... - zaczyna Ava.

- Nie mam ochoty z panią rozmawiać - oświadcza

Isabel. Jest zmęczona, ma wszystkiego dość i pragnie jak najszybciej znaleźć się w domu.

Ava chce o coś ją zapytać, choć bardzo się tego obawia. Nie ma jednak innego wyjścia. Nie chce wracać z powrotem pod gabinet i ryzykować ponownego spotkania z Randallem Strombauerem.

- Przepraszam, ale chciałabym prosić panią o drobną przysługę.

- To chyba jakiś żart - odpowiada Isabel. Ava patrzy na nią bezradnie.

- Dobrze. - Isabel wzdycha ciężko. - O co chodzi? Ava waha się, po czym pyta:

- Czy mogłaby pani odwieźć mnie i Maxa do domu?

Ktoś dzwoni do drzwi. Frances jest w kuchni, ręce ma lepkie od ciasta.

- Nick, możesz otworzyć?! - woła.

- Jestem zajęty! - dobiega odpowiedź z salonu. Noah i Brady siedzą przy kuchennym stole, wrywając sobie nawzajem z rąk grę wideo, w której głównymi bohaterami są ptaki i świnie.

- Nick, proszę cię! Cisza.

Zirytowana Frances szybko zwilża kawałek papierowego ręcznika i rusza w kierunku drzwi, wycierając ręce. Noah i Brady wyraźnie zaciekawieni idą za nią. Przechodzą obok Nicka, który leży na sofie. Na głowie ma przekrzywioną czapkę bejsbolową.

- Nie masz nic zadanego? - pyta Frances, sięgając po pilota i wyłączając telewizor.

- Już zrobiłem - mówi Nick. Gdy wstaje i idzie za nią do drzwi, czapka spada mu z głowy. Frances widzi, że na głowie sterczy mu niesforny kosmyk włosów, i usiłuje przygładzić go dłonią.

- Mamo! - protestuje chłopak, odpychając jej rękę. -Przestań! Wstydzę się!

- Przecież nikt nie patrzy - mówi Frances i powstrzymuje się siłą woli przed ponownym pogłaskaniem go po głowie. Będzie musiała porozmawiać z Mavis z salonu Cut and Curl i zapytać ją, czy można strzyć Nicka w taki sposób, żeby nie odstawał mu żaden kosmyk.

Otwiera drzwi i ku swemu zdumieniu widzi, że na jej wycieraczce stoi Hannah z dużym półmiskiem czekoladowych ciastek.

- Oooch! - wzdychają chórem trzej chłopcy. Nawet Frances zaczyna mieć ochotę na spróbowanie tego smakołyku.

Hannah wybuchła śmiechem.

- Przepraszam, że wpadam bez zapowiedzi, ale chciałam się z tobą podzielić, a nie znam twojego numeru telefonu.

- Będziemy musiały to zmienić. Wejdz, proszę!

- Upiekłam dla mojej sąsiadki sporą porcję bezglutenowych batoników śniadaniowych z komosą ryżową i czekoladą - mówi Hannah, idąc za Frances do kuchni i zrećźnie wymijając porozrzucone po podłodze zabawki, które w tym domu nikogo nie dziwią. - Pomyślałam, że może zechcesz się poczęstować. Nasz ostatni eksperyment chyba się udał.

- Dzieci były zachwycone babeczkami - mówi Frances. - Pierwsze przyjęcie w nowym roku przedszkolnym dzięki tobie skazało się wystrzałowe. Chciałam zadzwonić i ci to powiedzieć, ale też nie miałam twojego numeru. Zamierzałam zajrzeć do książki telefonicznej... - zawiesza głos, wyraźnie zakłopotana.

- Nie przejmuj się - uspokaja ją Hannah, stawiając półmisek na kuchennym stole. - Ja też jestem wciąż zajęta. Dopiero dzisiaj udało mi się wygospodarować sobie nieco wolnego czasu.

Stoją na środku kuchni, uśmiechając się do siebie. Chłopcy tłoczą się wokół stołu. Brady usiłuje wsunąć ręce pod przezroczystą folię, którą owinięty jest półmisek.

- Wiem, że zbliża się pora obiadu, ale może spróbują po jednym? - pyta Hannah, odwijając folię.

- Dobrze, lecz panie mają pierwszeństwo - oświadcza Frances i pierwsza sięga po batonik. - Och, to jest dobre! - mówi po pierwszym kęsie.

Hannah kiwa głową, odłamując sobie mały kawałek. Nick zjada szybko jedno ciastko i sięga po następne.

- Nick, zachowuj się! - zwraca mu uwagę Frances. - **1** co powinniście powiedzieć Hannah?

- Dziękujemy - posłusznie odpowiadają chłopcy.

Frances z westchnieniem strzepuje z palców okruchy batonika i podchodzi do blatu roboczego. Hannah idzie za nią.

- Widzę, że też coś pieczesz - mówi na widok posypanego mąką ciasta.

Frances potrząsa przecząco głową.

- Nie - odpowiada, biorąc do ręki książkę kucharską. - Chcę zapoznać się z kuchnią chińską, żeby zrobić przyjemność Mei Ling. Próbuję przygotować placki z zieloną cebulką. Smaży się je na patelni. Jadłaś kiedyś coś takiego?

- *Cóng yóubing*? Oczywiście, moja mama robiła je, kiedy byłam mała. To jedno z moich najmielszych wspomnień z dzieciństwa. - Hannah czyta przepis, kiwając głową. - Nigdy ich nie robiłam, ale przepis wydaje się dobry.

- Nigdy ich nie robiłaś? - pyta Frances z nieukrywanym zdziwieniem w głosie i dodaje szybko, zawstydzona: - Oczywiście nie musisz tego umieć...

Hannah ze śmiechem kartkuje książkę.

- Wiem, że może się to wydawać dziwne. Gotuję *poulet au porto* częściej niż ryż i wolę herbaty ziołowe od tradycyjnych czarnych i zielonych. Ale to danie jest częścią mojej tożsamości i można powiedzieć, że się na nim wychowałam. Nie robię go przede wszystkim dlatego, że jestem do niego tak przyzwyczajona. A w dodatku preferuję kuchnię europejską. - Uśmiecha się, patrząc na miskę z posiekaną cebulką. - Ten widok budzi we mnie dawno zapomniane wspomnienia. Moja matka zmarła, gdy byłam jeszcze dzieckiem, ale nie jadłam nigdy placków *cóng yóubing*, które byłyby tak dobre jak te usmażone przez nią.

- Przykro mi z powodu śmierci twojej matki - mówi szybko Frances.

- Och, to było już dawno - uspokaja ją Hannah. - Placki przywołują miłe wspomnienia, a nie smutne.

Zapomniałam już o nich, to wszystko. Mam nadzieję, że kiedy je zrobisz, odłożysz jedną porcję dla mnie.

Frances patrzy na panujący w kuchni bałagan i krzywi się.

- Nie jestem pewna, czy uda mi się stworzyć coś jadalnego. Przepis nie jest do końca jasny. Najpierw każą zrolować rozwałkowane ciasto, potem uformować z niego coś w rodzaju ślimaka, a na końcu jeszcze raz je rozwałkować. Myślisz, że muszę to wszystko robić?

- To łatwiejsze, niż ci się wydaje - mówi Hannah. - Musisz koniecznie zastosować się do przepisu. Dzięki temu ciasto będzie puszyste i łatwiejsze do krojenia. To był mój najulubieńszy moment. Zawsze przyglądałam się mamie, kiedy je przygotowywała. Smakowało bosko.

- Dobrze, ale rozumiesz chyba, że nie pozwolę ci wyjść z kuchni, dopóki mi nie pomożesz. - Frances wręcza jej wałek do ciasta. - Jesteś skarbnicą cennych rad. Istnieje nawet pewne prawdopodobieństwo, że nigdy cię stąd nie wypuszczę. - Kiwa głową w kierunku stołu, gdzie Nick pokazuje młodszym braciom, jak grać w grę wideo. Każdy z chłopców ma w ręce batonik. Siedzą przytuleni do siebie i cicho rozmawiają, nie biją się ani nie kłócą. - Dodałaś do tych ciastek środek uspokajający?

Hannah podchodzi do zlewu, żeby umyć ręce.

- Moja tajna broń to...

Panie patrzą na siebie i wykrzykują jednocześnie:

- Czekolada!

Podczas gdy wałkują ciasto na cienkie okrągłe placki i posypują je posiekaną cebulką, solą i białym

pieprzem, a także skrapiają olejem sezamowym, Frances opowiada Hannah o kołdrze, którą właśnie szyje.

- Tylko się nie śmieję - ostrzega. - Spróbuję powiedzieć to po chińsku, ale pewnie wszystko zepsuję.

- Słucham - mówi poważnie Hannah.

- Okay. - Frances bierze głęboki oddech. - Robię dla Mei Ling *bai jia bei*. - Wymawia każde słowo powoli i wyraźnie, czekając na reakcję Hannah.

Z miny dziewczyny jasno wynika, że nic jej to nie mówi.

- *Bai jia bei* - powtarza Frances. - Kołdra Stu Dobrych Życzeń.

- Hm... - Hannah marszczy nos. - Przykro mi. Nie mam pojęcia, co to jest.

- To zwyczaj pochodzący z północnych Chin. Gdy w rodzinie przychodzi na świat dziecko, rodzice proszą stu krewnych i przyjaciół, by każdy podarował im kawałek materiału. Z tych fragmentów zszywa się później kołdrę, która ma przynieść błogosławieństwo i szczęście. Zamierzam wykonać album ze zdjęciami wszystkich osób, które wezmą w tym udział. Wkleję do niego również małe kawałki materiału podarowanego przez każdą z nich.

- Wspaniały pomysł! - wykrzykuje Hannah. - Chciałabym też przynieść ci materiał. Jeśli można.

- Oczywiście można. Naprawdę nigdy o tym nie słyszałaś? - pyta Frances po chwili ze szczerym zdziwieniem, marszcząc brwi.

- Nie. Ale dobrze to wymówiłaś. *Bai* oznacza sto, a *bei* lub *beizi* - kołdrę. Środkowe słowo, *jia*, oznacza

dom lub rodzinę. Brzmi sensownie. - Hannah zaczyna zawijać brzeg placka.

Frances naśladuje jej ruchy. Przygląda się, jak Hannah powoli roluje placek, zwija go w ślimaka, który spłaszcza dłonią, i podaje jej do ponownego rozwałkowania. Na gotowym placku pojawia się piękny spiralny wzór.

- A może ten zwyczaj nie istnieje - zastanawia się Frances, sięgając po następny placek. - Może to jedna z tych tradycji, które mają tylko sprawiać wrażenie pochodzących z Chin. Znalazłam te informacje w internecie, ale wyłącznie na stronach poświęconych adopcji. Może Chińczycy w ogóle jej nie praktykują?

- Czy to ma znaczenie? - pyta Hannah. - Wspaniale, że zależy ci, by Mei Ling nie traciła kontaktu ze swoją kulturą, lecz najważniejsze jest to, że znajdzie się wśród ludzi, którzy szczerze ją kochają i pragną dla niej jak najlepiej. Wasi synowie mają szczęście, że wychowują się w takiej rodzinie. Każde dziecko na ich miejscu czułoby się szczęśliwe. Wiem, że Jamie myśli tak samo o swoich rodzicach. Często mają wszystkiego dość, a w ich domu panuje straszliwy rozgardiasz, lecz Jamie i jego bracia wiedzą, że są przez nich bardzo kochani.

Frances wie, że Hannah ma rację, ale wciąż nie daje jej spokoju myśl, że powinna zrobić coś więcej, szczególnie dla Mei Ling.

- To wydaje się zbyt idealne - mówi. - Amerykańska rodzina adoptuje dziewczynkę z Chin, która potrzebuje miłości i ciepła. Mówiłam ci, że Mei Ling ma

poważne problemy zdrowotne. Obawiam się, że wiele spraw nie zależy od nas. W kwestii różnic kulturowych mogę jednak coś zrobić. Miłość nie wystarczy. Nie chcę, by Mei Ling w późniejszym wieku doświadczyła kryzysu tożsamości. Nie chcę, by sama nie wiedziała, kim jest.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, czy możesz coś z tym zrobić - wyznaje Hannah. - Sama wciąż próbuję określić, kim jestem, a mam już dwadzieścia dziewięć lat. Myślę, że to ciągły proces. Nie jestem pewna, czy jest coś, co możesz dla niej zrobić. Każdy musi dojść do tego sam. To część dorastania.

Frances wzdycha.

- Nie jestem już nawet pewna, o kim rozmawiamy, o Mei Ling czy o moich chłopcach.

Hannah trąca ją przyjaźnie łokciem.

- Rozmawiamy o twoich dzieciach. O całej czwórce. Frances zerka na zegar, chcąc przygotować wszystko

przed powrotem Reeda. Zamierza podać do placków podsmażane kawałki kurczaka z groszkiem cukrowym i grzybami.

- Czy istnieje szansa, że zostaniesz u nas na obiedzie? - pyta. - Byłoby cudownie, gdybyś poznała Reeda. Obiecuję, że nie każę ci już niczego gotować. Przynajmniej nie dziś.

Hannah śmieje się i sięga po szczyptę mąki.

- Z przyjemnością.

ODNALEZIONO ZAGINIONĄ KOZĘ

Edith Gallagher

Avalon, Illinois. Rayna Doherty z Doherty Farms odzyskała jedną ze swoich kóz, którą uprowadzono z jej farmy w nocy z 2 na 3 sierpnia.

-W środku nocy usłyszeliśmy jakiś hałas - mówi Doherty dziennikarce „Gazette”. - Wybiegliśmy z domu i zobaczyliśmy tylne światła samochodu, który właśnie wyjeżdżał z farmy na główną drogę. Gdy zajrzeliśmy do obory, okazało się, że brakuje jednej z naszych kóz. Bardzo się zmartwiliśmy, zwłaszcza że nasza podopieczna jest w ciąży.

Przypuszcza się, że zaginiona koza, Żonkilka, przebywała przez cały ten czas na podwórzu Herbaciarni Madeline.

- Obudziłem się pewnego ranka i zobaczyłem, że po ich podwórzu chodzi koza - relacjonuje Walter Lassiter, mieszkaniec sąsiedniej

posesji. - Powiedziałem żonie, że jeśli w najbliższym czasie nie pozbędą się jej, w ich karcie dań pojawi się potrawka z kozy.

Lassiter twierdzi, że koza wyrządziła w jego ogrodzie oraz przed domem znaczne szkody, które wycenił na niecałe 65 dolarów.

- Umówiłam się z koleżanką na lunch u Madeline - powiedziała nam Geneva Burch, częsta by-walczyni herbaciarni. - Koza spacerowała swobodnie w okolicach wejścia i mało brakowało, a byłaby mnie zaatakowała. Byłam w szoku, że Madeline naraża swoich gości na niebezpieczeństwo.

Przytakuje jej Shirley Hamilton: - Myślałam, że pomieszało jej się w głowie, ale wkrótce potem dowiedziałam się, że to koza Connie. Tak mi to właśnie wytłumaczono - że koza należy do Connie. Kto zrozumie tę dzisiejszą młodzież? A Connie zawsze wydawała mi się nieco dziwna. Nie miałam pojęcia, że koza została skradziona.

Przeciwko Connie Colls, menedżerce herbaciarni (zob. zdjęcie po lewej stronie), toczy się śledztwo. Jest ona podejrzana o uprowadzenie kozy, ale nie postawiono jej jeszcze oficjalnych zarzutów. Zagadnięta przez dziennikarkę „Gazette”, odmówiła komentarza.

Sierżant Robert Overby z awałońskiej policji wydał następujące oświadczenie: „Jesteśmy na etapie gromadzenia informacji. Nikt nie został aresztowany. Najważniejsze, że Zonkilka została zwrócona właścicielce”.

Sprawca dokonał również pewnych zniszczeń na terenie farmy. Każdy, kto posiada jakiegokolwiek informacje na temat tego incydentu, proszony jest o skontaktowanie się z komisariatem policji w Avalon, numer telefonu 555-2390.

Rozdział 16

Yvonne patrzy na popękany beton, na usychające krzewy otaczające wspólne podwórko. Jest to jeden z tych bloków mieszkalnych, które sprawiają wrażenie skrajnie zaniedbanych, niemal rozpadających się, i dziewczyna czuje, że samo przebywanie w tej okolicy rozstraja ją psychicznie. Kładzie dłoń na chybotliwej poręczy, pokonuje po dwa stopnie schodów naraz i zaczyna sprawdzać numery mieszkań. W końcu znajduje ten, którego szukała. Wyciera nogi w leżącą pod drzwiami wycieraczkę, uśmiechając się na widok niewielkiej ozdoby wiszącej przy futrynie, jedyne kolorowe, fantazyjnego drobiazgu w tym miejscu.

- Tak? - mówi młoda kobieta, która otworzyła jej drzwi. Ma krótko ostrzyżone włosy, a na jej twarzy maluje się wyraz rezygnacji. Do jej nóg tuli się mały chłopiec w dużych okularach.

Yvonne uśmiecha się do malca ciepło.

- Jestem Yvonne Tate. Usługi hydrauliczne. Dzwoniła pani w sprawie problemów z młynkiem do rozdrabniania odpadów?

- Tak... och. - Kobieta wpatruje się w nią ze zdziwieniem. Yvonne nagle przypomina sobie jej twarz.

- Ava? - pyta.

- Yvonne? Nie wiedziałam, że... to... byłaś ty. Jesteś hydraulikiem?

- W dzień hydraulikiem, a wieczorem miłośniczką wyklejanych albumów.

- Wejdz, proszę - mówi Ava. - Przepraszam, że nie posprzątałam... - Niespodziewane pojawienie się Yvonne w jej domu wytrąciło ją z równowagi.

- Nie przejmuj się tym - uspokaja ją Yvonne, wchodząc do skromnego mieszkania.

Jest niewielkie, lecz schludne. Na stole nakrycia dla dwóch osób oraz wiklinowy koszyk pełen papierów i rachunków. Na wytartej sofie kosz na pranie, pełen czystych, ale jeszcze nieposkładanych ubrań. Przez częściowo zasunięte rolety wpada ukośnie światło. Yvonne ma ochotę otworzyć okna na oścież, wpuścić do mieszkania trochę świeżego powietrza.

- Włączyłam go rano i rozległ się okropny odgłos - mówi Ava, prowadząc ją do kuchni. Max drepcze za nimi. - Chciałam zadzwonić do człowieka, który wynajmuje mi mieszkanie, ale groził mi niedawno, że nas wyrzuci... - urywa nagle. - Za dużo mówię. Pomyślałam, że najpierw sprawdzę, co się dzieje.

- Rozumiem. Rzućmy na to okiem. - Yvonne włącza

młynek i w kuchni rozlega się ostry, nieprzyjemny dźwięk. Max jęczy i zakrywa sobie rękami uszy.

- O tej porze jest zazwyczaj w przedszkolu - mówi Ava, przyciągając synka do siebie i przykrywając dłońmi jego ręce. - Ale dziś rano mój samochód nie chciał zapalić, więc zostaliśmy w domu. - Patrzy na Maxa z uśmiechem. - Głośno, prawda? - Z załęczoną miną przenosi wzrok na Yvonne. - Jest zepsuty? Nie działa, prawda?

- Coś się z nim stało, ale nie wiem dokładnie co. Brzmi tak, jakby ktoś usiłował zemleć samochód w maszynce do mięsa. A może po prostu podczas zmywania wpadła ci tam łyżeczka lub widelec. - Ponownie uruchamia młynek i ponownie rozlega się metaliczny zgrzyt. Cała trójka aż kuli się na ten dźwięk. - Słuchajcie, może jest tam ukryty skarb!

Ava chichocze cicho i przytula Maxa jeszcze mocniej.

- Ukryty skarb - wzdycha. - Przydałby się nam, prawda, synku?

Max kiwa głową.

- Moglibyśmy zostać piratami - mówi poważnym tonem. To jego pierwsze słowa przy gościu. Yvonne z uśmiechem podnosi wieko skrzynki z narzędziami i otwiera drzwiczki pod zlewem.

-Jo-ho-ho! - mówi, odsuwając na bok butelki z mleczkiem do czyszczenia i inne środki czystości, a następnie sięga po klucz oczkowy, przykładając go do dna młynka i przekręca zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Koło zamachowe porusza się swobodnie,

ale czuć, że coś tkwi w mechanizmie. Zapewne to duża ilość odpadków lub jakaś rzecz, która - sądząc po wydawanym przez nią odgłosie - rozbiła się na mnóstwo niewielkich kawałków. - Muszę odłączyć prąd. - Yvonne wstaje. - Gdzie są bezpieczniki? Ava gestem ręki wskazuje przedpokój.

- W łazience, za drzwiami.

Po kilku minutach Yvonne udaje się rozwiązać problem - wyciąga z młynka ponad dziesięć metalowych kapsli od butelek. Gdyby nie знаła Avey, wzięłaby ją za alkoholiczkę.

- Co to ma... - zaczyna zdumiona Ava. Nagle czerwienieje. Patrzy na syna, który chowa się za nią. - Max! Czy to twoja sprawka?

Yvonne zaczyna montować na nowo młynek. Sprawdza pierścień z zaczepem i dokręca kilka śrub, wsłuchując się uważnie w pracę mechanizmu.

- Max, mówię do ciebie - powtarza Ava i przyklęka, chcąc spojrzeć dziecku w oczy. - Wrzuciłeś kapsle mamy do zlewu? - W jej głosie brzmi zdenerwowanie.

Yvonne dostrzega kątem oka, że Max kiwa głową. Ava robi głęboki wdech.

- Dobrze. - Chwyta synka delikatnie za ręce. - Dobrze. Następnym razem musisz mnie najpierw zapytać, rozumiesz? Mama potrzebuje kapsli do pracy, ale znajdzie ci coś innego do zabawy. I powinieneś uważać, kiedy kręcisz się przy zlewie. Nie chcę, żeby coś ci się stało. - Wstaje, przytula Maxa do siebie i całuje go w czubek głowy.

Yvonne przypomina sobie, że Ava tworzy z kapsli coś w rodzaju artystycznej biżuterii.

- Chcesz je zatrzymać czy mam wyrzucić? - pyta, trzymając w dłoniach pokierszowane kawałki metalu.

- Nie wyrzucaj - mówi szybko Ava. - Może uda mi się jakoś je odratować. Albo zrobię z nich coś innego, kto wie. - Sięga po jeden z kapsli, który pomimo zadrapań wygląda ciekawiej niż pozostałe; jest ozdobiony małymi szklanymi paciorkami oraz ładnym wzorem.

- Piękny - mówi Yvonne. Ava się rumieni.

- Dziękuję. Ile jestem ci winna?

- Nic - odpowiada Yvonne. - W ogóle się nie na*-pracowałam. Nawet nie ubrudziłam sobie rąk.

Ava spogląda na nią z powątpiewaniem.

- Nie musisz traktować mnie jak kogoś wyjątkowego, Yvonne. Podaj mi cenę.

Yvonne odkłada narzędzia i idzie włączyć prąd. Nie czułaby się dobrze, biorąc pieniądze od Avy, ponieważ już ją trochę zna i widzi, że każdy większy wydatek to dla niej spory kłopot.

- To naprawdę nic takiego. Każdego innego klienta potraktowałabym tak samo. Zaręczam, że nie robię dla ciebie wyjątku. - Chowa za plecami dłoń ze skrzyżowanymi palcami.

- W takim razie dam ci napiwek - upiera się Ava. - Idę po portfel.

Yvonne usiłuje protestować.

- To naprawdę nie jest konieczne.

- Zaraz wracam.

Ava wchodzi z powrotem do kuchni z kilkoma banknotami. Trzyma jednak w dłoni coś jeszcze.

- To podziękowanie za to, że byłaś taka niła. Oczywiście nie musisz brać, jeśli nie masz ochoty.

Yvonne widzi bransoletkę. Tworzy ją pięć kapsli od butelek pochodzących z pięciu różnych gatunków piwa i oranżady, ale każdy jest w innym odcieniu zieleni. Ich środek ozdobiony jest różnokolorowymi szklanymi paciorkami zatopionymi w przezroczystej żywicy epoksydowej. Na dwóch widnieją słowa składające się na frazę: BĄDŹ TWÓRCZA.

- Jaka ładna - mówi Yvonne. - Zielony to mój ulu-bioy kolor! - Wsuwa sobie bransoletkę na przegub dłoni. Okazuje się, że jest idealnie dopasowana.

Ava się śmieje.

- Cieszę się, że ci się podoba.

- Dziękuję. W takim razie jesteśmy kwita. - Yvonne wsuwa Avie banknoty do ręki. - Bransoletka to bardzo wysoki napiwek, a za te pieniądze kup raczej ochronną kratkę do zlewu. Czułabym się lepiej, wiedząc, że te małe paluszki - albo kapsle - pozostają z dala od roz-drabniacza odpadków.

Ava uśmiecha się do niej z wdzięcznością. Ma podejrzenie błyszczące oczy.

- Dziękuję, Yvonne.

Max znów wchodzi do kuchni i Yvonne ma wielką ochotę zaproponować, że dokądś ich podwiezie - do przedszkola, do sklepu, dokądkolwiek - ale wie, że mogłoby to mieć negatywny wpływ na jej przyjaźń z Isabel. Wie również, że byłaby to symboliczna pomoc, gdyż Ava ma o wiele większe problemy, i że czasem lepiej pozostawić sprawy ich własnemu

biegowi. Przybija więc Maxowi piątkę i żegna się z Avą.

Connie wchodzi do kuchni tylnymi drzwiami i podchodzi do zlewu, żeby umyć ręce.

- Gotowe - mówi łamiącym się głosem. - Jest tak, jakby jej tu nigdy nie było.

Madeline wygląda na podwórze. Zniknęło ogrodzenie, bele siana oraz buda dla psa.

Connie podchodzi do stołu i opada ciężko na krzesło. Sierżant Overby przesłał im zdjęcia farmy, które właścicielka Sereny, Rayna, przekazała policji oraz redakcji „Avalon Gazette”. Madeline i Connie uważnie obejrzały ślady opon odcisnięte głęboko w zrytej ziemi, połamany płot oraz rozbite koryto. To cud, że nikomu nic się stało. Nic dziwnego, że właścicielka farmy, Rayna, nie może tego odżalować. Connie na jej miejscu też byłoby bardzo przykro.

- Myślę, że powinnam coś zrobić - mówi. - Nie wiem, na co czekamy. Może powiem, że to zrobiłam, żeby ta sprawa już się zakończyła.

- Ani się waż! Nie zrobiłaś nic złego, Connie - upomina ją stanowczo Madeline, wykładając formę do pieczenia *warstwą ciasta*. - Niech policja *zakończy* śledztwo. To ich zadanie, a my mamy czym się zająć.

- Szkoda, że zrobiłam tak mało zdjęć - mówi Connie i zamyka oczy. Powieki ma spuchnięte, gdyż przepłakała prawie całą noc. - Sądziłam, że będę mieć więcej czasu. Nie spodziewałam się, że to wszystko tak szybko się potoczy,

Madeline ją przytula, ale dziewczyna wciąż czuje się niepocieszona. Wie, że większość mieszkańców Avalon uważa, iż to ona ukradła kożę. W każdym razie tak jej się wydaje. Nawet stali bywalcy herbaciarni przyglądają się jej z ciekawością, odwracając wzrok, gdy do nich podchodzi. Liczba klientów wyraźnie spadła, teraz bywa ich zaledwie garstka. Ludzie wyraźnie unikają Herbaciarni Madeline, czekając na wyjaśnienie sprawy.

A jeśli zagadka nie zostanie rozwiązana? Connie nie chce, by zamieszanie z Sereną zaszkodziło Madeline i prowadzonej przez nią herbaciarni. Poprzedniego dnia zadzwoniła do Hannah z pytaniem, czy przez kilka kolejnych dni pomogłaby jej w pracy. Zamierza pokazać jej, gdzie przechowuje najważniejsze rzeczy

- wszystko do gotowania i pieczenia, podstawowe produkty i przepisy, pliki komputerowe oraz księgę rachunków. Wspomni również o obowiązkach, których koniecznie należy dopilnować, jak na przykład wyczyszczenie kominka i sprawdzenie termostatów w piekarnikach. Nie chce, żeby Madeline lub Hannah zaczęły się czegoś domyślać, ale świadomość, że ktoś może przejąć jej obowiązki, stanowi dla niej pewne pocieszenie.

- Wszystko będzie dobrze - mówi Madeline, usiłując dodać im obu otuchy, ale w jej głosie wyraźnie słychać troskę.

Connie zamyka oczy, żeby nie płakać. Na próżno

- łzy wypływają jej spod powiek i spływają po policzkach.

Isabel stoi w garażu i wpatruje się w rzędy pudeł ustawionych jedno na drugim niemal do samego sufitu. Jest ich tyle, że brakuje już miejsca na samochód. Nawet Yvonne wydaje się przytłoczona tym widokiem. Staje obok przyjaciółki i cicho gwizdże.

- Trzymałaś to wszystko na strychu? - pyta zdumiona.

Isabel spogląda na jedno z pudeł, oznaczone niedbałym pismem Billa. Czyta: „Instrukcje obsługi”. Odsuwa je na bok, między kartony, które zachowa dla Dana i Niny. Szuka jeszcze pudła z planami domu przekazanymi im przez poprzedniego właściciela. Bill uwielbiał je oglądać, studiował uważnie każdą stronę, rejestrując w pamięci wszystkie szczegóły, chwalać rozmieszczenie gniazdek elektrycznych i przewodów oraz narzekając na boczne drzwi, znajdujące się jego zdaniem zbyt blisko podgrzewacza wody. Isabel często przekomarzała się z nim na ten temat, twierdząc, iż przemawia przez niego głos niespełnionego inżyniera.

- Opróżniłam też szafki w pokojach - mówi do Yvonne. Dan i Nina przyjadą wkrótce, by jeszcze raz obejrzyć dom, teraz już z naprawioną werandą. Isabel chce usunąć wszystkie zbędne rzeczy, które nagromadziły się w nim przez całe lata, by jego nabywcy mogli łatwiej wyobrazić sobie, jak urządzić wnętrze.

Jeśli wszystko ułoży się zgodnie z planem, wyprowadzi się przed końcem listopada. Nie potrafi sobie jeszcze wyobrazić, że przywita nowy rok gdzieś indziej.

Yvonne otwiera jedno z pudeł i znajduje w nim sześć identycznych latarek w jednym opakowaniu.

- To sprawka Billa - wyjaśnia Isabel. - Cubil kupować rzeczy hurtem. Twierdził, że tak jest taniej.

- Tak, ale pod warunkiem, że ich używasz - mówi Yvonne. - Powinnaś urządzić wyprzedaż garażową. Nie zawracaj sobie głowy wypakowywaniem rzeczy z pudeł, tylko kasuj pięćdziesiąt dolarów za jedno. Nie zastanawiaj się nawet, co tam jest.

Niezły pomysł - od śmierci Billa Isabel i tak nie zaglądała do tych pudeł. Nie może jednak tego zrobić.

- Nie - mówi. - Obiecałam Lillian, matce Billa, że podaruję jej każdą pamiątkę po nim, którą tylko będzie chciała zatrzymać. Od *dawna* zamierzałam przejrzeć wszystko, lecz tego nie zrobiłam. Nie chciałam oglądać tych rzeczy, rozumiesz? Ale jestem jej to winna. Była dla mnie zawsze bardzo dobra i wspierała nasze małżeństwo, nawet kiedy zaczęło się rozpadać.

- To miłe - mówi Yvonne.

- Tak. - Isabel szarpie kawałek szarej taśmy klejącej, zastanawiając się przy tym, jak miewa się jej teściowa. Od czasu do czasu piszą do siebie kartki lub telefonują, ale mają sobie coraz mniej do powiedzenia. Isabel wie, że Lillian wciąż rozpacza nad śmiercią syna. - Bill był jej jedynym dzieckiem i gdy zginął, załamała się psychicznie. Kilka miesięcy wcześniej zmarł jej mąż, więc *przeżyła* naprawdę ciężkie chwile. Całkiem się zmieniła. Powinnaś była widzieć, jak rzuciła się na Avę w szpitalu. - Isabel potrząsa głową na to wspomnienie.

Yvonne odchrząkuje.

- Jeśli już mowa o Avie...

Isabel nie podoba się ton jej głosu, ostrożny i wyważony, a jednocześnie pełen determinacji. Zna się doskonale na chwytach marketingowych i czuje, że Yvonne usiłuje do czegoś ją przekonać.

- Nie rozmawiamy o Avie - ucina. - Mówiłam o matce Billa, Liłlian, i o tym, dlaczego nie mogę pozbyć się tych pudeł bez przejrzenia ich zawartości.

- Zagląda do kartonu z instrukcjami obsługi i natrafia wśród nich na stare formularze podatkowe i ubezpieczeniowe. Zanim się z tym wszystkim upora, minie cała wieczność.

Yvonne nie daje się zbić z tropu.

- Mówię, że może spróbuj być nieco wyrozumialsza w stosunku do Ayy. Rozumiem, że cała ta sytuacja jest bardzo dziwna i krępująca, ale ta dziewczyna wyciąga do ciebie rękę. Może chociaż dowiedz się, dlaczego to robi. - Yvonne patrzy z nadzieją na przyjaciółkę. - Nie atakuj jej od razu.

Isabel zamyka pudło i sięga po kolejne.

- Cieszę się, że zdążyłyście się zaprzyjaźnić podczas dziesięciominutowego pobytu w areszcie, ale to nie takie proste.

- Może wcześniej nie było proste - mówi Yvonne.

- Myślę jednak, że teraz jest całkiem inaczej. Okoliczności uległy zmianie. Ava jest w bardzo trudnej sytuacji. Odnoszę wrażenie, że dokuczają jej samotność, że nie ma nikogo... oprócz ciebie.

Isabel prychna.

- To, że nie ma żadnych przyjaciół, nie oznacza jeszcze, że powinna uważać mnie za kogoś bliskiego.

Wciąż nie mogę uwierzyć, że upoważniła mnie do zajmowania się jej dzieckiem.

Yvonne podnosi na nią wzrok.

- A ja mogę.

- To dziwaczne i całkowicie niestosowne. - Isabel zdziera taśmę klejącą z zamkniętego pudła i znajduje w nim swetry, które schowała tam wiele lat temu, zapakowane w plastikową torbę z logo pralni chemicznej. Otwiera torbę i wyjmuje z niej żółty pulower w zielone i niebieskie romby. Sweter jest w dobrym stanie, jakby został tam schowany ostatniej wiosny. Pachnie kulkami na mole. - Mam wrażenie, że ona robi to celowo. Wciąga mnie w swoją życiową tragedię, żeby pokazać mi, że wciąż tu jest, że ma Maxa.

- Nie sądzę, żeby było to celowe działanie. Ona wcale nie jest taka okropna. Nie wiem, co działo się w waszym małżeństwie, gdy zakochali się w sobie z Billem, i rozumiem, że był to grom z jasnego nieba...

Isabel wyjmuje z torby granatowy sweter z warkoczami, z naszywką aligatora - jedną z ulubionych rzeczy Billa.

- Patrząc wstecz, widzę, że był nieszczęśliwy. Nigdy mi jednak o tym nie wspominał, więc myślałam, że wszystko jest w porządku. Mażeńskie wzloty i upadki. Całkiem dobrze się wtedy dogadywaliśmy i nie kłóciliśmy się - mam wrażenie, że nigdy się nie kłóciliśmy, nawet pod sam koniec naszego związku. I to nie było tak, że go nienawidziłam... albo że on nienawidził mnie. Jakoś tak... trwaliśmy. - Isabel przesuwa dłonią wzdłuż dekoltu swetra. Bill zawsze narzekał, że uwiera

go pod szyją, ale i tak go nosił. Ich małżeństwo wyglądało podobnie. Czuł się w nim źle, ale skrupulatnie wypełniał swoją rolę... do chwili gdy pojawiła się Ava. - To chyba nie świadczy dobrze o naszym małżeństwie, co?

- Nie wiem - przyznaje Yvonne. - Nie znałam Billa i nie wiem, jak wam razem było. Ale wiem, że każde małżeństwo jest inne. Nie ma uniwersalnej recepty. Najważniejsze jest chyba to, by panowała w nim miłość i szczęście.

Gdyby powiedział to ktoś inny, nadmierny optymizm tych słów zapewne byłby denerwujący, ale ponieważ jest to rada Yvonne, Isabel zaczyna się zastanawiać. Choć Yvonne zachowuje się wobec niej lojalnie, nie ulega wątpliwości, że darzy Awę pewną sympatią. Pomimo zamieszania z Hubertem Hillem i jego rodziną nie traci dobrego nastroju i w przeciwieństwie do Isabel nie skupia się na rozpamiętywaniu przeszłości. Znalazła sposób na bycie szczęśliwą.

Isabel oddycha głęboko. Może powinna ją w tym naśladować.

- Jak myślisz, co powinnam zrobić? - pyta w końcu. Yvonne nie odpowiada od razu. Przegląda powoli

zawartość jednego z mniejszych pudełek i wyjmuje z niego pojedynczą mosiężną spinkę do mankietu. Pomimo przebarwień Isabel dostrzega na niej inicjały Billa - WSK.

William Samuel Kidd. Rodzice podarowali mu spinki z okazji ukończenia przez niego college'u. Nosił je z pietyzmem, dopóki francuskie mankiety nie wyszły

z mody. Isabel zastanawia się, gdzie jest draga spinka - czy zgubił ją, czy zabrał ze sobą, gdy się wyprowadzał.

Yvonne uważnie ogląda spinkę, po czym odkłada ją na bok.

- Wiesz, co myślę, Isabel. To samo co od pewnego czasu myślisz ty.

Isabel patrzy na nią z niedowierzaniem.

- W końcu odważyłam się poprosić cię o radę, a ty odbijasz piłeczkę. Nie do wiary. - Ze złością wrzuca sweter z powrotem do kartonu.

- Nie potrzebujesz mojej rady, Isabel. Ktoś musi ci tylko powiedzieć, że to, co zamierzasz zrobić, jest w porządku.

Isabel, którą nagle opadło zniechęcenie, kopie któreś pudło, po czym opiera się ciężko o ścianę.

- A niby co takiego zamierzam? o, Yvonne staje obok niej z rękoma w kieszeniach. ».

- Wyciągnąć rękę do Avy i Maxa. - Uśmiecha się smutno. - Wiem, jak to jest mieć wyrzuty sumienia z powodu miłości do kogoś, Isabel. To najgorsze uczucie na świecie, bo serce mówi ci jedno, a wszyscy wokół coś innego. I wreszcie zdradzasz samą siebie, idąc za radą ich, a nie własnego serca.

Isabel słucha jej w milczeniu.

- Byłam bardzo bliska wyjścia za mąż - ciągnie Yvonne. - Uważałam Sama za najlepszego przyjaciela. Razem dorastaliśmy. Ale jego rodzina pracowała na plantacji, która należała do mojej - pochodziliśmy z dwóch różnych światów. Oczywiście nie miało to dla

mnie znaczenia, byłam zakochana. Wierzyłam, że Sam też mnie kocha. Ale w końcu mój ojciec obiecał mu sporą sumę pieniędzy pod warunkiem, że mnie rzuci i wyjedzie gdzieś daleko. Sam przystał na to. Wyjechał w dniu naszego ślubu. Nigdy już go nie zobaczyłam. Nawet się nie pożegnał. Ostatnio słyszałam, że ożenił się pięć lat temu. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, widzę, że w tym wszystkim nie chodziło tylko o mnie i o Sama, ale również o jego rodzinę. Znam mojego ojca i jestem pewna, że postawił Samowi i jego najbliższemu coś w rodzaju ultimatum.

- To okropne - mówi Isabel. - Przykro mi, Yvonne. Yvonne wzrusza ramionami.

- Sam dokonał wyboru, który pozwolił jego rodzicom i siostrze na inne, lepsze życie. Ja byłam gotowa zrzec się pieniędzy, a dla Sama i jego rodziny oznaczały one wolność. Chcę przez to powiedzieć, że pewne zdarzenia nie zawsze są takie, jak je oceniamy. Czasem niosą konsekwencje, które sięgają dalej, niż jesteśmy w stanie zobaczyć. Mam wrażenie, że właśnie tak jest z Avą i Maxem.

- Co w takim razie mamy robić? - pyta z wyrzutem Isabel. - Nocować u siebie? Czesać się nawzajem? Dzielić się wspomnieniami o Billu?

- Może.

- A może ona chce pieniędzy. Albo oczekuje, że wybaczę jej to, co się stało. Nigdy! - Isabel zaplata ramiona na piersi.

- Nie mulisz robić niczego wbrew sobie - mówi Yvonne. - Po prostu wiem, że nie jesteś aż tak niechętna

Avie i Maxowi, jak się wydaje. Z tego więc powodu, i również dlatego, że jestem twoją przyjaciółką, chcę ci powiedzieć, że nie ma nic złego w nawiązaniu z nią kontaktu i obserwowaniu, jak rozwija się wasza znajomość, a już wkrótce się wyprowadzasz. To twoja ostatnia szansa.

Isabel nie potrafi sobie tego wyobrazić. To byłaby z pewnością dziwna sytuacja. Łzy, zwłaszcza w wypadku Avy. Wymuszona uprzejmość. Od czasu do czasu ostrzejsza reakcja Isabel, gdyby straciła cierpliwość. Ale Max?

Nie opowiedziała Yvonne wszystkiego - jak czuła się, odbierając telefon z przedszkola, początkowo zdumiona, a potem przerażona, że Avie przytrafiło się coś złego. Dlaczego nie odebrała syna? Czy go porzuciła? A może miała wypadek? Nie minęło pięć sekund, a wybiegła z biura i pojechała do przedszkola, nie mając pojęcia, co robić. Do kogo zadzwonić? Co zrobić z Maxem? Nie wiedziała, czy Ava ma rodzinę i przyjaciół. Nie wiedziała, gdzie mieszkają. Znała tylko jej nazwisko.

Gdy jednak zobaczyła Maxa siedzącego samotnie w pustej sali i bawiącego się drewnianą układanką, wszystkie jej wątpliwości i obawy przysły. Zmoczył spodnie, ale przedszkolanka tego nie zauważyła; od niechcenia przecierała szmatką zabawki i narzekała na tego czy innego rodzica. Isabel chciała tylko jednego: zabrać go stamtąd. Zabrać go stamtąd, a następnie zastanowić się, co robić dalej.

Przedszkolanka nie zamierzała pomóc mu się przebrać. Isabel nie chciała się kłócić. Pokazała jej swój

dowód osobisty, znalazła w szafce zapasowe ubranie Maxa, pożyczyła fotelik do przewożenia dzieci, usadowiła w nim chłopca i wyjechała z przedszkolnego parkingu.

- Jestem Isabel - powiedziała, gdy podniósł na nią swoje duże niebieskie oczy. - Twoja matka poprosiła mnie, żebym odebrała cię z przedszkola.

- Mamusia - wyjąkał drżącymi ustami.

- Tak. - Isabel starała się nadać swojemu głosowi miłe, lekkie brzmienie. - Jest bardzo dumna, że tak cierpliwie na nią czekasz. Może uczymy to porcją lodów?

Chłopczyk skinął głową i wyraźnie się uspokoił. W głowie Isabel natomiast zaczęły się kłębić gorączkowe myśli. Czy nie jest na nic uczulony? Czy Ava nie uczyła go, że nie należy ufać nieznajomym? Czy nie mogła wysłać go do innego przedszkola? Czy Max w ogóle zna numer ich domowego telefonu? I w końcu najważniejsze.

Gdzie, do diaska, podziewa się Ava?

Isabel zadzwoniła do Yvonne, ale przyjaciółka nie odbierała telefonu. Wreszcie przełamała się i zadzwoniła do Hugh. Musiała odsunąć komórkę od ucha, tak głośno krzyczał. Od tego momentu wszystko potoczyło się szybko - po pięciu minutach była już na komisariacie, gdzie ku swemu zdziwieniu zobaczyła Yvonne oraz Avę siedzące na ławce ze skruszonymi, a zarazem bardzo zadowolonymi z siebie minami. Miały ku temu powody.

Ale oprócz zdumienia Isabel odczuła również ogromną ulgę. Max wyciągnął ręce do mamy i na krótką

chwile, gdy Isabel przekazywała go Avie,"cała trójka połączyła się w uścisku. Isabel nie wie, co Ava wtedy poczuła, ale nie ma to dla niej znaczenia - ona doznała szczerego wzruszenia. W tej samej chwili zrozumiała, że jeśli tylko Ava i Max będą potrzebowali pomocy, udzieli im jej bez wahania.

Gdy zawiozła ich do domu, który okazał się zaniedbaną klitką w nieciekawej dzielnicy Barrett, wszystko znów się skomplikowało. Isabel targana emocjami poczuła się schwyтана w pułapkę, straciła jasność myślenia.

- Nie wiem, co robić - mówi teraz do Yvonne. -**1** jestem wściekła na Billa, że mnie z tym wszystkim zostawił. To jego problemy, nie moje.

- Nie traktuj tego w kategoriach problemu. Przecież to samo życie. Nie Billa, nie Avy, nawet nie Maxa. Twoje życie. Ty musisz zdecydować, czego chcesz.

Isabel kiwa lekko głową, żałując w duchu, że przytrafiło się to akurat jej.

- Muszę się czegoś napić. Zróbmy sobie przerwę.

Otwierają boczne drzwi, wchodzą do domu i... widzą w kuchni przy stole Bettie. Tym razem jest ubrana, ale włosy ma nawinięte na wałki, choć jest już popołudnie. Wysypała na stół zawartość kosza na śmieci i przygląda się uważnie każdemu odpadkowi.

- Patrzcie, co znalazłam! - mówi, demonstrując im buteleczkę jasnoróżowego lakieru do paznokci. - Jest prawie pełna!

- Bettie, jak się tu dostałaś? - pyta ostro Isabel i po chwili dostrzega swój pojemnik na zapasowy klucz

leżący na stole obok pustego pudełka po chusteczkach higienicznych, Yvonne patrzy na nią znacząco i zaczyna z powrotem wsypywać śmieci do worka.

- Posprzątajmy tu trochę - mówi, ale Bettie odpycha ją z obrażoną miną. Można odnieść wrażenie, że wcale jej nie poznaje.

- Spójrz na to: odmładzająca maseczka z glinki, same naturalne składniki! Mogę wypróbować ją na sobie. - Odwraca się do Isabel z zarumienioną z radości twarzą. Zdejmuje nakrętkę i zaczyna ugniatać tubkę, z której nic nie wypływa.

- Bettie, to jest stare - mówi Isabel, wyjmując jej tubkę z ręki. - Porządkowałam szafki w łazience. - Daje znak Yvonne, żeby sprzątała dalej. - Podaruję ci nową maseczkę, dobrze?

- Chciałaś powiedzieć, że podarujesz nam nową maseczkę - mówi Bettie, chwytając pojedyncze śmieci i kawałki papieru, które Yvonne stara się wpychać do worka. - Musimy zrobić to razem, jak dawniej. Dobrze?

- Dobrze. - Isabel patrzy ze zdziwieniem na Yvonne. - Bettie, co tu właściwie robisz?

- Piekę - oświadcza Bettie. - Chciałam przynieść trochę smakołyków na czwartkowe spotkanie klubu. Nie lubię piec w ostatniej chwili, to zbyt stresujące. - Pod paznokciami ma czarne obwódki, jeden wałek wyślizguje się jej z włosów.

Isabel zerka na piekarnik. Wyświetlacz wskazuje, że jest wyłączony, ale w środku nie ma formy z ciastem.

Yvonne udało się w końcu sprzątnąć wszystkie śmieci i wynosi je do garażu. Isabel siada obok Bettie, która wygląda zmiętą ulotkę reklamującą karty kredytowe, nucąc coś przy tym pod nosem.

Yvonne wchodzi z powrotem do kuchni, trzaskając przez nieuwagę drzwiami. Bettie podskakuje. Otwiera szeroko oczy i rozgląda się dookoła w oszołomieniu.

- Jestem w domu? - pyta. Isabel wstrzymuje oddech.

- To mój dom - mówi. - Ty mieszkasz w sąsiednim. Bettie patrzy na nią ze złością.

- Wiem to! - Zrywa się na równe nogi, omal nie przewracając krzesła.

- Do widzenia.

- Bettie, zaczekaj! - woła Isabel, ale sąsiadka znika już za drzwiami.

- Musimy kogoś zawiadomić - mówi Yvonne, marszcząc brwi. - Może jej lekarza? A może powinniśmy pojechać z nią do szpitala i tam się kogoś poradzić?

Isabel kiwa głową i sięga po książkę telefoniczną.

- Zadzwońię do doktora Richarda. - Z bijącym sercem zaczyna wybierać numer i patrzy na przyjaciółkę. - Co się dzieje?

Yvonne potrząsa głową.

- Nie wiem. Nigdy jeszcze jej takiej nie widziałam.

- A ja widziałam - mówi Isabel, uświadamiając sobie, że choć miała świadomość, iż z Bettie dzieje się coś złego, za długo zwlekała z interwencją. - Powinnam była coś zrobić, ale nie zrobiłam. Myślałam, że ma trudny charakter albo jest roztargniona...

Yvonne idzie w kierunku zlewu.

- Muszę umyć ręce - zaczyna i nagle wychyla się przez okno. - Isabel, dzwoni po straż pożarną!

Z okien domu Bettie buchają kłęby dymu. Płomienie liżą zasłony i rozprzestrzeniają się błyskawicznie po dalszych pokojach. Isabel rzuca telefon przyjaciółce i wybiega z domu tylnymi drzwiami.

Wpada na taras Bettie pełen śmieci, leżących w nieładzie sprzętów gospodarstwa domowego i narzędzi ogrodniczych. Dotyka chłodnej klamki rozsuwanych drzwi. Są zamknięte.

- Bettie! - woła, uderzając pięścią w szklaną szybę. Ma wrażenie, że płomienie rozprzestrzeniają się przede wszystkim w kuchni i w dalszych pokojach, ale dym jest już wszędzie. Pali się również sterta czasopism w holu.

Ktoś musiał wcześniej dostrzec pożar, gdyż z oddali dobiega już wycie syren. Isabel uświadamia sobie jednak, że zanim straż dotrze na miejsce, cały dom, pełen niepotrzebnych śmieci i bibelotów, będzie już w ogniu. A Bettie?

Gdzie ona jest?

Isabel dostrzega ją w końcu przez okno. Jest w salonie, z twarzą pociemniałą od dymu, chodzi tam i z powrotem od ściany do ściany.

- Bettie! - woła Isabel. Podnosi ciężką figurkę krasnala ogrodowego i ciska nią w drzwi tarasu.

Brzęk pękającej szyby jest ogłuszający. Isabel brnie przez potłuczone szkło, słysząc, jak wokół niej co chwila coś trzaska, pęka, eksploduje z cichym sykiem. Salon powoli napęlnia się dymem. Nagle rozlega się dziwny

szum i Isabel w jednej chwili orientuje się, że otaczają ją płomienie.

- Bettie! - woła, zakrywając sobie nos podciągniętym podkoszulkiem. Biegnie naprzód, potykając się i kopiąc tarasujące jej drogę przedmioty.

Staruszka odwraca się w stronę, z której dobiega ją głos sąsiadki.

- Nie mogę znaleźć wyjścia! - krzyczy.

Isabel czuje za plecami nieznośne gorąco - płomienie blokują rozbite drzwi tarasu. Rozgląda się w oszołomieniu dookoła, kaszląc, aż w końcu dostrzega frontowe drzwi. Chwyta Bettie za rękę i ciągnie ją za sobą, potykając się o sterty czasopism i listów, akcesoriów do scrapbookingu i śmieci. Otwiera drzwi i obie z trudem wydostają się na zewnątrz.

Stojąca na chodniku Yvonne podbiega do nich wraz z kilkoma sąsiadami. Przed domem stoi wóz strażacki i karetka pogotowia. Mijają ich w biegu strażacy z długimi węzami. Dwaj sanitariusze prowadzą Bettie i Isabel do karetki, natychmiast podają im tlen. Sprawdzają, czy kobiety nie mają oparzeń i czy nie zatrwały się dymem.

Isabel czuje piekący ból - okazuje się, że ma oparzenia pierwszego i drugiego stopnia na lewym ramieniu oraz brzuchu. Bettie wzrok ma rozbiegany, niespokojny. Szczęśliwie uniknęła oparzeń, tylko twarz osmalił jej dym.

- Już dobrze - mówi Isabel, odsuwając maskę tlenową, żeby Bettie mogła ją rozpoznać. - To ja, Isabel.

Podchodzi do nich komendant straży pożarnej, Abraham Garza.

- Dobrze się czujecie?

Isabel potakuje, ale Bettie spogląda na niego w oszołomieniu.

- Abe? - pyta niepewnie. Komendant Garza się uśmiecha.

- Zgadza się. - Zerka na sanitariusza, który lekko kiwa głową. - Jak się masz, Bettie?

- Nie miałam okazji zadzwonić do Imogene od ostatniego spotkania klubu. - Bettie końcówki włosów ma przypalone. Jej twarz przypomina nieco pyszczek szopa. - Byłam ciekawa, jak podoba jej się ta nowa wycinarka, którą sobie kupiła. Pamiętam, że miała przygotować podkładki pod szklanki na rodzinny zjazd.

- Już prawie skończyła - mówi komendant Garza. - Muszę powiedzieć, że są naprawdę ładne.

Podchodzi do nich jeden ze strażaków.

- Szefie, wygląda na to, że pożar wybuchł w kuchni.

- Dzięki, Ricky. - Komendant Garza odwraca się do staruszki. - Bettie, gotowałaś coś w kuchni?

- Nie - odpowiada Bettie. Isabel odkasłuje. Pali ją w gardle.

- Powiedziałaś mi, że coś pieczesz. Pamiętasz? Coś na spotkanie klubu.

- Racja! - wykrzykuje Bettie z podekscytowaną miną. - Chciałam zrobić placek z kruszonką bez cukru. Mamy w klubie kilka diabetyczek, które muszą uważać na poziom insuliny we krwi. Nie mogą jeść naszych pyszności, więc pomyślałam, że upiekę coś specjalnie dla nich. Placek z rabarbarem. Czy już pora, by go wyjąć z piekarnika?

- Myślę, że tak - mówi Isabel, zerkając na komendanta Garzę.

Sanitariusz pomaga Bettie położyć się na noszach. Zakłada jej na palec pulsometr z przewodem i ponownie przykrywa jej nos oraz usta maską tlenową. Sekundę później Bettie zaczyna mrugać szybko powiekami i zamyka oczy.

Isabel wydaje lekki okrzyk przestrawu.

- Nic jej nie jest - uspokaja ją sanitariusz, wskazując monitor. Puls Bettie jest prawidłowy. - Zasnęła. To się czasem zdarza.

- Zabierzemy was do szpitala we Freeport - mówi komendant Garza. - Odpocznij sobie teraz. Już wkrótce ktoś się tobą zajmie. Czy może pani towarzyszyć koleżance? - zwraca się do Yvonne.

Yvonne gorączkowo kiwa głową.

Płomienie obejmują cały dach. Strażacy wlewają wodę przez okna i drzwi. Isabel myśli o całym wyposażeniu domu, o życiu Bettie, które właśnie poszło z dymem.

Z domu nie zostało nic.

OGIEŃ DOSZCZĘTNIE ZNISZCZYŁ DOM

Edith Gallagher

Avalon, Illinois. Ubiegłej niedzieli całkowicie spłonął jeden z miejscowych domów. Według komendanta lokalnej straży pożarnej przyczyną pożaru była kuchenka elektryczna.

Dom należał to Bettie Shelton, lat 77, długoletniej mieszkanki Avalon, żyjącej samotnie. Gdy w kuchni zaczął się pożar, była akurat w domu. Płomienie odcięły jej drogę ucieczki, lecz uratowała ją sąsiadka, Isabel Kidd.

- Obie miały wiele szczęścia - powiedział komendant avalonskiej straży pożarnej, Abraham Garza. - Wbieganie do płonącego domu jest bardzo niebezpieczne, ale dzięki temu pani Kidd ocaliła pani Shelton życie.

Dom Bettie Shelton został doszczętnie strawiony przez ogień. W gaszeniu pożaru wzięły udział dwie jednostki straży pożarnej.

Pani Shelton znalazła schronienie u przyjaciół i jest niezwykle wdzięczna całej społeczności za ogromne wsparcie. Warto dodać, iż jest ona przewodniczącą Klubu Miłośniczek Albumów w Avalon. W najbliższy czwartek spotkanie odbędzie się w Herbaciarni Madeline.

Rozdział 17

Ava puka do drzwi, starając się nie upuścić naczynia z zapiekanką z makaronem i tuńczykiem. Max trzyma miskę z czekoladowymi ciastkami oraz bukiet drobnych kwiatków, które zerwał w parku.

Ava wie, że przekracza pewną granicę, ale nie może się powstrzymać. Fakt, iż stawiała czoło Randalowi Strombauerowi, całkowicie ją odmienił. Jedno jest pewne - będzie starała się być szczerą. Koniec z unikaniem ludzi, koniec z wiecznym poczuciem wstydu. Nigdy nie zapomni sympatii i wsparcia, jakie całkiem niespodziewanie otrzymała od Bettie, i teraz sama chce jej pomóc, nawet jeśli naraża się przez to na gniew i niechęć Isabel. Obiecała wprawdzie, że będzie trzymać się od niej z daleka i powstrzyma się od niezapowiedzianych wizyt, ale tym razem chodzi przecież o Rettie.

Drzwi się otwierają. Ava wydaje lekki okrzyk. Max przysuwa się do niej z niepewną miną. Przed nimi

stoi dziwna postać w szlafroku, z włosami upiętymi na czubku głowy i w maseczce z glinki na twarzy.

- Och, to wy - mówi pełnym napięcia głosem i Ava rozpoznaje w niej Isabel.

Wchodzą z wahaniem do środka. Max jest onieśmielony, trochę się tej pani boi. Ava z kolei czuje się niepewnie, gdyż jest to dawny dom Billa. Jej Billa, męża Isabel, ojca Maxa. Przez chwilę obawia się, że zaraz wybuchnie płaczem, ale widzi, że dom jest praktycznie pusty. Nie ma w nim żadnych fotografii, niczego, co mówiłoby o Billu lub o Isabel. Mebli jest niewiele, wszystko wygląda schludnie, czysto i... neutralnie. Nie ładnie, nie brzydko, lecz poprawnie. Avie przemyka przez myśl, że nie powinna tak bezceremonialnie rozglądać się dokoła. Natychmiast przypomina sobie, po co tu przyszła.

- To dla Bettie - mówi, podając Isabel naczynie z zapiekanką. - Nie wiem, gdzie mieszkają jej przyjaciele, więc mam nadzieję, że mogę zostawić to tutaj. - Idzie za Isabel do kuchni i zatrzymuje się gwałtownie na widok siedzącej za stołem Bettie, która również ma na twarzy maseczkę.

- Cześć! - mówi Bettie nieco zdenerwowana. - Kupiliśmy w drogerii te nowe odmładzające maseczki. Skórę mam jak masło! - Dotyka ostrożnie policzków pokrytych warstwą zaschniętej glinki. - Chyba trzeba będzie zeszkrobać to dłutem. Isabel, masz w domu dłuto?

- Rozejrzę się. - Isabel schylona nad zlewem przemywa sobie twarz wodą. Gdy podnosi głowę, okazuje

się, że maseczka zniknęła, a jej cera lśni. - Masz rację. Jak masło. - Marszczy zabawnie twarz. Max chichocze.

Ava popycha go do przodu, ale onieśmielony chłopiec robi krok w tył.

- Kwiatki i ciastka są dla ciebie - mówi Ava do Isabel. - Od Maxa. - Wciąż nie wie, czego może spodziewać się ze strony Isabel, ale ponieważ nikt ich jeszcze nie wyprosił, dodaje: - I ode mnie. Chcę ci podziękować, że odebrałaś go wtedy z przedszkola. To... to wiele dla nas... dla mnie znaczyło.

Isabel patrzy na nią długo i zdejmuje sobie opaskę z włosów.

- Tak, wiesz... byłam kompletnie zaskoczona. Powinnaś była mnie najpierw zapytać.

- Zgodziłabyś się? - pyta Ava. Isabel myśli przez chwilę.

- Prawdopodobnie nie. Mimo to nie powinnaś była tego robić.

- Wiem - mówi Ava. - Ale naprawdę byłaś jedyną osobą, której mogłam zaufać - dodaje cicho.

Isabel sprawia wrażenie speszzonej.

- Wciąż tego nie rozumiem. Można by sądzić, że jestem ostatnią osobą na twojej liście.

Ava wzrusza lekko ramionami.

- Ale nie jesteś. I to jest prawda.

Isabel wzdycha, odbiera od niej naczynie z zapiekanką i schyla się, żeby przyjąć ciastka i kwiatki od Maxa. Uśmiecha się przy tym do niego.

- To dla mnie? Na pamiątkę naszej przygody sprzed tygodnia?
Max kiwa głową i wyciąga ręce przed siebie.
- Ciocia Isabel - mówi i przyciska buzię do nóg Avy, ponownie zawstydzony.
Isabel uśmiecha się do niego, kładzie naczynia na stole.
- Czas zmyć maseczkę - zwraca się energicznie do Bettie, ocierając łzę z kącika oka, co nie uchodzi uwagi Avy. - Za dziesięć minut przyjdzie tu Eula, żeby zabrać cię do domu.
- Do mojego domu? - pyta z nadzieją Bettie.
- Nie, do jej domu. Mieszkaś u niej i Buddy'ego, nie pamiętasz? - Isabel zwilża ręcznik ciepłą wodą i zaczyna ścierać glinę z twarzy Bettie.
- To miło z ich strony, że przyjęli mnie pod swój dach, ale tęsknię za moją okolicą.
- Przecież to tylko dwie przecznice dalej.
- Okropnie tam u nich głośno - narzeka Bettie. - Buddy chrapie jak pociąg towarowy, nie mogę spać w nocy. Czy zdarzyło się wam mieszkać z kimś, kto chrapie?
- Tak - odpowiadają jednocześnie Isabel i Ava. Gdy uświadamiają sobie, co to znaczy, zapada krępująca cisza. Isabel robi się czerwona jak burak i zaczyna z przesadną starannością wycierać twarz Bettie. Ava jest przerażona.
- Chciałam powiedzieć... To znaczy...
- Och, daj spokój! - Isabel zbywa ją machnięciem ręcznika. Wzdycha głęboko. - Nie musisz niczego

przede mną udawać. - Kiwa lekko głową w kierunku Maxa. - Dowód rzeczowy numer jeden.

Bettie cały czas papie z ożywieniem, nie zwracając uwagi na ich rozmowę.

- A Eula, cóż, bardzo ją lubię, ale spójrzmy prawdzie w *oczy*: ma straszne wiatry. - Odchyła głowę do tyłu, żeby Isabel mogła zetrzeć jej maseczkę z szyi. - Doceniam ich pomoc, lecz nie mogę się już doczekać, kiedy wrócę do siebie.

Ava i Isabel wymieniają spojrzenia. Wiedzą, że starsza pani nie ma do czego wracać. Ava przygląda się, jak Isabel zwilża ręcznik i jeszcze raz wyciera twarz Bettie. Sięga do torebki i wyciąga z niej muślinowy woreczek. Gdy nim potrząsa, ze środka dobiega przyjemny cichy brzęk.

- Bettie, spójrz, co przyniosłam. Skończyłam ozdoby z kapsli, o których rozmawialiśmy. - Otwiera woreczek i wysypuje kapsle na stół. Jest ich ponad pięćdziesiąt. Bettie wzdycha z zachwytem. Nawet Isabel jest pod wrażeniem. Ava nie posiada się z dumy.

- Co to takiego? - pyta Isabel, biorąc w palce jeden kapsel.

- W wolnych chwilach tworzę biżuterię z kapsli od butelek - wyjaśnia jej Ava. - Sprzedałam kilka sztuk w Gifts 'N More oraz w paru innych sklepach z upominkami. Bettie pytała mnie, w jaki sposób mogłaby włączać je do swoich albumów, więc wpadłam na ten pomysł. - Pokazuje jej jeden z kapsli, jaskrawy, poma-rańczowo-żółty. - Nazywam je albumowymi kapslami. Każdy ma wewnątrz inne słowo lub obrazek. Część

przyozdobiłam koralikami, a część brokatem. Dzięki temu powstały śmieszne ozdoby, które możesz przykleić do karty albumu albo do ręcznie robionej kartki. Mam też kapsle bez żadnych upiększeń. Można przyozdobić je w środku okrągłym obrazkiem.

- Są śliczne! - wykrzykuje Bettie, przesuwając po nich palcami. - Do czego służą?

- Przydadzą ci się na spotkaniu klubu - powtarza Ava. - Prosiłaś, żebym ci je przyniosła.

Bettie robi głęboki wdech.

- Ty je zrobiłaś? Przecudne! Do czego służą?

- Będą ci potrzebne na spotkanie... - Ava milknie. Spogląda na Isabel, która skinieniem głowy potwierdza jej nieme pytanie.

Bettie patrzy na nią z ciekawością.

- Czy my się już kiedyś spotkałyśmy? - pyta. - Jestem Bettie Shelton, założycielka i przewodnicząca Klubu Miłośniczek Albumów w Avalon. Powinnaś kiedyś przyjść na nasze spotkanie! Składka wynosi jedynie piętnaście dolarów miesięcznie, włączając w to specjalny zestaw na dany miesiąc, ale jeśli przyjdiesz jako mój gość, zwolnię cię z pierwszej opłaty. - Przykłada palec do ust. - Tylko nie mów nikomu!

- Nie powiem - zapewnia ją Ava. Wybiera jasnoróżowy kapsel i wręcza go Bettie. - Powinnaś go sobie zatrzymać. Myślałam o tobie, kiedy go robiłam.

- „Wspomnienia” - czyta na głos Bettie. - Och, to miłe. Popatrz, Isabel!

- Miłe - przytakuje Isabel. - Idę dołożyć ręcznik do prania. Ava, chcesz mi pomóc? .

Posyła Avie znaczące spojrzenie. Dziewczyna nie potrafi go rozszyfrować. Tymczasem Max wspiął się na krzesło obok Bettie i bawi się wraz z nią kapslami. Oboje śmieją się głośno.

Młode kobiety wchodzi do pralni. Isabel wrzuca ręcznik do zlewu.

- Muszę ci coś powiedzieć. Bettie cierpi na otępienie naczyniowe.

Ava wstrzymuje oddech.

- O nie!

- Doktor Richard postawił jej przed rokiem taką diagnozę. Nikomu się do tego nie przyznawała. Za wszelką cenę chciała utrzymać to w tajemnicy.

Ava przypomina sobie Nanę, matkę swojego ojca - jej niewidzący wzrok, jakby patrzyła na coś bardzo odległego.

- Moja babcia chorowała na alzheimera - mówi ze ściśniętym gardłem. - Nie mogła mieszkać sama. Zmarła w specjalnym domu opieki. Zawsze chciałam jej pomóc, lecz rodzice mi nie pozwalali.

- Bettie prawdopodobnie jest ubezpieczona, ale wszystkie jej dokumenty spłonęły. Nie mam pojęcia, czego może brakować. Na pewno w końcu do tego dojdziemy, lecz to potrwa. - Isabel przesuwa dłoń po pustej półce, sprawdzając, czy nie ma na niej kurzu. - Wkrótce się stąd wyprowadzam. Znalazłam nabywcę na mój dom i nic mnie już tu nie trzyma.

Ava czuje, że krew odpływa jej z twarzy.

- Wyprowadzasz się? Nie możesz...

- Och, nie - wzdycha Isabel. - Tylko bez łzawych scen, proszę.

- Przepraszam. - Ava pociąga nosem. - Chodzi o to, że się nie spodziewałam... - Wyciera nos wierzchem dłoni. Weź się w garść, mówi sobie w duchu. Nie pozwól, by Isabel zapamiętała cię, jak płaczesz w jej pralni wśród świeżo wypranych ręczników.

W tym samym momencie Isabel sięga po duże pudło leżące na suszarce.

- To dla ciebie. No, przede wszystkim dla Maxa. Kilka rzeczy Billa, które powinnaś zatrzymać.

Ava znów pociąga nosem i zagląda do środka. Na widok zawartości serce ściska jej się ze wzruszenia. Jest tam szkolna księga pamiątkowa Billa, esej, który napisał na studiach, spinka do mankietu, kilka swetrów, a także stara brzytwa i pędzel do golenia wykładane macicą perłową.

- Bill kochał ten zestaw - wyjaśnia Isabel. - Należał do jego ojca, ale przechowywaliśmy go u nas na strychu. Gdy Max będzie starszy...

Ava zarzuca jej ramiona na szyję i wybucha szczerym płaczem. Jest zachwycona podarunkiem. Wie, że Max będzie pieczołowicie przechowywał te pamiątki.

Isabel sztywnieje w jej uścisku, ale się nie odsuwa.

- Dobrze, dobrze - mówi z zakłopotaniem, poklepując Avę po plecach. Dziewczyna stwierdza ze zdumieniem, że w głosie Isabel brzmi wzruszenie. - Pewnie zbieram jeszcze sporo takich rzeczy. Mam gdzieś albumy ze zdjęciami Billa z dzieciństwa. Max jest do niego bardzo podobny.

- Podobny? - Ava robi krok w tył i znów ociera oczy. Całkiem się rozkleiła. - Naprawdę?

- Widać, że to ojciec i syn. Bez wątplenia. - Isabel wcale nie sprawia wrażenia rozzłoszczonej ani zakłopotanej. Na jej twarzy maluje się smutek. - Postanowiłam wam to dać dzięki Bettie i jej albumom. Chcę, żeby Max znał swojego ojca. Zresztą i ty zapewne nie miałaś okazji dowiedzieć się wszystkiego o Billu, poznać wielu zabawnych, ciekawych faktów z jego życia. Znajdziesz tu sporo pamiątek. - Dotyka pudła.

Ava ponownie zagląda do kartonu. Widzi dyplom ukończenia studiów medycznych, listy od rodziców, piłki do golfa, płyty CD, paszport, który stracił ważność.

- Nie chcesz nic sobie zatrzymać? Isabel potrząsa przecząco głową.

- Zatrzymam wspomnienia. Wszystkie, których potrzebuję, jak również te niechciane. - Wzrusza lekko ramionami. - A Max nie ma nawet tego.

Ava wyjmuje z pudła przycisk do papieru i uśmiecha się z rozczeniem. Jest to szklany pingwin z bardzo głupią miną.

- Dokąd się wyprowadzasz? Daleko? - Nie może znieść myśli, że Isabel opuści Avalon, ale nie wie, co innego powiedzieć.

- Nie mam pojęcia. Po sprzedaży domu zamieszkać u Yvonne i zacznę się zastanawiać, co robić dalej.

- Isabel kiwa głową w kierunku szklanego pingwina.

- To typowe dla Billa. Przypadkowy, zbędny, śmieszny bibelot. Uwielbiał ten przycisk. Niemal nie mogę uwierzyć, że nie zabrał go ze sobą. Cóż, rozumiem, że miał wtedy ważniejsze sprawy na głowie.

- Dziękuję - powtarza szeptem Ava.

Isabel wychodzi z pralni i kieruje się w stronę kuchni. W pewnym momencie przystaje i odwraca się do Avy.

- Spotkanie Klubu Miłośniczek Albumów odbędzie się w najbliższy czwartek w Herbaciarni Madeline. Bettie ma lepsze i gorsze dni, ale na pewno się ucieszy, gdy przyjdiesz.

- Przyjdziemy. Jeśli tylko się na to zgadzasz. Isabel kiwa w milczeniu głową i wchodzi do kuchni.

Ciche embargo na usługi Yvonne z dnia na dzień przestało obowiązywać. Do incydentu w domu Hugh doszło niecałe dwa tygodnie temu, ale w małym miasteczku wieści szybko się rozchodzą. Yvonne znów ma mnóstwo pracy i cały czas przybywa jej klientów. Umawia się z nimi na następny miesiąc, gdyż nie jest w stanie zrobić wszystkiego naraz. Dostała nawet list motywacyjny od młodego chłopaka, również hydraulika, który, podobnie jak ona, niedawno przeprowadził się do Avalon. Ponieważ jednak brakuje mu doświadczenia, chce uczyć się pod jej okiem, nim zacznie pracować sam. Yvonne nigdy nie brała pod uwagę takiej możliwości, zawsze lubiła działać na własną rękę, ale jeśli nadal będzie miała tyle pracy, pomoc bardzo się przyda.

Jedna z klientek powiedziała jej, że powinna poprowadzić kurs.

- Nie chodzi oczywiście o nic trudnego, tylko o podstawowy kurs majsterkowania - dodała szybko.

- Świadomość, że potrafimy naprawić coś same, doda nam pewności siebie. I na dodatek jesteście kobietami!

Yvonne podoba się ten pomysł. Może zajmie się tym w przyszłym roku. Wie, że stała się sławna, bo przeciwstawiła się lokalnemu monopoliście, czyli firmie Hillshire Plumbing, ale zdaje sobie jednocześnie sprawę, że gdyby nie znajomość z Hubertem Hillem, wszystko mogło potoczyć się inaczej. Może złożyłaby na nich skargę albo napisała list do redakcji „Gazette”, chcąc ratować własną firmę. Działania te najprawdopodobniej nie odniosłyby żadnego skutku. Bardzo możliwe, że zanim problem zostałby rozwiązany przez odpowiednie instytucje, byłaby już w drodze do innego miasta, modląc się w duchu, by podobna sytuacja już się nie powtórzyła.

Nie, w tej sytuacji postąpiła najlepiej, jak mogła. Nie dała za wygraną. Zarzuty przeciwko niej zostały wycofane, choć nie wie, czy przyczynił się do tego sierżant Overby, czy Hugh zdołał przekonać matkę. Najprawdopodobniej zawdzięcza to sierżantowi. Hugh raczej by się za nikim nie wstawiał, a już na pewno nie za nią.

Yvonne marszczy nos i wrzuca klucze do niewielkiej miseczki stojącej przy drzwiach. Co za tchórz. Nie może uwierzyć, że była w niego tak wpatrzona. Może właśnie w tym tkwił cały problem. Bujała w obłokach do tego stopnia, że nie potrafiła trzeźwo spojrzeć na tego bufona. Widziała tylko to, co chciała widzieć

- kogoś, kto mógłby zawładnąć jej uczuciami.

Zdejmuje ubranie robocze i wrzuca je do pralki, po czym idzie pod prysznic. Po wyjściu z łazienki, czysta

i odświeżona, chowa kolczyki i pierścionki do puzderka z biżuterią. Na widok srebrnych turkusowych serduszek, leżących tam cierpliwie, zastyga w bezruchu. Sam...

Nigdy nie próbowała go szukać, sprawdzać, co u niego słycać, a o jego ślubie dowiedziała się całkiem przypadkowo, pięć lat temu, gdy Claire, jej druga siostra, zadzwoniła z informacją, że jest w ciąży. Wiadomość ta była jak bomba zrzucona z idealnym wyczuciem czasu - w chwili gdy Yvonne pomyślała, że w jej życiu wiele się zmieniło i że być może przyjedzie na przyjęcie wydane na cześć przyszłej mamy i jej dziecka.

- Byli tu z wizytą u ojca Sama - powiedziała Claire, rozkoszując się ciszą panującą po drugiej stronie słuchawki.

Yvonne zrozumiała wówczas, że telefon od Claire nie był zaproszeniem na przyjęcie, lecz kolejną próbą pokazania jej, kto tu rządzi, udowodnienia, że jej rodzina cały czas trzyma rękę na pulsie. Zawsze będą o jeden krok przed nią, niweczając jej nadzieje na szczęście i spokój.

Sięga po turkusowe kolczyki i obraca je w palcach. Sam powiedział, że przynoszą szczęście. Turkus był symbolem przyjaźni. Yvonne miała je na sobie w dniu ich ślubu - w dniu, kiedy nagle okazało się, że straciła narzeczonego i najlepszego przyjaciela. Przyniosły odwrotny skutek.

Mimo wszystko zdołała jednak wyzwolić się raz na zawsze spod wpływu rodziny Täte. Nawet jeśli teraz

do nich wróci, odbędzie się to na całkiem innych zasadach, nie z powodu faktu, iż przejrzała swoich najbliższych, lecz dlatego, że zna lepiej siebie. Sama układa sobie życie, czego nie można powiedzieć ani o matce, ani o obu siostrach, których mężowie pracują teraz dla jej ojca. Zdołała więc wymknąć im się z rąk.

Odkręca zatyczki i ostrożnie zakłada turkusowe serduszka. Odgarnia wilgotne włosy za uszy, zerka w lustro i uśmiecha się do swego odbicia.

- Kochanie, uważam, że działasz pochopnie - mówi Madeline. - Wyjazd to niefortunny pomysł.

- Niedługo wrócę - odpowiada Connie. Nie jest w stanie patrzeć Madeline w oczy, udaje więc, że starannie składa sweter. - Myślę, że większa przestrzeń dobrze mi zrobi, to wszystko. Za ciasno mi w tym miasteczku. Wszyscy dziwnie na mnie patrzą, jakbym była przestępcą, bandytą czy kimś w tym rodzaju.

- Mogłabym to zrozumieć, ale ty przecież nie wybierasz się na wycieczkę. Pakujesz wszystkie swoje rzeczy. - Starsza pani wskazuje gestem dłoni puste szuflady w komodzie oraz wieszaki w szafie.

- Czuję się lepiej, mając wszystko przy sobie. Trudno wyzbyć się starych przyzwyczajzeń.

- Ale... - Madeline patrzy na nią ze smutkiem.

- **1** nie chcę, żebyś przejmowała się tą całą sprawą z Sereną. To znaczy z Żonkilką. - Connie zaczyna zdejmować rzeczy z półek. Sięga po dzienniki, chcąc włożyć je do pudła. Widzi czarny album przyozdobiony koronką, ze srebrnymi zakładkami i wciąż jeszcze

pustymi stronicami. Postanawia go zostawić. - To moje zmartwienie.
- Czy ty naprawdę myślisz, że się tym przejmuję? Sprawa znajdzie takie czy inne rozwiązanie, jestem tego pewna. - Madeline przysiada na łóżku, poważnie zaniepokojona. - Wiem, że wszystko cię teraz denerwuje. Na pewno nie chcesz ze mną porozmawiać? A może poproszę kogoś, kto nie jest w to bezpośrednio zaangażowany...

- Terapeutę? - Connie potrząsa odmownie głową. Miała już w życiu do czynienia z psychologami i nie zamierza ponownie korzystać z ich pomocy. - Nie. Po prostu muszę na trochę wyjechać. I nie chcę brać udziału w najbliższym spotkaniu Klubu Miłośniczek Albumów. Czuję się tam jak stwór z gabinetu osobliwości. Wiesz, wszyscy cały czas gapiliby się na mnie. I tak mamy już mniej klientów z mojego powodu.

- To nieprawda... - Madeline milknie w pół zdania. Connie chciałaby wyznać jej prawdę - że wyjeżdża

i już nie wróci. Ze wyjęła z konta wszystkie swoje oszczędności, które zdołała zgromadzić przez ostatnie lata, i wysłała czek Raynie Doherty, chcąc pokryć koszty naprawy zniszczeń na farmie, choć przecież nie jest za nie odpowiedzialna. Pragnie w ten sposób oszczędzić ewentualnych kłopotów Madeline. Pra-codawczyni może być przez chwilę przykro, ale nie będzie za nią długo tęsknić. Connie już zadzwoniła do Hannah z prośbą, by na jakiś czas zastąpiła ją w herbaciarni. Elegancka wiolonczelistka i Madeline szybko wypracują sobie wspólny rytm kuchennych działań,

będą mogły rozmawiać przy tym o muzyce i na inne wyrafinowane tematy, na których Connie niewiele się zna. Jej odejście wyjdzie wszystkim na dobre.

- Poradzę sobie, Madeline - obiecuje. Słyszy w swoim głosie siłę i pewność siebie.

Madeline niechętnie wychodzi. Connie musi się znów powstrzymać, żeby nie pobiec za nią i wszystkiego jej nie opowiedzieć. Ale nie robi tego.

Skończywszy pakowanie, staje w drzwiach i rozgląda się po pokoju. Jej azyl, schronienie przez cały ostatni rok. To najmiłsze miejsce, w jakim kiedykolwiek zdarzyło się jej mieszkać. Nigdzie indziej nie czuła się tak zadomowiona. Odwraca się i wychodzi.

W holu stoi Hannah przepasana fartuchem.

- Cześć - mówi.

- Cześć. - Connie odwraca wzrok, mrugając szybko powiekami.

- Pomóc ci? - pyta Hannah.

Connie potrząsa przecząco głową, ale wiolonczelistka bierze od niej jedną walizkę. Bez słowa wychodzą na podwórze. Connie otwiera bagażnik i Hannah pomaga jej włożyć walizki do środka.

- A więc tak to wygląda. - Jest oczywiste, iż czuje, co się dzieje.

- Ja nie znikam. - Connie sili się na wesołość. - Raz-dwa wrócę.

Hannah patrzy na nią uważnie.

- Obiecujesz? - pyta.

Connie przetyka ślinę, nie będąc w stanie jej odpowiedzieć.

- Nie wyjeżdżaj. - Hannah dotyka jej ramienia. - To będzie cios dla Madeline. Nie zrobiłaś nic złego.

Connie patrzy na nią, na jej szczerą twarz i nieskazitelne ubranie. Wie, że nie jest to wina Hannah, ale nie może opanować żalu.

- A może właśnie to zrobiłam, Hannah, może ukradłam Serenę, bo czuję się samotna. Niedbale się ubieram i dorastałam w rodzinach zastępczych, więc na pewno jestem zdolna do kradzieży. - Zatrząskuje bagażnik i patrzy Hannah wyzywająco w oczy. Ale wiolonczelistka nie wygląda na speszoną.

- Nikt nie wierzy, że ukradłaś Serenę, a jeśli nawet ktoś tak uważa, po prostu cię nie zna. Popatrz, jak pokierowałaś swoim życiem. Jesteś mądra i kreatywna. Wierzy w ciebie wielu ludzi, a ty chcesz to wszystko odrzucić z powodu drobnego niepowodzenia? To mi nie pasuje do tej Connie, o którą jeszcze niedawno byłam tak zazdrosna.

Connie wpatruje się w nią z niedowierzaniem. Hannah? Zazdrosna o nią?

Hannah śmieje się głośno.

- Och, nie bądź taka zdziwiona. Pojawiłaś się tu w ubiegłym roku, gdy Madeline akurat potrzebowała pomocy, i natychmiast zaczęłaś wszystkim kierować. To była dla niej wielka zmiana - pomogłaś jej spełnić marzenie. I właśnie dzięki tobie zeszłoroczny dzień pieczenia Chleba Przyjaźni Amiszów odniósł tak wielki sukces. Byłam pełna podziwu, a jednocześnie ci zazdrościłam. Nie masz jeszcze trzydziestu lat, ale wiesz, kim jesteś. Ja jeszcze do tego nie doszłam, wciąż

próbuję zdefiniować siebie. Patrzę na ciebie i myślę sobie, że chciałabym być tak odważna jak ty. I wiem, że nie tylko ja jedna tak myślę.

- W takim razie dlaczego ludzie tak dziwnie się zachowują?

Hannah wzrusza ramionami.

- Cała ta sprawa jest bardzo dziwna. A teraz jeszcze ten pożar - wszyscy żyją w napięciu. Ale ci, którzy w ciebie wierzą, obserwują twoje reakcje. Jeśli będziesz przestraszona lub zdenerwowana, oni również zaczną się tak czuć. A jeśli zachowasz spokój...

- Oni również się uspokoją. Rozumiem.

- Mam nadzieję - mówi Hannah, po czym niespodziewanie obejmuje Connie. - Bez ciebie to miasto nie będzie już takie samo. - Robi krok w tył, uśmiecha się, odwraca się i wchodzi do herbaciarni.

Rozdział 18

Temperatura w Avalon spada. Wielkimi krokami zbliża się Halloween - widać już strachy na wróble, dynie na werandach, zwiewne duchy z bibułki ozdabiające okna i drzwi.

Frances siedzi przy maszynie do szycia. Na desce do prasowania leżą dwa na wpół uszyte kostiumy, a z drzwi spiżarni zwiesza się kołdra dla Mei Ling. W tym roku Nick stwierdził, że nie chce uszytego przez mamę przebrania, ucharakteryzuje się na deskorolkarza. Luźny podkoszulek, džinsy, sportowe buty, wełniana czapka, deskorolka - gotowe. Frances usiłowała ukryć rozczarowanie, ale nie zdołała go przekonać. Od lat co roku szyła dla niego przebranie.

- Mamo, to dla dzieciaków - mówi Nick, podczas gdy Frances skreśla z listy kolejne kostiumy. Pirat, szkielet, czarodziej...

On też jest jeszcze dzieckiem, prawda? Frances jest zaskoczona, jak szybko rośnie jej mały chłopiec, jak

trudno go czasem zrozumieć. Myślała dotąd, że doskonale się jej to udaje. Gdy był młodszy, wszystko wydawało się prostsze. Z Noahem i Bradym nie ma jeszcze takich problemów, ale z Nickiem Frances nie jest pewna, jak ma postępować.

- Przepraszam - mówi, słysząc w słuchawce głos Hannah, po *czym* wyjaśnia jej swój problem. - Pamiętam, jak mówiłaś, że Jamie ma kilku braci, i pomyślałam, że mogłabym się ciebie poradzić w pewnej sprawie. Czuję się bardzo zagubiona.

- Nie jestem pewna, czy potrafię ci pomóc - przyznaje Hannah. - Ale chętnie poznam cię z Sandrą Linde, matką Jamiego. Jest wspaniała, macie ze sobą wiele wspólnego.

Sandra zaprasza je na kawę. Idąc przez jej podwórze, Frances dostrzega sfatygowany kosz do gry w koszykówkę, ale poza nim wokół domu nie widać żadnych śladów świadczących o tym, że mieszka tu kilku chłopców. W jej rodzinie wygląda to całkiem inaczej: trzykołowe rowerki porzucone na trawniku, piłki do bejsbolu, futbolówka, zapomniane zabawki, wyschnięte kubki z farbą, a nawet buty Brady'ego, nie wspominając już o śmieciach, które jej synowie gromadzą w ciągu dnia, takich jak szklany słoik z zapomnianą żabą w środku, prowizoryczne miecze czy wiadro pełne kamieni. Synowie Sandry są dużo starsi, ale Frances ma wrażenie, że mimo to podwórze powinno być o wiele bardziej zabałaganione.

Gdy Sandra otwiera drzwi i zaprasza je do środka, Frances wreszcie to widzi. Albo raczej czuje.

Przepecone buty i skarpetki, stosy brudnych rzeczy do prania. Dom jest czysty i schludny, o wiele bardziej zadbane niż dom rodziny Lathamów, ale czuć, że mieszkają w nim chłopcy. Frances jest zachwycona.

- Przepraszam - kaja się Sandra. Podnosi z podłogi wilgotny ręcznik i krzyczy: - Peter, chodź tu natychmiast i powieś to!

Szesnastoletni chłopak z wilgotnymi włosami wychodzi ze swojego pokoju. Frances jest zaskoczona jego wzrostem. Nie potrafi sobie wyobrazić swoich synów tak... wielkich.

- Mój najmłodszy syn - mówi dumnie Sandra, po czym wskazuje zdjęcia Jamiego, najstarszego z braci, oraz Caseya i Bailey, średnich bliźniaków, którzy studiuje w college'u w Vermont. Wszędzie wokół można dostrzec trofea sportowe, sprzęt sportowy, podręczniki. Frances ma wrażenie, że znalazła się w starszej wersji własnego domu. Drzwi otwierają się i do środka wchodzi Jamie w uniformie kuriera.

- Cześć, mamó - mówi, całując Sandrę w policzek, po czym odwraca się do Hannah. Obejmuje ją ramieniem i również całuje. - Słyszałem, że macie tu imprezę, więc postanowiłem wziąć udział.

Sandra uśmiecha się szeroko. Frances widzi, że jest uradowana jego wizytą, i doskonale to rozumie. Podczas gdy Hannah i Jamie idą do kuchni, Sandra prowadzi gościa do salonu.

- Hannah mówiła mi, że powiększy się państwu rodzina - mówi, gdy już usiadły. - To wspaniałe!

- Dziękuję - odpowiada rozpromieniona Frances.

- Jest jeszcze mnóstwo do załatwienia, ale już się nie mogę doczekać. Wszyscy bardzo się niecierpliwimy.

- Dziewczynka - wzdycha smutno Sandra. - To było moje marzenie - chłopiec i dziewczynka. Ale gdy na świat przyszli bliźniacy, nasza rodzicielska strategia uległa całkowitej zmianie. Przeszliśmy z walki jeden na jeden do obrony strefowej. A kiedy uświadomiliśmy sobie, że oni mają nad nami liczebną przewagę, urodził nam się Peter. - Wybuchają śmiechem.

Frances zastanawia się, kiedy będzie w stanie opowiadać o swoich dzieciach i rodzicielstwie z taką samą lekkością. Wygląda na to, że matka Jamiego ma z synami bardzo dobry kontakt.

- Właśnie dlatego tu jestem - mówi Frances. - Wkrótce Mei Ling będzie z nami. To dla nas całkiem nowa sytuacja i myślałam, że przynajmniej o chłopców mogę być spokojna. Ale mój ośmiolatek, Nick, zaczął się nagle buntować. Nie chce już z nami nigdzie chodzić i chyba się mnie wstydzi. Kiedy kazałam mu wczoraj zapiąć na zamek bluzę z kapturem, zaczął przewracać oczyma. Czy trochę nie za wcześnie na takie zachowanie?

Sandra wzdycha.

- Casey był taki - przypomina sobie. - Nie pozwalał mi odprowadzać się do klasy, chociaż jego bracia nie mieli nic przeciwko temu. Nie chciał, żebym psuła jego styl.

Frances ma wrażenie, że słyszy swojego syna, i robi jej się przykro.

- Co to znaczy: psuć jego styl? - pyta. - Nick ma dopiero osiem lat!

Sandra się śmieje.

- Wiek nie ma tu nic do rzeczy, to kwestia osobowości. Każdy przychodzi na świat z pewnym charakterem. Możemy oczywiście na niego wpływać, ale nie do końca. - Kiwa głową w kierunku holu. - Z Peterem mam najłatwiej. Jest spokojny, nie lubi się kłócić. Ale lubi też pakować się w kłopoty. Jeśli tylko coś się dzieje, można mieć pewność, że Peter maczał w tym palce.

Frances przypomina sobie spotkanego przed paroma minutami chłopca.

- Naprawdę?

- Peter, chodź tutaj! - woła Sandra. Niemal w tej samej sekundzie Peter wybiega ze swojego pokoju. W ręce trzyma paczkę chipsów.

- O, kogo tu widzimy - mówi Jamie, wchodząc wraz z Hannah do salonu. - Naszego dzielnego wojownika! - Pieszczotliwym gestem mierzwi bratu włosy.

- Przestań! - Peter z szerokim uśmiechem usiłuje się uchylić.

- Wygrali kolejny mecz - tłumaczy Sandra. - Peter jest w drużynie futbolowej. Po raz pierwszy od sześciu lat mają doskonałą passę. To duże osiągnięcie.

Frances kiwa głową. Cały czas usiłuje wyobrazić sobie swoich synów jako wyrosniętych nastolatków. Nie chce się jej wierzyć, że będą wyżsi od niej, ale wie, że to nieuniknione - Reed ma metr dziewięćdziesiąt, a chłopcy już przewyższają wzrostem większość swoich rówieśników.

- Nie jemy w pokoju - przypomina Sandra Peterowi, wyjmując mu z ręki chipsy. - Dobrze o tym wiesz.

- A Jamie tak robi.

- Jamie ma własne mieszkanie i jest dorosły. Ty, dopóki mieszkasz pod moim dachem, możesz jeść tylko w kuchni - mówi Sandra i szepcze do Frances: - Jamie uwielbia porządek. Zawsze ścielił łóżko, składał rzeczy do prania i nakrywał do stołu. Był bardzo odpowiedzialny.

- Ja też jestem odpowiedzialny - mruczy Peter, który podsłuchiwał jej słowa.

- Tak, odpowiedzialny za dwukrotne uruchomienie szkolnego alarmu przeciwpożarowego w ciągu ostatniego miesiąca - przypomina mu Jamie.

- To nie ja! - protestuje jego brat. Sandra nie zwraca na nich uwagi.

- Ma jeszcze karę, nie wolno mu wychodzić z domu - wyjaśnia, zwracając się do Frances. - Zapomniałam ci o tym opowiedzieć. Tak się kończą wszelkie nasze nadzieje na wychowanie ich na ludzi.

- Mówię, że tego nie zrobiłem - powtarza Peter.

- Pozwól, że zgadnę... czy to był Spit Parker? - prychnął Jamie. - Spit Parker jest rozgrywającym. To chodząca legenda. Nie może niczego przeskrobać, bo prowadzi swoją drużynę do mistrzowskiego tytułu. Mam rację, Pete?

Peter mruczy coś niewyraźnie pod nosem. Frances słyszy coś w rodzaju „nie fair”.

- Posłuchaj, Peter - mówi Sandra surowo, odwracając się do najmłodszego syna. - Powiedziałeś, że to nie ty. Ale wiesz, kto to zrobił, i ta wiedza czyni cię współwinnym. Wydaje ci się to tylko nieszkodliwym

kawałem, lecz w takich sytuacjach ludzie wpadają w panikę. Ktoś mógł zrobić sobie krzywdę, a ja wiem, że wcale byś tego nie chciał. Peter zwiesza głowę.

- Wiem, że chcesz być lojalny w stosunku do Spita

- tłumaczy mu dalej matka - ale prawdziwa przyjaźń nie polega na zatajaniu prawdy, tylko na wspieraniu przyjaciela w podejmowaniu właściwych decyzji. Rozumiesz?

Peter kiwa głową.

Frances żałuje, że nie robi w tej chwili notatek. Pociesza się myślą, że jej chłopcy zawsze będą zachowywać się właściwie i nigdy nie przysporzą jej kłopotów, choć doskonale wie, że to niemożliwe, bo już zdarza im się łamać rodzicielskie zasady. Może nauczy się z czasem, jak sobie z tym radzić.

- Dobry z ciebie chłopiec, Peter, ale nie myśl sobie, że twój ojciec i ja będziemy przymykać oczy na to, że robisz coś złego albo pozwalasz na to komuś innemu. Nie chcę, byś kiedykolwiek musiał rozpamiętywać przeszłość i odczuwać z tego powodu wyrzuty sumienia. A teraz idźcie stąd - mówi Sandra i zamaszystym ruchem ręki wyprasza z salonu wszystkich z wyjątkiem Frances.

- Chcę dokończyć miłą rozmowę z panią Latham, zanim będę musiała brać się do szykowania obiadu.

Nikt się nie rusza. Peter sprawia wrażenie wyraźnie zdenerwowanego, a Jamie marszczy brwi.

- Pete, o co chodzi? - pyta.

- O nic - mamrocze Peter, ale wciąż nie rusza się z miejsca.

- Wyciągnę to z ciebie siłą, jeśli będę musiał - mówi Jamie, przysuwając się gwałtownym ruchem do brata. Peter odskakuje w tył.

-Już dobrze! - mówi nerwowo. Jamie i Sandra wpatrują się w niego ze zniecierpliwieniem. Widać wyraźnie, że sytuacja jest nietypowa. Frances czuje narastającą ciekawość, która bierze w niej górę nad troską o Petera.

Peter bierze głęboki oddech.

- Obiecacie mi, że nie będziecie wściekli.

- Peter. - Na twarzy Sandry pojawia się gniewny grymas. - Nie zmuszaj mnie do tego, żebym zadzwoniła po ojca.

- Dobra. - Peter z westchnieniem siada na sofie.

- Mam wam coś do powiedzenia.

To już koniec. Isabel zdołała przejrzeć wszystkie kartony. Część odłożyła dla Avy i Maxa, dużo więcej

- dla organizacji charytatywnej oraz kilku lokalnych kościołów. Wysłała również paczkę do Lillian Kidd, matki Billa. Dołączyła do niej list, który pisała przez cały wieczór.

Pudła z jej rzeczami zajmują jeden kąt garażu. Wciąż jest ich sporo, ale wybierała je świadomie, nie ma tam nic zbędnego. Jest jej niezwykle lekko na duchu, serce ma pełne nadziei. Wciąż jeszcze nie może uwierzyć, że pozbyła się wszystkich niechcianych bibelotów, przykuwających ją do tego miejsca, tych tajemniczych, zapomnianych rupieci, które tak jej ciążyły. Nareszcie wszystko jest na swoim miejscu.

Nina i Dan przyjeżdżają w tym tygodniu. Ona jest gotowa na ich przyjęcie. Dom czysty, meble wygodne i funkcjonalne, wszystkie lustra i szyby wręcz lśnią. Największe wrażenie robi weranda. Tydzień temu Ian Braemer pociągnął nowe deski ostatnią warstwą farby i całość prezentuje się wspaniale. Dom wreszcie wygląda na wykończony. Można poczuć się w nim naprawdę wspaniale.

Isabel wychodzi na spotkanie Klubu Miłośniczek Albumów, gdy dzwoni jej telefon. Ponieważ jest już spóźniona, zastanawia się przez chwilę, czy nie odsłuchać potem poczty głosowej, ale w końcu odbiera połączenie.

- Isabel? - pyta męski głos, drżący i niepewny.

- Mówi Buddy McGuire, mąż Euli.

- Cześć, Buddy - odpowiada Isabel. - Co się dzieje?

- Jesteśmy z Eulą we Freeport, w szpitalu. Bettie przewróciła się i złamała sobie rękę w nadgarstku, ale poza tym czuje się dobrze.

Isabel mocno ściska telefon.

- Już tam jadę.

- Zaraz złączą nastawiać jej rękę. Lekarz mówi, że wkrótce potem powinni ją wypisać. Przywieziemy ją wieczorem do domu, więc nie musisz tu przyjeżdżać, tylko przekaż ludziom na zebraniu, że Bettie na nim nie będzie. - Buddy odchrząkuje, mocno speszony.

- Eula bardzo się martwi. Pokłóciły się i Bettie upadła.

- Pokłóciły się? O co?

- Bettie oskarżyła Eulę, że zatrzyma jedzenie i traktuje ją jak więźnia. Zabrała jej kluczyki do samochodu

i chciała koniecznie wyjść. Eula usiłowała ją powstrzymać. Wtedy Bettie upadła.

Isabel może sobie wyobrazić, jak to wyglądało.

- Tak mi przykro. Dobrze, że Eula nie pozwoliła jej wsiąść do samochodu. Doktor Richard mówi, że nie wolno jej już siadać za kierownicą.

- Isabel, nie wiem, czy dłużej to wytrzymamy. Eula i Bettie są serdecznymi przyjaciółkami, ale Bettie zmieniła się ogromnie. Co chwila zapomina, dlaczego się u nas znalazła. Nie jesteśmy w stanie zrobić niczego w ciągu dnia, a w nocy jest coraz gorzej. Bardzo mało śpimy, bo Bettie chodzi po całym domu. Kiedy zamykamy drzwi na klucz, bardzo się denerwuje.

Isabel nie wie, co powiedzieć, ale zdaje sobie sprawę, jak trudno jest opiekować się Bettie.

- Porozmawiam z doktorem Richardem. Coś wymyślimy - obiecuje.

Wygląda jednak na to, że Buddy jest bardzo zdeterminowany.

- Jesteśmy już z żoną po siedemdziesiątce - ciągnie. - Kochamy Bettie, ale nie dajemy sobie z nią rady. Przepraszam, że o to pytam, ale czy ona nie może zamieszkać u kogoś innego?

- Zaraz porozmawiam o tym z paniami z klubu - mówi Isabel.

- A zanim podejmiemy jakąś decyzję, Bettie może zamieszkać u mnie.

- Dobrze. - W głosie Buddy'ego słychać ulgę, ale także poczucie winy. Isabel może sobie tylko wyobrażać, jak bardzo czuje się zmęczony. To on i Eula pierwsi zaproponowali Bettie, że wezmą ją do siebie. Nikt nie

pomyślał wtedy o jej zanikach pamięci. Wszystkim zależało przede wszystkim na tym, żeby znaleźć Bettie dach nad głową i otoczyć ją przyjacielską opieką.

Isabel zastanawia się, co teraz zrobić. Wszyscy oczekują, że Bettie pojawi się na spotkaniu. Członkinie klubu zdążyły już rozpowiedzieć w całej okolicy, że ich przewodnicząca i przyjaciółka straciła dobytek w pożarze. Spodziewają się licznej frekwencji. Nie można odwołać spotkania.

Choć do herbaciarni Isabel ma zaledwie kilka minut drogi, jedzie powoli, pogrążona w myślach. Gdy w końcu dociera na miejsce, wie już dokładnie, co chce powiedzieć.

Lokal jest pełen gości zgromadzonych w salonie, a nawet w holu. Ku swemu zaskoczeniu Isabel dostrzega wśród nich kilku mężczyzn. Rozpoznaje Clyde'a Thomasa, aptekarza, siedzącego obok swojej żony i rozmawiającego z sąsiednią parą. Jest tu również szczupły mężczyzna, którego Isabel kojarzy z plakatów reklamujących lokalne radio KAVL 94,5 FM, wsłuchany w monolog starszej kobiety opowiadającej mu szczegółowo o każdej stronicy swojego albumu. Kilku panów stoi także przy stołach z jedzeniem, nakładają sobie dania na talerze i wesoło rozmawiają. Nie mają zapewne pojęcia o scrapbookingu, ale przyszli na spotkanie, by dać wyraz solidarności z Bettie.

Isabel dostrzega Awę z Maxem i uśmiecha się, gdy chłopiec wesoło do niej macha ręką. Przy stoliku z przekąskami natyka się na Yvonne. Postanawia zostawić na sam koniec problem państwa McGuire i skupić

się na najważniejszym. Nie lubi przemawiać do sporej liczby osób ani nie potrafi mówić długo i kwieście. Staje przy drzwiach i usiłuje zwrócić na siebie uwagę wszystkich klubowiczów.

- Przepraszam - mówi głośno, ale nikt nie zwraca na nią uwagi. Yvonne gwizdże na palcach; to również nic nie daje. W salonie panuje ożywiony gwar, zewsząd słychać śmiech i głośne rozmowy. W końcu Isabel ozdobnym drewnianym młotkiem uderza w deskę. W salonie natychmiast zapada cisza i wszystkie spojrzenia kierują się w jej stronę.

- Uwaga, uwaga, otwieram spotkanie Klubu Miłośniczek Albumów. - Isabel usiłuje opanować zdenerwowanie. - Jak państwo widzą, nie nazywam się Bettie.

Przez herbaciarnię przebiega chóralny śmiech. Isabel widzi, że Yvonne i Ava uśmiechają się do niej szeroko.

- Wszyscy wiemy, że w ubiegłym tygodniu Bettie straciła dom w pożarze. Dziś po południu została zabrana do szpitala z powodu nieszczęśliwego upadku. Złamała rękę i nie będzie mogła być tu dziś z nami.

W salonie rozlega się chóralny okrzyk. Goście wymieniają półgłosem uwagi i rozglądają się wokół, jakby Bettie miała niespodziewanie pojawić się między nimi.

- Wiem, że dużo mówi się o tym pożarze - ciągnie Isabel - i o jego przyczynie. Cóż, nigdy nie będziemy jej pewni, ponieważ Bettie nic nie pamięta. Cierpi na otępienie naczyniowe. To drugi najbardziej powszechny rodzaj demencji, zaraz po chorobie Alzheimera. Powodują go drobne wylewy do mózgu, niekiedy nazywane

„cichymi wylewami", gdyż pacjenci nie zawsze zdają sobie sprawę, że je przeszli. Ale po pewnym czasie ujawniają się skutki - zaniki pamięci, oszołomienie, utrata funkcji poznawczych. Oznacza to, że od czasu do czasu Bettie będzie czuła się zagubiona, nie rozpozna nas, nie będzie wiedziała, gdzie jest. Może zapomnieć, jaki jest dzień tygodnia. W trakcie rozmowy może poczuć się zmęczona lub zdenerwowana. Ołępienie naczyniowe różni się od choroby Alzheimera tym, że nie postępuje w tak widoczny sposób. Z tego też powodu wielu z nas widziało, że coś dziwnego się z nią dzieje, ale nie miało pewności, co to właściwie jest. Bettie z takim zaangażowaniem pomaga nam w naszych problemach - czy tego chcemy, czy nie - że przeoczyliśmy okazję udzielenia jej pomocy. - Kilka kobiet ociera sobie oczy i pociąga nosem. Isabel ma wrażenie, że zaraz sama będzie potrzebować chusteczki. - Bettie straciła w pożarze cały swój dobytek, ale chyba jeszcze większą tragedią jest dla niej utrata pamięci, poczucia samej siebie. Wszystko, co pomagało jej przywołać dawne wspomnienia lub ułatwiało jej kontakt z rzeczywistością, przepadło. Ostatnio przeglądałam w domu stare albumy. Choć nigdy nie nazwałabym Bettie bliską przyjaciółką, zobaczyłam ją na bardzo wielu zdjęciach - była ważna w moim życiu, mimo iż nie zdawałam sobie z tego sprawy. Jestem pewna, że wiele osób spośród państwa może powiedzieć to samo. Jadąc tutaj, pomyślałam, że moglibyśmy wszyscy przejrzeć nasze domowe albumy w poszukiwaniu fotografii, na których jest Bettie, i przygotować

nowy album specjalnie dla niej. Jeśli każdy znajdzie choć jedno lub dwa zdjęcia, będziemy ich mieć ponad sto. Na dobry początek. Dziękuję. - Isabel siada, po czym sekundę później ponownie wstaje i niezgrabnym ruchem uderza młotkiem w deskę, kończąc oficjalną część spotkania.

Zapada długa, pełna napięcia cisza. W końcu ktoś wyciąga rękę. Patsy Jones podnosi się z miejsca.

- Wiem, że mam zdjęcia ze spotkania, na którym szyłyśmy kołdry dla kościoła - mówi drżącym ze zdenerwowania głosem. - Chętnie wybiorę kilka i napiszę coś o tamtym wydarzeniu. Mogłabym też zrobić zdjęcia gotowych kołder. - Jedna z przyjaciółek poklepuje ją po ramieniu, chcąc dodać jej otuchy. Patsy siada z wyraźną ulgą.

Następny wstaje Floyd O'Neill, członek ochotniczej straży pożarnej i ojciec trójki dzieci.

- Dobry wieczór, nazywam się Floyd. Nie jestem kobietą ani też miłośnikiem albumów, ale przyszedłem na wasze spotkanie, bo pomagałem gasić pożar. Przyniosłem kilka zdjęć z tegorocznych obchodów Dnia Niepodległości w naszym parku. Jest na nich Bettie. Ilekroć na nie patrzę, przypominam sobie, że przez pół dnia tłumaczyła mi wtedy, jak należy piec mięso na grillu. Miałem już jej po dziurki w nosie, ale teraz śmieję się z tego. Może Bettie również będzie wesoło na to wspomnienie. - Siada.

Wszyscy kiwają głowami, a jedna z pań woła: - Nasz klub jest otwarty również dla mężczyzn!

Floyd podnosi kciuk w górę. Przez salon przebiega cichy śmiech.

Wstaje Cassandra Simon.

- Hermina i ja mamy zdjęcia wszystkich członków klubu. Robiliśmy je każdego roku od chwili jego założenia - mówi donośnym głosem. - Prawda, Hermino?!

- woła do kobiety siedzącej po przeciwnej stronie salonu.

Hermina Hooper kiwa głową.

- Bettie przykładła ogromną wagę do dokumentowania wszystkich naszych działań. Mogłybyśmy stworzyć z tego dwa pełne albumy!

- Trzy - uściśla Cassandra pewnym siebie tonem.

- Co najmniej.

Kilka pań, należących do klubu od początku jego istnienia, przytakuje cicho. Isabel widzi, że Madeline podaje Avie zeszyt i długopis.

Brett Hull podnosi rękę.

- Bettie zawsze chętnie pomagała naszej lokalnej drużynie skautów. Co roku pomaga nam dokumentować nasze wyprawy. Poproszę byłych dowódców naszej drużyny, żeby poszukali jej na swoich zdjęciach.

Wstaje Hope Weaver.

- Spróbuję zebrać ulubione przepisy naszych klu-bowiczek - mówi. - Nie jestem dobrą kucharką, ale wiem, że Bettie bardzo lubiła niektóre z tych dań.

- Na przykład moją sałatkę z pomidorów - zauważa z dumą Sue Pendergast. - Nigdy nie potrafiła dobrze jej zrobić. To dzięki temu, że dodaję do niej pewne sekretne składniki, na przykład ocet winny i pół łyżeczki gorzycy...

Madeline podnosi rękę.

- Mogę ci pomóc. Przygotujemy potrawy i zrobimy zdjęcia.

- Gdy miałyśmy po dwadzieścia kilka lat, grałyśmy wraz z Bettie na dzwonekach ręcznych - wtrąca melodyjnym głosem Louella Jones. - Nie wiem, czy wciąż jeszcze mam te zdjęcia, ale ich poszukam.

- Pamiętam wasz zespół! - wykrzykuje ktoś głośno. To Percy Rush, starszy pan, z przejęciem wymachujący laską. - To brzmiało jak anioły tańczące na ksylofonie! Grałyście na paradach bożonarodzeniowych, wszystko pamiętam!

- Możemy mieć te zdjęcia w „Avalon Gazette” - mówi Edie Gallagher Johnson, żona doktora Richarda i dziennikarka lokalnej gazety. Ku zakłopotaniu części starszych mieszkańców Avalon, którzy pospiesznie odwracają wzrok, właśnie karmi piersią swoją córeczkę, Mirandę. - Poszukam w naszym archiwum zdjęć Bettie oraz artykułów na jej temat i je skopiuję.

Ava pospiesznie notuje wszystko w zeszycie, a Yvonne podpowiada jej nazwiska i numery telefonów osób, które ofiarowały się pomóc Bettie.

Wstaje kolejny mężczyzna. Twarz ma pomarszczoną od słońca. Jest w kraciastej koszuli i kamizelce, w rękach trzyma kapelusz.

- Przepraszam. Nazywam się Henry Tinklenberg i chcę powiedzieć, że strasznie mi przykro z powodu tego, co przytrafiło się panie Shelton - mówi. - Była jedną z pierwszych osób, jakie poznaliśmy wraz z żoną po przeprowadzce do Avalon. Kiedy Abigail zmarła, Bettie pierwsza odwiedziła mnie, żeby złożyć

kondolencje. Abigail szykowała album dla naszych wnuków, ale go nie skończyła. Nie miałem pojęcia, jak się w ogóle do tego zabrać. Bettie odwiedzała mnie często i pomogła mi przy tej pracy. Zajęło nam to prawie rok - nie byłem tak szybki jak panie, ale Bettie cały czas służyła mi radą. Jestem jej bardzo wdzięczny za przyjaźń i będę starał się jej pomagać, jak tylko mogę. Dziękuję. - Siada na swoje miejsce.

- Ja również chciałabym się jej jakoś przysłużyć. - Ella Kline podnosi się z miejsca. - Moja matka zmarła na alzheimera. Mimo choroby uwielbiała wyklejać albumy, a Bettie chętnie jej w tym pomagała. To dziwne, ale kiedy mama zajmowała się albumami, sprawiała wrażenie niemal całkiem zdrowej. Nawet pod sam koniec, gdy już mnie nie poznawała, bardzo lubiła oglądać zdjęcia w swoim albumie. Będę szczęśliwa, jeśli zdołam jakoś pomóc Bettie. - Ella siada, ocierając oczy.

Atmosfera w salonie gęstnieje od emocji i wspomnień. Każdy rozmyśla o tym, w jaki sposób Bettie wpłynęła na jego życie. Pudełka z chusteczkami higienicznymi przechodzą z rąk do rąk, ale słychać również wesoły śmiech. Coraz więcej rąk wędruje w górę, coraz więcej opowieści rozbrzmiewa w Herbaciarni Madeline.

Rozdział 19

Connie zwalnia, zatrzymuje samochód i wyłącza silnik. Nad bramą widnieje duża tablica:

Farma rodziny Doherty

Krowy, kozy, owce, konie, króliki i kurczęta.
Zabłądź w naszym dwuhektarowym
kukurydzianym labiryncie!

Poniedziałki-piątki 10.00-15.00

Dorośli 3\$, młodzież 1\$,
dzieci poniżej 5 roku życia za darmo

Zapytaj o nasze imprezy urodzinowe!

Na tyłach posiadłości stoi duża czerwona obora otoczona polami kukurydzy. Connie widzi tam też biały dom, jeszcze jeden duży budynek oraz silos zbożowy.

Za domem kręci się kilka turbin wiatrowych. Na pobliskim klepisku stoi kilka zaparkowanych samochodów.

Connie wypija łyk soku pomarańczowego z butelki. Jest głodna, ale ma przy sobie tylko baton zbożowy. Farma Rayny leży na południe od Avalon i jeśli Connie będzie dalej jechać wprost przed siebie, znajdzie się na otwartych preriach Illinois. Przed wyjazdem z Avalon powinna była spakować więcej jedzenia, ale nie wiedziała jeszcze, dokąd się skieruje, a już z całą pewnością nie przypuszczała, że znajdzie się tutaj.

Jest to spory teren - ma prawdopodobnie dwadzieścia pięć hektarów, może więcej. Connie wie, że nie będzie mogła wjechać tam niezauważona, a jest zbyt daleko, by dostrzec któreś ze zwierząt, nie mówiąc już o Serenie.

Zamyka oczy. Nie jest lekkomyślna, ale to, co zamierza teraz zrobić, można uznać za najbardziej zwariowany pomysł, jaki kiedykolwiek przyszedł jej do głowy. A jednak nie potrafi zmusić się do odjazdu.

Ktoś puka w szybę samochodu. Connie otwiera oczy i widzi starszego mężczyznę, który przygląda jej się z przyjaznym uśmiechem. Twarz ma opaloną i pełną zmarszczek, a w ręce trzyma sfatygowaną czapkę bejsbolową.

- Zgubiła się pani?

Connie opuszcza szybę i usiłuje przygładzić sobie włosy - wie, że musi być okropnie rozczochrana.

- Zatrzymałam się na chwilę, żeby odpocząć - odpowiada. - Jestem tu tylko przejazdem.

- Mamy jeszcze mnóstwo dyń. Może sobie pani

sama wybrać. A ponieważ buraki i pasternak również doskonale obrodziły, sprzedajemy je po specjalnej cenie.

Connie usiłuje się uśmiechnąć.

- Brzmi wspaniale - mówi uprzejmie.

- Fantastycznie! - wykrzykuje starszy pan. - Proszę za mną!

- Słucham? Och nie, chciałam tylko powiedzieć, że...

Nieznajomy już jej nie słucha. Podchodzi do traktora stojącego po przeciwnej stronie drogi i siada za kierownicą.

- Zapraszam! - woła, machając do Connie czapką, którą zaraz wkłada sobie na głowę. Traktor rusza z miejsca, warcząc głośno.

Dziewczyna nie wie, co robić. Najrozsądniej byłoby uruchomić silnik i odjechać. Gdy jednak widzi, że starszy pan znów przyjaźnie do niej macha, zaczyna się zastanawiać. Co właściwie ma do stracenia? Zrobiłaby wszystko, żeby tylko raz jeszcze zobaczyć Serenę, choćby przez chwilę. To może być jej jedyna szansa.

Mężczyzna podjeżdża na parking, zatrzymuje się, gasi silnik i wysiada. Ma co najmniej siedemdziesiąt lat, ale jest żwawy i energiczny. Connie natychmiast przypomina sobie Madeline. Cieszy się w duchu, że Hannah jest przy niej, że ją wspiera i pomaga w herbaciarni. Nie mogłaby znieść myśli, że Madeline czuje się samotna. Nie przypuszczała też, że tak bardzo będzie za nią tęsknić. Brakuje jej nawet Hannah. Zdaje sobie sprawę, że nigdy nie odwzajemniła jej serdeczności.

Spogląda w kierunku obory. Wisi na niej ręcznie namalowany szyld: ODWIEDŹ NASZĄ ZAGRODĘ! Serena musi być tam.

- Sprzedajemy też smaczne powidła - mówi mężczyzna. - Mam tam panią zaprowadzić? - Kiwa głową w stronę dużego budynku przylegającego do obory.

- Najpierw chciałabym zajrzeć do obory - odpowiada Connie. Zbliży się do nich właśnie rodzina z małymi dziećmi i dziewczyna zdaje sobie sprawę, że jej prośba musi brzmieć dość dziwnie. - Na tablicy było napisane, że mają państwo kozy.

- Właśnie tam szedłem. A tak z ciekawości, skąd pani jest?

Connie wpada w panikę.

- Och, nieważne. Tak jak mówiłam, tylko tędy przejeżdżałam.

Mężczyzna kiwa głową.

- Jesteśmy na miejscu.

Wchodzą do obory. Connie mruga oczyma. Czuje ostry, charakterystyczny zapach zwierząt i siana, a także drewnianych desek, z których zbudowany jest cały budynek. Wzdłuż ścian i w centralnej części obory ciągną się zagrody. Kilkoro dzieci bawi się z królikami i kurczętami. Connie dostrzega tam również konia, krowę, trzy owce i dwie kozy, z których żadna nie jest Sereną. Czuje się w tym miejscu dziwnie znajomo, jakby już kiedyś je odwiedziła.

Robi się jej słabo. Przez sekundę zastanawia się, czy przypadkiem rzeczywiście nie ukradła Sereny, nic o tym nie wiedząc. Czy to możliwe? Może jest szalona? Skąd pamięta to miejsce?

Rozgląda się dookoła. Widzi drewnianą drabinę prowadzącą na strych oraz linę zwieszającą się z sufitu. Przed nią są drzwi wyjściowe, a nad nimi - duże okno z witrażem, który rzuca na siano kolorowe refleksy.

- Czy to ośmioramienna gwiazda? - pyta głuchym głosem, nie posiadając się ze zdziwienia.

- Skąd pani wie? - Mężczyzna jest zachwycony.

- Tak, to nasz herb rodzinny. Mamy kilka kołder z taką samą gwiazdą. A po obu jej stronach widnieją...

- Fiołki - uzupełnia Connie cicho. Symbole stanu Illinois. Nie ma pojęcia, skąd to wie.

- Większość ludzi sądzi, że to małe fioletowe gwiazdki - mówi mężczyzna z wyraźnym zdziwieniem.

- Doskonale ich rozumiem, mnie też nie wygląda to na fiołki. - Zerka na Connie. - Była już tu pani kiedyś?

- Tak, to znaczy nie, to znaczy nie wiem. - Connie zaczyna się pocić. - Nie mają już państwo więcej kóz?

- Kilka jest na pastwisku. Ja najbardziej lubię rasę La Mancha. - Starszy pan wskazuje kciukiem drzwi.

- Jeśli zależy pani na ciekawym zdjęciu, mamy jeszcze kozy kameruńskie, a także kilka rasy nubijskiej, które mogą okazać się najwdzięczniejszym obiektem do fotografowania.

Connie jest bliska omdlenia. Musi koniecznie stąd wyjść. Gdy jest już na zewnątrz, czuje ogromną ulgę.

Na placyku, pomiędzy dwiema kameruńskimi kozami, stoi mały chłopiec. Rodzice robią mu zdjęcie.

Nagle Connie wszystko sobie przypomina.

- Czy mieli państwo kiedyś kozy burskie? - pyta.

- Wiele lat temu?

Mężczyzna chichocze.

- Mieliśmy już wszystkie możliwe rasy - mówi i milknie na chwilę, chcąc się dokładniej zastanowić.

- Ale tak, było tu kiedyś małe stadko kóz burskich, jakieś dziesięć, dwanaście lat temu. Dlaczego pani pyta?

Connie rozgląda się wokół, czując nagły przyływ emocji.

- Chyba przyjechałam tu kiedyś z matką. Dawno temu. Po raz pierwszy zobaczyłam wtedy kozę z bliska.

Mężczyzna bierze Connie za rękę. Skórę na dłoniach ma szorstką i stwardniałą, ale jego dotyk niesie ze sobą spokój i pocieszenie.

- To wyjątkowe miejsce - mówi z serdecznym uśmiechem. - Dlatego cały czas tu jesteśmy.

- CO ONA TU ROBI?!

Rayna Doherty idzie w ich kierunku z miną niewró-żącą nic dobrego. Ma przewiązane czerwoną bandaną włosy i gumki na nogach, na flanelową sukienkę w stokrotki włożyła fartuch.

- Oprowadzam tę młodą damę po naszej farmie

- mówi łagodnie starszy pan.

- Tato, to ona ukradła Żonkilkę! - wykrzykuje Rayna, spoglądając ponuro na Connie.

- Zdążyłem się tego domyślić - odpowiada mężczyzna. Odwraca się do Connie, wyciąga rękę. - Jay Doherty.

Connie odwzajemnia uścisk dłoni.

- Connie Colls. Skąd... skąd pan wie, że to ja?

- Widziałem zdjęcie w gazecie. Chociaż w rzeczywistości jest pani o wiele ładniejsza.

Connie się rumieni. Rayna jest wyraźnie wściekła.

- Tato, co ty wygadujesz?!

- Daj spokój, Rayno. Pani przysłała nam czek i bardzo miły list. A poza tym uważam, że zrobił to ktoś inny. - Pan Doherty odwraca się do Connie. - Chce pani zobaczyć Zonkilkę?

- O nie, niech nawet się nie zbliża do Zonkilki!

- Rayna z kieszeni fartucha wyjmuje telefon komórkowy. - Dzwonię na policję.

Jay Doherty robi smutną minę.

- Przestań, Rayno - zaczyna.

Córka puszcza jego słowa mimo uszu.

- Halo, policja? Joey Daniels? - mówi oficjalnym tonem. - Tu Rayna Doherty. Tak, mam... słucham? Kto?

- Zerka na Connie i odwraca się, przyciskając mocno telefon do policzka. - Oni? Kiedy? Och. Nie, dobrze. W porządku... okay. Dziękuję panu. - Rozłącza się i wsuwa z powrotem telefon do kieszeni fartucha, po czym prostuje ramiona i coś mruczy do siebie.

- Wszystko w porządku? - Pan Doherty unosi brwi.

- Wygląda na to, że czterech uczniów szkoły średniej podjechało w nocy pod naszą farmę i włamało się do środka. Mówią, że zabrali Zonkilkę dla kawału, ale im uciekła. Nie zgłosili tego nikomu w obawie przed konsekwencjami. - Rayna udaje, że wygładza fartuch. Na policzki wypłynął jej silny rumieniec.

- Tak bywa z chłopcami - mówi pan Doherty.

- Zwykły wyglup.

- Wobec tego, cóż, przepraszam - mamrocze Rayna do Connie, po czym nagłym ruchem unosi podbródek.

Na jej twarzy wciąż maluje się złość. - Chociaż powinna była pani postarać się oddać nam ją wcześniej.

- Och, skończ już z tym - rozkazuje jej ojciec. - Jesteś dorosła, a zachowujesz się jak mała dziewczynka. Connie doskonale zaopiekowała się Żonkilką i śmiem twierdzić, że przywiązała się do tego niezdolnego zwierzaka nie mniej niż ty. Czy mamy ją za to winić?

Rayna pociąga nosem i odwraca wzrok. Jay Doherty uśmiecha się do Connie.

- W domu leży pani czek. Przyniosę, razem go podrzemy.

- Proszę tego nie robić. - Connie bierze głęboki oddech. - Wysłałam go państwu dla Sereny, to znaczy Żonkilki. Będę się czuła lepiej, wiedząc, że pomagam państwu o nią dbać.

- Jesteśmy w stanie dopilnować tego sami - mówi Rayna. - A za zniszczenia mogą zapłacić ci chłopcy.

Connie spogląda na pana Doherty.

- Wiem, że nie mam prawa o to prosić, ale byłabym wdzięczna, gdyby pozwolili mi państwo zapłacić za wszystkie szkody. Proszę. Zachowali się głupio, ale to jeszcze dzieci, a poza tym przyznali się do winy, choć wiedzieli przecież, że mogło im to ująć płazem. Proszę nie wnosić na nich skargi.

Rayna i jej ojciec wymieniają spojrzenia.

- Dlaczego? - pyta w końcu Rayna. - Dlaczego chce to pani dla nich zrobić?

Connie wsuwa dłonie w kieszenie dżinsów.

- Bo znam ludzi, którzy zrobiliby to dla mnie.

- Jakoś to załatwimy - obiecuje pan Doherty. - Ale musi pani przystać na zniszczenie czeku. Zgoda?

Na pastwisku rozlega się znajome meczenie. Connie odwraca się i widzi Serenę biegnącą w jej kierunku. Jay Doherty uśmiecha się szeroko i idzie otworzyć zagrodę.

- Proszę się nią nacieszyć - mówi. - A potem zapraszamy do nas na szarlotkę.

- Mają panie piętnaście minut - oświadcza komendant Garza.

Isabel bierze Bettie pod rękę i prowadzi ją ku zwęglonym szczątkom domu. Starsza pani się nie opiera, rozgląda się wokół z niedowierzaniem.

- To jest mój dom? - pyta. - To nie wygląda jak mój dom.

- Spalił się w pożarze - przypomina jej Isabel. Obie mają na nogach gumowce. Isabel rozgrzebuje czubkiem buta stertę popiołu. - Prawie tydzień temu. Pozwolono nam tu zajrzeć i sprawdzić, czy da się coś uratować, ale obawiam się, że wiele nie zdziałamy. Przykro mi.

- Ściany zniknęły - mruży Bettie. Podnosi wzrok i spogląda na dużą dziurę w dachu, którą strażacy zmuszeni byli wybić, żeby ugasić ogień. Stoi przez dłuższą chwilę ze wzrokiem utkwionym w niebo. Isabel delikatnie pociąga ją za ramię.

Chwilę wcześniej odwiedził je pracownik firmy ubezpieczeniowej i wyjaśnił dokładnie, co powinny zrobić. Przede wszystkim należy sporządzić spis wszystkich rzeczy, jakie były w domu. Przyznał jednak, że zanim coś zostanie postanowione, może upłynąć

sześć do dziewięciu miesięcy; jego firma pokryje koszty zakwaterowania poszkodowanej w hotelu. Wiadomo jednak, że Bettie nie może być sama. Kilka osób zaoferowało się, że weźmie ją pod swój dach, ale po zamieszaniu z państwem McGuire Isabel jest bardzo ostrożna. Ponieważ doktor Richard stwierdził, że ciągle przeprowadzki z domu do domu będą stanowić dla Bettie duży stres, Isabel zamierza gościć ją u siebie, dopóki nie podejmie konkretnej decyzji.

Czuje pod podeszwą buta coś twardego. Schyla się i podnosi z popiołu klamerkę otoczoną dwoma rzędami kryształów górskich.

- Spójrz - mówi do Bettie. Dmucha delikatnie na ozdobny drobiazg i pociera go palcem. Klamerka jest w doskonałym stanie, ma tylko parę plam z sadzy.

- Szukałam jej - mówi Bettie. - Ostatni raz widziałam ją w roku siedemdziesiątym dziewiątym. Nosłam ją z szalikami. - Wsuwa ozdobę do kieszeni.

Znajdują jeszcze parę srebrnych drobiazgów z kolekcji Bettie, porcelanowy pojemnik na lekarstwa w kształcie koguta, szklaną miarkę dozującą. Wszystko inne uległo całkowitemu zniszczeniu - został tylko wypalony szkielet domu, szerniały sprzęt łazienkowy i kuchenny oraz masy bezkształtnego żużlu zalegające zwęgloną podłogę.

- Cóż - mówi Bettie, prostując ramiona i rozglądając się wokół. - Cóż. - Mruga, usiłując powstrzymać łzy.

Podczas pożaru strażacy, którzy robili wszystko co w ich mocy, żeby ocalić dobytek Bettie, wyrzucili część ubrań, naczyń oraz mebli na trawnik. Choć większość

z tych rzeczy ucierpiała znacznie od dymu i ognia, sąsiedzi Bettie i Isabel postanowili wziąć je wszystkie na przechowanie, twierdząc, że gdy Bettie dojdzie już nieco do siebie, sama zdecyduje, co z nimi zrobić.

Gdy komendant straży pożarnej wyprowadza je z pogorzeliska, Isabel widzi dzieci z sąsiedztwa ciągnące wózki. Dzieciom towarzyszą rodzice. Każdy wózek załadowany jest drewnianymi pudełkami.

- Zrobiliśmy je z resztek, które zostały nam z budowy domku - oświadcza rudowłosy chłopiec. - To specjalne sita, żeby się nam łatwiej szukało. Na dnie mają siatkę. Przelatuje przez nią brud i piach, i od razu widać, czy znalazło się coś cennego. To jak płukanie złota! - Szczerzy zęby w szerokim uśmiechu. Isabel ma ochotę go uścisnąć.

- Nazywam się Lauren Eammons - zwraca się do Bettie jedna z kobiet, dotykając ramienia swojego syna. - A to Jacob. Mieszkamy na tej ulicy, Bettie. Już od sześciu lat jesteśmy pani sąsiadami.

Bettie wpatruje się w nich przez chwilę, po czym oskarżycielskim gestem wskazuje palcem na Jacoba.

- Hej, znam cię - mówi. - Wybiłeś mi szybę!

- To było dwa lata temu - protestuje chłopiec, chowając się za matkę.

- Teraz jestem grzeczny. Zostałem miotaczem w drużynie Małej Ligi. - Wysuwa dumnie podbródek.

- Czy widziałam któryś z twoich meczów? - pyta go Bettie i mruży oczy, usiłując sobie to przypomnieć.

- Nie wiem.

- Mamy ten sam problem - mówi Bettie i zabawnym

gestem stuka się palcem w głowę, wywołując uśmiech na twarzy chłopca. - Muszę popracować nad pojemnością tej mojej makówki.

Podczas gdy Jacob i Bettie rozprawiają o bejsbolu, Lauren Eammons zwraca się do Isabel.

- Mamy już kilka garaży wypełnionych darami dla Bettie - mówi. - Przyjdźcie, kiedy tylko chcecie, żeby obejrzeć je i wybrać to, na co będzie miała ochotę.

- Wiem, że będzie bardzo wdzięczna - mówi Isabel. - Dziękuję pani.

Lauren zerka na dom Isabel i prześlizguje się wzrokiem po tabliczce NA SPRZEDAŻ.

- Będzie nam tu pani brakować, Isabel. Słyszałam, że sprzedała pani dom.

Isabel patrzy na nią ze zdziwieniem.

- Na razie nieoficjalnie, ale wygląda na to, że wkrótce transakcja zostanie sfinalizowana. A skąd pani o tym wie?

Lauren się uśmiecha.

- To sprawa Bettie. Wyjawiała sekret Gennifer Kelly, która przekazała go Leigh Brewer, która...

Isabel kiwa głową.

- Rozumiem. To tłumaczy wszystko.

- Muszę wracać do pracy. - Lauren jeszcze raz uśmiecha się i przyjaźnie ściska ramię Isabel.

Wielu sąsiadów, ubranych w dzinsy i wysokie buty, zmierza w stronę domu Bettie. Po raz pierwszy Isabel czuje smutek na myśl o przeprowadzce. Ci ludzie okazali jej wiele serdeczności i troski po śmierci Billa, ona jednak była zbyt pochłonięta swą tragedią, by

to docenić i przyjąć ich pomoc. Nigdy nie zaprzętała sobie głowy sąsiedzkimi przyjęciami, nie odwiedzała nikogo z obiadem, gdy był chory. Nawet za życia Billa nie miała ochoty w niczym uczestniczyć.

Teraz jednak, gdy przygląda się, jak ojcowie i matki mobilizują swoje dzieci do pracy, rozmawiając jednocześnie ze strażakami, którzy grabią popiół, by upewnić się, że nic się już w nim nie tli, żałuje, że nie zadała sobie trudu poznania tych ludzi. Cały trawnik opanowały liczne grupki zaopatrzone w drewniane sita. Każdy ma na twarzy papierową maseczkę chroniącą przed pyłem. Jeden z mężczyzn potrząsa sitem, po czym przykłęka, żeby wyjąć coś z popiołu. Rozmawia przy tym z nastolatkiem, który również ma zasłoniętą twarz. Wyglądają znajomo. Gdy mężczyzna zdejmuje maseczkę, Isabel rozpoznaje, że to Ian Braemer oraz jego syn Jeremy.

Po kilku minutach staje się jasne, że nic więcej nie da się zrobić. Isabel i Bettie powoli wycofują się na podwórze. Komendant Garza wychodzi im naprzeciw.

- Nie pamiętam nawet, co miałam w domu - mówi Bettie. Sprawia wrażenie zagubionej. - Ale nie wiem, czy to demencja, czy po prostu taka jestem. Co o tym sądzisz, Abe?

Komendant Garza obejmuje ją ramieniem.

- Myślę, że najważniejsze sprawy wkrótce się wyjaśnią, a do tego czasu nie zaprzętaj sobie niczym głowy.

Gdy obie, panie zbliżają się już do domu Isabel, okazuje się, że stoi przed nim samochód. Tak jak

poprzednim razem Dan Frazier stoi przed domem, a jego narzeczona, Nina, siedzi w samochodzie, sprawdzając coś w telefonie.

Isabel ma ochotę wymierzyć sobie samej kopniaka. Całkiem zapomniała o umówionym spotkaniu. Co gorsza, uświadamia sobie, że nawet nie zadzwoniła do nich z informacją o pożarze.

- Co się stało? - Dan Frazier wchodzi na trawnik.

- Nikt nie został ranny?

Isabel potrząsa głową.

- Na szczęście nie. To jest Bettie Shelton, moja sąsiadka... i państwa przyszła sąsiadka. Bettie, to Dan Frazier. - Isabel odwraca się i spogląda na spalony dom.

- Nie wiemy jeszcze, czy Bettie będzie tutaj mieszkać, czy przeprowadzi się gdzieś indziej. Wciąż załatwiamy formalności, więc chwilowo przebywa u mnie.

Bettie nie odzywa się ani słowem. Wpatruje się cały czas w Dana, i to takim wzrokiem, jakby zobaczyła kogoś z pierwszych stron gazet.

- Powinnam była do państwa zadzwonić - ciągnie przeproszającym tonem Isabel, ale Dan potrząsa głową.

- Wszystko w porządku - mówi. - Na pewno jest pani bardzo zajęta. Cieszę się, że nic się pani nie stało

- zwraca się do Bettie.

Starsza pani przygląda mu się w oszołomieniu.

- Och, Phil! - chichocze w końcu. Isabel i Dan wymieniają spojrzenia.

- Weranda jest już gotowa - mówi szybko Isabel.

- Wygląda pięknie. Może wejdą państwo jeszcze raz do środka...

- Nazywam się Dan - powtarza uprzejmie Dan, nie dostrzegając wymownego spojrzenia Isabel. - Dan Fra-zier. A to moja narzeczona Nina...

- Co?! - złości się Bettie niespodziewanie. - Przestań, Phil! To nie jest śmieszne. - Patrzy na Ninę z grymasem niezadowolenia na twarzy.

Isabel kładzie jej dłoń na ramieniu.

- Państwo Frazier chcą kupić mój dom. Bettie odwraca się do niej.

- Sprzedajesz mój dom?

- Nie, nie twój dom. Mój.

- Chcesz sprzedać mój dom? - powtarza Bettie, tym razem głośniej. W jej głosie brzmi lekka histeria. Kilka osób odwraca się i patrzy w jej stronę.

Nina opuszcza szybę w oknie samochodu i przywołuje Dana.

- W internecie piszą, że jest to dziesięć do dwudziestu procent w zależności od stopnia zniszczenia.

Dan potrząsa głową, ale Nina nie ustępuje i podsuwa mu pod nos telefon.

- Czasem nawet trzydzieści - informuje go, składając usta w dziobek.

- Nie teraz, Nino - mówi Dan.

- Coś się stało? - pyta Isabel, zbita z tropu. Dan wzdycha.

- Przepraszam, Isabel, ale gdy podjechaliśmy pod pani dom i zobaczyliśmy, co się stało, Nina zaczęła przeglądać internet w swoim telefonie i odkryła, że wartość domu spada, jeśli w jego sąsiedztwie był pożar. Proszę się jednak nie martwić - dodaje szybko. - Nie

zamierzam w żaden sposób wykorzystać tej sytuacji. Dom wciąż nam się podoba.

- Dan! - woła znów Nina. Isabel ma nagłą ochotę podejść do samochodu i własnoręcznie zasunąć szybę.

Bettie chwytą Dana za koszulę na piersi.

- Musimy porozmawiać o dziecku, Phil - mówi niskim głosem.

- Co?! - Dan jest przerażony.

- Usiłowałam się z tobą skontaktować. - Bettie chwytą go za rękę, tuli ją do swojego policzka i zaczyna płakać.

Isabel nie wie, co robić. Dan spogląda na nią ze zdumieniem, a komendant Garza marszczy brwi.

- Popelniliśmy błąd - mówi starsza pani do Dana, zalewając się łzami. Spojrzenie ma całkiem nieprzytomne. - Mogę się nią sama zająć. Nie musisz o nic się martwić.

- Bettie - mówi komendant Garza, usiłując uwolnić Dana z jej uścisku. - Może wejdziemy na chwilę do środka?

- Abe, Abe, pamiętasz wszystko, prawda? - dopytuje się Bettie. - Phil zapomniał, ale ty pamiętasz, prawda?

Komendant Garza obejmuje ją ramieniem i wchodzi z nią do domu. Isabel spogląda przepaszająco na Dana i biegnie za nimi.

W holu Bettie ponownie wybucha płaczem.

- Och, Phil! - szlocha. Ma zaczerwienione oczy i zatkany nos.

- Co powiesz na krótką drzemkę? - proponuje Isabel. - Może chcesz się na chwilę położyć?

- Nie chcę się kłaść - protestuje Bettie, ale pozwala, by Isabel zaprowadziła ją do sypialni. - Isabel, czy popełniłam błąd?

Isabel zdejmuje staruszcze buty i przykrywa ją kocem.

- Jaki błąd?

Bettie wpatruje się w sufit.

- Nie powinnam była pozwolić Philowi na oddanie jej - mówi smutno.

- Ciii... - szepcze Isabel i sekundę później Bettie już śpi.

W kuchni czeka komendant Garza. Chodzi nerwowo tam i z powrotem.

- Zadzwoiłem po żonę. Przyjdzie tutaj i posiedzi trochę z Bettie.

Isabel opada ciężko na krzesło.

- Ma halucynacje - mówi, nie wiedząc, co to ma oznaczać. Czy Bettie zaczyna tracić zmysły?

- Isabel. - Komendant Garza przysuwa sobie krzesło. - Nie wiem wszystkiego, ale uważam, że powinnaś poznać prawdę. To było wiele lat temu.

-Co?

- Phil Frazier był moim kolegą. Nie ma to żadnego związku z tym młodym człowiekiem, pewnie nazwisko musiało uruchomić coś w pamięci Bettie. Dawne wspomnienie.

- Jakie wspomnienie?

- Znałem Phila z wojska. Niekiedy wpadał w odwiedziny do Avalon. Przez krótki czas on i Bettie mieli romans.

- Naprawdę? - Isabel nie potrafi wyobrazić sobie Bettie jako młodej dziewczyny.

- Umawialiśmy się na wspólne randki - ja i Imo-gene, Phil i Bettie. Phil mieszkał w Chicago, ale lubił senną atmosferę Avalon. Mawiał często, że pewnego dnia przeprowadzi się tutaj. Myślę, że Bettie miała taką nadzieję - ja również, bo był dobrym przyjacielem - ale nigdy do tego nie doszło. W pewnym momencie Phil przestał przyjeżdżać do Avalon. Było to dla nas duże zaskoczenie, ale stwierdził, że jest bardzo zapracowany, a ja się nie dopytywałem. Kilka miesięcy później usłyszałem, że się ożenił. Byłem zły, że poinformował mnie o tym dopiero po fakcie. Nie wysłał mi nawet zaproszenia na ślub. Widzisz, właśnie zamierzałem oświadczyć się Imogene i chciałem, żeby Phil został moim przyjacielem. To, że nie zawiadomił mnie o swoim ślubie, było dla mnie pewnego rodzaju ciosem. - Komendant Garza milknie na chwilę, zanim podejmuje wątek. - Wkrótce potem Bettie dokądś wyjechała. Imogene wspomniała mi o tym, ale puściłem to mimo uszu. Pomyślałem, że pojechała w odwiedziny do krewnych czy coś w tym rodzaju. Nie było jej pół roku.

Komendant umilkł, wpatrując się w swoje dłonie.

- Dokąd wyjechała? - pyta w końcu Isabel.

- Imogene opowie ci więcej, ale wiem, że była to miejscowość położona na północ od Avalon. Myślę... że chodziło o dom dla samotnych matek.

- Dla samotnych matek. - Isabel nagle wszystko rozumie. - Bettie miała dziecko?

- Nie wiem dokładnie, co się stało. Zapewne

podświadomie nie chciałem się tego dowiedzieć, a poza tym Imogene dobrze strzegła prywatności Bettie. Ale gdy złożę razem elementy tej układanki, wszystko staje się oczywiste.

- Bettie urodziła dziecko Phila - mówi powoli Isabel.

- Tak zapewne było.

- Ale gdzie jest to dziecko? Bettie nigdy o tym nie wspominała. Co się z nim stało?

- Nie mam pojęcia - odpowiada komendant. Imogene, jego żona, otwiera z impetem drzwi wejściowe i wpada do kuchni.

- Gdzie ona jest? - pyta stanowczym tonem. Isabel wskazuje jej drugą sypialnię na końcu holu. - Teraz śpi... - zaczyna, ale Imogene już znika za drzwiami sypialni.

- Muszę wracać na moje stanowisko - mówi komendant Garza, podnosząc się ciężko zza stołu. Sprawia wrażenie bardzo zmęczonego.

- Mam wrażenie, że cały czas o tym wiedziałem, tylko nie dopuszczałem tego do świadomości. - Wychodzi z kuchni, potrząsając głową.

Isabel idzie do pokoju Bettie. Imogene siedzi na krześle, tuż przy łóżku, przyglądając się smutnym wzrokiem śpiącej przyjaciółce.

- Biedna Bettie - szepcze.

- Imogene, co się stało? Czy Bettie urodziła dziecko?

- Tak, córkę - mówi cicho Imogene. - Oddała ją do adopcji. Żałuję tego przez całe swoje życie.

- Dlaczego tak postąpiła?

- Dlaczego? - Imogene rumieni się z oburzenia. - Zdradzał ją. Myślę, że zdradzał je obie. Ale dokonał wyboru, i nie była to Bettie. Powiedział jej, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli odda dziecko do adopcji, a ona nie chciała nikogo unieszczęśliwić. Nie spodziewała się, że tak ciężko to przeżyje. Gdy w końcu zmieniła zdanie, było już za późno.

- Przecież mogła przerwać... - Isabel zawiesza głos.

- W tamtych czasach nie było to takie oczywiste - odpowiada Imogene, spoglądając surowo na Isabel. - Ale nawet gdyby nic nie stało na przeszkodzie, Bettie nie zrobiłaby tego. Chciała dać temu dziecku szansę. Po prostu nie przypuszczała, że tak bardzo będzie za nim tęsknić. To była tak zwana adopcja zamknięta, co oznaczało, że po oddaniu dziecka nie będzie się mogła niczego o nim dowiedzieć. To było wtedy bardzo typowe. - Delikatnie poklepuje Bettie po ręce i troskliwie poprawia okrywający ją koc. - Nie rozmawialiśmy o tym przez całe lata.

- Teraz jest inaczej - mówi Isabel. W głowie kłębią się jej dziesiątki myśli. - Są bazy danych i archiwa, są testy DNA...

- Och, Isabel, wy, młodzi, myślicie, że wszystko jest takie proste - ucisza ją Imogene zirytowana. - Bettie nie zamierza wywracać komuś życia do góry nogami. Podjęła taką decyzję i nie ma odwrotu.

Bettie porusza się niespokojnie, ale się nie budzi.

- Zostanę z nią - mówi Imogene. - Rozmawiałam z Abe'em. Chcielibyśmy, żeby Bettie zamieszkała z nami. Do końca tego weekendu przygotuję dla niej pokój gościnny.

Isabel czuje ucisk w piersi. Zatrzymuje się niepewnie przy drzwiach.
- Dziękuję, Imogene, ale wciąż się zastanawiam, co będzie dla niej najlepsze. Nie chcę niczego zmieniać, dopóki nie będziemy pewni, jak wszystko się ułoży...

- Opiekowałam się chorą na alzheimera matką. Wiem, jak należy zajmować się osobą w takim stanie. A ty?

- Cóż, nie, ale...

- To ciężka praca - mówi stanowczo Imogene. - Będę musiała zatrudnić do pomocy opiekunkę, ale na pewno sobie poradzimy. Wiem, że Bettie ma oszczędności i jest ubezpieczona.

- Dobrze, lecz...

- Isabel, od kilku dni wspaniale opiekujesz się Bettie, ale właśnie: to zaledwie kilka dni, podczas gdy Bettie wymaga ciągłej opieki. Jesteś jeszcze młoda, masz pracę, być może zechcesz z kimś się związać. Bardzo trudno byłoby ci pogodzić to wszystko z opieką nad Bettie. Abe pracuje, ale ja jestem już na emeryturze i szczerze mówiąc, przydałoby mi się trochę towarzystwa. A nikt nie mobilizuje mnie do działania tak jak Bettie. - Imogene spogląda z czułością na przyjaciółkę. Bettie pochrapuje cicho. Zmarszczki na jej czole wyraźnie się wygładziły.

Isabel szybko wychodzi z pokoju, bojąc się, że zaraz powie Imogene coś nieprzyjemnego.

Wchodzi do kuchni, płonąć z oburzenia. Imogene nie zna jej, nie wie, co ona potrafi, a czego nie. W ciągu tych kilku dni wypracowały sobie z Bettie wspólny

rytm funkcjonowania, który nie jest może idealny, ale całkiem dobrze się sprawdza. Doktor Richard wspominał wprawdzie, że w każdej chwili wszystko może ulec zmianie, lecz jak dotąd Bettie czuje się u niej dobrze. Dlaczego ktoś chce to zmieniać?

Trzęsąc się ze złości, wystukuje numer komórki Yvonne. Gdy przyjaciółka odbiera połączenie, Isabel zaczyna wszystko jej opowiadać, ścisząc przy tym głos, żeby Imogene nie słyszała.

- Zaczekaj - mówi Yvonne, gdy Isabel milknie na nabranie oddechu. - Spokojnie. Nic się jeszcze nie dzieje, więc opanuj się trochę.

- Sama się opanuj - odparowuje Isabel i niemal natychmiast zdaje sobie sprawę, że palnęła głupstwo. Przez chwilę czuje się jak sześciolatka. - Przepraszam, ale ona zakłada, że nie będę w stanie opiekować się Bettie, wiesz? Przecież nawet mnie nie zna! Bettie bardzo dobrze się u mnie czuje, jest między nami doskonałe porozumienie. Zna mój dom lepiej niż swój własny!

- Ależ Isabel, jak sobie to wyobrażasz? Zamierzasz sprzedać dom - mówiłaś, że Dan i Nina chcą ci zapłacić gotówką, więc jeśli szybko sfinalizujecie transakcję, za miesiąc może cię tu już nie być. A co dalej?

- Mogłaby zamieszkać z nami - mówi Isabel, usiłując naprędce wymyślić jakieś rozwiązanie. - W twoim domu. Wszystkim się zajmę, Yvonne. Wiem, co lubi, z czym jest dobrze obeznana...

- Isabel, lubię Bettie - wchodzi jej w słowo Yvonne - ale mój dom z całą pewnością nie jest dostosowany

do potrzeb osoby cierpiącej na demencję. Dużo schodów, wąskie korytarze...

- W takim razie wymyślę coś innego - upiera się Isabel. - Bettie mnie zna. Naprawdę mogę się nią zająć.

- Nie chodzi o ciebie - mówi łagodnie Yvonne. - Chodzi o Bettie, o to, co jest dla niej najlepsze. Imoge-ne mówiła samą prawdę. Jesteś pewna, że chcesz wziąć na siebie tę odpowiedzialność, nawet jeśli wydaje ci się, że dasz radę? To trudne wyzwanie dla każdego, nawet dla najlepszego przyjaciela.

Isabel siada za stołem, spoglądając na białą tablicę z rozpisany rozkładem dnia Bettie. Oprócz najważniejszych zajęć i spraw do załatwienia widnieją na niej również nazwiska oraz numery telefonów zaznaczone różnymi kolorami. Niewielki szklany wazon z różowymi zimowitami z podwórka Bettie dodaje kolorytu i uroku bezbarwnej kuchni. Na blacie stoją trzy pojemniki z lekarstwami i witaminami.

- W chwilach kryzysu zwiększa się nasz poziom adrenaliny - ciągnie Yvonne. - Każdy chciałby pomóc cierpiącemu przyjacielowi. Ale czy jesteś w stanie wyobrazić sobie, że co wieczór pomagasz Bettie położyć się spać? Idziesz z nią do łazienki? Myjesz ją? Nawet jeśli zatrudnisz opiekunkę, te czynności będziesz wykonywać sama. Może jeszcze nie teraz, lecz wkrótce.

- Sugerujesz więc, że nie powinnam się tego podejmować. - Isabel czuje się przybita i zniechęcona. W końcu chce zrobić coś dla drugiej osoby, a tymczasem napotyka niespodziewany opór.

- Mówię tylko, że powinnaś dobrze to przemyśleć.

Czy potrafisz sobie wyobrazić swoje życie za rok? Widzisz siebie i Bettie siedzące w salonie i oglądające razem telewizję? Zastanów się przez chwilę, Isabel. Co widzisz?

Isabel zamyka oczy i bierze głęboki oddech. Dwanaście kolejnych miesięcy przewija się w przyspieszonym tempie przez jej wyobraźnię. Wykrawanie dyń na Halloween, przygotowywanie słodyczy dla dzieci z sąsiedztwa. Przechyla głowę na bok, wsłuchując się w swoją przyszłość. W przeciwieństwie do kilku ostatnich lat to, co widzi, nie ma nic wspólnego z pustym domem.

Ava wchodzi do restauracji Avalon Grill. Wita ją znajomy brzęk widelców i noży. Od czasu jej ostatniej wizyty tutaj, czyli od pięciu lat, nic się nie zmieniło. Znow widzi ciemne mahoniowe stoły, ławy obite ciemnoczerwoną, lekko popękaną skórą oraz duży olejny obraz przedstawiający rzekę Leaf, która płynie obok miasteczka. Personel nosi czarne spodnie i białe koszule. Ava rozpoznaje właściciela, sympatycznego mężczyznę, który dobrze znał się z Billem.

Lokal jest pełny, jak to w porze lunchu. Zupy, steki, sałatki, frytki, zapiekane krążki cebuli. Goście rozmawiają i śmieją się głośno. Potrawy pachną tak wspaniale, że Avie zaczyna burczeć w brzuchu. Nie pamięta, kiedy ostatni raz jadła w restauracji, nie wspominając już o tym, że jej zamówienia ograniczały się zwykle do makaronu z serem.

Za kontuarem stoi Colin i wyciera kufle. Zaokrąglił się nieco na twarzy, sprawia teraz wrażenie

szczęśliwszego i bardziej zrelaksowanego niż dawniej. Pewnie mu się dobrze wiedzie. Właściciel, Arnold, który właśnie przechodzi obok, kiwa mu przyjaźnie głową. Kilku klientów siedzi przy barze. Ava przygląda się, jak Colin z nimi rozmawia, śmiejąc się i żartując. Dochodzi do wniosku, że to całkiem przystojny mężczyzna.

Co ona tu właściwie robi? Może przyjdzie innym razem, przy mniejszej frekwencji, gdy będzie się czuła nieco pewniej. Kieruje się ku drzwiom i w tej samej chwili słyszy, że Colin ją woła.

Już za późno na wyjście. Ava odwraca się i macha do niego ręką.

- Cześć, Colin.

- Zastanawiałem się, kiedy tu w końcu wpadniesz. Jestem już zasypany kapslami!

Ava kiwa głową.

- Chciałam przyjechać wcześniej, ale...

- Nie idź jeszcze - mówi stanowczo Colin, jakby miała nagle zniknąć mu z oczu. - Muszę skoczyć po nie na zaplecze. Zaczekasz?

Znika za podwójnymi drzwiami i po chwili wraca z dużym jutowym workiem.

Ava nie wierzy własnym oczom.

- Jest pełen kapsli? - pyta zdumiona. Barman kiwa potakująco głową.

- Zbieram je od naszego ostatniego spotkania. I poprosiłem o to samo kilku moich kolegów po fachu.

Ava robi krok naprzód, chcąc zajrzeć do środka. Tam są chyba tysiące kapsli!

- Zaczęłam zarabiać na mojej biżuterii - mówi

- więc mogę ci za nie płacić, tylko jak wolisz? Od sztuki czy na wagę?
 - Marszczy czoło, zastanawiając się, czy będzie ją na to stać.
 - To przecież drobiazg. Robisz z nich użytek. W przeciwnym razie trafiłyby na składowisko odpadów.
 - Czułabym się jednak lepiej, gdybyś pozwolił mi za nie płacić - nalega Ava. Sięga po portfel, ale Colin potrząsa głową.
 - Nie chcę twoich pieniędzy. Poza tym nie są to wcale moje kapsle, pochodzą z butelek stanowiących chwilowo własność restauracji. Gdybyś mi za nie płaciła, mógłbym nawet mieć kłopoty, gdyż brałbym pieniądze za coś, czego oficjalnie nie mam prawa sprzedawać. - Mówi to z poważną miną, lecz Ava dostrzega w jego oku wesoły błysk. Ze śmiechem zamyka torebkę.
 - Jestem pod wrażeniem. Nie wiem, jak zbić twoje argumenty.
 - Bardzo dobrze. Nawet nie próbuj. Z kuchni dobiega dźwięk dzwonka.
 - Przepraszam cię na chwilę, zaraz wrócę - rzuca pospiesznie Colin.
- Ava nabiera pełną garść kapsli, wyobrażając sobie, jak je wykorzysta. Będzie mogła przejść do ambitniejszych projektów, takich jak paski lub nawet torebki. Kapsle są czyste, w doskonałym stanie. Wybiera jeden i obraca go w palcach. Jego środek wyłożony jest korkiem, a na wierzchu widnieje napis „Diet Sun Drop Cola”. Od razu widzi, że to zabytek. Ani Colin, ani żaden z jego kolegów nie mógł mieć w rękach butelki

z tym napojem, bo od dawna nie jest produkowany. Dziewczyna jeszcze raz zagląda do worka. Widzi, że większość kapsli pochodzi z popularnych napojów, ale zaraz znajduje kolejną perełkę - stary, doskonale zachowany kapsel z butelki ze słodką, ciemną lemoniadą z wyciągów korzennych. Jej podejrzenia się potwierdzają. Colin potajemnie uzupełnia kolekcję o rzadkie, wyjątkowo atrakcyjne egzemplarze.

Barman wyłania się z kuchni, niosąc talerz ze stekiem i sałatką. Stawia go na ladzie, wręcza Avie płócienną serwetkę oraz sztucce.

- Proszę bardzo.

- Ja tego nie zamawiałam. - Ava jest zbita z tropu.

- Wiem - odpowiada Colin. - Złożyłem zamówienie za ciebie. Wyglądasz tak, jakbyś chciała zjeść konia z kopytami. - Nagle coś mu się przypomina. - Nie jesteś wegetarianką, prawda?

- Nie. - Ava nie może oderwać wzroku od talerza. Na liściach świeżej sałaty leży średnio wysmażony stek. Jest tam również świeża kukurydza, papryka i ser pleśniowy, a także niewielkie naczynie z sosem sałatkowym.

- Usiądź - mówi Colin, napełniając szklankę lodem i lemoniadą. - Lunch na koszt firmy. Ściśle mówiąc, na mój koszt. Dla rodziny i przyjaciół dostaję duże zniżki, których prawie nie wykorzystuję. Ktoś może pomyśleć, że nie wspieram miejsca, w którym pracuję, więc właściwie wyświadczasz mi przysługę. Nie chciałbym zrobić przykrości szefowi. - Stawia szklankę z lemoniadą obok talerza ze stekiem i uśmiecha się szeroko.

Ava się waha. Żyje w ciągłej niepewności. Czy chce dodatkowo komplikować swoją sytuację, zapraszając Golina do swojego życia?

Barman zaczyna wycierać ladę, choć nie ma na niej ani okruszka.

- Zostajesz? - pyta. - Czy musisz już iść?

Ava patrzy mu w oczy, przygląda się jego sympatycznej twarzy. W ręce wciąż trzyma kapsel z butelki z ciemną lemoniadą i obraca go delikatnie w palcach, rozmyślając nad historią tego drobiazgu - gdzie pierwotnie się znajdował, jak trafił do Colina, jak może go użyć. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu rozgląda się śmiało wokół, nie bojąc się, że ktoś ją zobaczy, pozna i zacznie oceniać. Może już o tym zapomnieć.

- Zostaję - mówi i siada z uśmiechem przy barze.

Rozdział 20

Connie wjeżdża na podjazd Madeline z uśmiechem na twarzy, tak szczęśliwa, że znów widzi znajome kąty, jakby wyjechała na kilka miesięcy lub lat, a nie na kilka dni. Nie spodziewała się tu wrócić i nie posiada się teraz z radości, że znów może napawać się niepowtarzalną atmosferą herbaciarni.

Dom.

Wyłącza silnik, wysiada z samochodu i przeciąga się. Minęła czwarta po południu. Na ulicy jest cicho i spokojnie. Connie wkłada kurtkę i podchodzi do bagażnika, chcąc go otworzyć.

- Hej, panienko! - rozlega się szorstki głos za jej plecami. Connie odwraca się i widzi Waltera Lassitera zmierzającego w jej kierunku z grubą brązową kopertą w ręce.

Dziewczyna sztywnieje.

- Sereny już tu nie ma, panie Lassiter, więc nie musi się pan o nią martwić.

Walter rzuca szybkie spojrzenie na podwórze.

- No coś takiego. Proszę, proszę. W końcu mogę spać w nocy.

Connie zgrzyta zębami i sięga po torby.

- Tak czy owak to dla ciebie. - Walter zdecydowanym ruchem wręcza jej kopertę.

Zaskoczona i zaintrygowana Connie unosi klapkę koperty i sięga do środka. Wyciąga plik fotografii.

To zdjęcia Sereny. Na niektórych są również Connie i Madeline, ale ich główną bohaterką jest bez wątpienia Serena, fotografowana z bliska i z daleka, w każdym możliwym ujęciu. Na jednym, wykonanym w mocnym powiększeniu, koza wpatruje się w obiektyw z bardzo złośliwą miną.

- Co to jest? - pyta zdumiona Connie. Okazuje się, że zdjęcia, których jest ponad sto, tworzą coś w rodzaju kroniki pobytu Sereny u Connie i Madeline.

- Robiłem zdjęcia, żeby dołączyć je do mojej oficjalnej skargi - mówi Walter. - Ale skoro waszej kozy już tu nie ma, nie będzie to konieczne. Zamierzałem je wyrzucić, lecz po tej całej sprawie z Bettie Shelton i tak dalej... cóż, pomyślałem, że chętnie je zatrzymasz. - Odchrząkuje. - W środku jest też płyta CD z oryginalnymi plikami. Może na przykład zachcesz wydrukować je sobie w innym rozmiarze.

Connie przyciska kopertę do piersi. W jej oczach błyszczą łzy. Walter Lassiter patrzy na nią ze zdziwieniem.

- O nie - mówi, cofając się gwałtownie.

Connie wybucha śmiechem. Przyskakuje i całuje go w policzek, zanim zdąży uciec.

- Dziękuję, panie Lassiter, Będę traktować je jak skarb.

Walter jest przestraszony i zakłopotany. Uszy ma purpurowe.

- To nie wielkiego, panienko. To tylko zdjęcia. I żebym nie zapomniał: powiedzcie lepiej waszym klientom, by przestali parkować na moim podjeździe!

- Odwraca się i maszeruje w stronę swojego domu.

- Powiem! - obiecuje Connie, ale odpowiada jej już tylko odgłos zatraskiwanych drzwi.

Dziewczyna chwyta bagaże i wchodzi frontowymi drzwiami do holu.

- Wróciłam! - woła, upuszczając walizki na podłogę. Nagle ktoś serdecznie ją obejmuje.

- Żebyś mi już nigdy więcej nie wyjeżdżała! - fuka Madeline. ściskając ją z całych sił. - To był najdłuższy tydzień w moim życiu! Powtarzałam sobie, że muszę dać ci wolną rękę, ale zmieniłam zdanie. Stanę się teraz samolubną starszą panią i będę ci cały czas powtarzać, że jesteś mi potrzebna. Tu jest twój dom i nie wolno ci już nigdy z niego uciekać, jasne? - Mierzy Connie spojrzeniem z góry na dół, jakby chciała sprawdzić, czy dziewczyna nie jest posiniaczona lub kontuzjowana.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - odpowiada Connie ze śmiechem, wciąż mając oczy pełne łez. - Nawet lepiej niż dobrze.

Z kuchni wychodzi Hannah, wycierając ręce w ścierkę. Na widok Connie uśmiecha się szeroko.

- Mówiłam ci, Madeline, że wróci. Przecież obiecała.

- Od jej wyjazdu nie zmrużyłam oka, tak się martwiłam. - Madeline chwyta Connie za ramię, jakby dziewczyna znów zamierzała wyjechać.

-Madeline... - zaczyna Connie, ale starsza pani zbywa ją machnięciem ręki.

- Czulam się dobrze - rzuca pojednawczo. - Po prostu bardzo za tobą tęskniłam.

- Ja za tobą też - mówi Connie i jeszcze raz serdecznie ją obejmuje, po czym zwraca się z uśmiechem do Hannah:-Iza tobą. - Zaczyna szukać czegoś w jednej z walizek, aż w końcu wyciąga z niej brązową papierową torbę i podaje ją wiolonczelistce. - To dla ciebie. Dżem truskawkowy, zaprawa z kukurydzy oraz wiśniowa marmolada z farmy rodziny Doherty.

- Doherty? - pyta ze zdziwieniem Madeline.

- Tam spędziłam kilka ostatnich dni - wyjaśnia Connie, wręczając jej drugą torbę. - Zaproponowali, że mnie ugoszczą. Oczywiście dopiero po tym, jak się dowiedzieli, że to nie ja ukradłam Serenę. Początkowo Rayna nie była zachwycona moim pojawieniem się na farmie.

- Sierżant Overby od razu do nas zadzwonił - mówi Madeline. - Możesz sobie wyobrazić, jak się martwiłam, że nie mogę przekazać ci tych informacji. - Prowadzi Connie i Hannah do jadalni. - Kupimy ci telefon komórkowy. Nigdy nie zaprzętałam sobie głowy nowinkami technicznymi, dopóki nie uświadomiłam sobie, że nie mogę się z tobą skontaktować. To będzie telefon służbowy, więc nie musisz za niego płacić.

- To nie jest konieczne - protestuje Connie, ale

Madeline zdecydowanie potrząsa głową i dziewczyna wie, że nie ma sensu z nią dyskutować.

- Zrobię herbatę, a ty usiądź i wszystko mi opowiedz. Co cię napadło, żeby jechać na farmę państwa Doherty?

Connie siada. Jest szczęśliwa, że znów może być w kuchni z jej charakterystycznym wystrojem i kuszącymi zapachami.

- Można powiedzieć, że w końcu tam trafiłam. Nie planowałam tego, ale chciałam po raz ostatni zobaczyć Serenę. Spotkałam pana Doherty, a potem dowiedzieliśmy się, że kilku chłopców zdobyło się na odwagę i przyznało do kradzieży Sereny.

Hannah wzdycha.

- Był wśród nich Peter, najmłodszy brat Jamiego - mówi z wyraźnym rozczarowaniem w głosie. - Zamierzali wpuścić ją do gabinetu ich klubowego trenera, ale im uciekła. Początkowo nie chcieli się do niczego przyznawać, bali się konsekwencji.

Madeline potrząsa z dezaprobatą głową.

- Tak samo zachowywał się Ben, mój pasierb, kiedy dorastał. Steven zawsze szybko wyciągał go z kłopotów, w które często się pakował. Nie uważam jednak, żeby wyszło to Benowi na dobre. Szczerze mówiąc, skutek był wręcz odwrotny.

- Sandra Linde i jej mąż twierdzą tak samo - mówi Hannah. - Nauczyciele również. Chłopcy zostali wyrzuceni z drużyny, co jest dla nich dużym ciosem, gdyż w tym ępku rozgrywane są mistrzostwa. Kilkoro innych rodziców uważa, że to zbyt surowa kara, ale

nawet jeśli szkoła zmieni zdanie, państwo Linde nie pozwolą Peterowi wrócić do drużyny. Są nieugięci. Chcą, żeby ich syn odpowiedział za swój wybryk, i nie chodzi im tylko o Serenę, ale przede wszystkim o to, że tak późno się przyznali.

- I pomyśleć, że przez nich Connie zostałaby uznana za winną - wzdycha Madeline. - Dzięki Bogu, że w końcu okazali nieco zdrowego rozsądku i wyznali prawdę.

- Cóż, zawdzięczamy to Peterowi - mówi kpiąco Hannah.

Connie kiwa głową.

- Razem z jeszcze jednym chłopcem przyjechali dziś rano do państwa Doherty - mówi. - Tuż przed moim wyjazdem. Zaofiarowali się, że do końca roku szkolnego będą spędzać weekendy na farmie, pomagając w najpilniejszych pracach.

- Słyszałam o tym - przytakuje jej Hannah. - Mama Petera wciąż bardzo to przeżywa, ale na pewno cieszy ją, że chłopak w końcu się przyznał. Kilku innych chłopców, w tym prowodyr całego zajścia, usiłuje za wszelką cenę dostać się z powrotem do drużyny. Zachowanie Spita i jego rodziny otworzyło Peterowi oczy. Myślę, że to koniec tej przyjaźni, co bardzo nas wszystkich cieszy.

- Najłatwiej byłoby pozwolić na to, żeby ludzie uznali mnie za winną, i zachowywać się tak, jakby nic się nie stało - mówi Connie. - Ale cieszę się, że chłopcy poszli po rozum do głowy.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - mówi z uśmiechem Madeline.

- A ja bardzo egoistycznie cieszę się, że już jesteś z powrotem - wyznaje Hannah. - Nie wiem, jak wy to robicie, ale ja jestem wykończona. Chyba poprzestanę na udzielaniu lekcji muzyki i będę wpadać do waszej kuchni tylko od czasu do czasu. Nie dałabym rady pracować tu non stop. Przy okazji, dzwoniła tutaj jedna z członkiń Klubu Miłośniczek Albumów i prosiła mnie o przepis na... - Hannah marszczy czoło, usiłując przypomnieć sobie nazwę dania - ...jabłka w cieście z oranżadą Mountain Dew. Dobrze pamiętam?

Connie uśmiecha się od ucha do ucha. -Tak.

- Łatwo je przygotować?

- Bardzo łatwo. Hannah kiwa głową.

- W takim razie również proszę o przepis. Nie dość, że Peter będzie musiał spędzać każdy weekend na farmie, to jeszcze ma zakaz wychodzenia z domu w ciągu tygodnia. Ten przepis może mu umilić karę.

- Pomogę ci. Upieczemy je dla niego wspólnie - proponuje Connie.

- Och, wcale nie zamierzam niczego dla niego piec - prycha Hannah. - To on przygotowuje jabłka w cieście dla całej rodziny. Będzie się musiał porządnie napracować, żeby znów powrócić do łask. Jeśli nauczy się gotować, Sandra będzie miała z niego trochę więcej pożytku i może szybciej mu wybaczy.

Wszystkie trzy panie wybuchają śmiechem. Connie spogląda na grubą brązową kopertę.

- Jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu,

Madeline, prosiłabym cię jeszcze o kilka dni wolnego. Wiem, że jakiś czas mnie tu nie było, ale chciałabym załatwić kilka pilnych spraw.

- Myślałam o tym samym - wyznaje Madeline. - Zglądałam do kalendarza i okazuje się, że w najbliższym czasie nie mamy żadnych ważnych imprez ani spotkań. Zamykam herbaciarnię na tydzień. Mnie też przyda się urlop.

Madeline mówi z takim przejęciem, że Connie ma ochotę znowu wybuchnąć śmiechem. Można pomyśleć, że właśnie podjęły niezwykle ważną życiową decyzję, gdy tymczasem chodzi jedynie o parę dni jakże zasłużonego odpoczynku.

- Odpocznij i rozpakuj się - ciągnie Madeline. - Już na dobre. Chcę, Connie, żeby - dopóki tu mieszkasz - pokój, który zajmujesz, stał się naprawdę twój. Możesz wymienić w nim meble i pomalować ściany na dowolny kolor, nie ma to najmniejszego znaczenia. Liczy się jedynie to, byś czuła się u mnie szczęśliwa. Jak w domu.

Dom. Znów to słowo. Connie pochyla się nad stołem i wodzi palcami wzdłuż konturu drzewnego słoja, uśmiechając się lekko.

- Dziękuję, Madeline - mówi. - Może kiedyś coś zmienię, ale na razie wszystko mi się w nim podoba. Chcę teraz zabrać się do czegoś innego, co o wiele za długo odwlekałam w czasie.

Hannah i Madeline spoglądają na nią z ciekawością.

- Co to takiego? - pyta Hannah.

Na początek - koniec z ukrywaniem walizki pod łóżkiem. Connie tym razem wypakuje całą jej zawartość,

w tym również zdjęcia, które towarzyszyły jej przez te wszystkie lata.

- Mój album.

Jest wczesny poniedziałkowy ranek. Isabel z zeszytem w ręku chodzi wokół swojego domu, gdy nagle z ulicy dobiega ją dźwięk samochodowego klaksonu.

- Cześć! - Ian Braemer hamuje tuż przy krawężniku, po czym opuszcza szybę po stronie pasażera. - Chyba powinienem ci pogratulować.

Isabel patrzy na niego ze zdziwieniem i podchodzi do samochodu.

Och, jak on świetnie wygląda. Sympatyczny uśmiech, wyraziste rysy, wesole oczy. Ubrany jest w krótką kurtkę, flanelową koszulę roboczą i dżinsy. Isabel drży, choć ma na sobie ciepły płaszcz.

- Cześć, Ian. Z jakiego powodu?

- Sprzedałaś dom! Tabliczka zniknęła. - Ian kiwa głową w kierunku pustego trawnika. W ciągu kilku ostatnich dni działo się tak wiele, że Isabel już niemal o tym zapomniała. Ma wrażenie, że przed jej domem nie było nigdy żadnej tabliczki.

- Nie sprzedałam - mówi. - Zadzwoiłam do ludzi, którzy byli nim zainteresowani, i powiedziałam im, że zmieniam zdanie. Zresztą nie pasowali tutaj.

Ian robi zagadkową minę.

- Chcesz wystawić go ponownie na sprzedaż? Isabel kręci głową.

- Zmieniłam plany. Zostaję w Avalon.

Na twarzy Iana pojawia się szeroki uśmiech.

- Co w tym śmiesznego? - pyta Isabel.

- Co? Nic. - łan szybko się opanowuje i Isabel wybucha śmiechem na widok jego poważnej miny. - Zupełnie nic. Mam po prostu dobry dzień.

- Więc co tu robisz? Sprawdzasz, co u mnie słyhać? - Oczywiście Isabel żartuje, ale łan sprawia wrażenie zakłopotanego.

- Nie, nie - odpowiada pospiesznie. - Mam klientkę na tej ulicy. Przygotowuję dom Josie McGowan na nadejście zimy.

- Josie McGowan? - Isabel jest całkowicie zaskoczona.

- Tak, poznałem ją w ubiegłym tygodniu, kiedy przeszukiwaliśmy ruiny domu Bettie. Spotkałem wtedy mnóstwo ciekawych ludzi. Bardzo miła ta wasza okolica.

Isabel marszczy nos. Josie McGowan? Josie, z jej nastroszonymi włosami, krótkimi spódniczkami i czarnymi kozakami na szpilkach, jakich nie powstydziliby się amatorka sadomaso? Josie McGowan też jest samotna, ale nie z powodu śmierci męża; dwa razy się rozwiodła. Jest również nałogową palaczką. Isabel ma nieodparte wrażenie, że łan preferuje inny typ kobiet.

- Powiedziałem coś złego? - łan marszczy czoło.

- Słucham? Nie, dlaczego pytasz?

- Bo masz taką minę, jakbyś poczuła nieprzyjemny zapach. - łan udaje, że obwąchuje sobie pachy. - Nie, to nie ja. Jestem świeży jak stokrotka.

- Przepraszam - odpowiada ze śmiechem Isabel. - Tylko... hm, co dokładnie będziesz robił dla Josie?

- Będę przygotowywał dom i jego otoczenie na nadejście zimy - mówi łań i zaczyna wyliczać na palcach:

- Pochowam węże ogrodowe, wyczyszczę rynny, przedmucham system zraszania i tak dalej. Josie prosiła też o zakonserwowanie podjazdu oraz chodników. Większość powierzchni z betonu i kamienia niszczy pod wpływem mrozów i następujących po nich roztopów. Jej podjazd popękał w paru miejscach, a traktowanie go solą bądź innymi odmrażającymi specyfikami może ten stan pogorszyć.

- Nie wiedziałam o tym - mówi Isabel. - Chyba powinieneś zajrzeć też do mnie - dodaje szybko.

łań rzuca okiem na jej podjazd.

- Jestem pod wrażeniem. Zauważyłem to już wcześniej, kiedy pracowałem na werandzie.

Isabel wzrusza ramionami.

- Lepiej dmuchać na zimne - mówi. - Nigdy dotąd nie zastanawiałam się, w jakim mój dom jest stanie. Założę się, że to był błąd. Ponieważ jednak postanowiłam tu zostać, chcę się upewnić, że wszystko w nim dobrze funkcjonuje.

- Jasne, ale myślę, że nie musisz się o nic martwić.

- łań wskazuje dach. - Chwileczkę. Te rynny pilnie potrzebują czyszczenia.

Isabel również to zauważyła.

- Chciałam kogoś wynająć - mówi. - A może ty byś mógł? Ile by mnie to kosztowało?

Dzwoni komórka, łań sprawdza numer.

- Ups, w, ygląda na to, że jestem spóźniony. - Wciska odpowiedni klawisz i przykłada telefon do ucha.

- Cześć, Josie. Tak, już do ciebie jadę. Podpowiadałem Isabel, jak dbać o dom... tak, oczywiście, tobie też to powiem. Dobrze. Do zobaczenia za pięć minut. - Rozłącza się ze skruszonym wyrazem twarzy. - Przepraszam. Wzywają mnie obowiązki. Wiesz co? W tygodniu jestem umówiony z Josie, ale w sobotę wpadnę do ciebie i udrożnię rynnę, a potem zastanowimy się, co robić dalej. Odpowiada ci ósma rano?

- Tak. - Na myśl, że znów go zobaczy, Isabel zaczyna kręcić się w głowie. Zastanawia się, o co jeszcze będzie mogła go poprosić. - Obiecuję, że nie otworzę ci drzwi w piżamie.

Łan udaje rozczarowanego.

- W takim razie zapukam do ciebie godzinę wcześniej.

- Ani się waż! - Isabel rumieni się z radości. Już wie, co będzie miała na sobie: dzinsy i pomarańczowy sweter w serek, który kusi ją od tygodnia. Gdy wyciągnęła go z szafy, przekonała się, jak surowo, a zarazem nijako wyglądają jej białe ubrania. Pomyślała wtedy, że Yvonne miała rację. Trzeba pożegnać się z bielą. Pragnie uczynić swoje życie bardziej kolorowym.

- Dobrze, dobrze. - Łan uśmiecha się szeroko.

- Niech będzie ósma. Przy okazji: nie dowiedziałem się w końcu, jaką lubisz kawę. - Gdy jego telefon znów zaczyna dzwonić, odrzuca połączenie, nie spuszczając wzroku z Isabel.

- Czarną - mówi Isabel. - Z dwiema kostkami cukru, łan stuka się palcem w skroń.

- Czarna, dwie kostki cukru. Pamiętam. - Telefon

dzwoni po raz kolejny, ale Ian nie zwraca na niego uwagi. - Do zobaczenia w sobotę. A jeśli zdecydujesz się otworzyć drzwi w piżamie, nie będę narzekał.

Prances wystukuje na klawiaturze komputera „Rodzina na zawsze” i patrzy na ekran. Zadowolona z efektu, naciska klawisz „enter”.

Nie mija sekunda, a już wszystko widzi: rodzinne zdjęcie z ostatnich świąt Bożego Narodzenia. Ona i Reed na kanapie, chłopcy przykucnięci przed nimi. Wszyscy wpatrują się wesoło w obiektyw. W rogu pojawia się fotografia Mei Ling ozdobiona napisem RODZINA NA ZAWSZE. Frances uśmiecha się szeroko, bardzo z siebie dumna.

Od pewnego czasu śledzi błogi rodzin, które adoptowały dziecko. Jest zdziwiona, jak wiele ważnych informacji może z nich czerpać, a zarazem wdzięczna za to, że niektórzy tak otwarcie dzielą się doświadczeniami. Początkowo nie mogła pojąć, dlaczego ludzie poświęcają czas na internetowe pisanie o swoim życiu, nie wspominając już o zamieszczaniu w sieci zdjęć oraz odnośników do istotnych źródeł i podobnych stron, aż w końcu zrozumiała, że prowadzenie rodzinnego bloga pomaga im zachować równowagę psychiczną. Opisywanie codziennego życia przed, w trakcie i po adopcji czyni ich ciężkie dni znośnymi, a dobre - najpiękniejszymi pod słońcem. Frances uważa, że blog stanowi doskonałe źródło informacji dla dziadków i przyjaciół, którzy w każdej chwili mogą oglądać najnowsze zdjęcia dzieci. Ma cichą nadzieję, że z czasem

Nick, Noah, Brady i Mei Ling zaczną publikować w internecie własne posty i błogi. Może uda jej się nawet namówić na to Reeda.

Najbardziej cieszy ją myśl, że na koniec roku wydrukuje to wszystko i oprawi niczym książkę. Będzie tak robić co rok, stworzy coś w rodzaju kroniki rodziny Lathamów i wręczy każdemu jego własny egzemplarz. Z przyjemnością tworzy albumy poświęcone wyjątkowym wydarzeniom i specjalnym okazjom, ale pragnie również dokumentować ich codzienne życie, i to w taki sposób, by można było obejść się bez grubych plików zdjęć zalegających w każdym kącie. Z radością wyobraża sobie, że albumy te będą towarzyszyć jej dzieciom w czasie dorastania, a także później, gdy już założą własne rodziny. Czy nie na tym właśnie polega sztuka utrwalania wspomnień?

Na panelu bocznym Frances umieszcza adresy najbardziej jej zdaniem wartościowych blogów. Dotyczy to szczególnie rodzin, które adoptowały dzieci z wrodzonymi schorzeniami. Frances i Reed nie mają teraz wyjścia - muszą kierować się informacjami zamieszczonymi w karcie zdrowia Mei Ling. Niestety, są dość oględne i dopiero gdy dziewczynka znajdzie się w Avalon, będzie można stwierdzić z całą pewnością, co jej dolega. Frances rozmawiała już z kardiologami dziecięcymi z Centrum Medycznego Uniwersytetu Rush w Chicago oraz z Uniwersytetu Illinois. Znalazła nawet ośrodek w Rockford, w którym leczono wiele adoptowanych dzieci z chorobami serca. Szpital Dziecięcy Cincinnati również ma bardzo dobry oddział

pediatryczny; Frances może w każdej chwili zwrócić się po pomoc do któregoś z tych placówek.

Problem jednak w tym, że zarówno sama diagnoza, jak i proces leczenia będą tak bardzo opóźnione. Schorzenia, które już dawno mogły zostać wyeliminowane, są teraz o wiele trudniejsze do wyleczenia. Ośmieleni decyzją o adopcji Mei Ling Frances i Reed zaczęli naciskać pracowników agencji, by przekazali im więcej informacji. W odpowiedzi otrzymali dokumenty, z których wynika, że Mei Ling poci się przy każdym posiłku i męczy szybciej od innych dzieci. Jak wiele dzieci przeznaczonych do adopcji jest mniejsza i drobniejsza od rówieśników. Oficjalnie określono to mianem „upośledzenia rozwoju i wzrostu”. Na myśl o sercu dziewczynki, które pracuje tak ciężko, by utrzymać ją przy życiu, Frances czuje ogromny smutek, ale wystarczy jeden rzut oka na zdjęcie Mei Ling, na jej roześmianą buzię, by na nowo wstąpiła w nią nadzieja. Czuje duchową więź z przybraną córeczką i zamierza uczynić wszystko co w jej mocy, by mała mogła cieszyć się pełnią życia i szczęścia, tak samo jak Nick, Noah i Brady.

Nadchodzący rok upłynie im pod znakiem licznych wizyt u specjalistów. Trzeba będzie dokładnie przebadać Mei Ling i podjąć decyzję o odpowiednim leczeniu. Na razie wiedzą (lub sądzą, że wiedzą), iż dziewczynka cierpi na ubytek przegrody międzykomorowej. Innymi słowy jest to dziura w ścianie serca. Niedługo po przyjeździe do Avalon Mei Ling będzie musiała przejść operację na otwartym sercu. Może się okazać, że to nie koniec kłopotów. Nie wiadomo, czy w karcie zdrowia

czegoś nie pominięto, nie mówiąc już o tym, że w miarę upływu czasu mogą rozwijać się kolejne schorzenia. Ale czym się to właściwie różni od innych życiowych wyzwań? Nie można zajrzeć do szklanej kuli, nie ma gwarancji, jak wszystko się ułoży.

Frances postanawia, że zamieści na swoim blogu rozrastającą się listę ważnych spraw do załatwienia. Stara się jak najlepiej przygotować do podróży. Agencja adopcyjna służy jej nieocenioną wręcz pomocą, ale Frances pragnie również poznać historie innych rodzin, które podróżowały do Chin, szczególnie zaś tych, które zabrały ze sobą dzieci. Wraz z Reedem postanowili bowiem, że pojedą odebrać Mei Ling w pełnym składzie, nie wyłączając trzyletniego Brady'ego. Choć czeka ich spory wydatek, będzie to z wielu względów bezcenne doświadczenie. Owszem, bardzo zależy im na tym, by Mei Ling dzieliła z nimi życie w Avalon, ale jednocześnie - przez wzgląd na jej pochodzenie - pragną, by stali się rodziną już w Chinach.

Frances podłącza aparat fotograficzny do komputera i ładuje zdjęcia z poprzedniego dnia. Razem z chłopcami przygotowała na obiad ryż oraz brokuły w sosie ostrygowym. Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczała. Reed znalazł prosty przepis na sałatkę sezamo-wo-ogórkową i postanowił go wypróbować. Wszystko było bardzo smaczne. Frances wie, że ich nieśmiałe próby nie mają jeszcze zbyt wiele wspólnego z prawdziwą chińską kuchnią, ale od czegoś trzeba zacząć. Postanawia dołączyć przepisy do zdjęć.

W kuchence włącza się minutnik. Właśnie minęło pół godziny, które Francés przeznaczyła na pracę nad blogiem. Czas na inne obowiązki, na przykład pakowanie, bo gdy tylko Lathamowie dostaną zielone światło, zamierzają udać się do Chin.

- Nie, nie, nieee!

Ava słyszy przeciągły krzyk przechodzący w zawodzenie. Ścisną mocno torebkę, zastanawiając się, czy nacisnąć dzwonek, czy może się wycofać, ale nagle drzwi otwierają się i wychodzi z nich niepewnym krokiem Bettie, wciąż jeszcze ubrana w koszulę nocną, choć zbliża się południe.

- Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie - powtarza. Sekundę później z domu wybiega Isabel oraz nieznana Avie kobieta. - Powiedziałam: nie!

- Wszystko w porządku? - pyta Ava.

- Wygląda na to? - Isabel sprawia wrażenie bezsilnej, a jednocześnie mocno zirytowanej. - Imogene, uprzedzałam, że ja powinnam jej o tym powiedzieć! - mówi z wyrzutem, usiłując skłonić Bettie do powrotu do domu. Starsza pani wyrywa się jej i zaczyna chodzić ze zrozpaczoną miną tam i z powrotem po werandzie.

- Bettie, kochanie, pomyśl, jak miło będzie nam razem! - kusi ją Imogene, siłąc się na wesołość. - Abe przygotował dla ciebie pokój z widokiem na podwórze, na którym wiosną zasadzimy kwiaty. Każdego popołudnia będziemy oglądać nasze ulubione programy i grać z innymi paniami w bunco. Zorganizujemy kilka

spotkań naszego klubu. Będziemy robić to, na co tylko będziesz miała ochotę.

- Nie! - jęczy Bettie.

Isabel jest mocno zdenerwowana, ale opanowuje się, podchodzi do Bettie i otacza ją łagodnie ramieniem.

- Będzie ci tam bardzo dobrze - uspokaja ją. - Mogę cię odwiedzać, kiedy tylko zechcesz.

- Ale ja chcę zostać tutaj - mówi Bettie z nadąsaną miną. - W moim domu.

Isabel podchodzi razem z nią do poręczy werandy i wskazuje jej dom.

- Twój dom się spalił, nie pamiętasz? Cały czas zastanawiamy się, co robić, ale Imogene i Abe chcą, żebyś tymczasem zamieszkała u nich. Przygotowali dla ciebie pokój. Słyszałam też, że Imogene ma mnóstwo ciekawych materiałów do dekorowania albumów.

- O tak! - Imogene kiwa głową. - Panie z klubu okazały się bardzo hojne, a Abe pozwolił mi przerobić nasz pokój na pracownię artystyczną. To marzenie każdego miłośnika albumów. Będziesz zachwycona, obiecuję. - Delikatnie poklepuje dłoń Bettie, która nieco się uspokaja.

- Cóż. - Pociąga nosem. - Dobrze. Zgadzam się. - Odwraca się i dopiero teraz dostrzega stojącą na werandzie Awę. Z jej twarzy znika rozpacz, zastępuje ją promienny uśmiech. Chyba już nie pamięta, co się przed chwilą działo. - Ava! Gdzie Matt?

- Max jest w przedszkolu. Ale na pewno bardzo chciałby być tutaj.

- Jest taki słodki. A te okulary! - Staruszka wybucha głośnym śmiechem.

To już nie jest roztrzęsiona Bettie sprzed trzydziestu sekund. Jej miejsce zajmuje kobieta, którą Ava po raz pierwszy spotkała dwa miesiące temu w sklepie Margot West.

- Idziemv - wtrąca się Isabel, prowadząc Bettie do środka. Ava ma dziwne wrażenie, że się im narzuca. Sięga szybko do torebki i wyjmuję z niej niewielki woreczek.

- Chciałam ci to dać - mówi, wręczając go Isabel. - Był w jednym z pudeł, które mi podarowałaś. Nie wiem, do czego służy. Chyba znalazł się tam przypadkiem. Nie chciałam, byś się martwiła, że ci zginął.

Isabel zatrzymuje się, żeby otworzyć woreczek. Wypada z niego niewielki kluczyk.

- Nigdy wcześniej go nie widziałam - mówi, obracając kluczyk w dłoni.

Bettie zagląda jej przez ramię i kiwa głową.

- Też mam taki kluczyk - oświadcza. - Do mojej skrytki bankowej.

- Masz skrytkę w banku? - Isabel podnosi na nią wzrok. - Nigdy mi o tym nie wspominałaś!

Bettie wzrusza ramionami.

- Zapomniałam. Zresztą nic dziwnego. Wszystkie¹ idą do kuchni.

- już wiem - mówi Isabel. - Kiedy razem z Yvonne usiłowałam dostać się do twojego domu, znalazłam taki kluczyk pod kamiennym aniołem stojącym na werandzie. Mogę zadzwonić do banku i zapytać Charlotte Snyder, czy wie coś o twojej skrytce. Jeśli tak, z pewnością będzie można ją otworzyć.

- I Iwoją również - dodaje Ava. - Skoro masz taki sam kluczyk...
- On nie jest mój. Nigdy nie mieliśmy z Billem skrytki w banku. Naprawdę znalazłaś go w kartonie ode mnie?

- Tak. Mv... ja... też nigdy nie miałam takiej skrytki. Nagle uświadamia sobie, co to może oznaczać, i jej twarz robi się blada. Czy Bill miał jakieś tajemnice również przed nią?

Isabel upuszcza kluczyk na stół.

- Nie obraż się, ale jeśli się okaże, że Bill ma gdzieś jeszcze jedną rodzinę, nie ręczę za siebie. Tylko cię ostrzegam.

Ava kiwa głową. Ta zagadka musi mieć logiczne wyjaśnienie. Widzi, że Isabel zaczyna gotować się ze złości, i nie chce być świadkiem jej wybuchu.

- Cóż, pora na mnie. Muszę odebrać Maxa z przedszkola. I chciałam ci jeszcze powiedzieć, że... - Urywa, widząc nagły grymas niezadowolenia na twarzy Isabel. -Co? - pyta.

- Co: co? - odpowiada Isabel, natychmiast zmieniając wyraz twarzy.

-Masz taką minę, jakby... jakbyś miała mi coś za złe.

Isabel potrząsa głową.

- Nie, po prostu cały czas zastanawiam się nad tym kluczem.

Ava czuje, że Isabel ma jej coś ważnego do powiedzenia, ale nie jest pewna, czy chce to usłyszeć.

- Powiedz mi. proszę, o co ci chodzi. - Uznaje, że

będzie lepiej, gdy się tego dowie. Taka okazja może się już nie powtórzyć.

- Okay, dobrze. - Isabel podnosi na nią wzrok.

- Uważam, że nie powinien chodzić do tego przedszkola. Nie jest tam szczęśliwy. Nie rozumiem, jak w ogóle możesz tu stać i rozmawiać sobie, podczas gdy on... - Rumieni się gwałtownie, spuszcza wzrok i zaczyna rysować coś długopisem w leżącym na stole zeszyte.

Ava czuje się, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

- Max lubi swoje przedszkole - mówi, ale zdradza ją łamiący się głos.

- Nie sądzę - odpowiada Isabel. Słowa nie są ważne, sam ton jej głosu mówi wszystko. Że Ava jest złą matką. Że nie wie, co jest najlepsze dla jej syna. Że jest gotowa poświęcić jego szczęście lub dobre samopoczucie, bo nie stać jej na lepsze rozwiązanie.

Ava zaczyna trząść się ze złości - nie z powodu faktu, że Isabel się myli, tylko dlatego, że może mieć rację.

- Nic nie wiesz - cedzi przez zaciśnięte zęby. - Nie masz pojęcia o mnie ani o moim życiu, i nie masz prawa wygłaszać komentarzy na temat Maxa. Nie jesteś jego matką. Ja nią jestem. Ja. I staram się, jak tylko mogę. Myślisz, że chętnie go tam wysyłam? Myślisz, że nie próbowałam zatrzymać go w domu? Myślisz, że nie chciałabym mieć więcej pieniędzy, żeby móc zapisać go do lepszego przedszkola, gdzie będzie miał odpowiednią opiekę?

-Wiele placówek oferuje wsparcie finansowe...

- zaczyna Isabel.

- Och, świetnie! Dlaczego o tym nie pomyślałam? - Ava udaje, że stuka się w głowę. Patrzy ponuro na Isabel. - Chciałabym, żebyś uczestniczyła w życiu Maxa, ale to nie oznacza jeszcze, że pozwalam ci je krytykować.

Isabel celuje w nią długopisem.

- Uściślijmy. Sypiasz z moim mężem, rodzisz jego dziecko, oczekujesz, że będę uczestniczyć w jego życiu, uznajesz mnie za bliską osobę... - Każde jej słowo jest jak cios noża. Ava kuli się i spuszcza głowę.

- Naprawdę? - szepcze bez tchu Bettie. - Co za śmiałość! - Odwraca się do równie zaskoczonej Imogene, która z wypiekami na twarzy śledzi rozwój sytuacji.

Isabel podnosi głos, nie spuszczać wzroku z Avy.

- ...i po tym wszystkim nie pozwalasz mi nawet odezwać się na temat jego przedszkola?

- Tak... nie... to znaczy... - Ava nagle czuje się zbita z tropu. Chce, żeby Max miał kontakt z Isabel, ale nie przypuszczała, że tak to może wyglądać. Miała nadzieję, że Isabel będzie dzieliła się z nim wspomnieniami o Billu i ciekawymi historiami z przeszłości.

- Dlaczego tu jeszcze jesteś? - naciska Isabel. - Nie rozumiem. Czego ty ode mnie chcesz?

Ava czuje na sobie wzrok trzech kobiet. Mrugając nerwowo powiekami, prostuje się i chwyta mocno pasek swojej torebki.

- Niczego. Nie chcę niczego, Isabel.

Isabel spuszcza wzrok i patrzy na zeszyt oraz na leżący obok niego klucz.

- W takim razie powinnaś chyba stąd wyjść. Bettie spogląda to na Isabel, to na Avę. Nie jest

do końca pewna, co się dzieje. Ava widzi, że spojrzenie staruszki staje się puste, nieobecne, a na jej twarzy znów pojawia się wyraz niepewności i zagubienia.

- Już idziesz? - pyta Bettie, wyraźnie skonsternowana.

- Tak - odpowiada Ava i odwraca się do Isabel, która unika jej wzroku. - Przyszłam tu, żeby oddać ci klucz i powiedzieć, że się wyprowadzamy. Właściciel mieszkania odmówił nam dalszego wynajmu, więc do końca tygodnia musimy je opuścić. Przyszłam się pożegnać. I podziękować. Za wszystko.

Isabel milczy. Ava ściska dłoń Bettie i wychodzi.

Rozdział 21

Charlotte Snyder, główna kasjerka banku stanowego w Avalon, wita Bettie i Isabel w holu.

- Wspaniale! - wykrzykuje, prowadząc je ku dalszym pomieszczeniom. - Gdy otrzymałam wasz telefon, nie byłam pewna, co o tym sądzić. Odnalezione klucze do skrytki! To jak historia z filmu.

Isabel jest zmęczona. Ku wielkiemu rozczarowaniu swojego infantylnego szefa, któremu jakimś cudem udaje się utrzymać firmę KP Paper & Son na rynku, musiała przedłużyć urlop. Obawiała się, że zostanie zbesztana albo nawet zwolniona, ale chłopak oznajmił, że zamierza dać jej podwyżkę, co bardzo ją zaskoczyło. Okazało się, że jej wyniki sprzedaży osiągnęły rekordowo wysoki poziom, choć nigdy nie przywiązywała do tego szczególnej wagi. Sukces ów zawdzięcza prawdopodobnie temu, iż zupełnie przestała się przejmować pracą, co z kolei ułatwia jej negocjacje z klientami. Nie zwraca uwagi na ich

negatywne reakcje, tylko mówi swoje, dopóki nie osiągną porozumienia.

Wszystko to zaczyna jednak odbijać się na jej zdrowiu. Można powiedzieć, że od dnia pożaru funkcjonuje wyłącznie dzięki kawie. Czuje się coraz gorzej. Choć Bettie mieszka teraz u Imogene i Abe'a, Isabel wciąż brakuje czasu, by załatwić wszystkie ważne sprawy. Ma ich zbyt wiele na głowie.

A teraz jeszcze skrytka Bettie. I ta druga, którą w tajemnicy założył Bill. Trzeba było uzyskać oficjalne pozwolenie sądowe na jej otwarcie. Nie była to skomplikowana procedura, lecz Isabel ma wrażenie, że uczestniczy w czymś niezwykle poważnym i oficjalnym. Pora się dowiedzieć, co Bill przed nią ukrywał.

- Cześć, przepraszam za spóźnienie. - Yvonne staje za ich plecami i ściska Isabel za ramię. - Zajrzałaś już do skrytki?

Isabel potrząsa głową.

- Może nie powinnam tego robić. Z jakiegoś powodu nie wiedziałam o niej, prawda? Nie jestem pewna, czy chcę się dowiedzieć, co jest w środku.

- Mam nadzieję, że znajdę tam coś wartościowego - mówi Bettie do pani Snyder. - Czekam na miłą niespodziankę. Nawiasem mówiąc, czy wciąż jeszcze serwujecie klientom darmowe przekąski?

- Codziennie przed dziesiątą. - Pani Snyder chichocze. - Ale zastąpiliśmy pączki Chlebem Przyjaźni Amiszów. Jest wyśmienity!

Bettie odwraca się pośpiesznie do Isabel.

- Która godzina?

Isabel patrzy na Yvonne. Nie ma nawet siły unieść ręki, żeby spojrzeć na zegarek.

- Dochodzi dziesiąta - potwierdza Yvonne. Bettie wydaje okrzyk radości.

- Mówię ci, Charlotte, nie ma nic wspanialszego niż kromka darmowego Chleba Przyjaźni Amiszów!

- Całkowicie się z tobą zgadzam. Dziś moja kolej, więc przyniosłam ciasteczka biscotti w czekoladzie, na bazie Chleba Przyjaźni Amiszów. Czuć w nich kokosową nutę. Idealne do porannej kawy!

- Nie cierpię Chleba Przyjaźni Amiszów - mruczy Isabel pod nosem. - Ale chętnie napiję się kawy. - Jej spojrzenie robi się bardziej ożywione.

- Lepiej napij się wody - mówi Yvonne. - Ilość kofeiny w twoim organizmie wystarczyłaby do odpalenia rakiety. I co teraz? - pyta, odwracając się do pani Snyder.

- Skrytka Bettie już na nią czeka. Ty, Isabel, jeśli masz z sobą kluczyk, możesz zajrzeć do swojej. Pozwolenie sądowe załatwia sprawę. Jej zawartość należy do ciebie. Szkoda, że dowiedziałaś się o niej dopiero teraz.

- Wcześniej nie byłabym na to gotowa - mówi Isabel. - Właściwie nie mam pewności, czy teraz jestem. Bill zamierzał po uzyskaniu rozwodu uczynić swoim pełnomocnikiem kogoś innego, zapewne Avę. Ona powinna tu być, nie ja.

- To nie ma znaczenia - odpowiada Yvonne. - Musisz zajrzeć do tej skrytki, Isabel. A może będzie całkiem pusta? Może niepotrzebnie się martwisz?

Pusta? Isabel nie wie, co jest gorsze. Znaleźć coś niespodziewanego czy zastanawiać się, co Bill zamierzał tam umieścić.

- Koniec paplania - oświadcza podekscytowana Bettie. - Chcę poznać zawartość mojej skrytki. Nie mam pojęcia, co w niej jest!

Pani Snyder robi współczującą minę.

- Z powodu twojego... stanu? - Ostatnie słowo wymawia szeptem, jakby była to jakaś tajemnica.

Bettie patrzy na nią z desperacją.

- Nie, Charlotte. Po prostu nie zaglądałam tam od piętnastu lat. Raz w roku bank odlicza mi z rachunku bieżącego opłatę za skrytkę, to wszystko. W ogóle o niej nie myślę. Zupełnie zapomniałam, że ją mam.

Pani Snyder kiwa głową.

- To zabawne, jak często ludzie o tym zapominają. Dobrze, w takim razie usiądźcie sobie, proszę, a ja zaraz wrócę.

Bettie i Yvonne siadają. Isabel chodzi nerwowo tam i z powrotem. Bettie rozważa na głos wszystkie możliwości, dzieląc się nimi z Yvonne.

- Co powiesz na sztabki złota? To byłoby coś. Albo gruby plik banknotów!

- Diamenty - dodaje Yvonne. - Rubiny z Madagaskaru.

Isabel patrzy na nią wymownie. To nie jest dobra strategia.

- Bettie, w twojej skrytce mogą znajdować się wyłącznie rzeczy umieszczone tam przez ciebie. Czy

miałaś kiedyś parę sztabek złota lub grube pliki banknotów?

- Nie. - Bettie pochmurnieje na krótką chwilę. - Ale nigdy tego nie możesz być pewna, prawda? Jeśli zawodzi mnie pamięć, skąd mam wiedzieć, co tam kiedyś włożyłam? - Odwraca się do Yvonne z wesołą miną. - Papiery wartościowe! Kupony loteryjne!

Isabel znów zaczyna chodzić tam i z powrotem. Niezależnie od tego, co jest w skrytce Billa, najbardziej martwi ją fakt, że nie może już ufać temu, co wie. Rzuca to cień na jej wspomnienia, gdyż okazuje się teraz, że nie wiedziała o wielu istotnych sprawach męża.

Na przykład o Avie. Isabel niczego nie podejrzewała, ale gdy została postawiona przed faktem dokonanym, zobaczyła, że ten związek był efektem serii przypadków i fałszywych kroków, rozwidleniem dróg, a w końcu ostateczną decyzją Billa, by dokonać akurat takiego wyboru. Wiedziała, że ich małżeństwo przeżywa kryzys, i choć nie spodziewała się, że mąż od niej odejdzie, wie, dlaczego to zrobił.

Ale ta skrytka to coś całkiem innego. To celowe działanie, coś zaplanowanego, za czym kryje się pewna intencja. Bill udał się do banku, podpisał się na formularzu, zapłacił za skrytkę, o której nie wiedziała ani ona, ani Ava. Przyszedł tu, by schować w skrytce coś, czego nie chciał przechowywać w domu.

Co to jest?

Pani Snyder wraca z podłużną metalową skrzynką. Kładzie ją ostrożnie na stole.

- Proszę bardzo, Bettie. A ty, Isabel, kiedy będziesz

już gotowa, daj mi znak dzwonkiem, wtedy udam się z tobą do skarbcza.

Isabel i Yvonne stają po prawej i lewej ręce Bettie, która wpatruje się w kasetkę.

- Jest większa, niż myślałam - mówi w końcu starsza pani, wodząc palcami po metalowej tabliczce z numerem przymocowanej z przodu skrzynki. Bierze głęboki oddech i podnosi wieko.

Oczom trzech kobiet ukazują się plastikowe torebki i stare czasopisma. Bettie wyjmuje kilka hermetycznie zamkniętych foliowych woreczków, pełnych poskładanych na pół dokumentów. Isabel wyciąga rękę i otwiera pierwszą z torebek. Oryginalny akt własności domu, dowód własności samochodu, ubezpieczenie zdrowotne, akt urodzenia Bettie, karta ubezpieczenia społecznego, karty zdrowia. Isabel czuje ulgę - mogą załatwić z Bettie wiele pilnych spraw. Trzeba jak najszybciej sporządzić kopie tych dokumentów.

- Ach! - wzdycha Yvonne. Isabel podnosi wzrok i widzi, że dziewczyna bierze do ręki pieniądze, w większości dwudziesto- i studolarówki, również zapakowane w foliową torebkę. - A więc jednak masz tutaj gruby plik banknotów, Bettie. Wygląda na dobre kilka tysięcy. To twoje?

- Tak - odpowiada Bettie obojętnie. - Dwadzieścia tysięcy. Teraz sobie przypominam. Przychody z pierwszych pięciu lat mojego albumowego biznesu.

- Dlaczego nie wpłaciłaś ich na konto? - pyta Isabel. Wie, że Bettie ma w banku zarówno rachunek

oszczędnościowy, jak i bieżący, a także konto emerytalne.

- Wpłaciłam część. - Bettie błądzi gdzieś myślami. - Resztę trzymałam dla... - Milknie, po czym spod pliku czasopism wyjmuję kolejną torebkę. Wewnątrz znajduje się coś miękkiego owiniętego w białą bibułę. Tkanina? Bluzka?

Bettie wykrzywia się nagle w płaczliwym grymasie. Isabel siada obok niej. Widzi, że starszej pani trzęsą się ręce.

- Mam ci pomóc otworzyć? - pyta. Oczy Bettie lśnią od łez.

- Nie. Zabiorę to ze sobą do domu. - Przyciska torebkę do piersi. - Chcę już stąd iść.

Isabel wkłada zawartość kasetki do torby. Wszystkie trzy panie podnoszą się z miejsca.

- Zaraz! - mówi Yvonne. - A skrytka Billa? Bettie jest bardzo blada. Isabel chce jak najszybciej

jechać do Imogene.

- Załatwię to później.

- Teraz - nalega Yvonne. - Ja zawiozę Bettie do państwa Garza. Zadzwoń do mnie. - Obejmuje staruszkę ramieniem i wyprowadza ją z banku.

Isabel patrzy w ślad za nimi. Miała nadzieję, że ktoś będzie przy niej w chwili otwierania skrytki. Bardzo nie chce robić tego sama.

- Jak tam? - Pani Snyder wchodzi do sali i rozgląda się dookoła zdezorientowana. - Bettie już poszła?

- Chciała pojechać do domu. - Isabel wyjmuje klucz do skrytki Billa. - Mam ci go dać?

- Nie, moja droga. Chodź ze mną.

Wchodzą do niewielkiego pomieszczenia. Trzy jego ściany od podłogi do sufitu zabudowane są skrytkami. Pani Snyder przebiega je wzrokiem, ściskając w dłoni pęk kluczy.

- Dwa jeden pięć, dwa jeden pięć... tu jest. - Daje znak Isabel, żeby podeszła bliżej. - Ja użyję głównego klucza, ty włóż tutaj swój i przekręć.

Isabel idzie za jej wskazówkami. Otwierają się niewielkie drzwiczki. Pani Snyder energicznie wyjmuje ze skrytki podłużną metalową kasetkę i wręcza ją Isabel, po czym obie podchodzą do stolika znajdującego się za drzwiami.

- Gdy ktoś przestaje płacić za swoją skrytkę, przekazujemy jej zawartość skarbnikowi stanowemu - wyjaśnia pani Snyder. - Ale pan Kidd uiścił z góry opłatę za dwadzieścia pięć lat! Zostało ci jeszcze dziewięć, czy to nie miłe?

Isabel liczy w myślach minione lata. Musiało to być mniej więcej w czasie ich ślubu.

- Kiedy skończysz, daj mi znać - mówi pani Snyder, wskazując niewielki przycisk na ścianie. - Przynajmniej ty nie uciekaj stąd bez słowa! - Mruga porozumiewawczo i znika za drzwiami.

Kasetka jest stalowoszara, tak jak kasetka Bettie, ale mniejsza. Isabel kładzie dłoń na wieku. Bill był ostatnią osobą, która otwierała tę skrytkę. Co wtedy myślał? Czy przeczuwał, że ona następną zajrzy do skrytki? Nie jest pewna, czy powinna to robić. Przecież musi być jakiś powód, dla którego o niczym jej nie powiedział.

Szybko unosi wieko, obawiając się, że w końcu się rozmyśli. Zagląda do środka. W kasetce są tylko dwie koperty - cienka brązowa oraz niewielka biała, na której widnieje jej imię nakreślone pismem Billa.

Isabel powoli sięga po białą kopertę. Kręci jej się w głowie. Co tam znajdzie? Przeprasziny? A może spóźnione wyznanie prawdy? „Chcę ci wyjaśnić, co się stało”. A może prośba z za grobu? „Wiem, że na pewno jesteś na mnie zła, ale coś musisz dla mnie zrobić”.

W końcu otwiera kopertę. W środku znajduje kartkę. Wyjmuje ją, wpatrując się w prosty rysunek: dwa czerwone, połączone ze sobą serca. Poniżej widzi słowa: MOJA UKOCHANA ŻONA.

To nie może być prawda. Isabel otwiera kartkę, mając wrażenie, że za chwilę zemdleje. Rzuca okiem na datę. Siedemnasty marca, rok po ich ślubie. Ich pierwsza rocznica.

Kochana Isabel!

Dziś mija pierwsza rocznica naszego ślubu. Trudno uwierzyć, że rok temu wymieniliśmy się obrączkami i obiecaliśmy sobie, że już na zawsze będziemy razem. Jestem z Tobą bardzo szczęśliwy.

Tyle się ostatnio dzieje - nasz pierwszy dom, mój gabinet, wiadomość, że nasze dziecko wkrótce przyjdzie na świat. Nie ma nikogo szczęśliwszego ode mnie. Chcę te uczucia zatrzymać w czasie. Przyznam, że pomysł nie jest mój - zainspirował mnie artykuł z „Reader's Digest”, gdzie zachęcano czytelników do spisywania najcenniejszych chwil z pierwszego roku małżeństwa.

Ten jedyny w swoim rodzaju pamiętnik należy umieścić w skrytce bankowej, która zostanie otwarta dopiero z okazji dwudziestej piątej rocznicy ślubu. Tak też zrobiłem - mam wrażenie, że to doskonały sposób na zatrzymanie ulotnych wspomnień z początków naszego wspólnego życia.

Oto moje zapiski i inne pamiątki. Czekam z niecierpliwością na to, co przyniesie nam przyszłość. Kocham Cię.

Twój na zawsze Bill

W brązowej kopercie Isabel znajduje kilka fotografii. Ona i Bill czekający w kolejce do diabelskiego młyna na lokalnym kiermaszu, duże talerze spaghetti z kiepskiej włoskiej restauracji obok uczelni medycznej Billa, noc, gdy Bill się jej oświadczył, ich wesele, miesiąc miodowy na Bahamach, który okazał się katastrofą, gdyż przytrafiło im się zatrucie pokarmowe. Wspólne zdjęcie przed ich domem w dniu, gdy go kupili - Bill dumnie oparty o skrzynkę na listy, Isabel roześmiana trzyma go pod ramię. Kopia notarialna umowy partnerskiej Billa i Randalla, jego pierwsza wizytówka. Długa, ręcznie spisana lista najważniejszych wydarzeń ich pierwszego wspólnie przeżytego roku, zdjęcie ich rozklekotanej hondy, spis odwiedzonych przez nich miejsc, informacje o ich ulubionych potrawach i filmach. Papierowa serwetka, na której - dowiedziawszy się, że Isabel jest w ciąży - zapisali *swoje* ulubione imiona. Było to dwa tygodnie przed

ich pierwszą rocznicą ślubu. Pięć tygodni później nastąpiło poronienie.

Isabel patrzy na świadectwo swoich pierwszych miesięcy życia z Billem leżące przed nią niczym szkolna prezentacja. Czuje, że oczy pieką ją od łez, a jednocześnie potrząsa głową z pobłażliwym uśmiechem. To bardzo w stylu Billa. Jego romantyczny gest nie wywarłby na niej większego wrażenia, gdyż ona jest najmniej romantyczną osobą na świecie. Bill doskonale o tym wiedział, ale i tak zrobił po swojemu.

Już dawno nie myślała o nim w ten sposób. Czuje w piersi narastający ból, jakby zbyt długo wstrzymywała oddech. Wspominać go z uśmiechem na twarzy, przywoływać piękne chwile. Kiedy ostatni raz była w stanie się na to zdobyć?

Ból staje się przeszywający, coraz bardziej dokuczliwy, oszłamia ją.
- Bill - mówi Isabel głośno. - Jeśli jesteś gdzieś tam w górze i patrzysz na mnie, to ciekawi mnie bardzo, czy zdążyłeś zapomnieć o tej kasetce. Byliśmy tacy młodzi... Na pewno nie sądziłeś, że tak się to skończy.

Milknie, waha się przez chwilę, a następnie bierze głęboki oddech.
- Wszystko dobrze się układa. Doprowadziłam do porządku nasz dom, jak zapewne wiesz. Bettie straciła dom w pożarze. Bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Wiem, wiem, przez długie lata niesamowicie działała mi na nerwy. Okazała się jednak bardzo miła. A nawet więcej - jest dla mnie jak bliska krewna. Cieszę się, że tak często jej pomagałeś.

Zawsze powtarzałeś mi, żebym starała się poznawać nowych ludzi. Cóż, mam nową przyjaciółkę, Yvonne. Pracuje w Avalon jako hydraulik. Bardzo miła, bardzo ładna, piękne zęby i dziąsła. - Isabel się uśmiecha. Był to ich stary żart; większość mężczyzn podziwiała kobiece ciało, a Isabel często przekomarzała się z mężem, że on u kobiet najpierw zwraca uwagę na zęby. - W pracy dobrze mi idzie. Cały czas noszę się z myślą o odejściu, ale mój szef oznajmił właśnie, że dostanę podwyżkę. Wiesz, że od twojej śmierci nie wykorzystałam ani jednego dnia urlopu? To był błąd. Jeszcze nigdy nie zarabiałam tak dużo jak teraz, a przecież muszę co chwila zwalniać się z pracy, żeby pomagać Bettie. - Potrząsa głową. - Wygląda na to, że gdyby nie wypadek, byłbyś teraz mężem Avy. Może mielibyście więcej dzieci. - Milknie na dłuższą chwilę. - Max jest uroczy. Wygląda całkiem jak ty. Podarowałam mu kilka pamiątek po tobie, które znalazłam na strychu. Ściśle mówiąc, podarowałam je Avie. Cały czas mam z nią kontakt, ale to też pewnie wiesz. Wygląda na to, że wkrótce się wyprowadzi. To chyba dobrze, mieszkali w fatalnych warunkach, a Randall zrobił jej świństwo, więc nie może podjąć pracy jako pomoc dentystyczna. Robi biżuterię z kapsli od butelek, pierścionki i naszyjniki. Są całkiem udane, ale to nie wystarcza. Wszystkie pieniądze ulokowałeś w firmie i sam widzisz, jak się to skończyło. Randall odkupił od ciebie udziały, lecz zapłacił ci śmiesznie mało. Prawnik mi wytłumaczył, że taki był zapis w waszej umowie partnerskiej. Zdaję sobie sprawę, że wiele razy usiłowałeś ze mną o tym

porozmawiać, ale byłam wtedy zbyt wściekła. Teraz załuję.

Ava jest w porządku. Oczywiście wiem, że nie szukasz mojej aprobaty. Chciałam tylko powiedzieć, że mogłeś wybrać gorzej. Ostatnio mam wrażenie, że zaraz wezmę z nią ślub. Zgłosiła mnie w przedszkolu jako bliską osobę, do której można się zwracać w trudnych sytuacjach! Musiałam odebrać Maxa z przedszkola. Było całkiem miło, nie powiem. Tak bardzo bym chciała, żeby chodził gdzie indziej. Pokłóciłam się o to z Avą. Miała rację, to nie mój interes.

Isabel sięga po jedno ze zdjęć. Ich pierwsze wspólne Święto Dziękczynienia, uroczysty obiad w domu rodziców Billa. Wszystko było tam za duże - dębowy stół, indyk, porcje na talerzach. Edward i Lilian żartowali, że czekają na wnuki, które zajmą puste miejsca przy stole.

- Tak czy inaczej... - Isabel wskazuje rozłożone przed nią pamiątki. - Nie jestem jeszcze pewna, co z tym zrobię, ale miło mieć coś takiego. Po twojej wyprowadzce wyrzuciłam wiele rzeczy. Byłam wściekła. Ale już nie jestem i cieszę się, że to mam. Dziękuję.

- Patrzy na sufit. - **1...** hm, trzymaj się.

Gdy zaczyna wkładać zdjęcia do koperty, do środka zagląda pani Snyder.

- Wszystko w porządku? - pyta wyraźnie zdziwiona.

- Miałam wrażenie, że słyszę, jak z kimś rozmawiasz.

- Byłam tu sama - mówi Isabel, wstając. - Właśnie skończyłam. Dziękuję za pomoc. - Jest jej dziwnie lekko na duszy.

- Po to tutaj jesteśmy - odpowiada pani Snyder, cały czas rozglądając się dookoła. Jeszcze raz patrzy na Isabel, całkiem zbita z tropu. - Na pewno nikogo tu z tobą nie było?

- Nie. - Isabel wychodzi z pokoju, zanim pani Snyder zada jej kolejne pytanie. - Wiesz, skuszę się na odrobinę tego Chleba Przyjaźni Amiszów.

- Connie, ktoś do ciebie! - woła Madeline, stojąc u dołu schodów. W salonie rozlega się znajome beczenie i głośny tupot. - Sereno, na miłość boską, oddaj to!

Serena?! Connie szybko kończy przycinać zdjęcie za pomocą nowej wycinarki. Biegnie do drzwi, otwiera je z impetem i zbiega po schodach. Na widok Sereny, która przebiega obok niej ze ścierką w pysku, stukając głośno racicami o drewnianą podłogę, głośno gwizdże. Koza zatrzymuje się gwałtownie, wypuszczając ścierkę z pyska, a następnie odwraca się i truchta w kierunku dziewczyny.

Connie obejmuje ją za szyję, gdy do salonu wbiega zdyszana Madeline.

- Ta koza lepiej zna mój dom ode mnie - mówi. - Porządnie nas przegoniła.

- Nas? - Connie podnosi wzrok i widzi, że do salonu wbiega Eli Ballard. Ponieważ jest bez lekarskiego fartucha, dziewczyna z trudem go rozpoznaje. - Co tu robisz? - pyta, sama nie wiedząc, czy zwraca się do niego, czy do Sereny.

- Wizytacja^ - odpowiada Eli, mrugając do niej porozumiewawczo. - Jay Doherty przyjechał do miasta,

żeby załatwić kilka ważnych spraw, i przywiózł ją ze sobą. Poprosił, żebym zajął się nią przez kilka godzin, więc pomyślałem, że złożymy ci wizytę.

Connie uśmiecha się na wzmiankę o panu Doherty. Jej dziadkowie zmarli, gdy była małą dziewczynką, i być może również dlatego jej matka tak ciężko przeżyła śmierć męża. W ogóle ich nie pamięta, ale gdyby to od niej zależało, chciałyby mieć dziadka podobnego właśnie do Jaya Doherty.

- Nie masz pacjentów? - pyta, prostując się. Serena z radością tuli się do jej nóg. Connie drapie ją pod brodą.

- Mam godzinę na lunch. Jeść mi wolno - odpowiada Eli. - Ale dlaczego herbaciarnia jest zamknięta?

- To tylko tygodniowa przerwa - mówi wesoło Madeline. - Robimy remanent. - Wymienia uśmiech z Connie. Obie pracują nad albumami, odpoczywają i cieszą się spokojnymi dniami w swoim towarzystwie. Nareszcie mają okazję, by porozmawiać o dalszym prowadzeniu herbaciarni i wytyczyć sobie cele na przyszły rok. Connie wciąż namawia Madeline na internetową sprzedaż herbaty. Dzięki dodatkowemu źródłu dochodów nie musiałyby żyć pod ciągłą presją związaną z utrzymaniem stałej liczby klientów. Mają teraz czas, by wszystko spokojnie omówić, i uważają, że częstsze przerwy w prowadzeniu lokalu wyjdą im na dobre. Praca w herbaciarni jest ukochanym zajęciem Madeline, ale jeśli wiąże się to z harówką ponad siły, cała przyjemność znika.

Eli jest rozczarowany.

- Jak zwykle mam pecha. Kiedy w końcu postanowiłem zjeść coś innego niż kanapka...

- My też musimy jeść - mówi szybko Connie. - I trzeba jeszcze nakarmić tę dziewczynkę, prawda, Sereno? Czeka na ciebie pyszna zielona sałata! - Siada na najniższym stopniu schodów, obejmuje kozę i mocno ją przytula.

- W porządku - oświadcza Eli. - W takim razie zjem to co ona.

Connie i Madeline patrzą na niego niebotycznie zdumione. Eli robi się czerwony jak burak.

- Miałem na myśli sałatę - mówi.

- Och, chyba dzwoni telefon! - wykrzykuje nagle Madeline i wybiega z pokoju, choć Connie niczego nie słyszała.

- Dzięki, że ją tu przyprowadziłeś - mówi dziewczyna. Korzystając z nieobecności Madeline, wypuszcza z ręki smycz, pozwala Serenie swobodnie spacerować po salonie i węszyć.

- Chyba prosisz się o kłopoty - mówi Eli, podchodząc do dwuskrzydłowych drzwi prowadzących do holu. - Ona traktuje ten dom jak jeden wielki plac zabaw. Kozy lubią wszędzie wtykać nos.

- Serena to grzeczna dziewczynka - odpowiada lojalnie Connie. - Zawsze mnie słucha.

Eli kiwa głową, z wysiłkiem zamykając rozsuwane drzwi.

- Ktoś powinien naoliwić te prowadnice - mówi.

- Ten ktoś przyjął to do wiadomości i nie omieszka się tym zająć. - Connie uśmiecha się szeroko.

- Mieszkacie tylko we dwie? - pyta Eli. W końcu udaje mu się zamknąć drzwi. Zadowolony, że Serena już mu się nie wymknie, siada ciężko na wyściełanym wiktoriańskim fotelu.

Serena z ciekawością przygląda się schodom. Connie potrząsa głową.

- Nawet o tym nie myśl! - mówi, po czym odwraca się do chłopaka. - Tak, ale odwiedza nas mnóstwo przyjaciół. - Podoba jej się wydźwięk tych słów.

- A chłopak, narzeczony, mąż? Ktoś, kto mógłby wam pomagać? Którejś, hm, z was?

Connie decyduje się na szczerość.

- Chcesz się umówić ze mną czy z Madeline? Serena podchodzi do weterynarza, obwąchuje go.

- Z tobą - odpowiada chłopak. Uszy robią mu się całkiem czerwone.

- To wspaniale. Ale czy na pewno chcesz spotykać się z dziewczyną, która przyjaźni się z kozami?

- Chyba zapominasz, że jestem weterynarzem.

- Słusznie. - Connie ratuje plik nowych wizytówek przed żarłocznością Sereny. Eli odbiera je od niej i kładzie na stole. Uśmiechają się do siebie szeroko. Connie czuje motylki w brzuchu; ogarnia ją nagła nieśmiałość.

- A więc chyba jesteśmy umówieni.

- Mam nadzieję.

Serena wyraźnie się niecierpliwi. Connie wstaje.

- Znam to zachowanie. Trzeba wyjść z nią na zewnątrz, w przeciwnym razie będę musiała szorować dywan.

Eli również podnosi się z fotela.

- Pójdę z tobą. - Podchodzi do drzwi, otwiera je i przytrzymuje.

Serena wychodzi pierwsza. Connie mogłaby przysiąc, że koza porozumiewawczo do niej mrugnęła.

Frances robi przegląd kawałków materiału, których jeszcze nie doszyła do kołdry Stu Dobrych Życzeń dla Mei Ling. Chciałaby skończyć ją przed wyjazdem, ale jeśli nie zdąży, nie będzie to koniec świata. Będąc świadkiem pandemonium, jakie się rozpętało, gdy Peter Linde przyznał się do kradzieży kozy, uświadomiła sobie, że pragnie dla swojej rodziny przede wszystkim jednego: być razem i uczyć się, jak wzajemnie sobie pomagać.

Widziała, jak Sandra wpatruje się w Petera z niedowierzaniem, a potem ze złością. Jamie, jego brat, był wściekły, a Hannah przerażona, gdyż Connie jest jej przyjaciółką. Frances na chwilę wstrzymała oddech. Bała się o Petera, a jednocześnie miała wielką ochotę własnoręcznie wytargać go za uszy.

Sandra zadzwoniła do męża i oboje ustalili, że należy udać się na policję. Przyglądając się, jak rodzina Linde wsiada do samochodu - z ponurymi minami, ale w komplecie - Frances uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy niewiele obchodzi ją prezenty, jakie kupiła dla Mei Ling, ani to, czy Nick się zgodzi, żeby uszyła mu kostium na Halloween. Najważniejsze jest bowiem to, by byli razem jako rodzina, na dobre i na złe.

Wróciła do domu uspokojona, z głową pełną nowych pomysłów. Wystarczyło przestawić kilka mebli

oraz pozbyć się rzeczy, których już od dawna nie potrzebowali, i nagle okazało się, że dla nikogo nie brakuje miejsca.

Gdy układa obok siebie kwadratowe kawałki materiału, zastanawiając się, jak je zaaranżować, rozlega się dzwonek. Frances otwiera drzwi. Na wycieracze stoi Bettie Shelton.

- Mam tylko kilka minut - oznajmia Bettie. - Moja niania czeka w samochodzie. - Odwraca się i macha do Isabel Kidd.

- Nie chcesz wejść? - pyta Frances. Bettie potrząsa głową.

- Składam krótkie wizyty wszystkim członkiniom klubu, by je poinformować, że dobrze się czuję. Miewam, rzecz jasna, gorsze dni, ale wciąż jestem sobą i mogę pomagać wam przy waszych projektach.

- Dziękuję - mówi wzruszona Frances. - Chyba do końca życia będę uzależniona od scrapbookingu. Zdążyłam wykonać kilka albumów dla synów, a jeden wysłałam pocztą Mei Ling do Chin. Chciałabym, żeby już teraz zaczęła gromadzić związane z nami wspomnienia. Fakt, że ma zdjęcia naszej rodziny i naszego domu w Avalon - swojej rodziny, swojego domu - jest dla mnie dużym pocieszeniem.

- Tak. Spotkało ją wielkie szczęście.

- To my mamy szczęście - odpowiada szczerze Frances.

Bettie wciąż stoi na werandzie. Najwyraźniej nie spieszy się jej do odejścia.

- Październik to jeden z moich ulubionych miesięcy

- zwierza się. - Uwielbiam jego zapach, wiesz? Koniec jesieni, zbliża się zima. Spadają liście, wesoło trzaska ogień. Co oczywiste, nie spodziewałam się, że mój dom zmieni się w jedno wielkie ognisko. Miałam na myśli ogień w kominku, ale cóż mogę na to poradzić.

- Bardzo mi przykro z tego powodu, Bettie - mówi cicho Frances.

- Wszystko przepadło - ciągnie starsza pani ze zdziwioną miną, jakby zdawała relację z cudzego nieszczęścia. - Moje życie dosłownie poszło z dymem... z wyjątkiem kilku rzeczy, które trzymałam w skrytce bankowej. Całkiem o nich zapomniałam. Dyrektor banku kazał otworzyć ją za pomocą wiertarki i okazuje się, że byłam sprytniejsza, niż przypuszczałam. Znalazłam tam kopie moich najważniejszych dokumentów oraz kilka istotnych pamiątek. - Mruga szybko powiekami, gdyż wyraźnie wilgotnieją jej oczy.

Frances kiwa głową, powtarzając sobie w myślach, że musi porozmawiać o tym z Reedem. Nie mają skrytki bankowej, ale dochodzi teraz do wniosku, że warto ją założyć.

Bettie wyjmuje z kieszeni niewielki kwadrat różowego flauszu.

- Chcę, żebyś dodała to do kołdry dla Mei Ling. To kawałek dziecięcego kocyka, który mam od bardzo dawna. Jest dla mnie czymś wyjątkowym. Będę szczęśliwa, jeśli trafi do małej dziewczynki, która znalazła kochającą rodzinę.

Frances bierze od niej gruby, miękki materiał i przyciska go do pęliczka.

- Jest piękny. Dziękuję.

Bettie nie odpowiada od razu, mrużąc oczy, jakby oślepiało ją słońce.
- Muszę iść - mówi w końcu. - Odwiedzam wszystkie panie po kolei i chcę skończyć przed kolacją.

Żegnają się i Bettie wsiada do czekającego na nią samochodu.

Frances zamyka drzwi, przyciskając do piersi różowy flausz. Wyobraża sobie, jak Mei Ling przesuwając dłoń po rozmaitych kawałkach materiału, z których będzie składać się kołdra, i jak przez dłuższą chwilę głaszcze jasny kwadrat od Bettie. Wyobraża też sobie dziewczynkę śpiącą w nocy pod swoją nową kołdrą - symbolicznym podarunkiem od przyjaciół.

- Mamo, pobaw się ze mną. - Podchodzi do niej Brady, ściskając w jednej ręce plastikowego pilota, a w drugiej plastikową stewardesę.

- Nie teraz. - Frances pragnie wrócić do szycia kołdry dla Mei Ling

- Teraz! - marudzi Brady.

Jeszcze się nie oswoiła z sytuacją, że są aż do obiadu w domu tylko we dwoje. W najbliższym czasie wszystko ulegnie jednak zmianie. Frances niechętnie odkłada różowy kwadrat i pozwala Brady'emu zaciągnąć się do holu.

- Patrz! - Brady pokazuje palcem domek dla lalek w pokoju Mei Ling. Przyniósł tam wszystkie swoje samochodziki, wozy strażackie, pociągi i ludziki, drewniane drzewa i zwierzątka. Wygląda na to, że wysypał przed domkiem całą zawartość swojej skrzynki z zabawkami.

Frances klęka, żeby posprzątać ten bałagan.

- To pokój Mei Ling. Możesz bawić się w swoim

- strofuje synka.

- Tutaj! - nalega Brady, klepiąc dywan z motywem gry planszowej.

Wkłada pilota, a następnie stewardesę do salonu domku dla lalek. Cały domek pełen jest ludzików i zwierzątek.

- Nie... - zaczyna Frances, chcąc zrobić porządek, gdy nagle uświadamia sobie, że Brady wykorzystuje domek do zabawy, aranżując w nim rozmaite sceny. Ludziki oglądają telewizję, inne siedzą za stołem w jadalni. Trzy kucyki wyglądają z okna na poddaszu. Strażak leży w największym z łóżek, a przed lustrem w łazience stoi astronauta. Ludziki lego bawią się przed domkiem małą gumową piłką, a żyrafa stoi obok dziewczynki z balonem.

- Och, Brady, to jest świetne! - Frances odgarnia na bok część zabawek i siada na dywanie. W niewielkim dzieciennym pokoiku stoi stewardesa. W kołysce leży panda. - Czy wiesz, że pandy pochodzą z Chin?

- pyta Frances. - Twoja panda w kołysce przypomina mi Mei Ling.

Chłopczyk przestaje się bawić i patrzy na kołyskę, po czym marszczy brwi.

- Nie, mamó - odpowiada w końcu, potrząsając głową.

- Co: nie?

- Mei Ling nie jest pandą. Jest dziewczynką!

- Masz rację. W drzwiach stają Nick i Noah.

- Wróciliśmy - oznajmia Nick, rzucając plecak na ziemię. - Możemy coś zjeść? Hej, co robicie?

Frances uśmiecha się radośnie.

- Wasz brat bawi się domkiem dla lalek.

Brady ustawia przed domkiem szereg samochodów.

- Myjnia samochodowa! - mówi.

Noah siada obok niego i bierze do ręki kilka samolotów.

- }e też umyj - proponuje.

- Dobra!

Nick zagląda do wnętrza domku.

- Niezłe, Brady.

Brady wskazuje palcem dziecienny pokój.

- To panda - mówi. - Z Chin. Jak Mei Ling. Tylko ona nie jest pandą. Jest dziewczynką.

- I naszą siostrą - dodaje Nick. Sięga po leżące z boku zabawki i dokłada je do domku, po czym zaczyna ustawiać od nowa drzewa i żywopłot.

- Siostrą - potakuje Noah, trzymając w ręce helikopter i udając, że zabawka właśnie ląduje przed domkiem.

- Siostrą - powtarza Brady i udaje, że myje samochody. - Szszsz!

Matka patrzy na bawiących się razem chłopców. Nowe słowo, które już wkrótce zaczną powtarzać każdego dnia, wydaje jej się nagle mało istotnym drobiazgiem. Może miały na to wpływ wydarzenia ostatnich miesięcy. Fakt, iż Brady uznał Mei Ling za swoją siostrę, to, czy będą w stanie sprostać czekającym ich wyzwaniom, nawet nadzieja, że los oszczędzi im większych wstrząsów... wszystko nagle traci dla niej znaczenie.

Myśląc racjonalnie, wie, że ostatnie miesiące nie były dla niej dobre - stała się o wiele bardziej nerwowa i pełna wątpliwości. Ale serce mówi jej coś innego.

Frances czuje to samo napięcie co wtedy, gdy oczekiwała narodzin swoich dzieci. Poziom adrenaliny wzrasta wraz ze zbliżającym się terminem porodu. Tym właśnie różni się myślenie o czymś od głębokiej wiedzy na ten temat. A właśnie teraz Frances wie, że jest idealnie - cieszy ją, że siedzi na podłodze w pokoju Mei Ling, a synowie rozmawiają wesoło i bawią się wokół niej. Nie musi o tym myśleć - wie, że czuje się dobrze. Jest dobrze. Jeśli przestanie roztrząsać to w myślach i skupi się na uczuciach, okaże się, że właśnie w tym punkcie chce być. Kropka.

Wie, że jest to moment jak każdy inny, że każda nadchodząca sekunda może go zmienić - jeśli na przykład do Nicka zadzwoni kolega albo jeśli Brady będzie musiał pójść do łazienki. Jest to krótki wycinek czasu, zaledwie jeden z wielu, ale równie szczęśliwych będzie o wiele więcej.

Nie musi tego wszystkiego rozumieć. Nie musi zgadywać, co przyniesie przyszłość, bo to i tak niemożliwe. Musi być tutaj, obecna ciałem i duchem, uważna, żyjąc pełnią życia, jeśli ma takie pragnienie, ale przede wszystkim doceniając to, co ma.

Rozdział 22

Ava, z włosami ukrytymi pod nierównomiernie zafarbowaną bandaną, wyciąga pudło pełne śmieci na podest prowadzący do jej mieszkania. Zdążyła zgromadzić tam już kilka kartonów i worków ze śmieciami, czując, jak z każdym wyrzuconym bibelotem robi się jej coraz lżej na duszy. Dostrzega sąsiadów przyglądających się jej zza postrzępionych firanek i gotowych - gdy tylko wróci do mieszkania - obejrzeć pozostawione przez nią śmieci. Cóż, nie ma nic przeciwko temu.

Brak własnego mieszkania niesie pewne korzyści, na przykład możliwość łatwego i szybkiego pakowania się i przenoszenia z miejsca na miejsce. Kilka ulubionych rzeczy Maxa - to wszystko, czego będą potrzebowali. Gdy już osiądą gdzieś na stałe, będą mogli pozwolić sobie na więcej, ale na razie cały ich dobytek musi się zmieścić do dżipa.

Nie mając pojęcia, co począć, Ava chwyciła się ostatniej deski ratunku. Zadzwoiła do swoich rodziców,

których wcale to nie zdziwiło, ale i nie uradowało. Czuła się upokorzona, miała bowiem nadzieję, że nigdy nie znajdzie się w tego typu sytuacji, ale teraz usiłuje wmówić sobie, że nie jest tak źle. Cieszy się, że Max pozna jej rodziców i resztę rodziny, choć jednocześnie modli się w duchu, by dobrze go traktowali. Wie, że mogą brutalnie atakować ją, a nawet Billa, mogą upokarzać ją przed synkiem, usiłując w ten sposób uświadomić jej, na czym polega „prawdziwe” życie. Ale może będzie inaczej. Może czas, jaki upłynął od ostatniego spotkania, sprawił, że oni również się zmienili.

Zaczyna ostrożnie zdejmować wiszące przy oknie Maxa ozdobne dzwoneczki. Jasne kolory niemal całkiem wyblakły, sznurek jest szary i splątany. Ava usiłuje go rozsypać, ale bezskutecznie - dzwoneczki są brudne, gdyż cały czas wisiały na zewnątrz. W końcu daje za wygraną i szarpie ze złością zabawkę, po czym wrzuca ją do kosza. Pociesza się myślą, że w ich życiu przyjdzie czas na nowe dzwoneczki, ale sama nie wie, czy w ogóle jeszcze w to wierzy.

Kogo chce oszukać? Choć bardzo chciałyby sądzić inaczej, dobrze wie, że ludzie się nie zmieniają. Jej rodzice, doktor Strombauer, Isabel Kidd. Może na tym właśnie polega jej największy problem - cały czas oczekiwała niemożliwego, pragnęła, by los w końcu się odmienił, by ludzie się zmienili. Czy to była jeszcze nadzieja, czy już naiwność? Ani to, ani to, myśli sobie Ava, tylko zwykła głupota.

- Mamo! - woła Max z głębi mieszkania. Wchodzi do kuchni z plastikową dynią w ręce, jakby właśnie

zamierzał poprosić o coś słodkiego z okazji Halloween. - Patrz, co zrobiłem. - Pokazuje jej z dumą swoje dzieło.

Przykleił kilka kapsli przezroczystą taśmą do dyni. Dwa jako oczy, jeden jako nos, pięć jako usta. Usta są dość krzywe, co sprawia, że dyniowa twarz nie śmieje się, lecz wykrzywia w brzydkim grymasie. Taśma odkleja się od plastiku i jedno oko spada na ziemię.

Każdego innego dnia Ava uśmiechnęłaby się na widok wysiłków Maxa, ale teraz chce jej się płakać. Klęka i szybko bierze go w ramiona, żeby nie dostrzegł jej łez. Wie, że jeśli teraz się rozklei, będzie po wszystkim.

- Cześć! - mówi ktoś za jej plecami.

Max reaguje pierwszy. Wyślizguje się z ramion matki.

- Ciocia Isabel!

Ava sztywnieje i ociera oczy wierzchem dłoni. Nie zadaje sobie nawet trudu, by podnieść się z kolan. Słyszy, jak Isabel mówi: „Cześć, mały”, a Max serdecznie się śmieje, i nagle złość bierze w niej górę nad smutkiem.

- Max, wracaj do środka - mówi, odwracając się.

- Ale ja nie chcę - protestuje chłopiec, przysuwając się bliżej do Isabel, co jeszcze bardziej Avę irytuje. Podnosi z ziemi plastikową dynię oraz kapsle, które od niej odpadły, wkłada kapsle do środka zabawki i wrzuca wszystko do dużego worka na śmieci. Max nawet tego nie zauważa, zapatrzony w Isabel. Ava przez krótką chwilę ma ochotę wyjąć dynię spomiędzy odpadków, ale nie robi tego. W tym roku i tak nie zanoszą się na udany Halloween. Jej rodzice nigdy nie należeli

do zwolenników tego święta i zapewne nie pozwolą wnukowi na odrobinę szaleństwa.

- Max - mówi Isabel ożywionym głosem, jakiego Ava nigdy wcześniej u niej nie słyszała. - Muszę porozmawiać z twoją mamą o ważnej sprawie. Możesz na chwileczkę wrócić do mieszkania?

- A obejrzyś potem mój pokój? - pyta chłopiec.

- Może - odpowiada Isabel, nie patrząc na Avę.

- Zostawisz nas, prawda?

Max kiwa głową i niechętnie odchodzi.

- Idź, idź - prosi Ava. - Zaraz tam wrócę. - Zamyka delikatnie drzwi wejściowe i odwraca się do Isabel, zaplatając ramiona na piersi. - Czego chcesz?

- Spokojnie - mówi Isabel. - Nie przyszłam tu, żeby się z tobą bić.

- Nie obchodzi mnie, dlaczego tu przyszłaś. Wygrałaś. Wyjeżdżam stąd. Już nigdy nie będę cię niepokoić. Problem rozwiązany.

- Przestań, nie zachowuj się jak dziecko. Wiem, że nie powinnam była wypowiadać się tak stanowczo o przedszkolu Maxa. Przepraszam.

Ava przygląda się Isabel, chcąc wyczuć jej intencje. Gdy widzi szczerą troskę, kiwa niechętnie głową.

- Oczywiście, że nie powinnaś była tego robić

- mówi.

- Właśnie to powiedziałam. - Isabel odskakuje od poręczy schodów, która niebezpiecznie się kołysze. ' Zalane cementem śruby wyraźnie się poluzowały.

- Zanim cokolwiek powiesz, tak, wiem, że ta poręcz jest niebezpieczna, i tak, wiem, że mój gospodarz

powinien ją naprawić. Jeśli chcesz z nim o tym porozmawiać, jest właśnie nad nami, w mieszkaniu A5.

- Ava odwraca się i zawiązuje worek ze śmieciami.

- Bardzo śmieszne - rzuca Isabel. - Przez chwilę miałam pewność, że spadnę i zabiję się. To dopiero byłaby ironia losu, nie sądzisz?

Pomimo złości Ava czuje, że kąci jej ust unoszą się w uśmiechu.

- A zanim wpadniesz na pomysł, żeby własnoręcznie zepchnąć mnie z tych schodów - ciągnie Isabel

- chcę wytłumaczyć ci, po co tu przyszłam. Mam pewną propozycję dla ciebie i Maxa.

- Propozycję? - Ava patrzy na nią podejrzliwie.

- Propozycję. Nie wiem, czy wiesz, ale wycofałam się ze sprzedaży domu. Nie wyprowadzam się z Avalon. Myślałam, że zamieszka ze mną Bettie, ale Imo-gene i Abe chcą zabrać ją do siebie, a doktor Richard popiera ich pomysł. - Isabel marszczy śmiesznie nos, jakby miała zamiar kichnąć. - Tak czy inaczej okazało się, że dalej będę mieszkać w domu, który jest dla mnie o wiele za duży, więc poszukuję najemców. Współlo-katorów.

Ava wpatruje się w nią ze zdziwieniem. Czy ona mówi serio?

- Chcesz, żebym wynajmowała u ciebie pokój? Mieszkała z tobą? - Jej głos przybiera piskliwy ton.

- W dawnym domu Billa?

Isabel zaczyna sprawiać wrażenie zdenerwowanej.

- Hm, tak. Choć nie myślałam o tym w ten sposób, ale tak.

Ava czuje, że musi usiąść. Otwiera drzwi, wchodzi do mieszkania i nagle przypomina sobie, że sprzedała wszystkie meble. Opiera się o ścianę i powoli zsuwa się w dół, aż w końcu siada na pudle z zabawkami Maxa.

- Czy to żart?

- Wiem, jak to brzmi - mówi Isabel, idąc za nią. - Wiem, że nie mamy ze sobą dobrego kontaktu... jak dotąd. Ale taką mam propozycję. Myślę, że Bill chciałby, żeby Max mieszkał w tym domu. I ty też.

- A ty?

- Cóż, ja także. To w końcu mój dom - mówi rzeczowo Isabel i robi głęboki wydech. - A więc zamieszkamy we trójkę. Jest tam mnóstwo miejsca, więc nie będziemy wchodzić sobie w drogę. Max miałby własny pokój.

Ava śmieje się cierpko.

- My mieszkające razem! - prychna.

- To chyba nie jest najbardziej zwariowany pomysł na świecie - mówi Isabel urażona.

- To z całą pewnością jest najbardziej zwariowany pomysł na świecie - odpowiada Ava z nutą hysterii w głosie. - Co ludzie pomyślą?

Isabel patrzy na nią ze zdziwieniem.

- Dlaczego cię to obchodzi? Osobiście przestałam się już tym przejmować. Myślę, że jedyni ludzie, którzy naprawdę o tym myślą, to ty i ja. I Bill, jeśli weźmiemy go pod uwagę, ale ponieważ nie żyje, ma to tylko symboliczne znaczenie.

Ava smutno potrząsa głową.

- Jak ty to robisz? - pyta cichym głosem. - Jak udaje ci się za nim nie tęsknić?

Isabel wkłada dłonie w kieszenie kurtki.

- Opowiadam kiepskie kawały, żeby o tym zapomnieć. Wściekam się cały czas i szukam ludzi, na których mogę zrzucić winę.

Ava odwraca wzrok.

- Tęsknię za nim. Ale ostatnio czuję się nieco inaczej, sama nie wiem dlaczego. - Spogląda ponownie na Isabel. Na jej twarzy maluje się ból.

- Boję się, że w końcu o nim zapomnę. A wtedy Max nie będzie wiedział nic o swoim ojcu.

- Więc wprowadź się do mnie. - Isabel podchodzi do niej i kuca na podłodze. - Pozwól Maxowi mieszkać tam, gdzie żył jego ojciec. Nie mogę wyzbyć się wrażenia, że powinnam jeszcze przez jakiś czas pomieszkać w tym domu, ale nie sama. Sądziłam, że będzie to Bettie, ale teraz widzę, że to ty. Sama przecież powiedziałaś, że chcesz, by Max mnie poznał.

Ava pociąga nosem.

- Świetnie, powiedz, że to moja wina.

- To był twój pomysł - przypomina jej Isabel z uśmiechem. - Posłuchaj, to nie musi być na zawsze. Pomyśl o swojej obecnej sytuacji. Kiedy będziesz gotowa, przeprowadź się do mnie, chyba że wolałabyś gdzieś indziej.

Ava potrząsa przecząco głową.

- Zamierzałam wrócić do rodziców, którzy mieszkają w Montanie. Ale szczerze mówiąc, jest to ostatni dom, w którym chciałabym się znaleźć.

- A więc wszystko ustalone - oświadcza Isabel. - Zadzwoń do Yvonne, żeby pomogła nam przy

przeprowadzce. - Wyjmuje z kieszeni telefon komórkowy, lecz Ava chwyta ją za ramię.

- Nie będę mogła płacić ci za wynajem. Nie mam żadnych oszczędności, nie mam pracy...

Isabel zamyka z trzaskiem klapkę telefonu.

- Ach tak! Robiąc wczoraj zakupy w Pick and Save, wpadłam przypadkiem na Ornę Frank. Pracuje jako recepcjonistka w gabinecie doktora Tindella, którego asystentka właśnie zamierza zwolnić się z pracy i przenieść się do Barrett, do doktora Marksa. Zapewnia on swoim pracownikom dodatkowe wynagrodzenie, na które doktora Tindella po prostu nie stać.

Ava wstrzymuje oddech. Doskonale pamięta doktora Tindella. Bill często powtarzał, że wolałby współpracować z nim zamiast z Randallem Strombauerem.

- Jak zapewne wiesz, jest to niewielki gabinet, a doktor pracuje już raczej na pół etatu. Za pięć do dziesięciu lat zarówno on, jak i Orna prawdopodobnie przejdą na emeryturę. Kandydatka na jego nową asystentkę musi się z tym liczyć.

Ava kiwa głową. Boi się głośno odezwać, by nie okazało się, że to tylko sen.

- Oznacza to również, że jego nowa pracownica będzie miała sporo wolnego, co pozwoli jej na przykład spędzać więcej czasu z synem. - Isabel nie może opanować uśmiechu. - Albo tworzyć te niezwykle drobiazgi z kapsli od butelek.

Ava pochmurnieje.

-Ale doktor Strombauer... nie wystawi mi

referencji. Doktor Tindell na pewno będzie ich wymagał, nie sądzisz?

- Raczej tak - przyznaje Isabel. - Dlatego też ja napiszę je dla ciebie.

-Ty?!

- Udziały Billa w spółce dentystycznej należały formalnie do nas obojga, przynajmniej na papierze. Jak wiesz, nigdy się tym nie interesowałam, i to był zapewne mój błąd. Tak czy inaczej napiszę, że mam prawo wypowiadać się w tej kwestii, i wystawię ci referencje na podstawie tego, co słyszałam od Billa. Oczywiście mówimy o sprawach czysto zawodowych. Doktor Tindell wie, co wydarzyło się pomiędzy tobą a Billem, ale wie także, że byłaś dobrą asystentką. Myślę, że jeśli poręcę za ciebie właśnie ja, prawdopodobnie otrzymasz tę pracę. Czy przyjąłabyś ją, gdyby rzeczywiście tak się stało?

Ava kiwa szybko głową. W jej oczach lśnią łzy szczęścia. Isabel również wygląda tak, jakby miała się za chwilę rozplakać, ale opanowuje się szybko i wstaje.

- Podsumowując: wprowadzacie się do mnie. Zgoda? - Czeka chwilę, po czym dodaje ze zniecierpliwieniem: - Odpowiedz.

- Tak! Zgoda! - Ava ociera oczy.

- Starasz się o pracę u doktora Tindella z mojego polecenia. Zgoda?

- Zgoda!

- I jeszcze jedno. Max będzie chodził do przedszkola Montessori w Avalon, przynajmniej w te dni, kiedy będziesz w pracy. Zanim zaczniesz porządnie zarabiać,

będę płacić za niego czesne. Potraktuj to jako część Funduszu Stypendialnego Billa Kidda. Posprzeczamy się o to później. Zgoda?

- Zgoda! - Ava wstaje. - Isabel, nie wiem, jak ci dziękować. - Robi krok do przodu i chce uściskać Isabel, gdy nagle dostrzega jej zakłopotanie. - Okay, na serdeczności przyjdzie jeszcze czas.

- Może kiedyś do tego dojdziemy - mruczy Isabel.

- Muszę opowiedzieć o tym Maxowi... Wiesz, dlaczego chciałam, żeby Max cię poznał? Dlaczego czułam, że to ważne?

Isabel potrząsa przecząco głową.

- Sądziłam, że jesteś nieco szalona. A poza tym nie wiem.

- Bo wiedziałam, że pewnego dnia będę musiała mu to wszystko wytłumaczyć. Dlaczego jego ojciec i ja nie mieliśmy ślubu, w jakich okolicznościach się spotkaliśmy. I chociaż Max nigdy nie pozna Billa, miałam nadzieję, że będzie mógł w pewien sposób się do niego zbliżyć. Chciałam, żeby dobrze poznał tych, których kochał jego ojciec. Na przykład ciebie.

Isabel całkowicie odbiera mowę. Otwiera usta, chcąc coś powiedzieć, i natychmiast je zamyka.

Po raz pierwszy od początku ich znajomości widok bezgranicznie zdumionej Isabel sprawia Avie przyjemność.

- Tak, mówię o tobie.

Isabel rumieni się, ale szybko udaje jej się opanować.

- A więc jestem czymś w rodzaju nagrody pocieszenia. - Udaje obrażoną, lecz w tej samej chwili na jej twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

- Z całą pewnością. - Ava wybucha śmiechem. Jest jej tak lekko na duszy, że nie zdziwiłaby się, gdyby zaraz wzbiła się w powietrze.

Yvonne podnosi słuchawkę telefonu, wsłuchuje się w tony wybierania, po czym odkłada ją na widełki. Powtarza to jeszcze dwa lub trzy razy, aż w końcu wystukuje numer zapisany na skrawku papieru, który trzyma w ręce.

Gdyby ktoś inny zamierzał zrobić to co ona, zachowałaby się jak dobra przyjaciółka i poradziła mu, by dał sobie spokój, odłożył słuchawkę i zajął się czymś innym. Dlatego nie zdradziła Isabel, co zamierza zrobić. Nie chce, żeby ktoś ją przekonywał, by dała sobie z tym spokój. Musi się w końcu czegoś dowiedzieć.

Wstrzymuje oddech, słysząc sygnał połączenia. W końcu ktoś podnosi słuchawkę.

- Halo? Chwileczkę, proszę poczekać. - Kobieta po drugiej stronie słuchawki ma młody głos. W tle płacze małe dziecko. Yvonne słyszy, jak kobieta zasłania słuchawkę dłonią i woła: - Annabelle, możesz przez chwilę popilnować brata?! Dziękuję.

Yvonne zapada się głęboko w pluszowy fotel. Powinna się rozłączyć. To fatalny pomysł i wie, że później będzie tego żałować, ale nie może się zmusić do odłożenia słuchawki. Nigdy nie pozwalała sobie na zastanawianie się, jak wygląda jego życie, czy jest z jakąś kobietą. Nie jest gotowa na to, co zaraz nastąpi, ale wciąż nie jest w stanie się rozłączyć.

- Przepraszam - mówi kobieta. - Halo?

Yvonne odchrząkuje.

- Chciałabym rozmawiać z Samem Kenneyem. Czy zastałam go w domu?

- Nie, przykro mi. Chciałaby pani zostawić wiadomość? - W słuchawce rozlega się stłumiony trzask; Yvonne się domyśla, że kobieta żuje gumę.

- Nie, to nic pilnego - mówi szybko. - A kiedy wróci?

- Za około trzy godziny. Wyszli na kolację z panią Kenney. Chwileczkę... Annabelle, pilnujesz Harry'ego? Dlaczego nie?

Yvonne uświadamia sobie, że rozmawia z opiekunką. Ma ochotę roześmiać się z ulgą. To mały triumf, ostateczne potwierdzenie. Wiadomo już, że istnieje pani Kenney, z którą właśnie wyszedł do restauracji. I są dzieci.

- A kto dzwoni? - pyta opiekunka.

- Hm, Federalne Biuro do spraw Spisu Ludności -kłamie Yvonne. - Zadzwoń później, do usłyszenia.

Odkłada szybko słuchawkę. Policzki jej płoną.

Co sobie wyobrażała, wtrącając się w taki sposób w życie Sama? Potrząsa głową i spogląda na kawałek papieru z numerem jego telefonu. Bez trudu dowiedziała się, że on mieszka w Bangor, w stanie Maine, podejrzewa bowiem, że na świecie jest tylko jeden Samuel Ąnami Kenney. Jego drugie imię było skutkiem pomyłki urzędniczki - nie będąc w stanie osiągnąć w tej kwestii porozumienia, jego rodzice poprosili o wpisanie w formularzu skrótu NMI, czyli „brak drugiego imienia”. Urzędniczka uznała to za imię i wpisała „Ąnami”, oni zaś nigdy nie zadali sobie trudu, by to zmienić.

Yvonne uśmiecha się na to wspomnienie. Wystarczy. Po raz ostatni patrzy na skrawek papieru, po czym drze go na drobne kawałki. Idzie do łazienki, wrzuca je do toalety i spuszcza wodę. Gdy przygląda się, jak nikną jej z oczu, w pokoju dzwoni telefon. Po chwili włącza się automatyczna sekretarka i Yvonne słyszy Isabel, która przekazuje jej dobrą wiadomość: Ava i Max chcą z nią zamieszkać i czy Yvonne mogłaby przyjechać do nich swoją furgonetką i pomóc w przeprowadzce? Na przykład już teraz?

Yvonne natychmiast sięga po kluczyki, zadowolona, że przestanie rozmyślać o Samie.

- To bardzo dziwne, prawda? - powtarza Ava, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego, gdy przenoszą jej rzeczy do furgonetki, a potem do domu Isabel.

- Im częściej tak mówisz, tym bardziej dziwne się to staje - zauważa w pewnym momencie Isabel. - Przestań wreszcie!

W tym momencie Yvonne wie już, że są ze sobą zaprzyjaźnione.

Przeprowadzka dobiegła końca. Isabel, Ava i Max jeszcze raz jadą do mieszkania Avy, żeby doprowadzić je do idealnego stanu i odebrać kaucję od właściciela. Yvonne chce już tylko wziąć gorący prysznic i położyć się do łóżka.

Wchodząc do pokoju, widzi migającą diodę automatycznej sekretarki. Na wyświetlaczu piętnaście wiadomości. To chyba żaden z jej klientów, gdyż podaje im zawsze numer telefonu komórkowego, choć z drugiej strony można ją łatwo znaleźć w książce telefonicznej.

Chce włączyć sekretarkę, by odsłuchać wiadomości, gdy nagle telefon zaczyna dzwonić. Yvonne podnosi słuchawkę.

-Halo?

- Yvonne? Świat nagle staje w miejscu.

- Sam?

- To ty - mówi Sam. Yvonne czuje nagły przyпіływ radości. Jego głos jest spokojny i ciepły, z nutą rozbawienia. - Yvonne Täte. Pracujesz teraz dla Federalnego Biura do spraw Spisu Ludności?

Nie ma sensu niczego udawać. -Wiem, przepraszam. Nie chciałam... nieważne. Skąd wiedziałeś, że to ja? - pyta Yvonne.

- Identyfikator dzwoniącego. Kiedy zobaczyłem, że to ty, o mało co nie dostałem zawału. Myślałem, że to pomyłka, ale to byłaś ty. Jesteś. Nie mogę w to uwierzyć, E.

E, jej przezwisko. Yvonne zamyka oczy.

- Nie chciałam dzwonić tak z zaskoczenia...

- Ale zadzwoniłaś. Dlaczego?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? Dzwonisz do mnie po tylu latach, kiedy już wkraczam w wiek średni, i nie wiesz dlaczego? Czy mam teraz udawać, że nie było tego telefonu?

- W jego głosie brzmi smutek i rozczarowanie.

- Przepraszam! - wykrzykuje Yvonne. - Chciałam tylko...

- Spokojnie, Yvonne - mówi Sam ze śmiechem.

- Żartowałem. Jestem tylko zdenerwowany, a wiesz,

że w takich momentach zachowuję się głupio. Pod tym względem się nie zmieniłem. - Wzdycha, po czym dodaje cicho: - Świetnie, że się odezwałaś. Głos masz dokładnie taki sam.

Yvonne ma wrażenie, że jej klatka piersiowa się zapada. Powinna natychmiast zakończyć tę rozmowę, jednak nie jest w stanie się rozłączyć. To ponad jej siły. Pragnie wyciągnąć rękę i dotknąć go, upewnić się, że to rzeczywiście on, że naprawdę z nim rozmawia.

- Co u ciebie słychać? - pyta. - Czym się zajmujesz?

- Masz na myśli moją pracę? - Sam chichocze. - Cóż, na pewno nie umywa się prestizem do twojej. Jestem strażnikiem leśnym. Pracuję w Parku Narodowym Acadia.

- Mężczyzna w mundurze. - Yvonne się uśmiecha.

- Tak jest. Organizuję wycieczki, spacery i spływy łodzią, prowadzę prelekcje, pokazuję dzieciom sokoły wędrowne i inne ptaki drapieżne. Traktuję moją pracę bardzo poważnie.

Chociaż Yvonne nie widziała Sama już dziesięć lat, wyobraża go sobie, jak stoi oparty o ścianę, z założonymi na piersi ramionami, przytrzymując policzkiem słuchawkę telefonu.

- Plantację zostawiłeś daleko za sobą - mówi. Sam śmieje się głośno.

- Sześć godzin jazdy. Nie odjechałem daleko od ciebie.

- Wystarczająco daleko - odpowiada Yvonne. Na dłuższą chwilę zapada krępująca cisza.

- Mogę się z tobą zobaczyć? - pyta Sam. - Nie masz

nic przeciwko temu? Przyjadę, gdziekolwiek będziesz. Czy to numer kierunkowy stanu Illinois?

- Tak, ale nie wiem, czy to dobry pomysł - mówi Yvonne ostrożnie. - Chciałam tylko wiedzieć, czy wszystko u ciebie w porządku.

- W porządku. A nawet lepiej.

- I masz teraz Annabelle i Harry'ego - mówi Yvonne.

- Jeszcze przed chwilą tak. Teraz gdzieś mi się schowali, choć zbliża się już pora spania.

- Harry - powtarza Yvonne.

- Tak, nosi imię po moim tacie. Ojciec zmarł kilka lat temu. Mama ciężko to przeżyła. Wciąż za nim tęskni.

Yvonne czuje tęsknotę za rodziną Sama. Chwilami czuła się bardziej związana emocjonalnie z nimi niż z własnymi rodzicami.

- Tak mi przykro. ; - Dzięki, E.

Po obu stronach słuchawki zapada cisza.

- A co słyhać u twojej żony? - pyta Yvonne, chcąc w końcu poruszyć najważniejszą kwestię. - Jak się miewa?

- U mojej żony? - W głosie Sama brzmi zdziwienie.

- U twojej żony - powtarza Yvonne, nienawidząc tych słów, a jednocześnie pragnąc dowiedzieć się prawdy. - Jaka ona jest?

Sam milczy długo, wyraźnie zaskoczony.

- Nie jestem żonaty.

Nie jest żonaty? Yvonne zastanawia się przez chwilę.

- Ale dzieci...

- To mój siostrzeniec i siostrzenica. Dzieci Rachel. Przyjechała do mnie z nimi i z naszą mamą, żeby trochę sobie odpocząć.

- Rachel. - Starsza siostra Sama. Pani Kenney, matka Sama. - Słyszałam, że się ożeniłeś - mówi Yvonne.

- Ja?! - W słuchawce rozlega się drwiący śmiech. - Nie. W tej kwestii chyba nie można na mnie liczyć. Nie nadaję się na męża. Jestem pewien, że się ze mną zgodzisz.

- Nic nie rozumiem - mówi Yvonne, czując mętlik w głowie. - Claire powiedziała mi, że się ożeniłeś. Kilka lat temu.

- A ty jej uwierzyłaś?

-Cóż, ja... - Yvonne nagle robi się słabo. Musi usiąść. Siostra ją okłamała. Cóż w tym zaskakującego? Jej obie siostry to typowe panny Täte, klony rodziców. Tylko ona, Yvonne, zawsze była inna.

- Szkoda, że tak się to ułożyło - mówi Sam łamiącym się głosem. - Nie wyjeżdżałbym w taki sposób, gdyby nie wydawało się to wówczas jedynym sensownym rozwiązaniem.

- Nie musisz mnie przeproszać. Wiem, dlaczego to zrobiłeś, i nie mam do ciebie o nic pretensji.

Zapada długa cisza.

- O czym teraz mówisz?

- O tym, że wzięłeś od nich pieniądze. Twoja rodzina... twój tato... Dla nich była to szansa, żeby wyrwać się z Wareham, żeby Lizzie poszła do college'u... Chcę powiedzieć, że cię rozumiem. To była trudna decyzja, ale wybrałeś dobrze. Twoja rodzina cię potrzebowała.

- Przepraszam, ale do diaska, o co ci chodzi?

- W głosie Sama słycać napięcie.

Yvonne marszczy brwi zdeorientowana.

- Wiem, że moi rodzice zaoferowali ci dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów za odwołanie ślubu. Idealnie wykorzystali sytuację. Wiedzieli, że twój tato choruje na raka i że wszyscy bardzo martwicie się o Rachel, która zadaje się z nieodpowiednim chłopakiem. Lizzie była taka zdolna, a twoja biedna mama...

- Milknie na chwilę. - Jak mógłbyś im odmówić?

Choć nie może go zobaczyć, czuje, że coś się w nim burzy, że zaraz nastąpi wybuch.

- Tak, tato chorował na raka, a Rachel zadawała się z tym nieudacznikiem Tonym. Zgadza się, że Lizzie miała przed sobą całą przyszłość, zresztą wciąż tak jest. Niedawno skończyła studia na Boston University, będzie pracownikiem socjalnym. I to prawda, że moja mama była wykończona nerwowo, przygnębiona i przestraszona. Masz całkowitą rację, E. Ale mylisz się w kwestii pieniędzy. Twój rodzice niczego mi nie proponowali, a gdyby nawet tak było, niczego bym od nich nie wziął. - Jego głos robi się ostry i stanowczy.

- Naprawdę tak myślałaś?

- Ale... - Yvonne mocno ścisza słuchawkę. - Twój list. Ten, w którym napisałaś: „Przepraszam, E. Muszę to zrobić. Bądź szczęśliwa”.

- Chciałem przez to powiedzieć: „Przykro mi, że wciąż kochasz tego gnojka Nathana. Nie mogę zgodzić się na ślub zę^ świadomością, że cię unieszczęśliwiam”. Zawsze chciałem, żebyś była szczęśliwa.

Oboje milczą przez dłuższą chwilę.

- Chcesz powiedzieć, że już z nim nie jesteś? - pyta Sam w tym samym momencie, gdy Yvonne mówi:

- A więc nigdy nie było żadnych pieniędzy?

- Odpowiem pierwszy. Nigdy nie było żadnych pieniędzy. Żadnych rozmów na ten temat, żadnych propozycji. Nigdy. Ale co z Nathanem? Jesteście wciąż razem?

- Z jakim Nathanem? - pyta zdumiona Yvonne, aż w końcu przypomina sobie, o kim mowa. - Z Nathanem Cameronem? Dlaczego miałabym z nim być? Jaki to ma z nim związek?

- E, przez wszystkie lata naszej znajomości Nathan był jedynym chłopakiem, z którym chodziłaś dłużej niż tydzień. On studiował na Harvardzie, ty w Smith... - Sam wzdycha.

Yvonne żałuje, że nie może złapać go za ramiona i porządnie nim potrząsnąć. Zawsze był zazdrosny o Nathana, choć powtarzała mu co chwila, że to nic poważnego.

- Spotykaliśmy się przez dwa miesiące, Sam. Miałam wtedy jesienną sesję egzaminacyjną i byłam zbyt zajęta, żeby zerwać z nim wcześniej. Dobrze to wiesz.

- Tak twierdziłaś, ale w głębi serca zawsze miałem co do tego wątpliwości. Oświadczyłaś mi się zaledwie kilka dni po zerwaniu z nim. Nie zastanawiałem się wtedy nad tym. Ślub z najlepszą przyjaciółką wydawał mi się czymś wspaniałym. Ale kiedy zobaczyłem go tamtego wieczoru na próbnym przyjęciu weselnym, jak gapił się na ciebie, poczułem wściekłość. Patrzył

na mnie z góry, jakby wiedział coś, o czym ja nie miałem pojęcia.

Yvonne wzdycha.

- On na każdego patrzył w taki sposób. - Między innymi dlatego nigdy nie traktowała go poważnie. Zaprosiła go na ślub wraz z rodzicami, gdyż byli bliskimi przyjaciółmi jej rodziny.

- Kiedy twoja matka poprosiła mnie o spotkanie, myślałem, że chce przełamać lody, że twoi rodzice pragną zakopać przed ślubem topór wojenny. Przeczucie mówiło mi, że pakuję się w zasadzkę, ale zgubiła mnie pewność siebie. Następnego dnia miał odbyć się nasz ślub. Co się mogło stać?

Na Yvonne występuje zimny pot.

- Co zrobili?

- Nic. Nie musieli. Twój ojciec siedział ze znudzoną miną w fotelu, popijając whisky, a twoja matka oznajmiła mi bez ogródek, że oświadczyłaś mi się tylko dlatego, iż Nathan złamał ci serce. Ze zrobiłaś to spontanicznie, chcąc o nim zapomnieć. Przyznam, że dałem się złapać na jej haczyk. Przez chwilę myślałem, że to ja prawdziwie zakochałem się w tobie, a ty czujesz coś do mnie wyłącznie przez wzgląd na naszą przyjaźń, i że twoja matka ma rację, twierdząc, iż Nathan cię zranił, a ty usiłujesz zapomnieć o nim i dlatego wychodzisz za mnie za mąż. Ale najbardziej poruszyło mnie coś innego. Twoja matka usłyszała podobno podczas próbnego przyjęcia weselnego, jak z płaczem zwracasz się do Nathana. Mówiłaś, że wcale nie chcesz za mnie wychodzić, tylko nie wiesz, jak odwołać ślub, a on był

przerażony, że cię straci i że już nigdy nie będziesz szczęśliwa. Nie chciałem tego, E. Zawsze czułem się dobrze w roli rezerwowego, ale nie chciałem, żebyś przeze mnie zmarnowała sobie życie.

- Nigdy nie byłeś żadnym rezerwowym. Kochałam cię.

- A ja kochałem ciebie. Dlatego nie chciałem, żebyś straciła szansę na prawdziwą miłość. Wtedy twoja matka podsunęła mi papier listowy i powiedziała, że mam szansę wszystko załatwić. Oświadczyła, że jeśli pozostanę w Wareham, będzie to dla ciebie zbyt trudne, więc złożyła mi propozycję - ożenić się z tobą albo wyjechać. Napisałem do ciebie krótki list i opuściłem Wareham. Nie mogłem nawet wyjaśnić tego moim rodzicom. Powiedziałem im tylko, że muszę wyjechać i że ślub został odwołany.

Yvonne zamyka oczy, usiłując złapać oddech.

- Wyjechałem jeszcze tego samego wieczoru - ciągnie Sam. - Udałem się do Bostonu, do przyjaciela, żeby zastanowić się, co robić dalej. Dowiedziałem się od rodziców, że ty też wyjechałaś. Pomyślałem wtedy, że twoi rodzice mieli rację, że przebywałaś w Wareham wyłącznie ze względu na mnie. Przestałem myśleć o przeszłości. Zbyt wiele mnie to kosztowało.

Yvonne wie, że sytuacja ta jest dla nich obojga czymś całkowicie nieoczekiwanym. Nie jest pewna, jak potoczy się ich rozmowa.

- Wyjechałam z samego rana - mówi. - Nie mogłam tego znieść.

- Raz usiłowałem cię odszukać - przyznaje Sam.

- Tuż po śmierci ojca. Byłem pewny, że znajdę cię w Nowym Jorku albo San Francisco. Nathana namierzyłem bez trudu - dyrektor banku, druga żona, ale o tobie nie wspomniał ani słowem. Odnosiłem wrażenie, że rozplynęłaś się w powietrzu. Mama powiedziała mi, że ani razu nie widziała cię w Wareham, a twoja rodzina milczała na twój temat. Jedyna Yvonne Täte, jaką udało mi się znaleźć, mieszkała w Wichita, w stanie Kansas, i pracowała jako hydraulik.

Yvonne się uśmiecha.

- To byłem ja. Jestem hydraulikiem, ale teraz mieszkam w Avalon.

Sam milczy długo, po czym wybucha śmiechem.

- A więc jednak trafiłem na właściwą dziewczynę. I znów pozwoliłem jej się wymknąć. Czy jest na świecie większy głupiec ode mnie?

Śmieją się oboje, ale Sam pierwszy poważnieje.

- Muszę o coś zapytać, E. Wyszłaś za mąż?

- Nie. - Głos więźnie Yvonne w gardle.

- Masz narzeczonego?

-Nie.

- Chłopaka? Chłopaków?

- Nie. Nikogo, Sam. Ale w ubiegłym miesiącu spotykałam się z pewnym palantem. Czy to się liczy?

- Już się z nim nie widzisz?

- Nie słyszałeś, że powiedziałam „palant”?

- Słyszałem. Chciałem się tylko upewnić. Które lotnisko leży najbliżej... Avalon? - Sam stuka w klawiaturę.

- Rockford, ale chyba lepiej wybrać O'Hare. Więcej lotów.

- Nie, to nie będzie konieczne... Rockford jest bliżej i mogę przylecieć już jutro rano. Będę w Avalon koło południa.

- Jutro? - pyta z niedowierzaniem Yvonne. - W południe?

Sam się waha.

- Przepraszam, trochę mnie poniosło... Za szybko? Chcesz, żebyśmy przez jakiś czas do siebie dzwonili albo...

- Nie! - Yvonne śmieje się i płacze na przemian. - Chcę cię zobaczyć, Sam. Ale najpierw muszę ci coś powiedzieć. Zerwałam z Nathanem, bo uświadomiłam sobie, że chcę być z tobą. Rodzice postawili mi ultimatum, twierdząc, że nie możemy być przyjaciółmi, ale ja zrozumiałam, że nie chcę się z tobą przyjaźnić. Pragnęłam, byśmy byli razem. Oświadczyłam się całkiem spontanicznie, ale jednocześnie wiedziałam, że postępuję słusznie. Chciałam wyjść za swojego najlepszego przyjaciela.

- Kocham cię, E. Zawsze tak było i będzie. Więc ustalone, przylatuję jutro.

Sam. Jej Sam. Ich spotkanie twarzą w twarz może okazać się całkowicie nieudane, a może pozostaną po prostu dobrymi przyjaciółmi, ale przynajmniej będą mieli w końcu okazję się o tym przekonać.

- Powiedz dokładnie, o której przylatujesz. Przyjadę po ciebie na lotnisko. - Yvonne chwyta ołówek i kawałek papieru. - Którymi liniami?

- Żadnymi. Sam będę pilotował samolot. Muszę sporządzić plan lotu, ale wygląda na to, że przylecę

około jedenastej rano na Emery Air FBO. Skręcając na Chicago Rockford International, powinnaś zauważyć znaki. Musisz podjechać w okolice lądowiska dla prywatnych odrzutowców. Razem z czterema strażnikami jestem współwłaścicielem cessny 510.

Yvonne uśmiecha się szeroko.

- Masz własny odrzutowiec?

- Mówię, że jestem współwłaścicielem. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, wygrałem go w pokera. Pracuję na państwowej posadzie, E. Zarabiam przyzwoicie, ale nie są to żadne kokosy.

- A ja, gdybyś zapomniał, jestem hydraulikiem. Też nieźle zarabiam, ale na razie nie wybieram się na wycieczkę do Europy.

- Jutro, E. Nie mogę w to uwierzyć. Będę pilotem, który nie może się już doczekać, kiedy cię zobaczy.

Yvonne uśmiecha się i przyciska mocniej telefon do ucha.

- A ja będę dziewczyną czekającą na ciebie na lotnisku.

Rozdział 23

Puk. puk!

Jest sobotni rano, za piętnaście ósma. Isabel poprawia włosy i biegnie do frontowych drzwi, owijając się ciasno szlafrokiem. W holu wpada na nią Max, wciąż jeszcze w piżamie.

- Ktoś puka - mówi. Ma rozczochrane włosy i krzywo założone okulary. Wygląda uroczo.

- Wiem, Max. Otworzę. Możesz sobie jeszcze pospać.

- Pospać? - Ava wychodzi z sypialni. - Ach, jak bym chciała. Nie śpimy już od szóstej. Max jest rannym ptaszkiem.

- Nie żartuj. Ja też nie śpię już od szóstej. Nie chciałam was budzić, więc nie wychodziłam z pokoju.

Ava tłumy śmiech.

- My też. Nie żebyśmy narzekali, od tygodni tak dobrze mi się nie spało. Tu jest tak spokojnie. Nie wiem, jak ci dziękować, Isabel. Nie wiem, jak wyrazić...

Isabel unosi dłoń.

- Ava, jeśli ma się nam udać, musimy ustalić pewne podstawowe zasady. Po pierwsze, możesz mówić „dziękuję” tylko raz na dwadzieścia cztery godziny, a jeszcze lepiej będzie, jeśli nie będziesz tego mówić w ogóle. Po drugie, żadnego skradania się na palcach. Dotyczy to nas wszystkich. Częstuj się wszystkim, co znajdziesz w lodówce, zrób sobie śniadanie. Możesz hałasować talerzami i garnkami. - Patrzy na Maxa. - Chwileczkę. Żadnego hałasowania garnkami przed ósmą rano. Jasne?

Max uśmiecha się szeroko i kiwa głową. Ktoś dzwoni do drzwi. Raz za razem.

- Spokojnie - mówi Isabel. Musi przyznać, że Ian nie daje za wygraną. Ava i Max umykają do kuchni.

Gdy Isabel dociera w końcu do drzwi, w całym domu słychać już i pukanie, i dzwonek. To chyba przesada. Isabel uchyla ostrożnie drzwi, o tyle, o ile pozwala łańcuch.

- Wpuść mnie! - Chuda ręka wślizguje się w szparę między futryną a drzwiami i chwyta dłoń Isabel. - To ja, Bettie!

Isabel odpycha rękę staruszki, ostrożnie zamyka drzwi, odsuwa łańcuch i otwiera drzwi na całą szerokość.

Na werandzie stoi Bettie ubrana w szlafrok, z torebką na ramieniu. Spogląda na Isabel, a potem na siebie.

- Jesteśmy identyczne!

Isabel otula się ciasniej szlafrokiem i drży. Wygląda na ulicę, ale nie widzi nigdzie samochodu Imogene ani Abe'a.

- Jak się tu dostałaś, Bettie? Gdzie jest Imogene? Bettie nie słucha jej i wchodzi do domu. Isabel widzi, że podeszwy jej pantofli są brudne i wytarte.

- Śniadanie tak pachnie? Kiełbaski!

Isabel chce pójść za nią do kuchni, gdy nagle rozlega się warkot silnika. Pod dom podjeżdża furgonetka, Ian Braemer macha do niej zza kierownicy i wyłącza silnik. Obok niego siedzi Jeremy ze słuchawkami na uszach, Ian wysiada z samochodu, trzymając w ręce dwa wysokie tekturowe kubki z parującą kawą.

- Dzień dobry! - woła, podchodząc do drzwi. Wręcza Isabel kubek i uśmiecha się szeroko. - A jednak zastałem cię w piżamie.

Isabel rozluźnia pasek szlafroka. Pod spodem ma dżinsy i sweterek.

- Przykro mi, ale przyjechałem za późno. Szykuję się do malowania salonu. - Uśmiecha się wesoło.

- Och, jesteś jedną z tych kobiet - mówi Ian, rzucając jej zranione spojrzenie. Pociąga mały łyk kawy. - Ups, jeszcze gorąca. Uważaj, właśnie poparzyłem sobie język.

Jedną z tych kobiet? Isabel nigdy nie była jedną z tych kobiet. Dmucha na kawę i uśmiecha się, rozważając w myślach jego słowa. Isabel, kokietka o ciętym języku. Wyobraża sobie siebie w zalotnej bieliźnie, z dużym dekoltem, w zmysłowym makijażu.

Nie.

- Mam ci jakoś pomóc?

- Poradzimy sobie. Zaraz wyciągniemy drabiny, przyjrzymy się rynnom z bliska i zobaczymy, co się

nam przyda. Zacznę dzisiaj, ale jeśli nie dam rady skończyć, z przyjemnością wrócę tu jutro. Odpowiada ci to? Nie chciałbym, żebyś miała mnie już dość.

Nie ma takiej możliwości, myśli Isabel, ale mówi:

- To bardzo dobry pomysł.

Ilan macha jej wesoło ręką i idzie z powrotem do furgonetki. Po drodze gwizdże na Jeremy'ego, żeby wysiadał z samochodu.

Z kuchni dobiega wesoły śmiech. Isabel wchodzi tam. Za stołem siedzi Bettie, ma przed sobą pełny talerz. Max zajada jajecznicę z keczupem. Jest też Ava. Wszyscy troje podnoszą wzrok na Isabel.

- Głodna? - pyta Ava.

Isabel potrząsa głową i siada obok Bettie. Kawa od lana wciąż grzeje jej dłonie.

Bettie ma zaróżowione policzki i włosy w nieładzie. Isabel dotyka jej ręki. Jest lodowata.

- Przyszłaś tu na piechotę? Staruszka sięga po widelec.

- Przepraszam, nie pamiętam.

- Chytra sztuczka, ale nie dam się na nią nabrać. Jak się tu dostałaś?

Dzwoni telefon. Isabel już wie, kto to może być, Rzuca Bettie ostrzegawcze spojrzenie.

- Ostatnia szansa.

- Już dobrze - mówi gderliwie Bettie. - Przyszłam na piechotę. Abe i Imogene są małżeństwem. Czuję się jak piąte koło u wozu. Niedługo oboje będą na emeryturze. Chcą się nacieszyć jesienią życia.
Niepotrzebna

im taka staruszka. - Nabiera na widelec jajeczniczy.

- Och, jakie to dobre, Avo.

Max wyciska keczup na jej talerz.

- Jeszcze - prosi Bettie. Uśmiecha się szeroko, widząc, że ma już na talerzu więcej keczupu niż jajeczniczy.

- Może chcesz do tego łyżkę? - Isabel potrząsa z dezaprobatą głową, podnosząc słuchawkę telefonu.

- Dzień dobry, Imogene.

- Powiedz mi, proszę, że ona tam jest - mówi Imogene zdenerwowana, niemal bez tchu. - Szukam jej wszędzie. Abe już do ciebie jedzie.

- Jest. - Isabel odwraca się i zniża głos. - Myślałam, że macie zamki w drzwiach.

- Mamy, ale wyszła przez okno w łazience. Jest tak wąskie, że go nie zabezpieczyłam, ale zajmę się tym dziś po południu. Czy wszystko z nią w porządku?

Isabel odwraca się i widzi, że Bettie rozmawia wesoło z Avą. Ściera przy tym palcem keczup z talerza i śmieje się, kiedy Max idzie w jej ślady. Gdyby nie jej rozczochrane włosy i szlafrok, Isabel mogłaby stwierdzić, że starsza pani jest w doskonałej formie.

- Jak najbardziej. Abe odwiezie ją do domu. Cześć, Imogene.

- Nigdzie nie jadę - mówi Bettie w momencie, gdy Isabel odkłada słuchawkę. - Jeśli chcecie, wyślijcie mnie do domu opieki, ale nie zamierzam im się już dłużej narzucać. To dziwaczna sytuacja.

- To, co dziwaczne, jest teraz normalne - stwierdza Ava. - Przynajmniej tak uważa Isabel. Zaproponowała

nam, żebyśmy u niej zamieszkali. Wprowadziliśmy się wczoraj.

- Słucham?! - Bettie odkłada widelec, nie posiadając się ze zdumienia. - Nie żartuj! - Spogląda z uznaniem na Isabel. - Ktoś tu nareszcie dorósł, co? Bardzo dobrze!

- Dość już o tym - mówi Isabel, rumieniąc się. Widać, że komplement Bettie sprawił jej wielką przyjemność. - Za pobyt w takim domu trzeba płacić, Bettie. Nie powinnaś tam iść, chyba że nie będzie już innego wyjścia.

- Jestem ubezpieczona - przypomina jej Bettie. -1 mam nieco oszczędności.

- Za mało - mówi Isabel. - Nie pamiętasz? Przeliczyłyśmy wszystko z urzędniczką. W zależności od postępów twojej choroby będziesz mogła mieszkać z przyjaciółmi przez następne pięćdziesiąt lat, a dopiero potem zaczniemy rozglądać się za domem opieki.

- Pięć-dziesiąt lat? Myślisz, że jak długo będę żyć? Przecież mam już siedemdziesiąt siedem lat, na miłość boską! - Bettie odwraca się do Avy. - Nie boję się śmierci. Wiele osób czuje przed nią strach, ale nie ja. Mam już nawet wybrane miejsce na cmentarzu. Numer dwa cztery jeden, sektor B, kwatera ósma. Na niewielkim wzniesieniu, piękny widok i w ogóle.

Isabel nie chce tego słuchać.

- Możesz zostać u Abe'a i Imogene przynajmniej na jakiś czas, dopóki nie ustalimy, co będzie dalej? Zadali sobie dużo trudu, żeby przygotować ci wygodny pokój.

-1 właśnie \o mi się nie podoba. Nie lubię być

niczym dłużnikiem. Doceniam to, że każdy chce mi pomóc, ale... - Wzdycha głośno. - To zbyt wiele zachodu. Chcę, żeby wszystko było znów normalne.

- Czyli dziwaczne? - pyta niepewnie Ava. - Bo to, co dziwaczne, jest teraz normalne.

- Och, nie wiem - mówi Bettie, całkiem już zdezorientowana. - Ma być dziwacznie czy normalnie? - Obie patrzą na Isabel pytająco.

- Chyba mam ochotę na tę jajecznicę. - Isabel wypija duży łyk kawy. Ava nakłada jej pełny talerz. Bettie składa dłonie, stykając je czubkami palców.

- Wiesz, zastanawiałam się, czy nie mogłabym urządzić tutaj pod koniec roku wielkiego zlotu miłośniczek albumów... jeśli oczywiście nie będziesz miała nic przeciwko temu. Podczas takich wyjątkowych spotkań dekorujemy albumy przez cały dzień. Na zwykłe spotkania wystarczy nam Herbaciarnia Madeline, ale zloty zazwyczaj długo trwają i nie chciałabym, żeby panie przez cały dzień siedziały w jednym pomieszczeniu. A skoro już wiemy, jak wykorzystać twój dom...

- Dobrze - mówi Isabel. - Niech będzie. Ale do sypialni nie ma wstępu. - Spogląda na Avę. - Przepraszam, zapomniałam o tobie. Co o tym sądzisz?

- Brzmi ciekawie - odpowiada Ava. - A więc cały dzień dekorujecie albumy?

- Cały dzień i całą noc - oświadcza Bettie.

Ktoś puka do tylnych drzwi. Kobiety odwracają się i widzą, że na tylnej werandzie stoi Abe z wyraźnie zakłopotaną miną.

- Chyba po ciebie - mówi Isabel. Pochyla się w kierunku Bettie i szepcze: - Bądź grzeczna.

Bettie wzdycha i wstaje od stołu. Przygładza włosy, po czym ceremonialnie skłania głowę przed Isabel, Avą i Maxem.

- Pora na mnie. Dziękuję za śniadanie.

Podchodzi do tylnych drzwi, otwiera je i idzie do samochodu wraz z Abe'em, który uprzejmie się kłania Isabel i jej nowym współlokatorom.

- Biedna Bettie - szepcze Ava, sprząając ze stołu. - Na pewno bardzo źle znosi tę sytuację. Jest bez dachu nad głową. Co będzie z jej domem?

- Przecież go nie odbuduje - mówi Isabel. - Był ubezpieczony na kwotę za małą, by postawić na jego miejscu coś podobnego. Poza tym i tak był dla niej za duży. Może sprzeda pustą działkę, ale nie chce się z tym spieszyć.

- Pojadę do biblioteki, żeby przygotować życiorys i list motywacyjny - mówi Ava. - A potem od razu zawiozę wszystko doktorowi Tindellowi.

- Czy Max może zostać ze mną? - pyta Isabel. - Jeśli ma na to ochotę. Muszę pomalować ściany. Mam już dość białych.

- Tak! - wykrzykuje Max, zaciskając piąstkę i poprawiając okulary, które zsunęły mu się na czubek nosa.

- Jeśli tylko nie sprawi ci to kłopotu. - Ava uśmiecha się z wdzięcznością. - Będę wtedy mogła szybciej uporać się z pracą.

- Ja też - mówi Isabel. - Z pomocnikiem jest łatwiej. Skończ śniadanie, Max, i łapiemy za pędzle.

Przed chwilą minęła jedenasta. Yvonne stoi w budynku terminalu pasażerskiego, przesuwając palcem po rowkach i wypukłościach samochodowych kluczyków, po srebrnej plakietce z wytłaczanym imieniem, przyczepionej do łańcuszka. Patrzy przez okno na niewielkie odrzutowce krążące nad płytą lotniska. Za każdym razem, gdy widzi nadlatujący samolot, czuje ucisk w sercu.

Jak to możliwe, że jeszcze niecałe dwadzieścia cztery godziny temu nie miała pojęcia, gdzie jest Sam, a już za moment zobaczy go na własne oczy? Wystarczyła dosłownie chwila. Jeden dzień, żeby życie odwróciło się o sto osiemdziesiąt stopni, jeden dzień, żeby wszystko znów było tak jak dawniej. Dziesięć lat temu obudziła się z przekonaniem, że już za kilka godzin stanie w sukni ślubnej przed ołtarzem. Niecałe dwanaście godzin później siedziała w furgonetce obok Harolda Stroupa, hydraulika, z każdą sekundą oddalając się od świata, który dotychczas był jej tak bliski.

Dzisiejszej nocy nie mogła spać. Jest pewna, że odbiło się to na jej wyglądzie. Przewracała się z boku na bok, czując, jak w jej żyłach płynie adrenalina, a serce bije tak mocno, jakby miało pęknąć. Łzami zmoczyła poduszkę. Ból, który już kiedyś przeżyła niespodziewanie powrócił. Wydawało jej się, że ranek nigdy nie nadejdzie.

Właśnie dlatego zabroniła sobie myśleć o Samie - jest to zbyt trudne. Boi się, że sparaliżowana bólem nie będzie w stanie normalnie funkcjonować, działać, żyć. Ból utraconej miłości - nikt cię przed nim

nie uchroni. Albo sobie jakoś radzisz, albo dajesz się wciągnąć do otchłani bez dna. W końcu wstała, rozsunęła zasłony, otuliła się kocem i patrzyła na wschód słońca. Gdy pierwszy promień światła błysnął nad horyzontem, pozwoliła sobie na coś, czego unikała od tamtego dnia.

Pozwoliła sobie mieć nadzieję.

Wokół siebie słyszy pospieszne kroki i gwar rozmów. Prywatny samolot czarterowy wjeżdża na pas startowy. Yvonne zamyka oczy, dotyka szyby. Sam jest gdzieś tam, wysoko. Już do niej leci.

- Jedenaście zero sześć, oto pani chłopak - mówi do niej dyspozytor, wskazując niebo.

Yvonne po chwili widzi nadlatującą cessnę. Gdy samolot zaczyna lądować, dziewczyna dostrzega Sama. Te same rozczochrane brązowe włosy, ostre rysy, skupiony wyraz twarzy. W tej samej sekundzie Sam odwraca głowę i patrzy prosto na nią. Jego wzrok mówi to samo co wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy.

Dziewczyna usiłuje powstrzymać płacz. Zasłania sobie ręką usta, a z oczu zaczynają płynąć jej łzy. Otwiera drzwi jednym silnym pchnięciem i coraz szybszym krokiem idzie w kierunku samolotu. Po chwili biegnie.

Cessna zatrzymuje się, gotowa do zakotwiczenia.

W drzwiach staje Sam. I zaraz Yvonne jest w jego ramionach.

- Nie pozwól mi odejść - prosi cicho z policzkiem przyciśniętym do jego chłodnej skórzanej kurtki i rozkoszuje się zapachem jego ciała, identycznym z tym przed laty.

Sam przytula ją jeszcze mocniej, muskając ustami czubek jej głowy.

- Nie pozwolę. Nigdy.

Ava wrzuca ćwierćdolarówkę do kserokopiarki i naciska guzik „start”. Rozlega się szum, widać błysk, po kilku sekundach z maszyny wyskakuje kopia życiorysu, a następnie kopia listu motywacyjnego, podpisanych i gotowych do przekazania doktorowi Tindellowi. Ava sięga po oryginały, składa je starannie i wsuwa do koperty. Gotowe. Choć to sobota, podjedzie do gabinetu i wsunie ją w otwór na listy. Isabel powiedziała, że doktor Tindell czeka na jej dokumenty. Choć Ava wie, że kolejność ich składania nie gra roli. chce być pierwszą z kandydatek.

Rozgląda się wokół, chcąc upewnić się, że niczego nie zapomniała, gdy nagle słyszy, że ktoś ją woła. Odwraca się i widzi Colina stojącego przy kontuarze i trzymającego w rękach stos książek.

- Co tu robisz? - pyła zdziwiony. Ava pokazuje mu kopertę.

- CV i list motywacyjny - mówi. - Staram się o pracę. Mami nadzieję, że ją dostanę.

- Tutaj? W Avalon? Ava kiwa głową.

- To świetnie. - Colin z szerokim uśmiechem kładzie książki na ladę. - Powodzenia. Twój pracodawca będzie miał szczęście.

- Dzięki. - Ava uśmiecha się nieśmiało. - A ty co tutaj robisz?

- Doksztalcam się. Pracuję nad powieścią. Tak się składa, że mój główny bohater jest astronomem, ale niestety ja nim nie jestem, więc muszę trochę poczytać na ten temat.

- Piszesz książkę? - Ava przechyla głowę i czyta tytuły. *Wielcy astronomowie. Praktyczne statystyki dla astronomów. Astronomiczne sztuczki: rady i narzędzia do obserwacji nocnego nieba. Przewodnik podwórkowego astronoma...*

- Próbuję. Zacząłem od krótkiego opowiadania, które się rozrosło. Nie wiem, czy sobie z tym poradzę, ale pisanie sprawia mi wielką przyjemność.

- Jesteś pisarzem! - mówi Ava, usiłując przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz miała w ręku książkę. Od chwili gdy została mamą, bardzo jej tego brakuje, ale teraz może znajdzie czas na lekturę. Postanawia, że po powrocie do domu przejrzy książki Isabel i wybierze coś dla siebie - Jesteś pisarzem - powtarza znowu.

Colin się rumieni onieśmielony.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Niczego jeszcze nie opublikowałem i nie mam swojego agenta. Po prostu lubię pisać i gdy przyszedł mi do głowy pomysł na opowiadanie, musiałem go wykorzystać. A było to w dniu, kiedy przyszłaś do Avalon Grill.

- Naprawdę?

- Tak. - Colin przez chwilę przygląda się dziewczynie. - Mam nadzieję, że nie wprawię cię tym w zakłopotanie, ale jesteś moją żoną. Ava śmieje się głośno.

- Co takiego?!

- Mówię poważnie. Po spotkaniu z tobą najlepiej mi się pisze. Inspirujesz mnie.

- Nie zapomnisz o mnie, kiedy już staniesz się sławny i bogaty? I podarujesz mi książkę z autografem? - Choć jest to żart, Ava wyobraża sobie Golina na spotkaniu autorskim w księgarni, siedzącego za stołem, na którym piętrzy się stos jego książek, i otoczonego czytelnikami pragnącymi zamienić z nim kilka słów. Zaczyna wierzyć, iż pewnego dnia tak będzie.

- Masz to jak w banku - mówi Colin. - Ale najpierw muszę skończyć pisać, a to trochę potrwa. - Marszczy brwi. - Chyba że... - Uśmiecha się chytrze. - Chyba że będę cię częściej widywał. Dla celów czysto literackich, rzecz jasna.

- Och, oczywiście - mówi Ava, nie mogąc powstrzymać śmiechu. Perspektywa częstszych spotkań z Coli-nem bardzo ją cieszy. - Nie chcę być odpowiedzialna za twój kryzys twórczy. Twój fani nigdy by mi tego nie wybaczyli. Musisz skończyć tę powieść.

- Oby tak się stało.

- Uda ci się - zapewnia go Ava. - Widzę to.

- Naprawdę? - Colin patrzy na nią ze zdziwieniem. Dziewczyna kiwa głową.

- Sama widzisz, jesteś moją muzą - stwierdza chłopak. - Czy biedny głodny pisarz może przynajmniej zaprosić swoją muzę na lunch?

- Mogę zapłacić za siebie - mówi Ava, choć prawie nie ma pieniędzy. Zamówi wodę lub coś lekkiego, nie zależy jej na jedzeniu. Chce po prostu z nim posiedzieć, pośmiać się, porozmawiać.

Colin potrząsa głową. Jest niewzruszony.

- Nie ma mowy. Przynajmniej tym mogę się odwdzińczyć mojej osobistej muzie. Poza tym żartowałem, mówiąc, że jestem biedny. W tym tygodniu dostałem wspaniałe napiwki. Ale chodźmy, umieram z głodu.

- Poczekaj minutę - prosi Ava. - Muszę dać znać Maxowi i Isabel, że wrócę później. Właśnie przeprowadziliśmy się do Avalon. Mieszkamy u...

Milknie na chwilę. Będzie musiała nad tym popracować, będzie musiała obmyślić, co mówić ludziom, jak tłumaczyć im swoją relację z Isabel i okoliczności, w jakich się poznały. Szuka w myślach odpowiedniego słowa. Colin nie ponagla jej.

- Mieszkamy u rodziny - mówi w końcu Ava i uśmiecha się.

Rozdział 24

Halloween w Avalon. Powoli zapada zmierzch. Słońce coraz bardziej zniża się nad horyzontem, rzucając na niebo różowe refleksy. Młodsze dzieci, rozemocjonowane, chodzą w towarzystwie rodziców od domu do domu. W rękach trzymają plastikowe dynie i bawełniane poszewki, w które sąsiedzi hojną ręką sypią im cukierki.

Hojną ręką - z wyjątkiem domu Isabel Kidd i spółki.

Max i Bettie stoją w drzwiach z misą pełną cukierków. Max wyjdzie później z Avą, ale teraz chce powitać pierwszych przebierańców. Ma na sobie strój Batmana, podczas gdy Bettie jest przebrana za... cóż, Isabel nie ma pojęcia, co to za strój. Po południu odebrała telefon od Imogene, która ją poinformowała, że Bettie właśnie do niej idzie. Najwidoczniej starsza pani nie chciała brać udziału w organizowanym przez Imogene hallo-weenowym przyjęciu.

- Nie, dziękuję - tłumaczyła Bettie, gdy Isabel wyszła

jej naprzeciw. - Nie mam zamiaru siedzieć w salonie i opychać się kanapkami w towarzystwie dorosłych kobiet ubranych jak wariatki. - Miała na sobie coś, w czym wyglądała jak skrzyżowanie księżniczki z bajki ze strażnikiem przeprowadzającym uczniów na przejściu dla pieszych. Do tego włożyła czapkę komendanta straży pożarnej, którą jakimś cudem wykradła Abe'owi. Widząc, że Isabel przygląda się jej z rozbawieniem, wypaliła: - Zanim coś powiesz, ja jestem wyjątkiem. Jak zawsze.

Isabel nie mogła temu zaprzeczyć.

Tak więc Max i Bettie strzegą drzwi, podczas gdy Isabel i Ava szykują obiad. Isabel wie, że nie ma potrzeby, by obie były w kuchni w tym samym czasie, ale przyjemnie jest gotować z kimś. To dziwne - choć planowała zwykle spaghetti, szykuje spaghetti *alla chitarra*, jedno z ulubionych dań Billa. Usiłuje sobie właśnie przypomnieć, jak złożyć maszynkę do makaronu. Cały stół jest ubrudzony ciastem i mąką. Dziś odwiedzi je Yvonne, żeby przekazać im bardzo ważną wiadomość. Isabel usiłowała pociągnąć ją za język, ale przyjaciółka nie chciała niczego zdradzać.

W drzwiach kuchni staje Max ze smutną miną.

- Nikt już do nas nie przychodzi - mówi. Szkła jego okularów lśnią pod czarną maską.

- Co? Dlaczego? - Isabel obraca korbą maszynki do makaronu i uśmiecha się z zadowoleniem, widząc, że urządzenie zaczęło działać.

- Cukierki... - zaczyna Max, gdy nagle rozlega się głośny pisk na werandzie:

- ODDAJ TO!

Ava i Isabel wycierają ręce w fartuchy i biegną do drzwi. Ich oczom ukazuje się dziwny widok - Bettie usiłuje wyrwać plastikową torebkę ze słodyczami z rąk chłopca przebranego za Supermana.

- Co tu się dzieje? - pyta ze zdumieniem Ava.

- Chce zabrać moje cukierki! - mówi chłopiec, wy-szarpując Bettie torebkę. - Za kogo jesteś przebrana?

- pyta, wlepiając w nią wzrok.

- To oczywiste. - Bettie pociąga nosem. - Ale jeśli nie wiesz, nie powiem ci tego. - Chce znów sięgnąć po cukierki, lecz chłopiec chowa ręce za plecy, wymownym wzrokiem prosząc Isabel o pomoc.

Gdy Isabel odwraca się, żeby dać mu więcej cukierków, widzi, że niemal wysypują się z miski. Nie było ich aż tyle.

- Proszę - mówi, nabierając pełną garść i wrzucając do torebki chłopca. - Tylko nie zapomnij umyć zębów!

- Sprowadza chłopca z werandy i wraca do staruszki.

Bettie kładzie ręce na biodrach.

- Słucham.

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście. Dlaczego miałyby być inaczej? Rozlega się pukanie do drzwi. Bettie promienieje.

- Obowiązki wzywają! Max, chodź szybko! Isabel i Ava przyglądają się, jak Bettie z rozmachem otwiera drzwi.

- Szczęśliwego Halloween! - śpiewa.

Na razie nie jest źle. Bettie zachowuje się może nieco zbyt teatralnie, ale nie ma w tym nic niepokojącego. Isabel już chce się odwrócić, gdy słyszy:

- A co my tu mamy? Och, moje ulubione!

Bettie wyciąga rękę w kierunku plastikowej dyni, którą trzyma mała dziewczynka, i nabiera pełną garść cukierków. Wsypuje je do miski, zamyka drzwi i odwraca się do Avy i Isabel.

- Bardzo lubię to święto.

- Wszystko robisz na odwrót - oświadcza Max.

- On ma rację - mówi Isabel. Ava chichocze, nie wtrąca się do rozmowy. - Masz dawać dzieciom cukierki, a nie zabierać.

Bettie patrzy na nią pustym wzrokiem.

- Przecież to Halloween. W tym dniu zawsze dostaje się cukierki!

- Tylko wtedy, jeśli odwiedzasz inne domy... - Isabel patrzy bezradnie na Avę. - Chciałabyś spróbować?

- Mogę się z nimi przejść - proponuje Ava - jeśli ty przypilnujesz drzwi. Podobno wysiłek fizyczny jest dobry na demencję, no i zbieramy w ten sposób więcej cukierków. Skończymy makaron po naszym powrocie.

- Nie mówcie o mnie w taki sposób, jakbym była dzieckiem - protestuje Bettie z urażoną miną. - Nie postradałam jeszcze zmysłów. - Sprawia jednak wrażenie lekko zdezorientowanej.

- Przepraszam - mówi Isabel. - Lecz Ava ma rację, spacer to bardzo dobry pomysł.

- Umyję ręce i pójdę po kurtkę - decyduje Ava. Bettie pociąga nosem.

- Pospiesz się w takim razie. Jeśli wyjdziemy za późno, ominą nas najsmaczniejsze kaski. Wolisz gumę

czy czekoladę? Jeśli miałbyś wybierać? - zwraca się do Maxa.

- Gumę - mówi natychmiast chłopiec.

- Doskonale, bo ja wolę czekoladę. Później się podzielimy.

Obiecujesz?

Max poważnie kiwa głową.

Do domu zbliża się Yvonne z butelką wina pod pachą. Wygląda radośniej niż zwykle, wręcz promienieje.

- Ładne rynny - rzuca z podziwem. - A co teraz Ian będzie dla ciebie robił?

- Nie chcę tego słuchać - mówi Isabel, przewracając oczyma, i dodaje niechętnie: - Wyremontuje schody prowadzące do domu. Mam jeszcze kilka innych projektów...

Yvonne uśmiecha się na widok Avy, Maxa i Bettie, którzy właśnie wychodzą na werandę. Ava ubrała Maxa tak ciepło, że z jego przebrania nie zostało nic oprócz maski i peleryny Batmana. Bettie ma na sobie białą flauszową kurtkę Isabel oraz czapkę strażacką Abe'a.

- Idziemy - mówi Ava. - Cześć, Yvonne!

- Cześć. Wszystko dobrze? - Yvonne się uśmiecha. Ava kiwa głową.

- Cudownie - zaczyna, po czym spogląda ukradkiem na Isabel i szybko sprowadza Maxa i Bettie ze schodów.

- Hej, Yvonne! - woła Bettie przez ramię. - Zamówiłam specjalnie dla ciebie nowe wypukłe naklejki. To seria „Remontujemy dom” - jedna z nich ma nawet kształt toalety z podnoszoną klapą! Przyjdiesz na nasze następne klubowe spotkanie?

- Nie wyobrażam sobie, żebym mogła je opuścić.
- Yvonne macha ręką całej trójce, która już wychodzi na zatłoczony chodnik. - Co to miało znaczyć? - pyta, wchodząc za Isabel do kuchni i stawiając butelkę na stole. - To spojrzenie, jakie posłała ci Ava?
- Usiłuje powstrzymać emocje, bo wie, że denerwuje mnie to jej wieczne rozklejanie się z byle powodu
- wyjaśnia Isabel z westchnieniem. - Zagroziłam jej, że jeśli jeszcze raz za coś mi podziękuje, zabarykaduję się w sypialni i już nigdy stamtąd nie wyjdę. - Yvonne wybucha śmiechem. W tym samym momencie rozlega się dzwonek.
- Isabel otwiera drzwi i widzi sporą gromadkę dzieci z dyniami i torebkami na słodycze. Wyciągają ręce w jej kierunku, mówiąc coś przy tym bezładnym chórem, aż Yvonne musi zagwizdać, żeby je uciszyć.
- Poszła już? - pyta bez tchu jedno z dzieci. Jest to chłopiec ubrany jak postać z książek Dr. Seussa, w wysokim kapeluszu w czerwono-białe paski, przekrzywionym dziwacznie na jedno ucho. - Słyszałem, że zabrała Steviemu Lane wszystkie cukierki!
- I nakrzyczała na Bernardine Preston - dodaje przemądrzałym tonem jedna z dziewczynek. Jest przebrana za anioła, ale z twarzy przypomina raczej diabłątko.
- Bo Bernardine wyśmiewała jej kostium - mówi głośno chłopiec z burzą rudych włosów, Jacob Eammons. Przebrał się za Tomka Sawyera i wygląda doskonale, choć na pewno byłoby mu do twarzy w każdym innym kostiumie. - Bernardine jest złośliwa, dobrze jej tak.

- Macie szczęście - zwraca się do nich Isabel. - Mój były mąż był dentystą i zawsze kazał odwiedzającym nas dzieciom szorować, płukać i czyścić nicią zęby tutaj, na werandzie.

Dzieci milkną, wpatrują się w nią z przestraszeniem.

- Niezły sposób na ich odstraszenie - szepcze Yvonne, nabierając pełne garście cukierków i wsypując je do torebek. - Szczęśliwego Halloween!

- Żartowałam - mamrocze Isabel. - Nie umiem rozmawiać z dziećmi.

- W przyszłym roku będzie lepiej - zapewnia ją Yvonne, gdy dzieci odchodzą. - Max już tego dopilnuje.

- Mieszkanie z dzieckiem bardzo człowieka zmienia - przytakuje Isabel. -1 to nie z jakimś przypadkowym dzieckiem, tylko z Maxem. Wszystko chce wiedzieć, wciąż zadaje mi pytania, na które nie znam odpowiedzi. Moje ulubione brzmiało: Jak duże jest Słońce? Nie mogłam mu powiedzieć, żeby to sobie gdzieś sprawdził, bo nie umie jeszcze czytać.

- Nie musisz znać odpowiedzi - pociesza ją Yvonne. - Możesz po prostu pomóc mu dojść do właściwych wniosków. Żeby wychować dziecko, potrzeba całej wioski, pamiętasz to powiedzenie?

Obie przyjaciółki wybuchają śmiechem. Isabel jest pewna, że jeszcze żadne dziecko nie wychowywało się w tak osobliwej wiosce jak jej dom.

- Cieszę się, że ci się tak układa. - Yvonne obejmuje ją serdecznie. - Jesteś rozczarowana, że Bettie nie zamieszkała z tobą, ale teraz masz Awę i Maxa. A gdybyś

wcześniej sprzedała dom? Wtedy też nie mogłabyś przyjąć Bettie pod swój dach.

Rozlega się pukanie. Dziecięce głosy dopominają się cukierków. Isabel i Yvonne otwierają drzwi i zaczynają rozdawać małym przebierańcom kolejne porcje słodyczy.

- Wyobraź sobie, że Bettie prawie cały czas tu jest - mówi Isabel. - Ava śpi w jednym pokoju z Maxem, który nie przyzwyczał się jeszcze do nowego domu, więc z drugiej sypialni korzysta Bettie, jeśli akurat ma ochotę na drzemkę. Odwiedza mnie dosłownie co chwila, to z kolei bardzo denerwuje Abe'a i Imoge-ne, ale dzięki temu mogą sobie od niej trochę odpocząć. Kiedy Ava i ja zaczniemy chodzić do pracy, będą musieli cały czas jej pilnować. Na razie dobrze sobie radzimy, nie ma potrzeby wynajmowania opiekunki do pomocy. - Isabel robi smutną minę. - Ale ty musisz czuć się samotna. Po sprzedaży domu miałam przecież na jakiś czas u ciebie zamieszkać.

Yvonne uśmiecha się do niej szeroko.

- Samotna? Och, nie byłabym tego taka pewna. U mnie też wszystko dobrze się układa.

- Naprawdę? - Kolejna grupa dzieci maszeruje w stronę werandy. - Powiesz mi w końcu, co się dzieje? - Zapas cukierków szybko się kończy i Isabel myśli sobie, że pomysł Bettie nie był może taki zły.

- Powiem ci później - mówi Yvonne, uśmiechając się do małej dziewczynki przebranej za syrenę. - Kiedy nadejdzie odpowiedni moment.

Isabel patrzy przyjaciółce prosto w oczy.

- Odpowiedni moment nigdy nie nadejdzie - przypomina jej. - To jest życie, nie pamiętasz? Powiedz mi teraz!

- Dobrze, dobrze. - Yvonne chwyta pod pachę misę z cukierkami i czeka, aż ostatnie dziecko zniknie z werandy. - Wczoraj spotkałam się z Samem. Przyjechał do Avalon.

- Z Samem? - Isabel przez chwilę jest zdezorientowana, ale szybko przypomina sobie historię Yvonne. - Gdzie? Jak?

Oczy Yvonne lśnią.

- Mieszka w Bangor, w stanie Maine. Pracuje jako strażnik w parku narodowym. Po tej całej historii z Hubertem Hillem, a także po twoich perypetiach z Avą... chciałam wiedzieć, rozumiesz? Czy dobrze mu się wiedzie, czy ułożył sobie szczęśliwie życie. Nie chciałam, by pozostały między nami jakieś niedomówienia.

- To było jedno wielkie niedomówienie - zgadza się Isabel. Patrzy na przyjaciółkę i unosi brwi. - A teraz?

Yvonne nic nie mówi, kiwa tylko głową. Jej twarz promienieje szczęściem.

- Jest dobrze. Między nami jest dobrze. Nie ożenił się. Myślał, że mieszkam w Nowym Jorku z mężem oraz dziećmi - dwojgiem uczęszczającym do prywatnych szkół, a trzecim w drodze - i udzielam się towarzysko w wyższych sferach. Moi rodzice i siostry ukrywali przede mną prawdę. A Samowi nie powiedzieli nic o mnie. Zawsze wiedziałam, że nie mogę im ufać, ale z pewnych powodów to wszystko wydawało się tak tragiczne i tak prawdopodobne... Nie mogłam nie

wierzyć. Zmarnowałam tyle czasu. - Patrzy w ciemność ożywioną światłami i wesołym śmiechem.

- Przykro mi, Yvonne - mówi Isabel, wyczuwając smutek przyjaciółki.

Yvonne natychmiast odwraca wzrok i ociera oczy.

- To już przeszłość. Rozmawialiśmy o tym z Samem i oboje czujemy tak samo - byliśmy za młodzi, żeby to wszystko rozumieć, a nasze małżeństwo i tak mogło się nie udać, bo wciąż pozostawałam pod wpływem rodziny, która chciała sprawować nade mną całkowitą władzę finansową i emocjonalną. Gdybyśmy się pobrali, usiłowałiby osłabić lub rozbić nasz związek, jestem tego pewna. A teraz... jest tylko on i ja. Nieważne, co moi rodzice mają do powiedzenia o Samie i o moim życiu.

Isabel czuje, że kręci jej się w głowie.

- Gdybyś nie powiedziała mi tego osobiście, nie uwierzyłabym.

- Wiem. Czekam, aż zaczniesz przewracać oczyma. - Yvonne żartobliwie szturcha przyjaciółkę.

Isabel potrząsa głową.

- Nie tym razem. Podoba mi się wiara w to, że dwoje ludzi może odnaleźć miłość. Miło wiedzieć, że wszystko jest możliwe.

- Jesteś tego żywym dowodem. .

- Tak myślę. - Isabel się uśmiecha. Spogląda na Yvonne. - I co teraz? Jeśli on mieszka w Maine, a ty w Avalon... - Chwyta przyjaciółkę za ramię, gdyż do głowy przychodzi jej pewna myśl. - Nie możesz się wyprowadzić!

- Nie planuję tego... na razie. Sam przyleciał tylko na jeden dzień, ale zaczęliśmy wymieniać e-maile i umówiliśmy się, że ustawimy sobie pracę tak, by móc spotykać się co tydzień. Przylatuje do mnie w następny weekend i wtedy go poznasz. Zamierza też porozmawiać ze swoim szefem. W Illinois znajduje się ponad sześćdziesiąt parków stanowych, więc może znajdzie pracę w pobliżu Avalon.

- Jestem pod wrażeniem.

- Wydaje się to takie nagłe - odzywa się niespodziewanie Yvonne. - I choć oboje chcemy spędzać ze sobą jak najwięcej czasu, żeby znów dobrze się poznać, wiemy już teraz, że to jest to. Czekaliśmy na ten moment i nie będziemy teraz wypytywać się nawzajem o nasze ulubione filmy ani o pomysły na wymarzone wakacje. Mamy to już za sobą. Po prostu chcemy być razem.

- Nie złość się, ale muszę zadać do pytanie - mówi Isabel. - Co będzie, jeśli wam nie wyjdzie? Jeśli ty się przeprowadzisz albo on zamieszka w Avalon, a mimo to wasz związek się rozpadnie?

- To się okaże. Nie boję się spróbować, Isabel. Bardziej boję się nie spróbować. - Yvonne znów zaczyna rozdawać dzieciom cukierki.

Isabel zastanawia się nad jej słowami.

- Lepiej kochać i stracić niż nigdy nie kochać? - żartuje.

-Albo... - Yvonne ujmuje w dłonie ręce Isabel i ściska je uspokajająco. - Może jeszcze lepiej jest kochać i stracić, a potem znów znaleźć miłość. - Spogląda

znacząco na przyjaciółkę. Isabel wie, że Yvonne nie mówi teraz o sobie, lecz o niej.

- Hej, wy tam! Darujcie sobie te czułości! - woła Bettie sprzed domu. Wraca razem z Avą i Maxem. Z ich plastikowych dyń wysypują się cukierki.

- Szybko jej to poszło - mówi Isabel, ściskając po raz ostatni dłonie Yvonne.

Ava sprawia wrażenie lekko oszołomionej.

- Bettie zna tutaj każdego - mówi. - Wszyscy byli niezwykle hojni dla niej i dla Maxa. Ktoś nawet podarował jej szynkę.

- Państwo Jafferty. Horace i Aurora byli moimi dłużnikami od czasu, gdy pomogłam im odnaleźć ich domowe zwierzątko, iguanę o wdzięcznym imieniu Chuckles. Było to dzień przed konkursem stanowym. Chuckles zdobył pierwszą nagrodę, naprawdę. - Bettie z satysfakcją kiwa głową. - Powiedziałam im, że odbierzemy szynkę rano. Jest zamrożona, więc możemy przechować ją na Święto Dziękczynienia.

Isabel się dziwi. Święto Dziękczynienia jest już tak blisko? Przecież dopiero Halloween. A potem nastąpi cała seria świąt. Boże Narodzenie, Nowy Rok, walentynki, Wielkanoc. Urodziny Maxa, urodziny Ayy, urodziny Isabel. Urodziny Bettie. Urodziny Yvonne. Prima Aprilis, Dzień Świętego Patryka. Widzi bliskich sobie ludzi, którzy przekrzykują się nawzajem, śmieją i mówią wszyscy naraz. To jest to, uświadamia sobie Isabel, uśmiechając się.

To jest moje życie.

- Cukierek albo psikus! - Dzieci stoją w kolejce przed domem Frances, domagając się głośno jabłek w karmelu opakowanych w koperty z woskowanego papieru.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś - mówi z podziwem Reed, patrząc na stertę ciastek. Tego dnia musiał dłużej zostać w biurze i dopiero co wrócił do domu. Ma rozpiętą pod szyją koszulę i poluzowany krawat.

- Ile ich jest?

- Sto pięćdziesiąt - odpowiada Frances. - Ale poszłam nieco na skróty. Wybrałam najmniejsze jabłka, a cukier rozpuściłam w mikrofalówce. - Rozdaje dzieciom ciastka, pilnując, by na każdej kopercie znalazła się naklejka z jej nazwiskiem i numerem telefonu, żeby było wiadomo, od kogo dziecko otrzymało ten smakołyk. Rodzice mogą się z nią skontaktować i zapytać o przepis.

Reed rozgląda się wokoło.

- Są tu chyba dzieci z Barrett i Laquin - mówi.

- Wieści szybko się rozchodzą.

Frances się uśmiecha.

- Na wszelki wypadek mam jeszcze cukierki.

- Gdzie chłopcy?

- Nick zabrał ich na halloweenowy spacer. Jest z kolegami, ale poszedł też z nimi któryś z rodziców, więc się nie martw.

- Nie martwię się - mówi Reed. Z posesji po przeciwnej stronie ulicy dobiega ich chór pełnych zachwyty okrzyków. - Co się dzieje?

- Och, Ida Church postanowiła w tym roku przebrać

się za kosmitę i wystraszyć wszystkie dzieci - wyjaśnia Frances. - Na jej podjeździe stoi sztuczny statek kosmiczny, ale to tylko wabik. Gdy do niego podchodzisz, Ida wyskakuje zza drzewa. Starsze dzieci są oczywiście wniebowzięte, lecz uprzedziłam Noaha i Brady'ego, żeby tam nie podchodzili. Nie chcę, żeby mieli koszmary senne. - Na podwórku Idy Church ponownie rozlega się chóralny krzyk. Frances uśmiecha się i potrząsa głową.

- Jesteś zbyt zapracowana - mówi Reed, widząc, że jego żona rozdaje dzieciom kolejną porcję ciastek.

- Cieszę się, że mam zajęcie. Nie mogę znieść tego czekania. - Frances zdążyła się już naczytać rozmaitych historii o kryzysach i problemach pojawiających się na samym końcu procesu adopcyjnego. Nieważne, że ich cel wydaje się tak bliski. Nie będzie mogła spokojnie spać, dopóki nie przywiezie Mei Ling do Avalon.

- Wejść na chwilę do środka, dobrze? - prosi ją łagodnym tonem Reed. Frances ma wrażenie, że jego głos brzmi dziwnie, i robi jej się zimno.

Jeśli to coś złego, załamie się psychicznie, nie zniesie tego. Co ją czeka? Kolejne opóźnienie? Wiadomość o pogorszeniu stanu zdrowia Mei Ling? Już teraz prawie nie śpi po nocach.

Mina Reeda niczego nie zdradza. Frances ma ochotę się wycofać. Nie jest przygotowana na żadne nowiny.

- Trzeba nakarmić naszych gości - usiłuje żartować, ale Reed potrząsa głową.

- Chodź. - Obejmuje ją i prowadzi do domu.

- Co się dzieje? - pyta Frances, drżąc na całym ciele.

Tymczasem do drzwi dzwoni kolejna grupa przebierańców. Frances ma wrażenie, że jeśli Reed, który właśnie chodzi niespokojnie tam i z powrotem po holu, natychmiast jej nie odpowie, udusi go. Jest skrajnie zdenerwowana. - Mów!

Mąż odwraca się do niej i z kieszeni marynarki wyciąga kopertę.

- Jest tutaj, Frances. Oficjalne zaproszenie do Chin. Możemy odebrać Mei Ling już za trzy tygodnie. Trzy tygodnie! - Chwyta Frances w ramiona, podnosi ją i kręci się wraz z nią w kółko. - Będzie obchodzić razem z nami Święto Dziękczynienia!

- O Boże, o Boże, o Boże! - Frances nie może w to uwierzyć. - O Boże! - Śmieje się i płacze na przemian. W końcu może dać upust tak długo tłumionym emocjom. - Gdzie są chłopcy? Chłopcy! Musimy ich znaleźć!

- Frances, spokojnie... - Reed się śmieje, lecz również on ma wilgotne oczy. - Niech dobrze się bawią. Kiedy już wrócą do domu, szczęśliwi i pełni energii dzięki słodyczom, powiemy im o Mei Ling. - Milknie na chwilę, po czym tuli żonę mocno i całuje. - Nasza córeczka wkrótce będzie z nami.

Frances uświadamia sobie, co to oznacza. Emocje znów biorą nad nią górę.

- Muszę zarezerwować loty - mówi gorączkowo. Tysiące myśli cisną jej się do głowy. - Hotel. Skończyć pakowanie. Och, trzeba zadzwonić do twojej mamy, do moich rodziców! I jej pokój! Muszę wyprać pościel. Ach, kalendarz adwentowy! Chcę, żeby miała

kalendarz adwentowy, żeby codziennie, aż do świąt Bożego Narodzenia, mogła otwierać kolejne okienko! I muszę zawiadomić szkołę o nieobecności chłopców.. . Boże, Reed, to się dzieje! To się naprawdę dzieje! - Frances biega w podskokach po całym domu. Po policzkach spływają jej łzy. Sama nie wie, co robi ani czego szuka, ale tylko w taki sposób może wyrazić swoją radość. Czasem najlepiej jest wyrzucić wszystko z siebie.

Na podwórku Idy Church ponownie rozlegają się pełne zachwyty i grozy krzyki, ale nie mogą się równać z okrzykami radości dobiegającymi z domu rodziny Lathamów.

Rozdział 25

Connie rzuca okiem na stół pełen wypieków i sprawdza, czy w termosach jest wrzątek.

- Wszystko gotowe - mówi do Madeline i Hannah. - Pozostaje nam już tylko czekać na przybycie Klubu Miłośniczek Albumów.

- Świetnie. - Madeline zerka na zegar. - Spodziewamy się kompletu gości.

Hannah wygląda przez okno. -Idą!

Rzeczywiście. Przeważają ci, którzy byli obecni na poprzednim spotkaniu. Przynieśli ze sobą jedzenie oraz własnoręcznie udekorowane albumy najróżniejszych rozmiarów i kształtów, które kładą na stole stojącym na podwyższeniu. Jest wśród nich również Isabel, zajęta poważną rozmową z Avą i Yvonne.

Do salonu zagląda Frances Latham, podchodzi do Hannah i serdecznie ją przytula.

- Tak mi przykro, że nie mogę zostać - mówi.

- W ten weekend lecimy do Chin. Boję się, że zemdleję z przejęcia. - Wręcza Connie półmisek. - *Cóngyóublng*, placki z zieloną cebulką. Chyba nabrałam wprawy w ich przyrządzaniu. Moi chłopcy są od nich uzależnieni.

- Ja też - ogłasza Hannah, pociągając nosem z rozmarzoną miną. - Frances robi najlepsze *cóngyóubing* na świecie. Zakochacie się w nich wszyscy. Odniosę ci później półmisek, Frances.

- Dziękuję. - Frances uśmiecha się do przyjaciółki. Dyskretnie ociera oczy. - Boże, nie mogę się uspokoić! Nie wierzę, że w przeddzień Święta Dziękczynienia będziemy już w domu z Mei Ling. Nie mogę się doczekać, kiedy was wszystkich pozna.

- A my nie możemy się doczekać poznania jej - odpowiada Madeline. - A ponieważ wiemy, jak trudno może wam być na początku, zadbamy o to, żeby cała wasza szóstka nie chodziła głodna. Gdy już wrócisz z Chin, będziemy przynosić ci do domu posiłki, jak każdej świeżo upieczonej mamie. I byłibyśmy szczęśliwe, gdybyście zechcieli zjeść z nami obiad w Święto Dziękczynienia, choć oczywiście zrozumiam, jeśli po wiesz, że wolisz domową ciszę i spokój.

- I sen! - dodaje Hannah.

- Dziękuję wam serdecznie - mówi Frances. - Nie wiem jeszcze, co postanowimy. Nie chcemy niczego planować z góry. Dostosujemy się do Mei Ling.

- W Chinach róbcie dużo zdjęć - mówi Connie.

- Też chcę pewnego dnia tam pojechać.

- Będę pisać o wszystkim na blogu - obiecuje

Frances. - Postaram się codziennie dodawać nowe wpisy, zdjęcia, komentarze. Po powrocie do domu stworzę z nich księgę pamiątkową.
- Zerka na zegarek. - Och, muszę już iść! Reed i chłopcy czekają na mnie.

- Idź dokończyć pakowanie - mówi Hannah.

- Proszę. - Frances podaje Madeline cienką książeczkę. - Nie mam wielu zdjęć Bettie, ale była tak miła, że przyniosła mi kawałek materiału dla Mei Ling. Sfotografowałam go, a także gotową kołdrę. Jest tu również zdjęcie Mei Ling. Na każdej stronie zamieściłam krótkie wyjaśnienie. Zamierałam poczekać, aż będę mogła zrobić zdjęcie Mei Ling śpiącej pod swoją nową kołdrą, lecz mogę dodać je później. Chcę, żeby Bettie dostała coś ode mnie już dziś.

- Piękna pamiątka - mówi Madeline. - Położę ją na stole, przy pozostałych albumach. Szczęśliwej podróży, Frances, i odezwij się zaraz po powrocie.

Frances macha wszystkim na pożegnanie. Hannah szybkim ruchem wyjmuję z pudełka kilka chusteczek higienicznych.

- Dzięki niej zaczęłam się zastanawiać nad adopcją - wyznaje, ocierając oczy. - Nigdy o tym nie myślałam, ale uważam teraz, że to doskonały sposób na powiększenie rodziny.

- Będiesz wspaniałą mamą. - Connie obejmuje ją ramieniem. Przez okno widzi Imogene i Bettie zbliżające się do drzwi. - Uwaga! Idzie!

Wszyscy pospiesznie podchodzą do swoich miejsc. Isabel zarzuca obrus na stół z albumami.

- Tu jest za cicho! - szepcze Connie, po czym mówi:

- Zachowujcie się normalnie! Zaczynajcie rozmawiać!

O czymkolwiek!

W jednej chwili herbaciarnię wypełnia gwar. Bettie i Imogene wchodzą do środka.

- Ha! - Zdziwiona Bettie rozgląda się dookoła ze zmarszczonymi brwiami. - Nie przypuszczałam, że aż tyle osób zainteresuje się drewnianymi literkami i barwiącą mgiełką.

Connie i Madeleine tłumią chichot. Isabel występuje naprzód.

- Muszę coś ogłosić. Chodź, dotrzymasz mi towarzystwa. - Prowadzi Bettie do stojącego na podwyższeniu stołu.

- Chyba przyda mi się pudełko chusteczek - mówi Madeleine, pociągając nosem. Connie bierze kilka chusteczek i podaje pudełko dalej. Nie uważa się za osobę emocjonalną, ale na wszelki wypadek woli być przygotowana.

Isabel stoi obok stołu z albumami. Za nią siedzi Bettie.

- Przepraszam, czy mogę prosić państwa o uwagę? Goście milkną i zajmują miejsca. Część stoi pod ścianami i w drzwiach prowadzących do holu.

- Chcę podziękować wszystkim za to, że tu są

- zaczyna Isabel. - Jak państwo wiedzą, kilka tygodni temu spłonął dom Bettie. Straciła w pożarze niemal wszystko, w tym albumy, również te własnoręcznie przez nią wykonane, oraz materiały do ich dekoracji.

- Odwraca się do starszej pani. - Bettie, przez całe lata przechowywałaś nasze wspomnienia. Teraz my

chcemy zachować twoje. - Podchodzi do stołu i przy wtórce radosnego aplauzu zsuwa z niego obrus. Bettie wpatruje się w leżące przed nią albumy. Isabel gestem ręki daje jej znak, by podeszła bliżej.

- Co to ma...? - mamrocze Bettie z wypiekami na twarzy. - O mój dobry Boże! Coś takiego! To wszystko dla mnie? - Bierze do ręki jeden z albumów.

- Każdy z nas przejrzał w domu swoje albumy i znalazł fotografie, na których jesteś ty - tłumaczy Isabel.

- Nie chcieliśmy, żebyś straciła swoje cudowne wspomnienia.

Bettie kartkuje album, zatrzymując się przy każdym zdjęciu.

- Och, pamiętam ten dzień! I ten! - Chichocze.

- Materiał w paski okropnie mnie pogrubia, prawda? Spójrz, Isabel. O Boże, czy to Seymour March dłubie w nosie tam w tle?

Wszyscy wybuchają śmiechem.

- Uroczysta parada! - wykrzykuje Bettie. - Rok siedemdziesiąty dziewiąty. Co to był za dzień! Kto jest autorem tego albumu? Jakie piękne pieczętki. A ten kratkowany papier jest po prostu cudowny!

- Dziękuję! - woła któraś z pań.

Bettie sięga po kolejny album, oprawiony w skórę i pełen zdjęć, artykułów i notatek.

- Biografia naszego klubu! - wykrzykuje. - Christopher Barlowe, gdzie pan się schował?

Fotograf podnosi rękę nieśmiało. Isabel podaje Bettie niewielki album w różowej okładce. Starsza pani chichocze, nie otwierając go.

- Margot West, czy te kartki są perfumowane?

- Trafiłaś! - odpowiada z radością Margot.

Isabel przekazuje Bettie album za albumem. Bohaterka wieczoru przegląda każdy i podaje dalej. Wszyscy śmieją się i oglądają zdjęcia, podczas gdy członkinie klubu wymieniają uwagi na temat kompozycji poszczególnych stron, papieru i ozdób.

Madeline podchodzi do Connie i obejmuje ją ramieniem.

- Praca nad albumem dobrze mi idzie. Chyba będę mogła podarować go Maggie na Boże Narodzenie. A twoje dzieło?

- Prawie skończyłam - odpowiada Connie. - Kiedy będzie już gotowy, na pewno ci go pokażę.

- Będę zaszczycona, kochanie.

Connie zamierza pokazać również album Eliemu, gdyż zależy jej na tym, by dowiedział się, skąd pochodzi. Opowiadała mu już nieco o swojej rodzinie, ale dodała do albumu więcej wspomnień, a także zdjęcia z internetu. Sporo miejsca poświęciła też Serenie i - rzecz jasna - Madeline. Jest tam więc wszystko, co Connie kocha, jej najcenniejsze, najdroższe wspomnienia, którymi pragnie się z nim podzielić.

Goście w herbaciarni rozmawiają z ożywieniem i śmieją się. Niektóre kobiety mają w oczach łzy. Albumy wciąż krążą po salonie. W pewnym momencie Bettie wstaje i sięga po swój ozdobny młotek.

- Przepraszam - mówi. Wszyscy zaczynają się nawzajem uciskać. - Dziękuję wam. Pragnęłabym podziękować każdemu z was osobiście, ale z wiadomego

powodu może skończyć się to tak, że podejść trzy razy do jednej osoby, a drugą całkiem pominę. A zatem jeszcze raz dziękuję wam wszystkim.

Rozlegają się oklaski. Bettie odwraca się do Isabel.

- Coś jeszcze? - pyta.

Isabel z uśmiechem kręci głową. Bettie uderza młotkiem w stół.

- W takim razie listopadowe spotkanie Klubu Miłośniczek Albumów w Avalon oficjalnie uznaję za otwarte. Zaczynamy.

- To było bardzo udane spotkanie - mówi Bettie, gdy Isabel odwozi ją do domu. Imogene jedzie przed nimi. Siedzenia jej samochodu są wręcz zarzucone albumami i podarunkami.

- Zgadza się - przytakuje Isabel. - Jesteś zmęczona?

Bettie potrząsa głową.

- Ani trochę. W ogóle nie chce mi się spać. Mam wrażenie, że wszystko mi się rozjaśniło. - Patrzy z nadzieją na Isabel. - Może mój stan się polepsza. Wiesz, mówię o mojej głowie.

Isabel zmusza się do uśmiechu.

- Może - mówi, ale w głębi serca wątpi w to. Czytała, że tak bywa w przypadku demencji. Jednego dnia lepiej, drugiego gorzej. Jasność umysłu, po której przychodzi oszołomienie i dezorientacja. Może to trwać przez długi czas.

Bettie siada wygodniej i poprawia sobie szalik pod szyją.

- Zanosi się na mroźną zimę. W śniegu będzie mi trudniej wpadać do ciebie z wizytą.

- Nawet o tym nie myśl - mówi surowo Isabel. - Jeśli będziesz miała ochotę mnie odwiedzić, przyjadę po ciebie. O każdej porze, jasne?

Bettie patrzy na nią z nadzieją.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Isabel się uśmiecha. - A co powiesz na to, żebyś od czasu do czasu została u mnie na kilka dni? Wiem, że Max byłby zachwycony. Ja też.

Bettie kiwa głową.

- Podoba mi się ten pomysł. Dzięki temu Abe i Imogene będą mogli nacieszyć się prywatnością. Pewnego wieczoru szukałam moich katalogów, kiedy niespodziewanie zobaczyłam ich...

- Umówię się z Imogene - mówi szybko Isabel, nie mając ochoty wysłuchiwać opowieści na temat życia intymnego państwa Garza. - Och, jeszcze jedno. W przyszłym miesiącu organizuję u siebie całodzienne spotkanie klubu, czyli zlot, jak to kiedyś określiłaś. Czuj się zaproszona. Wypożyczymy sobie film i zrobimy popcorn. Mam ochotę na coś z Jennifer Lopez*.

- Jest świetna w *Pokojówce na Manhattanie* - ożywia się Bettie.

- I jeszcze ten Ralph Fiennes. Mogłabym oglądać to w kółko.

- A więc ustalone. Oglądamy *Pokojówkę na Manhattanie*.

Milczą przez chwilę, po czym Bettie szepcze:

- Isabel?

- Tak?

Bettie dotyka dłoni Isabel, spoczywającej na kierownicy. Nic przy tym nie mówi. Jadą tak aż do domu Imogene.

Gdy są już na miejscu, Isabel pomaga Bettie wysiąść z samochodu i podprowadza ją pod same drzwi. Imogene ostrożnie wjeżdża do garażu. Isabel i Bettie obserwują, jak zamyka się za nią automatyczna brama. Z podjazdu znika ostatni promień światła.

- Dobranoc. - Isabel pochyla się, żeby uściskać starszą panią.
- Dziękuję, że jesteś dla mnie taka dobra, Isabel.
- Bettie chce wejść do domu, ale jeszcze przez chwilę się waha. - Gdybym kiedykolwiek miała córkę, czułabym się szczęśliwa, jeśli byłaby taka jak ty. Dobranoc.

- Otwiera drzwi i wchodzi szybko do środka.

W drodze powrotnej do domu Isabel co chwila dotyka dłonią policzka i uśmiecha się do siebie. Gdy skręca w swoją ulicę, widzi, że na chodniku przed jej domem stoi znajoma furgonetka, a na werandzie pali się światło.

Dziewczyna parkuje na podjeździe i wchodzi na werandę, Ian Braemer czeka na nią z dwoma parującymi kubkami kawy, siedząc na nowiutkiej huśtawce.

- Niespodzianka - mówi, podając jej jeden kubek.
- Wypijesz ze mną? Bezkofeinowa.
- Zrobiłeś to, kiedy byłam w herbaciarni? - pyta Isabel, choć odpowiedź wydaje się oczywista. Bierze od niego ciepły kubek z kawą.
- Tak. Pobiegłem do kafejki i zamówiłem dwie kawy bez kofeiny.

Isabel szturcha go wesoło w ramię.

- Chodzi o huśtawkę, łan.

- Ach, to! - rzuca łan, jakby dopiero teraz ją zauważył. Uśmiecha się szeroko. - Mam nadzieję, że ci się podoba. Zamierzałem cię wcześniej o nią zapytać, ale nie chciałem zepsuć niespodzianki. Pomyślałem, że jeśli nie będziesz zadowolona, po prostu ją zdemontuję. To miejsce wydawało się wręcz prosić o huśtawkę.

- To prawda. - Isabel siada obok niego, łan delikatnie wprawia huśtawkę w ruch. - Nie waź się nic z nią robić, jest fantastyczna. Dziękuję, łan.

- Proszę bardzo. Och, a jeśli nie odpowiada ci kolor, możemy ją przemalować.

Huśtawka jest oczywiście biała. Isabel wybucha śmiechem.

- Odpowiada mi, choć etap bieli mam już chyba za sobą. Zbyt długo byłam taka... bezbarwna. - Przesuwa ręką po łańcuchu huśtawki. - Może wiosną pomalujemy ją na żółto.

- Jak tylko pani sobie życzy - mówi łan. Przez chwilę huśtają się w milczeniu, patrząc na mrugające na nich z daleka gwiazdy. - Choć mam nadzieję, że nie obrazisz się na mnie, jeśli cię poprawię.

Isabel upija łyżeczką kawy i przykłada sobie kubek do chłodnego policzka.

- O czym mówisz?

- Czerń to całkowity brak koloru, a biel to mieszanka wszystkich możliwych barw. Jak światło słoneczne, które jest białym światłem złożonym ze wszystkich

kolorów spektrum. Choć uważałaś swoje życie za bezbarwne, w rzeczywistości było jak tęcza. Isabel przez chwilę się zastanawia.

- Jesteś bardzo mądry, prawda?

- Tylko wtedy, gdy się na czymś znam. Co nie zdarza się zbyt często. Wiem sporo o świetle, bo zmusza mnie do tego moja praca. Poza tym coś mówi mi, że spotkałem swoje słońce.

Isabel przechyliła głowę i spogląda na Iana. Ma wyrazistą męską twarz, ostre rysy. Bez wątpienia jest przystojny.

- Nie wiem, jak ci dziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Dla mojego domu.

- To była dla mnie przyjemność, Isabel.

- I nie wystawiłeś mi jeszcze rachunku. Musimy wreszcie uregulować tę kwestię, Ian zatrzymuje huśtawkę.

- Nie jesteś mi nic winna - mówi wesoło. - Powiedziałem, że była to dla mnie przyjemność.

Isabel również miała takie wrażenie, ale nie chciała, by Ian myślał, że go wykorzystuje.

- Czy w takim razie mogę ci zapłacić przynajmniej za materiały?

Ian potrząsa przecząco głową.

- Cieszę się, że mogłem pomóc koleżance. Koleżance? Isabel robi się zimno.

- Och - mówi, wstając. - Cóż, dziękuję, kolego. - Pociera nos, jakby miała zaraz kichnąć.

Ian przygląda jej się uważnie.

- Oho, jesteś na mnie zła.

- Co? Nie, nie jestem - kłamie Isabel. - Robi się późno. Idę do domu. Łan bierze ją za rękę.

- Zostań jeszcze na chwilę - mówi, usiłując delikatnie zmusić ją, żeby usiadła.

Isabel robi krok w tył. Zranił jej uczucia. Czy naprawdę widzi w niej tylko koleżankę?

- Po co?

Łan wstaje, wciąż trzymając ją za rękę.

- Żebym mógł cię pocałować. - Przyciąga ją do siebie i składa na jej ustach czuły pocałunek.

Isabel czuje przyjemne łaskotanie w całym ciele i uśmiecha się z niedowierzaniem. Jak mogła być tak głupia?

- Myślę, że mogłabym przywyknąć do tego koleżeństwa - mówi, gdy w końcu odsuwają się od siebie.

- A może odważymy się na coś więcej? - proponuje Łan. - Co powiesz na randkę?

Isabel kiwa głową, całkiem bez tchu.

- Dalej chcesz iść do domu? - pyta Łan. Isabel potrząsa głową.

Siedzą na huśtawce, trzymają się za ręce i popijają kawę, obserwując senną ulicę, ludzi krzątających się w domach, nieliczne samochody, które dokądś się spieszą. Nie muszą dużo mówić, są zadowoleni - szczęśliwi.

Epilog

Stół już nakryty, serwetki starannie złożone i wsunięte w srebrne pierścienie. Żołędzie i jesienne liście pełnią funkcję wizytówek wyznaczających miejsca. Reszta stołów została przesunięta pod ścianę, żeby goście mieli jak najwięcej miejsca. Dynie stanowią główną ozdobę stołu, podobnie jak stroiki z chryzantem oraz suszone żółte i pomarańczowe kraspedie. W koszykach leżą bochenki świeżego chleba, a sos żurawinowy czeka już na stole. Indyk piecze się w piekarniku. Szyńka Bettie, glazurowana miodem, leży na desce do krojenia.

Rok temu lista gości wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyż sporo osób przyjechało do Avalon całkiem niedawno i nie ma jeszcze szerokich znajomości. Na pierwszym miejscu jest oczywiście Madeline, a na drugim Connie wraz z Elim. Hannah przyprowadziła Jamiego. Następni goście to Isabel, Ava, Max i Bettie. Właśnie przyjechali łań i jego syn. Yvonne i Sam będą musieli wyjść przed

deserem, bo zamierzają spędzić wieczór z matką i siostrami Sama w Maine. Pasierb Madeline, Ben, przyjedzie wkrótce z Ohio wraz z żoną i córką. Jest tu również Walter Lassiter z żoną, a obok nich Jay Doherty z córką.

Herbaciarnia jest oficjalnie nieczynna, ale nie zniechęca to licznych gości. Cały dzień co chwila ktoś wpada - najczęściej przyjaciele i sąsiedzi spragnieni filiżanki dobrej herbaty lub pragnący podarować Madeline talerz ciasteczek własnego wypieku. Deserów wciąż przybywa. Goście relaksują się w salonie, w holu lub nawet w kuchni. Max pomaga Madeline nasaczyć smażone warzywa sosem vinaigrette z granatów. Starsza pani sama wymyśliła ten przepis. Rayna Doherty przywiozła tartę z jabłkami. Syn Iana, Jeremy, szykuje ziemniaczane purée.

W ogólnym zamieszaniu nikt nie zwraca uwagi na dźwięk mosiężnego dzwonka nad drzwiami, zwiastujący przybycie kolejnego gościa. Hannah pierwsza dostrzega znajomą postać, na wpół zasłoniętą przez wiszące w holu płaszcze, szaliki, rękawiczki i wełniane czapki.

- Wróciłaś! - woła, biegnąc w jej kierunku. Wszyscy milkną i kierują wzrok na nieznajomą, która, jak się okazuje, przyprowadziła ze sobą dziecko.

Są to Frances Latham i jej córka, Mei Ling. Mają zaczerwienione z zimna nosy i lśniące oczy. Mei Ling, która liczy sobie rok i osiem miesięcy, nie cofa się, lecz z ostrożną ciekawością rozgląda się wokół.

- Wróciliśmy wczoraj - mówi Frances, rozpinając płaszcz. - Reed i chłopcy już tu idą, parkowali samochód. Dziękuję ci, że nas zaprosiłaś, Madeline.

Jesteśmy zmęczeni, ale gdybyśmy musieli przygotowywać teraz obiad na Święto Dziękczynienia, byłoby jeszcze gorzej. Wybacz nam, proszę, to spóźnienie.

- Nic się przecież nie stało - uspokaja ją Madeline. - Mamy sporo dodatkowych krzeseł i mnóstwo jedzenia. Zajmijcie miejsca i po prostu sobie odpocznijcie. Jeśli będziecie już mieli nas dość, zapakujemy wam co smaczniejsze kąski i zabierzecie je sobie do domu.

- O nie - mówi Frances, potrząsając głową. - Bardzo czekaliśmy na ten wieczór. Wyprawa do Chin była tak wyczerpująca, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie, że przespaliśmy cały powrotny lot. Teraz chcemy być wśród przyjaciół. To dla nas bardzo szczególna chwila, mamy tak wiele powodów do radości. - Głaszcząc gęste ciemne włosy Mei Ling i całuje ją w czubek głowy. Dziewczynka porusza się niespokojnie, po czym podnosi wzrok na Frances i przyciska twarz do jej piersi.

Goście szepczą coś cicho między sobą. Ktoś pociąga nosem. Isabel podsuwa Bettie chusteczkę higieniczną, ale starsza pani odpycha jej dłoń.

- Nie płaczę - informuje ją opryskliwym tonem, mrugając nerwowo, jakby coś wpadło jej do oka. - Chyba to widać. - Oczy dziwnie jej błyszczą, podobnie jak kilku innym osobom. Isabel uśmiecha się i obejmuje ją ramieniem.

Wchodzą Reed, Nick, Noah i Brady. Następuje cała seria serdecznych gratulacji, uścisków i wzajemnego przedstawiania się. Po dłuższej chwili wszyscy przechodzą do salonu. Frances siada z córeczką na podłodze. Mei Ling siedzi nieruchomo, ściskając w dłoni brzeg swetra Frances i rozglądając się czujnie dookoła.

- Już cię dobrze zna - mówi z uśmiechem Hannah. Frances odwzajemnia uśmiech.

- Tak - mówi. - Nie jestem pewna, czy rozumie, co się wokół niej dzieje, i czy wie, że jesteśmy teraz jej rodziną, ale wie, kim jestem. Wie, kim wszyscy jesteśmy. - Wskazuje na Reeda i chłopców.

- Mnie lubi najbardziej - mówi Noah.

- Lubi nas wszystkich - protestuje Nick, szturchając żartobliwie młodszego brata.

- Tak, ale mnie najbardziej - upiera się Nick.

- Mnie też! - woła Brady. Wszyscy wybuchają śmiechem.

- To dzięki albumom - oznajmia Reed. - Frances wysyłała je do Chin, a rodzice zastępczy pokazywali je Mei Ling.

- Wierzę, że ich oglądanie sprawiało im wielką przyjemność, nie mniejszą niż mnie przygotowywanie ich - mówi Frances. - Pokazywali je Mei Ling przez cały czas. Doskonale się złożyło. Gdy przyjechaliśmy na miejsce, rozpoznała nas - może nie od razu, ale przynajmniej nie byliśmy dla niej całkiem obcymi ludźmi.

Nagle w kuchni włącza się minutnik.

- Czas wyjąć indyka z piekarnika - mówi Madeline.

- Wkrótce siadamy do stołu. Reed, czy mogę poprosić cię o pokrojenie indyka?

- Będę zaszczycony. - Reed się uśmiecha.

- Och, jaka szkoda, że nie wzięłam ze sobą aparatu

- mówi Frances. - Zostawiłam go na komodzie razem z paszportami i mnóstwem innych rzeczy.

- Ja mam aparat - odzywa się Walter Lassiter. - Zrobię pani kilka ładnych zdjęć.

- Pan Walter jest w tym świetny - mówi Connie, klepiąc go w ramię, i idzie za Madeline do kuchni.

Walter oblewa się rumieńcem, ale jest wyraźnie zadowolony.

Mei Ling pociąga Frances za brzeg swetra. Jej mama wydaje się natychmiast wiedzieć, co to znaczy. Otwiera torebkę i wyciąga z niej niewielką paczkę miodowych chrupek. Mei Ling nabiera ich pełną garść.

- Wiem, że jest jej jeszcze bardzo smutno - mówi Frances przyciszonym głosem. - Ale ma w sobie dużo radości i ciekawości świata. I prawie cały czas coś mówi, głównie do siebie i oczywiście po chińsku, ale nie szkodzi. Nigdzie nam się nie spieszy i wiem, że wszystkiego się nauczymy, prawda, kochanie? - Bierze jedną chrupkę i kładzie na swojej otwartej dłoni. Mei Ling wyciąga po nią rękę. Na jej twarzy pojawia się nikły uśmiech.

- Uwielbia dom dla lalek, który kupiła jej mama - opowiada Nick. - O mało się nie rozplakała, kiedy musieliśmy tu przyjść. Nie chciała przerwać zabawy.

- Kupię jej podobny domek, tylko mniejszy, przenośny - odzywa się Reed. - Będzie mogła wszędzie go ze sobą zabierać. Takie domki mają na dachu specjalne uchwyty, żeby można było łatwo je przenosić.

Frances uśmiecha się promiennie i dotyka ramienia męża.

- Gdybym nie była tak bezgranicznie w tobie zakochana, przypomniabym ci, co mówiłeś o poprzednim domku.

- Pomyślałem, że mogłaby się nim bawić w samochodzie, w drodze do szpitala - ciągnie Reed. -1 w poczekalni u lekarza. Spędzi tam dużo czasu. Cały czas będzie miała domek przy sobie. I nas.

- Kurczę, zaraz zacznę płakać - mówi Bettie, mrugając gwałtownie powiekami. - Co zrobiłaś z chusteczkami, Isabel?

- Zużyłam je - odpowiada Isabel, pokazując jej trzymaną w dłoni wilgotną ligninową kulkę. Uśmiecha się, choć błyszczą jej oczy.

- Ja mam chusteczki - odzywa się Ava, pociągając nosem, i podaje Bettie kilka sztuk. Daje znak Maxowi, żeby do niej podszedł, po czym mocno go przytula i całuje. Yvonne i Sam siedzą na kanapie, zadowoleni, uśmiechnięci. Sam obejmuje dziewczynę, która opiera się wygodnie o jego ramię i wzdycha. Na jej twarzy maluje się szczęście.

Mei Ling kończy jeść chrupki i dotyka palcami ust.

- Chce jej się pić - mówi Noah. Frances z uśmiechem kiwa głową.

- Obiad! - woła Madeline.

Wszyscy idą do stołu. Mężczyźni poklepują się po plecach, kobiety obejmują się serdecznie. Czują wdzięczność za ten dzień, ten czas, tych ludzi. Nie jest to jeszcze co prawda koniec roku, ale niemal każda z obecnych tu osób zaczyna nowy rozdział swojego życia. Są pełni radości, a każdy, najdrobniejszy nawet szczegół pozostawia ślad w ich pamięci i sercach. Jest to dzień dzielenia się i bycia razem, dzień rodziny i przyjaciół, wspomnień, które rodzą się w każdej sekundzie i nie przemijają.

Smak Avalon

Rady dotyczące ozdabiania albumów oraz przepisu

W miasteczku Avalon, w stanie Illinois, jedzenie zbliża rodziny i przyjaciół. Przejawia się to w sposobie, w jaki sąsiedzi okazują sobie nawzajem wdzięczność i pomoc, a jedna społeczność wspiera drugą w trudnych chwilach i w nieszczęściach. Szczególnie ważną funkcję pełni tu Chleb Przyjaźni Amiszów, który zdobył serca wielu avalończyków. Różne przepisy, których podstawą jest ten słodki cynamonowy chleb, wykorzystuje się podczas parafialnych lub szkolnych przyjęć, na które każdy przynosi swoje jedzenie, żeby podzielić się z innymi. Są one również przynoszone na spotkania Klubu Miłośniczek Albumów, a bywa i tak, że pozostawia się je na progach domów w charakterze niespodzianki lub prezentu. Przepisy te są cały czas obecne w życiu mieszkańców Avalon, dlatego kilka najciekawszych zamieszczono tutaj. Znalazły się

tu również sugestie dotyczące zorganizowania spotkania dla osób zajmujących się ozdabianiem albumów.

W przepisie na Chleb Przyjaźni Amiszków wykorzystuje się 1 kubek zaczynu. Szczegółowe instrukcje dotyczące zaczynu, często zadawane pytania i ponad 250 przepisów bazujących na Chlebie Przyjaźni Amiszków można znaleźć na stronie

www.friendshipbread-kitchen.com.

Zakwas na chleb przyjaźni Amiszów

Zakwas na Chleb Przyjaźni Amiszów przekazują sobie nawzajem przyjaciele lub sąsiedzi, zazwyczaj w plastikowych woreczkach lub glinianych pojemnikach. Jest to prawdziwy zakwas, co oznacza, że jeśli się go dokarmia wystarczająco długo, staje się bardziej aromatyczny i wyrazisty. Można go użyć do pieczenia chleba, babeczek, czekoladowych ciasteczek, a nawet naleśników. Jeśli jeszcze nie dotarł do ciebie woreczek z zakwasem na Chleb Przyjaźni Amiszów, a miałabyś ochotę go wypróbować, poniżej znajdziesz przepis na jego przygotowanie. Produkcja zakwasu zabierze ci dziesięć dni. Potem możesz go użyć do pieczenia.

Składniki:

- 7 g surowych drożdży
- 1/4 kubka ciepłej wody
- 1 kubek zwykłej mąki
- 1 kubek białego cukru
- 1 kubek mleka o temperaturze pokojowej

Sposob przygotowania:

1. W małej miseczce rozpuść drożdże w wodzie. Pozostaw na 10 minut.
2. W niemetalemym naczyniu połącz mąkę z cukrem. Wymieszaj dokładnie.
3. Powoli wlewaj mleko i rozpuszczone drożdże. Przykryj lekko i pozostaw w temperaturze pokojowej, aż zaczną bąbelkować. To dzień 1. w 10-dniowym cyklu. Mieszanę można pozostawić w naczyniu lub przełożyć do woreczka.
4. Przez następne 4 dni mieszaj zawartość woreczka każdego dnia (jeśli zaczyn znajduje się w naczyniu, mieszaj go energicznie drewnianą łyżką). Jeśli woreczek wypełni się powietrzem, wypuść je.
5. Dnia 6. dodaj 1 kubek mąki, 1 kubek cukru, 1 kubek mleka. Zamieszaj.
6. Przez następne 3 dni codziennie mieszaj zawartość woreczka lub naczynia.
7. Dnia 10. wlej całą zawartość do niemetalowej miski.
8. Dodaj 1 1/2 kubka mąki, 1 1/2 kubka cukru, 1 1/2 kubka mleka. Dobrze wymieszaj.
9. Odmierz 4 części surowego ciasta i umieść je w czterech woreczkach foliowych.
10. Zatrzymaj jeden woreczek dla siebie, a pozostałe przekaz trójce przyjaciół wraz z przepisem na Chleb Przyjaźni Amiszów (znajdziesz go na stronie [www. friendshipbreadkitchen.com](http://www.friendshipbreadkitchen.com))

*Orzechowo-kawowy tort Lorny
na zakwasie do Chleba Przyjaźni
Amiszów*

PRZEPIS NA 1 TORT 4-WARSTWOWY

Składniki:

1 kubek zakwasu na Chleb Przyjaźni Amiszów
3 jajka
1 kubek oleju
1/2 kubka mleka
1 kubek brązowego cukru
1 łyżeczka wanilii
1/2 łyżeczki proszku do pieczenia
2 łyżeczki soli
2 łyżeczki sody oczyszczonej
2 kubki mąki
2 małe opakowania budyniu czekoladowego 5 łyżek orzechowego cappuccino w proszku

przełożenie:

krem na bazie nutelli i masła (przepis poniżej) 1/2 kubka płatków czekoladowych

syrop czekoladowy
1/2 kubka orzechów laskowych lub orzeszników pekan, drobno posiekanych

Sposób przygotowania:

1. Rozgrzej piekarnik do 165° C.
2. Wszystkie wymienione składniki umieść w dużej misce i wymieszaj.
3. Dwie okrągłe formy do ciasta posmaruj tłuszczem i oprósz mąką.
4. Wlej ciasto równomiernie do obu form.
5. Piecz 40-45 minut (wbij patyczek w ciasto i sprawdź, czy jest suchy).
6. Po całkowitym ostudzeniu ciasta przekrój ostrożnie każdy placek na dwie warstwy bardzo ostrym nożem.
7. Na każdą warstwę nałóż krem z nutelli i masła. Wierzch każdej warstwy posyp uprzednio 2 łyżeczkami płatków czekoladowych i orzechami oraz nasącz syropem czekoladowym. Nałóż warstwy na siebie. Ciasto to można przygotować na dzień przed podaniem.
8. SMACZNEGO!

Krem na bazie masła i nutelli

1/4 kubka masła i dodatkowo 1 łyżka masła o temperaturze pokojowej
1/2 kubka orzechowej nutelli
1 łyżeczka wanilii

3 kubki cukru pudru yi kubka mleka
1 łyżeczka orzechowego cappuccino w proszku

Sposób przygotowania:

1. W dużej misce mikserem utrzyj masło z nutellą. Dodaj wanilię.
2. Stopniowo dodawaj cukier puder, wolno ucierając krem.
3. Często zgarniaj krem z boków i dna miski.
4. Dodaj mleko i ucieraj krem wolno, aż stanie się lekki i puszysty.
5. Przed nałożeniem kremu dodaj do niego cappuccino w proszku i wymieszaj ręcznie.
6. Krem przygotowany w takiej ilości wystarcza na pokrycie wszystkich warstw tortu. Jeśli chcesz posmarować kremem boki tortu, musisz podwoić przepis.

*Kokosowo-orzechowe ciasteczka
biscotti na zakwasie do Chleba
Przyjaźni Amiszów wg przepisu
Charlotte Snyder*

PRZEPIS NA 24 SZTUKI

Składniki:

1 kubek zakwasu na Chleb Przyjaźni Amiszów
1/2 kubka cukru kryształ
1/2 kubka miękkiego masła
1 łyżeczka wanilii
1 jajko
3 kubki mąki
1 łyżeczka proszku do pieczenia
1/2 łyżeczki soli
1/2 kubka wiórków kokosowych
1 kubek posiekanych orzechów włoskich
dip czekoladowy (przepis poniżej)

Sposb przygotowania:

1. Rozgrzej piekarnik do temperatury 175° C.
óio

2. W misce średniej wielkości ucieraj zakwas z cukrem i masłem. Dodaj wanilię i jajko.

3. W drugiej misce przygotuj mąkę, dodaj do niej proszek do pieczenia oraz sól i zmieszaj to wszystko z ucieraną masą. Dodaj kokos i orzechy.

4. Podziel ciasto na dwie części. Z każdej z nich utocz wałek długości 25 cm. Umieść je na nienatłuszczonej blasze do pieczenia i spłaszcz do szerokości 7 cm.

5. Piecz 30-35 minut, aż ciasto stwardnieje, a potem zostaw je na blasze jeszcze 10-15 minut.

6. Wałki upieczonego ciasta pokrój skośnie na plastry o szerokości 1 cm i ułóż je na blasze stroną do spodu.

7. Włóż ponownie do piekarnika na dodatkowe 15 minut, aż staną się chrupiące i lekko brązowe. Pozostaw do ostygnięcia i przechowuj w szczelnym pojemniku.

8. SMACZNEGO!

Czekoladowy dip

Składniki:

1 kubek pokruszonej deserowej albo gorzkiej czekolady lub wiórków czekoladowych

1/2 kubka gęstej śmietany kremówki

1. W podwójnym rondelku rozgrzej śmietanę, rozpuść w niej czekoladę. Mieszaj od czasu do czasu, aż uzyskasz gładką konsystencję.

2. Jeśli chcesz korzystać z mikrofalówki, wymieszaj wiórki czekoladowe ze śmietaną w dużej misce specjalnie przystosowanej do mikrofalówki. Nastaw urządzenie na średnią intensywność i mieszaj po każdej minucie podgrzewania, aż czekolada się rozpuści.

3. Zanurzaj schłodzone ciastka w czekoladzie i pozostaw do ostygnięcia

*Cytrynowo-rozmarynowy
Chleb Przyjaźni Amiszów na oliwie*

PRZEPIS NA 2 BOCHENKI

Składniki:

- 1 kubek zakwasu na Chleb Przyjaźni Amiszów
- 3 jajka
- 1 kubek oliwy z pierwszego tłoczenia
- 1/2 kubka mleka
- 1 kubek cukru
- 1/2 łyżeczki aromatu cytrynowego
- 1/2 łyżeczki aromatu waniliowego
- 1/4 kubka soku ze świeżej cytryny
- 2 łyżeczki startej skórki cytrynowej
- 1/2 łyżeczki proszku do pieczenia
- 1/2 łyżeczki soli
- 1/2 łyżeczki sody oczyszczonej
- 2 kubki mąki
- 2 łyżki posiekanego świeżego rozmarynu
- 1 małe opakowanie budyniu cytrynowego
- 1 łyżka siemienia lnianego (wg uznania) polewa cytrynowa (przepis poniżej)

gałązka rozmarynu (wg uznania) skórka z cytryny (wg uznania)

1. Rozgrzej piekarnik do 165° C.
2. W dużej misce zmiksuj wszystkie wymienione składniki, aż uzyskasz gładką konsystencję.
3. Wysmaruj tłuszczem 2 foremki do pieczenia chleba.
4. Natłuszczone foremki oprósz mąką równo z wszystkich stron.
5. Podziel ciasto równo na 2 foremki.
6. Piecz przez 1 godzinę lub do momentu, aż chleb będzie równo odstawał od boków foremek, a patyczek wetknięty do ciasta pozostanie suchy. Wyjmij foremki z piekarnika i pozostaw do ostygnięcia na drucianej podstawie.
7. Skrop ciasto polewą cytrynową (przepis poniżej) i udekoruj gałązką rozmarynu lub skórką z cytryny.
8. SMACZNEGO!

Latwa cytrynowa polewa

Składniki:

sok z 1 cytryny
2 kubki cukru pudru
odrobina aromatu cytrynowego

1. Zmiksuj sok z cytryny z cukrem pudrem i mieszaj do uzyskania właściwej konsystencji.
2. Dodaj odrobinę aromatu cytrynowego i dokładnie wymieszaj.
3. Przed podaniem skrop ciasto polewą.

*Wieprzowe kotlety po hiszpańsku wg
przepisu Wally'ego Millera*

PRZEPIS NA 4 PORCJE

Składniki:

- 4 kotlety wieprzowe
- 2 łyżki mąki (lub wg uznania)
- sól i czarny pieprz do smaku
- 2 łyżki oleju roślinnego (do natłuszczenia patelni)
- 1 cebula pokrojona w plasterki
- 1 czerwona słodka papryka, wypestkowana i pokrojona w krążki
- 4 łyżki nieugotowanego (suchego) ryżu
- puszka krojonych pomidorów w sosie własnym
- 1 łyżka sosu Worcestershire

Sposób przygotowania:

1. Rozgrzej piekarnik do 200° C.
2. Zmieszaną mąką, solą i pieprzem oprósz kotlety.
3. Wlej olej roślinny na patelnię, zrumień kotlety na średnim ogniu.
4. Przełóż kotlety do naczynia żaroodpornego.

5. Na każdym kotlecie połóż plasterki cebuli i krążek czerwonej słodkiej papryki z łyżką suchego, nie-ugotowanego ryżu w środku.
6. Równomiernie zalej kotlety pomidorami z puszki.
7. Dodaj sos Worcestershire, sól i pieprz.
8. Zapiekaj 45 minut. Podawaj z surówką i gorącymi bułeczkami.

Jabłka w cieście z dodatkiem oranżady Mountain Dew wg przepisu Connie

Składniki:

2 duże jabłka, obrane ze skórki i wydrążone
opakowanie ciasta francuskiego
kostka masła
1 i 1/2 kubka cukru
1/2 łyżeczki wanilii
1 łyżeczka cynamonu oraz cynamon do smaku puszka napoju
gazowanego Mountain Dew

Sposób przygotowania:

1. Rozgrzej piekarnik do 175° C.
2. Wysmaruj brytfannę masłem.
3. Podziel każde jabłko na 8 części. Każdą część jabłka zawiń w ciasto, tworząc pierożki. Zlep je i ułóż w naczyniu.
4. W małym rondelku rozpuść w średniej temperaturze masło, a następnie dodaj cukier, cynamon i wanilię.
5. Polej tym jabłka w cieście, a potem polej je jeszcze gazowanym napojem Mountain Dew. Oprósz cynamonem i piecz, aż będą złotobrązowe.

Spaghetti alla chitarra wg przepisu Billa

Składniki:

1/2 kg świeżo zrobionego spaghetti
60 g oliwy z pierwszego tłoczenia
2 ząbki czosnku, drobno posiekane
1 szalotka, drobno posiekana
1/2 łyżeczki pepperoncini (łagodna żółtozielona papryka)
2 kubki mięsistych pomidorów, pozbawionych pestek i
rozdrobnionych
2 łyżki sera Parmigiano Reggiano, świeżo startego,
sól i pieprz do smaku
2 łyżki listków świeżej bazylii, rozdrobnionych na małe kawałki

Sposob przygotowania:

1. W dużym garnku zagotuj osoloną wodę. Doprowadź do wrzenia.
2. Na patelnię średniej wielkości wlej połowę oliwy, przesmaż na niej czosnek, szalotkę i pepperoncini. Dodaj pomidory i smaź w wysokiej temperaturze przez 2 minuty.

3. Wrzucić do wody świeżo zrobiony makaron i gotować przez 30 sekund. Potem przełożyć go na patelnię z czosnkiem, szalotką, papryką i pomidorami.

4. Wleć na tę patelnię 60 g wody z makaronu i zmniejsz temperaturę.

5. Mieszaj energicznie makaron, aż będzie odpowiednio dogotowany. Jeśli trzeba, dodaj jeszcze wody z makaronu.

6. Odstaw z ognia. Wymieszaj spaghetti z serem, oliwą, solą i pieprzem. Udekoruj listkami bazylii i od razu podawaj.

Placki z zieloną cebulką wg przepisu Frances (Cōng yóubīng)

Składniki:

2 kubki zwykłej mąki oraz dodatkowo do podsypywania
1 i 1/2 kubka wrzątku
5 łyżek oleju sezamowego
yż łyżeczki soli
1/2 łyżeczki białego i czarnego pieprzu
1/4 kubka posiekanej zielonej cebulki, części białe i zielone
1 kubek oleju roślinnego

Sposób przygotowania

1. W dużej misce wymieszaj drewnianą łyżką mąkę z wrzątkiem, aż uzyskasz kulę miękkiego ciasta.
2. Kiedy ciasto ostygnie, wyrabiaj je dalej rękami, a następnie podziel na 8 części. Pozostaw w misce i odłóż ją na bok.
3. W małej miseczce wymieszaj olej sezamowy z solą i pieprzem.

4. Na posypanej mąką stolnicy rozwałkuj jedną część ciasta na cienki placek.
5. Dłonią lub pędzelkiem pokryj go równo cienką warstwą mieszanki oleju sezamowego, soli i pieprzu.
6. Posyp placek cebulką.
7. Zaczynając od brzegu, zroluj placek (razem z cebulką w środku) i uformuj wałek.
8. Zwiń wałek „w ślimaka”.
9. Spłaszcz go dłonią, a potem rozwałkuj na placek grubości około 1 cm, by powstał spiralny wzór. Zrób podobne placki z reszty ciasta.
10. Na patelni podgrzej olej do średniej temperatury.
11. Połóż jeden placek na patelnię i smaż, aż brzegi i środek będą chrupiące i złotobrązowe. Przewróć placek na drugą stronę i również przyrumień. Odsącz na papierowym ręczniku.

Podstawowe rady dotyczące ozdabiania albumów (scrapbookingu)

Ozdabianie albumów to zabawny sposób pielęgnowania wspomnień o jakimś szczególnym wydarzeniu lub momencie w życiu. Od ciebie zależy, czy twój album będzie zwyczajny, czy bardziej wymyślny.

Ozdobiony album możesz przeznaczyć na prezent - wszystko, co materialne w naszym życiu, przemija. Najcenniejsze, co posiadamy, to wspomnienia i fotografie. Odpowiedni komentarz i oryginalne drobiazgi (końcówki biletów, programy, papierowe serwetki) będą niezbędne do nadania stronom w twoim albumie charakteru i głębi. A co najważniejsze, baw się przy tym!

Jak zacząć

Wybierz zdjęcia, które chciałabyś ozdabiać. Ułóż je w porządku chronologicznym według tematyki, ludzi

lub miejsca. Możesz również skupić się na jakimś wydarzeniu lub specjalnej okazji (wakacje, urodziny, wycieczka lub urlop, urodziny dziecka itd.). Umieść wyselekcjonowane zdjęcia w opisanej zgodnie z tematem torebce foliowej lub w papierowej kopercie.

Album w odpowiednim formacie możesz kupić lub wykonać sama.

Dokonaj wyboru materiałów do ozdabiania. W sklepach z rękodziełem znajdziesz wiele ciekawych rzeczy, a jedynym ograniczeniem będzie twoja pomysłowość (i, być może, twój budżet!).

Zacznij od wyłożenia wszystkiego na zdobioną stronicę, ale niczego jeszcze nie przyklejaj. Baw się, przesuwaj, przemieszczaj wszystko, próbuj, eksperymentuj, przyglądaj się aranżacji z różnych stron. Jeśli nie masz pewności, od czego zacząć lub co będzie odpowiednie dla twojego pomysłu, przeglądaj kilka czasopism, które pomogą ci w utworzeniu odpowiedniej kompozycji. Zatytułuj stronicę zgodnie z jej tematyką i treścią zdjęć.

Opisz każde zdjęcie lub stronicę. Spisz szczegóły, wspomnienia, kluczowe słowa. Będą w twoim albumie legendą lub rodzajem wpisu do pamiętnika. Pamiętaj o umieszczeniu dat. Możesz pisać bezpośrednio na swojej stronicy lub skorzystać z dodatkowych kartek, Możesz również napisać wszystko na komputerze, a przed wydrukowaniem dostosować tekst odpowiednio do stronicy.

Kiedy będziesz gotowa i wszystko będzie wykonane tak, jak to zaplanowałaś, przyklej elementy do stronicy.

Gotowe stronice umieść w ochronnych foliach lub bezpośrednio w albumie. Możesz również zeskanować stronicę i utworzyć jej wersję cyfrową, żeby potem wirtualnie pokazać swój album przyjaciołom i rodzinie.